

TĘ POWIEŚĆ ZNA JUŻ 20 MILIONÓW CZYTELNIKÓW



akt woli

**BARBARA TAYLOR
BRADFORD**

POLSKA PREMIERA AUTORKI „KARIERY EMMY HARTE”

Barbara Taylor Bradford napisała sześć powieści, z których każda zdobyła błyskawicznie popularność nie tylko w Anglii — ojczyźnie pisarki — ale i na całym świecie. Przetłumaczone na niemal wszystkie języki, utrzymywały się przez wiele tygodni na listach bestsellerów literackich.

Wszystkie powieści B. Bradford zostały sfilmowane, a fakt ten zwiększył jeszcze bardziej ich pożytność. Telewizja Polska zaprezentowała, gorąco przyjęte przez widzów, seriale: „Kariera Emmy Harte” i „Spadkobiercy Emmy Harte”.

Akt woli W 1990 ROKU W PIERWSZEJ PIĄTCE ŚWIATOWYCH BESTSELLERÓW, to pierwsza powieść B. Bradford ukazująca się w języku polskim.

Jest to barwna, epicka opowieść o życiu i miłości, szczęściu i poświęceniu.

Jej bohaterki — Audra, Christina i Kyle — to kobiety, silne, odważne, pełne temperamentu; chcą same decydować o swoim życiu, ale dla dobra rodziny zdolne są do wyrzeczeń. Mimo przeciwności losu, każda z nich osiąga sukces, i jest szczęśliwa nie dlatego, że zrobiła karierę, ale dlatego, że do wszystkiego doszła sama.

TO POWIEŚĆ, NA KTÓRA
WSZYSZY CZEKALI

ISBN 83-7067-006-7

Cena zł 25 000.—

akt woli

BARBARA TAYLOR
BRADFORD

przełożyła Joanna Kazimierczyk

Z uczuciem wielkiej miłości poświęcam
tę książkę pamięci moich rodziców –
Fredy i Winstona Taylorów. Ona obdarzyła
mnie największym darem, jaki matka może
dać dziecku – pragnieniem wybicia się.
On uczył mnie, jak zachować siłę ducha i
być nieugiętą.

Z całego serca poświęcam tę książkę
również memu mężowi Bobowi,
którego miłość i pomoc dorównały
darem moich rodziców.

GDAŃSK 1991

Tytuł oryginału ACT OF WILL

Projekt okładki i strony tytułowej

Paweł Adamów

Fotografia na okładce

Krzysztof Czapiewski

Redaktor

Ewa Mironkin

Redaktor techniczny

Elżbieta Smolarz

Korektor

Małgorzata Paszkowska

Copyright © 1986 by Barbara Taylor Bradford

Copyright for the Polish Edition and Translation by Oficyna Wydawnicza „Graf”, 1991

First published by DOUBLEDAY & COMPANY, INC.

GARDEN CITY, NEW YORK 1986

Wydanie pierwsze

Druk i oprawa:

Wrocławskie Zakłady Graficzne

Wrocław,

ul. Oławska 11

Zam. 766/91/00

ISBN 83-7067-006-7

Prolog

Audra, Christina i Kyle

1978

Audra Crowther siedziała na sofie w saloniku pięknego mieszkania swej córki, znajdującego się na dachu jednego z wysokościowców Manhattanu. Była bardzo spięta; tak mocno ścisnęła dłonie, że pobielały jej kostki palców. Wodziła też wzrokiem od córki Christiny do wnuczki Kyle.

Obie kobiety stały pośrodku pokoju i wpatrywały się w siebie. Twarze miały blade, a ich oczy miały płomień; pełne gniewu słowa wypowiedziane przed kilkoma minutami zdawały się jeszcze dźwięczeć w ciepłym, popołudniowym powietrzu.

Audrę ogarnęło uczucie całkowitej bezradności. Zdawała sobie sprawę, że wszelkie próby odwoływania się do zdrowego rozsądku tych kobiet czy przeciwstawianie się im będą stratą czasu, przynajmniej w tej chwili. Każda z nich była bowiem przekonana, że to ona ma rację i żadne perswazje nie byłyby w stanie tego zmienić lub skłonić do próby zrozumienia racji drugiej strony.

Konflikt matki z córką, ten dystans między nimi podkreślało nawet ubranie. Niebieskie dzinsy i tenisówki Kyle w połączeniu ze stylową, koszulową bluzką z białego batystu nadawały jej dziwnie dziecięcy, bezbronny wygląd, który jeszcze podkreślał brak makijażu i długie, proste, opadające na ramiona włosy. Christina zaś miała na sobie elegancką, kosztowną i znakomicie skrojoną suknię z surowego jedwabiu z obcisłym zakiecikiem. Strój ten na pewno pochodził z jej własnej kolekcji; srebrzysta szarość jedwabiu tworzyła doskonałe tło dla krótko

obiętych kasztanowych włosów ze złoto-rudawym połyskiem; podkreślała też kolor oczu, które zawsze stanowiły najciekawszy rys jej urody. Szczupła, bardzo zadbana, wcale nie wyglądała na swoje czterdzieści siedem lat.

Dojrzałość przeciwko młodości, kobieta światowa przeciwko zbuntowanej studentce, matka przeciwko córce... – myślała Audra tłumiąc westchnienie. Cóż, nie po raz pierwszy przecież matka i córka nie zgadzały się ze sobą, konflikt ten był stary jak świat.

Nagle Kyle przerwała przedłużające się milczenie.

– Mamo, jeszcze jedna rzecz – krzyknęła. – Nie masz prawa wciągać w całą tę awanturę biednej babci, którą sprowadziłaś specjalnie aż z Anglii...

– Nie zrobiłam tego – przerwała Christina. – Telefonował do niej twój ojciec...

– Tak, tak, mów dalej, spychaj winę na tatę – ostrym głosem przerwała Kyle.

– To naprawdę ojciec dzwonił do babci – zaprotestowała Christina. – Czy nie tak, mamo? – zwróciła się do Audry.

Audra utkwiała spojrzenie we wnuczce i powiedziała:

– To prawda, Kyle.

Kyle gwałtownym ruchem odrzuciła do tyłu grzywę czarnych włosów, a potem wepchnęła ręce do kieszeni dzinsów. Ruchy miała szorstkie, jakby rzucała nimi wyzwanie. Duże, ciemnobrązowe oczy, zazwyczaj łagodne, teraz błyszczały buntowniczo.

– Myślał chyba, że potrzebujemy mediatora. Ale ja tak nie uważam, nie ma tu nic do uzgadniania... – Urwała, odwróciła się do Audry i z półuśmiechem dodała: – Przepraszam, babciu, nie chcę być niegrzeczna, ale nie powinno się zmuszać ciebie do podróży przez pół świata tylko dlatego, że moi rodzice odkryli, iż nie mają na mnie wpływu, że *nie dają już sobie ze mną rady* – Kyle roześmiała się nienaturalnym chrapliwym śmiechem. – Widzisz, kłopot w tym, że moi rodzice traktują mnie jak dziecko. Można by pomyśleć, że mam dziewięć lat, a nie *dziewiętnaście*. Słowo daję, ich zachowanie jest po prostu śmieszne.

Zanim Audra zdołała jakoś skomentować te hałaśliwe stwierdzenia, Kyle już odwróciła się do Christiny. Głos jej stał się jeszcze bardziej ostry, gdy wyrzuciła z siebie:

– Nic, ale to absolutnie nic nie skłoni mnie, żebym zmieniła zdanie. *Nic. I nikt.* Nawet babcia. Będę starała się przeżyć swoje życie tak, jak chcę. To jest moje życie. Ty i tata możecie mnie zostawić bez grosza, wcale mi na tym nie zależy. Znajdę sobie pracę i zarobię na utrzymanie w czasie studiów. Nie potrzebuję od was żadnej pomocy!

– Ani ojciec, ani ja nigdy nic nie mówiliśmy, że przestaniemy cię utrzymywać – zawołała Christina, rozgoryczona i zła, że Kyle mogła zasugerować coś takiego. – *Twój* problem tkwi w niezdolności do rozsądnego i spokojnego rozważenia całej sprawy. Tracisz panowanie nad sobą, kiedy tylko próbujemy przedstawić ci jakieś sensowne argumenty.

– Proszę, i kto to mówi! Ty również nie jesteś spokojna!

Christina zacisnęła usta z irytacją, ale próbowała powstrzymać narastający gniew.

– To chyba nic dziwnego, nie uważasz? – odparła lodowatym tonem. – Zbudowałam ogromne, międzynarodowe imperium mody warte miliony dolarów i ty jesteś moim jedynym dzieckiem, moją *spadkobierczynią*. Zawsze było wiadomo, że pewnego dnia zajmiesz moje miejsce. Jest to zrozumiałe dla *wszystkich*. Przecież mając właśnie to na uwadze kształciliśmy cię odpowiednio... a teraz ni stąd, ni zowąd oświadczasz, że nie chcesz mieć nic wspólnego z tym przedsiębiorstwem. Jestem...

– Nie, nie chcę! – krzyknęła Kyle. – Czy nie dociera do ciebie, mamo, to, co mówię ci od dawna? Nic mnie nie obchodzi to całe twoje imperium. Niech je diabli wezmą, niech się zawali! To nie moja sprawa. To twój problem, mamo, a nie mój!

Christina z trudem chwytając oddech. Gwałtowność zachowania Kyle wstrząsnęła nią równie silnie jak i jej słowa. Audra zauważyła to i szybko zwróciła się do Kyle:

– Uspokój się, proszę.

Kyle natychmiast zrozumiała, że posunęła się za daleko i przygryzła w zakłopotaniu wargi. Czerwone plamy wystąpiły jej na policzkach

i na szyi. Spojrzała na babkę siedzącą na sofie z pobladłą twarzą. Dostrzegła w jej szczerych, jasnoniebieskich oczach smutek i rozczarowanie, a także wyraz łagodnej nagany. Ogarnęło ją zakłopotanie i wstyd. Zrozumiała, że wiele straciła w oczach babki, którą bardzo kochała. I to było najtrudniejsze do zniesienia. Wybuchnęła płaczem i wybiegła z pokoju, głośno zatraskując za sobą drzwi.

Christina patrzyła za nią w osłupieniu. Czuła się upokorzona; była zła i spięta.

– Czy możesz w to uwierzyć? – wybuchła i zrobiła krok naprzód, chcąc pójść za Kyle.

– Nie, nie. Pozwól jej odejść – powiedziała stanowczo Audra, podchodząc do córki.

Ujęła Christinę za ramię i poprowadziła ku sofie. Ostrożnie posadziła córkę i sama usiadła obok niej.

– Nie ma sensu tego kontynuować – powiedziała. – Tylko się jeszcze bardziej obie rozgrzaczujecie, a dobrze wiesz, że gniew jest najgorszym doradcą i trudno jest później odwołać to, co się powiedziało. Musisz też przyznać, że w tej chwili obie jesteście mocno podenerwowane.

– Tak, to prawda – zgodziła się Christina.

Z roztagnieniem przesunęła ręką po włosach, a potem opadła bezsilnie na poduszki, czując się nieszczęśliwa i sfrustrowana. Po chwili jednak poderwała się i nerwowo zaczęła chodzić przed kominkiem.

Audra przyglądała się córce i poczuła narastający niepokój. Nigdy jeszcze nie widziała Christiny w takim stanie – tak podnieconej i zniecierpliwionej, tak bliskiej wybuchu. Zwykle, bez względu na okoliczności, była bardzo opanowana. Ale też nigdy dotychczas jej świat nie przeżył takiego wstrząsu. Audra wiedziała, że słowa Kyle, choć wypowiedziane bezmyślnie, w uniesieniu i bez prawdziwej złośliwości, bardzo zraniły Christinę. Zapragnęła opatrzeć tę ranę najlepiej, jak umiała, powiedziała więc spokojnie:

– Kyle nie to miała na myśli, Christie, mówiąc, że nic jej nie obchodzi przedsiębiorstwo, że wszystko może się zawalić...

Obchodzi ją, jestem pewna, jak i tego, że bardzo cię kocha.

– Okazuje to jednak w szczególny sposób – mruknęła Christina nie patrząc na matkę i nie przerywając nerwowego spaceru po pokoju. Ciągle jeszcze odczuwała ból zadany przez córkę.

Audra westchnęła, rozumiała bowiem jej stan, i nie przerywała więcej milczenia. Wtuliła się w róg sofy oczekując, aby córka się uspokoiła, zadowolona, że przynajmniej zakończyła się hałaśliwa i niemiła wymiana zdań. W pokoju panowała zupełna cisza, którą zakłócał tylko lekki szelest jedwabnej sukni Christiny, tykanie stojącego na komodzie zegara i przytłumione dźwięki ulicznego gwaru na Sutton Place, który dochodził przez wysokie okna tarasowe otwarte w ten ciepły, majowy dzień. Spojrzała w stronę tarasu migoczącego plamami słonecznego światła, pełnego kwitnących roślin i zieleni, myśląc z roztargnieniem, czy dobrze by się tu przyjęły różowe azalie.

Potem wróciła znowu spojrzeniem do wnętrza. Przez chwilę niepokój oddalił się, gdy dostrzegła piękno swego otoczenia, w którym dominowały odcienie żółci: od brzoskwiniowej poprzez morelową aż do jasnokremowej. Wchłaniała w siebie to piękno... bezcenne dzieła sztuki na ścianach: dwa Cézanne'y, jeden Gauguin, wytworne, stare angielskie meble z ciemnego, lśniącego drzewa... brązowa rzeźba – dzieło Arpa... obfitość kwiatów w kryształowych wazonach. A wszystko to podświetlone lampami o jedwabnych abażurach i podstawach ze starej chińskiej porcelany.

Audra pomyślała, że Christina i Alex mają doskonały smak, i poczuła przyływ macierzyńskiej dumy. Nie tylko z powodu wykwintnego stylu ich życia widocznego w tym pokoju, lecz zwłaszcza z tego, jakimi byli ludźmi: wszystko to osiągnęli wspólnie, razem. Ich związek odznaczał się szczególną harmonią, małżeństwo krzepło w miarę upływu lat i za to Audra była wdzięczna losowi.

Myśli jej skierowały się do Alexa Newmana. Był człowiekiem łagodnym, jednym z najbardziej dobrotliwych ludzi, jakiego znała. Traktował ją jak kochający syn – bardzo pragnęła mieć go teraz obok siebie. Możliwe, że nie zdołałby zażegnać konfliktu, który nagle wybuchł

między jego żoną i córką, ale swym taktem, dobrym humorem i uwielbieniem, jakie żywił dla Christiny, zawsze wywierał na nią kojący wpływ.

Audra odwróciła głowę i spojrzała na zegar. Ku swemu rozczarowaniu zobaczyła, że dopiero dochodziła piąta, a Alex nigdy nie wracał z pracy przed siódmą. Chociaż dzisiaj mógł przyjść wcześniej, wychodzili bowiem na kolację na ósmą. Posmutniała myśląc o długim wieczorze, jaki ją czekał. Jeśli zachowanie Kyle w najbliższych godzinach nie zmieni się, to wieczór zapowiada się wyjątkowo nieciekawie.

W tej chwili Christina, jakby czytając w jej myślach, powiedziała:

– Wcale mnie nie cieszy myśl o pójściu na kolację do Jacka i Betsy Morganów, choć są tacy mili i tak do ciebie przywiązani, mamo. Nie będzie to przyjemne, gdy Kyle jest w takim bolszewickim stanie ducha.

Christina wreszcie przestała chodzić i spojrzała na matkę, uśmiechając się przy tym ze smutkiem. Szare oczy wyrażały głębokie zatroskanie. Po raz pierwszy zauważyła zmęczenie malujące się na twarzy Audry, przygryzła więc wargę i zmarszczyła brwi.

– Kochanie, musisz być śmiertelnie zmęczona lotem! Jakże egoistycznie zachowujemy się wszyscy od wczoraj. Nawet nie daliśmy ci szansy na złapanie tchu. Chyba najlepiej będzie, jeśli zapakuję cię do łóżka i odpoczniesz do kolacji.

– Nie, jeszcze nie teraz, Christino. Czuję się dobrze, wszystko jest w porządku – stwierdziła Audra.

Christina podeszła do sofy, usiadła obok matki, wzięła ją za rękę i mocno uścisnęła, wpatrując się w twarz pełną zmarszczek. Ogarnęła ją fala głębokiej miłości.

Szare oczy przepełnione były czułością, gdy się odezwała:

– Opinie Kyle często bywają przesadzone, ale ma rację mówiąc, że niepotrzebnie ściągnęliśmy cię tu z tak daleka... – przerwała nagle, gdyż poczuła się winna.

Matka miała prawie siedemdziesiąt jeden lat i nie należało jej obarczać ich własnymi problemami. Oboje z Alexem sami powinni umieć

dać sobie radę z nieposłuszną córką. Zirytowana myślą o swej niepodradności Christina zawołała:

– Nie jesteśmy wobec ciebie w porządku, oczekując, że rozwiążesz nasze kłopoty. Powinnaś być u siebie w domu, zajmować się ogrodem albo chodzić na spacerzy nad morze. Na pewno uważasz mnie i Alexa za parę idiotów!

– Nie bądź śmieszna – Audra uścisnęła szczupłą, wąską dłoń córki, tak odmienną od jej własnej, zniekształconej artretyzmem. – Wiedząc, że mnie potrzebujecie, przyjechałabym do was bez względu na wszystko, nawet gdybym miała te trzy tysiące mil przebyć pieszo. Kocham cię, Christie, kocham tę moją zbuntowaną wnuczkę i kocham Alexa. Nie mogę znieść tego, że jesteście nieszczęśliwi.

Christina zwierzyła się matce głosem pełnym napięcia:

– Kyle źle robi porzucając naukę w Instytucie Mody i w ten sposób traktując moje przedsiębiorstwo. Zawsze cieszyłam się na myśl o tym, że pewnego dnia ona przejmie to wszystko z moich rąk. – Ostatnie słowa uwięzły jej w gardle i dopiero po chwili mogła kontynuować. – Och, mamusiu, o co tu właściwie chodzi? Przecież pracowałam tak ciężko z myślą o *niej!* I po co mi to wszystko, jeśli Kyle to odrzuca – oczy Christiny napełniły się łzami. Odwróciła głowę, aby je ukryć.

Audra poczuła przyptyw współczucia dla córki. Próbując ją pocieszyć wyszeptwała:

– Ależ Christie, kochanie moje, przecież sama doznałaś wiele przyjemności i satysfakcji projektując modele, zdobywając sobie w świecie mody pozycję i nazwisko. To było dla ciebie bardzo ważne, traktowałaś to jako wyzwanie. Wszystko, co osiągnęłaś, jest zdumiewającym sukcesem. Więc powinnaś być z tego zadowolona... – urwała w połowie, gdyż pomyślała, jak puste są słowa.

Ja i tylko ja sama wiem, co Christina poświęciła, ile naprawdę kosztowało ją stworzenie tego, co posiada. Zapłaciła wysoką cenę, straszliwą cenę. Właśnie dlatego teraz tak głęboko to przeżywa i nie może znieść, że Kyle wszystko odrzuca...

– Te ostatnie dwa tygodnie, mamo, były z powodu Kyle istnym piekłem – zauważyła Christina, trochę się już opanowawszy. – Ona

jest okropnie uparta. Zdumiewa mnie i wyprowadza z równowagi to, że jest taka nieubłagana. Nigdy nie miałam do czynienia z kimś takim jak ona.

Czyżby? – pomyślała Audra. Rzuciła córce zdziwione spojrzenie, ale powstrzymała się i nie powiedziała nic więcej. Nie była to odpowiednia pora na przypominanie dawnych zdarzeń. Cała rodzina i tak przeżywała nadmiar emocjonalnych wstrząsów.

– Zawsze byliśmy z Kyle dobrymi przyjaciółkami, jeszcze kiedy była dzieckiem – zwróciła się do Christiny stanowczym głosem, – To jest przyczyna, z powodu której zdecydowałyśmy, że powinnam z nią pojechać do Nowego Jorku. Tak czy inaczej, obiecałam, że spędzimy razem jutrzejszy dzień. Jestem pewna, że ona pragnie mi się zwierzyć, ja zaś więcej niż chętnie jej wysłucham.

– Ale *porozmawiasz* z nią również, prawda? To znaczy będziesz nie tylko słuchać. – I Christina nie czekając na odpowiedź dodała: – Ona liczy się z tym, co mówisz; chce być dla ciebie dobra i miła. Czy przemówisz jej do rozsądku, mamusiu?

Audra skinęła twierdząco i chociaż miała swoje obawy, to zdołała dodać przekonująco:

– Tak, zrobię to i, mam nadzieję, jakoś dojdziemy do ładu.

Po raz pierwszy od wielu dni Christina poczuła, że ciężar, jaki dźwigała, zelżał i jej zmęczone oczy rozjaśniły się. Nachyliła się ku matce i pocałowała zwiędły policzek, a potem położyła głowę na jej ramieniu.

– Mamusku, tak się cieszę, że tu jesteś – powiedziała. – Jesteś dla mnie taką pociechą i wiem, że tak jak zawsze doprowadzisz wszystko do porządku.

Mamusku – powtórzyła Audra w milczeniu. Przez lata była „mamą” lub „mamusią”. *Mamuska* – to był zwrot z dzieciństwa. Słyszac go teraz, po tylu latach, zadrzała. Wywoływał tak wiele wspomnień, a nie wszystkie z nich były dobre. Potem jednak ogarnęła ją radość; uczucie ciepła i miłości ścisnęło jej krtań, tak że przez moment nie mogła przemówić. Automatycznym ruchem głaskała włosy córki.

To święta prawda, że stare nawyki odchodzą z trudem – pomyślała pochylając się i całując czubek głowy Christiny. Ani pieniądze, ani pozycja społeczna, ani sława nie zmienią faktu, że jest to moja mała córeczka. I że nie mogę patrzeć, jak cierpi. Ale jest przecież i Kyle, moja jedyna wnuczka, której smutek i nieszczęście też są nie do zniesienia. Co za dylemat! Jak trudno balansować po cieniutkiej linii między nimi obiema. Dobry Boże, czy znajdę mądrość i siłę, aby pomóc każdej z nich, żadnej przy tym nie raniąc?

Zdając sobie sprawę, że córka ciągle oczekuje od niej odpowiedzi, Audra odsunęła od siebie dręczące ją pytanie i rzekła miękko:

– Christie, mogę tylko *spróbować* wyjaśnić pewne sprawy. Powiedziałam ci, gdy przyjechałam, że nie będę się opowiadać po żadnej stronie. Kyle w jednym ma rację: to jest *jej* życie i ona musi mieć prawo przeżywać je tak, jak uzna za właściwe.

– Tak, rozumiem, co masz na myśli – Christina wyprostowała się i odpowiedziała spokojnie. – Ale ona jest tak młoda i niedoświadczona, że nie może dobrze wiedzieć, czego chce. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Wstała i podeszła do drzwi wychodzących na taras, patrząc przed siebie. Po czym nagle odwróciła się i obrzuciła matkę przenikliwym spojrzeniem.

– Taka jednoznaczna rezygnacja z udziału w moim interesie jest nie tylko głupotą z jej strony, ale i brakiem odpowiedzialności. Czyż nie tak?

– Sądzę, że masz rację – musiała zgodzić się Audra. Pragnęła jednak bronić wnuczki, nie mogła więc nie dodać: – Mimo to Kyle jest dziewczyną nie tylko inteligentną, lecz także śmiałą i niezależną. Muszę ci powiedzieć, że, moim zdaniem, jest jak na swój wiek dojrzała i mądra – Audra zamilkła i pomyślała: Cóż, niech będzie, co ma być, powiem wszystko do końca. Zaczerpnęła tchu i skończyła w sposób bardzo stanowczy: – Chciałabym tylko, żebyś wzięła pod uwagę również *jej* potrzeby, *jej* pragnienia. Obiecuj mi, że to zrobisz.

Christinę to stwierdzenie matki zaskoczyło i zanim odpowiedziała, w pokoju przez chwilę panowała cisza. – Dobrze... tak... obiecuję.

Audra zwróciła uwagę na wahanie, z jakim córka złożyła obietnicę. Powoli i z namysłem stwierdziła:

– Kiedyś, dawno temu, powiedziałam ci, Christino, że dziecko jest ci tylko wypożyczone. Nie zapominaj o tym.

Christina wpatrywała się w matkę z jakimś dziwnym wyrazem twarzy. Otworzyła usta, jakby chcąc przemówić, ale zrezygnowała. Odwróciła się gwałtownie, patrząc na taras i rozważając słowa matki.

Audra odgarnęła z twarzy pasmo siwych włosów i usiadła znowu przyglądając się, czekając. Zobaczyła, że ramiona córki opadły w zniechęceniu, dostrzegła, że się zamyśliła.

Tak, Christina przypomniała sobie – pomyślała. – A ja powiedziałam już dość na dzisiaj. Lepiej będzie zostawić na razie sprawy w spokoju.

Trzymając się mocno poręczy kanapy Audra z trudem się podniosła, czując, że zmęczenie wreszcie ją zmogło.

– Myślę, że jednak odpocznę trochę przed kolacją – oświadczyła. – Może nawet spróbuję się przespać.

– Tak, tak, powinnaś to zrobić – zgodziła się Christina. Podeszła szybko do matki, objęła czule ramieniem i zaprowadziła do pokoju.

Pół godziny później Audra ku swej irytacji ciągle jeszcze nie spała. Nie mogła zasnąć, choć bardzo się starała. Christina przyszła z nią do gościnnego apartamentu, znajdującego się w dalszej części mieszkania, zaciągnęła zasłony na oknach, poprawiła poduszki i w ogóle wykazywała tyle troski, że Audra ze zniecierpliwieniem wyprawiła ją z sypialni. Chciała wreszcie być sama. Rozebrała się, włożyła szlafrok i z przyjemnością wyciągnęła się na łóżku. Bolały ją wszystkie kości, a po długiej podróży samolotem czuła się oszołomiona. W stawach rąk i nóg pulsował ostry ból wywołany artretyzmem. Kiedy jednak położyła

głowę na poduszce, jej umysł zaczął pracować ze zdwojoną siłą.

Przede wszystkim martwiła się, czy nie popełniła omyłki, przyjeżdżając do Nowego Jorku. Może słuszniej byłoby odmówić prośbie Alexa i zostawić ich samym sobie w rozgrywaniu tej batalii? Bo że to już jest batalia, tego była zupełnie pewna. A także próba sił. Christie będzie bardzo przeżywać i do końca pozostanie nieustępliwa. Kyle zaprze się nogami, chcąc wygrać za wszelką cenę. Stawka była tak wysoka, że zapewne żadna ze stron nie mogła zachować się inaczej. Do czego wszystko to doprowadzi? Najpewniej do katastrofy. Obie przecież nie mogą wygrać. A ta, która przegra, będzie rozgoryczona i urażona.

– Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby im pomóc w rozwiązaniu tego konfliktu – powiedziała do siebie Audra, ale od razu zrozumiała, że nie wie, co robić. Jeśli Alex, który postępował tak bardzo dyplomatycznie i miał dar przekonywania, nie był w stanie rozstrzygnąć tego sporu, to na pewno i ona nie zdoła wpłynąć na żadną z nich. Mimo to pomyślała z determinacją, że musi znaleźć jakiś sposób.

Z westchnieniem zmęczenia Audra otworzyła oczy stwierdzając, że nie jest jej sędzone zasnąć. Przestronna sypialnia emanowała spokojem, jak zawsze zresztą, gdy delikatne światło sączyło się przez zasłony. Biało-niebieska kolorystyka wnętrza, eleganckie umeblowanie i widoczny zewsząd komfort budziły w niej dobre samopoczucie. Ale dzisiaj go nie doznawała.

Audra wzdrygnęła się. Przez okno wdarł się wieczorny wietrzyk wiejący z East River. Ochłodziło się, w powietrzu pojawiła się jakaś ostra wilgoć, która zdawała się przenikać wszystkie kości. Z drżeniem naciągnęła na siebie kołdrę i sięgnęła po lekarstwo. Włożyła jedną tabletkę do ust i popiła wodą, przypominając sobie jednocześnie, że to dzisiaj już trzecia. Doktor ostrzegwał ją, by nie brała więcej niż cztery dziennie.

Czasem myślała o swoim artretyzmie, zastanawiając się, czy to jej ciężkie życie tak wpłynęło na obecny stan zdrowia. Doktor Findlay

twierdził, że nie, ale gdy myślała o tym nie kończącym się szorowaniu i sprzątaniu, praniu i prasowaniu, o wieloletnim nadludzkim wysiłku nie mogła mu wierzyć. Cóż, tamte czasy dawno minęły. Na starość życie ułożyło się jej znacznie lepiej.

Gdy odstawiła szklankę na stolik, jej spojrzenie zatrzymało się na fotografii stojącej obok niebieskiej, szklanej lampy. Odwróciła się na bok, oparła wygodnie twarz na dłoni i patrzyła w zamyśleniu na zdjęcie.

Wpatrywały się w nią trzy twarze: Christiny, Kyle i jej własna. Zdjęcie zostało zrobione latem ubiegłego roku w jej różanym ogrodzie w Yorkshire. Jakiż to był szczęśliwy dzień dla nich wszystkich... jej siedemdziesiąte urodziny. Pogoda była wspaniała, co uwieczniła kolorowa fotografia.

Po herbacie podanej na tarasie Alex nalegał, żeby zrobić to zdjęcie. „Aby uczcić okazję i pozostawić pamiątkę dla potomności” – jak twierdził ze śmiechem, ustawiając je obok siebie przy starym zegarze słonecznym, kilka kroków w prawo od jej najpiękniejszych herbacianych róż.

– Trzy pokolenia – wyszeptła do siebie. – A wcale nie wyglądamy na spokrewnione. Gdyby sędzić po powierzchowności, to mogłybyśmy być sobie obce. A jednak jesteście do siebie bardzo podobne, podobne wewnętrznie... Prawie pół wieku temu powiedziano mi, że mam niezłomną wolę, że jestem nieugięta i że kieruje mną ogromna wewnętrzna siła. Wtedy rozgniewało mnie to i zraniło. Ale to była prawda. I one odziedziczyły te cechy po mnie: moja córka i moja wnuczka. Kiedy Christina była dzieckiem, uczyniłam wysiłek woli, który nieodwracalnie zmienił nasze życie. A później Christina, już jako młoda kobieta, poszła moim śladem i dokonała aktu woli, który był równie ważki jak mój. Teraz przyszła kolej na Kyle, ona stoi przed podobną decyzją. I po tym, tak jak niegdyś, nasze życie nie będzie już takie samo jak poprzednio.

Audra gwałtownie usiadła.

– To ja jestem winna – powiedziała do siebie głośno i pomyślała:

Gdybym postąpiła inaczej, dziś wszystko byłoby inne. Wszystko, co dzieje się teraz, jest echem zdarzeń mojej młodości. *Przyczyna i skutek*: Każdy uczynek, jaki spełniamy, błahy lub znaczący, ma swoje nieuniknione konsekwencje. To jest jak rzucanie kamyków do stawu i przyglądanie się rozchodzącym się kręgom... coraz dalszym i dalszym.

Opadła z powrotem na poduszki i leżała, pozwalając sobie na wędrówkę myśli. Wszystkie skupiały się wokół Kyle.

Powoli ból w stawach dłoni i stóp zaczął ustępować, a ciało przykryte kołdrą rozgrzewało się. Wreszcie Audra zamknęła oczy. Tysiąc dziewięćset dwudziesty szósty rok – wspominała sennie – tak dawno temu... ale nie aż tak dawno, bym nie pamiętała, jaka ja byłam w wieku Kyle.

Audra

1926-1951

Rozdział pierwszy

Dzisiaj były jej urodziny.

Właśnie dziś, trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku, skończyła dziewiętnaście lat.

Audra Kenton stała przy oknie swego pokoju w szpitalu Fever, znajdującym się w Yorkshire w miasteczku Ripon. Pracowała tu jako pielęgniarka. Patrząc na ogród dostrzegła grę światła i cieni na trawniku, gdy promienie słońca przedzierały się przez korony dwu olbrzymich dębów rosnących przy kamiennej ścianie. Wiał lekki wiatr: liście drżały i szumiały, delikatnie migocząc zielonym lśnieniem. Było jasno i cicho, wydawało się, że jest to dzień, który jakby otwierał ramiona i zapraszał do wyjścia.

Z okazji urodzin przełożona dała Audrze wolne popołudnie. Problem polegał na tym, że dziewczyna nie miała dokąd pójść ani nie miała nikogo, z kim mogłaby spędzić ten czas. *Była bowiem zupełnie sama na świecie.*

Audra miała tylko jedną przyjaciółkę – Gwen Thornton, też pielęgniarkę, ale Gwen wezwano wczoraj do domu w Horsforth. Zachorowała jej matka i trzeba się było nią zająć. Już od tygodni Gwen załatwiała sobie zamianę na ten dzień, aby móc wyjść z Audrą i uczcić to wyjątkowe wydarzenie; miał to być bardzo niezwykły dzień. Teraz jednak wszystkie starannie obmyślane plany, obróciły się wniwecz.

Audra oparła głowę o futrynę okna i westchnęła, myśląc o tylu czekających ją samotnych i pustych godzinach. Nieoczekiwanie coś ściśnęło ją w gardle i poczuła łzy pod powiekami. Ogarnął ją smutek połączony z gorzkim rozczarowaniem. Po chwili jednak powstrzymała

wzruszenie i zdołała się opanować. Zdecydowanie odsunęła od siebie wszystkie negatywne emocje, nie miała bowiem zamiaru litować się nad sobą. Gardziła tym uczuciem u innych ludzi, uznając je za oznakę słabości. *Ona była silna.*

Zawsze mówiła jej o tym matka, a ona rzadko się myliła. Odwróciwszy się od okna, Audra podeszła do krzesła i ciężko na nim usiadła, ciągle zastanawiając się, co ze sobą zrobić.

Mogła, oczywiście, czytać albo wyszywać czy też wykończyć projekt bluzki, którą miała zamiar sobie uszyć, kiedy stać ją będzie na kupno materiału. Jednakże żadne z tych zajęć nie pociągało jej. Nie dzisiaj. Nie w dniu urodzin.

Tak bardzo czekała na okazję świętowania wraz z przyjaciółką, na te kilka bez troskich godzin przyjemności, których teraz miała tak mało. Nie bardzo było co świętować, a jakieś uroczyste okazje należały do przeszłości. W ostatnich kilku latach jej życie zmieniło się tak drastycznie, tak radykalnie, że z trudem rozpoznawała je jako swoje własne.

Przyszło jej w tej chwili na myśl, że zajęcie się jedną z tych codziennych czynności, które pomagały spędzać wolny od pracy czas, byłoby jeszcze gorszym wyjściem niż beczynne siedzenie na krześle. Wszystko to nie mogło zastąpić planów, które zrobiły obie z Gwen.

Audra przez długi czas uczyła się nie zwracać uwagi na pokój, w którym mieszkała w szpitalu. Ale teraz, widząc go w pełnym słońcu, boleśnie odczuła jego brzydotę i brak wygód. Urodzona w rodzinie ziemiańskiej, wprawdzie bardzo zubożałej, Audra była jednak dziewczyną z poczuciem dobrego smaku, starannie wychowaną. Miała wyraźne zainteresowania artystyczne, stąd też cała skromność spartańskiego urzędnika pokoju, ten typowy dla zakładów użyteczności publicznej kolor farby na ścianach, nagle rzuciły się jej w oczy ze szczególną wyrazistością. Wszystko tu raziło jej wrażliwość. Otaczające ją ściany były wymalowane posępnym szaro-beżowym kolorem, który przechodził w ciemną szarość linoleum pokrywającego podłogę. Żelazne łóżko, chybotliwy nocny stolik i komoda wyróżniały się nie tylko

tym, że były bardzo zniszczone, ale i swoim wyłącznie użytkowym przeznaczeniem. Pokój był zimny i smutny, nie do zniesienia o każdej porze, szczególnie jednak w to słoneczne popołudnie. Wiedziała, że musi uciec od jego przygnębiającej atmosfery chociaż na krótko i że nie ma znaczenia, dokąd pójdzie.

Spojrzenie jej padło na leżącą na łóżku sukienkę. Była nowa. Oszczędzała cały rok, odkładając szylinga tygodniowo, aby kupić sobie urodzinowy prezent.

Dwa tygodnie temu pojechały z Gwen do Harrogate w tym właśnie celu. Długo chodziły po mieście, głównie oglądając wystawy i podziwiając piękne rzeczy, które tam leżały i o których wiedziały, że nigdy nie będą mogły ich sobie kupić. Audra poczuła w sercu przypływ ciepłego uczucia dla przyjaciółki, gdy teraz przypomniwała sobie tamten dzień.

Gwen często zatrzymywała się przed wystawami sklepów jubilerskich, zmuszając Audrę do oglądania to jednego, to drugiego pięknego drobiazgu. Ciągle przy tym powtarzała: – Och, Audro, popatrz tylko na to! – wskazując to broszkę, to pierścionek, to wisiołek. W pewnej chwili mocno schwyciła ramię przyjaciółki i szepnęła z przejęciem:

– Czy widziałaś kiedyś coś tak wspaniałego jak ta bransoletka? Te kamienie tak błyszczą, że wyglądają jak *prawdziwe* brylanty. To coś dla ciebie, Audro. Byłoby ci w tym do twarzy. Wejdźmy... przecież oglądanie nic nie kosztuje.

Audra pokręciła przecząco głową i słabo się uśmiechnęła. Przypomniwała sobie biżuterię matki, w której każda najskromniejsza nawet sztuka była nieporównanie piękniejsza niż te prostackie imitacje.

Okrzyki zachwytu i natarczywe namowy Gwen trwały tak długo, że w końcu Audra zniecierpliwiła się i uspokoiła przyjaciółkę surowym spojrzeniem i ostrym słowem. Natychmiast jednak dostrzegła swą szorstkość i przeprosiła Gwen, tłumacząc jej któryś raz z rzędu, że *ona* nie może wydawać pieniędzy na błyskotki w rodzaju broszek i bransoletek, na ekstrawaganckie kapelusze i perfumy, to znaczy na wszystkie te rzeczy, których nieustannie pożądała Gwen.

– Wiesz przecież – dodała ze smutnym uśmiechem – że kupuję sobie tylko ubrania i to zawsze najbardziej *praktyczne*, jakie mogę znaleźć. Rzeczy, które dadzą się długo nosić.

A potem, nie więcej niż dziesięć minut po wypowiedzeniu tych słów, zobaczyła tę sukienkę w oknie butiku Madame Stelli. I natychmiast się w niej zakochała. Była to suknia przeznaczona wyłącznie na okazje towarzyskie – taki strzęp leciutkiego jak puch muślinu. Efektownie udrapowana na podstawie pośrodku wystawy była jedynym odzieżowym eksponatem. Obok leżały artystycznie rozrzucone akcesoria: kapelusz z szerokim rondem ozdobiony kwiatami i wielkim piórem, parasolka z szeleszczącą falbaną i trzy długie sznury pereł. Wszystko to w oczach Audry symbolizowało prawdziwą elegancję, przede wszystkim jednak sama suknia. Była całkowicie niepraktyczna, na pewno kosztowna i bardzo, bardzo piękna. Przypatrywała się jej długo, nie mając pojęcia kiedy, gdzie i czy w ogóle mogłaby ją włożyć, a jednocześnie pragnęła ją mieć.

Mimo wszystko jednak nie poddała się namowom Gwen, która natychmiast odczytała pragnienie wypisane na jej twarzy i otworzyła drzwi sklepu nalegając, by wejść i zapytać o cenę. Choć Audra wahała się i stanowczo odmawiała, Gwen nie miała zamiaru uznać się za pokonaną. Mocno ujęła przyjaciółkę pod ramię i Siłą wprowadziła do butiku.

Mimo iż obie domyślały się wysokiej ceny, to i tak osłupiały słysząc, że suknia kosztuje ponad trzy gwinee. Audra od razu zawróciła do wyjścia, ale uparta Gwen zatrzymała ją i, nim przyjaciółka zdołała się opamiętać, jakimś sposobem doprowadziła ją do przy mierzalni. Nie chcąc urządzać kłopotliwej sceny na oczach sprzedawczyni, Audra zgodziła się przymierzyć suknię.

Zachwycił ją jej kolor – czysty jasnoniebieski, przypominał grządkki ostróżek w High Cleugh. Gwen nie musiała jej przekonywać, że to wymarzona suknia dla niej. Audra widziała to sama w wielkim trój skrzydłowym lustrze.

Sama była zaskoczona swym wyglądem, gdy tego popołudnia przeglądała się w lustrze. Po raz pierwszy od kilku lat przyznała w głębi

duży, że wygląda naprawdę ładnie. Zazwyczaj bowiem określała siebie jako „nieładną Jane”, dziewczynę nie rzucającą się w oczy, i szczerze w to wierzyła. Ale przekonanie to było krzywdzące.

Audra Kenton nie była piękną w dosłownym znaczeniu, lecz nie była też brzydka ani nie rzucająca się w oczy. Należała do kategorii pośredniej, między tymi dwiema skrajnościami. W regularnych rysach twarzy był wyraz uporczywości. Akcentowały to zdecydowany podbródek i stanowczy zarys ust, które w uśmiechu stawały się piękne. Największymi jej walorami były nieskazitelnie gładka mleczna cera, lśniące jasnobrązowe włosy, które latem pobłyskiwały szczerem złotem, i śliczne oczy. Właściwie to one zwracały na nią uwagę. Duże, szeroko rozstawione, otoczone gęstymi, złotobrązowymi rzęsami i podkreślone regularnymi łukami brwi. W pamięci pozostawał jednak przede wszystkim ich kolor i to on skłaniał, by się lepiej przyjrzeć dziewczynie. Oczy jej były niebieskie takim głębokim błękitem, który wywoływał zdumienie.

Audra stojąc przed lustrem nie mogła nie zauważyć, jak błękit muślinu podkreśla barwę jej oczu. Zauważyła też, że powiewny materiał sukienki bardzo do niej pasował, eksponował jej urodę. Dziewczyna była niewysoka – pięć stóp i dwa cale; ten niski wzrost był dla niej źródłem ciągłej irytacji. Jednak mimo to była bardzo proporcjonalnie zbudowana; prosty krój sukni podkreślał jej zgrabną figurę. Krótka, rozkloszowana, faliście układająca się spódnica ukazywała jej kształtne nogi.

Tak więc w końcu, po chwili niezdecydowania ze względu na cenę i po zakłopotanych szeptach z Gwen, kupiła tę sukienkę. Aby wyłożyć na nią trzy funty i trzy szylingi, Audra musiała wydać całą swoją gotówkę i pożyczyć funta od Gwen.

– Nie bądź taka ponura – szepnęła Gwen, gdy sprzedawczyni zajęta była pakowaniem. – Jest warta tej ceny, a poza tym najwyższy czas, żebyś kupiła sobie coś ładnego.

Audra nie miała najmniejszej wątpliwości co do tego, że sukienka była najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek posiadała. Myśląc o tym przypominała sobie inny dzień, kiedy też przyjechała na zakupy do

Harrogate – z matką i wujem Peterem. Było to w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym, zaraz po powrocie wuja z wojny. Miała dwanaście lat i wuj kupił jej strojną, różową sukienkę, która zachwyciła ją tak samo, jak teraz ta niebieska.

Gdy opuścili butik Madame Stelli, Audra opowiedziała Gwen o tamtej wyprawie, o ślicznej, różowej sukience i o swoim dawnym życiu, a przyjaciółkę rozpieszała ciekawość, którą wyrażała zadając mnóstwo pytań. Audra, bardzo powściągliwa z natury, odpowiedziała na niektóre z nich, nie chcąc dotknąć Gwen swą skrytością. Później, wzięwszy się pod rękę, udały się na powolną przechadzkę po Wybiegu – rozległej łące usianej różnobarwnymi kwiatami, która wyglądała jak wspaiały dywan rozłożony w cieniu drzew. A jeszcze potem Gwen namówiła ją, aby poszły do Café Betty, eleganckiej herbaciarni na Promenadzie, i tam wspaiałomyślnie uregulowała rachunek, gdyż Audra była bez grosza. Zgodnie z obietnicą daną w butiku, pożyczyla jej również pieniądze na bilet do Ripon. Audra znowu dziękowała losowi za to, że postawił na jej drodze taką przyjaciółkę jak Gwen.

Pod koniec całodzienniej wycieczki, spiesząc się do przystanku autobusowego, przeszły obok pawilonu Palm Court, w którym każdego dnia w porze popołudniowej odbywały się dancingi. Wszyscy wiedzieli, że to było najmodniejsze miejsce w mieście, gdzie przy dźwiękach orkiestry Stana Stanton, zwanej Syncopated Strollers, miejscowa elita tańczyła tanga i fokstroty.

Obie młode kobiety od tygodni miały wielką ochotę odwiedzić Palm Court. Gwen, która nauczyła się od brata tańczyć charlestona, w wolnych chwilach pokazywała go Audrze, aby obie były gotowe na tę wielką okazję. Audra była zdumiona i podniecona, gdy Gwen obwieściła, że pójdą na tańce do Palm Court w dniu jej urodzin. Mówiąc to dodała: „To będzie mój prezent urodzinowy dla ciebie; włożysz swoją nową suknię i wszyscy będą ci się przyglądać i cię podziwiać”.

Gdy wracały do Ripon autobusem, obie z niecierpliwością liczyły godziny dzielące je od tego dnia.

Teraz jednak nie może liczyć na żadną wyprawę do Harrogate ani popołudniowe tańce w Palm Court. Nikt też nie będzie podziwiał jej nowej sukni. Audra westchnęła. Wcześniej planowała nałożyć ją po prostu dla własnej przyjemności, chociaż nie była zbyt pewna dokąd mogłaby pójść sama. Dziś jednak zmieniła zdanie.

Była osobą bardzo praktyczną i dlatego uświadomiła sobie, że nie warto ryzykować zabrudzenia czy zniszczenia nowej sukni.

Znacznie rozsądniej będzie ją zachować na inną specjalną okazję, a taka na pewno nadarzy się w przyszłości, zwłaszcza jeśli ma się taką przyjaciółkę jak Gwen – myślała. – Być może pójdziemy na przyjęcie w ogrodzie, które w sierpniu organizuje kościół; we wrześniu zaś będą urodziny Gwen. To też musimy uczcić. Tak, na pewno coś się zdarzy – upewniała samą siebie i jej wrodzony optymizm znowu zatriumfował, jak zresztą zawsze.

Audra miała niezwykle pogodne usposobienie i łagodny charakter. Te właśnie cechy, połączone z silną wolą i inteligencją, ratowały ją w przeszłości. To one pomagały jej radzić sobie ze wszystkimi problemami i podejmować właściwe decyzje. Nigdy nie dopuszczała do tego, by kłopoty dręczyły ją zbyt długo; zawsze próbowała je rozwiązać w sposób dla siebie korzystny. A gdy to okazywało się niemożliwe, starała się nimi zbytnio nie przejmować.

Teraz wstała, wzięła niebieską suknię z łóżka i powiesiła do szafy. Potem zdjęła pasiasty, biało-niebieski strój pielęgniarki i zaczęła przeglądać swoje rzeczy, zastanawiając się, co będzie najbardziej odpowiednie na spacer po wiejskiej okolicy.

Choć jej garderoba nie należała do drogich, to była dobrej jakości. Audra odznaczała się schludnością i dbała o swoje ubrania. Ze względów oszczędnościowych wszystkie letnie rzeczy szyła sobie sama. Były to głównie sukienki z cienkich materiałów w ciemnych kolorach. Jej praktyczny umysł podpowiadał, że będą się nosić dłużej niż te z jasnych. Teraz wybrała granatową, bawełnianą sukienkę o obniżonej

talii, z marynarskim kołnierzem wykończonym białą wypustką. Do tego włożyła czarne lakierowane czółenka na płaskim obcasie.

Nagle Audra pomyślała o Gwen. Jaka ze mnie egoistka! – zganiła się. – Siedzę tu i martwię się o swoje urodziny, podczas gdy Gwen pielęgnuje chorą matkę. Audra chciała pojechać do Harrogate i pomóc przyjaciółce, ale była to zbyt daleka podróż, by odbyć ją w jedno wolne popołudnie. Pomyślała teraz, że biedna Gwen na pewno wali się z nóg, a do tego martwi się o matkę. Wnet jednak twarz jej pojaśniała, gdy wygładziła starannie kołnierz i okręciła się na pięcie, aby lepiej się obejrzeć w małym lusterku stojącym na komodzie. Ojciec Gwen był lekarzem, a jej brat studiował medycynę na uniwersytecie w Leeds. Pani Thornton była więc w dobrych rękach. Wkrótce znowu będzie zdrowa, a Gwen wróci do pracy w szpitalu.

Idąc korytarzem Audra uświadomiła sobie, że naprawdę przywiązała się do swej przyjaciółki. Odkąd rok temu Gwen rozpoczęła pracę w szpitalu, jej życie zmieniło się na lepsze, stało się znośniejsze. Dotychczas bowiem żadna z pielęgniarek nie próbowała się z nią zaprzyjaźnić. Audra wiedziała, że główną przyczyną było jej pochodzenie, jej manierę i kulturalny sposób wystawiania się.

Inne pielęgniarki uważały, że jest wyniosła i niedostępna, ale tak wcale nie było. To nieśmiałość izolowała ją od otoczenia, powstrzymywała przed zrobieniem pierwszego kroku, by się z kimś zaprzyjaźnić.

Wesoła, gadatliwa, szczęśliwa Gwen instynktownie chyba to wyczuła i nie zwracała najmniejszej uwagi na rezerwę Audry. Wybrała ją spośród innych dziewcząt na swą przyjaciółkę i z uporem dążyła do zburzenia tego muru, który Audra zbudowała wokół siebie. W ciągu tygodnia od zawarcia znajomości stały się nierozłączne.

Nie wiem, co bym zrobiła bez Gwen – pomyślała Audra, zatrzymując za sobą drzwi szpitala. – Ona jest jedyną na świecie bliską mi osobą.

Rozdział drugi

Wcale nie miała zamiaru pójść do High Cleugh. Ale zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi, już tam prawie doszła.

Wychodząc ze szpitala, Audra nie myślała o pójściu w jakimś określonym kierunku. Szła drogą prowadzącą do Sharow i Cope Hewick – dwu małych wiosek leżących w pobliżu Ripon.

Nie było żadnego szczególnego powodu, aby pójść właśnie tam, jak tylko ten, że były ładnie położone – droga wiła się malowniczo, a cała okolica miała o tej porze roku niezwykle idylliczny wygląd.

Doszedłszy do Cope Hewick, Audra powoli wędrowała wybrukowaną kamieniami główną ulicą i rozmyślała, jak dobrze utrzymane są niektóre ogródki i jak ładnie wyglądają w to gorące, czerwcowe popołudnie. Malutkie ogródki przed domami mieniły się nasturcjami, jaskrami i daliami; spoza starannie wyczyszczonych szyb prześwitywały białe, tiulowe firanki. Każdy próg był świeżo wyszorowany, każdy stopień miał żółte obrzeże.

Spoglądając przed siebie, na Blackmoor Inn, Audra dostrzegła, że i pub został odnowiony. Białe ściany i czarne okiennice pokrywała świeża warstwa farby i nawet wiszący nad wejściem szyld wydawał się artystycznie ozdobiony kilkoma barwnymi plamami.

Przy pubie Blackmoor, który stał na skrzyżowaniu kilku dróg, Audra zawahała się, rozważając, czy pójść główną szosą wiodącą do Boroughbridge, czy też zwykłą drogą prowadzącą do Newby Hall i Skelton. Wybrała tę drugą, choć nie doszła nią do samego końca. Zamiast tego, w połowie drogi skręciła na prawo w wąską ścieżkę, z obu stron obrzeżoną kamiennym murkiem.

Jednak po kilku krokach gwałtownie się zatrzymała, gdyż uświadomiła sobie, dokąd zmierza. Na wpół odwrócona chciała pójść z powrotem, gdy poczuła, że nie jest w stanie tego zrobić.

High Cleugh przyciągał ją do siebie, jak potężny magnes. Przy każdym kroku Audra powtarzała sobie, że popełnia błąd, że naraża się na ból, rozdrapuje rany, szczególnie zaś w dniu takim jak dzisiejszy, i pomimo to szła dalej, niemal wbrew swojej woli.

Kiedy doszła do końca długiej, krętej ścieżki, przestała się troszczyć, czy postępuje głupio czy też nie. Wiedziała tylko, że pragnie znowu spojrzeć na miejsce, które kochała ponad wszystkie inne. Już i tak zbyt długo tu nie przychodziła.

Wdrapała się i przeszła przez przełaz w ścianie, zeskoczyła na pastwisko i pobiegła przed siebie po wysokiej trawie, która chwiała się i falowała jak wzburzone, zielone morze w podmuchach lekkiego, ciepłego wiatru. Nieoczekiwanie na jej drodze znalazła się para leniwych krów, więc ominęła je, ciągle idąc naprzód. Młoda twarz wyrażała oczekiwanie, długie włosy rozwiewały się w pędzie.

Audra nie zwolniła kroku, dopóki nie dotarła do wielkiego platanu, rosnącego na końcu pastwiska. Tutaj schyliwszy się weszła pod rozłożyste gałęzie, tworzące zielony baldachim zakrywający niebo. Przywarła ciałem do pnia, przytuliła doń twarz i zamknęła oczy. Brakowało jej tchu – ciężko dyszała z wysiłku.

Po kilku chwilach zaczęła oddychać spokojniej. Powoli przesunęła dłońmi po pniu drzewa. Gdy poczuła pod palcami szorstkość kory, uśmiechnęła się do siebie. To było jej drzewo. Jej miejsce.

Nazwała je Miejscem Pamięci, bo tym właśnie było – miejscem do wspominania o *nich*, do przypominania przeszłości, radości i szczęścia, które kiedyś były jej udziałem.

Często przychodzili tu razem. Jej matka i jej bracia – Frederick i William. I wuj Peter. Teraz, gdy znowu stała przy drzewie, oni także byli z nią i smutek oddalił się na krótką chwilę.

Audra otworzyła oczy, mrugając powiekami w chłodnej, zielonej ciemności platanowego cienia, a potem wyszła spod gałęzi. Obeszła drzewo dokoła i doszła do skraju małego zbocza, schodzącego w dół do brzegu rzeki Ure, kilka stóp niżej miejsca, w którym stała. Wreszcie

podniosła głowę i spojrzała ponad wąską wstążką rwącej w dole wody na zalesioną aleję po drugiej stronie rzeki. On tam był, wtulony w naturalnie ukształtowaną dolinkę pomiędzy drzewami.

High Cleugh.

Mały, lecz bardzo ładny stary pałacyk, gdzie się urodziła dziewiętnaście lat temu. Dom, w którym rosła, w którym przeżyła najlepszą część swego życia. Jej ukochany dom, który opuściła pięć lat temu.

Wpiła weń wzrok, jak zawsze zdumiona prostotą i wytwornością domu, które czyniły go w jej mniemaniu szczególnie pięknym i pociągającym.

High Cleugh był osiemnastowieczną budowlą – niską i długą, niezwykle symetryczną, co nadawało jej swoistej urody i elegancji. Dom zbudowano z miejscowego szarego kamienia; szyby okienne były umocowane w ołowianych ramach, które teraz pobłyskiwały w słońcu. Wzdłuż frontowej fasady biegł kamienny taras przecięty pośrodku długim pasmem schodów biegnących w dół po trawnikach aż do rzeki. Rabaty bylin, szerokie i rozległe, leżały przy ścianach tarasu, tworząc jaskrawe plamy na tle ciemnego kamienia i zielonej trawy.

Ale w oczy rzucała się przede wszystkim mnogość ostróżki ogrodowej, *delphinium*. Kwitła bujnie w dolnej części trawnika przy samej rzece, a jej kwiaty pokrywały ziemię jak wspaniałe dywan w wielu odcieniach błękitu. Błękit kobaltowy przechodził w szarawą niebieskość tak delikatną, że prawie białą, a potem ciemniał do barwy chabrów i pysznego niebiesko-fioletowego odcienia, który znowu ocierał się o czerwono-fioletowe barwy belladony.

Ostróżki matki... sadzone z taką troskliwością przez całe lata. Serce Audry ścisnęło się słodko-gorzka mieszaniną radości i bólu. Jakże pragnęła znaleźć się znowu w tym ogrodzie! Jak łatwo byłoby przemknąć się na drugą stronę rzeki. Wystarczyło tylko pójść brzegiem aż do miejsca, gdzie wielkie, płaskie głazy, wygładzone przez płynącą wodę i czas, leżały w płytkiej wodzie i prowadziły wprost do zagajnika obok pałacyku.

Ale nie mogła zbliżyć się do High Cleugh. Gdyby to zrobiła, byłoby to naruszeniem praw własności. Teraz mieszkała tu jakaś inna rodzina, obcy ludzie.

Usiadła więc na miękkiej trawie i podciągnęła kolana pod brodę. Przez długi czas wpatrywała się w dom naprzeciwko.

Nie było widać w nim żadnych oznak życia. Zdawał się drzemać w promieniach słońca, jakby nikt tam nie mieszkał. Spokój panował też w znieruchomiłym ogrodzie. Nie drgnęło ani jedno źdźbło trawy, ani jeden liść się nie poruszył. Wiatr ucichł, a powietrze stało się ciepłe i sennie. Nie słychać było żadnych dźwięków oprócz słabego brzęczenia pszczoły gdzieś w pobliżu, plusku wody omywającej kamienie.

Wysiliła wzrok jeszcze bardziej. Teraz już „przenikała” przez zewnętrzne ściany domu. Zamknęła oczy i oddała się całkowicie we władanie wyobraźni, i przypominała... przypominała.

Była w domu.

Stała w hallu o ścianach w kolorze morelowym, z ławą pokrytą wytartym, zielonym pluszem i palmą w mosiężnym wiaderku. Wszystko było zacienione, nieruchome. Przez chwilę przysłuchiwała się tej ciszy, a potem ruszyła naprzód; kroki rozlegały się metalicznym echem, gdy stąpała po marmurowej posadzce. Powoli wspinała się po schodach skręcających w górę zgrabnym wygięciem. Zatrzymała się na pierwszym podejściu. Tu znajdował się jej pokój. Weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi i odetchnęła z przyjemnością.

Otaczały ją ściany w znanym jasnozielonym kolorze, które zawsze przypominały jej o morzu w lecie w mglisty yorkshirski poranek. Wypastowana drewniana podłoga lśniła pod stopami jak szkło, gdy podchodziła do swego łóżka. Wyciągnęła rękę dotykając wyszytych na starej kapie tulipanów; przesunęła czubkami palców po brzegach niegdyś czerwonych płatków. Teraz słońce i pranie zmieniło ich kolor na rdzawy. W jej pudle z farbami nazywano go czerwono-brązowym.

Podeszła do okna i spojrzała przed siebie; usłyszała łopot firanek poruszanych przez wiatr. Zapach goździków nappełniał letnie powietrze. Odwróciła głowę i zobaczyła całą chmurę różowych płatków w niebieskiej wazie stojącej na komodzie. Po chwili zapach znikł, a jego miejsce zajął inny, mocniejszy. To październikowe róże podnosiły swe żółte rozkwitłe główki nad brzegów wazy, kontrastując z jej błękitem. Teraz była jesień, pora zbierania plonów.

Jak dobrze pamiętała zmiany pór roku w tym domu...

Powietrze się ochłodziło. Na kominku trzaska ogień. Czuje na twarzy ciepło płomieni. Na szybach osiadają płatki śniegu. Ogrody wyglądają jak oblane białym lukrem.

Nie jest już sama.

Dobiegł ją śmiech matki i szelest jedwabnej sukni, kiedy podeszła do kominka. Piękna Edith Kenton. Tak właśnie zawsze o niej mówiono.

Na szyi matki, na pięknych białych ramionach lśniły szafiry. Błękitne płomienie na przezroczystej skórze. Włosy koloru nowych miedzaków, aureola światła dokoła bladej, trójkątnej twarzy. Policzka Audry dotknęły ciepłe, kochające wargi. Zapach gardenii i pudru Coty'ego. Szczupła, wytworna matczyną dłoń ujęła jej rękę i wyprowadziła z pokoju.

W hallu czekali Frederick i William; gdy schodziły po schodach, zaczęły śpiewać kolędy. Halaśliwi, kochający bracia i czuli synowie. Za nimi, przy drzwiach do salonu, stał wuj Peter. Ogarnął ją swym uśmiechem i wprowadził wszystkich do pokoju.

Stała w osłupieniu.

Tego wigilijnego wieczoru pokój nabrał jakiejś magicznej mocy. W przytłumionym, złotym świetle jego spłowiła elegancja nabrała dziwnie nowego blasku. Na malej jodełce paliły się świeczki. Na kominku z trzaskiem płonęły polana. Gałązki ostrokrzewu zdobiły gzyms kominka, wyglądały zza ram obrazów, zwisały nad oknami wielkimi, przystrojonymi wstążką kiściami. U kryształowego żyrandola zawieszono jemiołę. Łańcuchy z barwnej bibułki krzyżowały się pod sufitem. Powietrze przepęlniały nowe, nieznanne aromaty. Wyczula zapach

sosnowych szyszek, palącego się drzewa i ajerkoniaku, pieczonej soczystej gęsi z kasztanami.

Wszyscy zgromadzili się przy kominku.

Śpiewali kolędy i pili ajerkoniak z małych kryształowych szklaneczek, obierali parujące kasztany z popękanych skorupki. Cały dom rozbrzmiewał śmiechem.

Z kominka zwisały trzy czerwone pończochy... Rozwiązali je... ona, Frederick i William. W jej pończosze były prawdziwe skarby. Pomarańcza, jabłko, torebka orzechów i nowiutki pens zawinięty w kawałek jedwabiu, woreczek kwiatowego pot-pourri, pachnące mydło i długa wstążka do warkoczy. I jeszcze pudełko egipskich daktyli, woda lawendowa i tomik wierszy z podpisem „Edith Kenton” na okładce. Drobiazgi, które kosztowały niewiele, ale dla niej były bezcenne.

Dookoła domu leżały śnieżne zaspasy.

Mokry śnieg i ostry wiatr uderzały o szyby i pod ich znakiem rozpoczął się nowy rok. Zniknęły świąteczne dekoracje. Bez dźwięcznego śmiechu matki dom był cichy i pusty. Nadeszła pora kolejnego wyjazdu wuja Petera. Audra widziała smutek na jego twarzy, a oczy matki, niebieskie jak szafiry, które nosiła, lśniły od łez...

Twarz Audry była mokra od łez... nie wiedziała, kiedy zaczęła płakać. Wyprostowała się i dyskretnie wytarła oczy, odwracając wzrok od High Cleugh.

Położyła się i wtuliła twarz w chłodną, słodko pachnącą trawę, a potem mocno zacisnęła powieki, bo znowu do oczu napłynęły łzy. Teraz już nie starała się ich powstrzymać, zamiast tego pozwoliła sobie na luksus płaczu.

Pląkała nad tymi, których utraciła, nad przeszłością i nad tym, co było niegdyś i przeminęło.

W końcu łzy przestały płynąć. Leżała bez ruchu wpatrując się w jasny błękit nieba, z roztargnieniem śledząc wędrówkę pierzastych obłoków, wspominając swą ukochaną rodzinę i wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie kilka lat.

Rozdział trzeci

Ojciec był dla Audry postacią raczej mglistą.

Zmarł w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku, kiedy miała zaledwie dwa lata, dlatego pamiętała go słabo.

Ale obraz matki, Fredericka i Williama był wyraźny i ostry. Widziała ich, jakby stali nad nią i spoglądali, jak leży w trawie. Również obraz wuja Petera był niezatarty w jej sercu. Jakże nieubłaganie ich losy splótły się z jego życiem.

Peter Lacey zmarł w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku, będąc jeszcze młodym człowiekiem. Jako oficer armii brytyjskiej walczył we Francji podczas pierwszej wojny światowej. Tam też padł ofiarą gazu bojowego w bitwie nad Sommą, który tak poważnie uszkodził mu płuca, że już nigdy nie odzyskał zdrowia i wkrótce umarł. Tak przynajmniej w owym czasie mówiono.

Matka Audry, piękna Edith Kenton, była niepokieszona. Zmarła w niespełna rok po nim, w lipcu roku tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego. Miała trzydzieści siedem lat.

Frederick, starszy brat Audry, powiedział, iż śmierć matki spowodował atak serca, lecz ona sama później zrozumiała, że chodziło tu raczej o złamane serce. Audra była przekonana, że matka zmarła z tęsknoty za Peterem Laceyem. Gdy dorosła, zrozumiała też znacznie lepiej charakter łączących ich więzi. Byli po prostu kochankami. Teraz już nie miała co do tego wątpliwości.

Jako dziecko Audra nigdy nie kwestionowała jego obecności. Był ich wujem Peterem, dalekim krewnym ojca, kuzynem trzeciego stopnia, tak jej to objaśniono, i przebywał z nimi od tak dawna, jak tylko sięgała pamięcią.

Kiedy ich ojciec, Adrian Kenton, zmarł na suchoty, wuj Peter stał się jeszcze częstszym gościem, nierzadko pozostając z nimi w High Cleugh przez tydzień lub dwa. Ponieważ prowadził interesy w Londynie, wyjeżdżał tam regularnie, ale nigdy nie był nieobecny w High Cleugh przez dłuższy czas. A kiedy wracał – czy to na kilka dni, czy

na dłużej – nigdy nie przyjeżdżał z pustymi rękami. Zawsze przywoził dla wszystkich prezenty.

– Czy to nie cudowne, jak wuj Peter dba o nas? – powiedziała kiedyś do Audry matka. – Obawiam się, że jestem dla niego ciężarem. To taki zajęty człowiek... ale bardzo dobry i hojny. Niezwykle troskliwy. *Życzy sobie* troszczyć się o mnie, o ciebie i twoich braci. Obstaje przy tym i nie chce słyszeć o niczym innym. – Edith westchnęła, a potem uśmiechnęła się leciutko. – Był bardzo przywiązany do waszego ojca. Z tego właśnie względu wziął nas pod swoją opiekę.

Ale nie chodziło tu wcale o przywiązanie do ojca, lecz ten fakt Audra uświadomiła sobie później. To uwielbienie dla matki było przyczyną tego, że Peter Lacey stał się ich dobroczyńcą i opiekunem.

Gdy Audra zrozumiała istotę łączących ich więzi, zaakceptowała je i nigdy w swym sercu nie ganiła ani nie obwinała matki czy wuja. Kochali się bardzo. Peter kochał też osierocone dzieci Edith, zachowywał się w stosunku do nich jak ojciec. Zajął się rodziną Kentonów najlepiej jak umiał i jak mu na to pozwalał stan majątkowy. Gdzieś tam była żona i dwoje dzieci – chłopiec i dziewczynka. Gdyby nie to, Edith Kenton i Peter Lacey pobraliby się.

Audra i William nie rozumieli całej sytuacji, gdy żyli matka i Peter Lacey. Później Audra zaczęła się zastanawiać, czy Frederick coś podejrzewał. Był przecież najstarszy. Miał siedemnaście lat, kiedy zmarła Edith, a William piętnaście. Audra niedawno obchodziła swe czternaste urodziny.

Młodzi Kentonowie byli oszołomieni i wstrząśnięci nieoczekiwaną śmiercią matki, nie mogli w nią uwierzyć. Wszystko stało się tak nagle. A wkrótce potem, kiedy trumnę spuszczonego do mogiły, doznali drugiego strasznego wstrząsu.

Byli tak szokowani, że stracili mowę – dowiedzieli się bowiem, że Edith Kenton nie pozostawiła im ani grosza; że nie tylko nie mieli pieniędzy, ale i dachu nad głową. High Cleugh, wbrew ich przekonaniu, nie należał do nich. Jeśli chodzi o ścisłość, nie był też własnością ojca. Ojciec wynajmował jedynie posiadłość od właściciela – Petera

Laceya. Peter zaś pozwolił tu mieszkać Edith i jej dzieciom – za darmo – od tysiąc dziewięćset dziewiątego roku.

Najwidoczniej jakiś kodycył w testamencie chronił Edith i po jego śmierci, ale nie ich. High Cleugh miał być jej domem do końca życia; po jej śmierci winien wrócić do spadkobierców. Również renta, którą matka otrzymała od Petera Lacey, kończyła się wraz z jej śmiercią.

Dla nich nie było osobnego zabezpieczenia najprawdopodobniej dlatego, iż Peter Lacey nie przewidywał, że ich matka umrze tak młodo. Ona również o tym nie pomyślała, by zostawić testament.

Wszystko to powiedziała osieroconym dzieciom kuzynka matki, Alicja Drummond. Zabrała ich do swego domu, zwanego Grange, po pogrzebie i nabożeństwie w kościele św. Mikołaja. Wprowadziła ich do biblioteki, bardzo posępnego pokoju pełnego cieni, smutnych obrazów i ciężkich wiktoriańskich mebli. Tam też później miano podać herbatę. Mąż ciotki Alicji, wuj Percival, jej córka Winifreda i jej matka – cioteczna babka Frances Raynolds, byli na pogrzebie i mieli później zjawić się na herbacie.

Aczkolwiek młodzi Kentonowie serdecznie nie znosili Drummondów, żywili pewną sympatię do ciotecznej babki Frances, która zawsze przejawiała wyjątkowe przywiązanie do Edith, jedynej swej siostrzenicy, i do jej dzieci. Teraz więc automatycznie skierowali się ku sofie, przy której stało jej krzesło. Usiedli rzędem obok siebie. Tworzyli zwarte trio; w niedzielnych ubraniach z czarnymi żałobnymi opaskami, siedzieli sztywni i opanowani. Jakimś sposobem udało im się ukryć swój ból i zachować twarze bez wyrazu.

Ciotka Alicja naląła herbatę ze srebrnego czajnika do delikatnych filiżanek z chińskiej porcelany, które roznosiła pokojówka, potem zaś podano tacę kanapek i ciasto. Kentonowie jednak nie mogli niczego przekłnąć.

Kiedy ciotka Alicja przekazała im wiadomość o ich ubóstwie, Audra pierwsza przerwała milczenie.

– Więc co się z nami stanie? Czy zostaniemy oddani do przytułku?
– spytała cichym, lecz dziwnie spokojnym głosem, wpatrując się w

Alicję Drummond przenikliwym spojrzeniem.

Cioteczna babka, zaskoczona, zawołała:

– Oczywiście, że nie, drogie dziecko! – i poklepała pocieszająco Audrę po ręce. Była znacznie miłsza niż jej córka, toteż dodała łagodnie: – Ja jestem zbyt stara, żeby wziąć was do siebie. Ale będziecie wszyscy mieszkać tutaj. Wasza ciocia Alicja i wuj Percival wspomniałomyślnie ofiarowali wszystkim trojgu dom i opiekę.

Dzieci, pozbawione jakichkolwiek innych żyjących krewnych, zmuszone były przyjąć tę propozycję. Jednak już po kilku dniach pobytu w Grange zdali sobie sprawę, jak bardzo źle się tu czują. Wielki, wiktorjański pałac był tak samo zimny i odpychający, jak Alicja Drummond, która była snobką, bigotką, kobietą chciwą i podstępną. Dom funkcjonował według rygorystycznych zasad – panowała tu przygnębiająca i nieprzyjemna atmosfera, jedzenie było, w najlepszym razie, skromne. Kentonowie, wychowywani w miłości i swobodzie przez kobietę, która również świetnie gotowała, byli zaszokowani sposobem życia Drummondów.

Tydzień po pogrzebie Edith Kenton część mebli i inne przedmioty z High Cleugh zostały sprzedane na aukcji w Ripon, aby pokryć koszty pogrzebu i nie spłacone długi. W każdym razie ciotka tak oznajmiła dzieciom. Najlepsze meble, kilka dobrych obrazów i trochę srebra zostało przewiezione do Grange przez Alicję Drummond, która wyjaśniła im, że z radością przechowuje to wszystko u siebie, dopóki nie dorosną.

Brzmiało to rozsądnie i w pełni trafiło do przekonania Frederickowi i Williamowi, Audra jednak, która była dużo bystrzejsza od braci, nie ufała ciotce. Nieufność ta wzrosła, gdy kilka dni później dostrzegła, że rzeczy matki zaczęły się pojawiać w różnych miejscach domu. Tak więc wieczorem, kiedy wszyscy udali się na spoczynek, Audra poszła na palcach do pokoju braci, zbudziła ich i, skuliwszy się w nogach łóżka Fredericka, wyłożyła im swoje troski. Stwierdziła, że powinni zrobić spis wszystkich należących do matki przedmiotów, znajdujących się teraz w domu ciotki.

William, który wiedział, że Audra jest od nich inteligentniejsza, zgodził się z tym od razu. Ale Frederick pobladał z obawy, że zostaną wyrzuceni z Grange, jeśli popełnią jakiś nietakt.

– Ona się na nas obrazi – szepnął. – Nie możemy tak postąpić, Audro. To by sugerowało, że jej nie wierzymy i że posądzamy ją o nieuczciwość.

Audra nie słuchając jego sprzeciwu, wycodziła przez zęby:

– Jestem pewna, że ona taka jest, dlatego musimy to zrobić. Po to, by się zabezpieczyć. A co z biżuterią mamy?

Przede wszystkim z szafirami? Czy ona też je ma, Fredericku?

Frederick gwałtownie pokręcił głową:

– Nie, nie ma, jestem tego absolutnie pewien. Ale one zniknęły. Na próżno szukałem ich wszędzie w dzień po śmierci mamy. Kiedy przeszukiwałem szuflady w jej pokoju, przypomniałem sobie, że nie nosiła ich od śmierci wuja Petera. Sądzę, że musiała je sprzedać, a pieniądze prawdopodobnie poszły na nasze utrzymanie. To jedyne możliwe wyjaśnienie.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? – zapytała Audra cicho, lecz gwałtownie, rzucając mu spojrzenie pełne wyrzutu.

– Dlatego, że nie chciałem cię martwić – odszepnął Frederick, a potem dodał: – Ale ciotka Alicja ma inną biżuterię mamy. Wzięła szkatułkę ode mnie... aby była bezpieczna, jak mi powiedziała.

Aczkolwiek Audra solennie obiecała Frederickowi, że nie zrobi nic nieprzemyślanego, by nie narażać ich na gniew ciotki, to jednak zdecydowała postawić na swoim w sprawie inwentaryzacji rzeczy matki. Nie bała się Alicji Drummond, ale po przemyśleniu sytuacji uznała, że rozsawniej będzie poczekać z podjęciem tej kwestii na właściwy moment. Ten zaś nadarzył się znacznie prędzej, niż przypuszczała.

Jeszcze w tym samym tygodniu, w niedzielę, cioteczna babka Frances powróciła wraz z nimi z kościoła, by zostać na lunchu. I to właśnie starsza pani mimowolnie stworzyła Audrze znakomitą okazję. Cała rodzina siedziała w mrocznej, przygnębiającej bibliotece, gdzie wuj

Percival ostrożnie rozlewał sherry dla dorosłych. Nieoczekiwanie cioteczna babka zaczęła mówić o biżuterii Edith Kenton.

– Myślę, że nasza Audra jest dostatecznie duża, by mieć jakąś pamiątkę po matce – powiedziała ni stąd, ni zowąd. – Może tę broszkę z kameą. Alicjo, bądź tak dobra i przynieś szkatułkę z biżuterią Edith.

Ciotka Alicja, skrywając niechęć i zaciskając wargi, zrobiła, o co ją poproszono.

Starsza pani wyjęła broszkę z kameą i ciepło uśmiechając się do Audry przypięła do jej letniej sukienki.

– Uważaj na nią, dziecinko – powiedziała – była ulubioną ozdobą twojej matki.

Audra obiecała, że będzie uważać i podziękowała ciotecznej babce. Potem, sprytnie korzystając z nadarżającej się okazji, zawołała:

– Fredericku, Williamie, chodźcie popatrzeć na biżuterię mamy. I wy, gdy dorośniecie, musicie dostać swoją część.

Kiedy zaś bracia zbliżyli się do ciotecznej babki, Audra zwróciła się do Fredericka pytając:

– A może powinnam zrobić spis tych wszystkich rzeczy, żebyśmy później mogli się naradzić i zdecydować, co każde z nas chciałoby wziąć dla siebie? To będzie sprawiedliwe, prawda, Fredericku?

Zapadła niezręczna cisza.

Frederick wpatrywał się w nią osłupiały i przygryzał wargi wiedząc, o co jej chodzi. William bezskutecznie starał się ukryć zadowolenie z takiego obrotu sprawy i śmiałości siostry – zdradzały go jednak błyszczące oczy.

I wtedy, zanim ktokolwiek zdołał się odezwać, Audra podbiegła do biurka i znalazłszy ołówek oraz kawałek papieru, wróciła do ciotecznej babki, która oglądała zawartość szkatułki. W pewnej chwili, gdy już sporządzała spis, podniosła na nią wzrok i obojętnie zauważyła:

– Ciociu Frances, czy nie sądzisz, że powinnam również zrobić spis mebli i innych rzeczy mamy, które ciocia Alicja przechowuje u siebie? Chcielibyśmy potem rozdzielić je sprawiedliwie.

Cioteczna babka spojrzała na nią z wyrazem zdziwienia, a potem lekko się uśmiechnęła.

– Cóż, jesteś bardzo praktycznym i rozsądnym dzieckiem, Audro. Myślę, że to doskonały pomysł, zwłaszcza że biedna Edith nie zostawiła testamentu. W ten sposób wszyscy troje możecie w spokoju przedyskutować i ustalić podział własności waszej matki i podjąć właściwe decyzje. Czy mogłabyś zrobić taki spis w przyszłym tygodniu, moja droga?

Audra z powagą skinęła głową, ukrywając swój triumf pod obojętnym wyrazem twarzy.

– Tak, zrobię to, ciociu.

Przez następne dni Frederick trząśł się ze strachu i ostrzegał Audrę, że jej wystąpienie będzie miało jakieś reperkusje. *On* widział wtedy w bibliotece ten szczególny wyraz małych czarnych oczu ciotki Alicji, choć nie dostrzegli go William i Audra.

Jednak nic szczególnego się nie wydarzyło i długie, gorące lato przemieniło się w chłodną jesień, a wreszcie przyszła zima. Życie w Grange toczyło się bez wstrząsów. Chociaż Kentonowie czuli się bardzo nieszczęśliwi w tej pozbawionej miłości atmosferze domu ciotki, to nawet Audra musiała zgodzić się z Williamem, że pod jednym względem mieli szczęście: byli razem. Kochali się i byli sobie nawzajem wsparciem i pociechą.

Dopiero na tydzień przed Bożym Narodzeniem Audra usłyszała przypadkiem pewną uwagę, która ją zaniepokoiła i której właściwy sens miała pojąć nieco później.

Już chciała otworzyć drzwi do salonu, które były lekko uchylone, gdy usłyszała, że ciotka Alicja wymienia imię matki bardzo pogardliwym tonem. Nie dosłyszała jednak tego, co mówiła, gdyż ciotka zniżyła głos. Audra zesztyniała, kiedy cioteczna babka Frances zawołała z przerażeniem:

– Alicjo, nie możesz karać dzieci za grzechy matki!

Audra natychmiast puściła klamkę i szybko się oddaliła, nie chcąc słyszeć niczego więcej, wiedziała bowiem, że podsłuchiwanie jest rzeczą naganną.

Przeszła ciemnym, bocznym korytarzykiem do saloniku po drugiej stronie hallu i na chwilę przysiadła, zastanawiając się nad dziwnymi

słowami ciotecznej babki. Wiedziała, że dotyczyło to ich rodziny, było to zupełnie oczywiste, ale nie mogła domyślić się znaczenia tych słów. *Jak* grzeszyła ich matka? I natychmiast powiedziała sobie, że matka przez całe życie nie popełniła żadnego grzechu. Mimo swej młodości Audra miała dość intuicji, by od dawna wiedzieć, że Alicja Drummond zawsze zazdrościła matce jej klasycznej urody, wdzięku i elegancji, do tego stopnia, że nigdy nie pomijała okazji, by poniżyć Edith Kenton za jej życia. Teraz wyglądało na to, że nie może się oprzeć pokusie, by zrobić to samo po jej śmierci.

Przez następnych kilka dni Audra rozmyślała, dlaczego to Alicja chce ich ukarać, lecz w końcu udało się jej odsunąć od siebie niepokój. Pocieszała się myślą, że jaką by karę nie wymyśliła, to cioteczna babka znajdzie sposób, żeby ją powstrzymać.

Ale, jak się później okazało, słowa Frances Raynolds nie miały żadnego znaczenia. W każdym razie nie były przeszkodą dla jej córki.

Bo w końcu jednak zostali ukarani.

Dwa miesiące później, w lutym tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku, Frederick i William zostali wysłani do Australii jako emigranci, Audrę zaś oddano do pracy w dziecięcym szpitalu Fever w Ripon.

Gorące protesty i żalosne prośby, by pozwolono im pozostać razem, nic nie pomogły. W obliczu zdecydowanej postawy ciotki byli bezradni. Tak więc, wbrew swym życzeniom i protestom ciotecznej babki, zostali zmuszeni zrobić tak, jak tego chciała Alicja Drummond.

Dla trojga młodych Kentonów mroźny, zimowy poranek, kiedy Frederick i William rozstawali się z siostrą, był czasem głębokiej rozpacz. Przed wyjazdem chłopców do Londynu, gdzie mieli wsiąść na statek, stanęli przytuleni do siebie w hallu, żegnając się i walcząc ze łzami.

Audra przytuliła się do Williama, którego kochała bardziej. Przepełniało ją uczucie smutku, gardło miała tak ściśnięte, że z trudem udało jej się wydobyć z siebie parę słów.

– Nie zapomnisz o mnie, Williamie? – A potem zaczęła szlochać, nie powstrzymując już łez.

Połykając własne łzy i starając się być dzielny, William mocno objął swą ukochaną, młodszą siostrę. Była w tej chwili tak dziecinna i tak bezbronna.

– Nie, nie zapomnę. Obaj nie zapomnimy – zapewnił ją. – I zabierzemy ciebie tak prędko, jak tylko będziemy mogli. *Obiecuję ci to, Audro.*

Równie wzruszony Frederick z czułością głaskał siostrę po głowie i powtarzał obietnicę. A później bracia wzięli walizki do ręki i wyszli z domu bez słowa.

Audra chwyciła płaszcz i pobiegła za nimi. Pędziła podjazdem, wykrzykując głośno ich imiona, pragnąc przedłużyć te ostatnie wspólne minuty. Chłopcy zatrzymali się, odwrócili i poczekali na nią. Wszyscy troje wzięli się pod rękę i szli w milczeniu, zbyt załamani, aby móc rozmawiać. Przy bramie wjazdowej obaj bracia bez słowa ucałowali Audrę po raz ostatni i niemal siłą wyrwali się z jej objęć.

Z dłonią przyłożoną do drżących ust, z trudem powstrzymując szlochanie, Audra dotąd patrzyła, jak odważnie kroczyli drogą prowadzącą do Ripon, dopóki nie stali się ledwo widoczni w oddali. Chciała pobiec za nimi, chciała krzyknąć: *Poczekajcie na mnie! Nie zostawiajcie mnie! Weźcie mnie ze sobą!* Wiedziała jednak, że krzyczałyby na próżno. Chłopcy nie mogli zabrać jej ze sobą. To, że zostali rozdzieleni, nie było winą braci. Spowodowała to Alicja Drummond; to ona chciała się pozbyć dzieci Edith Kenton i nie przebierała w środkach, by to osiągnąć.

Dopiero, gdy zniknęli jej z oczu, Audra odwróciła się i poszła w stronę domu. Z ciężkim sercem szła podjazdem i zastanawiała się, czy kiedyś jeszcze zobaczy swych braci. Australia była na drugim końcu świata, niewyobrażalnie daleko. Obiecali solennie, że przyślą po nią, ale jak długo potrwa, zanim zbiorą pieniądze na opłacenie podróży? Może i cały rok.

Myśl ta tkwiła w świadomości Audry, kiedy z mimowolnym drżeniem spojrzała na szary, posępny dom. W tej samej chwili antypatia dla kuzynki matki zamieniła się w gorzką, piekącą nienawiść, która miała

pozostać w niej przez resztę życia. Audra Kenton nigdy nie potrafiła przebaczyć Alicji Drummond jej zimnego, świadomego okrucieństwa. Na zawsze też pozostał w jej pamięci dzień, w którym rozdzielono ją z braćmi.

Następnego ranka drżąca i blada, pełna niepokoju o braci, rozpoczęła pracę w szpitalu Fever i tam też zamieszkała. Ponieważ w tym roku nie było wolnych miejsc dla kandydatek na pielęgniarki, została przyjęta na salową.

Tak zaczęło się życie Audry Kenton wypełnione pracą ponad siły. Miała zaledwie czternaście lat.

Na drugi dzień obudzono ją o świcie. Po śniadaniu złożonym z owsianki, chleba, syropu do smarowania i herbaty, które jadła razem z drugą młodocianą salową, rozpoczął się dzień pracy. Audra była wstrząśnięta tym, jak ciężka była to praca. Dla niej, której dotychczas nie angażowano do żadnych zajęć domowych, ten pierwszy dzień był trudny podwójnie. Bez powodzenia próbując wypełnić polecane jej czynności, zadawała sobie rozpaczliwe pytanie, jak tu poradzi. Mimo to nie śmiała poskarżyć się swym przełożonym. Bystrość i wrodzona inteligencja już po kilku godzinach odpowiedziały jej, że takimi jak ona nikt się tutaj nie przejmuje. W hierarchii szpitalnej nie miała żadnego znaczenia, zwłaszcza że wszyscy – lekarze i pielęgniarki – pracowali wyjątkowo ciężko i sumiennie.

Następnego dnia Audra zacisnęła zęby i zabrała się do pracy ze zdwojoną energią. Uczyla się w najlepszy, jaki mogła, sposób: obserwując pracę innych salowych. Pod koniec pierwszego miesiąca była równie sprawna jak one i stała się ekspertem od szorowania podłóg, czyszczenia wanien, prania i prasowania prześcieradeł, siania łóżek, opróżniania basenów, sprzątania umywalni, dezynfekowania sali operacyjnej i sterylizacji narzędzi chirurgicznych.

Każdego wieczoru padała na twarde, wąskie pościelone w sypialni posługaczek tak śmiertelnie zmęczona, że nie zwracała uwagi ani na swoje otoczenie, ani na niewygodne łóżko. Przez pierwsze tygodnie była tak wyczerpana fizycznie, że nie miała siły nawet na płacz. A kiedy

zdarzyło się, że szlochała w poduszkę, to nie z powodu złego samopoczucia czy pozbawionego radości życia, lecz z tęsknoty za braćmi, których utraciła tak samo niespodziewanie jak matkę i wuja Petera.

Bywały chwile, że podczas szorowania, czyszczenia czy sprzątanania w salach, Audra z niepokojem zadawała sobie pytanie, czy to nie *ona* sprowadziła to nieszczęście na braci i na siebie. Ogarniało ją poczucie winy, gdy przypominała sobie, jak dążyła do zinwentaryzowania rzeczy matki. Ale zwyciężył zdrowy rozsądek, który mówił, że kara była nieunikniona, bez względu na wszystko. Doszła nawet do wniosku, że Alicja Drummond zdecydowała o ich losie już w dniu śmierci matki.

Kiedy Audrę wysłano z Grange do pracy w szpitalu, ciotka Alicja powiedziała, że może ich odwiedzać raz w miesiącu, podczas jednego z dwu wolnych weekendów i spędzać z nimi wszystkie okolicznościowe urlopy. Audra jednak tylko dwa razy udała się do Grange i to przede wszystkim po to, żeby zabrać swoje rzeczy. Odkąd sięgała pamięcią, zawsze źle się czuła w tym domu, zwłaszcza że teraz wiedziała, jak niechętnie była tu widziana.

Inną przyczyną rezygnacji z wizyt w Grange była jej nienawiść do ciotki.

Kiedy drugi raz przyszła zabrać resztę rzeczy, z trudem zmusiła się do przekroczenia progu domu. Wtedy też złożyła sobie uroczystą przysięgę, że noga jej nie stanie w tym mauzoleum aż do chwili, gdy przyjdzie odebrać rzeczy matki. I tak, w pierwszych miesiącach dwudziestego drugiego roku powoli zaczęła nabierać wiary w siebie, ale też nauczyła się skrytości i trzymania na uboczu. Pracę swoją wykonywała starannie, więc w szpitalu nie miała żadnych kłopotów.

Jeśli jej życie było bezbarwne i brakowało w nim normalnych, małych radości, jakimi cieszyły się dziewczęta w jej wieku, to jednak udawało się jej pomagać sobie marzeniami o lepszej przyszłości. Jej wiernym, stałym towarzyszem była nadzieja. *Tego* nikt nie mógł jej pozbawić. Ani też nikt nie mógł zachwiać jej wiary w braci. Była absolutnie pewna, że wkrótce będzie wraz z nimi w Australii. W trzy miesiące po wyjeździe Fredericka i Williama regularnie zaczęły przychodzić

od nich listy. Zawsze były pełne nowin, dobrych życzeń i obietnic, a ich strony strzępiły się od częstego czytania. Audra bardzo ceniła te listy, były one w tym czasie jej jedyną radością.

Podczas pierwszego roku w rutynie szpitalnego życia nic się nie zmieniło. Praca była ciężka, nawet dla bardzo silnych dziewcząt. Niektóre rezygnowały i odchodziły, bo codzienne obowiązki męczyły je, więc traciły zainteresowanie pracą przy chorych. Pozostawały tylko te, które naprawdę czuły powołanie. Audra, która nie miała się gdzie podziać, pozostała z konieczności.

Jednakże było coś szczególnego w Audrze Kenton, można to nazwać hartem, coś, co skłaniało ją do trwania, dopóki nie wstąpi na kurs pielęgniarek. Drobną, posiadała jednak wielką fizyczną wytrzymałość, jak również duchową energię oraz wyjątkowy rozsądek jak na dziewczynkę w jej wieku. Mimo młodości miała w sobie jakąś wewnętrzną siłę, z której czerpała odwagę i upór.

Nie przerywała szorowania, czyszczenia i polerowania... poruszała się w nieskończoność po schodach i wzdłuż długich korytarzy... czasami także na kolanach.

Jeśli nie liczyć mozolnego trudu i monotonii wykonywanych czynności, to Audra nie mogła się skarżyć, że była źle traktowana. Wszyscy w szpitalu odnosili się do niej i do pozostałych młodocianych salowych z życzliwością. A jedzenie, jeśli nawet było skromne, to przynajmniej obfite. Nikt nigdy nie był głodny. Audra sama ze stoicyzmem mówiła sobie, że z powodu ciężkiej pracy i prostego jedzenia nikt jeszcze nie umarł.

Pod koniec roku zaczęła się jednak zastanawiać nad poprawą swego losu. Jej myśli skupiały się wokół tego dnia, kiedy pokona kolejną szczebel drabiny. Do pracy w szpitalu posłano dziewczynkę wbrew jej chęci, ale powoli, w miarę jak przyzwyczajała się do obowiązków, uczyła się wszystkiego, mając sporo okazji do podglądania innych. Stopniowo zaczęła sobie uświadamiać, że pielęgnowanie chorych jest zajęciem dla niej.

Audra dobrze wiedziała, że sama musi zarabiać na swoje utrzymanie, nawet jeśli pojedzie do braci do Sydney. Chciała więc pracować jako pielęgniarka. Z tego, co pisał William, wynikało, że nie będzie miała trudności ze znalezieniem pracy w szpitalu.

Wiosną tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku, wnet po tym, jak rozpoczęła drugi rok pracy w szpitalu, nadarzyła się taka okazja. Zarządzająca szpitalem odeszła na emeryturę, więc wyznaczono jej następczynię. Nazywała się Margaret Lennox i należała do nowego pokolenia kobiet, bardzo nowoczesnie czy, jak mówili niektórzy, radykalnie myślących. Na północy Anglii była dobrze znana ze swych namiętnych wystąpień, żądając poprawy położenia kobiet i dzieci, a także zainteresowania się szerzej pojętymi prawami kobiet.

Gdy rozeszła się wiadomość o jej nominacji, w szpitalu zapanowało podniecenie. Wszyscy zaczęli się zastanawiać, na ile zmieni to obowiązującą dotychczas rutynę. Mówiono, jak zwykle w takich sytuacjach, o nowej miotle i nowych rządach, które nazwano „rządami Lennox”. Te zaś szybko zostały wprowadzone.

Audra, która z właściwą sobie przenikliwością obserwowała to wszystko, postanowiła nie tracić czasu i złożyć podanie o przyjęcie na kurs pielęgniarski. Z tego, co słyszała, wynikało, że Margaret Lennox popiera młode i ambitne dziewczęta, pragnące coś osiągnąć. Podobno bardzo się starała im pomóc i udzielała swojego poparcia.

Dwa tygodnie po objęciu stanowiska przez Margaret Lennox Audra napisała do niej list. Uznała, że będzie to lepsze niż osobiste spotkanie. Przełożona Lennox była pochłonięta mnóstwem spraw i zajęć; od chwili przybycia nieustannie otaczał ją tłum pracowników szpitala.

Nie minął tydzień od chwili złożenia przez Audrę listu w biurze zarządzającej, gdy została wezwana do jej gabinetu. Rozmowa była lakoniczna, krótka i na temat. Dziesięć minut później Audra Kenton opuszczała gabinet z szerokim uśmiechem na twarzy. Jej podanie zostało przyjęte.

Dzięki swej nieprzeciętnej inteligencji i błyskotliwości dziewczyna szybko stała się jedną z najlepszych przyszłych pielęgniarek, zasłużywszy sobie na opinię osoby z powołaniem. Nową pracę i naukę traktowała jako wyzwanie, ale również odkryła w sobie pragnienie niesienia pomocy, a więc autentyczne powołanie do zawodu pielęgniarki. Młodzi pacjenci, z którymi łatwo nawiązywała kontakt, stawali się obiektami tych uczuć, które chowała w sobie od chwili rozstania z braćmi.

Teraz przypomniła sobie to wszystko, leżąc w trawie na wzgórzu nad rzeką Ure. Myślała jednak nie o swoim dyplomie i zawodowych osiągnięciach ostatnich czterech lat, lecz o Fredericku i Williamie.

Ostatecznie bracia nie zabrali jej do siebie.

Nie byli w stanie łączyć pieniędzy potrzebnych na podróż do Australii. Sprawy nie układały się najlepiej dla młodych Kentonów. Frederick dwukrotnie chorował na zapalenie płuc – wyglądało na to, że większość czasu jest w stanie fizycznej niesprawności. Oprócz kłopotów ze zdrowiem, przeszkodą również było i to, że obaj nie mieli żadnego zawodu, żadnych praktycznych umiejętności. Z wielkim trudem więc zdobywali środki na utrzymanie.

Audra westchnęła i usiadła; zamrugała oczami, z trudem przyzwyczajając się do światła. Biedni Frederick i William... Właściwie to spadały na nich same niepowodzenia. Ich listy, które ostatnio przychodziły rzadziej, przepojone były poczuciem klęski. Ona sama dawno już zrezygnowała z marzeń o połączeniu się z nimi w Sydney. Ciągłe jeszcze tęskniła, odczuwała ich brak i przypuszczała, że tak już będzie zawsze. Byli przecież jej jedyną rodziną i bardzo ich kochała.

Praca w szpitalu dawała Audrze satysfakcję, ale to nie wystarczało. Poczucie odizolowania, brak przynależności do jakiejś grupy lub, raczej dokładniej mówiąc, do rodziny, czyniło jej życie jałowym. Czasami znosiła to z trudem, mimo że cieszyła się przyjaźnią Gwen, tak bardzo do niej przywiązanej.

Audra wstała i spojrzała na drugi brzeg rzeki. W ciągu kilku ostatnich godzin zmieniło się oświetlenie i High Cleugh wyglądał teraz, jakby został zbudowany z polerowanych brązowych kamieni. Kapał się w złocistej poświacie i wydawał się drzeć w oddali jak miraż. Nawet ogród był spowity rdzawą mgiełką zmierzchu. Całe jej życie, przynajmniej ta najlepsza, najszczęśliwsza jego część, i wszystkie drogie wspomnienia były związane z tym starym domem. Ogarnęła ją fala emocji, gdy nagle uświadomiła sobie, że nigdy nie przestanie tęsknić za High Cleugh i wszystkim tym, co dla niej uosabiał.

Rozdział czwarty

Nareszcie były znowu razem; siedziały tu, w kawiarence Copper Kettle, w Harrogate. Ona i Gwen.

Audra z trudem mogła uwierzyć, że po tylu tygodniach znowu się spotkały. Obie dziewczyny nie widziały się ze sobą od pierwszych dni czerwca. Dzisiaj była sobota, gorąca i parna, koniec sierpnia, koniec lata. Gwen dopiero teraz udało się przyjechać z Horsforth na spotkanie z przyjaciółką. Ale i tak nie mogła przyjechać do Ripon. Prosiła więc Audrę, która się natychmiast na to zgodziła, aby spotkały się w pół drogi.

Teraz, zarumieniona ze szczęścia, spojrzała na Gwen i uśmiechnęła się.

– To cudowne, znowu cię widzieć, Gwen. Naprawdę tęskniłam za tobą.

– Ja też, Audro. – Okrągła, pokryta piegami twarzyczka Gwen promieniała ożywieniem. – Do tej pory czuję się okropnie, że nie mogłam spędzić z tobą twych urodzin... – Gwen sięgnęła po płócienną torbę na zakupy i zaczęła w niej grzebać. Wreszcie wyjęła paczkę owiniętą w niebieski papier i obwiązaną szkarłatną wstążką. Radośnie podała ją Audrze. – W każdym razie tu jest twój urodzinowy prezent,

kochasiu. Nie udało mi się zabrać cię na ten wytorny wieczorek tańeczny do Palm Court, a więc przyniosłam coś w zamian.

– Nie powinnaś, nie trzeba! – zaprotestowała Audra, ale widać było jak jest podekscytowana prezentem.

Tyle czasu minęło przecież od chwili, kiedy coś jej podarowano. Na urodziny nie dostała niczego. Twarz dziewczyny rozpromieniła się, a bystre, niebieskie oczy błyszczały, gdy rozwiązywała wstążkę i zdejmowała papier, rozradowana jak małe dziecko.

– Och, Gwen! *Pudełko farb!* – Audra spojrzała na przyjaciółkę z wdzięcznością. – Jakie wspaniałe! To ci się udało! Naprawdę są mi potrzebne nowe farby. Bardzo ci dziękuję – wyciągnęła rękę, ujęła dłoń Gwen leżącą na stole i uścisnęła ją z wdzięcznością.

Teraz Gwen ogarnęło uczucie zadowolenia.

– Zachodziłam w głowę, co ci kupić. Chciałam, żeby to było coś... coś... no, coś *właściwego*. Bo ty jesteś kimś wyjątkowym. I nagle wpadłam na to, gdy patrzyłam na tę akwarelę, którą namalowałeś dla mojej matki na gwiazdkę... Drzewo odbijające się w sadzawce w Fountains Hall. Pomyślałam sobie, że pudełko farb, to będzie właśnie coś dla Audry. Zadowoli jej praktyczność, ale również sprawi przyjemność. – Gwen oparła się o krzesło i zmarszczyła zadarty, piegowaty nos. Nie spuszczała wzroku z przyjaciółki, gdy spytała: – Czy mam rację?

– Och, tak, Gwen. Sprawia mi to dużo, dużo przyjemności – przytaknęła kilkakrotnie, jakby dodając wagi odpowiedzi. Uniosła lśniące, czarne wieczko i zajrzała, wpatrując się w małe tubki farb. Półgłosem odczytywała od dawna znajome nazwy: żółć chromowa, jasna czerwień... błękit kobaltowy... zieleń nefrytowa... siena... karmin... błękit paryski... purpura królewska... umbra...

Audra uwielbiała dźwięk tych nazw prawie tak samo, jak malowanie. Od wczesnego dzieciństwa miała takie hobby. Ojciec był utalentowanym artystą i jego obrazy cieszyły się dużym powodzeniem, ale gdy zaczął być znany, zapadł na nieuleczalną chorobę. Adrian Kenton nie miał więc szansy na wyrobienie sobie nazwiska przed śmiercią. Ona

odziedziczyła po nim talent – w każdym razie tak zawsze mówiła matka.

Audra zamknęła pudełko z farbami i podniosła wzrok, napotykając łagodne spojrzenie orzechowych oczu Gwen. Jak ona ślicznie wygląda – pomyślała – cała taka złocista od słońca.

Swoiście anielski wygląd Gwen podkreślały jej jasna cera i złociste krótko obcięte włosy, tworzące wokół głowy aureolę kędziorków, a także jasnoniebieska sukienka z dużym, białym, okrągłym kołnierzem.

Przypomina mi chłopca z chóru kościelnego – pomyślała Audra i uśmiechnęła się z powodu tego porównania.

Piękny biust i zgrabna, zaokrąglona figura Gwen Thornton nie miały bowiem w sobie nic chłopięcego.

Zauważyła też, że przyjaciółka po raz pierwszy ubrana jest z dużą powściągliwością, jeśli chodzi o ozdoby. Zwykle błyszczała i mieniła się od rozmaitej biżuterii: naszyjników i koralików, kolczyków, bransoletek i pierścionków. Teraz najwyraźniej dołożyła starań, aby na spotkaniu w Harrogate wyglądać zarówno skromnie, jak i dystyngowanie.

Chciała mi zrobić przyjemność – pomyślała Audra i temperatura jej uczuć dla Gwen jeszcze wzrosła. Pochylając się do przodu, powiedziała:

– Namaluję dla ciebie obraz, Gwenny. Do twego pokoju. Czy chciałabyś jakiś pejzaż, czy też wolałabyś martwą naturę, na przykład wazon z kwiatami? Och, już *wiem*, co ci namaluję. Valley Gardens, te z Harrogate. Zawsze mówisz, że to jest twoje ulubione miejsce, kiedy kwiaty są w pełni rozkwitu. Czy chcesz mieć taki obrazek?

– Tak, to będzie wspaniałe. Bardzo ci dziękuję, Audro. Mama mówi, że malujesz po mistrzowsku. Valley Gardens będzie doskonale wyglądać na ścianie mego pokoju. Dla mnie twój obraz będzie bardzo cenny.

– Co panienki zamawiają? – przerwała jej kelnerka. Najpierw spojrzała na Gwen, a potem na Audrę, stojąc z ołówkiem niecierpliwie uniesionym nad bloczkiem.

– Prosimy o herbatę – odparła grzecznie Audra, ignorując jej nie-
miłe zachowanie i zniecierpliwienie.

– Dzbanek? Czy cały zestaw? – spytała kelnerka tym samym opry-
skliwym tonem i polizła czubek ołówka.

– Nie powinna pani tego robić. Mam nadzieję, że nie jest to ołówek
kopiowy, bo będzie pani miała fioletowy język i może nawet zatruć się
ołowiem.

– Nie zawracajcie głowy, nic mi się nie stanie! – odparła z niedo-
wierzaniem kelnerka, ale zaraz rzuciła im zaniepokojone spojrzenie. –
To naprawdę może się stać? – spytała cicho i starannie obejrzała czu-
bek ołówka. – O rany! On farbuje!

– Tak właśnie myślałam – powiedziała Gwen z powagą: – Niech
pani pójdzie do doktora natychmiast, gdyby pojawiły się jakieś symp-
tomy, zwłaszcza gdyby to były konwulsje.

– *Konwulsje!* – powtórzyła kelnerka piskliwym głosem i odwróciła
się błada jak jej fartuch.

Audrze zrobiło się żal dziewczyny.

– Jesteśmy pielęgniarkami i wiemy coś o takich rzeczach – powie-
działa. – Jestem pewna, że po kilkakrotnym polizaniu ołówka nie bę-
dzie pani cierpieć na zatrucie ołowiem.

Kelnerka spoglądała na nią z wyrazem ulgi. Audra zaś zapewniła ją
raz jeszcze:

– Wszystko będzie dobrze – i dodała z ożywieniem: – A teraz co
do naszego zamówienia. Myślę, że lepiej jeśli weźmiemy zestaw. Przy-
puszczam, że będą tam kanapki, ciasteczka, dżem, śmietanka: wszyst-
ko, co trzeba. Prawda?

– Tak – potwierdziła kelnerka lakonicznie i znowu odruchowo
podniosła ołówek do ust, lecz szybko opuściła rękę i odeszła od stolika.

Przez moment Audra przypatrywała się rozbawionej Gwen i karcąco
pokręciła głową. Nie mogła się jednak sama powstrzymać od uśmiechu,
gdy powiedziała:

– Jest pani niepoprawna, panno Thornton. To było złośliwe z pani
strony. Zmarnowałaś dzień tej kobiecie!

– Bardzo bym się cieszyła, gdyby tak było! – zawołała Gwen z
oburzeniem. – Audro, ona jest prawdziwą jędzą!

– Może ma platfus albo niepowodzenia w miłości?...
– Nie wiem, co ma, a czego nie ma. To pewne, że ma paskudne maniery.

Po chwili milczenia Audra sięgnęła po torebkę, wyjęła kilka monet i położyła na stole przed Gwen.

– Zanim zapomnę, oto mój dług. Funt i sześć szylingów, które pożyczylam przy kupnie niebieskiej sukienki.

Gwen miała zamiar powiedzieć, że to nie ma znaczenia i odsunąć od siebie monety, ale się powstrzymała. Audra była bardzo dumna i mogła poczuć się dotknięta, a tego Gwen by nie zniosła. Wzięła więc pieniądze i powiedziała:

– Bardzo ci dziękuję, kochana.

– Cieszę się, że twoja matka nareszcie wróciła do zdrowia – powiedziała Audra szczerze. – Wiem, że ostatnie parę miesięcy było dla ciebie bardzo trudnych i ciężko pracowałaś.

– Tak, mama wyszła z tego szczęśliwie, dzięki Bogu. – Gwen westchnęła leciutko. – Ale muszę ci powiedzieć, że jako pacjentka była bardzo męcząca. Trudno ją było utrzymać w łóżku. Jak tylko poczuła się trochę lepiej, od razu chciała wstać i zająć się domem. – Gwen ściągnęła wargi i znowu westchnęła: – Cóż, wiesz dobrze, jaka jest moja mama, typowy produkt Yorkshire: kobieta twarda, pracowita, która chorowanie uważa za zbrodnię. Ojciec jednak zdołał ją wreszcie przekonać, że musi się oszczędzać. Ale posłuchaj, Audro. Dostyc już na ten temat. Opowiedz mi, co nowego u *ciebie*. W listach pisałaś o tym niewiele, głównie o nudnych sprawach *nudnego* szpitala.

– Nie miałam nic szczególnego do powiedzenia – odparła Audra, rozbawiona pełnym wyczekiwania wyrazem twarzy Gwen. – W każdym razie nie zdarzyło się nic niezwykłego. Niewiele czasu potrzebowałaś, żeby zapomnieć, że Ripon to senny zaścianek, a nie wielka metropolia jak Leeds.

– Oczywiście, że nie zapomniałam, głuptasie – zachichotała Gwen. – Ale chodzi mi o twoich braci. Czy miałas od nich ostatnio jakieś wiadomości?

– Zdrowie Fredericka zdaje się poprawiać. Przynajmniej tak napisał William. Bardzo się jednak o nich martwiłam w czerwcu. – Twarz

Audry lekko się zmieniła, ożywienie w oczach przygasło. – Już myślałam, że o mnie zapomnieli... i o moich urodzinach, ale potem przyszły kartki z życzeniami... z dwutygodniowym opóźnieniem.

– Ci twoi bracia, Audro, wydają się czasami trochę pomyleni – szybko wtrąciła Gwen, pragnąc, aby przyjaciółka poczuła się lepiej. Jednocześnie uświadomiła sobie, jakie smutne były dla Audry jej dziewiętnaste urodziny, i postanowiła, że pomoże to odrobić w przyszłym roku.

– A co słyhać u twoich braci? – zapytała Audra.

– Pierwsza klasa. Jem znalazł sobie zajęcie jako kopista w redakcji „Merkurego” w Leeds; Harry będzie terminował u znanego architekta, a Charlie podskakuje z radości i jest strasznie z siebie dumny – szeroki uśmiech rozlał się na twarzy Gwen.

Audra spojrzała na nią z zaciekawieniem i spytała:

– A z czego Charlie tak się cieszy?

– Bo na egzaminach otrzymał bardzo wysokie oceny. Tata jest z niego naprawdę dumny, ja zresztą też. Tak czy inaczej, Charlie nie może się doczekać, kiedy się skończą wakacje i wróci na studia medyczne. Ale to mi przypomniało, że prosił, bym cię pozdrowiła od niego – w oczach Gwen pojawił się figlarny błysk. Przysunąwszy się bliżej do Audry szepnęła konspiracyjnie: – A ja ci jeszcze raz powtarzam, że nasz Charlie naprawdę ma na ciebie oko. Tak, tak...

Audra oblała się gwałtownym rumieńcem.

– Nie opowiadaj głupstw, Gwen. Wcale tak nie jest.

– Ależ tak! On zawsze dopytuje się o ciebie. Jest *naprawdę* tobą zainteresowany, wiem, co mówię – zawołała Gwen stanowczym głosem.

– Och! – było jedynym dźwiękiem, jaki Audra była w stanie z siebie wydać, gdyż nagle poczuła się bardzo zakłopotana.

– Cóż, mogłabyś trafić gorzej, wiesz o tym.

– Tak – szepnęła Audra i gwałtownie zamknęła usta na widok zbliżającej się kelnerki.

Z ulgą zauważyła, że zmierza ona z tacą wprost do ich stolika. Zaczęła z hałasem ustawiać zastawę, co oczywiście przerwało na chwilę rozmowę. Kiedy się oddaliła, Audra wzięła w ręce duży, brązowy dzbanek i zaczęła rozlewać herbatę.

– Wygląda na to, że to jednak ona miała ostatnie słowo – powiedziała.

– O, co to, to nie – odparła Gwen z przebiegłym uśmieszkiem. – Poczekaj, aż pojawi się sprawa napiwku.

Rozdział piąty

Gwen Thornton była dziewczyną uczuciową, serdeczną, o szczodrej naturze i naprawdę lubiła Audrę Kenton.

Od pierwszego spotkania coś ją do Audry przyciągało. Szybko dostrzegła, że w tej delikatnej z wyglądu dziewczynie, o niezwykłych błękitnych oczach i nieśmiałym uśmiechu, który czasami stawał się olśniewający, jest coś bardzo osobliwego.

Gwen rozumiała, że tym, co wyróżniało Audrę z tłumu, było jej pochodzenie oraz wychowanie. Gwen wiedziała, że właściwy Audrze sposób bycia jest niemożliwy do naśladowania. Albo się go ma, albo się nie ma; tego się nie można nauczyć. Audra miała to we krwi. To nie tylko wyróżniało Audrę, ale też wyjaśniało jej arystokratyczną powściągliwość, jej maniery i pewność siebie.

Gwen kochała i podziwiała Audrę z wielu przyczyn, a wszystkie one składały się na jej wyjątkowość. Była ona pod każdym względem młodą kobietą z klasą; niezwykle lojalną i kochającą. Ze wszystkich znanych Gwen osób była też najbardziej niepodatna na wpływy innych.

Pomimo że Audra miała tyle zalet, Gwen często się o nią niepokoiła. Przynajmniej martwiła się o to, że przyjaciółka nie miała rodziny, lepiej bowiem niż ktokolwiek inny wiedziała, jak Audra to

głęboko przeżywa, jak tęskni za braćmi, jak pragnie gdzieś *przynależeć* jak wtedy, kiedy żyła jej matka. To właśnie dlatego Gwen tak się starała, by jej przyjaciółka czuła się jak prawdziwy członek klanu Thorntónów. Chciała Audrę upewnić, że kocha ją tak samo, jak swoją młodszą siostrę Jenny-Rosalie i braci.

Odkąd najstarszy brat, Charlie, przejawiał zainteresowanie Audrą, Gwen podtrzymywała go w tym, pragnąc, aby nawiązały się między nimi jakieś bliższe stosunki. Od czasu do czasu jednak musiała się przyznać przed sobą, że zainteresowanie to było na razie raczej jednostronne, i zastanawiała się też, czy jej poczciwy, ale nudnawy brat byłby odpowiednim partnerem dla Audry. Nie miała natomiast wątpliwości, że Charlie był dobrą partią i miał zapewnioną przyszłość. Kiedy uzyska dyplom lekarza, na pewno nie zostanie długo kawalerem; będzie wspaniałym mężem i ojcem. Gwen czuła, że Charlie jest stworzony na ojca rodziny.

To, co uznawała za najważniejsze, to było słowo *rodzina*. Tego najbardziej Audra potrzebowała, ona więc pomoże ukochanej przyjaciółce w osiągnięciu celu. Oczywiście, Charlie miał być kluczową częścią całego planu.

Wszystkie myśli, które absorbowaty Gwen przez ostatnie kilka tygodni, znowu nawiedziły ją tego popołudnia. Szły teraz obie przez prześliczne Valley Gardens zadowolone, że po dłuższym pobycie w dusznej i hałaśliwej kawiarni mogą przebywać na świeżym powietrzu.

Gwen pomyślała, iż trudno byłoby znaleźć miłszą i ładniejszą kandydatkę na szwagierkę. Dzisiaj w żółtawej, płóciennej sukience w pierwiosnki i słomkowym kapeluszu z wstążką w odpowiednim żółtym odcieniu, powiewającą z tyłu, Audra wyglądała wyjątkowo pociągająco.

Gwen pomyślała, że choć przyjaciółka nie jest wysoka, to i tak jej zalety i wrodzona dystynkcja zwracają na siebie uwagę. I zanim się spostrzegła, powiedziała głośno:

– Tak, bo małe jest piękne.

Miała ochotę ugryźć się w język za przypomnienie tego komentarza Charliego, gdyż wiedziała, że Audra nie cierpi uwag na temat jej wzrostu.

– Wybacz mi, Gwen, ale niezupełnie rozumiem, o co ci chodzi? – zdziwiła się Audra.

Gwen uznała, że lepiej będzie nie wspominać o Charliem, więc wyjaśniła:

– Och, to taka uwaga, którą kiedyś zrobiła na twój temat moja matka. Małe jest piękne, to znaczy, że osoba niewysoka często ma wiele zalet. Nigdy nie słyszałaś tego powiedzonka? To jest takie bardzo w stylu Yorkshire.

Audra przecząco pokręciła głową.

– Nie, nie słyszałam, ale to miły komplement.

– Tak – potwierdziła Gwen, zadowolona, że Audra przyjęła to tak dobrze, i ujęła ją pod ramię. – A jeśli mowa o mamie, to powiedziała mi, że muszę mieć urodzinowe przyjęcie. Mam więc nadzieję, że spędzisz z nami trzeci weekend września. Będą w domu Charlie i Jem, zaproszę też kilkoro przyjaciół. Ale tylko kilka osób, bo mama po chorobie nie poradzi sobie z dużą liczbą gości. Przyjedziesz, Audro?

– Naturalnie, że przyjadę. Będzie to dla mnie wielka przyjemność. Bardzo lubię bywać w waszym domu. Dziękuję za zaproszenie.

– Musisz włożyć tę cudowną, niebieską sukienkę – roześmiała się wesoło Gwen. – Nareszcie, Audro, będziesz królową balu. Chłopcy stracą dla ciebie głowy. Przede wszystkim nasz Charlie – dodała Gwen do siebie w nadziei, że brat nie zostanie odrzucony.

Audra spojrzała na wyższą od siebie Gwen i również się roześmiała.

– Ty będziesz królową balu, przecież to twoje urodziny. Ale muszę przyznać, że umieram z chęci pokazania się w nowej sukience. A ty co włożysz?

– Och, jeszcze nie wiem, ale mam nadzieję, iż znajdę coś odpowiedniego. A teraz podpowiedz mi, kogo jeszcze trzeba zaprosić. – I nie dając Audrze czasu na odpowiedź Gwen pośpiesznie dodała: – Wiesz co, usiądźmy sobie tam, pod drzewem, i porozmawiajmy o

przyjęciu. Jesteś taka mądra, Audro, chciałabym więc zasięgnąć twojej rady w paru sprawach. Ty znasz się na tym, co należy podać do jedzenia i do picia i w ogóle chcę znać jakieś inne twoje sugestie.

Gwen poprowadziła Audrę w stronę ławki stojącej pod rozłożystą wierzbą płaczącą i, gdy usiadły, zaczęła się narada. Przez pół godziny z przejęciem omawiały szczegóły urodzinowego balu. W końcu Gwen powiedziała:

– Dziękuję ci bardzo, ogromnie mi pomogłaś. To na pewno będzie udana impreza.

Audra zwracała uwagę na przechodniów, myśląc, jak elegancko wyglądają niektóre kobiety spacerujące tu przed kolacją, którą zjedzą w jednym z wytwornych, pobliskich hoteli. Sądząc po ubiorze przyjechały tu z Londynu, aby odbyć kurację w Harrogate. Od czasów wiktoriańskich było to renomowane uzdrowisko, do którego zjeżdżali goście z całego świata i pili wodę z około czterdziestu źródeł. Jej matka zawsze lubiła Harrogate za jego elegancję. Nazywała je pozostałością epoki wiktoriańskiej i bardziej cywilizowanych czasów.

Matka często przywoziła ich tutaj na cały dzień. Audra wspomniała pamiętne popołudnie z roku tysiąc dziewięćset jedenastego, gdy przyjechali, żeby zobaczyć królowe Anglii i Rosji, które odwiedzały tego dnia Harrogate. Był z nimi wuj Peter, który posadził ją sobie na ramieniu, żeby lepiej wszystko widziała. Panowało radosne podniecenie, nad głowami tłumu powiewały flagi, grała orkiestra...

Gwen w tym czasie myślała o przyszłości i zastanawiała się, jak powiedzieć Audrze tę okropną nowinę. Nosiła się nawet z myślą, aby nic nie mówić, tylko napisać list, ale ostatecznie uznała, że Audra nie zasługuje na takie potraktowanie. Zdecydowała więc, że istnieje tylko jedna droga i że należy to zrobić od razu, teraz.

Ostrożnie dotknęła ramienia przyjaciółki i powiedziała niezwykle, jak na nią, zgaszonym głosem.

– Jest coś, o czym chcę ci powiedzieć, zanim pójdziemy do autobusu.

Audra spojrzała na nią, natychmiast powracając do terażniejszości.

– Zrobiłaś się nagle szalenie poważna, Gwenny. Czy coś się stało?

Gwen z trudem przełknęła ślinę.

– Chciałam ci to powiedzieć przez całe popołudnie, ale nie wiedziałam, jak zacząć. Rzecz w tym, że... nie wracam do pracy w szpitalu Fever. Strasznie mi przykro...

Audra wpatrywała się w przyjaciółkę, oszołomiona tym oświadczeniem. Było to jak wybuch granatu, ostatnia rzecz, jaką spodziewała się usłyszeć. Wyszepiała tylko:

– Och, Gwen...

Gwen bacznie ją obserwowała, dostrzegła więc smutek w błyszczących, niebieskich oczach i zawołała z niepokojem:

– Audro, bardzo cię proszę, nie martw się. *Ja* nie wyjeżdżam do Australii, będę tylko o kilka godzin drogi stąd: w Horsforth albo w Leeds. Będziemy się widywać. Słuchaj, mama chce, żebyś przyjechała do nas na Boże Narodzenie, tak jak w zeszłym roku. Będziemy też razem w przyszłym miesiącu na moich urodzinach.

Audra, wstrząśnięta nowiną, mogła tylko przytaknąć.

– Widzisz, Audro, tata chce, żebym ze względu na chore serce mamy była bliżej domu. Powiedział, że mogę się starać o posadę w ambulatorium albo szpitalu St. James, ale dopóki nic nie znajdę, mam zajmować się mamą. W tej sprawie tata jest bardzo stanowczy. Nie mogę go przekonać, żeby zmienił zdanie.

Audra, zawsze wrażliwa na uczucia innych, dosłyszała w głosie Gwen nutę rozpacz.

– Rozumiem, Gwenny – przytaknęła ze słabym uśmiechem, ale serce jej się ścisnęło na myśl o samotności w Ripon. Poczowała, jakby po raz drugi została opuszczona.

Gwen w tej chwili wpadła na nieoczekiwany pomysł i zawołała:

Słuchaj, Audro, a dłaczego i ty nie miałabyś złożyć podania o pracę w szpitalu w Leeds. – Przynęła się trochę i ujęła małą dłoń Audry. Ze

zdziwieniem poczuła, jak była zimna, mimo upalnego dnia. Uścisnęła ją mocno i poprosiła: – Zrób tak, kochana, proszę cię.

– Nie jestem pewna, czy powinnam...

– *Dlaczego nie!*? – zapytała Gwen, podnosząc głos. – Nie ma żadnego powodu, dla którego miałabyś zostać w Ripon.

Audra natychmiast pojęła, że jej przyjaciółka ma zupełną rację. Skinęła więc głową twierdząco:

– Tak, zrobię tak, Gwenny! – I uśmiech rozjaśnił jej twarz, zastępując smutek, który miała w oczach.

Gwen objęła Audrę i mocno uścisnęła, przepelniona uczuciem ulgi i szczęściem. Myśl o pozostawieniu ukochanej przyjaciółki w szpitalu Fever była trudniejsza do zniesienia, niż mogła przypuszczać.

Rozdział szósty

– Przełożona chce cię widzieć, Kenton – powiedziała siostra Rogers zatrzymując się i wpatrując w Audrę surowym spojrzeniem. – Powiedziała *natychmiast*, więc ruszaj od razu.

Audra, która właśnie skończyła mierzyć dziecku temperaturę, skinęła twierdząco:

– Chwileczkę, już idę.

Odchodząc od łóżka obrzuciła swych młodocianych pacjentów spojrzeniem pełnym troski. Mała izolatka zajęta była przez dzieci chore na koklusz – tego zimnego grudniowego poranka Audra bardzo się o nie martwiła.

Kiedy wraz ze starszą siostrą szły przez oddział, Audra powiedziała przyciszonym głosem:

– Są trochę niespokojne, zwłaszcza ten mały pod oknem. Jest bardzo wyczerpany kaszlem i zwymiotował śniadanie. Doktor Parkinson też się o niego martwi. Czy siostra może przysłać tu młodszą pielęgniarkę, aby miała na niego baczenie? I na resztę również.

– Nie martw się o nic, zostanę tu, dopóki nie wrócisz. Jestem pewna, że przełożona długo cię nie zatrzyma. – Lekki uśmiech pojawił się na wargach siostry i gdy odezwała się cichym głosem, była w nim nieoczekiwana miękkość: – Twoja troska jest godna pochwały, Kenton. Stałaś się bardzo dobrą pielęgniarką.

W ustach starszej siostry, która przeszła drogę od salowej do obecnego stanowiska i słynęła z surowych wymagań, była to ogromna pochwała. Zdumiona Audra odpowiedziała uśmiechem i wyprostowała się z poczuciem dumy.

– Dziękuję, siostrzo – odparła – staram się.

Siostra Rogers skinęła głową i wróciła do sali.

Audra przeszła przez hall i pobiegła schodami na górę, mając nadzieję, że przełożona ma dla niej dobrą nowinę. Po podjęciu decyzji opuszczenia Ripon i znalezienia posady w szpitalu w Leeds, Audra zwierzyła się ze swoich zamiarów zarządzającej szpitalem i spytała ją o radę. Ta zaś wspaniałomyślnie obiecała uczynić, co w jej mocy, by pomóc Audrze. Niestety, jak na razie, nic się nie udało załatwić. Wyglądało na to, że nie było żadnych wolnych miejsc w szpitalach Leeds i okolicy.

Audra jednak nie przejmowała się zbytnio tą sytuacją, bo i Gwen zdołała sobie znaleźć posadę zaledwie w miejskim ambulatorium w Leeds. Choć bez przyjaciółki czuła się samotna, to nie traciła optymizmu i pogody ducha.

Przez ostatnie trzy miesiące mocno wierzyła, że w końcu nadarzy się jakaś okazja i gdy teraz podchodziła do drzwi gabinetu, zastanawiała się, czy to jest właśnie ta chwila. Poprawiła mankiety, wygładziła uniform i zapukała w oszklone drzwi. Na zaproszenie zarządzającej weszła do środka. Margaret Lennox siedziała za dużym, pokrytym dokumentami biurkiem.

Miała na sobie granatową, obcisłą sukienkę i mały biały czepek, który oznaczał najwyższą pozycję w pielęgniarskiej hierarchii. Wyglądała groźniej niż zwykle. Ale Audra wiedziała, że ta tak surowo wyglądająca kobieta ma najlepsze serce.

Przełożona podniosła oczy i uśmiechnęła się na widok Audry, która była jej ulubienicą. Miała dla tej dziewczyny wiele uznania i szacunku. Znała jej historię z akt personalnych. Nigdy nie przestawała jej zdumiewać siłą charakteru dziewczyny.

– Ach, to ty, Audro – rzekła uprzejmie – wejdź i usiądź. Mam z tobą do omówienia pewną sprawę.

– Tak, siostrze przełożona – Audra podeszła do biurka i usiadła na krześle jak zawsze sztywno wyprostowana, z rękami złożonymi na kolanach. Duże, niebieskie oczy patrzyły bezustannie na twarz zarządzającej.

Margaret Lennox spojrzała na trzymany w ręku list, a potem położyła go na biurku.

– Audro, sądzę, że mam dla ciebie posadę w Leeds.

Błysk radości rozjaśnił twarz dziewczyny. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zanim to zrobiła, przełożona podniosła rękę mówiąc:

– Jedną chwilę. Nie podniecaj się... w każdym razie nie teraz. Muszę ci wyjaśnić, że nie jest to ten rodzaj zajęcia, jakiego szukałaś. Niestety, nie jest to praca w szpitalu.

– Och! – zawołała Audra i posmutniała. – Rozumiem...

– Wiem, iż jesteś rozczarowana, że nie udało mi się znaleźć czegoś odpowiedniego – kontynuowała ze zrozumieniem przełożona. – Jednakże myślę, że powinnaś rozważyć tę propozycję prywatnej posady, zwłaszcza że zależy ci na wyjeździe do Leeds.

– Naturalnie, że tak zrobię, siostrze przełożona.

– To rozsądne z twojej strony. A teraz, Audro, posłuchaj. Mam tu list od pani Bell, żony znanego adwokata z Leeds, która szuka niani. Skontaktowała się ze mną, by znaleźć odpowiednią kandydatkę w naszym szpitalu. Oczywiście, od razu pomyślałam o tobie.

Margaret Lennox wyjaśniła następnie, że poznała panią Bell przez wspólną pracę w ruchu sufrażystek, jeszcze przed Wojną światową, i że od tej pory pozostają w przyjaznych stosunkach.

– Bardzo cenię panią Bell – dodała. – Ma ona wiele osiągnięć w swej pracy i jestem przekonana, że przypadniecie sobie do gustu. Z tego, co napisała, wynika, że zajęcie nie będzie trudne. Chodzi o opiekę nad jednym dzieckiem, pięcioletnim chłopcem. Pozostała trójka jest dużo starsza i przebywa poza domem. Co o tym myślisz, Audro? – przełożona podniosła pytająco brwi. – Czy cię to interesuje?

Audra słuchała z przejęciem i zrozumiała, że byłoby głupotą odrzucić taką możliwość bez próby sprawdzenia się. Dlatego też natychmiast odpowiedziała:

– Tak, siostrze przełożona.

– Jestem przekonana, że dasz sobie radę z tą pracą bez większych trudności – powiedziała Margaret Lennox. Po czym oparła się o krzesło, spłótła palce obu dłoni i przypatrywała się Audrze przez chwilę, nim się znowu odezwała: – Tak doskonale radzisz sobie z dziećmi, Audro. Wiem, że będziesz dobrą nianią. Ale jesteś także *niezwykłą* pielęgniarką, prawdziwą uzdrowicielką, a to jest rzadkością. Nie zapominaj nigdy, że posiadasz tę godną uwagi umiejętność, którą można by nawet nazwać darem, talentem.

– Nie, nie zapomnę – odrzekła Audra, rumieniąc się z radości; potem wyszeptwała swe podziękowanie za życzliwe słowa i wiarę w nią.

– Miałam w związku z tobą pewne specjalne plany tutaj, w naszym szpitalu, Audro – kontynuowała przełożona. – Przewidywałam, że szybko będziesz awansować. – Uśmiechnęła się dobrotliwie do młodej dziewczyny, a potem uniosła ramiona gestem wyrażającym rezygnację. – Cóż, jest, jak jest. Ale, jak ci to już powiedziałam, nie będę na ciebie wywierać żadnych nacisków.

– Tak, wiem o tym, siostrze przełożona. Doceniam też wszystko, co pani dla mnie zrobiła.

Margaret Lennox uśmiechnęła się słabo i zakończyła już bardziej rzeczowym tonem:

– Dzisiaj zadzwonię do pani Bell i umówię cię z nią na spotkanie. Szczegóły przekażę ci po tej rozmowie. A tymczasem wracaj do swych obowiązków.

– Jeszcze raz bardzo dziękuję – powiedziała Audra wstając.

Jechała do Leeds. Miała spotkać się z panią Ireną Bell z Calpher House w Upper Armley.

Audra odniosła wrażenie, że będzie to niezwykle wydarzenie. Śmiała się sama z siebie, bo przecież miała to być tylko normalna rozmowa dotycząca przyszłej pracy. Z drugiej jednak strony, jeśli wszystko pójdzie dobrze, to nareszcie w jej życiu dokonają się duże zmiany. To może nawet być początek nowego życia.

Ta myśl dodała sprężystości jej krokom, kiedy szła przez rynek w Ripon, zmierzając do małej stacji kolejowej na linii północnej. Oczy Audry lśniły takim blaskiem, jej młoda twarz była tak rozpromieniona tego ranka, że kilka osób odwróciło się, by jeszcze raz na nią spojrzeć. Dziewczyna jednak tego nie zauważała. Nie zwracała również uwagi na pogodę, a dzień był nieprzyjemny, wyjątkowo zimny, niebo zasnuły ołowiane chmury zwiastujące śnieg. Audra była jednak podniecona i pełna oczekiwaniami. Jeszcze tydzień temu nie słyszała o rodzinie Bellów, a dziś przemierzyła pół Yorkshire, aby starać się u nich o posadę.

A co będzie, jeśli Bellowie jej się nie spodobają?!

Na tę myśl zwolniła kroku, ale tylko na ułamek sekundy. Idąc dalej wyjaśniała sobie, że jeśli mieszkańcy Calpher House nie okażą się odpowiednimi chlebobawcami, to grzecznie się wycofa.

Na stacji pośpiesznie skierowała się na peron, na którym, wypuszczając kłęby pary, stał już pociąg do Leeds. Szybko weszła do pustego przedziału pierwszej klasy. Usiadła w rogu Przy oknie, a po paru minutach pociąg ruszył.

Ponieważ w przedziale było bardzo ciepło, Audra zdjęła rękawiczki i rozpięła płaszcz. Wiedziała, że dziś wygląda bardzo szykownie.

Na wyprawę do Leeds wybrała swój szary płaszcz, który, choć kupiony na wyprzedazy przed dwoma laty, ciągle wyglądał modnie. Pod

płaszczem miała prostą w kroju spódniczkę z szarej wełny i dobrany kolorem sweterek sięgający bioder. Razem obie te części garderoby tworzyły kreację miłą dla oka.

Czarne czółenka na słupkowym obcasie podwyższały ją. Miało to dla Audry szczególne znaczenie, gdyż zawsze starała się dodać sobie kilka cali.

Jedynymi ozdobami, które miała na sobie, były broszka z kameą, niegdyś należąca do matki, i stary, ale bardzo ceniony przez nią zegarek.

Kiedy Audra gościła we wrześniu u Thorntonów, Gwen dała jej kapelusz z filcu w kolorze śliwkowym w kształcie doniczki, mówiąc:

– Oto mój najbardziej nieudany zakup! Wyglądam w nim strasznie: jak ziarnko grochu na patyku. Ale dla ciebie będzie idealny.

Gwen miała rację. Przylegający do głowy kształt kapelusza doskonale nadawał się dla Audry, która przeznaczyła go tylko na specjalne okazje. Ścisłej mówiąc, włożyła go dziś po raz pierwszy. Teraz jednak zastanawiała się, czy nie jest on zbyt niestosowny na spotkanie z panią Bell. Otworzyła więc torebkę, aby raz jeszcze zerknąć w lusterko. Upewniła się, że wszystko jest w porządku. Kolor kapelusza dobrze harmonizował z resztą ubrania, które było skromne, ale eleganckie. Była więc pewna, że zrobi na pani Irenie Bell dobre wrażenie.

Podczas gdy pociąg toczył się w kierunku Leeds, myśli Audry zaprzętała kobieta, z którą miała się zobaczyć. Zaczęła sobie przypominać to wszystko, co powiedziała jej zarządzająca.

Audra doszła na tej podstawie do wniosku, że Irena Bell jest kobietą interesu z wyraźnymi aspiracjami intelektualnymi, kimś w rodzaju sawantki. Związana z ruchem feministycznym, wiele czasu poświęcała walce o prawa kobiet. Zgodnie ze słowami siostry przełożonej, pani Bell była wielką administratorką Nancy Astor, żony lorda Astora, Amerykanki, która jako pierwsza kobieta została członkiem brytyjskiego parlamentu. Pani Bell brała również udział w życiu politycznym,

pracując dla partii konserwatywnej; nie ukrywała swych ambicji, że chciałyby kiedyś zasiadać w Izbie Gmin.

Audra nie wątpiła, że Irena Bell to kobieta ze wszech miar interesująca i zupełnie inna niż wszystkie, które dotąd spotykała. Oczywiście, z wyjątkiem Margaret Lennox, którą szanowała i nawet trochę idealizowała. Audra wyglądała przez okno pociągu, ale nie widziała przesuwających się pól i żywopłotów, gdyż starała się wywołać w wyobraźni obraz pani Bell. Skoro była wieloletnią przyjaciółką przełożonej i miała dorastające dzieci, to musiała być kobietą po czterdziestce, osobą surową i poważną, może nawet trochę podobną do panny Lennox.

Wnioski te wysnuła głównie z tonu listu, który otrzymała od pani Bell. Był niezwykle rzeczowy, a wskazówki o tym, jak dojść do Calpher House, brzmiały jasno i precyzyjnie.

Po raz drugi już w ciągu kilku ostatnich dni zwróciła uwagę na to, że pani Bell musi być osobą wyjątkowo dbałą i uprzejmą, gdyż przysłała jej bilet pierwszej klasy, zamiast tańszego, czego można było w tych okolicznościach oczekiwać. Było to wyrazem dużej troskliwości, zapowiadającym dobrą przyszłość, przynajmniej zdaniem Audry.

Nagle uświadomiła sobie, że jest bardzo ciekawa Ireny Bell i że z niecierpliwością czeka na to spotkanie.

Punktualność była jedną z mocnych stron Audry. Przez całą podróż więc spoglądała na zegarek, modląc się, aby pociąg przyjechał na czas. Z ulgą stwierdziła, że tak się stało.

Po opuszczeniu ciemnego i posępnego dworca znalazła się pośród tłumu pieszych i ożywionego ruchu na jezdni. Przez kilka chwil hałas i gorączkowy ruch największego przemysłowego miasta północnej Anglii oszołomił ją i zaskoczył. Kakofonia dźwięków stanowiła ogłuszający kontrast z sielankową ciszą sennego półwiejskiego Ripon. Ponieważ jednak nic na dłuższy czas nie mogło jej zbić z tropu, to i teraz stosunkowo szybko oswoiła się z otoczeniem. Po chwili już była gotowa stawiać czoła wszystkiemu w tym oczekującym na nią nowym i ekscytującym świecie... Wcisnęła więc torebkę pod pachę i zdecydowanie

przeszła przez City Square, gdzie stał pomnik Czarnego Księcia na koniu. Znalazła bez trudności właściwy przystanek tramwajowy i po dziesięciu minutach oczekiwania wsiadła do wagonu jadącego w kierunku Whingate. Był to końcowy przystanek w Upper Armley. Pół godziny później wyszła z tramwaju, rozglądając się dokoła z zainteresowaniem. W końcu niewykluczone, że i ona tu będzie mieszkać.

Z prawej strony miała mały skrawek parku otoczony żelaznym ogrodzeniem i starannie przyciętym żywopłotem, który, jak napisała pani Bell, nazywał się Charlie Cake Park. Z lewej zaś znajdował się wielki budynek z czerwonej cegły. To, domyśliła się, była szkoła średnia dla chłopców.

Audra dokładnie wiedziała, jak dotrzeć do celu. Poszła więc spieszonym krokiem, spoglądając uważnie dokoła. Natychmiast dostrzegła, że przedmieście Upper Armley było malowniczo położone i pełne wiktorjańskiego wdzięku. Chociaż niebo było szare, a krajobraz pozbawiony zieleni, to łatwo można sobie wyobrazić, jak tu ładnie musi być latem.

Podążając zgodnie ze wskazówkami pani Bell, Audra doszła do Greenhill Road w kierunku Hill-Top, gdzie właśnie znajdował się dom Bellów.

Popołudnie było chłodne i wietrzne, musiała więc przytrzymywać kapelusz ręką, gdy walcząc z lodowatym wiatrem szła pod górę. Kiedy dotarła na szczyt wzgórza i zatrzymała się przed kutą, żelazną bramą, drżała z zimna. Na bramie znajdowała się lśniąca, mosiężna tabliczka z napisem *Calpher House* wykonanym oryginalnymi ozdobnymi literami. Teraz wiedziała, że dotarła do celu.

Rozdział siódmy

Irena Bell w niczym nie przypominała obrazu ukształtowanego w wyobraźni Audry. Kobieta, która szła do niej po długim, wytwornym tureckim dywanie, była wysoka, smukła i bardzo elegancka. Miała

kasztanowe włosy z lśniącym czerwonym odcieniem, krótko przycięte i modnie ułożone, z grzywką nad cienkimi brwiami i aksamitnymi brązowymi oczami, błyszczącymi ożywieniem. Wydatne kości policzkowe i cienki arystokratyczny nos były upstrzone piegami, szerokość ust podkreślała jaskrawa pomadka.

Irena Bell oszałamiała swym wyglądem, swym własnym stylem, który graniczył z wyzywającą krzykliwością.

Szła szybkimi krokami przez piękny, pełen antyków biało-niebieski salon wprost ku Audrze. W sposobie poruszania się przypominała odważnego chłopca; wyglądała też, jakby była znacznie młodsza, niż przypuszczała Audra.

Suknia z czerwonego wełnianego jerseyu podkreślała tę wewnętrzną młodzieńczość luźną górą i raczej krótką plisowaną spódnicą, która falowała wokół wspaniałych nóg.

Bystrooka Audra natychmiast rozpoznała suknię. Tydzień temu w letnim numerze „Harper's Bazaar” widziała jej fotografię. Był to model zaprojektowany przez młodą francuską projektantkę, Gabrielle Chanel, która obecnie była szalenie *en vogue*.

– Witam! – zawołała pani Bell, wyciągając rękę do swego gościa.
– Jak to miło, że mogę panią poznać, panno Kenton.

Audra poczuła wyjątkowo mocny uścisk dłoni. Irena Bell pociągnęła ją za sobą w stronę dwu olbrzymich kanap, stojących naprzeciw siebie przed kominkiem.

– To uprzejmie z pani strony, że zechciała pani odbyć taką daleką podróż i to przy tej pogodzie. Tak, to naprawdę bardzo uprzejmie. Proszę, niech pani usiądzie. Tak, obok kominka. Trzeba się ogrzać po podróży. Kucharka już przygotowuje gorącą czekoladę; Cora zaraz ją przyniesie. Mam nadzieję, że lubi pani gorącą czekoladę. A może woli pani herbatę lub kawę?

– Dziękuję bardzo, chętnie wypiję czekoladę – odparła Audra, przycupnąwszy ostrożnie na krawędzi niebieskiej, aksamitnej kanapy. Jej uważne spojrzenie zatrzymało się na pani Bell, która usiadła naprzeciwko.

Teraz, kiedy widziała ją z bliska, zdała sobie sprawę, że oceniając wiek pani Bell wcale tak bardzo się nie pomyliła. Zdecydowanie

przekroczyła czterdziestkę, ale była doskonale „zakonserwowana” i zadbana. Niemniej jednak dokoła oczu i ust miała zmarszczki. Zachowała jednak doskonałą figurę, a we włosach nie widać było siwizny, choć miały naturalny kolor. Jej żywotność, energiczne ruchy i dynamiczny sposób wysławiania się potęgował wrażenie młodości.

Audra intuicyjnie wiedziała, że polubi tę kobietę, choć przebywała w jej towarzystwie zaledwie od kilku minut. Była w Irenie Bell otwartość i bezpośredniość, uczciwość i rzeczowość. Pojęła więc od razu, że wiele je ze sobą łączy. Usiadła teraz wygodniej i rozluźniła się; nagle poczuła, że tu, w Calpher House, jest jej dobrze. Ona, która wobec obcych zawsze była skępowana i zawstydzona, przy pani Bell czuła się zupełnie swobodnie.

Irena Bell utkwiała w Audrze swe inteligentne spojrzenie, jakby próbowała ją ocenić, nie uwidoczniając jednak tej intencji.

– Czuję się właściwie trochę niezręcznie, panno Kenton – odezwała się pogodnym głosem. – Mam na myśli to, że zaprosiłam panią tu na rozmowę. Przełożona Lennox dała pani taką znakomitą rekomendację, że miałam zamiar zaangażować panią telefonicznie, nie trudząc się osobistym spotkaniem. – Jej aksamitne oczy promieniowały humorem, gdy dodała: – Ale wtedy zdałam sobie sprawę, jak bardzo byłoby to nie fair wobec pani. W końcu ważne dla pani jest to, żeby pani *nas* polubiła. Żeby pani chciała mieszkać i pracować w Calpher House. Dlatego uznałam, że powinnam dać pani możliwość przyjechania tu i poznania *nas*.

Irena Bell roześmiała się, odchyliła się do tyłu i oparłszy łokieć na stercie poduszek, dyskretnie dalej obserwowała Audrę, nie chcąc wprawiać jej w zakłopotanie. Była zaintrygowana tą młodą kobietą, która siedziała naprzeciw niej i zachowywała się z taką gracją i godnością. Margaret Lennox narysowała słowami czarujący portret i najwidoczniej nie przesadziła. Audra Kenton była niższa, niż się spodziewała, wręcz krucha, ale nie o fizyczną wytrzymałość jej przecież chodziło. Gdy się poszukuje opiekunki do dziecka, to siła charakteru, moralność,

subtelność i pociągająca osobowość mają zasadnicze znaczenie. Ta dziewczyna miała wszystkie te cechy, a nawet, zdaniem Margaret Lennox, której opinii ufała, coś ponadto.

– Przełożona powiedziała mi, że pani i ja będziemy do siebie pasować, pani Bell, a także, że poradzę sobie z moimi obowiązkami bez trudności – Audra patrzyła przenikliwie na swą rozmówczynię i kontynuowała: – Ale właśnie o pracy nic dokładniej nie mówiła. Czy byłaby pani tak uprzejma i podała mi jakieś bliższe szczegóły?

– Ależ naturalnie! Powinam wszystko dokładnie wyjaśnić. A więc tak. Jak pani wie od przełożonej, będzie pani całkowicie odpowiedzialna za nasze najmłodsze dziecko, jedyne syna. Nasze trzy córki są dorosłe. Najstarsza, Pandora, jest z nami w domu, dwie młodsze, Felicity i Antonia, są w szkole z internatem. Pozwoli pani, że wyjaśnię jeszcze coś. Otóż ja chodzę codziennie do pracy. Prowadzę przędzalnię wełny, którą odziedziczyłam po ojcu. Mam również w Leeds ekskluzywny salon z damską konfekcją. Nazywa się Moda Paryska. Jestem pewna, że zna go pani.

– Żałuję bardzo, pani Bell, ale niestety, nie. – Audra pokręciła głową przecząco. – Jedyne sklepy w Leeds, jaki znam, to dom towarowy Harte. Byłam tam raz z moją przyjaciółką Gwen.

– Mój sklep z sukniami nie jest tak duży jak dom Emmy Harte, ale nasze importowane z Francji suknie zaczynają rywalizować ze sprzedawanymi u niej. Wracając jednak do tematu. Ponieważ większość dnia jestem poza domem, muszę mieć do opieki nad dzieckiem osobę odpowiedzialną. Osobę taką jak pani. Jeśli zaś chodzi o warunki tutaj, to będzie pani miała piękny pokój z widokiem na ogród, z łazienką, usytuowany obok pokoju dzieciennego. Zapewniamy pani jeden wolny dzień w tygodniu i co drugą niedzielę oraz tydzień wakacji. Ja wyposażę panią w trzy bawełniane uniformy na lato plus letni płaszcz i kapelusz. Takie same ubrania odpowiednio na zimę. A jeśli chodzi o zapłatę...

Pani Bell przerwała słysząc pukanie do drzwi. Do pokoju weszła pulchna, młoda pokojówka. Nieco zbyt pośpiesznie popychając przed sobą stolik na kółkach z zastawą, zatrzymała go przed panią domu.

– Ach, jesteście wreszcie, Coro! – zawołała pani Bell. – Przysuń ostrożnie stolik bliżej ognia. Coro, to jest panna Kenton, która, czego szczerze pragnę, wkrótce zamieszka w Calpher House jako nowa niania.

Stolik z zastawą popychany przez Córę zatrzymał się z brzękiem. Dziewczyna wpatrywała się w Audrę badawczym spojrzeniem. Po chwili, zaakceptowawszy gościa, uśmiechnęła się szeroko.

– Miło mi poznać panienkę – powiedziała i ruszyła z wózkiem, który toczył się z raczej niebezpieczną szybkością.

Audra uprzejmie skłoniła głowę i też odpowiedziała z uśmiechem:

– Dzień dobry, Coro.

Irena Bell odprawiła pokojówkę skinieniem głowy, po czym podniosła srebrny dzbanek i ostrożnie napełniła dwie duże filiżanki.

– Mamy doskonałą kucharkę, panią Jackson – zwróciła się do Audry. – Kamerdynerem jest pan Agiter. Sądzę, że wchodząc widziała pani już Dodie, drugą pokojówkę?

Audra przytaknęła. Wstała, podeszła do stolika i wzięła podaną jej filiżankę czekolady.

– Proszę, niech pani spróbuje także gorących pasztecików naszej kucharki, panno Kenton. Są znakomite. Cieszę się w okolicy dużą sławą.

– Dziękuję – Audra postawiła filiżankę na mahoniowym stoliku stojącym obok lampy, włożyła sobie na talerzyk jeden pasztecik i wróciła na swoje miejsce.

Popijając czekoladę pani Bell ciągnęła dalej:

– Jak już zaczęłam mówić, wynagrodzenie pani będzie wynosić sześćdziesiąt funtów rocznie. Jest to o dziesięć funtów więcej, niż płaciłam ostatniej niani. Przełożona Lennox uprzedziła mnie, że ze względu na kwalifikacje byłoby niewłaściwe proponować pani mniej niż sześćdziesiąt funtów. – Irena Bell nachyliła się w stronę Audry

i zapytała z przejęciem: – A więc, panno Kenton, czy jest pani zainteresowana objęciem tej posady? – Starannie narysowane brwi uniosły się wymownie w górę.

Audra była i zdziwiona, i uradowana wysokością proponowanego wynagrodzenia. Odpowiedziała bez wahania:

– Jestem zainteresowana, pani Bell. Bardzo. Jednakże, zanim powiem ostatecznie „tak”, chciałabym zobaczyć pani synka – spojrzała na panią Bell otwarcie, z uśmiechem pełnym szczerości i słodyczy. – Jestem przekonana, że go polubię, ale chciałabym być pewna, że *on* polubi *mnie*.

– To właściwa postawa, panno Kenton. Bardzo, ale to bardzo się cieszę, że dołączy pani do naszej małej rodziny.

Na twarzy Ireny Bell, tak zawsze żywej i pełnej ekspresji, widać było teraz wyraz zadowolenia i ulgi. Jej wesoły śmiech zadźwięczał w pokoju.

– Wiem, że dziecko przylgnie do pani. Jak mogłoby być inaczej? W tej chwili śpi po obiedzie, ale zobaczy go pani później. I zanim nas pani opuści, oprowadzę panią po Calpher House i przedstawię całą służbę.

Samochód zatrzymał się przed główną pocztą na City Square. W chwilę później szofer w liberii otworzył drzwiczki i pomógł Audrze wysiąść.

– Bardzo dziękuję, Robertson – powiedziała dziewczyna z miłym i uprzejmym uśmiechem.

– To przyjemność dla mnie, panienko. Dobranoc, panienko. – Dotknął daszka czapki i pośpieszył zająć miejsce przy kierownicy.

Audra odwróciła się i zrobiła krok w stronę Gwen, która zgodnie z umową czekała na nią na schodach budynku poczty.

Oczy Gwen były rozbiegane. Natychmiast jednak opamiętała się i rzuciła się Audrze na spotkanie. Chwyciwszy ją za rękę, zawołała podnieconym głosem:

– Ho, ho, ależ jesteśmy *wytworni*. Rozbijamy się eleganckimi autami! Kto by to pomyślał!

Audra roześmiała się, widząc niedowierzanie Gwen, ale zaraz wyjaśniła:

– Pani Bell zatrzymała mnie w Calpher House trochę dłużej, niż oczekiwałam, więc w końcu zaczęłam się denerwować. Nie chciałam, żebyś wyczekiwała na tym zimnie. Dlatego też odesłała mnie samochodem.

– To bardzo uprzejmie z jej strony – zawołała Gwen, na której zrobiło wrażenie nie tylko auto, ale również sama pani Bell. Spojrzała na Audrę w twarz i spytała. – No i jak? Czy przyjechałaś tę posadę?

– Tak, Gwen, przyjechałam.

– Och, kochanie! Tak się cieszę! – I Gwen objęła Audrę ściskając ją ze wszystkich sił. Obejmując się odtańczyły kilka kroków jiga, a potem wybuchnęły głośnym śmiechem. Radość ta została przerwana przez męski głos, który powiedział:

– Jeśli będziecie się zachowywać jak pomyłone i to w dodatku na City Square, to przysłać po was wóz z kaftanami bezpieczeństwa.

– O, cześć, Charlie – powiedziała Gwen do brata, który stał przed nimi z rękami w kieszeniach i przyglądał się z rozbawieniem. – Widzę, że przyszedłeś w samą porę.

– Jak zawsze – uśmiechnął się Charles Thornton do siostry, a potem do Audry i dodał z wyrazem zachwytu na twarzy: – Witaj, Audro.

Na widok Charliego serce w niej zamarło, gdyż nie spodziewała się, że spędzi z nimi wieczór, jak widocznie zaplanował. Chciała być sama z Gwen. Nie widziały się od kilku tygodni i miały sobie dużo do powiedzenia, zwłaszcza teraz, gdy przyjechała pracę u państwa Bellów.

– Hallo – odpowiedziała spokojnie, podając mu rękę zadowolona, że ma na niej rękawiczkę, bo dłonie Charliego zawsze były takie wilgotne, nawet gdy było zimno jak dziś.

W ogóle to bardzo się pocił i chociaż Audra dobrze wiedziała, że to nie jego wina, uważała jednak, że jest to odrażające. Lubiła Charliego jako człowieka, ale nigdy nie pragnęła, żeby był jej chłopakiem. To było życzenie Gwen i to ona zawsze usiłowała ich ze sobą zbliżyć.

Audra chciała jakoś powstrzymać te zapędy, bo Charlie Thornton wcale nie był w jej typie. Nie dlatego, żeby nie był atrakcyjny. Wysoki, dobrze zbudowany, właściwie bardzo męski, choć podejrzewała, że utyje, gdy będzie starszy. Miał blond włosy, jasną cerę i sympatyczne szare oczy. Jego twarz, tak jak i cała osobowość, była bez wyrazu. Nie mogła powstrzymać się od myśli, że był trochę ślamazarny; uważała też, że jest straszliwie nudny. Wiedziała, że to na pewno człowiek wartościowy, lecz intuicyjnie wyczuwała w nim słabość i bezradność.

– Charlie chce nas później zabrać do kina, Audro – wyjaśniła Gwen. – Zaprasza nas na nowy film z Mary Pickford. Czy to nie miło z jego strony?

– Ależ tak, oczywiście – pośpiesznie potwierdziła Audra, zmuszając się do uśmiechu.

– A więc nie stójmy tutaj jak trzy zmokłe kury – Gwen jak zawsze wzięła sprawy w swoje ręce. – Do rozpoczęcia filmu mamy jeszcze godzinę, chodźmy więc do Café Betty napić się herbaty.

Audra i Charlie zgodzili się bez protestu.

Zrobiło się jeszcze zimniej, gdyż śnieg, na który zbierało się cały dzień, zaczął sypać drobnymi płatkami. Niskie niebo gwałtownie pociemniało i szybko zaczął zapadać zmierzch. Charlie ujął obie dziewczyny pod ręce i razem pośpieszyli w kierunku Commercial Street, gdzie znajdowała się kawiarnia. Kiedy już skręcili w ulicę, nagle stanęli wpatrując się w okna domu towarowego Emmy Harte. Wystawy były już świątecznie udekorowane i przyciągały wzrok migotaniem kolorowych świateł i scenami z bajek. W jednym oknie wystawowym przedstawiono Kopciuszka przybywającego na bal w lśniącej szklanej karocy, w drugim zaś Jasia i Małgosię, stojących przed piernikowym domkiem. Trzecie okno było poświęcone Królowej Śniegu w całym jej śnieżnym przepychu.

– Jakież to piękne – wyszeptła Audra i pomyślała o High Cleugh i wspaniałych świętach Bożego Narodzenia ze swego dzieciństwa.

– Tak, rzeczywiście – zgodziła się Gwen i pociągnęła ją za rękę. – Chodź, kochanie, śnieg sypie coraz mocniej. Zupełnie przemokniemy.

Gwen trzymała Audrę pod rękę i przez całą drogę mówiła bez przerwy, potwierdzając swą reputację gaduły. Charlie od czasu do czasu usiłował wtrącić coś od siebie, Audra zaś milczała i rozmyślała.

Nagle poczuła się nie w porządku wobec Charliego, który nic właściwie nie zawinił i chciał jak najlepiej. *Wszyscy* Thorntonowie byli tacy i wszyscy byli dla niej bardzo dobrzy. Pani Thornton zawsze powtarzała, że Audra powinna ich dom traktować jak swój własny. Mały pokój na końcu korytarza, który służył jako schowek, przekształciła w sypialnię przeznaczoną specjalnie dla niej i nalegała, żeby Audra trzymała tu trochę swoich ubrań i drobiazgów toaletowych.

W przyszłym tygodniu przyjedzie do Horsforth spędzić święta z Gwen. Wiedziała, że Thorntonowie potraktują ją jak kogoś z rodziny, co zresztą robili zawsze. Były w nich jakieś nieprzebrane pokłady szczodrości i życzliwości. A ja jestem niewdzięczna – myślała o sobie Audra. Wiedziała przecież, jak zadowolona byłaby Gwen, gdyby okazała Charliemu więcej zainteresowania. Postanowiła więc być dla niego miła, ale nie aż tak, by mógł z tego wyciągnąć fałszywe wnioski. *Nie wolno dopuścić do nieporozumienia*, bo to byłaby katastrofa. A po świętach – pomyślała ze zdecydowaniem – wytłumaczy Gwen, najładniej i najdelikatniej, jak się sprawy mają: że wcale nie szuka męża.

Rozdział ósmy

Ranek był bardzo zimny, wręcz lodowaty.

Audra pomyślała, że może się nawet zmienić w najchłodniejszy dzień tej zimy. Uprzedzał zresztą o tym wczoraj ogrodnik, kiedy wracała ze spaceru. Postawił taczki na ziemi, zmrużył oczy i głąboko

wciągnąwszy powietrze wygłosił swą prognozę:

– Jutro zamarznie panienka na śmierć. Zła pogoda idzie od Morza Północnego. Arktyczna. Wspomnisz moje słowa, dziewczyno.

Audra nigdy nie była za kręgiem polarnym, ale nie wyobrażała sobie, żeby mogło tam być zimniej niż w tej chwili w jej pokoju. Tu była po prostu lodownia. Zdawało się jej, że wysunięty spod kołdry nos zmienia się w sople lodu.

Wsunęła się więc głębiej, okrywając szczelnie ramiona i niemal całą twarz puchową kołdrą. Państwo Bell kupili ich cały tuzin, gdy przed laty byli na urlopie w Monachium.

Kiedy Audra zaczęła pracować w Calpher House, pani Bell powiedziała jej to wszystko. Zwróciła też uwagę, by nie używała ciepłych flanelowych koszul, a raczej cienkie bawełniane. Audra nie bardzo wiedziała, dlaczego tak ma robić; pojęła to dopiero wieczorem, kiedy puchowa kołdra cudownie ogrzała całe jej ciało.

Teraz uśmiechnęła się, przypominając sobie pierwszą spędzoną tu noc, a potem popatrzyła na zegar, który zaczął wybijać godziny. Była dopiero szósta rano, ale Audra była przyzwyczajona wstawać o tej porze. To stary nawyk utwierdzony przez lata pracy w szpitalu. Na szczęście w Calpher House panowały inne porządki i mogła wstawać o siódmej lub nawet trochę później, jeśli miała na to ochotę.

Audra bardzo lubiła tę poranną godzinę, kiedy cała rodzina była pogrążona we śnie i nikt, poza służbą na dole, się nie krzątał. To był jej całkowicie prywatny czas. Cieszyła się więc luksusem przebywania w tym puchowym kokonie, bez potrzeby pośpiesznego wstawania, luksusem leniwego rozmyślenia, czasem nawet marzeń o przyszłości. A tego grudniowego ranka tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku przyszłość rysowała się jej w różowych barwach.

Jej przyszłe lata życia nie mogą być gorsze niż te pięć, które poprzedziły przybycie do Calpher House – przekonywała samą siebie. Z natury optymistka, zawsze widziała życie z najlepszej strony, oczekując dobra, a nie zła. Tego samego oczekiwała i od ludzi, mimo przykrych

doświadczeń z ciotką Alicją Drummond.

Ranę zadaną przez tę pozbawioną ludzkich uczuć kobietę, ukryła głęboko w duszy, mówiąc sobie, że nie każdy jest okrutny, samolubny lub nieuczciwy; że na świecie jest dostatecznie dużo ludzi dobrych i zacnych. Pogląd ten umocniła w niej znajomość z państwem Bell i ich pracownikami. Od pierwszego dnia czuła się tu dobrze i była życzliwie przyjęta. Nie zapominała też, jak szczęśliwy los wygrała, mogąc pracować w takim miejscu.

Dziś mijał dokładnie rok, odkąd rozpoczęła pracę jako niania.

Od pierwszej chwili, gdy przekroczyła próg tego domu, Audra czuła, że tu należy. Miała wrażenie, jakby po długiej podróży powróciła do miejsca, które znała od dawna. W jakimś sensie był to powrót do domu... do High Cleugh. Nie dlatego, że Calpher House w czymś przypominał ukochany dom rodzinny, różnił się bowiem architekturą i wystrojem wewnątrz – ale dlatego, że odczuła tu obecność miłości. Ten ostatni rok był najszczęśliwszym, jaki przeżyła od śmierci matki i rodzinnej tragedii.

Sama też dobrze dopasowała się do Calpher House. Sprzyjały temu jej wychowanie, charakter i usposobienie. Każdy uważał, że przebywanie z nią jest przyjemnością; cieszyła się sympatią chlebodawców i służby. Bellowie byli życzliwi, a służba traktowała ją z szacunkiem, który wyrażał się przyjaznym nastawieniem otoczenia.

Po latach oszczędzania i spartańskiego trybu życia w szpitalu była teraz otoczona takim luksusem i wygodami, jakich nie miała nawet w High Cleugh, gdzie pieniędzy starczało zaledwie na rzeczy podstawowe. Wszystkie małe przyjemności pochodziły od wuja Petera.

Bellom doskonale się powodziło, byli ludźmi zamożnymi i mogli sobie pozwolić na rzeczy najlepsze. Dzięki zaś szczodrej naturze pani Bell w domu było wszystkiego pod dostatkiem.

Z kuchni pani Jackson wychodziły smakowite posiłki i Audra miała możliwość spróbowania takich delikatesów, jak pasztety z gęsih wątróbek,

kawior i wędzony łosoś. Kryształowe talerze pełne słodczy i orzechów zawsze stały na stolikach w eleganckim biało-niebieskim salonie i każdy, kto miał ochotę, mógł się nimi częstować. Nawet codzienne posiłki posyłane do pokoju dzieciennego trudno było nazwać codziennymi ze względu na ich jakość i smak.

Audra uważała, że pani Jackson była kobietą, która mogła w kuchni rywalizować z jej matką. Kucharka często przychodziła na górę, przynosząc im do spróbowania coś ekstra. Ulubionymi przysmakami Audry były: gorący deser czekoladowy, który dosłownie rozpląwał się w ustach i tak zwana „radość bandyty”, czyli danie z gorących ziemniaków przyprawionych miodem i orzechami, które jadło się z piecenią baranią. Audra poprosiła nawet panią Jackson o przepisy na obie potrawy. Przy specjalnych okazjach pan Bell polecał podawać jej kieliszek zimnego, pieniacego się szampana.

Oprócz smacznego jedzenia i dobrych win, które zdawały się bez przerwy płynąć w Calpher House, było tu jeszcze wiele innych rzeczy wskazujących na panujący dostatek.

Niezliczone wazony i wazy z kwiatami i egzotycznymi roślinami zdobiły wszystkie pokoje na dole; najnowsze gazety i magazyny, świeżo wydane powieści i inne książki zapełniały duży owalny stół w bibliotece, były też w gabinecie pani Bell, a przede wszystkim w living-roomie, gdzie z reguły wszyscy zbierali się wieczorami. Miękkie sofy i fotele zachęcały do zajęcia miejsca; duże, puszyste, moherowe szale narzucone były na oparcia foteli i służyły do okrycia ramion w chłodniejsze wieczory.

Początkowo wszystko to zaskakiwało nie przyzwyczajoną do takiego luksusu Audrę, ale szybko do tego przywykła. Prawdą jest, że lubiła wygody, ale nie uważała ich w swym życiu za szczególnie ważne. Prawdziwą przyczyną tego, że czuła się w Calpher House szczęśliwa, było to, że i jej chlebobdawcy, i pozostali domownicy byli naprawdę dobrymi ludźmi, którzy troszczyli się o innych.

Poza tym jednak były również inne powody, dla których ten rok Audra uznała za szczęśliwy.

Listy od braci zawierały dobre wieści i tchnęły większym optymizmem. Zdrowie Fredericka poprawiało się z każdym tygodniem, znacznie też polepszyły się warunki ich życia.

Nareszcie obaj mieli dobrą pracę w Sydney. William pracował w dziale kolportażu sydneyjskiego „Morning Herald”; Frederick został prywatnym sekretarzem przemysłowca, pana Rolanda Mathesona. Audra cieszyła się tym wraz z nimi i była dumna, że tak dzielnie stawiali czoła początkowym niepowodzeniom. Świadomość, iż nie żyją w ubóstwie, sprawiała, że poczucie straty i tęsknota za nimi były łatwiejsze do zniesienia.

Teraz też ona i Gwen mogły spędzać więcej czasu razem. Pani Bell wielokrotnie pozwalała jej zapraszać Gwen do Calpher House i gościć przez noc. Ona sama również często jeździła do Horsforth spędzić wolny dzień z Gwen. Czasem jechały wspólnie tramwajem do Leeds i chodziły po sklepach, bywały w kinie. Niedawno widziały pierwszy film dźwiękowy pt. „Śpiewak jazzowy” z Alem Jolsonem.

Czerwiec był dla Audry szczególnie szczęśliwym miesiącem. Przede wszystkim ze względu na zainteresowanie, jakie wszyscy okazali jej dwudziestymi urodzinami. Jakże różniły się one od ubiegłorocznych! Życzenia od braci nie tylko nie przysły z opóźnieniem, ale nawet dwa dni wcześniej. W dniu urodzin odbyła się w pokoju dziecięcym mała uroczystość z prezentami od państwa Bell i reszty domowników. A tydzień później, w sobotę, pani Thornton i Gwen wydały dla niej przyjęcie u siebie. Podano herbatę w ogrodzie. Stół nakryty białym obrusem ugiął się pod ciężarem różnych wspaniałości: kanapki z ogórkiem i pomidorem, yorkshirskie paszteciki z wieprzowiną, ciasto z pianą nasączone winem, owoce i migdały, truskawki ze śmietaną, wielkie dzbanki gorącej herbaty i tort z dwudziestoma świeczkami, z napisem *Wszystkiego najlepszego, Audro*, z różowego lukru. Każdy członek rodziny obdarzył ją jakimś małym, lecz znaczącym prezentem. Po herbacie wrócili do domu; rozpoczęły się tańce przy gramofonie. Tańczono najmodniejsze charlestony i fokstroty – wszyscy bawili się znakomicie.

Był Charlie, pozostali bracia i jego najbliższy przyjaciel, Mike Lesley, oraz para kolegów z wydziału medycznego. Charlie ciągle jeszcze poświęcał jej dużo uwagi, choć Audra robiła wszystko, aby go do tego zniechęcić.

Po zamieszkaniu u państwa Bell rozmawiała z Gwen o jej bracie i wyjaśniła, najłagodniej jak umiała, że Charlie nie jest dla niej. Poprosiła też Gwen, by dłużej nie zachęcała brata do poważniejszego zainteresowania jej osobą. Gwen powiedziała, że wszystko rozumie i zgodziła się przestać „wzniecąć płomienie”, ale Audra dostrzegła w jej oczach ból i pośpieszyła z wyjaśnieniem, że nie ma nic przeciwko Charliemu, ale w tej chwili mężczyźni w ogóle jej nie interesują. Oświadczyła też stanowczym tonem, że nie ma zamiaru wychodzić za mąż, dopóki nie skończy co najmniej trzydziestu lat.

Gwen, słysząc to, spoglądała na nią ze znaczną dozą sceptycyzmu, ale zrezygnowała z komentarza. W każdym razie do czasu, a dokładniej mówiąc do piątego listopada, kiedy przyjechała do Upper Armley, aby wziąć udział w uroczystościach z okazji Dnia Guy Fawkesa.

Pani Bell powiedziała Audrze, że może zaproponować Gwen, aby spędziła noc w Calpher House, skoro obie mają nazajutrz wolny dzień.

Po herbacie, gdy zaczęło się ściemniać, wyszły na dwór zobaczyć, jak płonie ognisko, które ogrodnik Fipps rozpałił na terenie parku. Razem z całą rodziną brały udział w zabawie, oglądając ognie sztuczne i jedząc gorące kasztany oraz pieczone kartofle, które trzeba było wyciągać z żaru. A później obie poszły na przyjęcie z tańcami, które odbywało się w domu parafialnym przy Ridge Road.

Audra pierwszy raz zobaczyła tego młodego człowieka wtedy, gdy wszyscy tłoczyli się wokół ogromnego ogniska, aby Popatrzeć, jak spłonie wizerunek Guy Fawkesa.

Był sam, stał w pobliżu ganku oparty o ścianę i palił papierosa. Kiedy z nonszalancją rzucał niedopałek na ziemię i rozdeptywał go butem, skierował spojrzenie na zamieszanie przy ognisku i, zauważywszy ją, uśmiechnął się.

Audra odpowiedziała spojrzeniem i doznała dziwnego, zupełnie nieznanego uczucia. Poczuła słabość i brak tchu, jakby ktoś ją uderzył.

Twarz nieznanego oświetlał blask bijący od ogniska i dzięki temu zobaczyła, że ma pociągającą powierzchowność.

Ciemne włosy, wcinające się trójkątem w szerokie czoło, zaczesane były na bok, z przedziałkiem z lewej strony, brwi miał ciemne, oczy zaś jasne. Twarz była wyrazista, o regularnych rysach, ale tym, co uderzyło ją przede wszystkim i zostawiło niezatarte wrażenie, była jej czystość, jasność.

Oczy ich spotkały się i przyłgnęły do siebie. Nieznajomy wpatrywał się w nią z uporem, przenikliwie.

Zarumieniła się po korzonki włosów i szybko odwróciła głowę. W chwilę później, kiedy obie z Gwen wracały do sali parafialnej, Audra zauważyła, że nieznanemu już nie podpierał ściany, i doznała rozczarowania.

Gdy weszły do środka, zaczęła go szukać wzrokiem, lecz wyglądało na to, że znikł. Czekwała na jego powrót, ale już się nie pojawił i dlatego cały wieczorek stracił dla niej urok. W miarę jak mijał czas, Audra czuła, że nie potrafi na dłużej oderwać oczu od drzwi wejściowych. W milczeniu modliła się, żeby wrócił. Było w nim coś takiego, co ją ogromnie zaintrygowało.

Aczkolwiek kilkakrotnie proszono ją do tańca, to jednak większość wieczoru spędziła siedząc pod ścianą wraz z innymi piętuszkującymi dziewczętami. Zadowalała ją rola obserwatora, przyglądającego się tańczącym, zwłaszcza zaś Gwen, która wirowała po parkiecie w ramionach rozmaitych młodzieńców z sąsiedztwa i najwyraźniej doskonale się bawiła. Audra jednak była zdania, że żaden z partnerów Gwen nawet w połowie nie był tak przystojny ani tak atrakcyjny, jak ciemnowłosy młody człowiek, który wcześniej zwrócił jej uwagę.

Już właściwie straciła nadzieję, że pojawi się znowu, gdy nagle ukazał się w drzwiach, lekko zarumieniony i zdyszany, i stanął w drugim końcu sali, rozglądając się dokoła. Dokładnie w tym momencie, w którym dyrygent ogłosił ostatniego walca, spostrzegł ją. Oczy mu

rozbitysty – skierował się przez parkiet wprost do niej. Zatrzymał się i z lekkim uśmiechem poprosił ją do tańca.

Audra, ogarnięta wewnętrznym drżeniem i niezdolna wymówić słowa, skinęła przyzwalająco i wstała.

Był wyższy, niż się jej początkowo wydawało – co najmniej pięć stóp i dziesięć cali, a może i sześć stóp – długonogi, szczupły i smukły, ale o szerokich ramionach. Była w jego zachowaniu swoboda i naturalność, które natychmiast udzieliły się i jej. Poprowadził Audrę na parkiet, władczo otoczył ramieniem i razem unieśli się w rytmie walca „Nad pięknym modrym Dunajem”. W czasie tańca zrobił kilka zdawkowych uwag, ale zakłopotana dziewczyna milczała, wiedząc, że nie potrafiłaby udzielić sensownej odpowiedzi.

– O co chodzi? Jesteś niemową? – zwrócił się do niej w pewnej chwili.

– Nie – udało się jej wreszcie wyszeptać.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem, zmarszczył brwi, ale już się więcej nie odzywał. Wyglądało na to, że albo pogrążył się we własnych myślach, albo skupił uwagę na tańcu.

Gdy muzyka umilkła, podziękował jej grzecznie, odprowadził na miejsce, ukłonił się i odszedł.

Patrzyła za nim aż do drzwi wejściowych. Gdy zaś znikł za nimi, zaczęła się zastanawiać, kim jest i czy go jeszcze kiedyś zobaczy. Bardzo chciała wierzyć, że tak się stanie.

Później, kiedy pośpiesznie wracały do Calpher House, Gwen wybuchła nagle:

– No, no! Muszę powiedzieć, że jak na kogoś, kto krzyczy, że go nie interesują mężczyźni, byłaś zupełnie jak zahipnotyzowana przez tego młodziana, z którym tańczyłaś ostatniego walca. Ale mogę cię zapewnić, Audro, że ten gość to nic dobrego. Na pewno nic dobrego, kochasiu.

– A skąd to możesz wiedzieć? – spytała Audra zaskoczona tymi słowami. – Przecież go nie znasz.

Gwen ujęła ją pod ramię swym zwykłym stanowczym gestem i powiedziała:

– Wystarczy, że na niego spojrzałam. To prawdziwy diabeł. Zawsze podejrzliwie odnoszę się do tych ładniutkich. *Bardzo podejrzliwie*. Zwykle kończy się tym, że łamią serce jakiejś biednej dziewczynie, a może nawet kilku naraz. Dużo lepiej wyszłabyś z kimś takim jak nasz Charlie, Audro. Wiesz dobrze, co on czuje do ciebie, kochasiu. *On się nie zmienił*.

Audra nie odpowiedziała. Uwagi Gwen o nieznanym zirytowały ją i zaniepokoiły. Uważała bowiem, że są bezpodstawne i w obecnych okolicznościach trochę nedorzeczne. Właściwie oparte wyłącznie na domniemaniu. Dlatego też po raz pierwszy, odkąd się przyjaźniły, gniewała się na Gwen. Następnego ranka, jeszcze trochę rozdrażniona, starannie unikała wszelkich aluzji do minionego wieczoru. Obie więcej już nie rozmawiały o nieznanym.

Audra jednak nie przestawała o nim myśleć. W następnych dniach często przywoływała w pamięci różne szczegóły tego wieczoru, związane z nieznanym. To, jak na nią patrzył – uważnie, przenikliwie – niezwykle zielonymi oczyma, te burzliwe emocje, które w niej wzbudził, a które uważała, że istnieją tylko w powieściach... Wspominała zwinność jego ruchów, gdy wodził ją w tańcu po parkiecie, prawdziwie klasyczne piękno jego twarzy, tak niezwykle u mężczyzny.

Teraz, prawie dwa miesiące później, Audra ciągle zadawała sobie pytanie, dlaczego dotąd nie natknęła się na niego w Upper Armley. Od tamtego pamiętnego wieczoru ciągle na to czekała i nie przestawała go wypatrywać, gdy wychodziła na spacer z dzieckiem. Była przekonana, że młody człowiek pochodzi z tych stron, gdyż zdołała rozpoznać miejscowy akcent.

Kiedy tak myślała o nim, przed oczami pojawiała się jego twarz i w uszach dźwięczał głos. Pomimo ciepłej kołdry przeszedł ją nieoczekiwany dreszcz. Zaciśnęła mocniej ramiona dokoła ciała i wyobraziła sobie jego twarz na poduszce obok swojej, starała się sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby ją całował, dotykał, obejmował. Od tamtego krótkiego spotkania tajemniczy młody mężczyzna prześladował ją, pojawiał się w jej myślach o najdziwniejszych porach.

Niebawem Audra otworzyła oczy i spróbowała stłumić nie znane sobie dotąd emocje. Zanim go spotkała i zatańczyła z nim, nigdy nie doznawała pragnień seksualnych, ostatnio zaś pojawiły się nowe, nieznanne uczucia, które ją przerażały i podniecały równocześnie. Wtuliła twarz w poduszkę, chcąc odsunąć od siebie wspomnienia, i nagle odkryła, że nie potrafi wymazać z pamięci jego twarzy i tych niezwykłych oczu. Wiedziała teraz, że go pragnie.

Odwróciła się na plecy i leżała nieruchomo, wpatrując się w sufit szeroko rozwartymi oczami. Rozmyślała, co zrobi, jeśli nie spotka go ponownie. Ogarnęła ją rozpacz, ale natychmiast stłumiła ją w sobie, wierzyła bowiem, że spotka go na pewno i że poznają się lepiej. Wręcz bardzo dobrze, przeczuwała to.

Nagły hałas na korytarzu przy drzwiach jej pokoju rozdarł ciszę poranka.

Audra usiadła zaniepokojona i zaczęła nadśłuchiwać. Usłyszała stłumiony okrzyk, a potem jakieś przyciszzone mamrotanie, któremu towarzyszył odgłos tupocących kroków w przyległym pokoju dziecinnym. Domyśliła się, że to pokojówka wykonuje swoje poranne obowiązki ze zwykłą sobie hałaśliwością. Cora, zawsze pogodna i przyjazna światu, była najbardziej niezręczną i niezdarną osobą, jaką Audra spotkała. Nie było dnia, żeby w domu czegoś nie stłukła.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi i za chwilę weszła Cora.

- Dzień dobry, panienko – przywitała ją.
- Dzień dobry, Coro – odpowiedziała Audra.
- Strasznie dziś zimno na dworze, panienko. Arktyczna pogoda, jak powiada Fipps. A co panienka robi dziś wieczorem, panno Audro?
- Nic szczególnego. Moja przyjaciółka, panna Thornton, przez następne dwa tygodnie ma w ambulatorium popołudniową zmianę, więc nie pójdę na żadne noworoczne przyjęcie. Będę tu, w Calpher House.
- Och, pan Agiter zawsze robi przyjęcie dla służby – Cora uśmiechnęła się swym pogodnym uśmiechem i dodała: – W zeszłym roku, gdy panienka tu się zjawiała, to była taka nieśmiała, że chyba by

nie przyszła do nas na dół, ale w tym roku jest inaczej. Niech panienka przyjdzie, tak bym chciała!

– Oczywiście, że przyjdę Coro. Pan Agiter już mnie zaprosił i teraz z niecierpliwością czekam, żeby przyłączyć się do was przed północą na kieliszek szampana i wznieść toast za tysiąc dziewięćset dwudziesty ósmy rok.

Chłopczyk miał na imię Theophilus, w skrócie Theo, i Audra w ciągu minionego roku szczerze się do niego przywiązała. Miał trochę dziwny wygląd – ani zupełnie pospolity, ani też zbyt zwracający uwagę. Gdy zobaczyła go po raz pierwszy, pomyślała, że jest wielką indywidualnością. To okazało się prawdą nie tylko ze względu na wygląd zewnętrzny. Theophilus był pulchny, o idealnie okrągłej buzi, trochę podobnej do łojowego puddingu, ale cerę miał różową. Jasne, miękkie, jedwabiste włosy były proste i skłonne do opadania na dwoje bystrych i przenikliwych czarnych oczu, które przypominały lśniące małe kawałeczki węgla. Zawsze odgarniał spadające pasma niecierpliwym gestem.

Audra często zwracała uwagę, że bardzo ciemne oczy i jasnoblond włosy niezupełnie idą w parze, ale w tym był cały Theophilus. Zdawał się być cały zbudowany z jakichś oddzielnych kawałków, z których każdy był na swój sposób atrakcyjny, choć nie całkiem pasował do reszty.

– Nie jesteś dopasowany, jak należy, kochanie – szepnęła Audra szcزتkując mu włosy.

Zawsze poświęcała kilka minut jego wyglądowi zewnętrznemu, zanim wychodzili na spacer. Dziś było tak samo. Opuściła rękę ze szcزتką, odsunęła się na bok i obejrzała go krytycznie. Potem jeszcze poprawiła mu krawat, popatrzyła z zadowoleniem i schyliwszy się, cmoknęła w policzek.

– No, jesteś gotowy! – zawołała, biorąc chłopca za ręce, żeby pomóc mu zeskoczyć ze stołu. – Błyszczysz dzisiaj, Theo, jak nowy penny.

Chłopiec spojrzał na nią z powagą w zadziwiająco rozumnych i mądrych jak na sześciolatka oczach i odrzekł:

– Mam nadzieję, że tak samo będzie myślał doktor.

Audra powstrzymała uśmiech rozbawienia.

– Jestem pewna, że tak będzie – stwierdziła. – A teraz idź i zobacz się z mamą, ja zaś ubiorę się i pójdziemy.

– O tak, muszę to zrobić, zanim mama pojedzie do Leeds. Dziś mi się należy moje kieszonkowe. – Ze zdecydowanym wyrazem twarzy pomaszerował do drzwi, a potem znikł na korytarzu.

Audra patrzyła w ślad za nim, później zaś odwróciła się i roześmiała do siebie, przechodząc przez obszerny i wygodnie umeblowany pokój dziecienny.

Theophilus Bell nie przestawał jej zdumiewać i bawić. Był dzieckiem przemądrzałym, ale cecha ta nie była przykra dla otoczenia. Kucharka mówiła, że jest „staromodny” i to określenie świetnie doń pasowało. Audra wcale nie dziwiła się, że był właśnie taki – poważny i opanowany. Większość swego krótkiego życia spędzał pośród dorosłych, bo nawet siostry były od niego znacznie starsze. Pandora, która wyszła wiosną za mąż, miała dwadzieścia dwa lata, Antonia dziewiętnaście, a Felicity osiemnaście i obie przebywały w szkole w Szwajcarii. Wszystkie trzy były bardzo wykwintne, dobrze wykształcone, wiele podróżowały i stykały się z różnymi ludźmi, a w domu również z bardzo radykalnymi ideami. Były rozwinięte umysłowo nad swój wiek i miały, co jest zupełnie naturalne, duży wpływ na małego braciszka. Dziewczęta nazywały go „spóźnioną refleksją”, „dzieckiem ostatniej szansy” i Audra, choć nie lubiła tego określenia i uważała je za niemiłe, zdawała sobie sprawę, że była w nim część prawdy. Theo urodził się, gdy pani Bell miała czterdzieści dwa lata, długo po tym, gdy mogła oczekiwać narodzin jeszcze jednego dziecka.

Audra uważała niemal za cud to, że Bellowie nie wpadli w zwykłą w takiej sytuacji pułapkę rozpieszczania i psucia Theo, co zdarza się często, gdy jedyny syn pojawia się bardzo późno, stając się dumą i radością rodziców. Od czasu do czasu pobażano mu, ale wydawało się, że nie wywiera to na niego prawie żadnego wpływu. Nie miał też w

zwyczaju domagać się szczególnych przywilejów ani nie był dzieckiem rozkapryszonym.

Theo był pod wieloma względami podobny do matki. Na pewno odziedziczył po niej bystry umysł, inteligencję i pilność. Jeśli w swej bezpośredniości i szczerości bywał niekiedy kłopotliwy, to jednak pozostawał dzieckiem dobrym, bardzo posłusznym – w ciągu minionego roku nie sprawił Audrze najmniejszego kłopotu.

Dziesięć głośnych uderzeń zegara, dochodzących z sypialni, przywróciło Audrę do rzeczywistości. Theo chorował na gardło i chociaż już czuł się lepiej, miała zaprowadzić go do lekarza na badanie kontrolne.

Idąc pośpiesznie przez pokój zerknęła w lustro, przyglądziła ręką włosy modnie obcięte jeszcze latem i podeszła do stojącej w rogu szafy. Wyjęła ciepły, zimowy płaszcz, gruby, wełniany szal i rękawiczki w przewidywaniu arktycznej pogody, która najwyraźniej już nadeszła, zgodnie z wczorajszą przepowiednią ogrodnika.

Rozdział dziewiąty

Nazywał się Vincent Crowther i był kimś w rodzaju buntownika. Urodził się w tysiąc dziewięćset trzecim roku, dwunastego czerwca na pięć minut przed północą, w czasie najgorszej burzy, jakiej doświadczyło Yorkshire w obecnym stuleciu.

Żarłoczne, krzykliwe, ponad czterokilogramowe niemowlę rozpoczęło życie wrzaskiem, wywijaniem pięściami, z twarzą czerwoną i wykrzywioną. Dzieciak dał taki pokaz złości i temperamentu, że lekarz powiedział akuszerce, iż swą gwałtownością dorównuje szalejącej na dworze burzy.

Później matka nazwała go w sekrecie Wojowniczym Petrelem i wcale nie była zdziwiona, że buntownicze dziecko wyrosło na równie buntowniczego mężczyznę; na odmieńca, który zawsze wyróżniał się w tłumie.

W pewnym sensie miał w sobie coś z urodzonego gwiazdora który przyciąga do siebie innych siłą swej osobowości, wyglądem zewnętrznym i niemalą porcją osobistego uroku. Nie przynosił mu również szkody jego „obrotny język”, jak mawiał jego ojciec.

Pierwszy spośród ośmiorga dzieci Elizy i Alfreda Crowtherów, Vincent jako chłopiec zwracał uwagę niemal dziewczęcą urodą, która jednak przekształciła się w czysto męską przystojność, gdy dorósł i dojrzał. Nigdy też nie budziła wątpliwości jego męskość, która emanowała jakimś szczególnym urokiem. W rezultacie kobiety rzucały mu się w ramiona od chwili, gdy skończył lat szesnaście. Doskonale wiedział, jak z nimi postępować, był mistrzem w uwodzeniu i miłości. Teraz miał dwadzieścia cztery lata.

Jego powierzchowność olśniewała. Lśniące, czarne włosy i brwi stanowiły ostry kontrast przy jasnej karnacji z nieznacznym brzoskwińowym odcieniem; jasnozielone oczy, otoczone długimi, gęstymi, czarnymi rzęsami, miały kolor czystego turmalinu. Oczy i cera były przedmiotem zazdrości jego siostr, tak samo zresztą jak i większości innych kobiet.

Tej zaskakującej kolorystyce i kształtnemu profilowi towarzyszyła atletyczna sylwetka. Miał dokładnie pięć stóp i dziesięć i pół cala wzrostu, muskularne, silne i sprężyste ciało bez grama tłuszczu.

Zawsze schludny, Vincent uważał się trochę za dandysa; kochał ładne ubrania i nosił je z szykiem i elegancją. Gdziekolwiek był, lubił się popisywać, zwłaszcza zaś na parkiecie; tam jego wdzięk i pociągająca powierzchowność szczególnie rzucały się w oczy.

Był pupilem matki i rodzeństwo o tym wiedziało. Nie zazdrościło mu jednak. Tak naprawdę, to w pewnej mierze dzieliło uczucia matki. Bracia go podziwiali, siostry uwielbiały. Tylko ojciec traktował go jak zwyczajnego człowieka. Kochał swego pierworodnego, ale nie miał co do niego żadnych złudzeń. Alfred Crowther był starszym eksierszantem szkockiego pułku Seaforth Highlanders i weteranem dwóch wojen. Walczył w Afryce z Burami i z Niemcami na polach Flandrii. Stąd też

dobrze znał ludzi i motywy ich działań. Czytał w nich jak w otwartej księdze i syn nie był tu wyjątkiem. Ojciec przejrzał Vincenta bardzo dokładnie.

Wiedział, że w chłopaku było dużo diabelstwa, by nie wspomnieć o temperamentie i sporej próżności. Uważał, że Vincent był zbyt przystojny, by mu to mogło wyjść na dobre. Będąc jednak realistą zdawał sobie sprawę i z tego, że nie ma większego sensu zamartwianie się najstarszym synem, który przyszedł na świat z urodą bożyszczka tłumów, bo nie zmieni to faktów. Starszy pan Crowther wierzył, że co się ma stać, to i tak się stanie. Ta fatalistyczna postawa mogła być dziedzictwem po matce Irlandce, która, gdy dorastał, ciągle mu powtarzała: „Co ma być, to i tak będzie, Alf. Takie życie, jakie każdy z nas, biedaków, spędzi na tym złym i okrutnym świecie, jest ci *przeznaczone* i już”.

Ojciec i syn byli dobrymi kompanami. Lubili wypić po kuflu piwa, zawsze w weekendy chodzili razem do pubu, często bywali na wyścigach konnych w Doncaster i Yorku, zwłaszcza letnią porą. Jednakże poza tą czysto męską zażyłością nie było między nimi, jak można by oczekiwać, wiele intymności. Powiernicą i przyjacielem Vincenta stała się matka. Tak było zawsze i zawsze tak będzie, aż do jej śmierci.

Vincent Crowther nie był też tępakiem, raczej na odwrót. Był bystry i inteligentny, miał rozwinięty zmysł analityczny, który dobrze mu się przysłużył w późniejszym życiu, i znakomitą pamięć. Ale jako dziecko robotnika, opuścił miejską szkołę w Armley, gdy skończył lat czternaście, i znalazł sobie pracę w jednym ze sklepów z konfekcją. Szybko go to jednak znudziło, gdyż interesował się czymś innym. Szczególnie pociągało go budownictwo i projektowanie, często też żałował, że nie mógł studiować architektury.

Po opuszczeniu sklepu krótko pracował w miejscowej cegielni, zanim ostatecznie udało mu się dostać posadę w firmie budowlanej. Stale uczył się swego zawodu, lubił pracować na otwartym powietrzu, doznawał przyjemności i satysfakcji, gdy widział, jak budynek przybiera coraz to bardziej określony kształt, by wreszcie stać się wcieleniem projektu architekta.

Czasami Vincent mówił sobie, że wstąpi do wieczorowej szkoły w Leeds, aby nauczyć się kreślarstwa, ale odkładał to z dnia na dzień, bo zawsze pociągały go jakieś przyjemniejsze zajęcia. Bardzo lubił tańczyć i od dzieciństwa namiętnie czytał. Poza tym jednak nie miał innych znaczących zainteresowań. Większą część wolnego czasu spędzał z kolegami w miejscowych pubach, gdzie przy barze wychylał kufel piwa i studiował bibułkę – różową gazetkę z wynikami gonitw, która wychodziła codziennie i była jego Biblią.

Tego zimnego, sobotniego ranka w ostatnim dniu grudnia, też był pochłonięty studiowaniem owej bibułki i zastanawiał się, które konie ma dziś obstawić na wyścigach w Doncaster. Szczególnie interesowała go gonitwa o godzinie pierwszej, dlatego też rozważał wszystkie możliwości, biorąc pod uwagę zarówno zalety i słabości jeźdźców i trenerów, jak i cechy samych koni.

Vincent siedział przy stole znajdującym się pośrodku kuchni, która mieściła się w wysokiej suterenie domu Crowtherów w Armley. Dom zbudowany był w stylu wiktoriańskim, z wychodzącym na ulicę przedprożem, jednopiętrowy, z wielkim poddaszem. Obszerna kuchnia, której okno wychodziło na skrawek ogródka i podwórze, była przytulna i wygodnie umeblowana na podobieństwo saloniku – jak to zresztą było przyjęte w tej części kraju. Centralnym miejscem kuchni-bawialni był kominek, a właściwie duży yorkshirski piec kuchenny, nazywany tak, gdyż łączył otwarte palenisko z piecem kaflowym. Umocowano tu również rączkę do zawieszania nad ogniem czajnika lub garnka i bojler do grzania wody. Wszystkie te elementy tworzyły jedną całość na cztery i pół stopy wysoką i tyle samo szeroką.

Czarne, żelazne palenisko było obudowane gzymsem z ciemnego, polerowanego drzewa. Na nim zaś stał wymyślny zegar z wahadłem, dwa mosiężne świeczniki, pudełko z tytoniem, podstawka z fajkami Alfreda i pojemnik na fidybusy. Palenisko było otoczone ciężką, mosiężną ramą, którą każdego piątku czyściła jedna z dziewcząt i która lśniła w świetle płomieni jak złota.

Dwa fotele obite zieloną, puszystą tkaniną stały przy części kominowej, przedzielone szerokim dywanikiem w krwistoczerwone róże na ciemnozielonym tle.

Jeśli chodzi o ścisłość, to róż było w kuchni mnóstwo, stanowiły bowiem ulubione kwiaty Elizy Crowther. Białe i różowe róże pnące, zwijały się girlandami na tapetach i spotykały ze szkarłatnymi różami sztampowymi, rozsypanymi po zielonym linoleum. Biała porcelana w różyczki zapełniała półki stojącej w rogu serwantki, a poduszki wyszyte w żółte pączki róż ułożone były wzdłuż opartej o ścianę ciemnozielonej, skórzanej kanapy.

Był to wesoły pokój, emanujący przyjazną atmosferą, i w nim właśnie koncentrowało się życie rodzinne. Tego ranka jednak był zadziwiająco wyludniony.

Vincent siedział w nim sam.

Był zresztą zadowolony, że ma przez chwilę spokój i może zająć się poważną pracą – typowaniem ewentualnych zwycięzców w wyścigu bez wysłuchiwanie ogłuszającego hałasu, jaki często robiło jego młodsze rodzeństwo.

Powoli popijając herbatę, pełen skupienia dalej wpatrywał się w swoją gazetkę. Zajmował się tym już około godziny i nareszcie dokonał kilku wyborów; zapisał imiona koni na skrawku papieru, jeszcze przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad tym. Zadowolony, że podjął właściwe decyzje, sięgnął po paczkę woodbinesów. Palił papierosa w zamysleniu, oparłszy się mocno o krzesło.

Zupełnie nieoczekiwanie pomyślał o tej dziewczynie. *Znowu*. Jakimś dziwnym sposobem pojawiała się w jego myślach, gdy najmniej się tego spodziewał. Spotkał ją tylko raz w życiu, ale, kiedy przymykał oczy, widział wyraźnie jej twarz z takimi szczegółami, jakby znał ją bardzo dawno.

Gdy zauważył ją po raz pierwszy, przy ognisku na podwórzu domu parafialnego, natychmiast poczuł instynktownie, zupełnie jej nie znając, że nie była typem młodej kobiety, która zabawia się z mężczyznami. Ta dziewczyna to poważna sprawa.

A ponieważ jego nie interesowały dziewczyny serio, ani też nawiązywanie stosunków, które mogły prowadzić do poważnych zobowiązań,

więc uciekł i popędził pod Białego Konia na partię strzałek i drinka z chłopakami. Lecz tuż przed dziesiątą pobiegł z powrotem na wieczorek, mając nadzieję zatańczyć z nią ostatniego walca.

Jakaż ona była zakłopotana, sztywna i spięta. Jej maniery i postawa zniechęciły go. W drodze powrotnej czuł się zaskoczony zachowaniem dziewczyny i pytał sam siebie, po co w ogóle chciała z nim tańczyć. Przecież z łatwością mogła mu odmówić.

Ale nie był w stanie o niej zapomnieć.

Vincent westchnął, głęboko zaciągnął się papierosem, wypuścił dym kółeczkami i patrzył, jak unoszą się i znikają. Potem doszedł do przekonania, że rozmyślanie o tej miniaturowej Wenus z Milo o błękitnych oczach i wspaniałych nogach, było beznadziejną stratą czasu. Choćby dlatego, że dziewczyna jakby rozplynęła się w powietrzu – tak jak te kółka dymu. Od tamtego wieczoru umyślnie wstępował do domu parafialnego na wieczorki taneczne i rozglądał się za nią. Miał także oczy otwarte, gdy jeździł w interesach do Armley. I nigdy się na nią nie natknął. Co więcej, nikt z regularnych bywalców środowych i sobotnich wieczorków nie wiedział, kim była. Vincent rozpytywał o nią w ciągu dwóch ostatnich miesięcy niezliczoną ilość razy. Jediną informacją, jaką udało mu się zdobyć, było, że jej piersiasta blond przyjaciółka, również bezimienna, jest pielęgniarką w ambulatorium. Ale co mu z tego mogło przyjść? Wiedział, że ma akurat tyle szans na powtórne spotkanie Niebieskookiej, co kulka śniegu na przetrwanie w piekle.

– Ale może to i lepiej – mruknął do siebie. – Czy ja potrzebuję dziewczyny na stałe? Na cholere mi to!

W tym samym momencie drzwi frontowe nieoczekiwanie otworzyły się i to z takim hałasem, że Vincent podskoczył na krześle i spojrział zdziwiony. Powiew lodowatego powietrza wtargnął do kuchni, wywołując w nim dreszcze. Przyniosły go ze sobą dwie jego siostry – Laurette i Maggie.

Były w spółdzielczym sklepie na weekendowych zakupach i każda przytargała po dwie wypełnione po brzegi torby. Obie były opatulone w granatowe zimowe płaszcze, zielono-czarne sukienne berety i długie wełniane szale. Zimny wiatr zarumienił im policzki, nosy upodobnił do jaskrawych wisienek. Oczy śmiały się i błyszczały taką wesołością i ożywieniem, że wywołało to uśmiech zadowolenia na jego twarzy.

– Witaj, Vincencie! – zawołały radosnym chórem.

– Witajcie, ślicznotki – odpowiedział i zawołał: – Maggie, na miłość boską, zamknij za sobą drzwi!

– Och, przepraszam – odparła dwunastoletnia Maggie i popchnęła drzwi z całej siły. Trzasnęły tak mocno, że zadrżały w nich szyby.

– Uważaj na szyby! – zwrócił uwagę Vincent i pokręcił głową z łagodną naganą.

Maggie powtórnie wyjąkała „przepraszam” i podążyła za siostrą do blatu umieszczonego przy zlewie, aby wyłożyć zakupy.

– Co tu tak cicho, Vincencie? Gdzie są wszyscy? – spytała Laurette odpinając płaszcz.

– Na górze. Albo wyszli.

– Kto jest na górze? – dopytywała się Maggie, zawsze ciekawa, zdejmując płaszcz i rzucając go na kanapę.

– Powieś to na miejsce, moja panno – przykazała jej Laurette.

Maggie skrzywiła się niechętnie, ale zrobiła, co jej kazano. Nie przestała się przy tym dopytywać:

– No, kto jest na górze?

– Mama. Odkurza frontowe pokoje. I Jack, który czyta Danny'emu. Mama powiedziała, że mały ma dziś leżeć w łóżku, bo jest zaziębiony – wyjaśnił Vincent.

– Wiedziałam, wiedziałam doskonale, że mu się nie poprawi – wykrzyknęła piskliwie Maggie, przewracając dramatycznie oczami. – *Powiedziałam* to mamie. Danny kaszłał i kaszłał przez całą noc. Biedaczek, zawsze coś się z nim dzieje. Ale czego można oczekiwać, jest przecież ostatni w naszym stadku – kontynuowała z powagą dojrzałej

matrony o wielkim doświadczeniu. Wreszcie zakończyła tonem wyższości: – Dzieci starych rodziców są bardzo często słabego zdrowia.

Vincent odwrócił głowę tłumiąc śmiech. Maggie była niepowtarzalna. Nikt nigdy nie wiedział, co może od niej usłyszeć. Ojciec twierdził, że jest tak stara jak świat.

Laurette jednak wcale nie była rozbawiona i spojrzenie, jakim obrzuciła siostrę, wyrażało naganę. Uważała, że Maggie czasami jest impertynencka – za dużo wie i za dużo słyszy jak na dziewczynkę w jej wieku. Ale nie powiedziała ani słowa. Podeszła do szafy i schowała swoje rzeczy, potem wyjęła z szafki nad zlewem filiżankę i spodeczek, usiadła przy stole i nalała sobie herbaty, dodając cukru i mleka.

Vincent przypatrywał się jej cały czas z czułością. Bardzo mu teraz leżało na sercu dobro Laurette. Przed rokiem wyszła za mąż za swego ciotecznego brata Jimmy'ego, ale małżeństwo było nieudane. Trzy miesiące temu, ku jego wielkiej uldze, powróciła do rodzicielskiego domu. Był przekonany od początku, że związek ten jest skazany na rozpad; nigdy nie przepadał za Jimmym, którego uważał za mięczaka.

Laurette była dziewczyną o łagodnym usposobieniu. Miała dwadzieścia dwa lata, była więc wiekiem najbliższa Vincentowi. Byli też bardzo sobie bliscy. Laurette, wysoka, szczupła, podobna do brata, była śliczną dziewczyną o jasnych, falujących włosach, wrażliwej twarzy i szarych oczach – zagadkowych i głębokich. Najbardziej podobna do Vincenta była jednak Maggie – czarnowłosa i zielonooka. Olive, średnia siostra, powierzchownością przypominała Laurette, ale włosy miała ciemne, a po matce odziedziczyła niebieskie oczy. Dwudziestoletnia Olive, skończywszy osiemnaście lat, wyszła za mąż za sympatię z lat dziecinnych. Wraz z mężem Halem mieszkali w pobliżu.

Maggie dołączyła do Vincenta i Laurette. Stanęła obok swego ukochanego brata, położyła mu dłoń na ramieniu, drugą zaś ręką położyła przed nim nową paczkę woodbinesów wraz z resztą pieniędzy.

– Masz tu swoje fajki, Vincent. Ale nie wypal ich wszystkich dzisiaj, bo ja już nie będę wychodzić. Żadnych poleceń. Od nikogo, nawet

od ciebie! – Z tymi słowy opadła na krzesło obok niego i rzucając wyzywające spojrzenie, dodała: – Jeśli chcesz wiedzieć, to po dziurki w nosie mam tego zajęcia chłopca na posyłki!

Vincent odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem:

– Jacy to jesteście dziś twardzi, ho, ho! Ale dzięki za papierosy, kochanie.

– Nie mogę uwierzyć, że ktoś dokądś poszedł w taki zimny dzień. Przecież można tam zamarznąć na stojąco. Vincencie, dokąd, u licha, wszyscy się wynieśli? – zapytała Laurette.

– Tata poszedł do fryzjera; Frank, wschodząca gwiazda jeździectwa, jest w stajni w Hardcastle i pomaga przy koniach. A uczony Bill poniósł książki do biblioteki.

– Rozumiem. – Po krótkim milczeniu zapytała: – Czy była tu dzisiaj Olive?

– Nie, jeszcze nie.

– No to cieszę się, że się nie rozminęłyśmy. Wybieramy się dziś wieczorem na wieczór starych tańców i chciałam się z nią umówić – Laurette przerwała i uśmiechnęła się, gdyż przysła jej do głowy pewna myśl. – Nie chciałbyś pójść z nami, Vincencie?

– Ja bym chciała! – wtrąciła rozgorączkowana Maggie, zwracając wzrok ku siostrze. – Pozwól mi pójść z tobą i Olive, proszę cię.

– Nie, ty nie możesz tam pójść, jesteś jeszcze za młoda – odparła Laurette. – A ty, braciszku, co o tym myślisz?

– Nie pójdę, ale dziękuję za zaproszenie – pokręcił przecząco głową.

– Dlaczego nie? – dopytywała się Laurette. – Na pewno ci się spodoba. No, powiedz, że pójdziesz z nami.

Zaprzeciżył jeszcze gwałtowniej.

– Och, on nie chce tam iść, Laurette! – zawołała Maggie. – Tam jest za spokojnie. W sobotnie wieczory zawsze chodzi do pubu. Ale najpierw wstępuje do domu parafialnego i ogląda wszystkie dziewczyny; tak słyszałam. Założę się, że to dlatego tak wystaje przed lustrem godzinami. Wcale się nie dziwię, że tata zaczyna wychodzić z siebie.

Och, jaki próżny jest ten nasz Vincent, sam sobie się podoba. Można by pomyśleć, że jest dziewczyną, jak się widzi, ile czasu sterczy przed lustrem!

Vincent spojrział na nią surowo.

– Zaczynasz być bezczelnym, małym draniem, czy wiesz o tym, Maggie?

Maggie zeszywniała na swoim krześle.

– Uważaj, żebyś nie powiedziała tacie, jak mnie nazwałeś – wykrzyknęła. – Bo jak powiem, to ci tak przyłożę, że się nakryjesz nogami!

– Ho, ho. Akurat, bo ty tak chcesz!

– Cicho, wy oboje – zaczęła uspokajać zwaśnionych Laurette. Pogroziła Maggie palcem, mówiąc: – Tobie się wyraźnie przewraca w głowie, więc lepiej uważaj, co mówisz. A ty, Vincencie, dobrze wiesz, że nie powinienesz jej wymyślać. Mama też tego nie lubi.

– Dobra – mruknął Vincent zły sam na siebie, że pozwolił się tak wyprowadzić z równowagi.

Maggie, szczerze żałując, że go rozdrażniła, przechyliła się ku niemu, wpatrując się w urodziwą twarz i zobaczyła, że jest ona zimna i obca. Napełniło ją to smutkiem, powiedziała więc miękko:

– Tak mi przykro, Vincencie, naprawdę. – Wyciągnęła rękę i ścisnęła go za ramię mówiąc: – Będziemy znowu przyjaciółmi. Ale, ale powiedziałeś, że coś mi dasz, jak ci przyniosę papierosy.

– Jeśli nie będziesz ostrożna, to dam ci w ucho – mruknął.

– Coś takiego! – zawołała zaskoczona Maggie. – Ostatni raz po coś mnie posłałeś. Pamiętaj o tym, Vincencie Crowther! Nie dotrzymujesz obietnic.

Z przyczyn, których nie umiałby objaśnić, Vincent nagle zaczął się śmiać. Oczy mu rozbłysły, wyciągnął rękę i zmierzwił siostrze włosy, a potem przesunął po stole w jej stronę sześciopensówkę.

– To dla ciebie, kochanie, do skarbonki.

Maggie się rozpromieniła.

– Och, nie. Idę je natychmiast wydać. Dzięki.

Vincent zamyślił się. Zapalił papierosa i szepnął niskim głosem:

– Laurette, czy nie uważasz, że już czas, żebyś załatwiła swoje sprawy z Jimmym? Jeździłaś do Leeds do adwokata... w sprawie rozvodu?

– Tak. Jeśli chodzi o to, to mam umówione spotkanie z nim na przyszłą sobotę. Jimmy zgadza się na wszystko – odpowiedziała.

– Tata się ucieszy, jak usłyszysz o *tym!* – oświadczyła Maggie, zanim Vincent zdołał wypowiedzieć choć słowo. – Nigdy nie był zachwycony tym twoim małżeństwem, Laurette. Tata mówi, że w ten właśnie sposób rodzą się idioci... to znaczy, gdy cioteczne rodzeństwo pobiera się i ma dzieci.

Laurette wpatrywała się w nią w milczeniu. Pobladła, a w szarych oczach załśniły łzy. Podniosła się niezręcznie, podbiegła do drzwi prowadzących na schody i szarpnęła je.

– Chyba pójde na górę pomóc mamie – szepnęła ochryplym głosem.

– Dziewczyno, czy nigdy się niczego nie nauczysz? – Vincent rozłożył się na Maggie nie na żarty. – Zawsze masz szeroko otwarte usta i język ci się obraca bez przerwy. Musiałaś tyle gadać?

– A co ja *złego* powiedziałam? – jęknęła Maggie. – Poza tym to prawda, że tata nie chciał, żeby Laurette wyszła za Jimmy'ego Wellsa.

Vincent poderwał się z krzesła rozzłoszczony. Spojrzał z niechęcią na młodszą siostrę. Ze wszystkich sił starał się zapanować nad sobą, żeby jej nie chwycić i porządnie nie potrząsnąć.

– Wiesz tak samo dobrze jak ja, że Laurette bardzo przeżywała to, że nie zaszła w ciążę – powiedział w końcu.

Maggie, która już się otrząsnęła z zakłopotania, oświadczyła:

– Cóż, jeśli to, co powiedział tata, jest prawdą, to chyba lepiej, że tak się nie stało, i to jest fakt!

Vincent uniósł oczy ku sufitowi i głośno jęknął:

- Gadanie starych bab... nasz tata jest staromodny, żyje w przeszłości. – Po czym podszedł do szafy i wyjął płaszcz.
- Dokąd się wybierasz?
- Dokądkolwiek, byle daleko od ciebie.

Rozdział dziesiąty

Vincent zauważył ją przez szybę sklepu zoologicznego.

Przez chwilę nie mógł uwierzyć własnym oczom. Stał osłupiały. Potem otoczył twarz dłońmi i zbliżył ją do szyby. Tak, to była ona. Prawdziwa. Przyglądała się papużkom. Nagle zobaczył stojące przy niej dziecko.

Serce w nim zamarło.

Czy była kobietą zamężną? Nie, to niemożliwe. Na tańcach nie widział na jej dłoni obrączki. Poza tym była zbyt młoda, żeby mieć dziecko tak duże, jak towarzyszący jej chłopiec. Nie, to najprawdopodobniej był jej brat. I chyba kupowała mu papużkę. On też miał zamiar kupić swemu bratu Danny'emu jakieś zwierzątko. To właśnie był powód, dla którego skierował swe kroki w stronę sklepu zoologicznego.

Cóż – pomyślał Vincent – stanie tutaj nigdzie mnie nie zaprowadzi, mogę równie dobrze wejść do środka. Automatycznie poprawił krawat, a potem zaczerpnął tchu i otworzył drzwi sklepu.

Na dźwięk dzwonka dziewczyna rzuciła przez ramię spojrzenie na wchodzącego i oczy jej się rozszerzyły. Najwyraźniej była tak samo zaskoczona, jak on przed chwilą.

Vincent uśmiechnął się do niej.

Ona też się uśmiechnęła i na policzkach ukazały się dołeczki. Vincent uznał, że jej uśmiech jest olśniewający i że dawno takiego nie widział. Zachęcony tą reakcją ruszył przed siebie.

Dziewczyna odwróciła się ku niemu i przyglądała się ze wzrastającym zainteresowaniem.

Wreszcie zatrzymał się przed nią i zobaczył w jej oczach oczekiwanie. Zdjął kapelusz i stał trzymając go w rękach. Znowu się uśmiechnął i powiedział:

– Przepraszam, nie wiem, czy mnie pani pamięta?...

– Naturalnie, że tak. Tańczyliśmy ostatniego walca na wieczorku w domu parafialnym... W dniu Guy Fawkesa. Muszę przeprosić, że nie podziękowałam za zaproszenie mnie do tańca. Chyba pomyślał pan, że jestem bardzo niegrzeczna.

Była niewątpliwie damą. Patrzył na nią zaskoczony i gwałtownie się zmieszał. Stracił głos i opanowanie. Dlaczego dziewczyna tej klasy miałaby interesować się kimś takim jak on? – zapytał sam siebie i mocniej ścisnął kapelusz w dłoniach. Uczucie przeogromnego rozczarowania przeniknęło go do głębi. *Ona* jest poza zasięgiem *jego* możliwości. O tak, na pewno tak jest. I tak jak ona była skrępowana na wieczorku, tak teraz przyszła kolej na jego zakłopotanie – poczuł się jak ostatnia niedorajda.

Zapanowała niezręczna cisza, którą przerwało dziecko pytając ostrym głosikiem:

– Jak się nazywasz?

– Co to znaczy? – wtrąciła dziewczyna surowym, ale przyciszonym głosem. – To bardzo niegrzecznie. Zachowuj się, jak należy, młody człowieku.

– Nazywam się Vincent Crowther – powiedział Vincent chwytając w lot okazję.

Był zaskoczony, że jego głos brzmiał tak normalnie i to pomogło mu odzyskać utraconą pewność siebie. Spojrzał na chłopca i uśmiechnął się do niego, rad z jego obecności.

Dziecko zwróciło małą, jasną twarzą do Vincenta, wyciągnęło doń rękę i oświadczyło:

– A ja jestem Theophilus Bell z Calpher House w Upper Armley.

Vincent uścisnął podaną dłoń i starając się dorównać powadze chłopca powiedział:

– Cieszę się, że mogłem cię poznać. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to powiem, że masz imię bardzo trudne do wymówienia, chłopcze.

– To znaczy po grecku *ukochany przez Boga* – wyjaśnił Theophilus, wypinając dumnie pierś. Obdarzył Vincenta drżącym uśmiechem i dodał: – Ale pan może mówić do mnie Theo.

– To bardzo miło z twojej strony. Dziękuję, tak właśnie będę mówić. – Vincent podniósł teraz głowę i skierował spojrzenie na młodą kobietę. Odchrząknął i odzyskawszy nie tylko opanowanie, ale i swój zwykły tupet, obdarzył ją jednym z najbardziej czarujących uśmiechów. – Cóż – powiedział – już pani zna moje nazwisko. Czy zrobi mi pani ten zaszczyt i powie, jak się nazywa?

– Tak, oczywiście, panie Crowther. Jestem Audra Kenton – gdy podawała mu rękę, uśmiech miała ciepły i tak samo przyjazny jak jego.

Vincent ujął dłoń dziewczyny – zdziwiła go siła jej uścisku. Taka maleńka dłoń, jak i cała ona – drobna i delikatna. Trzymał rękę dłużej, niż należało, niezdolny jej wypuścić, i patrzył w czyste, bardzo niebieskie oczy, które przypominały mu chabry. Nieoczekiwanie dla samego siebie pomyślał: Nie mogę pozwolić odejść tej kobiecie. Nigdy, prze-nigdy. *Chcę ją mieć przy sobie przez resztę mego życia.*

Te myśli wstrząsnęły nim i przeraziły.

W końcu puścił rękę dziewczyny; zastanowiła go cała ta irracjonalność jego uczuć. Sama myśl o małżeństwie była absurdalna, a jeśli w dodatku z tą kobietą, to i śmieszna. Ona była inna. Wyjątkowa. Dama. A od takiej trudno oczekiwać, by zainteresowała się *nim*, murarzem z zawodu. Najwidoczniej to krewna Bellów, którzy byli miejscowym ziemiaństwem, ludźmi z workami pieniędzy i wielkimi wpływami w całym okręgu. Ale i bez tego wszystkie małżeństwo nie figurowało w jego bieżących planach. Chciał jeszcze, zanim przywiąże się do spódnicy żony, pohulać na swobodzie. To była zabawa dla fajtlap. A on, on dopiero w czerwcu skończy dwadzieścia pięć lat!

Wszystkie te myśli przemknęły w głowie Vincenta w ciągu kilku sekund. Zaprzagnął natychmiast wyjść z tego sklepu i uciec, zanim będzie za późno. Ale ku swemu zdziwieniu i irytacji poczuł, że nie może

się ruszyć, że jest jak przykuty do podłogi. Ogarnęło go zakłopotanie i skrępowanie samym sobą i jej obecnością. Znowu zaczął przesuwac w palcach rondo kapelusza. Theophilus pociągnął go za płaszcz i powiedział:

– My rozglądamy się za papużką, panie Crowther. A pan, co przyszedł kupić?

Dzięki Bogu za tego chłopca – pomyślał Vincent i odpowiedział:

– Nie wiem dokładnie, jeśli mam powiedzieć prawdę. – Zwracając całą swą uwagę na dziecko, pochylił się ku niemu i zwierzył się: – Widzisz, Theo, przyszedłem tu kupić coś dla mego młodszego brata. On ma cztery lata. Ale nie wpadło mi do głowy spytać, co by chciał. Nie wiem więc teraz, co mam robić. Ty wyglądasz na doświadczonego, młodego człowieka, jeśli chodzi o domowe zwierzątka. Może mógłbyś mi coś podpowiedzieć?

– Mhmm... Niech pomyślę chwilę – Theo pokiwał poważnie głową, przygryzł wargi i przybrał wyraz wielkiego skupienia. Obrzucił swym badawczym spojrzeniem półki sklepu, odwrócił się do Vincenta i powiedział: – To trochę trudne zaproponować coś właściwego. Tu nie ma w czym wybierać.

Słyszac szczerą opinię chłopca, Vincent wybuchnął śmiechem.

– Lepiej, żeby pan Harrison nie usłyszał tego, co mówisz. On uważa, że ma najlepszy sklep zoologiczny w Armley.

– I tak jest, skoro to jest jedyny taki sklep – odparł z uśmiechem bardzo zadowolony z siebie Theo.

– Małych chłopców powinno się tylko widzieć, a nie słyszeć – zauważyła Audra. Ale była to bardzo łagodna nagana. W jej głosie bowiem dźwięczał śmiech, a oczy radośnie błyszczały. Spojrzała na Vincenta, a potem wzruszyła ramionami i szepnęła: – Co można z nim zrobić?

– Ten mały jest pierwsza klasa – odpowiedział Vincent.

Czarne okrągłe oczy Theo przeskakiwały od jednego do drugiego, aż wreszcie zatrzymały się na Vincencie, który zdawał się go bardzo

interesować. Chłopiec stwierdził rezolutnie:

– Myślę, że powinien pan kupić bratu papużkę. Pan Harrison ma ich dużo i można wybierać. Chodźmy, panie Crowther, pokażę je panu.
– I pociągając Vincenta za rękaw zapytał: – Jak on ma na imię? Mam na myśli pańskiego brata.

– Danny – Vincent pozwolił się poprowadzić do półek zastawionych klatkami pełnymi ptaków. Obaj z chłopcem przyglądali się im z zainteresowaniem.

– Muszę ci powiedzieć, Theo, że są naprawdę piękne – odezwał się Vincent ze szczerym zachwytem.

Teraz dołączyła do nich Audra. Vincent natychmiast uświadomił sobie jej obecność i niezwykle pociąg fizyczny, jaki do niej czuł. Pragnął trzymać ją za rękę, wyprowadzić ze sklepu, pójść z nią dokądś, gdzie mogliby być sami. Pragnął objąć ją mocno, kochać się z nią. Pożądanie oładnęło jego ciałem i poczuł, jak fala gorąca oblewa mu twarz. Z trudem przełknął ślinę i starał się skupić uwagę na ptakach.

– Theo chce mieć tego na górze, po prawej stronie, panie Crowther – odezwała się Audra. – Tego w zielonej klatce. Co pan o tym myśli? Podoba się panu?

Vincent był w stanie tylko przytaknąć w milczeniu.

– Audra kupi go dla mnie, panie Crowther – dodał Theo.

– Jesteś szczęśliwym chłopcem – zdołał tylko wymamrotać.

– O, tak, tak. A teraz, panie Crowther, proszę wybrać papużkę dla Danny'ego. Łatwo się nimi opiekować. Nie trzeba ich wyprowadzać na spacer, tak jak psa, a ich jedzenie kosztuje niewiele. One nie jedzą dużo.

– To prawda – zgodził się Vincent.

Znowu panował nad sobą i wymienił z Audrą rozbawione spojrzenie. Theo zaś naciskał bezlitośnie:

– O, niech pan spojrzy na tego! Jaki śliczny ptaszek. Założę się, że podobałby się Danny'emu. I to piękny egzemplarz australijskiego para-keeta... zielono-żółte ciało, jaskrawoniebieska główka i pióra ogona, a do tego brązowe prążki wzdłuż skrzydeł.

– Parakeet – powtórzył Vincent i spojrzął na Theo. – Myślałem, że są to papugi.

– Są. Wszystkie pochodzą z rodziny papug. Istnieje sto pięćdziesiąt odmian barwnych ptaków w tej rodzinie – odparł Theo z dumą, ciesząc się możliwością zademonstrowania swojej wiedzy. – Ja chciałem mieć prawdziwą papugę, miałem zamiar nauczyć ją mówić. Żeby mówiła brzydkie słowa. Ale z papugami trzeba ostrożnie z powodu *psittacosis*. To jest papuzia gorączka, taka zaraźliwa choroba, na którą mogą chorować również *ludzie*. Trochę podobna do zapalenia płuc. Ale pan Harrison nie ma papug, więc będę miał parakeeta.

Spoglądając na malca Vincent ze zdumieniem pokiwał głową i powiedział:

– Jak na takiego małego chłopczyka jesteś kopalnią wiedzy, Theo. Mówisz, jakbyś połknął encyklopedię. To chyba stamtąd wzięłeś wszystkie te fakty?

– O, nie! To Audra mi powiedziała – wyjaśnił Theo. – Ona jest bardzo mądra i, odkąd jest u nas, bardzo wiele mnie nauczyła. Moja mama mówi, że jest najlepsza ze wszystkich niań, jakie miałem. Jeśli nie ma pan ochoty kupić Danny'emu papużki, to może pan wziąć karnarka, o, są tam. – Theo zwrócił uwagę Vincenta na inne ptaki i kontynuował: – One też są bardzo ładne i, co najważniejsze, potrafią śpiewać.

– Tak, rozumiem – powiedział Vincent z roztargnieniem. Niania – powtarzał sobie. – Ona jest nianią tego chłopca, a nie jakąś ważną krewną Bellów. Ona jest jedną z ich pracownic. Oczywiście, że to nic nie zmienia, bo Audra Kenton jest damą. Ale damą, która zarabia na swoje utrzymanie. Zubożała szlachta – zdecydował w końcu.

A więc może jednak nie była tak bardzo poza jego zasięgiem? Nadzieje rozgorzały w Vincencie z nową siłą.

Wszyscy troje szli razem po Town Street.

Vincent niósł klatkę z ptakiem. W końcu kupili podobne papużki, ale Vincent powiedział panu Harrisonowi, że po swojej wróci trochę później, a następnie zapytał Audrę, czy może ich odprowadzić do domu.

Odpowiedziała, że tak. Wziął więc klatkę w jedną rękę, drugą zaś otworzył przed nią drzwi sklepu i wyszedł w ślad za nimi, uśmiechając się przy tym od ucha do ucha i gratulując sobie szczęścia, jakie miał tego ranka.

Teraz zaś szli obok siebie równym krokiem, w milczeniu które było przyjemne i w jakiś sposób ich łączyło. Theo podskakiwał przed nimi jak wesoły, mały psiak.

Choć zbliżało się południe, powietrze ciągle było ostre i kryształowo czyste, ale wiatr ucichł. Niebo wysoko nad nimi było modre, bezchmurne, czyste i kąpało się w srebrzystym świetle chłodnego, zimowego słońca.

Jak się wspaniale rozpogodziło – pomyślała Audra, rozglądając się dokoła i uśmiechając z zadowoleniem. Malutki strumyk radości płynął gdzieś w jej wnętrzu, napełniając ją cudownym ciepłem. W dniu takim jak ten wydaje się, że w życiu wszystko jest możliwe. Absolutnie wszystko.

Vincent oddychał głęboko, wciągając w płuca lodowate powietrze. Czuł się zdrowy i pełen sił, jak zawsze zresztą przy takiej rześkiej pogodzie. Rzucił na Audrę ukradkowe spojrzenie i pomyślał, jak elegancko wygląda w szarym płaszczu i kapeluszu-doniczce w kolorze śliwkowym. Uświadomił sobie, że czuje się dumny, idąc tak obok niej, dumny, że może się z nią pokazać na Town Street, głównej ulicy Armley, ożywionej jak to zwykle w soboty.

Postanowił, choć nie bez obaw, że nim dojdą do Calpher House, poprosi ją o spotkanie. Gdyby mu odmówiła, czułby się jak ostatni głupiec; z drugiej jednak strony, jeśli jej nie zaprosi, to nigdy się nie dowie, co ona o tym myśli. Zastanawiał się też, dokąd ją zabierze, jeśli zgodzi się na spotkanie. To był trudny problem. Może powinien przeprowadzić ją do domu na jutrzejsze przyjęcie noworoczne? Nie, to odpada. Biedna dziewczyna byłaby oszołomiona jego hałaśliwą i energiczną rodziną. A poza tym na pierwszej randce chciał ją mieć tylko dla siebie. Zaczął więc gorączkowo przeglądać w pamięci miejsca, dokąd mogliby pójść.

Audra, również zatopiona we własnych myślach, miała wrażenie, że unoszą ją fale. Przez dwa miesiące podtrzymywała w sobie przekonanie,

że się znowu spotkają, ale gdy wszedł do sklepu, zupełnie straciła głowę. Na początku. A później, zaledwie po kilku minutach, wszystko zdawało już się zupełnie naturalne. Wiedziała, że tak musiało być. Niezręczność i zakłopotanie, które odczuwała na wieczorku, teraz znikły bez śladu i wcale nie czuła się skrępowana jego obecnością.

Był jeszcze bardziej przystojny, niż go zapamiętała, i równie dobrze ubrany jak wtedy. Był czarującym, młodym mężczyzną o przyjemnej powierzchowności, a sposób, w jaki potraktował malca, sprawił, że jeszcze bardziej go polubiła. Audra uśmiechnęła się. „Polubić” było w tym wypadku zabawnym słowem. Nie oddawało ono przecież dokładnie jej uczuć. W tym sklepie zoologicznym zakochała się w nim.

Spojrzała na niego kątem oka. Był dla niej stworzony. Jedyny mężczyzna, którego kiedykolwiek będzie pragnąć.

W tej samej chwili Vincent spojrzał na nią. Ich oczy spotkały się i trwali tak wpatrzeni w siebie przez kilka sekund. Uśmiechnął się do niej ciepło. Ona też się uśmiechnęła z lekkim drżeniem. W tym właśnie momencie nawiązała się między nimi bardzo intymna więź. Wstrzymali oboje oddech i wpatrywali się w siebie. I nagle, nie uciekając się do słów, dokładnie zrozumieli, co się stało; natychmiast odwrócili głowy i ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni poszli dalej w milczeniu.

– Mam nadzieję – przemówił wreszcie Vincent – że nie będzie to wścibstwem, jeśli zapytam, od jak dawna pracuje pani u Bellów?

– Od roku – odparła Audra. – Chcąc być dokładną, panie Crowther, to dzisiaj właśnie mija rok, jak rozpoczęłam pracę w Calpher House. Właśnie dlatego kupiłam Theo papużkę. Taki rocznicowy upominek.

– To oni powinni pani dawać prezenty – powiedział szorstko, zanim się zastanowił. A potem, zupełnie nie pojmując przyczyny tego, doznał ukłucia ostrej niechęci wobec rodziny Bellów.

Audra dosłyszała ten dziwny, cierpki ton i spojrzała nań z ciekawością i zaskoczeniem.

– Zrobili to, panie Crowther. Dziś przy śniadaniu – odparła z wdzięcznym uśmiechem.

– Cóż, więc wszystko w porządku; cieszę się z tego. – Chrząknął trochę głośniejszym głosem niż należało i ciągnął dalej: – pani nie pochodzi z tych stron, domyślałam się ze sposobu mówienia. Nie mówi pani akcentem z Leeds. A więc skąd pani jest?

– Moje rodzinne miasto to Ripon, mieszkałam tam do ubiegłego roku. Czy był pan tam kiedyś, panie Crowther?

– Tak, bywałam na wyścigach. To urocza miejscowość – w zielonych oczach zamigotał wesoły blask. – I szczęśliwa dla mnie, muszę to powiedzieć. Zawsze udawało mi się wygrać szylinga lub dwa na wyścigach w Ripon. Poza tym jest tam parę ładnych pubów.

– Rzeczywiście – przytaknęła Audra. – A pan, panie Crowther, pochodzi z tych stron, prawda?

– O, tak. Urodziłem się i wychowałem w Armley. Czy nie mogłaby jednak pani mówić do mnie po imieniu? Jak pani mówi „panie Crowther”, to ciągle myślę, że pani zwraca się do mojego taty.

– Oczywiście, że mogę – Audra roześmiała się. – A pan musi do mnie mówić „Audra”.

– Zrobione – zawołał i nieoczekiwanie stanął w miejscu. Odważnie ujął ją za ramię i zatrzymał w pół kroku.

Audra patrzyła nań marszcząc brwi.

– Czy spotkasz się ze mną dziś wieczorem, Audro? – Vincent wyrzucił z siebie pośpiesznie. – Zabiorę cię w jakieś miłe miejsce. Może do Leeds, na dancing. Powiedz, że tak. Proszę. – Obdarzył ją swym najbardziej zwycięskim spojrzeniem i nie odrywał oczu od jej twarzy.

– Obawiam się, że nie mogę – odpowiedziała Audra. – Widzisz, ja...

– Nie musisz się trudzić i wyjaśniać – przerwał ostro. – Rozumiem – dodał i twarz mu poczerwieniała.

– Nie, właśnie że *nie rozumiesz*, Vincencie – odparła stanowczo Audra. – Miałam zamiar powiedzieć ci, że dzisiaj pracuję. Ale chętnie spotkam się z tobą w mój najbliższy wolny dzień. Naprawdę.

– Och – wykrztusił, wytrącony na chwilę z równowagi. Ale szybko się opanował i uśmiechnął się szeroko. – A więc wszystko w porządku. Kiedy wobec tego masz wychodne?

– W najbliższą środę.

– Dopiero... – twarz mu się wydłużyła z rozczarowania. – Cóż, nie ma rady. Ale to będzie musiało być spotkanie na wieczorku w domu parafialnym. Czy masz ochotę tam pójść?

– Będzie mi bardzo miło... z tobą – powiedziała posyłając mu słaby uśmiech; nagle poczuła się zawstydzona.

Vincent spojrzał na nią przeciągle:

– Tak – powiedział. – I mnie też, Audro.

I znowu ruszyli z miejsca.

Po kilku sekundach znaleźli się przy bramie Calpher House, gdzie czekał na nich Theo. Kiedy się zatrzymali, Vincent zwrócił się do Audry:

– Będę czekał na ciebie tutaj w środę punktualnie o siódmej.

– Ależ nie musisz sobie robić kłopotu, Vincencie, naprawdę. Potrafię sama dojść do domu parafialnego.

– Nie. Nie chcę, żebyś szła tam sama.

– Dobrze więc – odparła.

Podał jej klatkę u ptakiem.

– Do widzenia, panie Crowther, mam nadzieję, że niedługo znowu pana zobaczę – powiedział Theophilus. – Wtedy powie mi pan czy Danny'emu podobała się papużka.

– Na pewno ci powiem, Theo. Bywaj, chłopcze.

Vincent odwrócił się do Audry; z lekkim uśmiechem uchylił kapelusza i oddalił się.

Audra patrzyła, jak szedł w dół wzgórza długimi, szybkimi krokami. Jeszcze się odwrócił i pomachał ręką. Ona zrobiła to samo, a potem ujęła dłoń Theo i poprowadziła go podjazdem, tylko w części przysłuchując się jego paplaninie. Gdy zbliżyli się do domu, Audra uniosła oczy i spojrzała nań, myśląc o wielu szczęśliwych chwilach, jakie tu przeżyła przez ostatni rok. I nagle jakiś instynkt podpowiedział jej, że już niedługo będzie mieszkać w Calpher House.

Dziś jest początek – pomyślała. – Początek mego życia z Vincentem Cowtherem. On jest moim przeznaczeniem, a ja jego.

Pobrali się pięć miesięcy później.

Niektórzy ludzie byli zaskoczeni.

Ślub odbył się w kościele Serca Jezusowego w Upper Armley, w słoneczny dzień czerwcowy, w kilka dni po urodzinach Audry i na tydzień przed dwudziestymi piątymi urodzinami Vincenta.

Panna młoda była ubrana na niebiesko. Miała na sobie prostą, lecz elegancką, popołudniową suknię z krepdeszynu, którą sama zaprojektowała, skroiła i uszyła przy pomocy szwaczki z Mody Paryskiej, wytwornego sklepu pani Bell; niebieski, jedwabny kapelusik ozdobiony szyfonem; czółenka na francuskim obcasie i długie do łokcia rękawiczki z szarego zamszu. Trzymała w ręce wiązanekę z różowych róż, konwalii i paprotki. Druhną była Gwen Thornton, a starościna Laurette Crowther. Obie miały na sobie jednakowe suknie ze srebrzystoszarej żorżety we wzór z żółtych róż i płaskie kapelusze z pikowanego, szarego jedwabiu. W ręku trzymały bukiety żółtych róż.

Gdy przy wejściu do Calpher House wygładzały jej suknię i poprawiały kwiaty, pomyślała, jak ślicznie wyglądają – obie wysokie i jasnowłose, młode i świeże; poczuła się dumna, że ma je przy sobie.

Pan Bell uprzejmię ofiarował się zastąpić jej ojca i teraz właśnie Audra wsparta na jego ramieniu szła wzdłuż głównej nawy pięknego, starego anglikańskiego kościoła o normańskim wystroju i wspinających witrażach.

Kiedy muzyka organów nabrała mocy i dźwięki pieśni „O, doskonała miłości” uderzyły o wysokie sklepienie, poczuła, że coś ścisła jej gardło. Oczy napęłniły się łzami i gwałtownie zatęskniła za braćmi. Ale wiedziała, że nie może sobie pozwolić na chwilę słabości, więc opanowała się wysiłkiem woli. Uniosła wyżej głowę i spojrzała ku ołtarzowi,

gdzie oczekiwał ją Vincent ze swym bratem Frankiem, który był družbą.

Miłość promieniująca z jego twarzy, szczere uwielbienie w oczach – wszystko to pocieszało, dodawało otuchy. Widziała, jak wspaniale wyglądał w granatowym nowiutkim garniturze, sztywnej, białej koszuli i srebrzystoszarym jedwabnym krawacie.

Na kilka sekund przed zatrzymaniem się u ołtarza pan Bell odsunął się na bok, a jego miejsce zajął Vincent. Jego obecność i życzliwość malująca się na obliczu pastora natychmiast odpędziły to uczucie osamotnienia, które ogarnęło ją kilka chwil przedtem.

Słowa pastora Baxtera dochodziły do uszu Audry jakby z oddali... na dobre i na złe... w bogactwie i w ubóstwie... w chorobie i w zdrowiu... opuszczając wszystkich innych... Oczywiście, że opuściła wszystkich innych. Czy mogłaby pragnąć kogoś innego, jak nie Vincenta? To było nie do pomyślenia.

Zanim się obejrzała, ceremonia dobiegła końca.

Byli małżeństwem. Była panią Vincentową Crowther.

Szła z powrotem wzdłuż nawy, tym razem trzymając się ramienia swego męża, a organista z entuzjazmem naciskał klawisze: radosny, grzmiący „Marsz weselny” Mendelssohna wypełniał mury kościoła.

Audra i Vincent zatrzymali się na stopniach tylko na chwilę – pozując do fotografii i aby przywitać się z jego rodziną, przyjaciółmi, państwem Bell i siostrą przełożoną Lennox, która przybyła na tę okazję z Ripon.

A potem, pośród śmiechów, obsypani konfetti i ryżem, popędzili do oczekującego przy bramie kościelnej samochodu. Wuj Vincenta, Philip, zawiózł ich do Calpher House, gdzie państwo Bell wydawali weselne śniadanie z szampanem.

Siedząc w aucie na tylnym siedzeniu obok swego nowo poślubionego męża Audra uśmiechnęła się i spojrzała na złotą obrączkę na palcu. Nigdy nie myślała, że będzie kiedyś tak szczęśliwa.

Rozdział jedenasty

Światło księżycyca zmieniło ją w srebrną statwę.

Stała w pobliżu okna, bez ruchu, wpatrując się w morze. Jedno ramię opierała o parapet – całe ciało zastygło w jakiejś dziwnej pozie. Biała, nocna koszula z jedwabnej satyny, delikatna jak pajęczyna, przyciągała do siebie i zatrzymywała światło księżycyca; w mroku pokoju przybrała połysk i barwę czystego srebra.

Kiedy tak stała nieruchomo, było w niej coś niezmiernego. Vincent przypatrywał się jej stojąc w drzwiach, niezdolny oderwać oczu. Pragnął przedłużyć tę chwilę, utrwalić ten obraz w swej pamięci.

Wydawała mu się nierzeczywista; to było tak, jakby stała się częścią jakiegoś snu, który śnił mu się dawno temu i teraz się powtórzył. Miał wrażenie, że jeśli się poruszy lub odezwie, cała scena zniknie, jak to się dzieje ze snami, i że straci ją wtedy na zawsze.

Kiedy tak się wpatrywał, pragnienie posiadania jej przeniknęło go na wskroś w ten sam ostry i gwałtowny sposób, jak przenikało go zawsze, gdy była blisko.

Nigdy nie pragnął kobiety tak mocno, jak pragnął teraz. Kiedy przyjechali tutaj, do hotelu Victoria w Robin Hood's Bay późnym, sobotnim popołudniem, nie był w stanie się pohamować. Tłumione pożądanie, ciągle tłumione i trzymane na uwięzi przez ostatnie pięć miesięcy, wybuchło, gdy zostali sami w hotelowym pokoju. Posiadł ją natychmiast, zanim się zdążyli rozpakować.

W ciągu pięciu dni, właściwie prawie wcale nie opuszczali swego pokoju. Vincent stał się natchnionym i zręcznym nauczycielem, czerpiącym z tej roli radość i podniecenie; ona zaś uważną i pilną uczennicą, chętną do nauki i dawania zadowolenia. Po upływie pierwszych dni zdołała pokonać swoją wstydliwość i teraz bez skrzępowania poddawała się emocjom w akcie miłosnym. Zaakceptowała wszystko bez pytań i wątpliwości; uwielbienie, jakim obdarzyła męża, rysowało się wyraźnie

na jej twarzy. Vincent nie ukrywał radości, gdy odkrył, że jego czuła, wstydliva, dziewicza małżonka posiada podobnie jak i on głęboko tkwiącą zmysłowość. Podniecało go, że jej namiętność zaczyna teraz dorównywać jego własnej.

Och, jakże ją kochał, tę gorącą, oddaną mu młodą kobietę, która należała do niego teraz i na zawsze. Jego kobieta. Jego kochanka. Jego żona.

Świadomość, że posiadał ją całkowicie, działała jak afrodyzjak; wystarczyło mu patrzeć na nią, by ogarniały go płomienie. Zatrzymał wzrok na jej szczupłej, lecz kształtnej figurce, doskonale widocznej przez przezroczystą tkaninę, przylegającą do ciała w niezmiernie prowokacyjny sposób. Wysokie piersi były napięte pod jedwabiem; bez trudu mógł więc dostrzec ostro zarysowane sutki.

Gorąco przepłynęło mu przez lędźwie, poczuł tępy ból w podbrzuszu i nagle doznał potężnej erekcji. Nie przypominał sobie, by kiedyś czuł się podobnie, nawet podczas minionych pięciu dni i nocy spędzonych tu z Audrą, która podniecała go bardziej niż jakakolwiek inna kobieta.

Zrobił krok do przodu.

Odrzuciła głowę w stronę drzwi, zobaczyła go, uśmiechnęła się słabo. Gdy stanął obok niej, ujął jej twarz w dłonie i czule, głęboko zajrzał w oczy. Były atramentowo-czarne w półmroku pokoju. Pochylił się do przodu, pocałował jej czoło, policzki i poczuł słony smak łez.

Zaskoczony, uniósł głowę i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Audro, o co chodzi, najmilsza? Czy nie jesteś ze mną szczęśliwa? – pożądanie nagle minęło.

– Och, Vincencie, jestem, oczywiście, że jestem.

Przytuliła się do niego mocniej, objęła ramionami i oparła głowę na jego gładkiej piersi. Westchnęła głęboko.

– A więc, co się stało? Dlaczego jesteś taka rozstrojona?

– Nie jestem, naprawdę nie jestem.

Przywarła do niego jeszcze silniej w nadziei, że dotyk jej ciała przekona go lepiej niż słowa. Kochała tego mężczyznę tak bardzo, całym swym sercem, duszą i umysłem. Nie chciała, żeby źle zrozumiał

przyczynę jej łez. Wyjaśniała mu powoli:

– Stałam tutaj, czekając na ciebie, podziwiając piękno morza w świetle księżycy, gdy nagle pomyślałam o tych nie kończących się miłach oceanu rozciągającego się stąd do Australii. I zupełnie nieoczekiwanie z ogromną siłą odczułam brak Fredericka i Williama. Było to jak ostry ból w piersi, jakiś straszliwy ucisk. Poczułam taki smutek i zapragnęłam, żeby byli tu, w Anglii. Gdzieś, gdziekolwiek... Nie ma znaczenia gdzie, byle tylko pod tym samym niebem, co ja... A potem pomyślałam o moim ślubie i w tym momencie zaczęłam płakać. Tak bym chciała, żeby oni byli na tej uroczystości, Vincencie, żeby zobaczyli nasz ślub – znowu westchnęła, ale teraz już lekko i ledwo dosłyszalnie.

– Była taka chwila w kościele, tuż przed ceremonią zaślubin, kiedy poczułam się całkowicie samotna. To było straszne.

– Tak, rozumiem cię – wyszeptał czule, delikatnie głaszcząc jej włosy i tuląc mocniej do siebie. – Oczywiście, że cierpiałas z powodu nieobecności braci, że chciałaś, aby byli przy tobie: to zupełnie naturalne. Pocałował czubek jej głowy. – Ale w tej chwili, gdy zostaliśmy małżeństwem przestałaś być samotna, Audro. I nigdy więcej nie będziesz. Teraz masz mnie.

– Wiem, że tak jest. A ty masz mnie.

– Nigdy nie zapomnę, jak wyglądałaś tamtego ranka w kościele, Audro. Do końca życia nie zapomnę. Byłaś taka śliczna w tej niebieskiej sukni. Zawsze powinnaś ubierać się na niebiesko, najmilsza.

Poczuł, że się uśmiechnęła. Wiedział, że uczucie smutku znika i cieszył się z tego.

– Vincencie – zwróciła się do niego – powiedz mi jeszcze raz... no, wiesz... to, co mówiłeś ostatniej nocy...

Zaśmiał się cichutko:

– Ostatniej nocy mówiłem ci wiele rzeczy. Co masz na myśli?

– Dlaczego się ze mną ożeniłeś?

– Bo cię kocham.

– A dlaczego mnie kochasz

Znowu się zaśmiał.

– Powiedz mi – upierała się niskim głosem i przesunęła opuszki palców po jego łopatkach.

Zadrżał pod tym dotykiem. Nagle zapragnął jej z nową siłą.

– Dlatego, że kocham twój wygląd, twój głos, dotyk twoich rąk. Kocham to, jak czuję ciebie w moich rękach, kocham każdą część twojego ciała, Audro, każdą część ciebie. Och, miłości moja...

Podniósł jej głowę do góry, całując szyję i miękkie uległe usta. Krew szybciej popłynęła mu w żyłach. Pragnienie posiadania jej rozszałało się w nim na nowo.

Reagowała na jego pocałunki gorąco. Kiedy dotykał wargami jej ust, rozchyliła je lekko, tak że jego ciepły, kochający język mógł się wsunąć i przylgnąć do jej własnego. Zacieśnił uścisk ramion, całował ją zachłannie, namiętnie.

Audra uniosła się nieco, tak że ich ciała wtopiły się w siebie. Tuląc się do niego czuła jego twardość na swym brzuchu, gorącą, gdyż dzieliła ich tylko cienka tkanina koszuli. To przyprawiło ją o nieoczekiwane drżenie. Gwałtowna i nagła fala gorąca zaczęła pulsować w jej udach. Drżenie wzmożło się, gdy uświadomiła sobie, co się zdarzy za chwilę i gdy przypomniała, co czuła, gdy posiadał ją po raz pierwszy. W noc poślubną, gdy doszło do pierwszego zbliżenia, żywiła pewne obawy, zwłaszcza kiedy stanął przed nią nagi. Ale kochał ją z taką ostrożnością i czułością, był tak delikatny, że ból był sprawą tylko kilku sekund. Teraz już zdołali dopasować się doskonale.

Nieoczekiwanie przestał ją całować.

Odsunąwszy się, Vincent zdjął z jej ramion wąskie ramiączka koszuli i ściągnął ją poniżej piersi. Koszula bezszelestnie opadła na podłogę.

Ponownie spojrzął z głęboką miłością w oczy Audry. Uniósł dłoń i pogłaskał jej policzek. Po długiej chwili ukląkł przed nią, oparł głowę o jej brzuch i otoczył ją ramionami. Przyciskając ręce do jej pleców powoli przesunął je w dół, na pośladki, i lekko poruszając jej ciałem ustawił ją we właściwej pozycji.

Audra drżała pod dotykiem jego dłoni, jej własne pożądanie coraz silniej pulsowało w żyłach. Serce uderzało gwałtownie, a ciało płonęło w oczekiwaniu. Wyciągnąwszy ręce, gładziła jego włosy, a potem powoli położyła mu je na ramionach.

Pokrywając brzuch Audry lekkimi, szybkimi pocałunkami, Vincent ciągle gładził jej plecy, pośladki i uda. Potem nieco się od niej odsunął, oparł na piętach i przesunął ręce na brzuch, nieustannie dotykając i głaszcząc jej skórę. W końcu dłonie zatrzymały się w miękkich jedwabistych skrętach jasnych włosów, pokrywających wzgórek u nasady ud. Powoli, z niezwykłą ostrożnością, rozsunął delikatne płatki, dotknął maleńkich fałdów cieplej, wilgotnej skóry skrywających istotę jej kobiecości. Całował jej pępek i brzuch długimi przeciągłymi pocałunkami. Przez cały czas jego ręce błądziły między pachnącymi piżmem fałdami, dotykając i poszukując. Wreszcie i jego język dołączył do tych poszukiwań. Zaczął ją lizać, całować, słysząc jej stłumione, kocie jęki. Ścisnęła mu ramiona i tuliła się do niego, gdy doprowadził ją na próg ekstazy.

Gwałtownie przerwał pieszczoty i odsunął się od niej.

Stłumiła oddech, szeroko otworzyła oczy, wpatrując się w jego twarz.

Ujął mocno przeguby jej rąk i szybko, silnie pociągnął na podłogę. Z niecierpliwością zrzucił spodnie od piżamy, wyciągnął się obok niej na dywanie, przylgnął całym swym ciałem do jej ciała i mocno przytulił ją do siebie. Niezależnie od silnego pragnienia chciał przedłużyć te chwile czułej bliskości.

Uniósł się na łokciu i spojrzał na nią z góry. Ich oczy spotkały się w spojrzeniu pełnym namiętności, mocnym, przenikającym w głąb duszy. Jej twarz wyrażała miłość, oddanie i pragnienie. Wpatrując się w jego czyste, zielone oczy, Audra zobaczyła w nich płomień pożądania, zdziwienie i blask łez. Wtedy serce jej się ścisnęło i wyciągnęła rękę, aby dotknąć jego twarzy.

Ostatecznie to Vincent przerwał tę wymowę spojrzeń i dotyku. Nagle poczuł się zbyt wzruszony, by oglądać ten szczególny wyraz jej twarzy. Teraz ogarnął spojrzeniem wyciągnięte obok siebie ciało Audry.

Była wprost przezroczysta w przenikającym przez otwarte okno świetle księżycy. Przypominała doskonały marmurowy posąg, tyle tylko, że nie miała w sobie chłodu kamienia. Była żywa i godna pożądania. Jakże piękne miała piersi, krągłe i gładkie, o twardych jak majowe pąki kwiatów sutkach.

– Och, Audro! – westchnął. – Moja Audro! Jesteś taka piękna.

Uśmiechnęła się lekko, podniosła rękę, przesunęła czubkiem palca po jego wargach.

Chwycił jej rękę, ucałował wewnątrz dłoni, potem nachylił się i pocałował wgłębienie między piersiami, z lubością wciągając zapach jej gładkiej, młodej skóry. Po chwili otoczył dłonią pierś i zaczął pieścić palcami sutek, który powiększył się, stał się twardy i sztywny. Audra wydała lekki jęk rozkoszy, gdy jego wargi dotknęły drugiej piersi.

Przywarła doń z całej siły, przesuwając swoje dłonie po jego plecach, po szyi, aż wreszcie wsunęła palce w ciemne szorstkie włosy.

– Och, Vincencie, Vincencie, tak bardzo cię kocham! – szepnęła ochryple.

Na dźwięk swego imienia i czułości brzmiącej w głosie odsunął się od niej i gwałtownie poruszył. Podniósł się nad nią oparty na rękach. Nie było potrzeby czekać dłużej. Nie mógł już czekać.

Posiadł ją gwałtownie w potrzebie połączenia się, w potrzebie stania się wraz z nią jednym ciałem. Zagłębiał się coraz dalej i dalej, rozkoszując się pełnią dotyku jej ciała, które otoczyło go ciepłem i miłością, i dawało poczucie takiej zupełnej z nią jedności, jakiego nie zaznał z żadną kobietą.

Jakże ją kochał... tę śliczną dziewczynę, którą trzymał w ramionach... swoją piękną żonę. Należała do niego. Byli dla siebie stworzeni, stworzeni do życia ze sobą. I jakże cudownie do siebie pasowali.

Wsunąwszy dłonie pod jej ciało, przycisnął ją mocniej do siebie, zanurzając się i unosząc. A i ona uniosła się na jego spotkanie. Objęła go ramionami, dorównując mu gwałtownością uczuć i pragnienia.

Vincent krzyknął w zachwycie i wypowiedział wiele razy jej imię, przez cały ten czas trzymając ją mocno przy sobie. Wiedział, że dłużej już nie zdoła panować nad sobą, że jest u progu rozkoszy. Pomyślał przez sekundę, że chyba traci przytomność. Zdawało mu się, że zepchnięto go w dół z ogromnej wysokości, że spada... spada... spada.

– Och, teraz, teraz – wykrztusił w jej płonący policzek. – Audro, bierz mnie, weź mnie całego. *Teraz*.

– Vincent! Ooch!

Wyprężyła ciało, tak jak to lubił, na spotkanie jego namiętności, przyjmując ją z miłością i ofiarując w zamian własną bez żadnych ograniczeń.

Radości fala za falą opływała ją całą; miała wrażenie, że toną w spełnieniu. Nagle ogarnęło ją jakieś niezwykle drżenie, uniosła się znowu i w tym samym momencie poczuła, że i przez jego ciało przebiegł silny dreszcz... Wtedy złączyli się we wspólnym wstrząsającym przeżyciu. A potem on opadł na nią i leżał wyczerpany w jej objęciach; ona gładziła go po włosach, położywszy swoją głowę przy jego głowie, równie zmęczona i jak on przytłoczona emocjami.

Wreszcie Vincent podniósł się, mówiąc niewyraźnym szeptem:

– Jestem za ciężki.

– Nie, nic nie szkodzi. Lubię przecież czuć twój ciężar na sobie – odszepnęła. A potem kręcąc głową ze zdziwieniem, dodała głośno: – Dlaczego mówię szeptem?

– Nie mam pojęcia. I Bóg jeden wie, dlaczego leżymy na podłodze – Vincent zaczął śmiać się cicho.

– Z czego się śmiejesz?

– Z siebie, najmilsza. Przez wiele miesięcy nie myślałem o niczym innym, tylko o tym, jak będę się z tobą kochać w wygodnym łóżku. A teraz, gdy mamy je w pokoju obok, wybrałem podłogę. Możesz to zrozumieć? – Uniósł się na łokciu i odsunął z jej twarzy pasmo włosów.

– To wszystko twoja wina – dodał.

– Dlaczego?

– Dlatego, że jesteś małą kusicielką. Stałaś tu przy oknie w świetle księżycy, a moje serce łomotało jak szalone. Nie mogłem ci się oprzeć. Musiałem cię mieć. Właśnie tu, na podłodze – znowu zaśmiał się cicho. – Nie ma co do tego dwóch zdań, działasz na mnie, palę się do ciebie, najmilsza.

Audra nic nie odpowiedziała i odwróciła wzrok.

Vincent wyczuł jej nagłe zawstydenie.

To właśnie było w niej takie inne... była splotem sprzeczności. Od chwili gdy posiadał ją po raz pierwszy, była szczodrym partnerem, o nic nie pytała, robiła, co sobie życzył. Ale po akcie miłosnym nigdy nie chciała mówić o tym, co przeżyli, ani nawet wspominać tego, co się stało. Zauważył też, że w takich chwilach niezmiennie popadała w niezwykłą powściągliwość i małomówność. Jakby spuszczała się jakaś zasłona odgradzająca go od niej. Domyślał się, że takie zachowanie było wynikiem wychowania i pochodzenia. Jeśli się jest damą, to można robić różne rzeczy, ale nie należy o nich mówić. Cóż, nie było to znowu takie ważne. Należała do niego i kochał ją – to się tylko liczyło.

Podnosząc się z podłogi Vincent podał Audrze rękę i pociągnął ją za sobą. Uściskawszy mocno, odnalazł jej nocną koszulę i wsunął jej przez głowę, a potem nałożył swoją piżamę.

– Nie wiem jak ty, ale ja nagle poczułem się głodny. Zróbmy sobie piknik przy tej wazie z owocami. Mówiąc to podszedł do stolika i wziął talerz.

– Doskonały pomysł – zgodziła się Audra. – I ja jestem głodna.

Objąwszy ją ramieniem, Vincent skierował się do sypialni. Tutaj zasiedli po turecku na środku dużego, podwójnego łóżka i zaczęli zajadać czerwone, soczyste jabłka. Po pewnym czasie Vincent wrócił do sąsiedniego pokoju i zabrał trochę opróżnioną butelkę winą, którą zamówił do kolacji. Przyniósł ją do sypialni wraz z dwoma kieliszkami, które napełnił: jeden podał Audrze, z drugim sam wrócił do łóżka.

Usadowił się wygodnie z poduszką pod plecami, zapalił papierosa i powiedział:

– Opowiedz mi jeszcze coś o High Cleugh i o tym, jak byłaś mała.
– Boże, jesteś nienasycony, a moja przeszłość nie jest znowu aż tak interesująca – odpowiedziała śmiejąc się cicho. – Poza tym teraz twoja kolej.

Niewiele zostało do opowiadania... – skrzywił się. – Wiesz już wszystko o moich dziecięcych przygodach z Redversem Bullerem. – Mrugnął do niej porozumiewawczo: – Nie wierzę, że chcesz tego słuchać jeszcze raz; o tarapatkach, w jakie wpadaliśmy, i laniu, jakie dostawaliśmy od dyrektora. To strasznie nudne.

– Ale ty tak wspaniale opowiadasz.

– Cóż, tego nie wiem, najmilsza. – Zaciągnął się papierosem, wypuszczając zgrabne kółka, i podarował jej jeden ze swych rozbrajających uśmiechów. Zielone oczy zaśniły, gdy się pochylił do przodu, i wpiły się w nią. Powiedział prosząco: – No, Audro, nie daj się prosić. Chcę posłuchać o twojej matce i wuju Peterze... piękna Edith Kenton i przystojny kapitan... Muszę przyznać, że ci dwoje bardzo mnie intrygują.

– Aha, wychodzi z ciebie prawdziwy romantyk, Vincencie Crother.

– Czyżby? – w głosie zabrzmiało powątpiewanie.

– Tak – Audra uśmiechnęła się. – Mogę ci opowiedzieć, jeśli chcesz, o tajemniczym zniknięciu szafirów mojej matki.

– Twoje oczy są jak szafiry, czy wiesz o tym?

– Chcesz posłuchać tej historii czy nie?

– Chcę.

Zaczęła więc opowiadać, on zaś powrócił na swoje miejsce, popijał wino i przysłuchiwał się z uwagą. Vincent był równie zafascynowany pochodzeniem Audry i jej rodziny, jak zakochany w niej samej. Nic więc dziwnego, że lubił słuchać wspomnień o jej dzieciństwie, w szczególności zaś lubił dźwięk jej melodyjnego głosu, gdy mówiła z taką czułością o tamtych czasach.

Rozdział dwunasty

– Zamknij oczy – powiedziała Audra – i trzymaj je tak, dopóki nie powiem, byś je otworzył.

– Okay – odparł Vincent.

Audra patrzyła nań z uwielbieniem. Dziś jej szczęście nie miało granic. Ujęła rękę męża i poprowadziła go ze sobą po trawie.

– Tu nic nie ma na drodze, idź normalnie – powiedziała.

Vincent znowu wypełnił polecenie.

– Teraz! – wykrzyknęła Audra.

Uniósł powieki i zamrugnął oślepiiony światłem poranka, a potem przyłożył dłoń do czoła, przysłaniając oczy.

– Popatrz tam, bliżej tych drzew... w tej dolince – podpowiedziała Audra.

Podążył spojrzeniem we wskazanym kierunku; zaparło mu dech w piersiach.

– A więc *to* jest High Cleugh – powiedział dziwnym głosem i w osłupieniu wpatrywał się w stary dworek.

– Tak – Audra przyjrzała mu się z lekkim niepokojem. – Jesteś taki zdziwiony. Czy czujesz się rozczarowany? Myślisz, że nie jest taki piękny, jak to opisywałam?

– Ależ jest, jest – zapewnił ją pośpiesznie. – Audro, on jest taki duży i wygląda tak wyniośle. Nie miałem pojęcia, to znaczy, nie wyobrażałem sobie, że to jest dom tego rodzaju, rozumiesz, to jest pałac.

Nie mógł ukryć swego pełnego podziwu szacunku. Widać było, że dom zrobił na nim duże wrażenie.

– Wygląda na większy, niż jest w rzeczywistości – powiedziała.

– Możliwe, ale i tak jest większy niż ten, do którego ja jestem przyzwyczajony. I te ogrody. Audro, one zapierają dech w piersiach.

Audra spojrzała nań rozpromieniona.

– Moja matka rozplanowała je i posadziła rośliny. Tam, w dole, przy rzeczce, rosną jej ostróżki. Kiedykolwiek widzę ostróżki, zawsze myślę o High Cleugh.

– Doskonale cię rozumiem, najmilsza.

– Jeśli spojrzysz jeszcze dalej, na prawo, w dół rzeki, to zobaczysz te kamienie, o których ci mówiłam. To właśnie w tamtym miejscu zawsze przechodziliśmy rzekę, gdy szliśmy tutaj na piknik... do Miejsca Pamięci. Oczywiście, tak się wtedy nie nazywało. To ja je tak nazwałam, po tym jak... – urwała i spojrzała w drugą stronę; w jej głosie zabrzmiała nuta smutku, gdy dokończyła: – Wiesz, po tym, jak oni umarli i moi bracia zostali wysłani z kraju.

– Tak – powiedział i otoczył ją opiekuńczym ramieniem.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

Odpowiedział uśmiechem, przyglądając się jej uważnie w nadziei, że wizyta tutaj nie sprawi jej przykrości. Od chwili gdy poprosił ją, żeby w drodze powrotnej z Robin Hood's Bay do Leeds pokazała mu High Cleugh, nie przestawał myśleć, że to może wzbudzić wspomnienia, które ją zasmuca. Zgodziła się jednak na to chętnie i bez oporów. Lecz teraz Vincent pomyślał, czy przypadkiem jego upór nie okazał się bezmyślny. Chabrowe oczy Audry wydały mu się podejrzanie wilgotne.

Vincent odchrząknął i powiedział:

– Czy jesteś pewna, że chcesz, byśmy właśnie tutaj urządzili sobie piknik?

– O tym przecież myślałam. Tu jest tak ładnie; stąd rozciąga się taki cudowny widok. Czy nie chcesz tu zostać? – spytała z niepokojem, zawsze chętna, by zrobić mu przyjemność.

– Tak. Wszystko, czego ty sobie życzysz, jest dobre i dla mnie.

Nachylił się i pocałował ją w policzek, a potem ruszył w stronę starożytnego platanu. Kilka minut temu zostawił pod jego rozłożystymi gałęziami dwie duże papierowe torby; teraz zaniósł je z powrotem na szczyt zbocza, gdzie pozostała Audra. Z jednej z nich wyjął duży kraciasty pled i rozesłał u jej stóp. Później, wymachując wymyślonym kapeluszem, złożył przed nią głęboki ukłon w dworskim stylu.

– Pani, moja peleryna jest do jej dyspozycji. Zechciej usiąść, abyśmy mogli wziąć udział w uczcie – powiedział, naśladowując przesadny akcent wyższych sfer.

Z ożywieniem i śmiechem, z błyszczącymi radością oczyma Audra dygnęła z wdziękiem i odpowiedziała, siadając na pledzie z gracją:

– Och, sir Galahadzie, przyjmij moje serdeczne dzięki.

Vincent padł obok niej.

– Muszę przyznać, że to było uprzejmie ze strony recepcjonisty w hotelu Victoria, iż załatwił dla nas prowiant – mówiąc to zaczął wyjmować małe paczuszki z drugiej torby.

– Tak, bardzo uprzejmie – zgodziła się Audra, pomagając w wypakowywaniu. – O, popatrz, hotelowy kucharz włożył tu porcje jaj po szkocku – zawołała, odwijając z pergaminu kiełbaski nadziewane jajkami na twardo.

Vincent przyjrzał się im i powiedział:

– Cóż, wyglądają prawie tak smacznie jak te, które przyrządza moja mama... Ja zaś znalazłem tu torebkę marynowanych cebulek i kawał wspaniałego sera Wensleydale. O, a tu jest butelka mleka dla ciebie, dziecinko.

– Dziękuję ci, Vincencie.

Oboje byli głodni po długiej podróży z Robin Hood's Bay na wschodnie wybrzeże, przez rozległy teren północnego Yorkshire aż do Ripon. Teraz więc niemal w milczeniu zajadali smaczny lunch, który przygotowano im w hotelu.

Był wyjątkowo piękny, czerwcowy dzień.

Niebo było jasnoniebieskie i rozslonecznione. Leciutki, wonny wietrzyk szeleścił w liściach drzew. Nie słychać było niczego poza słabym pluskiem płynącej rzeki, rozlegających się od czasu do czasu ptasich głosów i łopotania ich skrzydeł.

Ani Audrze, ani Vincentowi nie przeszkadzały chwile milczenia, które zapadało między nimi często. Właściwie to lubili je i cieszyli się nimi, tak jak wszystkim, co robili razem. Byli zadowoleni z tego, że po prostu są ze sobą, i świadomi tego, że nie potrzebują uciekać się do wymuszonej konwersacji. Ta prostota, łatwość obcowania, istniała między nimi już od pierwszego spotkania w styczniu.

Audra przypatrywała mu się ukradkiem.

Dzisiaj był dwunasty czerwca i Vincent kończył dwadzieścia pięć lat, ale wydawał się jej znacznie młodszy. Może to z powodu jego świeżej cery i opalenizny zdobytej przez ostatnie dni. Choć więcej czasu spędzili w hotelowym pokoju, to przecież sporo też spacerowali po okolicy, a kiedy Audra postanowiła utrwalić na akwareli widok na zatokę z wysokiego skalistego brzegu, Vincent towarzyszył jej w tych wyprawach. Czytał gazety, studiował swój rozkład gonitw, a później, wyciągnięty obok niej na trawie, opalał się.

Nagle Audra pomyślała, co by powiedział Vincent, gdyby mu się przyznała, że niezbyt była zadowolona z dnia ich ślubu.

On jednak bawił się znakomicie. Uśmiechał się, ścisnął dłonie, przyjmował życzenia i czuł się doskonale. Tak bardzo, że zwróciło to jej uwagę. Był właściwie wprost nonszalancki. To on mógłby być panem Calpher House. Nie, żeby jego zachowanie było obraźliwe dla Bellów czy kogokolwiek innego – raczej tylko godne zazdrości. W każdym razie ona mu zazdrościła. Sama bowiem większość czasu była skrępowana i zakłopotana, co jednak starannie ukrywała, demonstrując spokój i opanowanie oraz przylepiony do twarzy uśmiech.

Od samego bowiem początku weselnego przyjęcia, wyczuła przenikające atmosferę dziwne prądy, podczas gdy Vincent był zupełnie ich nieświadomy.

Zaczęło się od tego, że między Thorntonami i Crowtherami zaistniała jakaś niezręczność, która, jak zauważyła, zdołała się rozwinąć w ciągu kilku godzin w starannie zawoalowaną antypatię. Wtedy już jej wewnętrzny dyskomfort zmienił się w rozpacz. Vincent zaś przepelniony dobroduszością stawał się coraz bardziej ekspansywny.

W pewnym momencie weszła w poszukiwaniu męża do eleganckiej jadalni Bellów, gdzie pan Agiter, Cora i Dodie przygotowywali bufet do śniadania. Natychmiast zauważyła stojących w kącie Gwen i Charliego, pogrążonych w rozmowie. Już miała się odwrócić i wyjść, kiedy dostrzegła, że ich spojrzenia spoczęły na Vincencie, który w drugim

rogu pokoju rozmawiał z panią Bell. Ze zdumieniem zobaczyła, że są one wrogie.

Gdyby spojrzenia mogły zabijać – pomyślała Audra – Vincent padłby trupem.

Jej ramiona pokryły się gęsią skórą. Odwróciwszy twarz, poszła pośpiesznie przyłączyć się do męża i niemal obronnym gestem ujęła go pod ramię.

Po krótkiej rozmowie z panią Bell, przeprosiła swą byłą chlebodawczynię, wyjaśniając, że chce, by mąż poznał bliżej panią Lennox. Ciągłe trzymając go pod ramię wyszła z nim do hallu. Czuła, że zbiera się jej na mdłości i że jest jej straszliwie przykro.

Była wręcz zadowolona, że może wyruszyć w podróż poślubną tak szybko, jak na to pozwoli grzeczność wobec państwa Bell. Vincent oczywiście wolałby pozostać dłużej, bo czuł się tu znakomicie i był w swoim żywiole.

Audra ostrożnie poruszyła się, wyciągnęła przed siebie nogi i sięgnęła po kawałek sera, który zaczęła gryźć z roztargnieniem, starając się odegnać od siebie myśli o Gwen. Ale okazało się to niemożliwe.

Jej najlepsza przyjaciółka nie lubiła jej męża.

To była smutna prawda, która sprawiła Audrze wiele przykrości. W dodatku Gwen zapalała niechęcią do Vincenta znacznie wcześniej, nim go bliżej poznała. Słowa wypowiedziane przez nią w pamiętny wieczór w Dniu Guy Fawkesa, dotąd dźwięczały w uszach Audry. Wszystko to oczywiście z powodu Charliego. Gwen osądziła Vincenta, nie zadając sobie trudu lepszego poznania go. Zrobiła to po prostu dlatego, że to on został wybrany zamiast jej brata.

Jakże niedojrzała okazała się Gwen – pomyślała Audra. Czuła się rozczarowana, bo oczekiwała od swej przyjaciółki czegoś innego. Ponieważ szanowała i ceniła ich przyjaźń, teraz niepokoiła się, że została ona zagrożona. Kochała Gwen i nie chciała jej utracić. Ale również kochała swego męża. Jeśli ona i Gwen mają się dalej widywać, to Gwen będzie musiała zachowywać się przyjaźnie wobec Vincenta. On

zaś, nie mając pojęcia o niechęci Gwen, zawsze był wobec niej serdeczny i przyjazny.

Tłumiąc westchnienie Audra oparła się na łokciu i zamyśliła się. Musi znaleźć jakiś sposób, by dowieść Gwen, że jest niesprawiedliwa. Audra nie chciała również i tego, by Gwen była ofiarą jej małżeństwa. Miała zamiar pomówić z nią o tym wszystkim w najbliższym czasie.

Będę musiała postępować bardzo dyplomatycznie – pomyślała i natychmiast zaczęła układać sobie scenariusz rozmowy.

Vincent w tym czasie rozmyślał o High Cleugh.

Odkąd znaleźli się na tym zbocz, cały czas rzucał na dom ukradkowe spojrzenia. Teraz stary dworek stał przed nim oddzielony od nich rzeką. Gdy patrzył nań, nie mógł powstrzymać się od myśli o tym małym domku, który znaleźli w Upper Armley i wynajęli miesiąc temu.

Kiedy natknęli się na niego zupełnie przypadkowo, uważał, że dopisało mu szczęście. Domek był solidny, w dobrym stanie i w wygodnej odległości od jego miejsca pracy. Teraz jednak stracił cały swój urok. Jakże mały i pospolity był w porównaniu z High Cleugh, gdzie się urodziła i wyrosła jego żona. On miał jej znacznie mniej do zaoferowania.

Odrzucił głowę i spojrzał na Audrę taksująco, z prześliskiem nieoczekiwanego obiektywizmu. Jakże ślicznie wyglądała w żółtej sukience, świeża i godna pożądania pod każdym względem. Miała też wiele wspaniałych cech charakteru. Był przekonany, że będzie doskonałą żoną. I chociaż nigdy nie oznaczał się szczególnym zamiłowaniem do introspekcji, Vincent pogrążył się w myślach o Audrze.

Gdyby okoliczności jej życia ułożyły się inaczej, nigdy by jej nie pozwolono wyjść za mnie za mąż.

Ta nieoczekiwana myśl wstrząsnęła nim do głębi duszy. To, że jej rodzina mogłaby sprzeciwić się temu małżeństwu, nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy. Teraz jednak, gdy był przekonany o słuszności swego przypuszczenia, poczuł przygnębienie. Nagle przypomniał sobie przestrożę matki: „Napytasz sobie kłopotów, jeśli się z nią ożenisz, mój chłopcze” – oświadczyła. „Jeśli ją poślubisz, będziesz tego żałował”.

Również Laurette była przeciwna temu małżeństwu, chociaż polubiła Audrę. „Pochodzicie z różnych światów” – powiedziała siostra, gdy zażądał, by wyjaśniła, o co jej chodzi. „Dlatego nic dobrego z tego nie wyjdzie. Ona jest damą z krwi i kości”.

Próbując przekonać Laurette, że to nie ma znaczenia, opowiedział jej o trudnym życiu Audry, gdy pracowała jako posługaczka, o jej ciężkiej i odpowiedzialnej pracy pielęgniarki. Słuchała go z niedowierzaniem. „Nie bądź głuptasem, Vincencie. Co to ma do rzeczy? Jej pochodzenie i wychowanie zawsze będą częścią jej samej. Ona różni się od ciebie i mnie, od nas. I wierz mi, że ta różnica ma wielkie znaczenie”.

Vincent zawsze łatwo wpadał w gniew. Tym razem też się rozszłościł i wybiegł z furią z domu. Był w konflikcie z ukochaną siostrą przez kilka tygodni. Bardzo stanowczo zdecydował, że zrobi, jak sam uważa za stosowne. A za stosowne uważał ożenić się z Audrą wbrew wszystkim sprzeciwom swojej rodziny. Audra o tym nie wiedziała.

Vincent dalej był przekonany, że jego matka i siostra nie miały racji. Jakież to mogło mieć znaczenie, że on i Audra pochodzili z różnych warstw społecznych. Kochali się. A to było najważniejsze, czyż nie?

Audra, której wzrok był utkwiony w Vincenta, wyczuła w nim jakąś zmianę i zapytała:

– Nic ci nie jest? Wyglądasz jakoś dziwnie.

– Och, czuję się doskonale, najmilsza – odpowiedział i roześmiał się trochę drżącym śmiechem.

– Wyglądałeś przed chwilą na zmartwionego. Jesteś pewien, że nic cię nie dręczy, Vincencie?

Zmusił się do szerokiego uśmiechu.

– Nigdy nie czułem się lepiej – zawołał, a po namyśle dodał: – Żałuję, że to ostatni dzień naszego miodowego miesiąca i że wszystko się kończy.

– Niezupełnie – pocałowała go w policzek i popatrzyła na niego z miłością. – Mamy jeszcze przed sobą cały dzisiejszy dzień i wieczór w Harrogate. Zjemy wspaniałą kolację z okazji twoich urodzin Pod Białym Łąbędziem. To ładny hotel, na pewno ci się spodoba. – Audra

usiadła, przechyliła głowę na ramię i dodała: – Nawet jeśli nasz miody tydzień kończy się jutro, to nasze wspólne życie dopiero się zaczyna. Myśl o tym, Vincencie... A ja wiem, że nasze wspólne życie będzie wspaniałe i piękne.

– Tak – potwierdził uspokojony.

Audra nagle zrobiła się rozmowna i ożywiona. Mówiła Vincentowi z wielkim entuzjazmem o ich wspólnej przyszłości, o wszystkich tych dobrych rzeczach, które ich czekają.

Rozdział trzynasty

– Audro, czy widzisz tu coś, co należy do ciebie? – zapytał Vincent, obrzucając uważnym spojrzeniem salon w Grange.

– Tamte dwa obrazy olejne po obu stronach drzwi tarasowych i akwarela na bocznej ścianie – odparła. – Namalował je mój ojciec. Jeśli się przyjrzyysz z bliska, to znajdziesz na nich podpis: *Adrian Kenton*.

Vincent przeszedł przez pokój, spojrzął na dwa piękne irlandzkie pejzaże, a potem na martwą naturę i skinął twierdząco. Odwrócił twarz do Audry stojącej przy kominku i dodał:

– Co jeszcze?

– Większość mebli... Inkrustowana skrzynia obok drzwi, dwa małe stoliki Sheratona, tamta konsolka i stojący na niej zegar z miśnieńskiej porcelany. Są jeszcze dwa krzesła w stylu Chippendale, ale muszą być w innym pokoju. Ona ma również srebrną georgiańską zastawę do herbaty, należąca do mojej matki, kilka mniejszych sztuk srebra i jeszcze trzy obrazy, w tym jeden namalowany przez ojca. – Pełen pewnością siebie uśmiech pojawił się na ustach Audry, która pogładziła swoją torebkę i dodała: – Mam ze sobą spis wszystkich przedmiotów i biżuterii, jestem więc dobrze przygotowana... – urwała i zatrzymała wzrok na otwierających się drzwiach.

Vincent spojrział również w tamtą stronę. Ogromnie był ciekaw kobiety, z którą miał się niebawem spotkać. Audra trochę mu o niej opowiadała, a to, co słyszał, bardzo mu się nie podobało.

Alicja Drummond zatrzymała się na progu.

Vincent, obserwując z narastającym zainteresowaniem tę kobietę w średnim wieku, pomyślał: *Wąska*. Wszystko w niej jest wąskie. Oczy, nos, usta, twarz i cała sylwetka. Nie zadał sobie pytania, czy równie wąski miała umysł, *tego* bowiem domyślił się wcześniej z uwag Audry.

Audra, która nie widziała swej krewnej przez prawie sześć lat, była zaskoczona. Spozrzęgała, że Alicja Drummond nie tylko bardzo się przez ten czas postarzała, ale wyglądała na poważnie chorą. Była skurczona, wręcz wynędzniała i straszliwie chuda; czarne, paciorkowate oczy zapadły się głęboko. Rzadkie, szpakowate włosy miała ściągnięte w koczek; ubrana była w brązową, jedwabną suknię.

Zamknąwszy za sobą drzwi, Alicja przeszła przez pokój swym zwykłym, sztywnym krokiem.

– Halo, Audro – odezwała się nieprzyjemnie wysokim głosem. – Kiedy pisałaś dwa tygodnie temu, nie mówiłaś, że przywiesz ze sobą gościa. Spodziewałam się, że będziesz sama. Byłam zdumiona, gdy pokojówka powiedziała mi, że towarzyszy ci... – obrzuciła Vincenta spojrzeniem, a w oczach pojawiła się ciekawość – ten młody człowiek.

Audra odpowiedziała krótko:

– Dzień dobry, ciotko Alicjo. Chciałabym ci przedstawić mojego męża. To Vincent Crowther. Vincencie, to cioteczna siostra mojej matki, Alicja Drummond.

Alicja, która rzadko traciła dar mowy, teraz stała bez słowa. Mąż – myślała oszołomiona. Ten elegancko ubrany, przystojny, młody mężczyzna był mężem nieładnej, małej Audry. Wydawało się to wprost niemożliwe.

Vincent zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę:

– Miło mi poznać panią, pani Drummond.

– Dzień dobry – odpowiedziała Alicja. Jej lodowaty wzrok już go oceniał.

Vincent mówił poprawnie, z dodatkiem tylko bardzo słabego yorkshirskiego akcentu przy wymawianiu samogłosek, ale Alicja to dosłyszała.

Klasa pracująca, to bardziej niż prawdopodobne – skomentowała dla siebie. – Cóż, to by wszystko wyjaśniało.

– Proszę, usiądźcie oboje – powiedziała robiwszy gest w stronę sofy. Sama zaś przysiadła na brzegu krzesła i skupiła uwagę na Audrze. – Dlaczego nie zawiadomiłaś nas, że wychodzisz za mąż? – spytała.

Audra zignorowała pytanie, które w obecnych okolicznościach uznała za śmieszne.

– Spędzaliśmy miesiąc miodowy w Robin Hood's Bay – powiedziała. – Ponieważ wiedziałam, że będziemy w pobliżu w drodze do Leeds, pomyślałam sobie, że dobrze będzie wstąpić i zobaczyć się z tobą. Chciałam, żeby Vincent cię poznał, skoro...

– Cieszę się z tego.

– Skoro wróci tu w następną sobotę. Przyjedzie furgonetką...

– Furgonetką? – głos Alicji wyrażał zaskoczenie.

– Tak. Przyjedzie zabrać moje rzeczy.

– Rzeczy?!

– Tak, moje rzeczy, ciotko Alicjo. Albo raczej rzeczy mojej matki, które po jej śmierci należą do mnie i które ty tutaj... przechowywałaś.

– Dobry Boże, Audro, nie chcesz chyba powiedzieć, że masz zamiar wydawać pieniądze na wynajęcie furgonetki na taki kawał drogi, aby zabrać kilka sztuk starych, bezwartościowych mebli. Mówiłaś, że z Leeds, tak?

– Bezwartościowych? – powtórzyła Audra, obrzucając ją gniewnym spojrzeniem. – Ja tak nie sądzę.

– Ależ tak, zapewniam cię. Są niewiele warte.

– Ile by były warte, chcę je zabrać. Pragnę, żeby rzeczy mojej matki były u mnie. Poza tym one należą do mnie i to od dawna.

– Wydaje mi się, że parę starych stolików niezbyt zasługuje na takie wysiłki i wydatki – szorstko odparła Alicja.

Jej twarz przybrała pogardliwy wyraz i odwróciła się do Vincenta. – Co za pomysł, wynajmować samochód i jechać tutaj, żeby zabierać kilka starych gratów! Moim zdaniem, Audra zachowuje się śmiesznie. Co za strata pieniędzy, chyba zgodzi się pan ze mną?

– Audra chce zabrać swoje rzeczy – odpowiedział Vincent spokojnie, lecz z wielką stanowczością. – A wszystko, czego chce Audra, ja postaram się zdobyć.

– Oczywiście – Alicja prychnęła z lekceważeniem i spojrzała na niego wyniośle.

– Pozostaje jeszcze sprawa biżuterii, ciotko Alicjo, którą chciałybym zabrać ze sobą dzisiaj.

Alicja otworzyła usta i natychmiast je zamknęła, świadoma ponurej determinacji, widocznej w postawie Audry i w zdecydowanym zacięciu ust.

– Nie jestem pewna, czy biżuteria jest tutaj. Jeśli dobrze pamiętam, to moja matka wzięła ją na przechowanie do siebie.

– Nie jesteś pewna? – powtórzyła Audra. – Wydaje mi się, że powinnaś być szczególnie troskliwa, jeśli chodzi o własność innych osób. Dziwię się też bardzo, że nie skontaktowałaś się ze mną wcześniej. Dobrze wiedziałaś, że na początku tego miesiąca kończę dwadzieścia jeden lat. Jestem już pełnoletnia, a więc legalnie mogę rozporządzać tym, co do mnie należy. – Audra roześmiała się lekko, ale cierpko: – Właściwie to nie było żadnego powodu, dla którego nie mogłabym zabrać już przed laty rzeczy mojej matki. My...

– Przed laty nie byłaś zamężna – ostro przerwała ciotka, przybierając pozycję obronną. – Co byś wtedy robiła z tymi meblami? Gdzie byś je trzymała?

– Mówię teraz o biżuterii! – zawołała Audra. – Chciałam też powiedzieć, że moja była pracodawczyni, pani Irena Bell, powiedziała przed kilkoma tygodniami dokładnie to samo. Oboje, ona i pan Bell, byli zdumieni, że nie skontaktowałaś się ze mną w maju, aby się dowiedzieć, co chcę zrobić ze swoją własnością. Pan Bell jest adwokatem

w Leeds, bardzo znanym, i doskonale zna sprawy spadkowe oraz inne tego rodzaju kwestie – Audra utkwiała w ciotce wymowne spojrzenie i zamilkła.

Alicja poczerwieniała i poczuła się niezręcznie. Odkąd otrzymała list od Audry, była zaniepokojona. Niechętnie myślała o rozstaniu się z należącymi do dziewczyny wartościowymi przedmiotami i knuła plany zatrzymania ich dla siebie. Ale teraz musiała zmienić taktykę. Nie życzyła sobie wplątywać się w spory z adwokatem ani też z mężem Audry, który wyglądał na to, że, sprowokowany, mógłby stać się niebezpiecznym przeciwnikiem. Starając się ukryć irytację, Alicja wstała, odchrząknęła i powiedziała:

– Możliwe, że moja matka tylko mówiła o zabranii tej biżuterii do siebie, ale ostatecznie tego nie zrobiła. Moja pamięć już nie jest taka sprawna jak dawniej. Być może więc wszystko jest tutaj. Pójdę na górę i sprawdzę.

– Tak, to rozsądna decyzja – potwierdziła Audra.

Alicja wyszła pośpiesznie, niepochlebnie wyrażając się w myślach o Audrze. Nie wzięła pod uwagę adwokatów i męża. Dziewczyna ją zaskoczyła.

Kiedy tylko zostali sami, Vincent odezwał się cichym głosem.

– To sprytna, stara diablica, ta ciotunia!

– Wiem dobrze, że stara się przywłaszczyć sobie moje rzeczy – odszepnęła Audra.

– Nie martw się, nie pozwolę jej na to. W każdym razie mogę się założyć, że obawia się, iż sprowadzisz jej na głowę pana Bella, jeśli zrobi jakiś fałszywy krok. Zauważyłem, jak się zmieniła na twarzy, gdy wspomniałaś, iż jest znanym adwokatem.

Audra usiadła z powrotem na sofie, rozejrzała się dokoła i poczuła, że nie lubi tego pokoju tak samo, jak nie lubiła go dawniej. Pomyślała o wszystkich tych okrucieństwach, które w przeszłości uczyniła jej Alicja Drummond i serce jej zlodowaciało. Nieoczekiwanie w pamięci

pojawiła się scena pożegnania z braćmi. Była tak żywa i wyraźna, że Audra zeszywniała; ogarnęło ją okropne poczucie straty. Zacisnęła powieki, zastanawiając się, czy kiedykolwiek uwolni się od tego uczucia. Chyba tak, przecież już teraz nie jest sama, ma Vincenta. On teraz jest jej rodziną. Otworzyła oczy i zwróciła je ku mężowi.

Napotkał jej spojrzenie; zauważył, że błękitne oczy przesłania smutkiem. Uścisnął jej rękę i powiedział:

– Ten dom źle na ciebie wpływa, a i po mnie tu ciarki przechodzą. Zmiatajmy stąd, jak tylko załatwisz sprawy z tą starą jędzą.

Audra przytaknęła. Siedzieli oboje w milczeniu, trzymając się za ręce.

Niebawem powróciła Alicja Drummond, niosąc szkatułkę z biżuterią. Podeszła wprost do Audry i podała z wielką gwałtownością, nie umiejąc opanować swojej niechęci.

– Oto one – rzuciła ostro. – Nie wątpię, że zechcesz sprawdzić, czy niczego nie brakuje. I szczerze mówiąc, wolałabym, żebyś to zrobiła. Nie chcę być oskarżona o przywłaszczenie.

Audra nie zareagowała.

Wpatrywała się w leżące na kolanach pudełko, tak bardzo dobrze jej znane. Zawsze stało na gotowalni w sypialni matki w High Cleugh...

Po pewnej chwili podniosła wieczko, doznając ulgi, że nareszcie ma rzeczy matki w swoich rękach. Powoli zaczęła przeglądać zawartość szkatułki, z czułością dotykając poszczególnych sztuk... Wyjęła zaręczynowy pierścionek matki z trzema malutkimi brylancikami. Tę rzecz matka nosiła przez większą część swego życia – pomyślała – a teraz ja będę jego właścicielką. Z głęboką satysfakcją wsunęła pierścionek na serdeczny palec prawej ręki.

Nie musiała sprawdzać zawartości szkatułki według spisu, gdyż znała go na pamięć. Biżuteria była nietknięta, niczego nie brakowało. A czy Alicja Drummond przez wszystkie te lata nosiła ją, czy nie, nie miało to większego znaczenia. Ważne było, że obecnie należała do niej.

Audra postawiła szkatułkę na sofie między sobą i Vincentem, otworzyła torebkę i wyjęła z niej drugi wykaz. Spoglądając na Alicję powiedziała:

– To jest spis mebli, obrazów i sreber należących do mojej matki i znajdujących się w tym domu. Zostawię ci go, abys później przejrzała. Vincent przyjedzie tu w przyszłą sobotę i zabierze wszystko. Około dziesiątej rano. Mam nadzieję, że to właściwa pora?

Upokorzona Alicja zdołała tylko przytaknąć. Audra położyła spis na jednym ze stolików Sheratona i mówiła dalej.

– Pomyślałam sobie, że dzisiaj już moglibyśmy zabrać obrazy mego ojca. Jesteśmy samochodem, więc zmieszczą się na tylnym siedzeniu.

Vincent, który pragnął załatwić wszystko jak najszybciej i zabrać Audrę z tego przynębiającego domu, poderwał się nagle:

– To ja od razu zdejmę je ze ścian. – Spojrzał na Alicję i wyjaśnił: – Wiem, które obrazy namalował ojciec Audry, ona już mi je pokazała.

Alicja Drummond miała wrażenie, że zamienia się w kamień. Nie mogła ani się poruszyć, ani odezwać, tylko tępo wpatrywała się w Vincenta, jak zdejmuje pierwszy obraz i stawia go przy fotelu.

I w tej chwili coś w niej pękło. Lata żelaznej samokontroli jakby nigdy nie istniały.

– Nie ruszaj moich obrazów! Nie śmiej ich dotykać! – wrzasnęła i rzuciła się przez długość pokoju w jego stronę. Wszelkie pozory godności ulotniły się; chwyciła Vincenta brutalnie za ramię, zajrzała mu w twarz i krzyknęła ze wzrastającą wściekłością: – Nie waż się dotykać moich obrazów!

Vincent był porażony jej słowami i zachowaniem. Strząsnął jej rękę z ramienia, zrobił krok do tyłu i odwrócił się do siedzącej na sofie Audry. Wymienili zdumione spojrzenia.

Audra pośpiesznie zerwała się z kanapy i przeszła przez pokój.

– To nie są twoje obrazy, ciotko Alicjo. One są moje – powiedziała stanowczym i rzeczowym głosem, przez chwilę bowiem zastanawiała się, czy starsza kobieta nie postradała zmysłów. – Chyba nie zapomniałaś, że namalował je mój ojciec i że zawsze wisiały w High Cleugh. Są częścią mego spadku po ojcu i matce. Ja...

– Twoja matka! – wrzasnęła Alicja, odwracając się do niej. – Nie wspominaj jej przy mnie. Nie była niczym więcej jak dziwką!

Audra zastygła w przerażeniu.

Vincent nie wierzył, że naprawdę to usłyszał.

– No, niech się pani liczy ze słowami! – zawołał. – Proszę nie mówić w ten sposób do mojej żony. Ja na to nie pozwolę. – Podszedł bliżej do Audry, otoczył ją ramieniem i zwrócił się do Alicji: – Jakim prawem obrzuca pani matkę Audry takimi wyzwiskami?

– Nie podoba się wam słowo „dziwka”? No to wybierzcie sobie inne: pinda, nierządnicza, prostytutka, ulicznica! Wszystkie do niej pasują, bo właśnie taka była. Zabrała mi go, ukradła mego najdroższego Adriana – wysoki głos Alicji przeszedł już w żałosny pisk. Bliska łez wyrzucała z siebie pośpiesznie: – On należał do mnie. Mieliśmy się pobrać. Dopóki nie uczepliła się jego, nie zawróciła mu głowy, nie wciągnęła go do łóżka tymi różnymi sztuczkami i gierkami... – słowa utkwily jej w gardle, zaczęło jej brakować tchu, zakasłała, trzymając ręce przy piersi, jakby osłaniając się przed bólem.

Audra była tak wstrząśnięta, tak zdeglustowana wszystkim, co usłyszała, że tylko spoglądała z przerażeniem na swoją krewną.

– A więc o to chodziło przez te wszystkie lata – powiedziała wreszcie z niedowierzaniem. – O mój Boże! Bracia i ja zostaliśmy ukarani tylko dlatego, że ty byłaś zazdrosna. Jakie to godne pożałowania! Jak można rozdzielić osierocone dzieci z takiego powodu! I to wtedy, gdy oboje rodzice byli już w grobie, gdy przeszłość nie miała już żadnego znaczenia. Jesteś podłą kobietą, Alicjo Drummond, podłą. A jeśli chodzi o mego ojca – Audra przerwała i nabrała tchu: – prawie

go nie znałam, ale z tego, co o nim wiem, to Adrian Kenton był dobrym i wrażliwym człowiekiem. I nie wierzę, że mógł być zainteresowany osobą taką jak ty. – Z obrzydzeniem odwróciła się od ciotki i powiedziała do Vincenta: – Proszę cię, zdejmij ten drugi obraz ojca i wyjdźmy stąd.

Vincent zrobił, o co go prosiła. Audra podeszła do kanapy, wzięła swoją torebkę i szkatułkę z biżuterią.

Alicja Drummond wybuchła. Cała skrywana przez długi czas nienawiść do Edith Kenton, nienawiść, której nie zniweczyła nawet śmierć, wybuchła, rozgorzała w niej w tej chwili. Pośpiesznie podbiegła do Audry.

– Adrian Kenton nie był twoim ojcem! – rzuciła jej w twarz. – Nie był, czy słyszysz? Jesteś bękartem! Bękartem Petera Lacey'a. Puszczala się z nim, kiedy Adrian jeszcze żył. Mój biedny, kochany Adrian musiał to wszystko oglądać!

Audra cofnęła się gwałtownie i kręcąc głową gorączkowo zaprzeczyła słowom ciotki:

– To nieprawda! To kłamstwo! – wołała.

– To prawda! – zasyczała Alicja. – Twoja matka była cudzołożnicą i ty jesteś bękartem!

– A ty jesteś kłamczuch, Alicjo Drummond!

Vincent rozumiał, że musi działać bez zwłoki.

Chwycił Audrę pod ramię i niemal siłą wyciągnął ją z salonu. Po czym odwrócił się błyskawicznie i wszedł tam ponownie, wziął obrazy i stanął przed Alicją Drummond, która ciągle stała na środku pokoju i wyłamywała sobie palce. Na jej twarzy malowało się rozgorączkowanie, a oczy lśniły jakimś szaleńczym blaskiem. Vincent pomyślał, że postradała zmysły.

– Będę tu w przyszłą sobotę – zwrócił się do niej – i zabiorę resztę rzeczy Audry. Lepiej, żeby wszystko było w dobrym stanie, bo inaczej...

– Jak pan śmie mi grozić!

– Nie grożę pani. Chcę tylko, żeby pani wiedziała, iż nie pozwolę się okpić. Prawo też jest po naszej stronie. Niech pani o tym pomyśli, pani Drummond.

Audra stała tam, gdzie ją pozostawił, przyciskając kurczowo do piersi szkatułkę. Była śmiertelnie blada i drżała.

– Chodźmy! – zawołał. – Kochanie, otwórz drzwi, bo mam zajęte obie ręce.

– Tak, tak – odpowiedziała, starając otrząsnąć się z szoku. Pośpieszyła otworzyć frontowe drzwi.

Kiedy oboje wsiedli do samochodu wuja Phila, Vincent odetchnął z ulgą. Przejechał przez bramę na końcu długiego podjazdu, zwolnił i skierował wóz na drogę wiodącą do Ripon. Jechał w tym kierunku przez kilka minut, chcąc znaleźć się możliwie najdalej od Grange, a później zatrzymał się przy wysokim żywopłocie.

Zwrócili się ku sobie jednocześnie. Vincent nigdy nie widział jej tak bladej. Przyciskała do siebie szkatułkę, jakby w obawie, że ktoś jej zechce ją odebrać. Na szczęście jednak przestała drżeć. Wywoływała w nim współczucie – spojrzął jej w oczy. Były pełne bólu. Bardzo chciał, żeby poczuła się lepiej, ale nie był pewien, jak to zrobić. Powiedział więc łagodnie:

– Już wszystko w porządku, najmilsza. I nigdy więcej nie postawisz nogi w tym przeklętym domu!

– Tak – zgodziła się Audra.

Zapadła chwila milczenia, oboje wpatrywali się w siebie. W końcu Audra zapytała przyciszonym głosem:

– Vincencie, ty nie wierzysz, że to wszystko jest prawdą? Nie myślisz, że ja jestem... z nieprawego łóża? – wargi jej zadrżały i oczy napełniły się łzami.

– Ależ nie, naturalnie, że nie! – wykrzyknął gwałtownie. – Sama powiedziałaś jej prosto w twarz... że jest kłamczucha!

– Ale dlaczego wymyśliła coś tak okropnego, coś tak podłego?

Zaskoczony takim pytaniem Vincent spojrzął z ukosa na żonę i powiedział:

– Audro, kochana... przecież nie jesteś głupia... Wiesz dlaczego. Ona ci to wyraźnie powiedziała. – Głos mu się zmienił, stał się twardszy i surowszy: – Ta cholerna, stara krowa jest pełna goryczy i nienawiści.

I nie tylko to. Ona jest pomyłona, mówię ci. Zupełnie stuknięta. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby wkrótce wylądowała w domu wariatów.

– Tak, może i masz rację – powoli odparła Audra, zastanawiając się nad tym, co powiedział.

Znowu wróciła myślami do Alicji Drummond. Ta kobieta niewątpliwie była wcieleniem zła. Nie musiała być szalona. Pomyślała o braciach i latach trudów, jakie przeżyli w Australii, o swojej samotności i problemach, z jakimi się borykała. Najstraszniejsze w tym było, że wszystko to nie musiało się wydarzyć. Że było całkowicie zbyteczne.

– Czy dobrze się czujesz? – zapytał Vincent.

– O, tak – wyszeptała. – Tylko myślałam... ludzie bywają podli, prawda?

– Tak, dziecino, bywają – zgodził się i wyciągnawszy rękę dotknął lekko jej ramienia. – Spróbuj się rozluźnić... nikt ci nie ma zamiaru ukraść tej szkatułki.

Audra zrobiła wysiłek, żeby się uśmiechnąć. Rozluźniła uścisk i położyła pudełko na kolanach.

– Cóż, myślę, że możemy ruszyć dalej. Nie możemy tu siedzieć cały dzień – zauważyła po chwili.

– Okay... ale dokąd pojedziemy? Czy ciągle jeszcze chcesz się zobaczyć ze swą cioteczną babką Frances? A może ruszamy wprost do Harrogate?

Audra zawahała się przez ułamek sekundy.

– Myślę, że jednak powinniśmy do niej pojechać – powiedziała. – Ona mnie *oczekuje*. Chciałabym również, żebyś ją poznał. – Rzuciła mu uspokajające spojrzenie i dodała: – Jest dużo, dużo miłsza niż jej okropna córka, zapewniam cię.

– No to pokaż mi drogę.

– Właściwie to już stąd niedaleko. Jedź dalej prosto. Za jakieś dziesięć minut dotrzemy do Cobbler's Green. Tam skręcimy na prawo. Dom ciotki Frances jest na końcu tej bocznej drogi.

Żadne z nich nie podjęło rozmowy w czasie jazdy i dopiero, gdy Vincent skręcił w Cobbler's Green, Audra powiedziała:

– A wiesz, to może być prawda.

W pół słowa zrozumiał, co ma na myśli, i dodał pośpiesznie:

– Może i jest możliwe, ale, gdybym był na twoim miejscu, nie traciłbym czasu na zamartwianie się z tego powodu.

– Dlaczego nie?

– Dlatego że nigdy nie dowiesz się prawdy. Twoja matka była jedyną osobą, która ją знаła, a ona nie żyje.

– Mogła zwierzyć się ciotce Frances. Mówiłam ci, że były ze sobą blisko.

– Nie masz chyba zamiaru pytać jej o to?

– No cóż... Tak, chyba mam.

W końcu jednak Audra nie zapytała ciotecznej babki o nic. Od chwili przybycia do Bodelia Cottage widać było, że stara dama jest bardzo słaba. Choć zrobiło się już późne popołudnie, to dzień był słoneczny i ciepły, jednak wszystkie okna w domu szczelnie pozamykano, a na kominku palił się ogień. Staruszka siedziała w fotelu owinięta szalem z rękoma wyciągniętymi w stronę kominka.

Audra poprowadziła Vincenta przez labirynt wiktoriańskich mebli i ozdób. Dawno zapomniany zapach tego pokoju uderzył ją z nową siłą. W suchym, zakurzonym powietrzu unosiły się wonie dojrzałych jabłek, woskowej pasty do polerowania mebli i kwiatowego pot-pourri, tak jak to było w latach jej dzieciństwa. Gdy nachyliła się, by pocałować pomarszczony policzek, poczuła słaby zapach naftaliny zmieszany z zapachem wody lawendowej i miętowych cukierków. Nagle ogarnęła ją nostalgia i poczuła przyływ uczucia wobec Frances Raynolds.

Cioteczna babka nie posiadała się z radości ze spotkania, po tak długim czasie i poznania Vincenta. Jakkolwiek była zdziwiona, że Audra zjawiła się z mężem, to polubiła go od razu lub też tak się Audrze wydawało. Uśmiechała się do nich dobrotliwie i świergotała wesoło jak ptaszek. Od czasu do czasu głaskała rękę Audry, zasypując ją lawiną pytań o to, jak układało się jej życie.

Audra odpowiadała, jak umiała najlepiej, cały czas uważnie obserwując staruszkę, delikatną i przezroczystą jak porcelanowe filiżanki,

z których pili herbatę, i myślała, że każdy mocniejszy oddech mógłby ją przewrócić. Siwe włosy i drobną budowę pamiętała z dawnych lat, ale teraz była w niej jakaś nowa kruchość, taka, że chciało się ją ostrożnie owinąć w watę w obawie przed stłuczeniem. Intuicja podpowiadała Audrze, że widzi cioteczną babkę po raz ostatni. Frances Raynolds była już bardzo stara i jej ziemskie życie dobiegało końca. Myśl o tym uświadomiła jej, że nie pora teraz na zagłębienie w przeszłość matki. To by tylko wzburzyło starą damę, która tak przecież kochała swą siostrzenicę.

Vincent miał rację – pomyślała. – Tylko moja matka знаła prawdę i zabrała ją ze sobą do grobu. Rozpoczynanie rozmowy o zdradzie małżeńskiej byłoby w tych okolicznościach splamieniem pamięci matki. Dlatego też przemilczała tę kwestię.

Spędzili w Bodelia Cottage prawie dwie godziny, ale dopiero, gdy zbierali się do wyjścia, ciotka wspomniała Edith Kenton. Wpatrując się w Audrę, powiedziała starym głosem:

– Kiedy zmarła moja kochana Edith, Alicja zabrała wszystkie jej dokumenty i papiery z High Cleugh. Ale ja je odebrałam, bo chciałam przechować je dla ciebie, Audro, dopóki nie dorosnie. – Frances Raynolds zamilkła, słabo się uśmiechnęła i pokiwała srebrną głową: – Ach, moje dziecko, wyglądasz na ogromnie ciekawą, ale obawiam się, że wśród tych papierów nie ma niczego wielkiej wagi. Jakieś stare listy, jej świadectwo urodzenia i ślubu, parę starych fotografii i nic więcej.

Twarz Audry wyraziła rozczarowanie.

– Ale i tak chcę je mieć – powiedziała jednak.

– Oczywiście, moja droga. Dlatego właśnie je przechowałam przez te lata. – Spojrzała na Vincenta. – Papiery są w teczce, która stoi tam, na podłodze. Czy możesz mi ją podać?

– W tej chwili – odparł zrywając się z miejsca i podał teczkę starej damie.

– Nie, nie, daj ją Audrze. Te papiery należą do niej.

– Dziękuję – powiedziała Audra, biorąc teczkę z rąk Vincenta.

Teczka miała inicjały matki – EWK – wytłoczone złotem na wierzchu, między zamkami. Otworzyła je i zajrzała do środka, dotknęła papierów i zdecydowała, że obejrzy wszystko później, gdy przyjadą do Harrogate do hotelu Pod Białym Łabędziem.

– Jestem ci bardzo wdzięczna, ciociu Frances, za przechowanie tego dla mnie.

Staruszka uśmiechnęła się i rzekła drżącym, słabym głosem:

– Wiedziałam, że masz zamiar zobaczyć się z Alicją; przypuszczam, że już to zrobiłaś i że zabrałaś biżuterię matki?

– Tak – odparła Audra i przerwała w obawie, by nie powiedzieć czegoś więcej.

Spojrzała wyczekująco na męża, który przyszedł jej natychmiast z pomocą.

– Wszystko w porządku; w przyszłym tygodniu przyjadę z braćmi furgonetką, żeby zabrać meble i resztę rzeczy Audry.

Stara dama spoglądała na niego z zadowoleniem, a w jej oczach pojawił się wyraz satysfakcji graniczącej z triumfem. Sięgnąwszy po swoją łaskę powiedziała:

– Chodźcie oboje ze mną do jadalni. Chcę, żebyście sobie wybrali jakąś sztukę srebra do swojego nowego, wspólnego domu.

Rozdział czternasty

– Vincencie, proszę cię, wstawaj – powiedziała Audra potrząsając go za ramię.

Przekręcił się na plecy, otworzył oczy i zamrugał, oślepiiony przenikającym przez cienkie zasłony światłem.

– Dlaczego? – spytał.

– Dobrze wiesz dlaczego – zawołała Audra, starając się pohamować irytację. – Gwen przychodzi na kolację.

– *Jeśli* się pojawi.

– W ubiegłą niedzielę to była moja wina, to ja pomyliłam daty – wtrąciła pośpiesznie Audra.

Rzucił jej sceptyczne spojrzenie, ale nic nie powiedział.

– *Proszę* cię, Vincencie – mówiła już bardziej podniesionym głosem – wstań.

W odpowiedzi chwycił ją za przegub i pociągnął ku sobie, a następnie objął i mocno uściśnął.

– Chodź do mnie do łóżka na pół godziny – szepnął.

– Nie mogę, dobrze wiesz, że nie mogę. Nie mamy czasu – Audra próbowała uwolnić się z uścisku.

– To znaczy, że nie chcesz – odparł i natychmiast ją puścił.

Audra podniosła się pośpiesznie, odsunęła od łóżka i powiedziała:

– Jesteś nie w porządku.

– O, nie. Nie jestem. To ty ostatnio zrobiłaś się zimna.

– Nie – zarumieniła się. – To tylko dlatego, że zawsze wybierasz nieodpowiednią porę.

Popatrzył na stojący na stoliku budzik.

– Co jest w tym nieodpowiedniego? O wpół do piątej w niedzielne popołudnie? Wydaje mi się, że to doskonała pora.

– Spodziewamy się gościa.

– Ach, tak. Szanowna panna Gwen Thornton. – Wymówił nazwisko z pewną zgryźliwością i dodał: – Nie wiem, co ty w niej widzisz i dlaczego tak się za nią uganiaasz.

– Wcale się za nią nie uganiam!

– Tak, robisz to. Zaczynam myśleć, że wolisz ją ode mnie.

– Nie bądź śmieszny – zawołała Audra, patrząc na niego ze zdumieniem. – Wiesz dobrze, że to nieprawda. – Nagle ogarnął ją gniew na niego, więc dodała z irytacją: – Tak czy inaczej, nie mam nastroju na... łóżko, na kochanie się. Nie po tym, jak się zachowywałeś przez ostatnie kilka tygodni.

– Moje zachowanie! O czym ty, do cholery, mówisz?! – usiadł na łóżku i wpatrywał się w nią uporczywie. W miarę jak narastał w nim gniew, zielone oczy miały coraz silniejsze błyski.

Audra pokręciła głową i powoli opanowała zirygowanie.

– Ty po prostu *nie wiesz*, o co mi chodzi, nie wiesz, *co robisz* – zrozumiała nagle.

– Co masz na myśli?

– Och, Vincencie! Jesteś niemożliwy. I czasami doprowadzasz mnie do szału. No, na przykład każdej niedzieli tracę cierpliwość przez twoje występy w porze lunchu. Wychodzisz z braćmi do pubu i beztroško wracasz sobie dobrze po drugiej, kiedy wcześniej obiecałeś, że będziesz w domu najpóźniej o pierwszej. A potem złościsz się na mnie, że jedzenie jest niedobre... jakby to była moja wina.

– Dziś się nie złościłem.

– Tak. Dzisiaj również. Widzisz, alkohol ci nie służy. Zawsze wtedy robisz się wojowniczy i drażliwy, wychodzą z ciebie najgorsze cechy.

Miał zamiar zignorować te uwagi, skoro ostatnio nabrała zwyczaju szukania dziury w całym, ale zmienił zdanie.

– Przestań ciągle dawać mi lekcje – warknął. – Nie lubię tego. Jestem mężczyzną, nie dzieciakiem. Zawsze, odkąd skończyłem osiemnaście lat, w niedzielę chodziłem do pubu i nie mam zamiaru przestać tego robić teraz. Ani dla ciebie, ani dla nikogo innego. A poza tym każdy chodzi do pubu w niedzielę, to stara angielska tradycja.

Tylko wśród klasy robotniczej – pomyślała i natychmiast zganiła się za tę myśl. Gardziła każdym rodzajem uprzedzeń.

– Jest jeszcze coś – powiedziała. – Znowu zostawiłeś mnie samą wczoraj wieczorem u twojej matki, podczas gdy ty z braćmi robiłeś rundkę po pubach...

– Były urodziny Bilia – przerwał jej oburzony i znowu gotów do obrony.

– To prawda i nie mam ci za złe, że chcesz uczcić jakąś okazję. Ale w ubiegłą sobotę czy pozaprzeszłą nie było urodzin Bilia, a ty także wychodziłeś sam.

– Wczoraj nie musiałaś zostawać u matki. Mogłaś iść na tańce z Laurette. Przecież cię zapraszała.

– Nie wysłałam za męża za Laurette, wysłałam za ciebie.

– Mam nadzieję, iż nie znaczy to, że mam być przywiązany do twojej spódnicy dwadzieścia cztery godziny na dobę przez resztę mego

zycia. Bo nie będę, możesz być pewna – westchnął ciężko i zacisnął usta z niechęcią.

Audra zdusiła odpowiedź, którą miała na końcu języka, i zapytała samą siebie, dlaczego zadaje sobie trud prowadzenia sprzeczki właśnie w tej chwili. Gwen miała przyjść za godzinę, więc chciała, żeby w domu był spokój. Jeszcze tylko tego potrzeba, by Gwen pomyślała, że coś jest między nimi nie w porządku!

Odwróciła się i stanęła w drzwiach sypialni.

– Mam jeszcze sporo do zrobienia – rzekła łagodnie i zbiegła w dół po schodach, zanim zdołał coś powiedzieć.

Odsuwając od siebie niepokoje, związane ze zmianą w ich wzajemnych stosunkach, zakrzątnęła się w kuchni, służącej jednocześnie za jadalnię, ich czteropokojowego domku przy Pot Lane. Nakryła stół obrusem, wyjęła kilka sztuk porcelany z pięknego serwisu, który Bellowie podarowali im w prezencie ślubnym, i zaczęła nakrywać do kolacji.

Kiedy skończyła, rzuciła okiem na piec zastanawiając się, czy rozpałać ogień, czy też nie. Wrześniowe wieczory bywały chłodne. Myśląc o pogodzie przypomniała też sobie, że potrzebne są świeże kwiaty na stół i na konsolkę w malutkim saloniku. Znalazła nożyczki w szufladzie kredensu, wzięła koszyczek i wyszła na dwór.

Dom miał numer trzydziesty ósmy wymalowany białą farbą na zielonych drzwiach i był jednym z trzech domków w ślepej uliczce w Upper Armley. Przy każdym z nich był malutki ogródek; Audry – zaskakiwał bujnością i obfitością kwiatów. Poprzedni lokator bardzo dbał o niego przez długie lata, a teraz ona, od chwili gdy zamieszkali tu w czerwcu, troszczyła się o rośliny.

Ostatnie letnie róże w pełni rozkwitu pochylały główki. Audra wciągnęła głęboko nasycone zapachami powietrze. Ciężki i słodki aromat uderzył jej do głowy. Zaczęła ostrożnie ścinać róże, starając się nie uszkodzić delikatnych kwiatów.

– Nie masz pojęcia, jak ślicznie wyglądasz, najmilsza – odezwał się Vincent z progu domu.

Podniosła głowę i spojrzała w jego stronę.

Rzucił jej jeden ze swych najpiękniejszych uśmiechów. Odpowiedziała uśmiechem, rozumiejąc, że chciał, by się pogodzili.

– Dziękuję – szepnęła. Podniosła się, wzięła do ręki koszyk z kwiatami i skierowała w stronę domu.

Nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Kiedy zatrzymała się na wprost niego, objął ją czule i wprowadził do środka. Po zamknięciu drzwi wyjął jej z ręki koszyk, wziął ją w ramiona i całował mocno, długo, namiętnie.

Audra odpowiedziała na pocałunki. Robiła to teraz z radością, gdyż nagle cała niechęć, którą czuła, gdzieś zniknęła. Myślała jedynie: Kocham go, on mnie kocha i tylko to ma znaczenie. Na pewno jakoś dojdziemy do porozumienia.

Po chwili przestał ją całować, uniósł jej twarz do góry i głęboko zajrzał w zdziwione oczy. Wydawało mu się, że ich chabrowy błękit nabrał ciemnofioletowego odcienia, jak zawsze, gdy była podniecona. Jego spojrzenie pytało i szukało odpowiedzi.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo cię pragnę? – spytał wreszcie ochryplym głosem.

– Tak – zawahała się i dodała szeptem: – ja czuję to samo.

Vincent uśmiechnął się do siebie, wiedział bowiem, ile kosztowało ją to wyznanie. Przesunął palcem po jej policzku i spytał:

– Może Gwen nie pozostanie zbyt długo?

– Chyba nie. Przecież jutro jest poniedziałek.

Vincent nachylił się i szepnął jej do ucha:

– A więc mamy randkę dziś wieczorem, pani Crowther.

– Dobrze.

Przycisnął ją do siebie raz jeszcze i puścił; odwrócił się i poszedł do drzwi wejściowych.

– Wrócę na kolację – powiedział.

– Dokąd idziesz? – spytała zdziwiona.

– Do matki.

– *Ale po co?*

– Obiecałem Frankowi, że pomogę mu wypełnić dokumenty wojskowe. Tata w końcu pozwolił mu wstąpić do wojska i Frank strasznie

się cieszy. Wiesz, jak bardzo chciał być w pułku kawalerii i wyjechać do Indii. Nie mogę powiedzieć, żebym go za to ganił, zwłaszcza teraz, kiedy w kraju sytuacja cholernie się pogorszyła – skrzywił twarz niechętnie. – Tyle ludzi jest już bez pracy i każdego dnia jeszcze ich przybywa.

– A u was, u Varleya, wszystko w porządku? Vincencie, czy oni też mają jakieś kłopoty? – Audra zeszywniała w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Nie, oczywiście, że nie – uśmiechnął się pocieszająco. – Jesteśmy teraz w połowie budowy tego wielkiego domu dla starego Pinfolda i jego pani. W każdym razie nie martw się o te sprawy, to moja rzecz. – Cmoknął ją w policzek, obdarzył szerokim uśmiechem i wyszedł mówiąc: – Bywaj, kochanie. Zobaczymy się później.

Rozdział piętnasty

– A więc kupiliście kanapę. Nareszcie – powiedziała Gwen wchodząc z kuchni do małej bawialni.

– Tak – odparła Audra marszcząc brwi.

Gwen podeszła wprost do nowego mebla, stojącego na środku pokoju na wprost kominka i szybko na nim usiadła. Skrzyżowała nogi i wygodnie oparła się o poduszki.

Audra stała przed nią, studiując uważnie jej twarz. Jak zwykle, była bez wyrazu i dość niewinna. Natychmiast pojęła, że Gwen nie miała nic złośliwego na myśli, robiąc tę uwagę, nawet jeśli ton, jakim powiedziała „nareszcie”, był odrobinę drwiący.

– Kupiliśmy to dwa tygodnie temu – wyjaśniła jak zawsze spokojnie. – Szukaliśmy mebli w tym właśnie stylu i zajęło nam to trochę czasu.

– Ach, tak – powiedziała Gwen i odwróciła głowę przyglądając się z bliska oparciu kanapy. Powąchała obicie. – Mhmm, *skóra*. Bardzo

ładna rzecz, Audro. Muszę powiedzieć, że lubię rzeczy prawdziwe. Imitacje to nie dla mnie.

Audra powściągnęła uśmiech i podeszła do kominka. Rozbawiła ją niestosowność tej uwagi w połączeniu z ciągotami Gwen do sztucznej biżuterii, którą zazwyczaj była obwieszona jak chodząca reklama Wo-olwortha. Dzisiaj zresztą przeszła samą siebie. Miała na sobie dziwaczny zestaw barwnych szkiełek, imitujących diamenty i inne kamienie, które zupełnie do siebie nie pasowały. Błyszczała jak świąteczna choinka.

Ale to cała moja Gwenny – pomyślała w nagłym przypływie czułości dla przyjaciółki. – Nie byłaby sobą bez tych koralików, bransoletek i długich kolczyków. To jest jak jej znak firmowy i nie sądzę, bym chciała ją zmienić, nawet gdybym mogła.

Ciągle uśmiechnięta Audra sięgnęła po zapałki.

– Zdaje się, że się trochę ochłodziło – powiedziała kucając przy palenisku. Zapaliła papier oraz drzazgi i ciągnęła dalej: – Czy nie chcesz, żebym ci przyniosła sweter, Gwen?

– Nie, dziękuję ci, kochasiu. Jest mi ciepło. Będzie mi jeszcze bardziej teraz kiedy rozpalisz ogień. – Gwen przesunęła ręką po swej jaskrawoczerwonej sukni i dodała: – Chyba powinnam była włożyć coś cieplejszego niż to, ale ta suknia jest nowiuteńka i chciałam, żebyś ją zobaczyła. Podoba ci się, Audro?

– To śliczna sukienka i bardzo ci w niej do twarzy – powiedziała szczerze Audra.

Wstała i z aprobatą obejrzała przyjaciółkę. Gwen pogładziła ręką swoje blond włosy.

– A co myślisz o mojej nowej ondulacji?

– Podoba mi się. Sama się zastanawiam, czy nie zrobić sobie w przyszłym tygodniu. Napijesz się herbaty? A może wolałabyś drinka?

– Nie powiedziałabym nic na szklaneczkę sherry.

– Myślę, że wypiję z tobą.

Audra podeszła do stojącej w rogu pokoju szafki, wyjęła butelkę Amontillado, dwie szklaneczki i zaniósła wszystko na mahoniową konsolkę.

Odwróciwszy głowę w ślad za Audrą, Gwen zauważyła:

– Skoro już obdarzamy się nawzajem komplementami, to niech i ja ci coś powiem. Zrobiłaś jakieś czary z tym pokojem, wygląda naprawdę ładnie. Obrazy twego ojca, Audro, są piękne, zwłaszcza ten nad kominkiem. No i te meble po matce... Cóż, wszystko wygląda wspaniale. Możesz być dumna z tego domu, kochasiu.

– Dziękuję ci, Gwen – odpowiedziała jej Audra z promiennym uśmiechem. – Cieszę się, że ci się podoba. Pokój jest oczywiście mały, ale dzięki temu przytulny i wygodny, nie sądzisz?

Gwen przytaknęła i raz jeszcze obrzuciła pokój wzrokiem.

– A jak nazywa się ta śmieszna zieleń na ścianach?

– *Eau-de-Nil* – zaśmiała się Audra.

– Co za dziwna nazwa! – skrzywiła się Gwen zabawnie.

– To znaczy po francusku „woda Nilu”; obecnie to bardzo modny kolor.

– Cóż, ty zawsze byłaś na bieżąco, jeśli chodzi o modę, kochasiu. Zawsze powtarzam mamie, że jesteś ekspertem w sprawach mody, wiesz, jaki panuje styl i z jakich tkanin się szyje. Musisz wiedzieć, że bardzo sobie cenię twoje rady, bo masz najlepszy gust ze wszystkich osób, które znam.

Gwen wzięła z rąk Audry szklaneczkę i podziękowała. Obie kobiety stuknęły się kieliszkami. Audra zbliżyła się do kominka, siadając w jednym z foteli w stylu chippendale, który należał do jej matki.

– Cieszę się, iż myślisz, że mam dobry gust.

– A gdzie się podziewa Vincent? – uśmiechnęła się Gwen.

– Poszedł do matki, pomóc bratu wypełnić jakieś dokumenty. Ale będzie w domu, żeby zjeść z nami kolację.

Gwen upiła łyk sherry, nie odzywając się. Jej zdaniem, Vincent ciągle biegał do matki pod jakimkolwiek pretekstem. Nie miała jednak śmiałości powiedzieć tego Audrze. Od pamiętnej, pełnej emocji dyskusji o Vincencie jeszcze w lipcu Gwen skrupulatnie unikała robienia jakichkolwiek krytycznych uwag na jego temat. Wtedy, tamtego

upalnego dnia, gdy poszły na herbatę do Café Betty w Leeds, uświadomiła sobie, że omal nie utraciła przyjaźni Audry. To zaś ją i przestraszyło, i sprawiło przykrość.

Dla Gwen Audra była kimś bardzo ważnym, dlatego też starała się postępować ostrożnie i trzymać język za zębami. Osobiście jednak była przekonana, że Vincent Crowther nie jest dość dobry dla jej przyjaciółki i nic nie mogło zmienić tej opinii. Było w nim coś, co drażniło Gwen Thornton, aczkolwiek, gdyby ją zapytano, trudno byłoby jej wyjaśnić, co to jest. Myślała o nim jako o osobie uczuciowo niebezpiecznej, a instynkt podpowiadał jej, że pewnego dnia Audra będzie z jego powodu bardzo nieszczęśliwa.

Zastanawiała się też, dlaczego on tak często bywa u matki, jeśli oczywiście naprawdę tam chodzi, ale potem odrzuciła od siebie tę myśl. Była bardzo zadowolona, że nie ma go w domu. Tego popołudnia chciała mieć Audrę wyłącznie dla siebie, choć na krótko. Miała jej coś ważnego do powiedzenia i wołała to zrobić bez świadków.

Audra czując, że milczenie się przedłuża, pochyliła się do przyjaciółki.

– Jesteś dzisiaj małowólna, Gwen – zauważyła. – Masz coś na sercu?

– Nie, nic złego się nie stało – Gwen odpowiedziała pośpiesznie. Ona też się przysunęła bliżej i ścisząc głos dodała: – Nie mów o tym nikomu, nawet Vincentowi. Mam zamiar wyjść za mąż.

– To wspaniale, kochanie! – zawołała Audra i wtem zmarszczyła czoło ze zdziwienia. – Ale ja myślałam, że Mike ma jeszcze dwa lata studiów przed sobą? Wiosną mówiłaś, że nie będzie mógł sobie pozwolić na małżeństwo jeszcze przez kilka lat.

– Och, ja nie myślę o wyjściu za mąż za Mike'a!

W zmierzchającym świetle dnia Audra dostrzegła, że Gwen wygląda na ogromnie zadowoloną z siebie i to ją jeszcze bardziej zdumiało.

– Mówiłaś mi przecież, że kochasz się w Mike'u Lesleyu... Zresztą oboje wyglądaliście przez ostatnie dwa lata jak zakochane gołąbki –

powiedziała Audra. – A więc co się takiego stało, że wszystko się zmieniło?

– Nie bądź taka tępa, Audro – odparła Gwen z lekkim śmiechem. – Najwidoczniej spotkałam kogoś innego.

– Kogo?

– Jest to ktoś, kogo znasz... w jakimś sensie, ale sądzę, że nigdy nie odgadniesz – oświadczyła Gwen z wyraźnym zadowoleniem.

– Jestem tego pewna, więc lepiej powiedz mi od razu.

– *Geoffrey Freemantle*.

Audra osłupiała. Ze zdumienia otworzyła usta, wpatrując się w Gwen z niedowierzaniem. Wreszcie głęboko odetchnęła i powiedziała:

– Nie mówisz chyba o *doktorze* Freemantle? Tym, który przez jakiś czas pracował w szpitalu Fever... Nie możesz mówić o *nimi*

– A dlaczegoż by nie? – spytała Gwen nadąsana. – Oczywiście, że to jego mam na myśli.

– Och! – Audra drżącą ręką postawiła szklaneczkę sherry.

Była wstrząśnięta. Jeśli jakiś mężczyzna był całkowicie nieodpowiedni dla Gwen, to właśnie Geoffrey Freemantle: zimny, wyrachowany, arogancki, sarkastyczny. Jest też wielkim snobem. Przystojny, to prawda – sztywny i zasadniczy, z bogatej rodziny... ale strasznie nadęty i wyniosły; starszy od Gwen o prawie czternaście lat. Audra poczuła, że ogarnia ją prawdziwy przestrah i zatroskanie. Właściwie wcale nie mogła sobie wyobrazić wesołej, roześmianej, przepadającej za rozrywkami Gwen z takim zarozumiałym typem, który był przekonany, że jest lepszy od całej rasy ludzkiej.

– I tylko tyle masz mi do powiedzenia? Tylko „och!” i nic więcej? – w głosie Gwen słychać było drżenie; najwyraźniej czuła się dotknięta.

– Nie, oczywiście, że nie tylko to – odpowiedziała Audra i wyciągnawszy rękę ścisnęła ją za ramię. Z wysiłkiem, udając entuzjazm, dodała: – Bardzo, bardzo się cieszę za ciebie, Gwen. Naprawdę i szczerze: jestem szczęśliwa. Ale musisz przyznać, że mogłam poczuć się zaskoczona, gdyż była to ostatnia rzecz, jaką spodziewałam się dzisiaj

usłyszeć. Jak to się stało? Opowiedz mi.

Trochę udobruchana Gwen odpowiedziała już pogodnym głosem:

– Kiedy Geoffrey opuścił Ripon, pojechał do Northallerton. Ale nie było mu tam zbyt dobrze, więc przeniósł się tej wiosny do Przychodni Ogólnej w Leeds. Tak się jakoś składało, że ciągle natykaliśmy się na siebie na korytarzach, a pamiętaliśmy się z Ripon. On zawsze się do mnie dobrze odnosił... – Gwen przerwała i zachichotała. – W końcu umówił się ze mną, to było na początku lipca. I po pierwszej randce, stało się. O, tak! – pstryknęła palcami i sztuczne kamienie w pierścionkach rozbłyły w świetle płomienia.

– Czy trochę nie za prędko? – spytała łagodnie Audra.

– Tak, trochę... tak jak z tobą i Vincentem.

No cóż, nie można nie przyznać jej racji – pomyślała Audra i powiedziała:

– A co na to twoi rodzice?

Twarz Gwen zmieniała się gwałtownie: przygryzła wargę, wyglądając na zmartwioną i zakłopotaną.

– Prawdę mówiąc, Audro, jestem bardzo zatroskana postawą mamy i taty. Nie czują oni do Geoffreya ani odrobiny sympatii i wcale nie są z mojej decyzji zadowoleni. To pewnie dlatego, że Mike jest takim bliskim kolegą mego brata, więc oczekiwali, że wyjdę właśnie za niego. Ale co ja na to poradzę? Geoffrey to moje przeznaczenie. Jest tak na pewno, kochasiu.

– A więc już się zdecydowałaś?

– O, tak, myślę, że chyba tak... Nie, *wiem*, że tak. Poza tym to taka dobra partia dla mnie. – Twarz jej się znowu rozpromieniła i zdawało się, że rozpierają duma. – Oglądaliśmy domy w okolicy Headingley i wydaje mi się, że znaleźliśmy coś odpowiedniego dla nas. Ma jadalnię, bawialnię, gabinet i pięć sypialni: doskonały, gdy założymy rodzinę. W przyszłym tygodniu Geoffrey zabiera mnie do sklepu Greenwooda w Leeds wybrać pierścioneł zaręczynowy. Pierścioneł z *brylantem*. A ogłoszenie o zaręczynach ukaże się w yorkshirskiej „Post”.

– Czy już ustaliliście dokładną datę? – spytała Audra z wymuszonym uśmiechem.

– Niezupełnie, ale Geoffrey chce, żebyśmy pobrali się na wiosnę, bo zabierze mnie w podróż poślubną do Paryża. Mówi, że pierwszy raz powinno się zobaczyć Paryż wiosną. Tam też kupi mi nowe suknie. Zatrzymamy się u Ritza, wyobrażasz sobie?! A potem pojedziemy na Riwierę. Geoffrey mówi, że wtedy kwitną mimozy i jest to na południu Francji przepiękna pora. Cały tydzień spędzimy w hotelu Negresco w Nicei. Wiesz, to takie strasznie eleganckie miejsce, tak samo jak Ritz.

Gwen umilkła i pochyliwszy się do przodu wpatrywała się w przyjaciółkę, czekając na jej reakcję.

Audra tylko się uśmiechnęła.

Gwen mocno zacisnąwszy dłonie z wyrazem zachwytu na twarzy ciągnęła dalej:

– Kiedy już urządzimy się w tym domu w Headingley, a jestem *pewna*, że go kupimy, Geoffrey odejdzie z przychodni i otworzy prywatną praktykę. Ma zamiar wynająć sobie gabinet na Park Place w Leeds. Chce być modnym lekarzem, który leczy okoliczne ziemiaństwo i kobiety z towarzystwa. Będzie mu się dobrze wiodło, więc stanie się bogaty, a ja mu będę pomagać tak, jak potrafię. No, na przykład, będziemy często przyjmować gości, wydawać eleganckie przyjęcia i dlatego właśnie muszę mieć dużo nowych strojów. Geoffrey chce, żebyśmy wyglądały modnie i szykownie.

Audra mogła tylko przytakiwać, gdyż niepokój jej wzrastał i nie wiedziała, co ma powiedzieć. Sztuczne kamienie w biżuterii Gwen migotały oślepiająco w świetle płomieni. Przez ułamek sekundy wyglądały jak prawdziwe szmaragdy, szafiry i rubiny, a nie jak imitacje od Woolwortha.

Najpierw zniknie ta biżuteria – pomyślała nagle. – Zmusi ją, żeby się tego pozbyła, zaraz, jak się pobiorą.

Audra poczuła ucisk w sercu, gdy wyobraziła sobie Gwen odartą z tych wszystkich krzykliwych błyskotek, które, choć zupełnie bezwartościowe, zawsze znaczyły dla niej tak wiele.

Biedna mała Gwenny – pomyślała, próbując sobie wyobrazić przyjaciółkę już *po tym*, jak on dokona w niej tej przemiany, po tym, jak ją

ubierze, zadba o wygląd zewnętrzny i zmieni w taką panią Freemantle, jakiej sobie życzy. Oczywiście wyobraźni zobaczyła kobietę sztywną, zadziwiająco zimną, która nie ma nic wspólnego z Gwen Thornton. Ale i wszystko to, o czym mówiła przed chwilą Gwen, nie miało wiele wspólnego z dziewczyną, którą tak dobrze знаła i kochała.

Audra podniosła się i zapaliła małą lampę na stoliku przy kominku. Potem podeszła do konsolki i zajęła się ponownym napełnieniem kieliszków.

Wiedząc, że Gwen oczekuje jakiegoś komentarza do tego barwnego opisu przyszłości, powiedziała przyciszonym głosem:

– No cóż, wszystko to zapowiada się wspaniale, naprawdę wspaniale...

Po tym stwierdzeniu Gwen rozgadała się na dobre.

Audra zrozumiała to, kiedy wróciła na swój fotel i obdarzyła przyjaciółkę najcieplejszym ze swych uśmiechów. Zaczęła jej słuchać.

Zawsze gadatliwa Gwen teraz już mówiła bez przerwy – o zbliżającym się ślubie, o Geoffreyu, jego rodzicach, miodowym miesiącu i życiu, jakie będą wiedli później.

Audra popijała sherry i tylko od czasu do czasu potakiwała, wiedząc, że i tak nie uda się jej wtrącić ani słowa. Zresztą nie miała na to ochoty, słuchała też niezbyt uważnie.

Myśli jej koncentrowały się wokół Geoffreya Freemantle'a. Dla Audry było zupełnie jasne, dlaczego postanowił ożenić się z Gwen. Dużo od niego młodsza, bardzo ładna blondynka o krągłych kształtach, o żywym, otwartym usposobieniu i zdolnej do uczuć naturze była pod każdym względem godna pożądania – dla każdego mężczyzny. A ponieważ była także pielęgniarką i córką doktora, więc i jej pochodzenie pasowało idealnie do ambitnego lekarza, a Geoffrey Freemantle był bez wątpienia ambitny. Tak, Gwen jako żona to dla niego wielka pomoc i wielki atut.

Co jednak najbardziej niepokoiło Audrę, to sama Gwen. Dlaczego, u licha, chciała zostać *jego* żoną. Był przeciwieństwem Mike'a Lesleya i cokolwiek Gwen myślała o Mike'u teraz, to Audra wiedziała, że była w nim zakochana. Jedyna odpowiedź na to, że Gwen wychodziła za

Geoffreya Freemantle'a, to stanowisko, które jej imponowało i mogło dać prestiż, pozycję społeczną i pieniądze.

Natychmiast jednak spróbowała odrzucić te niepochlebne myśli, ale gdzieś, w głębi duszy, była przekonana, że ma rację. Gwen opowiadając dużo i długo o Geoffreju ani razu nie użyła tak ważnego słowa jak *miłość*.

Jak może udane małżeństwo istnieć bez miłości – zastanawiała się Audra. Czy jednak nie powinna porozmawiać o tym z Gwen? Zaraz jednak z tego zrezygnowała, przypomniawszy sobie z jaką niechęcią *ona* sama odnosiła się do nieproszonych rad i komentarzy Gwen na temat swego małżeństwa.

Być może jestem w błędzie – powiedziała sobie. – Może ona go kocha. I nagle, ku własnemu zdumieniu, pomyślała: Ale kochać mężczyznę, niekoniecznie musi znaczyć, że osiąga się szczęście...

Rozdział szesnasty

Później, kiedy już kończyli kolację, Gwen rzuciła Audrze porozumiewawcze spojrzenie.

– Czy powiemy Vincentowi nowinę? – spytała.

– Dlaczego nie? – odparła śmiejąc się Audra, świadoma tego, że jej przyjaciółka przez cały wieczór z trudem powstrzymywała się, żeby nie wyjawiać swego sekretu.

– Jaką nowinę? – spytał Vincent, patrząc to na jedną, to na drugą.

– W przyszłym tygodniu są moje zaręczyny – oświadczyła Gwen, a potem odchyliła się do tyłu, rozpromieniona i zadowolona z siebie.

– Cóż, nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczony – Vincent pochylił się ku niej i pocałował w policzek. – Gratulacje, Gwen. Powinnaś przyprowadzić ze sobą Mike'a na kolację. Lubię go. To równy gość. Zrobiłaś dobry wybór.

Zapadła chwila milczenia.

Gwen przerwała je pośpiesznie:

– Ale ja nie wychodzę za Mike'a.

– Nie za Mike'a?! – powtórzył zaskoczony Vincent. – Niech mnie licho! A ja myślałem, że jesteście nierozłączni. Znalazłaś więc sobie kogoś innego.

– Tak.

– Założę się, że zostawiłaś Mike'a na lodzie.

Gwen poczuła, że coś ściska ją za gardło i nie może mówić. Przytaknęła więc tylko.

– Tak, tak. Wyobrażam sobie, co on teraz czuje – Vincent obrzucił ją bardzo surowym spojrzeniem. – Mike bardzo był tobą zajęty, Gwen, wiesz chyba o tym.

– Wiem. Ja też coś do niego czułam, ale widocznie to było za mało, jeśli mogłam zakochać się w innym mężczyźnie – odpowiedziała.

– A kim jest ten szczęściarz? – spytał Vincent, zastanawiając się, jak mogła porzucić Mike'a Lesleya dla kogoś innego. Mike był wyjątkowym człowiekiem. I teraz, gdy o tym myślał, uznał, że takiego mężczyznę chciałby widzieć jako męża Laurette.

– Nazywa się Geoffrey Freemantle – informowała Gwen z promiennym, pewnym siebie uśmiechem. – Jest lekarzem w ambulatorium w Leeds. Pochodzi jednak z Harrogate, tam mieszkają jego rodzice.

– I kiedy to się wydarzyło? Przecież spotykaliśmy się wszyscy razem z Mikem pod koniec czerwca, więc to musiało się stać zupełnie niedawno, prawda?

– Tak. Geoffrey po raz pierwszy umówił się ze mną na początku lipca, ale...

– Nie uważasz Gwen, że to za *prędko* – przerwał Vincent i nie dając jej czasu na odpowiedź, ciągnął dalej: – Małżeństwo to skomplikowana sprawa, wiesz chyba o tym. Mam więc nadzieję, że naprawdę jesteś pewna tego gościa. Chodzi mi o to, że jestem przekonany, iż Mike jest kimś wartościowym, więc byłoby dobrze, gdyby ten drugi

był tak... no, po prostu *okay*. Nie chciałbym, żebyś popełniła wielki błąd, Gwen, *straszliwy* błąd.

Gwen zacisnęła usta z irytacji i spojrzała wrogo na Vincenta. Jakie to podobne do niego, to wygłaszanie opinii, o które nikt go nie prosił! Powiedziała chłodno:

– Tak się składa, że znam Geoffreya od bardzo dawna, jeszcze z czasów, gdy pracowałam w Ripon. A i wy, jak o tym już powiedziałam Audrze, nie bawiliście się w długie zaloty. Poza tym to nie twój interes i już! – zamilkła nadąsana.

– Przepraszam cię. Wybacz to, co powiedziałem – mruknął i głęboko zaciągnął się papierosem.

Audra dostrzegła, że oboje są na najlepszej drodze do sprzeczki, co się często między nimi zdarzało, zawołała więc pośpiesznie:

– Proszę was oboje, przestańcie i nie psujcie przyjemnego wieczoru. Zresztą ja też mam dla was nowinę.

Vincent odwrócił się ku niej, unosząc ze zdziwieniem brwi.

– Jaką nowinę, najmiłsza?

– Znalazłam sobie pracę i zaczynam za dwa tygodnie.

Vincent aż otworzył usta ze zdumienia. Gwen, równie zaskoczona, zawołała:

– Jaką pracę? Gdzie?

– W szpitalu St. Mary, tutaj, w Armley – wyjaśniła Audra. Teraz przyszła kolej, by i ona poczuła się zadowolona z siebie. – Oczywiście, jako pielęgniarka. Pani Bell poznała mnie z tamtejszą przełożoną i teraz czekam niecierpliwie, żeby już zacząć. To rodzaj wyzwania dla mnie, bo będę pracować na oddziale położniczym.

– Co skłoniło cię do takiej głupiej decyzji? – zapytał Vincent z wściekłością. Zielone oczy rzucały wojownicze błyski, twarz i szyja poczerwieniały mu z gniewu. – Nie mogę uwierzyć, że cię dobrze zrozumiałem!

Audra była tak zaskoczona jego niezwykłym wybuchem, że na chwilę wytrąciło to ją z równowagi, ale natychmiast się opanowała i odparła:

– To nie wydaje mi się głupie! Raczej bardzo rozsądne. Mam przecież dobry zawód w ręku i szkoda go marnować. Przełożona Lennox zawsze mówiła, że mam prawdziwy dar do pielęgnowania chorych, dlaczego więc go nie wykorzystać? A poza tym ja *chcę* pracować.

– No to możesz o tym zapomnieć! Moja żona pracować nie będzie, ot co! – złość w nim kipiała. – Dobry Boże, Audro, o czym ty myślisz? Jak mogłaś zrobić coś takiego? Już słyszę, jak moi kumple podśmiewają się za plecami, że moja żona musiała iść do pracy, żeby pomagać utrzymać dom.

– Przecież ja idę do pracy wcale nie z tego powodu! – zawołała Audra.

– Może i nie, ale oni tak właśnie będą myśleć. Pamiętaj, że w tym domu ja jestem mężczyzną i ja zarabiam na chleb, ja noszę spodnie i ja, a nie ty, podejmuję decyzje. Zwrócił spojrzenie na Gwen i powiedział: – Założę się, że ty nie będziesz pracować po ślubie? Czy będziesz dalej pielęgniarką w przychodni?

– Nie, nie będę – odparła cicho Gwen i spojrzała prosząco na Audrę, potem wyciągnęła rękę i dotknęła jej ramienia. – Wybacz mi, kochasiu, ale obawiam się, że muszę się zgodzić z Vincentem. On na prawdę ma rację. Tak czy inaczej, dlaczego chcesz wrócić do szpitala? To taka wyczerpująca praca, a płacą marnie.

– Posłuchajcie mnie! Ja chcę wykorzystać swoje umiejętności, chcę być *pożyteczna*. – Zdecydowana opierać się Vincentowi, Audra rzuciła mu wyzwanie wzrokiem. – I jakie znaczenie ma to, co ludzie myślą?! To kompletny absurd...

– Nie będzie żadnej dalszej dyskusji na ten temat, Audro! – przerwał jej gwałtownie. – Ta sprawa jest zamknięta – uderzył pięścią w stół mocniej, niż zamierzał, aż zabrzęczały wszystkie naczynia.

– Vincencie, nie bądź taki uparty! – Audra była tak rozgniewana jego postawą, że z trudem się hamowała. – To, że ja jestem twoją żoną, nie oznacza, że jestem pod twoją kontrolą i mam robić tylko to, na co mi pozwolisz. Chcę pracować jako pielęgniarka i mam prawo do...

– Znowu ta sama śpiewka – wtrącił z sarkazmem Vincent. – Przemawia przez ciebie cholerna pani Irena Bell, a nie ty sama. Dziewczy-
no, nie chcę słyszeć w moim domu żadnych rozmów o prawach kobiet i
innych feministycznych bzdur. Lepiej żebyś o tym nie zapomniała!

Audra wstrzymała oddech i opanowała się.

– Och, Vincencie, jaki ty jesteś niesprawiedliwy – szepnęła, stara-
jąc się złagodzić zarówno głos, jak i zachowanie.

Ujęła go za rękę w nadziei, że go udobrucha i że mimo wszystko
postawi na swoim. – Zupełnie opacznie rozumiałeś wszystko to, co
powiedziałam.

Obrzucił ją chłodnym spojrzeniem i nie odezwał się. Gwen roze-
śmiała się z zakłopotaniem i, przenosząc wzrok z Audry na Vincenta,
powiedziała:

– Nie lubię, jak się kłócicie w ten sposób. No, pocałujcie się na
zgode.

Wiedząc, że Vincent nic takiego nie zrobi i jednocześnie chcąc za-
kończyć kłótnię ze względu na obecność Gwen, Audra odsunęła krze-
sło i wstała. Objęła go ramieniem, pochyliła się i pocałowała w poli-
czek.

– W porządku, wygrałeś – powiedziała miękko. – Pójdę w przy-
szłym tygodniu do szpitala i powiem im, że nie wezmę tej posady.

Ale był to z jej strony tylko gest dla uratowania spokoju. Nie miała
bowiem zamiaru ani chęci, żeby mu ustąpić.

Rozdział siedemnasty

Małżeństwo, które rozpoczęło się z tak intensywną fizyczną namięt-
nością w upale lata, w grudniu pokryło się zimowym szronem, a i namięt-
ność znacznie ostygła.

Vincent i Audra pod koniec roku tysiąc dziewięćset dwudziestego
ósmego bardzo często kłócili się i spokój, który początkowo panował w
małym domku przy Pot Lane, nierzadko naruszały sprzeczki i burzliwe
spory.

Najdziwniejsze było to, że pod wieloma względami byli do siebie bardzo podobni, co, być może, było przyczyną konfliktów. Oboje byli uparci, stanowczy i niezależnie myślący. W konsekwencji ciągle toczyli ze sobą walkę, przy czym każde wierzyło w swoją rację i winę składało na drugie. Byli bardzo młodzi i nie umieli tolerować drobnych ludzkich słabostek ani też niezdolni do kompromisów, które na pewno pomogłyby zmniejszyć istniejące między nimi napięcie.

Vincent, który teraz właśnie był zbyt zajęty sobą, aby widzieć coś poza własnymi pragnieniami i zainteresowaniami, w słabym stopniu rozumiał charakter Audry.

I zadziwiające, że ona, która tak umiała wejrzeć w dusze innych ludzi, rzadko kiedy jego odruchy potrafiła odczytać jak należy – była bowiem zbyt subiektywna. Tak naprawdę to opinia Audry o Vincencie Crowtherze zawsze będzie nieostra i nieobiektywna, gdyż będą na nią wywierać wpływ silne emocje.

Audra generalnie nie umiała na niego spojrzeć z dystansu, zawsze przepełniały ją sprzeczne uczucia. Były okresy, gdy wierzyła, że kocha go do szaleństwa, ale bywała też przekonana, że nie czuje doń niczego oprócz nienawiści.

Inną przeszkodą, o którą potykali się we wzajemnych stosunkach, był nowy nawyk gwałtownych sprzeczek na każdy niemal temat. Nagle okazało się, że nie potrafią dyskutować o żadnej sprawie spokojnie, używając rzeczowych argumentów. Tak więc żadne z nich nigdy nie wiedziało, co druga strona *naprawdę* czuje lub myśli. Nic dziwnego, że w tej sytuacji narastało wzajemne niezrozumienie, że czuli się niezadowoleni jedno z drugiego.

Czasami, w mroku sypialni, dochodziło do zgody; niemal wbrew swej woli zbliżali się do siebie, poddając się łączącemu ich bardzo silnemu pociągowi fizycznemu. Ale i te chwile zdarzały się coraz rzadziej, zarówno dlatego, że nurtujące ich konflikty i problemy wkraczały i na to terytorium, jak i dlatego, że Audra swój gniew zabierała ze sobą do łóżka.

Od września nosiła w sercu liczne urazy wobec Vincenta i sprawą, która drażniła ją najmocniej, była stanowcza niezgoda męża na jej

powrót do pracy. Tłumaczyła, prosiła, sprzeczała się i przymilała, próbując nakłonić go do zaakceptowania jej decyzji. Ale Vincent pozostał nieugięty tak samo, jak tego wieczoru, gdy jedli kolację z Gwen.

W końcu Audra dała za wygraną, gdyż rozumiała, że jeśli uprze się i rozpocznie pracę w szpitalu, to on ją opuści. A mówiąc najprościej, nie wyobrażała sobie życia bez Vincenta Crowthera, jak trudne by ono było. Tak więc pozwoliła, aby jego życzenia stały się ważniejsze od jej własnych i powiedziała sobie, że małżeństwo jest cenniejsze niż praca zawodowa. Jakoś udawało się jej zachowywać pogodną twarz, tak że nic nie zdradzało rozczarowania i frustracji wywołanych jego uporem.

Ale kiedy udała się do Calpher House, aby poinformować panią Bell, co się stało, oczy napełniły się łzami i gwałtownie wyrzuciła z siebie opowieść o swym niepowodzeniu.

Irena Bell okazała jej współczucie i zrobiła, co mogła, żeby ją pocieszyć. Cokolwiek jednak pani Bell myślała o postawie Vincenta, zachowała to dla siebie.

– Może jeszcze się zgodzi, może mu to przejdzie – powiedziała, starając się dodać Audrze otuchy.

Ale Audra dobrze wiedziała, że Vincent nie zmieni zdania; nie leżało w jego naturze zaprzeczanie samemu sobie ani też przyznanie się, że nie miał racji, że postąpił źle. Aczkolwiek tak byli podobni do siebie, to tej cechy Audra z nim nie dzieliła. Zawsze potrafiła dostrzec, gdzie i kiedy jej sądy były błędne, albo gdzie popełniła pomyłkę.

Gdy tego zimnego, grudniowego przedpołudnia spiesznie szła w dół Pot Lane, przekonywała samą siebie, jak bardzo się pomyliła. Przede wszystkim źle zrobiła wychodząc za niego za męża, tak samo też pozostając z nim. Złe było to, że zbytnio wahała się, co ma robić, ciągle nie mogła się zdecydować. A powinna spakować swoje rzeczy i opuścić go już wtedy w sierpniu, kiedy zaczęły się pierwsze niesnaski.

Tak właśnie postąpiła teraz i nie było już odwrotu.

Zacisnęła dłoń na ręczce małej walizki i zagryzła wargi. Decyzja została podjęta. Nareszcie. Porzuciła Vincenta Crowthera i nie miała zamiaru doń powrócić.

W głębi duszy Audra wiedziała, że ciągle go kocha. Przymuszczała, że będzie go zawsze kochać. Doszła jednak do wniosku, że miłość nie jest gwarancją utrzymania związku. Dwoje ludzi musi umieć współżyć ze sobą, jeśli małżeństwo ma być udane. Najwidoczniej ona i Vincent tego nie potrafią. Niszczyli się wzajemnie gniewnymi, ostrymi słowami, które później trudno było odwołać lub zapomnieć.

Wczorajsza wieczorna kłótnia była wyjątkowo gwałtowna, najgorsza chyba, jaką przeżyła. Zrozpaczona Audra była w szoku.

Godzinę wcześniej prasowała w kuchni ostatnią jego koszulę, gdy nagle zrozumiała, co powinna zrobić. Z trzaskiem postawiła żelazko na podstawkę, szybko uprzątnęła deskę do prasowania, przebrała się, zapakowała walizkę, włożyła do torebki swe skromne oszczędności i wyszła z domu.

Kiedy przekreśliła klucz w zamku, spojrzenie jej padło na numer trzydzieści osiem wymalowany na zielonych drzwiach i poczuła dziwny, bolesny ucisk w sercu. A potem ogarnął ją przeogromny smutek, oparła głowę o kamienną futrynę drzwi i zamknęła oczy, wspominając spędzone tu miesiące. Dom był zwyczajny, ale dla niej był pałacem. To był jej pierwszy własny dom i stały w nim nie tylko ukochane przedmioty, ale także mieścił w sobie w pewnym sensie jej życie. A już na pewno były zamknięte w jego ścianach marzenia i oczekiwania tego, co przyniesie przyszłość. Głęboko wierzyła, że oboje z Vincentem stworzą dobrą rodzinę, razem zbudują lepsze życie. Ale nic z tego nie miało się spełnić lub przynajmniej tak się jej zdawało.

Audra odpędziła od siebie te myśli, nie chcąc się rozczulać. Wsunęła klucz pod wycieraczkę, wzięła walizkę i niemal biegiem opuściła ślepy zaułek.

Teraz, kiedy zmierzała w kierunku pętli tramwajowej przy Whingate, ciągle starała się odsunąć od siebie uczucia smutku i strasznego zniechęcenia, które ją ogarnęło. Lecz one nie znikwały. Wszystkie jej marzenia legły w gruzach, nadzieje się rozwiły, poczucie osamotnienia, które towarzyszyło jej przez tyle lat, stało się bezgraniczne. Znowu

była przegrana. Tym razem straciła męża, wspólne z nim życie, straciła przeszłość.

Audra zwolniła kroku i przez sekundę zawahała się, już gotowa zmienić decyzję i wrócić do domu. Lecz coś w niej powiedziało *nie*; ruszyła więc z determinacją naprzód.

Pogoda, surowa i nieprzyjemna przez cały dzień, teraz stała się wręcz straszna.

Niebo wisiało nisko, zaciągnięte ołowianą szarością; krajobraz zdawał się być zupełnie bezbarwny. Przypominał pejzaż namalowany szarym kolorem na szarym tle, gdzie nagie i poczerniałe drzewa rysują się z wyjątkową ostrością, jak rzeźby z metalu.

Zaczęło mżyć. Z daleka niósł się niski, głuchy odgłos grzmotu, zwielokrotniony echem na pobliskich polach. Nadciągała burza, zerwał się wiatr i huczał nad Hill-Top.

Audra oparła się o ogrodzenie Charlie Cake Park w oczekiwaniu na tramwaj z Leeds, który już był spóźniony. Drżąc z zimna, mocniej zaciśnęła wełniany szal wokół szyi i zaczęła przytupywać nogami. Po chwili podeszła bliżej krawężnika i spojrzała w dół Town Street. Ulica była dziwnie opustoszała; nieliczni przechodnie z pośpiechem podążali do domów, by schronić się przed burzą.

Co za okropna pogoda – pomyślała. – Dokładnie pasuje do mojego nastroju. Postanowiła opuścić Vincenta, a już w tej chwili za nim tęskniła. – Jakaż jestem przewrotna – szepnęła do siebie, zupełnie nie rozumiejąc swoich uczuć. I nagle pomyślała: Ciągle nie wiem, co o nim myśleć, ale chyba postąpiłam słusznie, wiem, że tak. *Czy jednak na pewno wiem?*

Audra otuliła się lepiej i próbowała przestać o nim myśleć: nie wyobrażała sobie jego twarzy, kiedy wróci do domu, zobaczy, że jej nie ma i znajdzie list. Była już przemarznięta do szpiku kości, czuła wilgoć przenikającą na wskroś. Jakies dwadzieścia minut później usłyszała jadący tramwaj, który zatrzymał się po drugiej stronie małego

trójkątnego parku, a potem głosy wysiadających ludzi. Z uczuciem ulgi podniosła walizkę, pośpieszyła naprzód i nagle zderzyła się z młodą kobietą, która wynurzyła się zza zakrętu z ogromną szybkością.

Kiedy obie odzyskały równowagę, zaczęły się usprawiedliwiać; nagle przerwały w pół zdania – w szarym świetle pochmurnego popołudnia rozpoznały się. Audra dostrzegła, że wpatruje się w miłą twarzyczkę swej szwagierki, która była jej najbliższa spośród całego klanu Crowtherów, i serce jej zamarło.

– Audro! Na miłość boską, co ty tu robisz? – zapytała Laurette i twarz jej rozjaśnił ciepły uśmiech.

– Chcę złapać tramwaj – wyjąkała Audra, usiłując wyminąć szwagierkę.

Laurette zauważyła walizkę i zmarszczyła brwi:

– Dokąd się wybierasz?

– Nie wiem – odparła zgodnie z prawdą Audra, a potem nieoczekiwanie dla siebie dodała: – dokądkolwiek, byle jak najdalej od Vincenta.

– O czym ty mówisz? – Laurette przyjrzała się jej bacznie, a w oczach pojawiło się przerażenie.

– Odchodzę od niego.

Laurette z trudem wciągnęła powietrze w płuca i zawołała:

– Audro, nie, nie mów tego. *Nie możesz* go opuścić.

– Ależ, tak. Mogę.

– Dokąd pójdziesz? Wiesz, że nie masz gdzie. Jesteśmy jedyną rodziną, jaką masz.

Nie zwracając uwagi na jej słowa, Audra wymyśliła na poczekaniu odpowiedź:

– Zawsze mogę pojechać do szpitala Fever w Ripon. – Zdała sobie sprawę, że właściwie to prawda, dodała więc: – Przełożona Lennox znajdzie dla mnie miejsce, jestem tego pewna.

– Audro, posłuchaj mnie! Proszę cię, nie rób nic takiego, czego byś później żałowała. Zastanów się... przynajmniej nie odjeżdżaj dzisiaj, jest prawie czwarta i pogoda coraz gorsza. I tak, zanim dojedziesz do Leeds, pociąg do Ripon odjedzie.

Chodź, kochanie, wrócimy do domu i porozmawiamy – prosiła Laurette, ujmując Audrę pod rękę.

– Laurette, proszę, puść mnie – Audra usiłowała uwolnić ramię, ale uścisk szwagierki był mocny. – Proszę cię, to wszystko jest śmieszne. Zapewniam cię, że nie mam ochoty wracać do domu.

– A więc chodźmy do matki... Jesteśmy zaledwie pięć minut drogi od domu. Audro, nie upieraj się, drżysz i jesteś sina z zimna, zamarzniesz tutaj na śmierć.

– Jaki sens ma pójście do domu waszej matki? Ja już podjęłam decyzję i jej nie zmienię. *Odchodzę od Vincenta.*

Laurette przysunęła się bliżej i objęła Audrę ramieniem, z czułością, niemal po matczynemu.

– Słuchaj, wyznam ci szczerze, że początkowo byłam przeciwna waszemu małżeństwu – powiedziała łagodnie – ale teraz, gdy jesteście razem, uważam, że ty i Vincent powinniście zrobić wspólny wysiłek i rozwiązać swoje problemy, i...

– Jak *ty* masz śmiałość mówić mi coś takiego! – wybuchła Audra, patrząc ze zdziwieniem na Laurette. – Nie zapominaj, że to właśnie *ty* się rozwodzisz.

– Tak, wiem o tym, ale u mnie to co innego. Ty i Vincent kochacie się, między mną i Jimmym nic takiego nie istniało.

– Miłość nie zawsze wystarcza.

– Ale jest fundamentem, na którym można zbudować wspólne życie, Audro. To prawda.

– Myślę o tym od tygodni i nie dam się przekonać; nie zrobię nic wbrew swej woli... – Audra przerwała na dźwięk dzwonka tramwaju, który potoczył się po szynach w kierunku Leeds. Patrzyła za nim w rozpacz, a potem odwróciła się gniewnie do Laurette: – No i spójrz, co narobiłaś! Przez ciebie uciekł mi tramwaj! Następny będzie najwcześniej za pół godziny – jęknęła i wybuchnęła płaczem.

Obfitość róż na ścianach, na podłodze i na porcelanie, stojącej w serwantce, wyglądała tego zimowego popołudnia jeszcze wspanialej niż zwykle. Kwiaty zdawały się być jak żywe w świetle płomieni z

kominka, które głośno strzelały w górę i wydzierały przyjemne gorąco.

Wszystko w kuchni Elizy Crowther było nasycone ciepłem i pogodą. W powietrzu unosił się zapach świeżo upieczonego chleba, pasztyków z mięsem i herbaty oraz ostrzejsze aromaty goździków, cynamonu, orzechów i innych przypraw, połączone z lekką wonią skórki pomarańczowej, rodzynek i daktyli.

Eliza Crowther zajmowała się pieczeniem, jak zawsze w piątkowe popołudnia – latem i zimą. Dziś jednak była zapracowana bardziej niż zazwyczaj. Do Bożego Narodzenia pozostawały tylko trzy tygodnie i już zaczęła szykować świąteczne przysmaki.

Poruszała się zręcznie i szybko, między stojącym pod oknem wąskim stołem, a zlewem. Za chwilę trzeba będzie zacząć przygotowania do podwieczorku, a ona lubiła, żeby kuchnia była nieskazitelnie czysta, nim zajmie się kolejną pracą.

Eliza była kobietą średniego wzrostu i takiej samej budowy, wyglądała na swoje czterdzieści dziewięć lat. Głównie ze względu na niewyszukany sposób ubierania się, poważną fryzurę i krępe ciało, który wyraźnie rozrosło się po urodzeniu ostatniego dziecka, Danny'ego. Miała jednak sympatyczną i pociągającą twarz, a jasnoniebieskie oczy były błyszczące, ożywione i jednocześnie chłodno oceniające wszystko dookoła.

Tak jak nie było żadnej sztuczności w wyglądzie Elizy Crowther, tak i nie było jej też w zachowaniu. Nie pozwalała nikomu na żadne głupie wybryki i z dumą mówiła o sobie, jako o ciężko pracującej mieszkance Yorkshire, która mocno stoi na ziemi. Zawsze wypowiadała się prosto i rzeczowo, czasem nawet szorstko, a na każdą niemal życiową okazję miała gotowe przysłowie lub powiedzonko, którymi obficie zabarwiała swój język.

Po umyciu naczyń używanych do przygotowania ciasta, Eliza podeszła do pieca sprawdzić, jak się pieką ciasteczka i wielki placek z daktalami przeznaczony na podwieczorek.

Nie spodziewała się dzisiaj nikogo, więc gdy otworzyły się frontowe drzwi i weszła Laurette w towarzystwie Audry, spojrzała zdziwiona.

Wyglądały na przemarznięte, obie dygotały i były sine.

– Wcześniej wróciłaś, kochanie – zwróciła się Eliza do Laurette. – Mam nadzieję, że nic złego się nie zdarzyło?

– Nie, mam, to mój krótszy piątek, czy już zapomniałaś?

– O, rzeczywiście. – Eliza spojrzała na synową. – Dzień dobry, Audro.

– Dzień dobry, pani Crowther.

Eliza odwróciła się do okna i przykręciła wieczko na słoikach z suszonymi owocami. Zauważyła walizkę w ręku Audry, ale postanowiła nie robić żadnych uwag. Laurette wpychała ją teraz pośpiesznie na dno szafy, jakby chcąc ukryć.

A więc Vincenta czekają kłopoty – pomyślała Eliza, ale głośno powiedziała:

– Jeśli się już rozebrałaś, Laurette, to proszę cię, przygotuj dzbanek herbaty, a ty, Audro, chodź tu do ognia i ogrzej się. Jesteś blada jak śmierć.

Obie młode kobiety wykonały polecenie w milczeniu. Laurette była zadowolona, że udało się jej namówić Audrę do przyścia do domu rodziców. Cieszyła się, że bratowa nie zdążyła na tramwaj. Laurette miała miękkie serce i darzyła Audrę autentycznym uczuciem. Myśl o tym, że jej bratowa będzie w tę okropną pogodę wędrować ulicami Leeds, była dla niej nie do zniesienia.

Jeśli nie wróci na Pot Lane, to może spać ze mną – pomyślała, zajęta zaparzaniem herbaty. – A temu mojemu braciszkowi powiem kilka mocnych słów przy pierwszej okazji, jaka się nadarzy. Rozpuściłyśmy go i zepsułyśmy: mama, ja i Olive. I nawet mała Maggie zawsze robi to, co on chce. Założę się, że jako mąż nie jest łatwy we współżyciu.

Audra tymczasem siedziała przygarbiona na krześle i posępnie wpatrywała się w ogień. Była wściekła na siebie za to, że ustąpiła Laurette, ale teraz musiała przyznać, że cieszyła się przebywaniem w ciepłe. Wilgoć przeniknęła ją na wskroś i mimo bliskości paleniska było jej okropnie zimno.

Czajnik zawieszony na haczyku zaczął syczeć i Laurette napełniła wielki dzbanek do herbaty wrzątkiem, a potem postawiła na stole, znajdującym się pośrodku pokoju.

Siadając spojrzała na matkę i zapytała:

– Gdzie są Maggie i Danny? Już po czwartej, więc powinni chyba wrócić ze szkoły?

– Nie, nie dzisiaj. Mieli pójść do domu parafialnego dowiedzieć się o tę pantomimę w szkole niedzielnej. Oboje strasznie chcą w niej brać udział, więc powiedziałam, że mogą poprosić o rolę. W tym roku będą grali „Kopciuszka”.

– Jak znam Maggie, to interesuje ją tylko główna rola – powiedziała ze śmiechem Laurette. – Chodź tu, mamo, wypij herbatę, zanim wystygnie.

Eliza przysiadła się do obu młodych kobiet. Wypiła kilka łyków i skupiła uwagę na synowej.

– No, a teraz, Audro, moje dziecko, o co chodzi? Wiesz, że widziałam walizkę. Uciekasz dokądś, czy wprowadzasz się tutaj?

Audra zarumieniła się i przygryzła wargi, ale nic nie powiedziała, gdyż nie miała zamiaru zwierzać się matce Vincenta.

Laurette wzięła to na siebie.

– Mamo, spotkałam Audrę na pętli tramwajowej. Wyglądała na bardzo roztrzęsioną i powiedziała, że opuściła Vincenta. Jedzie pracować w szpitalu w Ripon. Ale tymczasem tramwaj do Leeds odjechał, więc przyprowadziłam ją ze sobą.

– Rozumiem – Eliza wyprostowała się na krześle i surowo spojrzała na Audrę. – Co to za głupie pomysły, dziewczyno? – spytała.

– To nie są głupie pomysły – zaprotestowała Audra z oburzeniem i zanim zdołała się powstrzymać, zawołała gwałtownie: – Przez ostatnie parę miesięcy Vincent zachowywał się okropnie! Nie traktuje mnie jak należy, nie widzę więc powodu, żeby pozostawać z nim dłużej!

– On cię przecież nie bił! – stwierdziła Eliza absolutnie pewna, że jej syn nigdy by nie uderzył kobiety, nawet będąc sprowokowany. – A więc o co ci chodzi? Wyjaśnij mi to.

Audra zrozumiała, że wpadła w pułapkę, nabrała więc tchu i powiedziała nieco spokojniejszym tonem:

– Ostatnio bardzo często zostawia mnie samą w domu i pani wie, że on to robi, pani Crowther. Szczerze mówiąc, to prawie zawsze jest albo w pubie z braćmi i przyjaciółmi, albo w biurze swego bukmachera. Nie wydaje mi się, że jest to właściwe postępowanie. Widzimy się tak rzadko i tak mało czasu spędzamy razem, że równie dobrze moglibyśmy wcale nie być małżeństwem.

Eliza westchnęła ciężko i pokręciła głową.

– Ale tak właśnie u nas się postępuje, tak to jest w *naszym* świecie ludzi pracy, Audro. Nasi mężczyźni ciężko harują, zazwyczaj to praca fizyczna, a ich sposobem wypoczyniania jest pójście do pubu na piwo, na partię strzałek, żeby się pośmiać z kolegami. A co w tym złego, że postawią parę miedziaków na konie i przeżyją trochę emocji? Przecież chyba nie żałujesz Vincentowi tych nieszkodliwych przyjemności?

– Oczywiście, że nie. Chodzi mi tylko o to, że chciałabym z nim dzielić ten wolny czas; jestem w końcu żoną. Ale on przez kilka wieczorów w tygodniu chodzi sam do Białego Konia i zawsze znika na weekendy. Dlatego czuję się osamotniona.

– Rozumiem cię. Jak już powiedziałam, to jest taki zwyczaj i tak im zawsze pozostanie. Kiedy trwają zaloty, wszystko jest inaczej: sama słodycz i radość. Ale kiedy mężczyzna założy ci na palec obrączkę, to jego zachowanie zmienia się, i lepiej, Audro, żebyś się z tym pogodziła. Tak, tak, moja droga. Wszystkie małżeństwa są takie same. Przestanieś na to zwracać uwagę, kiedy kilkoro dzieciaków będzie ci wisieć u spódnicy. *One* już zajmą twój czas, wierz mi! I wtedy będziesz nawet zadowolona, że Vincent nie płacze ci się pod nogami, zobaczysz.

– Ja na razie nie planuję mieć dzieci, pani Crowther. – Audra była rozgoryczona. – To, czego bym chciała, to wrócić do pracy w szpitalu, ale to jest kolejny problem, bo Vincent nawet nie chce o tym słyszeć.

Eliza osłupiała.

– No, ja myślę, że nie chce! – wykrzyknęła przerażonym głosem. – Jak mogłaś mu nawet wspomnieć o czymś takim! To by go poniżyło, nie czułby się mężczyzną, gdyby żona poszła do pracy. A co by ludzie pomyśleli? I jego przyjaciele?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi! – odparła gniewnie Audra, nie mogąc powstrzymać dłużej irytacji. – Vincent i ja okropnie pokłóciliśmy się wczoraj wieczorem. Chodziło o pieniądze. Dowiedziałam się, że mamy poważne długi, tak, *długi*, pani Crowther, i jest to wina Vincenta, a nie *moja*, więc niech pani nie patrzy z taką naganą na mnie. To on poszedł i kupił u Wigfallsa w Leeds różne rzeczy na raty. On nie miał prawa tego robić.

– Jakie rzeczy?

– Skórzaną kanapę, łóżko i szafę na ubranie.

– Dlaczego jesteś tym taka zdziwiona? Przecież wiesz, że masz te rzeczy, że są w twoim domu. O co więc chodzi?

– Tak, tylko że ja nie wiedziałam, iż kupił je na raty. Myślałam, że zapłacił za nie gotówką. Dowiedziałam się o tym jedynie dlatego, że Vincent nie wpłacił kilku rat i Wigfalls napisał paskudny list, który otworzyłam, gdy go wczoraj przyniesiono. I zdaje się, że nie jest to pierwsze upomnienie. – Audra pokręciła głową i potoczyła dokoła oszołomionym spojrzeniem. – Tak bardzo potrzebujemy pieniędzy, a mimo to Vincent pije i gra na wyścigach, jakby nigdy nic. I w dodatku zabrania mi pójść do pracy. To wszystko nie ma żadnego sensu... Jego duma staje na przekór wszystkiemu. Uważam, że to jest bardzo głupie postępowanie.

– Jestem przekonana, że istnieje jakieś rozsądne wyjaśnienie, dlaczego nie wpłacił w porę tych rat – odparła Eliza, natychmiast gotowa stanąć w obronie swego ukochanego dziecka. – Vincent ma w banku pieniądze, wiem o tym na pewno.

– Nie, już nie ma, pani Crowther. Wydał swoje oszczędności na ślubne ubranie, na nasz pobyt w Robin Hood's Bay i na inne rzeczy do domu. Zaproponowałam mu własne oszczędności i powiedziałam, że chętnie sprzedam coś z biżuterii matki, aby pomóc spłacić nasze długi, ale on mi na to nie pozwolił.

– To dlatego, że nie potrzebuje twojej pomocy! – zawołała nadąsana Eliza. – On prawdopodobnie ma gdzieś jakieś zaskórniaki. Znam mego syna i wiem, że będzie złościł się coraz bardziej, jeśli będziesz chciała pomagać mu na siłę. Pozwól mu, Audro, załatwić to wszystko tak, jak tego chce, i nie wtrącaj się. W końcu to on jest mężczyzną w domu. – Oczy Elizy lekko się zwęziły i dodała surowym głosem: – Jakkolwiek by było, jestem pewna, że robisz z igły widły; tak się dzieje w prawie wszystkich małżeństwach i wy nie jesteście wyjątkiem. Przy najmniej on nie ugania się za kobietami i powinnaś być *za to* wdzięczna. Posłuchaj mojej rady: postaraj się trochę lepiej zrozumieć Vincenta.

Audra przypatrywała się teściowej w całkowitym osłupieniu. Ta kobieta najwyraźniej winą za wszystkie ich kłopoty obciążała ją i całkowicie usprawiedliwiała Vincenta. Nagle ogarnęło Audrę poczucie klęski.

– Staralam się... Wiem, że mnie pani nie lubi, ale ja nie jestem złym człowiekiem... – usta jej zaczęły drżeć. Odwróciła głowę, gdy do jej oczu napłynęły łzy.

Eliza, zaskoczona tym oświadczeniem, wykrzyknęła:

– Ależ, Audro, dziewczyno, nie mów czegoś takiego! Ja cię lubię, zawsze cię lubiłam. Uważam, że jesteś wspaniałą, młodą kobietą.

– Naprawdę? – Audra połknęła łzy. – Ale pani zawsze zachowywała się tak, jakby mnie nie lubiła, pani Crowther. Nie chciała pani też, żebyśmy się pobrali, prawda?

– To prawda, nie chciałam – potwierdziła spokojnie Eliza. – Lecz tylko dlatego, że pochodzisz z innego niż nasze środowiska. Byłam przekonana, że ty i Vincent skończycie tym, że każde będzie dążyło w życiu do czegoś innego. I, jak się okazuje, nie omyliłam się zbytnio, prawda?

Audra zagryzła wargi.

– Nie wiem; jestem trochę rozkojarzona.

– Pewnie, że jesteś i właśnie dlatego nie powinnaś niczego robić w pośpiechu, jak to odeszcie od Vincenta – przytaknęła Eliza.

– Ale jeśli pani uważa, że z naszego małżeństwa nic nie wyjdzie, to dlaczego chce pani, żebym z nim pozostała?

– Jesteśmy porządnymi ludźmi i jednego rozwodu w rodzinie zupełnie wystarczy – mruknęła Eliza i spojrzała kątem oka na Laurette. – Odchrząknęła i dodała: – Szybko ślubujesz, długo żałujesz. To właśnie powiedziałam Vincentowi. Ale on nie chciał słuchać. Sądzę, że i ty również. No i jest, co jest. Oboje posłaliście swoje łóżko i teraz musicie w nim spać, bez względu na to, czy materac jest twardy, czy nie. – Pochylając się do przodu, rzuciła Audrze przenikliwe spojrzenie i skończyła: – To kobieta odpowiada za to, co się dzieje w małżeństwie, a nigdy mężczyzna. Zapamiętaj to sobie, dziewczyno.

– Ale to jest niesprawiedliwe! – zawołała Audra, w której oburzenie znowu zaczęło brać górę.

– A kto powiedział, że życie kobiety jest sprawiedliwe? – Eliza roześmiała się głucho. – Już na pewno nie życie kobiet z mojego środowiska. – Znowu się roześmiała i pokiwała głową: – Tak czy siak, Audro, spodziewam się, że sprawy między tobą i Vincentem ułożą się lepiej, kiedy zaczną pojawiać się dzieci i będziesz miała kogo kochać i kim się zajmować.

– Ale ja chcę czegoś więcej od życia, chcę coś osiągnąć, być szczęśliwa...

– Szczęśliwa – parsknęła Eliza, patrząc na Audrę tak, jakby ta użyła nieprzyzwoitego wyrazu. – To jest słowo, które lepiej wykreśl ze swojego słownika, moja droga, i to od razu. Bądź wdzięczna, że masz dach nad głową, pełny żołądek i dobrego męża, który na ciebie pracuje. Szczęście nie jest dla takich jak my, Audro. Ono należy do ziemian, do bogaczy, do tych, którzy mają na szczęście czas i mogą sobie na nie pozwolić. My nie możemy.

Co za ponury pogląd na życie! – pomyślała Audra i zwróciła wzrok na Laurette. Wymieniły ze sobą porozumiewawcze spojrzenia i Laurette wzruszyła ramionami. Potem zamarła bez ruchu i pociągnęła nosem.

– Mamo, chyba coś się pali?!

– Och, mój Boże! To świąteczne ciasteczka i placek na podwieczorek! – Eliza skoczyła na równe nogi, chwyciła miękki uchwyt i

szarpnęła drzwiczki pieca. Pośpiesznie zaczęła wyciągać brytfanny, wołając przez ramię do Laurette: – No nie gap się, dziewczyno, weź drugą ścierekę i pomagaj mi. Audro, zrób, proszę, trochę miejsca na tej podstawie.

Laurette i Audra rzuciły się do pomocy i w przeciągu kilkunastu sekund świąteczne ciasteczka, placek z daktylami i paszteciki zostały rozłożone do wystygnięcia. Eliza oglądała je krytycznym spojrzeniem i wreszcie przytaknęła radośnie, gdy okazało się, że nic im nie jest.

– To tylko ja, mamó! – drzwi otworzyły się szeroko i do kuchni wpadł Vincent, ściągając z głowy czapkę. Kiedy zobaczył Audrę, uniósł brwi ze zdziwienia. – Co ty tu robisz, kochanie? – zapytał miło i ciepło się do niej uśmiechnął.

Tak, jakby wczorajszy wieczór w ogóle nie istniał – pomyślała Audra, wpatrując się w niego w milczeniu, zdziwiona tą jego zdolnością do odpędzania z siebie każdej nieprzyjemności. Jego obecna nonszalancja była naprawdę godna podziwu i to ją poruszyło.

– Pije z nami herbatę – szybko wtrąciła Laurette. – Wpadłyśmy na siebie na Town Street i zaprosiłam ją do nas w gości.

– Och, rozumiem – zaczął zdejmować płaszcz, chcąc go powiesić w szafie.

– Daj, powieszę ci – powiedziała spieszenie Laurette, odbierając od niego okrycie. – Podejdz do kominka i ogrzej się. Jesteś jak sople lodu.

Nie chce, żeby zauważył walizkę – pomyślała Eliza, przyglądając się uważnie swoim dzieciom. – Ale dowie się prędzej czy później – westchnęła i odwróciła się do swoich ciast.

– Dziękuję, Laurette – powiedział Vincent, pocierając zmarznięte ręce. – Nie miałabym nic przeciwko odrobinie herbaty.

– Już ci podaję – zawołała siostra i podeszła do kredensu. Wyjęła filiżankę i spodek, a potem naląła mu herbaty.

W chwilę później drzwi otworzyły się znowu i do kuchni wbiegł Danny, a za nim bardziej statecznym krokiem weszła Maggie, która tego popołudnia czuła się ogromnie dorosła i ważna.

– Dostaliśmy role! Dostaliśmy role! – zawołał Danny do wszystkich obecnych, rzucając czapkę i szalik na kanapę, a potem płaszczyk. On sam zaś popędził do stojącej w rogu kuchni klatki z ptakiem. – Jestem w domu, Odlotku – zaszcebiotał. Popatrzył z miłością na ptaszka, którego mu kupił Vincent i wymyślił imię.

– Danny, powieś zaraz swoje rzeczy na miejsce! – zawołała Eliza.

– Tak, mam, za sekundę.

Maggie, która zdejmowała z siebie płaszcz, powiedziała:

– Och, mam, już ja to zrobię.

– A jakąż to rolę dostałeś, maluchu? – spytał Vincent, gdy chłopiec podszedł i stanął obok jego krzesła.

Danny podniósł wzrok na przystojnego, starszego brata i uśmiechnął się słodko:

– Rolę pazia. Nic nie będę mówić, ale za to będę niósł piękną, czerwona, aksamitną poduszkę, a na niej szklany pantofelek.

Vincent zmierzwił mu włosy i powiedział:

– To wspaniale, pchełko.

Maggie dołączyła do rozmawiających przy stole i usiadła między Laurette i Vincentem. Z szerokim uśmiechem oświadczyła:

– Ja za to mam rolę mówioną i do tego dużą. Będę jedną z Brzydkich Sióstr.

– Co za znakomity wybór! – zawołał Vincent i roześmiał się hałaśliwie.

– Jesteś okropny! – zapiszczała Maggie, dając mu silnego kuksańca w ramię. – A jeśli jestem brzydka, to ty też, bo wszyscy mówią, że jesteśmy do siebie podobni, jak dwie krople wody – i znowu go szturchnęła.

Vincent chwycił ją za przegub i przytrzymał.

– No, no, wy tam, skończcie z tymi popychankami! – zawołała Eliza. – Ojciec będzie w domu tylko patrzeć i zechce mieć chwilę spokoju po dniu ciężkiej pracy. A wy, Audro i Vincencie, zostańcie na podwieczorku. Jedzenia starczy dla wszystkich. Jest pasztet z boczkiem

i jajkami, a dziś zrobiłam jeszcze ozór w galarecie. – Spojrzała na Audrę pytająco: – Zostaniecie?

– To zależy od Vincenta – odparła cicho Audra.

– Tak, oczywiście, że zostaniemy. Dlaczego nie? – Vincent wyjął papierosa i zapalił.

Audra wtuliła się z powrotem w fotel z uczuciem ulgi i znowu zaczęła wpatrywać się w płomienie.

Wolała być z nim tutaj, niż sam na sam w domu, gdzie na pewno znowu wybuchłaby kłótnia. Za kilka minut przyjdą do domu jego bracia, Bill i Jack, i atmosfera się ożywi, jak to zawsze bywa, kiedy są razem. Chociaż klan Crowtherów był hałaśliwy i czasem szorstki, to wiedziała, że wszyscy oni mają dobre serca.

Audra często czuła się przytłoczona przez rodzinę męża i czasami dostrzegała, że i oni patrzą na nią jakoś dziwnie. Czuła, że uważają ją za wyniosłą i sztywną i dlatego są wobec niej powściągliwi. Z wyjątkiem Laurette i pana Crowthera. Ci byli jej prawdziwymi przyjaciółmi; wierzyła też, że darzyli ją szczerą sympatią, tak jak ona ich. Gdy wróci do Ripon, to właśnie ich będzie jej najbardziej brakowało. Bo mimo tego, co powiedziała teściowa, Audra nie zrezygnowała z zamiaru odejścia od Vincenta. Postanowiła, że zrobi to jutro.

– Jak mogłaś to zrobić? Jak mogłaś pójść tam i paplać do Laurette i mamy? – pytał rozwścieczony Vincent, gdy tylko weszli do domu. Wpatrując się w Audrę, ciągnął dalej rozgorączkowany: – Nie mogłem uwierzyć własnym uszom, kiedy Laurette zabrała mnie po herbacie do bawialni i powiedziała, jak powstrzymała cię od ucieczki. To jest cholernie żenujące, ot co!

– Nie poszłam tam, żeby paplać – powiedziała zdecydowanie Audra, starając się zachować spokój. Postanowiła nie dać mu wyprowadzić się z równowagi i nie stracić panowania nad sobą. – Laurette powiedziała ci, co się stało. Gdybym nie natknęła się na nią przypadkiem na pętli tramwajowej, ani ona, ani twoja matka o niczym by nie wiedziały.

– Ale teraz już wiedzą. I ty poszłaś tam, i znowu mnie upokorzyłaś!

- O czym ty właściwie mówisz? – spytała.
- Najpierw poniżyłaś mnie przy Gwen całym tym gadaniem o pójsiu do pracy, a teraz chodzisz się skarżyć do mojej matki i siostry. Ktoś mógłby pomyśleć, że jestem wcielonym diabłem, gdyby posłuchał, co ty opowiadasz. – Roześmiał się, ale jego śmiech był chrapliwy. Z nutą sarkazmu w głosie dodał: – I pomyśleć, iż myślałem, że to ty będziesz wstydzić się za mnie, bo jesteś taką prawdziwą damą.
- Proszę cię, Vincencie, nie martw się. Już nigdy więcej nie wprawię cię w zakłopotanie. Nie będzie mnie tutaj, żeby to zrobić. Jutro odchodzę od ciebie. Na dobre.
- Ależ proszę bardzo – przeszedł pośpiesznie przez kuchnię do drzwi frontowych, nakładając po drodze czapkę.
- Dokąd idziesz? – zapytała Audra.
- Do pubu – odparł i wypadł z domu bez żadnych wyjaśnień, mocno trzasnąwszy drzwiami.

Audra nie odeszła jednak następnego ranka, jak groziła. Nie mogła nawet wstać z łóżka. Bolało ją gardło, miała katar i wysoką gorączkę.

O jedenastej Vincent był już tak zaniepokojony, że posłał po miejscowego lekarza, doktora Stalkleya.

– Obawiam się, że to influenza, Vincencie – zawyrokował stary lekarz, kiedy zbadał Audrę. – Mamy wiele takich przypadków w Armley. Żona musi pozostać w łóżku i otrzymywać dużo płynów. Nic więcej nie mogę zrobić, mój chłopcze, musi przez to przejść.

Rozdział osiemnasty

Irena Bell zatrzymała się na progu jadalni w Calpher House i zdziwienie zaparło jej dech w piersiach.

Był to zawsze bardzo piękny pokój. Wybity jedwabną tapetą w kolorze żurawiny z wyciskanyim wzorem, umeblowany antykami z okresu

regencji, dziś tchnął specjalnym urokiem. W niemałym stopniu za przyczyną świątecznych ozdób, które pod jej nieobecność stworzyły zręczne ręce Audry.

Pani Bell właśnie wróciła z dwudniowej podróży do Londynu, którą odbyła w interesach. Teraz zaś zatrzymała się na chwilę w progu, żeby dokładniej przyjrzeć się okolicznościowym dekoracjom.

Zauważyła, że Audra zrezygnowała ze świecących sztucznych ozdób i zwróciła się ku naturze. Były tu więc stroiki z gałązek świerczyny, jemiola i tradycyjny *glóg*, poprzeplatane czerwonymi i złotymi wstążkami. Na kryształowych talerzykach piętrzyły się ozdobione kolorowymi kokardkami miniaturowe piramidy z owoców, orzechów i szyszek. Wszędzie stały białe świece, a po obu stronach kominka trzymały straż dwie jodełki, przybrane kokardami o długich końcach, zrobionymi ze wstążek w kolorach tęczy. Doniczki, w których stały drzewka, były owinięte kawałkami złotej lamy – tak jak robiono to w epoce wiktoriańskiej.

Właściwie cała dekoracja pokoju miała w sobie coś staroświeckiego i to właśnie Irena uznała za czarujące. Jak zwykle była pełna podziwu dla artystycznych talentów Audry, które uważała za wyjątkowe.

Jak mam się jej zrewanżować za to wspaniałe dzieło? – pomyślała obejmując jeszcze raz spojrzeniem cały pokój. – Nie mogę zaofiarować jej pieniędzy, bo poczuje się dotknięta. To taka dumna kobieta. Muszę znaleźć dla niej jutro jakiś specjalny prezent, oprócz prezentu gwiazdkowego od nas wszystkich.

Irena Bell przeszła sprężystym krokiem przez hall i weszła na schody, wiedząc, że dawna opiekunka jej synka będzie z nim w pokoju dzieciennym, chyba żeby wróciła już do siebie na Pot Lane.

Siedzieli oboje przy stoliku obok kominka. Każde miało przed sobą szkicownik i pudełko z farbami. Podnieśli głowy, gdy weszła do pokoju mówiąc: „Hallo, hallo”.

– Mamusia! Mamusia już wróciła! – zawołał Theophilus.

Podbiegł do niej i rzucił się radośnie w objęcia. Irena pochyliła się, pocałowała go w czubek głowy i mocno uściśnęła. Ponad głową chłopca uśmiechnęła się do Audry.

– Dzień dobry, pani Bell – powiedziała Audra też z uśmiechem.

– Tak się cieszę, że jeszcze tu jesteś, Audro. Widziałam jadalnię i chcę ci podziękować za wspaniałą dekorację. Pokój wygląda przepięknie. Gratuluję ci, Audro.

Na bladej twarzy Audry pojawił się wyraz zadowolenia.

– Dziękuję, ale nie zrobiłam tego sama, miałam kilku chętnych pomocników.

– Naprawdę? – Irena uniosła brwi ze zdziwieniem.

– Och, tak, pani Bell. Theo i Dodie, że nie wspomnę o Córce.

– Cora. Dobry Boże, ależ ty jesteś odważna. – Irena pokiwała głową. – Nie mam zamiaru być złośliwa, ale ta biedaczka robi się z dnia na dzień coraz bardziej niezręczna. To miło z twej strony, że pozwoliłaś jej sobie pomóc.

– Pani Bell, Cora wpadła w entuzjazm i serce by jej pękło, gdybym nie poprosiła, żeby coś zrobiła. Pomagała Theo robić girlandy – wyjaśniła Audra.

– Mamusiu, to było zupełnie bezpieczne zajęcie – włączył się Theo i spojrzął na matkę. – Audra powiedziała, że nie ma w tym żadnego ryzyka, bo Cora najwyżej złamie gałązkę albo kawałek drutu. A ja i tak na nią uważałem.

– Jestem pewna, że to zrobięś, kochanie – szepnęła Irena, starając się ukryć rozbawienie. Potem zwróciła się do Audry: – Nie potrafię wyrazić, jak bardzo cenię twoją pomoc, zwłaszcza teraz, gdy kucharka kaprysi, pana Agitera zmogła influenza, a do tego jeszcze ta moja nieoczekiwana podróż do Londynu: zupełnie nie wiedziałam, jak się w tym połapać. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś się nie zgodziła pomóc. Spodziewamy się tylu gości, że nie mam pojęcia, jak damy sobie w święta radę bez kamerdynera. – Wesoła twarz Ireny, upstrzona piegami, nagle się zachmurzyła, ale za chwilę znowu pojaśniała: – Cóż, jakoś to będzie, nie można się ciągle zamartwiać. Jakoś sobie poradzimy. – Spojrzała znowu na Audrę: – Jakże to niegrzecznie z mojej

strony! Nawet nie zapytałam, jak się czujesz, moja droga. Czy jest już lepiej?

– O tak, dziękuję pani, pani Bell.

– Ale wyglądasz tak samo mizernie jak w poniedziałek, kiedy przysłałam cię odwiedzić.

– Wszystko jest w zupełnym porządku, naprawdę dobrze się czuję.

– Popatrz, mamusiu – powiedział Theo, podsuwając matce swój szkicownik. – Audra pokazywała mi, jak należy malować.

Irena spojrzała i przytaknęła:

– Bardzo dobrze, kochanie, doskonale. – Z lewej strony zeszytu Audra namalowała prościutki pejzaż do skopiowania. Mimo swej prostoty był on doskonały. Irena przyglądała mu się dłuższą chwilę uderzona jego delikatną pięknnością, znakomicie uchwyconymi refleksami świetlnymi. Wreszcie podniosła oczy na Audrę i powiedziała: – To jest urocze... Czy nie widziałam już kiedyś czegoś podobnego?

– Tak, kilka lat temu namalowałam większy; wisiał zawsze w moim pokoju.

– Oczywiście. I dałaś mu taką dziwną nazwę, jeśli dobrze pamiętam.

– „Miejsce Pamięci” – odpowiedziała miękko Audra. – Obrazek przedstawia platan na zboczu wzgórza naprzeciwko High Cleugh... gdzie moja rodzina i ja urządzaliśmy pikniki.

– Tak, pamiętam. – Pochylając się do przodu, Irena odezwała się swym stanowczym i dźwięcznym głosem: – Jesteś bardzo utalentowana, Audro. Nie rozumiem, dlaczego nie usiłujesz rozwijać się w tym kierunku.

– Och, nie jestem utalentowana, pani Bell, naprawdę nie – odparła Audra z dziwnym śmiechem, w którym pobrzmiwały i samokrytycyzm, i chęć zakończenia rozmowy na ten temat. – To tylko moje hobby, nic więcej.

– Mogłabyś się zająć malowaniem zawodowo.

– O, nie, pani Bell, moja siła leży w umiejętności pielęgnowania chorych. Wie pani, iż siostra Lennox powiedziała, że mam prawdziwy dar uzdrawiania.

– Tak – odpowiedziała Irena powoli. Zamyśliła się na moment, a potem uniosła pytająco starannie wypielęgnowane brwi mówiąc: – Przypuszczam, że Vincent nie zmienił zdania i ciągle sprzeciwia się twemu powrotowi do pracy?

– Tak, jest nieugięty – Audra spuściła wzrok.

– Rozumiem – Irena zdecydowała, że lepiej nie pytać o nic więcej, gdyż zauważyła, że wkracza na niebezpieczny grunt.

Zastanawiała się, czy między Audrą i Vincentem nie ma jakichś innych spięć, poza sprawą jej pielęgniarskiej kariery. Dziewczyna była dziwnie cicha i zamknięta w sobie, ale może to wynikało z dopiero co przebytej choroby lub po prostu ze zmęczenia.

– A jeśli mowa o moim mężu – odezwała się Audra – to muszę się już zbierać do domu, pani Bell. Proszę mi wybaczyć. – Rzuciła spojrzanie na zegar i dodała: – O Boże! Już wpół do szóstej. Vincent wróci z Yorku o siódmej.

– A po co pojechał do Yorku? Co on tam robi? – spytał Theo, jak zawsze niezmiernie ciekaw wieści o Vincencie, którego bardzo lubił.

– Theophilus, tak nie można! – skarciła go matka. – Wiesz, że to niegrzecznie zadawać osobiste pytania.

– Ależ nic nie szkodzi, pani Bell – powiedziała Audra i wyjaśniła chłopcu: – Vincent pojechał z panem Varleyem, wiesz, z tym właścicielem firmy budowlanej. Mieli się spotkać z panem Rowntree... w sprawie jakichś nowych budynków przy jednej z fabryk czekolady.

– Ooooh! Ale *fajnie*! Też chciałbym pójść do fabryki czekolady. Czy myślisz, że Vincent przywiezie ci pudełko „Czarnej Magii”? To są moje ulubione czekoladki. – Theo spojrział na nią z nadzieją.

– Wiem, ale nie sądzę, by pan Rowntree rozdawał swoje wyroby – odparła ze słabym uśmiechem i wstała z krzesła.

– Ach, Audro, proszę cię, nie odchodź – poprosił Theo – tak rzadko cię teraz widuję.

Audra wyciągnęła rękę i z czułością pogłaskała go po jasnych włosach.

– To niezupełnie tak – powiedziała łagodnie – a poza tym teraz

już jesteś dużym chłopcem i chodzisz do szkoły, więc niania nie jest ci potrzebna. Masz już przecież siedem lat.

– Wiem, ale *obiecałaś*, że zawsze będziemy specjalnymi kumplami.

– Przecież jesteśmy – Audra schyliwszy się pocałowała go w policzek, a Theo objął ją za szyję i przytulił się na chwilę.

– Theophilus, nie zachowuj się jak malutkie dziecko – zwróciła mu uwagę Irena Bell. – Wiesz dobrze, że teraz, kiedy Audra jest mężatką, ma swoje obowiązki.

– Tak – wyszeptał i opuścił ręce, choć zrobił to z ociąganiem.

– Czy nie powinieneś się już wybierać na tę pantomimę w teatrze w Leeds? – zasugerowała Irena Bell, której oczy błyszczały rozbawieniem.

– Och, mamusiu! To jest ta niespodzianka! A ja tyle dni łamałem sobie głowę! – krzyknął chłopiec w podnieceniu i zeskoczył z krzesła. – Tak strasznie chciałem zobaczyć „Jacka i tyczkę do fasoli”.

– A więc biegnij i umyj twarz i ręce. I, Theo, pamiętaj: zmień koszulę. Ta jest poplamiona farbami.

– Do widzenia, Theo – powiedziała Audra, posyłając mu od progu całusa.

– Pa, Audro. Nie zapomnij o moim jutrzejszym przyjęciu i, proszę, nakłoń Vincenta, żeby przyszedł z tobą. Zrobisz to?

– Postaram się.

Kiedy schodziły razem po schodach, Irena zwróciła się do Audry:

– Theo ma słabość do Vincenta, prawda?

– Tak, i to uczucie jest wzajemne.

– On dobrze sobie radzi u Varleya. Chyba się z tego cieszysz?

– Tak. Pan Varley lubi go, a Vincent ma świetne oko i znakomite wycucie perspektywy, jeśli chodzi o architekturę. Wiele razy mówiłam mu, że jest urodzonym budowniczym.

– Myślę, że to godne pochwały, iż zapisał się do szkoły wieczorowej – powiedziała Irena, gdy zatrzymały się w hallu. – Czy podoba mu się kreślenie?

– Tak – Audra nie chciała przyznać, że Vincent tylko mówił o zapisaniu się na kurs kreślarski, ale dotąd tego nie zrobił.

Przyglądając się uważnie jej twarzy, Irena Bell zauważyła jakiś cień w zadziwiająco niebieskich oczach Audry. Intuicyjnie pomyślała, że dziewczyna musi mieć jakieś poważne kłopoty. Lekko dotknęła jej ramienia i zapytała cichym i ciepłym głosem:

– Czy wszystko u ciebie w porządku, moja droga?

Audra zawahała się.

Przez ułamek sekundy była prawie zdecydowana zwierzyć się Irenie Bell, ale zaraz się rozmyśliła. Poza tym że nie pozwalała jej na to dumą, rozsądek podpowiadał, że pani Bell nie mogłaby w niczym pomóc. Teraz już nikt nie mógł pomóc.

Zmusiła się więc do uśmiechu i powiedziała:

– Och, nie, nic się nie stało, pani Bell. Dziękuję za troskę, ale wszystko jest w porządku.

– Czy ty rzeczywiście jesteś zdrowa? – nalegała Irena, ciągle nieprzekonana. – Zrobiłaś się w ogóle strasznie blada.

– To skutki choroby, a poza tym czuję się trochę zmęczona. – Audra delikatnie uwolniła ramię i pośpieszyła do szafy. Włożyła swój szary płaszcz i kapelusz, patrząc w lustro. W chwilę później, gdy owijała szyję wełnianym szalem, zapytała: – Czy chciałaby pani, żebym w Wigilię przysłała trochę wcześniej. Może mogłabym w czymś pomóc przy przygotowaniu przyjęcia dla Theo?

Irena Bell cicho się roześmiała:

– Oczywiście, że mogłabyś. Zyskasz moją wdzięczność, jeśli będziesz uważać na Theophilusa i pozostałych dziewięciu małych dzikusów, przynajmniej dopóki się nie rozpocznie przedstawienie teatru marionetek.

Ledwie zamknęły się drzwi za Audrą, już otworzyły się ponownie. Irena zatrzymała się w połowie schodów, odwróciła i rozpromieniła na widok wchodzącego męża.

– Thomasie, kochanie! – zawołała. – Jak to cudownie, że wcześniej wróciłeś.

Szybko zbiegła po schodach i rzuciła mu się w otwarte ramiona. Mąż uściśnął ją mocno, pocałował i spytał:

– Dobrą miałaś podróż powrotną?

– Tak, dziękuję. Thomasie, wszystkie nowiny powiem niebawem przy drinku, zanim pojedziemy do teatru. Ale najpierw zdejm płaszcz. Pokażę ci, jak Audra udekorowała jadalnię.

– Widziałem, jak wychodziła z domu, kiedy skręcaliśmy na podjazd – zauważył Thomas Bell zdejmując szalik. – Kazałem więc Robertsonowi zatrzymać samochód i powiedziałem jej, że ją podwiezie, jeśli tylko poczeka chwilę, żebym mógł wysiąść przed domem, ale nie chciała o tym słyszeć. Zawsze była taką niezależną osobką, prawda?

– Tak – zgodziła się Irena.

Ujęła męża pod rękę i poprowadziła przez hall do jadalni.

– Audra nie wygląda najlepiej i mam wrażenie, że ona i Vincent nie są ze sobą tak szczęśliwi, jak usiłowała mnie przekonać.

– Mhmm. To przystojny mężczyzna i prawdopodobnie rozpieszczony przez matkę i siostry, że nie wspomnę o kobietach, kobietach w czasie przeszłym. Tak, nie wyobrażam sobie, żeby ten smarkacz był łatwy we współżyciu. No i, oczywiście, jest ta różnica środowisk.

– Thomasie! – wykrzyknęła Irena i spojrzała na niego surowo. – Wiesz, jak pogardzam tego rodzaju twierdzeniami; uprzedzenia klasowe doprowadzają mnie do szału.

– Tak, ale tym nie zmienisz natury Anglików... Mają to we krwi. Poza tym klasy niższe mają takie same uprzedzenia, jak arystokracja. – Uśmiechnął się trochę krzywo i dodał: – I cokolwiek by mówić, pochodzenie stwarza diabelnie dużo różnic, kochanie. Audra jest damą. Jej rasa jest widoczna w każdym szczególe. A Vincent, niestety, zawsze będzie ją ciągnąć w dół. Przekonasz się zresztą. Są jednak małżeństwem i właściwie to zupełnie nie nasza sprawa.

- To prawda, ale, widzisz, ja jestem do niej bardzo przywiązana.
- Wiem – odpowiedział.

Bellowie zatrzymali się na progu jadalni.

- Voilà! – wykrzyknęła Irena, wskazując ręką wewnątrz pokoju.

Przez chwilę Thomas Bell stał w osłupieniu.

– Ależ to jest wyjątkowo piękne – powiedział wreszcie, będąc najwyraźniej tak samo pod silnym wrażeniem, jak uprzednio jego żona.

– Bardzo oryginalne, wręcz zapierające dech w piersiach – powiedziała Irena i ciężko westchnęła.

Mąż spojrział na nią z ciekawością. Spotkała jego wzrok, pokręciła głową i na jej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

– Audra myśli, że jest wyjątkowo utalentowana jako pielęgniarzka, ale to nieprawda, jest bardzo dobra, to wszystko. Oczywiście mnie nie uwierzy, jeśli to powiem, bo Margaret Lennox wyraziła na ten temat inny pogląd. Ale ja wiem, że jej prawdziwe powołanie to sztuka. Jest wyjątkową malarką, ale nie chce tego widzieć. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego jest taka zaślepiona. – Irena Bell znowu westchnęła: – Och, Thomasie, takie marnowanie talentu, to jest w tym najsmutniejsze.

– Może tak i jest. Biedna Audra, nigdy nie miała wielu szans. Życie obdzieliło ją troskami nad wyraz szczodrze i to już wtedy, gdy była jeszcze dzieckiem.

Rozdział dziewiętnasty

Dlaczego mówiłam pani Bell, że dobrze się czuję, kiedy wcale tak nie jest? Jestem w pułapce. Co mam robić?

Te myśli odsuwały wszystkie inne na dalszy plan, gdy Audra krzątała się po kuchni w swoim domu przy Pot Lane wkrótce po powrocie z Calpher House.

Powinnam się zwierzyć Irenie Bell – mówiła sobie z nieoczekiwanym żalem. Żałowała, że dusiła wszystkie zmartwienia w sobie. Czasem mówienie o kłopotach pomaga, zwłaszcza kiedy słuchacz jest osobą tak życzliwą i wyrozumiałą jak pani Bell. Ale mimo to gdy nadarzyła się okazja, zachowała milczenie, a teraz było już za późno.

Ja rzeczywiście ciągle jestem sama – pomyślała – tak jak byłam od czternastego roku życia. Nie mam dokąd pójść. Nie mam u kogo szukać pomocy. Kiedyś miałam przełożoną Lennox, ale teraz nawet ona nic mi nie pomoże. Nie da pracy pielęgniarce, która jest w ciąży.

Rozpacz, którą Audra nosiła w sobie przez tyle dni, przemieniła się nagle w panikę. Zauważyła, że drżą jej ręce. Stała na środku kuchni bez ruchu, starając się odzyskać panowanie nad sobą. – *Uspokój się, uspokój* – powtarzała oddychając głęboko i mówiąc sobie, że przerażeniem niczego nie osiągnie.

Kiedy poczuła się spokojniejsza, podeszła do pieca, zobaczyć, co się dzieje z duszonym mięsem na kolację dla Vincenta. Zadowolona, że wszystko jest w najlepszym porządku, zrobiła sobie filiżankę herbaty i usiadła w fotelu przy kominku, cały czas zastanawiając się nad swoim położeniem.

Zaczęła podejrzewać, że jest w ciąży podczas dwu tygodni choroby. W ostatnich dniach upewniła się ostatecznie – pewne zmiany fizjologiczne nie dały się dłużej ukryć. Kiedy pogodziła się z faktami, pierwszą jej myślą było uciekać. Postanowiła bowiem konsekwentnie trwać przy decyzji opuszczenia Vincenta.

Ale dziś wieczorem, kiedy wracała z Calpher House, doszła do wniosku, że byłoby to głupotą wtedy, gdy oczekuje dziecka. Nie miała pieniędzy, pracy, nie miała dokąd iść. Laurette określiła tę sytuację bardzo zwięźle: „My jesteśmy jedyną rodziną, jaką masz”. *I to była prawda.*

Ale pozostać z Vincentem? Jak mogłaby? Przecież tylko się kłócili i wzajemnie sobie dogryzali. No, to też nie było zupełnie tak. W każdym razie w tej chwili. Kiedy leżała chora, był dla niej wyjątkowo dobry i troskliwy, a odkąd wyzdrowiała, nie padło między nimi ani jedno złe słowo.

Kilka dni temu nieoczekiwanie spytał ją przygaszonym głosem, czy ciągle ma zamiar go opuścić. Odpowiedziała, że tak, jak tylko poczuje się na siłach. Kiedy odwracał głowę, miał na twarzy jakiś dziwny wyraz. I teraz, gdy o tym myślała, uświadomiła sobie, że był to wyraz głębokiego smutku. Miała pewność, że w jego oczach zauważyła żal: że bardzo żałował słów wypowiedzianych w gniewie, żałował gwałtownych kłótni, które niczemu nie służyły. Bo przecież rozpoczęli wspólne życie mając tak wiele. *Dlaczego więc nie może dalej być tak, jak na początku?* – pytała samą siebie. Oparta o fotel, wspominała szczęśliwe dni narzeczeństwa i gwałtownie zapragnęła, aby powróciły.

W chwilę później Audra podniosła się z fotela, wyrwana ze wspomnień odgłosem kroków na kamiennej ścieżce przed domem. Drzwi otworzyły się i Vincent wszedł pośpiesznie, niosąc wielki pęk gałęzi ostrokrzewu. Twarz mu się rozpromieniła, gdy zobaczył ją siedzącą przy kominku. Ostatnio nigdy nie był pewien, czy nie zostanie pustego domu.

– Witaj, najmilsza – powiedział kładąc gałęzie na podłodze. Następnie zaś ściągnął szalik i zdjął kapelusz.

– Witaj – odpowiedziała Audra. Nie mogła powstrzymać się od myśli, jak pociągająco dziś wyglądał. Zimny wiatr zaróżowił mu policzki, zielone oczy błyszczały pod czarnymi brwiami. Zapytała łagodnym tonem: – Jak udała się podróż do Yorku?

– Mam zaszczyt zameldować, że wszystko poszło znakomicie. Wygląda na to, że dostaniemy to zamówienie, to chyba pewne. Pan Varley jest w siódmym niebie, ja zresztą też, bo to by znaczyło, że mamy pewną pracę, przynajmniej na jakiś czas. Jak się człowiek rozejrzy dokoła i zobaczy, co się dzieje w kraju, dopiero zaczyna to doceniać. Pan Varley mówi, że czeka nas kryzys gospodarczy... – urwał i zaniósł płaszcz na wieszak. Po chwili zaś dodał: – Ale, ale, możesz mi pogratulować.

Audra uniosła brwi.

– Czego?

– Dostałem awans. Pan Varley dziś po południu mianował mnie nowym majstrem. Odkąd stary Harry Watkins odszedł na emeryturę, nie było nikogo.

– Gratulacje ci się należą, Vincencie; bardzo się z tego cieszę – powiedziała Audra z entuzjazmem i szczerością. – Niewątpliwie na to zasługujesz, bo ciężko pracowałeś.

– Dzięki za te słowa, kochanie – odchrząknął, podniósł z podłogi ostrokrzew i podszedł do niej. – Kupiłem to z wozu na wiejskiej drodze. Co mam z tym zrobić? Wstawić do wody?

– Nic się nie stanie, jak jeszcze chwilę poleży na parapecie. Czy chciałbyś filiżankę herbaty?

– Nie, dziękuję, kochanie.

Zawahał się chwilę, jakby niepewny następnego ruchu, a potem podszedł do fotela, nachylił się i pocałował ją w policzek. Szybko się odsunął i stanął plecami do ognia.

– Dziękuję za ostrokrzew, Vincencie – powiedziała cicho Audra, patrząc na niego z półśmiechem. – To miło z twojej strony...

– Och, to nic takiego... Czy jest jeszcze trochę piwa?

– Tak, kilka butelek stoi w spiżarni.

Poszedł po piwo, a po drodze spytał:

– Jak się ma chłopiec?

– Jest podniecony świąteczną zabawą. Zanim wyszłam, powiedział, że jutro masz przyjść koniecznie.

– Nie wiem jeszcze, jak to będzie... – Vincent podszedł do kominika, usiadł na fotelu naprzeciw niej, twarz mu się zasępiła.

– Theophilus będzie bardzo rozczarowany, jeśli nie przyjdiesz.

Vincent spojrzał na nią zdziwiony, a gdy się odezwał, w jego głosie słychać było zakłopotanie.

– Czy nie masz nic przeciw temu, żebym tam poszedł? Chciałem spytać, czy chcesz, żebym poszedł z tobą?

– Tak, a poza tym Theo, bardzo mu na tym zależy. Ty wiesz, jak on cię uwielbia.

Vincent skinął głową, pociągnął łyk piwa i powiedział z wahaniem:

– Cóż... kończę pracę wcześniej. W Wigilię pan Varley zawsze zamyka interes o dwunastej.

Audra odwróciła głowę i utkwiała wzrok w ogniu.

Vincent zaczął szukać po kieszeniach papierosów. Zapanowało między nimi milczenie.

Był to ten rodzaj milczenia, kiedy słowa są niepotrzebne; milczenie, które tak często dzielili na początku znajomości. Dzisiaj też było im ze sobą tak lekko, jak nie było od miesięcy. Nagle Audra poczuła na sobie jego wzrok i podniosła oczy, by spotkać się z jego oczyma. Powstrzymała oddech. Na twarzy Vincenta malowała się taka czułość i miłość, że serce przestało jej bić.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła niezdolna wypowiedzieć w tej chwili słowa, gdyż targwały nią sprzeczne uczucia. Spojrzała w dół na swoje dłonie. Obrączka lśniła w świetle płomieni – symbol jej marzeń i nadziei na przyszłość. Pomyślała o dziecku, które nosiła pod sercem. To dziecko było przyszłością... tak jak było częścią przeszłości, poczęte z ich miłości, namiętnych uczuć i wzajemnej przynależności do siebie. W głębi serca Audra zrozumiała, że pomimo tego, co się wydarzyło, jej miłość do Vincenta pozostała taka sama, niezmienną. I od tego faktu nie można było uciec.

Jak gdyby czytając w jej myślach, Vincent rzucił papierosa do ognia i podniósł się. Podszedł i ukląkł przy fotelu, a ująwszy jej dłonie w swoje, zajął głęboko w oczy, które dzisiaj w wymizerowanej twarzy zdawały się szczególnie duże i błękitne.

Przełknął z trudem ślinę i powiedział drżącym głosem:

– Audro, nie opuszczaj mnie. Wracając do domu nie wiedziałem, czy cię tu zastanę i serce podchodziło mi do gardła. Ostatnio to uczucie mnie nie opuszcza... bo nie wiem, czego mam oczekiwać. Myślałem też, co zrobię, jeśli ciebie tu nie będzie. Jak będę żyć bez niej? – zamilkł, spróbował się uśmiechnąć, ale mu się nie udało. – Prawda jest taka, że nie mogę żyć bez ciebie, zresztą nie chciałbym. Widzisz, Audro, ja cię naprawdę kocham.

Wiedziała, że każde słowo jest prawdą. W jego głosie była nie tylko szczerość, ale i desperacja. Kiedy znowu spojrzała na niego, w zielonych oczach dostrzegła łzy.

Przez chwilę nie mogła przemówić.

– Proszę, nie opuszczaj mnie – poprosił znowu niskim, przepętnym miłością głosem.

Audra ostrożnie dotknęła jego twarzy, a następnie, ku swemu zdumieniu, wyrzuciła z siebie:

– Będę miała dziecko.

Vincent odsunął się, oczy mu się rozszerzyły, a potem chwycił ją w ramiona i mocno przytulił do siebie.

– Och, Audro, co za wspaniała nowina! – Gwałtownie zwolnił uścisk. Całe zatroskanie zniknęło mu z twarzy i uśmiechał się po chłopcemu. – Teraz nie odejdziesz ode mnie, wiesz, że nie możesz tego zrobić! Zresztą nie pozwoliłbym ci. Jestem ci potrzebny, aby troszczyć się o ciebie, troszczyć się o ciebie i dziecko.

– Tak – potwierdziła, wiedząc, że to prawda.

– Obiecuję ci, że odtąd nasze życie będzie lepsze – powiedział ze szczerym przekonaniem. – I obiecuję ci, że będę lepszym mężem; będę nim naprawdę, Audro.

Początkowo dotrzymywał obietnicy.

Tę czułość i troskliwość, którymi otaczał ją w chorobie, okazywał nadal; był bardziej niż dotychczas skłonny uwzględnić jej racje. Wieczorem po pracy pędził do domu, aby być z nią; gdy miał wolny czas, nie pozostawiał już jej samej, nawet w czasie weekendów, kiedy to miał zwyczaj wychodzić i spotykać się z kolegami. Troszczył się o nią, dbał – był wzorowym mężem i przyszłym ojcem.

Spokój zapanował w małym domku przy Pot Lane. Audra była zadowolona tak jak nigdy dotąd w całym swoim życiu i wdzięczna za spokój, ciszę i możliwość wypoczynku. Ciężę znosiła ciężko. Poranne ataki mdłości były wyjątkowo ostre, a i w ciągu dnia trapiły ją także. Czuła się paskudnie i ogólny stan jej zdrowia uległ pogorszeniu.

Początkowo Vincent przejmował się tym i współczuł jej. Ale stonkowo szybko jego cierpliwość zaczęła się wyczerpywać, stawał się rozdrażniony i, co gorsza, znudzony. Tuż przed Bożym Narodzeniem, kiedy się pogodzili, znowu podjęli małżeńskie współżycie, lecz

musiało ono zostać przerwane. Vincent mniej lub bardziej rozumiał fizyczną powściągliwość Audry, myślał też, że kobieta oczekująca dziecka nie może odczuwać pożądania seksualnego. Co jednak trapiło go najwięcej, to brak ze strony Audry zainteresowania jego codziennymi sprawami. Raniło go to i wydawało się niezrozumiałe.

Nic więc dziwnego, wzięwszy pod uwagę jego charakter, że wkrótce domowe zacisze zaczęło mu ciążyć. Kochał Audrę i chciał być jej mężem, ale jednocześnie pragnął życia kawalerskiego. Nie dlatego, by móc uganiać się za kobietami, gdyż to go nie pociągało, lecz raczej dlatego, że odczuwał brak męskiego towarzystwa, spotkań z kolegami w pubie, wizyt u bukmachera i na torze wyścigowym. Wszystko to robił przez całe swoje dorosłe życie i nie widział powodu, żeby obecnie zmieniać te przyzwyczajenia.

Znowu też zaczął często bywać w domu rodziców, a to z tego powodu, że tęsknił za hałaśliwą, pełną jowialności atmosferą tam panującą, za radością bycia częścią dużej rodziny, zwłaszcza takiej, w której darzono się szczerymi uczuciami.

Nie obwiniał się za to postępowanie, ponieważ Audra była bezgranicznie pochłonięta dzieckiem. Vincentowi wydawało się, że cała jej istota koncentruje się na dziecku i że to wyklucza zainteresowanie się kimkolwiek innym. Przekonanie to nie było błędne.

Dziecko znaczyło dla niej wiele, może nawet więcej, niż mógł sobie wyobrazić czy zrozumieć. Dla Audry dziecko było nie tylko owocem ich miłości, ich pierwszym dzieckiem, ale i załączkiem własnej rodziny, której pragnęła od wielu lat. Bojąc się, aby maleństwu coś się nie stało, dbała o swoje zdrowie z taką gorliwością i skrupulatnością, że nawet Laurette zaczęła od czasu do czasu tracić do niej cierpliwość. Audra, jej zdaniem, zachowywała się tak, jakby to było pierwsze dziecko, które miało pojawić się na świecie.

Zapasowa sypialnia w domu przy Pot Lane została przerobiona na pokój dziecienny z niezwykłą starannością i dbałością o szczegóły – tak pod względem dekoracji, jak i higieny.

Audra zaprzęła do pomocy cały niemal klan Crowtherów; wszyscy pomagali myć, szorować, malować i tapetować pokój. A później, kiedy sprzedawała małą szpilkę z brylantem po matce, pojechała do sklepu Harte w Leeds i kupiła śliczny komplet mebli dzieciennych.

Siostra Vincenta, Olive, słyęła w rodzinie i wśród przyjaciół z robótek na drutach. W ubiegłym roku nauczyła tej praktycznej umiejętności Laurette. Audra poprosiła ją o pomoc w wykonywaniu dziecięcych ubranek, a po niedługim czasie sprytnie namówiła do tego również Laurette. Trzy młode kobiety migały teraz drutami z taką szybkością, jakby od tego zależało ich życie. Gdy tak siedziały razem, przedstawiały bardzo zabawny widok. Rezultatem owych połączonych wysiłków były buciki, czapeczki, śpioszki, sweterki i kołderki do wózka i łóżeczka. Później Audra uszyła i wyhaftowała mnóstwo innych dziecięcych ubranek i bielizny i wreszcie przygotowała łóżeczko. Układając te rzeczy w szufladach komody, czuła się bardzo dumna z garderoby swego jeszcze nie narodzonego dziecka.

Pomimo jednak wszystkich tych zajęć i częstych spotkań z pełnymi życia Crowtherami, bywały okresy, kiedy czuła się bardzo osamotniona. Po części przyczyną tego były wyjścia Vincenta oraz to, że nie miała żadnej własnej rodziny. Mimo starań, nie zdołała zbliżyć się z Elizą. Ciągle jeszcze była bardzo ostrożna w stosunkach z teściową. Wierzyła, że Eliza obarczają winą za wszystkie konflikty, całkowicie usprawiedliwiając Vincenta. Chociaż nie było to prawda, nic nie mogło jej przekonać, że się myli.

Z drugiej strony stosunki Audry z Laurette były ciepłe i pełne miłości. Audra pozostawała też w wielkiej zażyłości z teściem, Alfredem Crowtherem, który uważał syna za szczęściarza, gdyż udało mu się zdobyć taką żonę. Teść ganił zachowanie Vincenta i nie przebierał w słowach, mówiąc mu o tym. Robił to zresztą coraz częściej. To właśnie ojciec Vincenta i jego ukochana siostra byli tymi osobami, które pomagały Audrze w trudnych chwilach i w tym okresie jej życia.

Ciężka i surowa zima wreszcie ustąpiła miejsca tak pięknej wiosnie, jakiej nie pamiętano od lat. Błękitne niebo i słońce każdemu poprawiały nastrój. Tak samo działał widok zielonych pączków na drzewach, pierwszych narcyzów i krokusów, które pojawiły się nagle, zdobiąc ziemię żółtymi i fioletowymi barwami.

A później odbył się ślub Gwen z Geoffreyem Freemantlem. Audra musiała zrezygnować z bycia starościna, gdyż jej stan był już zbyt widoczny. Ale oboje z Vincentem byli obecni na uroczystości w kościele St. Margaret w Horsforth, która odbyła się w słoneczną niedzielę pierwszego tygodnia kwietnia tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku.

Audra uszyła sobie nową suknię i odpowiednio dobrany kolorem płaszczyk z granatowego, wełnianego materiału boucle; kupiła sobie też mały, słomkowy kapelusik, który ozdobiła koronką i kwiatami. Kiedy Vincent zobaczył ją w tym stroju, wyraził swój zachwyt, ale ona odniosła się do tego ze sceptycyzmem. Czuła się bowiem jak mały wieloryb i nie miała wątpliwości, że tak samo wygląda.

Kiedy jechali do Horsforth samochodem pożyczonym na tę okazję od wuja Phila, Audra rozmyślała o Gwen i o tym, jak ich przyjaźń osłabła ostatnio. Zajęta pracą w przychodni, meblowaniem i urządzaniem domu w Headingley oraz przygotowaniami do wesela, Gwen miała dla niej niewiele czasu. Tak więc odmienne warunki, w jakich żyły, zaczęły je coraz bardziej od siebie oddalać.

Oprócz tego było jeszcze coś – Vincent znacznie bardziej niż dotychczas zbliżył się z Mikem Lesleyem. W konsekwencji nie chciał zaprzyjaźnić się z Geoffreyem Freemantlem, o którym nie mówił inaczej jak „uzurpator”. Ale nawet gdyby tak nie było, Audra była przekonana, że snobistyczny doktor traktowałby Vincenta z góry.

Stracę Gwen bezpowrotnie i to z powodu Geoffreya Freemantle'a – myślała Audra, wyglądając z okna samochodu, i czuła, jak ogarnia ją smutek.

Później, kiedy siedziała wraz z Vincentem w ławce kościelnej, wpatrując się w Gwen, wspartą na ramieniu ojca i powoli kroczącą do

ołtarza, smutek ten jeszcze się wzmógł, podobnie jak poczucie oddalenia. Gwen wyglądała pięknie, piękniej niż kiedykolwiek, i Audra przez chwilę była zaskoczona. To była Gwen inna niż ta, którą znała.

Miała na sobie krynolinę z kremowej koronki na kremowym atłasowym spodzie i długi welon, który był przytrzymywany przez wianek z kwiatów pomarańczy. W ręku niosła bukiet białych róż o lekko różowych brzegach. Brylantowe serduszko na sznurku pereł błyszczało na szyi, w uszach zaś miała brylantowe kolczyki. Gwen była promienną panną młodą – blondwłosą i niebieskooką, obiegowym wyobrażeniem typowej „angielskiej róży”. Nie uległo wątpliwości, że w tym wyjątkowym dniu swego życia wyglądała fantastycznie.

I już ją straciłam – pomyślała z żalem Audra. – Już odeszła ode mnie. Gwen weszła w nowy świat, którego ja nigdy nie poznam.

Nagle zaczęły ją dławić łzy i uczuła w sercu dziwny ucisk.

Był czas w moim życiu, kiedy nie miałam absolutnie niczego i nikogo. Wszystko, co miałam, to była Gwen – pomyślała. – I ona była dla mnie taka dobra. Nigdy jej tego nie zapomnę. Zawsze będę ją kochać i zawsze ona będzie moją najlepszą przyjaciółką. Nawet Laurette nie zajmie jej miejsca, choć jest mi droga i tak bardzo czuła, tak oddana.

Kiedy Gwen znalazła się obok Audry, uśmiechnęła się do niej ciepło i promiennie.

Audra odwzajemniła uśmiech, z czułością popatrzyła na śliczną buzię i w milczeniu serca pożegnała się ze swą przyjaciółką. Życzyła Gwen tylko szczęścia i radości na wszystkie dni jej życia.

Mimo ogarniającego ją smutku i poczucia straty, w czasie przyjęcia weselnego udało się jej wyglądać pogodnie i beztrasko. Przyjęcie odbywało się w domu rodziców Gwen i Audra z przyjemnością przekroczyła znajomy próg. Jakkolwiek jednak ona sama umiała zachować pozory wesołości, zauważyła, że Thorntonom to oszustwo tak dobrze się nie udawało. Audra doszła do wniosku, że nieczęsto widywała tę rodzinę wyglądającą tak pośepnie.

Po krótkiej chwili przebywania w salonie, pani Thornton zaprowadziła ją do ustronnego kącika, aby porozmawiać na osobności. Bez wstępów zwierzyła się, że nikt w rodzinie nie przepada za Geoffreyem. Audra starała się ją pocieszyć, mówiąc o pozytywnych stronach tego związku, ale pani Thornton nie dała się przekonać.

– Uważamy, że jest wstrętny i ty, Audro, też go nie lubisz, cokolwiek byś nie mówiła... Biedna Gwenny, co ona narobiła? – pani Thornton ciężko westchnęła i wkrótce oddaliła się, aby przywitać nowo przybyłych gości.

Za chwilę do Audry podszedł Vincent. Oboje udali się do bufetu: wzięli na talerze kanapki i odeszli na bok. Tam kilka minut później odnalazł ich Charlie. Przyprowadził swoją narzeczoną, by się poznali. Była to drobniutka dziewczyna imieniem Rowena. Kształtami przypominała Audrze ją samą. Pomyślała, że to możliwe, iż mężczyźni zawsze zakochują się w tym samym typie kobiet. Była jednak zadowolona, że Charlie znalazł kogoś, kim był bardzo zainteresowany.

Po przedstawieniu Roweny Charlie zniżył głos i oświadczył, że małżeństwo Gwen jest okropną pomyłką.

– Rodzice są załamani, ja zresztą też – zwierzył się.

Wkrótce obaj z Vincentem nie bez złośliwości zaczęli analizować osobę doktora i doszli do zgodnego wniosku, że Gwen powinna była wyjść za Mike'a Lesleya.

Ślub Gwen był największym wydarzeniem wiosny i początku lata. Audra i Vincent brnęli przez życie ciągle w ten sam sposób, pochłonięci sobą i swoimi sprawami.

Odkąd Vincent zaczął spędzać w Yorku dwa lub trzy dni w tygodniu, Audra pozostawała sama. Ponieważ firma Varleya zaczęła rozbudowę fabryki czekolady, pan Varley zlecił nadzór robót Vincentowi. Jednakże ani on, ani ona niezbyt martwili się jego przebywaniem poza domem – cieszyli się, że ciągle jeszcze ma stałą pracę.

Coraz więcej ludzi bowiem wylatywało na bruk. Kiedy Audra chodziła do Calpher House, widywała ich stojących w kolejce przed biurem zatrudnienia na Hill-Top i serce ścisnęło się jej na ten widok. Wyglądali, jakby zupełnie stracili nadzieję. Wtedy dziękowała Bogu, że

Vincent nie jest jednym z nich.

Pod koniec czerwca budowa w Yorku została zakończona i Vincent znowu pracował na miejscu. Był upalny, sobotni ranek na początku lipca, gdy Audra poczuła pierwsze bóle. Vincent zawiózł ją do szpitala St. Mary samochodem wuja Phila i w kilka godzin później ich pierwsze dziecko przyszło na świat. Był to chłopiec.

Imię wybrali mu dużo wcześniej. Miał być ochrzczony imionami Adrian Alfred – po obu swoich dziadkach, ale od samego początku Vincent nazwał go Alfie i to imię się przyjęło.

Wszyscy kochali Alfiego.

Był to pogodny, roześmiany dzieciak o bystrych zielonych oczach, ciemnych, jedwabistych włosach i twarzyczce cherubina. Rzadko kiedy płakał i miał tak słodkie usposobienie, że Audra i Vincent uważali się za niezwykle szczęśliwych rodziców. Wszyscy Crowtherowie pieścili i psuli Alfiego, zwłaszcza zaś Eliza i Alfred, którzy świata nie widzieli poza swym pierwszym wnukiem. Uwielbiały go również ciotki i Audra wiedziała, że nigdy nie będzie miała kłopotów ze znalezieniem kogoś, kto chciałby pobyc z Alfim, kiedy zajdzie taka potrzeba.

W miarę jak mijały miesiące Alfie stawał się coraz miłszy i coraz pogodniejszy. Gaworzył i śmiał się, kopał tłustymi nóżkami leżąc w łóżeczku lub wózku. A kiedy Audra wiozła go po Town Street, nieznanymi ludziami zatrzymywali się i zachwycali „prześlicznym bobasem”. Alfie był takim dzieckiem, które każdy chciałby wziąć na ręce, tulić i pieścić. Audra szybko nauczyła się tego unikać, w obawie, że mały może się czymś zarazić.

Kochała dziecko nieprzytomnie. Czasami zostawiała swoje zajęcia i wychodziła do ogródka, aby na syna po prostu popatrzeć. Gdy pochylała się nad wózkiem, była pewna, że mała twarzyczka rozjaśnia się na jej widok, że żywe, zielone oczy poznają ją i serce przepełniała radość. Nigdy dotąd nie zaznała takiego szczęścia, jakie dawała jej obecność tej maleńkiej istotki.

Dla wszystkich było oczywiste, że Alfie jest podobny do ojca. Vincent kochał syna równie mocno jak Audra i oboje uważali, że ich malec

jest niezwykle rozwinięty i bystry. Mając zaledwie pół roku dawał oznaki wyjątkowej inteligencji, cieszyli się więc z niego i byli bardzo dumni.

Dziecko stało się też przyczyną odnowienia dawnych więzi.

Stosunki między nimi poprawiły się i w domku przy Pot Lane panowała teraz atmosfera spokoju. Vincent częściej pozostawał wieczorami w domu, a kiedy wychodził w soboty, Audra bardzo często mu towarzyszyła. Tę możliwość zawdzięczali przede wszystkim Laurette, której życiowa sytuacja też się zmieniła na lepsze.

Vincent odegrał bowiem z powodzeniem rolę swata. Jego ukochana siostra i Mike Lesley chodzili ze sobą. Laurette często zapraszała brata i jego żonę do siebie. Obaj mężczyźni dobrze się wzajemnie rozumieli, więc Vincent bez oporów zamienił swoje sobotnie wypadki do pubu na wyjścia z żoną, Laurette i Mikem.

Całą czwórkę łączyło zainteresowanie muzyką, zwłaszcza operetkami Romberga i Herberta, które cieszyły się wtedy ogromną popularnością. Zespoły objazdowe z Londynu często przyjeżdżały do Teatru Wielkiego w Leeds, a Mike kupował bilety na różne przedstawienia. Czasem chodzili potańczyć, albo do kina na nowy film dźwiękowy.

Takie wspólne wypadki powtarzały się regularnie przez całe lato i jesień tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku. Wszyscy czworo planowali też wspólne spędzenie świąt Bożego Narodzenia. Audra tego roku czuła się niezmiernie szczęśliwa. Jej pożycie małżeńskie ustabilizowało się, miała własną rodzinę, w jej domu panował spokój i harmonia.

Rozdział dwudziesty

Laurette i Audra szły powoli po Pot Lane w zmierzchu styczniowego dnia. Był pierwszy tydzień tysiąc dziewięćset trzydziestego roku. Początek nowego roku i nowej dekady.

Obie młode kobiety były w doskonałych nastrojach i czuły się wyjątkowo szczęśliwe. Pomimo pogarszających się warunków ekonomicznych w Anglii i na świecie, ich własna przyszłość zdawała się różowa i bezpieczna.

Audra była zadowolona i z życia, i z Vincenta. Był również i Alfie, ukochane dzieciątko, które z dnia na dzień piękniało i było radością jej istnienia. Vincent pracował u Varleya, otrzymał podwyżkę i nareszcie spłacili długi. Wszystkie sprawy nigdy lepiej nie wyglądały.

Jeśli zaś chodzi o Laurette, to przepełniało ją cudowne uczucie euforii. Była bardzo zakochana w Mike'u Lesley u i on w niej – wczoraj wieczorem zaręczyli się i mieli zamiar pobrać się latem.

Chociaż Mike jeszcze studiował medycynę na uniwersytecie w Leeds, to niedawno otrzymał nieduży spadek po wuju. To umożliwiło im przyspieszenie realizacji planów małżeńskich, bo Mike mógł teraz utrzymać żonę, nie czekając na końcowe egzaminy. Tak więc myśli Laurette krążyły wokół wesela, wyprawy, znalezienia domu w Upper Armley, gdzie chcieli zamieszkać i gdzie ona chciała urządzić wygodne życie dla uwielbianego mężczyzny.

Nieco wcześniej obie kobiety świętowały zaręczyny Laurette. Audra nalegała, by z tej okazji zaprosić szwagierkę na lunch w inne miejsce niż skromna Café Betty. Uznała, że widok zaskoczenia i radości na twarzy Laurette, gdy zaprowadzi ją do przytulnej kawiarni Tureckie Delicje w domu towarowym Harte, wart był tej zmiany.

Po lunchu trochę pochodziły po eleganckim sklepie, bawiąc się w udawanie zakupów. Oglądały kosztowne futra, suknie wieczorowe, mierzyły wytworne kapelusze, a przy stoisku z kosmetykami skropiły się różnymi rodzajami drogich, francuskich perfum. Wszystko to było ucieczką w krainę fantazji od ich codziennego życia. Później zaś poszły na rynek przy Kirkgate, jak zwykle w sobotnie popołudnie.

– Łądujemy z trzaskiem na ziemi – powiedziała Laurette z krzywym uśmiechem, gdy chodziły między straganami, szukając potrzebnych produktów.

Audra roześmiała się również i szepnęła:

– Wszyscy na nas patrzą, a raczej chyba obwąchują nas. Musimy zapewne ciągnąć za sobą niezwykle zapachowy „ogon” po tych wszystkich perfumach, które wypróbowałyśmy.

Dokonawszy zakupów, chichocząc jak para beztroskich uczennic, przeciskały się przez tłum kupujących, by opuścić wielki plac targowy i pójść do przystanku tramwajowego.

Teraz, kiedy podążały w stronę domu, pogrążoną w mroku uliczką, obie dygotały z zimna pod uderzeniami silnego wiatru. Przez cały tydzień często padał deszcz, a wiatr niósł za sobą silną woń przegniłych liści i mokrej ziemi. W powietrzu czuło się wilgoć. Nad ziemią słała się mgła.

– Uważaj na mokre liście pod nogami – powiedziała Audra. – Można się na nich poślizgnąć.

– Tak, uważam. Słuchaj, Audro, bardzo ci dziękuję za piękny dzień. Świetnie się bawiłam, zwłaszcza na lunchu i wędrowce po stoiskach u Harte'a. Z przyjemnością myślę w tej chwili o filizance herbaty. Nagle poczułam się zmęczona.

– I ja również – wyznała Audra. – Ten tłum ludzi na rynku! Nigdy tam nie było aż tak tłoczno. Nie czuję już nóg.

Zanim doszły do końca wyłożonej kamieniami ścieżki, drzwi domu pod numerem trzydziestym ósmym otworzyły się i na progu ukazała się w kręgu światła Maggie, która zawołała:

– *Audra? Laurette?*

– Tak, to my – odparła Audra, idąc pośpiesznie. W głosie czterna-stolatki usłyszała dziwną nutę i sygnał ostrzegawczy dotarł do jej mózgu. – Czy wszystko jest w porządku?

– To Alfie – powiedziała napiętym głosem Maggie, otwierając szerzej drzwi i usuwając się na bok, by mogły wejść. – Myślę, że jest bardzo chory.

Audra upuściła torby z zakupami na podłogę i nie zdejmując płaszcza rzuciła się przed siebie. Nachyliła się nad stojącym w rogu kuchni łóżeczkiem i spojrzała z niepokojem na dziecko.

Natychmiast zobaczyła, że Alfie jest chory. Miał szkliste oczy, będące oznaką wysokiej gorączki. Ściągnęła rękawiczki i lekko dotknęła

zarumienionego policzka. Mała twarzyczka płonęła. Audra przeraziła się, ale poddawanie się panice nie leżało w jej naturze. Pomogła tu również zawodowa wiedza i przekonanie, że jest urodzonym uzdrowicielem. Poczwała w sobie pewność, że potrafi zaopiekować się własnym chorym dzieckiem. Zdjęła płaszcz i pośpieszyła do kuchni umyć ręce.

– Proszę cię, przynieś mi z apteczki termometr, a później zdejmij wszystko ze stołu i połóż tam czysty ręcznik. Chcę obejrzeć Alfiego przy lepszym świetle i obetrzeć go z potu.

Podaj mi też jego przybory toaletowe i zmocz myjkę.

Laurette zakrzętnęła się po kuchni wykonując polecenia Audry.

Audra wymyła ręce, opłukała termometr, a potem podeszła do dziecka. Delikatnie wyjęła je z łóżeczka, przeniosła na stół i rozebrała. Wszystkie jej ruchy były pełne ostrożnej tkliwości.

Zmierzyła Alfii temperaturę i spojrzała na Laurette.

– Ma 104°F, ale to nic dziwnego, jest bardzo rozpalony. Podaj mi myjkę, Laurette.

– Jak myślisz, co mu jest? – spytała Laurette zaniepokojona.

– Nie wiem. To może być każda z licznych dziecięcych chorób: wietrzna ospa, odra, szkarlatyna. Z drugiej jednak strony nie widzę na nim żadnej wysypki... – nie dokończyła zdania i zajęła się wycieraniem maleńkiego ciała. Kiedy znowu ubrała Alfiego, zwróciła się do Laurette: – Ma taką wysoką temperaturę. Zastanawiam się, czy powinnam podać mu tabletki Fenninga? A może trochę płynu przeciwko kolce? Ale nie, lepiej nic nie dam. Myślę, że trzeba posłać po lekarza.

Laurette przytaknęła:

– Tak, chyba powinnaś to zrobić. – Spojrzała na zegar. – Gdyby Mike był tutaj, mógłby zbadać Alfiego. Nie mam pojęcia, co zatrzymało jego i Vincenta.

– Ja mogę pobiec po doktora Stalkleya – zaofiarowała się Maggie.

– Tak, sądzę, że tak będzie najlepiej – odparła Audra, biorąc Alfiego na ręce i przenosząc go do łóżeczka. Odwróciła się do Maggie i

powiedziała: – Zanim jednak wyjdiesz, powiedz mi, jak Alfie zachowywał się po południu, kiedy zauważyłaś, że jest niezdrów. Opisz wszystkie objawy, to, co było nie tak jak zwykle.

Maggie od kilku godzin dręczył niepokój. Bała się sama zanieść Alfiego do lekarza, aby mu się nie pogorszyło; z tego też powodu bała się zostawić go samego i pobiec po pomoc. Teraz była zdenerwowana i bliska łez.

– Vincent i Mike poszli na mecz futbolowy gdzieś około pierwszej – mówiła drżącym głosem. – I zaraz Alfie zaczął płakać i płakał strasznie długo, kaprysił; zupełnie nie był taki jak zawsze. Cały czas go pilnowałam, daję słowo, Audro; sprawdzałam, czy nie jest mokry. Ale pieluszkę miał suchą i nic go nie kłuło. Trochę później, chyba około trzeciej, zobaczyłam, że robi się czerwony. Tu było bardzo ciepło, więc wzięłam go do bawialni, żeby się ochłodził. Tam siedzieliśmy przez chwilę. Trzymałam go na kolanach, śpiewałam, a on zaczął wymiotować i to w taki dziwny sposób...

– Opisz to dokładnie – przerwała Audra sztywniejąc.

– Nie wiem jak, to jest trudne do opisanie... – Maggie spojrzała na szwagierkę i zauważyła zmianę, jaka w niej zaszła. Napięcie i niepokój Audry udzieliły się i jej.

– Spróbuj.

Dziewczynka zaczerpnęła tchu i powiedziała:

– Wymioty wychodziły jakby prosto z niego, z wnętrza. Wyglądało to, jakby ktoś dał mu szturchańca w plecy i wypchnął z niego wszystko. Dziwne było to, że Alfie nie odetchnął, nic mu się nie odbiło.

Chlustające wymioty – pomyślała Audra z uczuciem lęku. – To właśnie Maggie usiłowała opisać. O mój Boże, zapalenie opon mózgowych. To być nie może. Audra stała bez ruchu, wiedząc, że nie wolno jej tracić głowy, że musi być spokojna i opanowana. Ze względu na dziecko nie może pozwolić, aby uczucia wzięły górę nad rozsądkiem.

Tłumiąc obawy, odwróciła się do łóżeczka i spojrzała na Alfiego. Wyglądał tak rozpalony i bezsilny.

– Maggie, biegnij po doktora. Powiedz mu, że Alfie jest chory i że musi przyjść natychmiast – odezwała się do dziewczynki.

Maggie chwyciła płaszcz z wieszaka.

– Audro, jak myślisz, co się stało Alfiemu? Czy to coś poważnego?

– Nie mam pewności, ale niepokoją mnie te wymioty i wysoka gorączka.

– Powiem o tym wszystkim doktorowi – powiedziała Maggie idąc do drzwi. – Będę biegła tak szybko, jak mi nogi pozwolą.

Kiedy zostały same, Laurette zapytała niespokojnie:

– Audro, co to jest? Jesteś błąda jak płótno. Co na Boga, dzieje się z Alfiem? Musisz chyba coś podejrzewać?

– Nie jestem pewna, naprawdę nie jestem – odparła Audra, starając się panować nad głosem i nie śmiejąc wypowiedzieć nazwy tej straszliwej choroby. Widziała w szpitalu, jak zmarło na nią dwoje dzieci; ich cierpienia były trudne do opisania.

– Wyglądasz okropnie, zrobię nam herbaty – Laurette podniosła się. Pragnęła, by Mike był tutaj. Jego obecność zawsze była tak krępująca, a poza tym bratowa bardzo liczyła się z jego zdaniem.

Audra przysiadła na fotelu, myśląc intensywnie. W przeszłości zdobyła i zapamiętała wiele informacji medycznych. Teraz przed oczami zobaczyła stronicę skryptu i zdania, które były tam napisane: *Meningitis. Ostre zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych. Objawy: ostre bóle głowy i sztywność karku, wysoka gorączka, chlustające wymioty, światłowstręt, drgawki, czasem pojawia się wysypka; zamroczenie, zapaść. Rokowania: groźne, zwłaszcza u osesków.*

Raz jeszcze zerwała się i podeszła do łóżeczka. Oczy jej wpiły się w Alfiego w poszukiwaniu symptomów, które sobie przed chwilą przypomniała, ale nie dostrzegła niczego. Dziecko dalej było rozpalone, lecz nie widziała oznak kurczów ani drgawek, nie było sztywności karku i wysypki.

Wydała westchnienie ulgi. – Oczywiście, to nie zapalenie opon mózgowych – powiedziała do siebie. Alfie prawdopodobnie zaziębił się albo to, co gorsza, influenza. *Ale skąd taka wysoka gorączka?* – dręczył ją jakiś wewnętrzny niepokój.

Alfie zaczął płakać i to pozwoliło odsunąć od siebie dręczące myśli. Nachyliła się i wzięła dziecko na ręce.

– Cicho, skarbie, cicho, moje maleństwo – szeptała tuląc go czule do piersi.

Alfie natychmiast przestał płakać i wtulił się w nią. Audra zaczęła z nim chodzić po kuchni, szepcząc czułe słowa. Przepelniała ją taka miłość do dziecka, że myślała, iż pęknie jej serce.

Chodząc w tę i z powrotem przed kominkiem i starając się ze wszystkich sił pomóc maleńkiemu synkowi, Audra zaczęła się modlić. *Boże, proszę cię, nie pozwól, by coś się stało memu dziecku. Chroń mego Alfiego, proszę, uzdrow go i miej go w swej opiece.* Powtarzała w milczeniu te słowa przez cały czas oczekiwania na przyjście doktora.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Alfie umarł.

Jego śmierć była tak nieoczekiwana, tak nagła, że nikt nie mógł w nią uwierzyć. W jednej chwili był zdrowym, pełnym sił dzieckiem, które gaworzyło i śmiało się głośno, a w drugiej – nie było go wśród żywych.

Tego fatalnego sobotniego popołudnia doktor Stalkley przyszedł natychmiast do domu przy Pot Lane, w ślad za Vincentem i Mikem, którzy tuż przed nim wrócili z meczu.

Po zbadaniu Alfiego ani doktor, ani Mike nie wierzyli, że to zapalenie opon mózgowych. Pomimo charakterystycznych wymiotów, które się zresztą już nie powtórzyły, jedynym objawem choroby była wysoka temperatura.

– Niewiele, by wyciągać wnioski – powiedział doktor Stalkley. – Przyjadę jutro rano, a tymczasem ty, Audro, miej go na oku.

Biorąc do ręki swoją lekarską walizeczkę, stary Szkot zwrócił się do Maggie mówiąc:

– Teraz, dziewczynko, chodź ze mną, to dam ci trochę lekarstwa dla tego malucha.

Ponieważ doktor i Mike nie wyrażali zbyt dużych obaw i mieli nadzieję, że Alfiemu się poprawi, Audra i Vincent też nabrali otuchy. Dokładnie przestrzegając zaleceń lekarza, przyglądali się Alfiemu przez cały weekend i nie zostawiali go samego ani na chwilę.

Audra często obmywała go, by ulżyć rozgorączkowanemu ciałku, podawała zapisane przez doktora lekarstwo i w ogóle zajmowała się dzieckiem zgodnie ze swym profesjonalnym doświadczeniem. Przez cały ten czas niemal nie zmrużyła oka.

Nie czuła zresztą potrzeby snu. Jediną rzeczą, jaka dla niej i dla Vincenta coś znaczyła, było zdrowie Alfiego. W niedzielę wieczorem cała rodzina Crowtherów była pewna, że Alfie w tej tajemniczej chorobie najgorsze ma już za sobą. Z oczu znikł mu ten szklisty połysk, a z policzków ustąpiły purpurowe rumieńce.

W poniedziałek rano, tuż przed południem, dziecku się pogorszyło. Obawy Audry potwierdziły się.

Alfi dostał drgawek, a na mlecznobiałej skórze pojawiły się małe, czerwone kropki. Starając się opanować strach o życie dziecka, Audra owinęła go w kilka ciepłych koczków i pobiegła z nim do lekarza.

Doktor Stalkley rzucił na Alfiego jedno spojrzenie i pokręcił głową. Natychmiast wyprawił Audrę do szpitala St. Mary, który znajdował się w pobliżu. Obiecał zajrzeć do Alfiego, jak tylko skończy przyjmować pacjentów w swoim gabinecie.

Czekając w szpitalu na załatwienie formalności, Audra tuliła dziecko do siebie i walczyła ze łzami. Przerazała ją myśl, że będzie go musiała tu zostawić. Gwałtownie zapragnęła być pielęgniarką w szpitalu St. Mary i móc opiekować się ukochanym dzieckiem.

Cztery dni później Alfie wrócił do nich w małej, sosnowej trumien-
ce.

Przybity rozpaczą Vincent chodził po domu, zamykając i zasuwając
zastony, aby światło dzienne nie dochodziło do wnętrza, aż do pogrze-
bu. Taki był zwyczaj tu, na północy kraju.

Potem poszedł pocieszyć żonę. Ale nikt nie był w stanie pocieszyć
Audry.

– Dlaczego nie mogłam go wyleczyć? – zapytywała Vincenta, sto-
jąc przy otwartej trumienice oślepiona płynącymi łzami. – Siostra Len-
nox mówiła, że jestem wyjątkową pielęgniarką – łkała. – Dlaczego
więc nie mogłam pomóc swemu dziecku?

– Audro... Audro, kochanie, nikt nie mógł pomóc naszemu bied-
nemu Alfiemu. To nie twoja wina, to niczyja wina. Ta choroba prawie
zawsze kończy się dla małych dzieci fatalnie. Mike mi to powiedział –
mówił spokojnie Vincent. – I ty to wiesz również, kochanie.

– Powinnam zatrzymać go w domu i sama pielęgnować, a nie zo-
stawić pośród obcych – łkała Audra wczepiona kurczowo w ramię
Vincenta. – Gdybym nie oddała Alfiego do szpitala, żyłby. Wiem, że
by żył!

– Nie, kochanie. To nieprawda – mówił łagodnie Vincent, tuląc ją
do siebie i odgarniając włosy z zapłakanej twarzy. – Oni zrobili
wszystko, co w ich mocy. Walczyli o życie Alfiego. Tak po prostu mu-
siało być, kochana moja.

Vincent wyprowadził ją z bawialni, gdzie stała trumienka, i zapro-
wadził do kuchni. Trzymał ją w ramionach i próbował pocieszać, a
potem oboje płakali nad utraconym dzieckiem.

Eliza i Alfred przyszli pożegnać zmarłego wnuka, dzieląc ból i smu-
tek syna i synowej.

Alfred, starszy eksksierżant, twardy i doświadczony żołnierz załamał
się i szlochał przy trumienice. Głęboko poruszył go widok Alfiego, jego
imiennika. Uroda dziecka w tym śmiertelnym bezruchu, zdawało się,
osiągnęła doskonałość i wyjątkową ekspresję. Alfie wyglądał, jakby
tylko spał, ale gdy Alfred pochylił się i pocałował delikatny policzek,

lodowate zimno uderzyło go w serce jak nóż. Kurczowo chwycił Elizę za rękę. Żona próbowała go pocieszyć, chociaż jej własny ból był ogromny.

Kiedy po chwili dołączyli w kuchni do Audry i Vincenta, Alfred rozejrzał się dokoła, jakby w oszołomieniu, i spytał drżącym głosem:

– *Dlaczego?* Dlaczego zabrano nam Alfiego? Był tylko dzieckiem, był czystą radością... Powiedzcie mi, dlaczego został nam zabrany w tak okrutny sposób?

Nikt jednak nie mógł odpowiedzieć Alfredowi na to pytanie.

Rozdział dwudziesty drugi

Był to jeden z tych złotych dni końca października, które zdarzają się często jesienią, tuż przed pierwszymi podmuchami zimy. Niebo było w kolorze przetacznika i lśniło w słońcu; wiał lekki, prawie ciepły wietrzyk.

Co za wspaniały dzień – pomyślał Vincent, wznosząc oczy ku górze, przejęty promiennością pogody. – Mam nadzieję, że to potrwa do weekendu. Skręciwszy w Town Street, przyśpieszył kroku, gdy usłyszał, że zegar na kościele wybija trzecią. Szedł w dół po Ridge Road w kierunku swojej firmy i nie chciał się spóźnić na spotkanie z szefem, panem Fredem Varleyem.

Był czwartek, prawie koniec tygodnia, który okazał się wyjątkowo ciężki. Vincent bezlitośnie cisnął swoich podwładnych, aby wykończyli magazyny dla tkalni Pinfolda. Jutro w południe praca zostanie ukończona. To na pewno z tego powodu pan Varley chce się z nim zobaczyć, pogratulować mu i, być może, dać też jakąś premię dla niego i robotników.

Na myśl o dodatkowych pieniądzech Vincent zaczął pogwizdywać radośnie. Dotknął daszka czapki, uśmiechnął się i uklonił zonie

wikarego, którą minął przy plebanii, a potem przeszedł przez ulicę. Po chwili wszedł do biura firmy i przywitał się z Maureen, sekretarką pana Varleya.

– Cześć, kochasiu – powiedział, zdejmując czapkę z szerokim uśmiechem. – Pan Varley wezwał mnie do siebie.

– Dzień dobry, Vincencie – odpowiedziała Maureen i wskazała głową na drzwi. – Możesz wejść, czeka na ciebie.

Varley rozmawiał przez telefon, ale gdy Vincent wszedł do pokoju, natychmiast pożegnał się i odwiesił słuchawkę.

– A, jesteś, chłopcze.

Vincent usiadł na krześle zwróconym w stronę biurka.

– Robota dla Pinfolda będzie skończona jutro w południe – oświadczył i ciągnął dalej: – Chłopcy dobrze pracowali, panie Varley, i wiem, że będzie pan zadowolony z tego magazynu. To kawał dobrej roboty.

– Tak, jestem pewien, że tak jest, chłopcze. Ty umiesz pracować. Jesteś najlepszym majstrem, jakiego miałem. – Fred Varley odetchnął. – To właśnie dlatego tak mi trudno ci to powiedzieć... bo mam dla ciebie złe nowiny, Vincencie, niestety, tak to jest. Muszę zamknąć firmę.

Vincent wpatrywał się w niego, przez chwilę nic nie rozumiejąc.

– Zamknąć? – powiedział, unosząc w zdumieniu brwi. – Zamknąć firmę Varleya?

– Tak, chłopcze. I to od jutra.

– O mój Boże! – Vincent był wstrząśnięty. – Nie rozumiem... – zaczął, ale zaraz przerwał, gdy dotarło do niego znaczenie słów szefa.

– Będę musiał ogłosić upadek firmy, nie mam wyboru – powiedział Varley.

– Ale dlaczego? Przez ostatnie miesiące mieliśmy pełne ręce roboty?...

– Wiem, wiem, chłopcze – przerwał pan Varley. – Niektórzy faceci jednak do tej pory mi nie zapłacili i cholera wie, kiedy to zrobią. Działalem od dawna na kredyt i jestem w banku mocno zadłużony. Nie śmiem już więcej pożyczać, a zresztą nie wiem, czy jeszcze by mi coś

dali. Jestem po uszy obłożony zastawami hipotecznymi – dokończył, smutnie kiwając głową. – Nie mam innego wyjścia, muszę ograniczyć swoje straty. Jedyne sposoby, żeby to zrobić, to... zamknąć firmę.

– Rozumiem, o co panu chodzi – wymamrotał Vincent i spojrzął zatroskanym wzrokiem na swego pracodawcę. Myślał nie tylko o sobie, ale i o reszcie robotników, która jutro zostanie bez pracy. Wszystko to byli żonaci mężczyźni, z wyjątkiem hydraulika, Billego Johnsona.

– Oczywiście, sam powiem o tym chłopcom – stwierdził Varley. – Jutro. Nigdy nie złożyłbym na ciebie takiego obowiązku, nie uciekam od odpowiedzialności. Będę też mógł wam zapłacić za ostatni tydzień, ale to wszystko. Żadnych premii, żadnej odpłaty: niczego, bardzo mi przykro, ale tak to wygląda. Kiedy jutro otrzymacie swoje karty pracy, radzę iść i od razu zarejestrować się w Wydziale Pomocy Społecznej. Zaczynajcie pobierać zasiłek tak szybko, jak się da.

Vincent skinął głową ze zrozumieniem.

– Liczę, że uda mi się jakoś wyczyścić cały ten bałagan – zauważył Varley wstając i najwyraźniej chcąc zakończyć tę trudną rozmowę. – Sprawy w kraju muszą się poprawić. Kryzys nie może trwać wiecznie. Mam zamiar zacząć od początku i chyba w niezbyt dalekiej przyszłości. Chcę przez to powiedzieć, że kiedy znowu otworzę firmę, to będzie tam dla ciebie praca, Vincencie. Mam nadzieję, że wrócisz do mnie.

Vincent podniósł się z krzesła.

– Dziękuję, panie Varley. Wrócę. Był pan zawsze wobec mnie bardzo uczciwy i fair. Żałuję, że pański interes upadł, naprawdę bardzo żałuję.

– Tak, chłopcze, ja też żałuję. I podwójnie żal mi ciebie i całej reszty moich ludzi. Wiem, jak wam wszystkim będzie teraz ciężko.

– Zobaczymy się jutro, panie Varley. Do widzenia.

– Do zobaczenia.

Rozdział dwudziesty trzeci

Vincent Crowther siedział na boisku za parkiem, przy Moorfield Road i palił papierosa.

Teraz już nie zwracał uwagi na piękne, jesienne popołudnie, zniknął też jego zawadiacki nastrój. Martwił się, jak i gdzie zarobić na utrzymanie siebie i Audry. Dopiero przedwczoraj czytał w gazecie, że w Anglii bez pracy pozostaje milion dziewięćset tysięcy ludzi. – Plus jeden – mruknął do siebie – bo ja do nich dzisiaj się przyłączyłem. Myśl o życiu z zasiłku przerażała go. Ale *nie miał* innego wyjścia, dopóki nie znajdzie nowej pracy.

Kiedy opuszczał biuro Varleya, miał wrażenie, że dostał potężny cios w żołądek i uczucie to ciągle jeszcze mu towarzyszyło. Przywędrował do tego zakątka parku jakieś dwadzieścia minut temu w nadziei, że uporządkuje skołatane myśli, nim wróci do domu. Był przekonany o sprycie Freda Varleya, o jego zmyśle do interesów i nigdy nie sądził, że firma może zbankrutować, że właśnie Fred Varley pójdzie na dno.

To świadczy o tym – pomyślał – że nigdy nie wie się o ludziach wszystkiego.

Vincent nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie zacząć szukać pracy, z tej prostej przyczyny, że wolnych miejsc nigdzie nie było. Nie wiedział też, w jaki sposób ma tę okropną nowinę powiedzieć Audrze.

Cóż to będzie dla niej za cios – myślał – i to właśnie wtedy, gdy dopiero stanęła na nogi po śmierci Alfiego.

Jęknął głośno, a potem zaciągnął się głęboko papierosem. Nagle odsunął rękę od ust, spojrział na papierosa i zadał sobie pytanie, jak długo jeszcze będzie sobie mógł pozwolić na woodbinesy. I kufel piwa. I zakłady na wyścigach w sobotnie popołudnia. Ogarnęło go poczucie klęski. Przyszłość rysowała się diabelnie czarno.

Potał ręką czoło i przymknął powieki, myśląc o pieniądzach, które miał w Yorkshire Penny Bank. Nie było tego dużo. Te oszczędności pozwolą im przeżyć najwyżej miesiąc. Wszystko, czego mógł

oczekiwać z zasiłku dla bezrobotnych, to był funt tygodniowo na nich oboje, może jeden, dwa szylingi więcej. Będzie musiał zrobić absolutnie wszystko, aby znaleźć pracę – jakkolwiek i gdziekolwiek. Poszuka również czegoś w okolicach Leeds – w Bramley, Stanningley i Wortley, a nawet dalej – w Pudsey i Farsley.

– Proszę, proszę, kogo ja widzę! Czy to przypadkiem nie dżentelmen bez obowiązków? Chciałbym i ja mieć czas na wysiadywanie w parku popołudniami, a w dodatku w środku tygodnia!

Vincent rozpoznał głos swego przyjaciela i szwagra, otworzył oczy i zobaczył, że Mike Lesley pochyla nad nim swą otwartą, szczerą twarz.

– Tak, to właśnie to, czym jestem, Mike – powiedział zmuszając się do uśmiechu. – Dżentelmen bez obowiązków... tak mniej więcej od pół godziny. Jak widzisz, dołączyłem do szeregów bezrobotnych, jak zresztą cała reszta moich współpracowników i połowa tego parszywego kraju.

Mike ciężko opadł na ławkę i spojrzał uważnie na przyjaciela.

– Wiem, że nie żartujesz, Vince, wiem, że nie mógłbyś żartować z czegoś tak poważnego, ale co się stało? Myślałem, że Varley to jedna z tych firm budowlanych, którym się dobrze wiedzie.

– Ja też tak myślałem, inni również. Ale stary Varley właśnie przed pół godziną podzielił się ze mną nowiną, że firma bankrutuje.

Mike potrząsnął ze smutkiem głową, a na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju.

– Sytuacja staje się okropna. Słyszałem o trzech innych spółkach, które padły w ostatnim miesiącu i Bóg jeden wie, kiedy to się skończy. Ale posłuchaj, Vincencie, jesteś fachowcem, więc na pewno uda ci się coś znaleźć, stosunkowo szybko...

– Cholernie w to wątpię! – przerwał mu Vincent. – Nawet pan Varley widzi to czarno. Poradził, żebym się od razu zarejestrował w biurze pośrednictwa pracy.

Mike milczał. Otulił się szczelniej płaszczem, orzechowe oczy wyrażały z troską sprawami najbliższego przyjaciela. Zastanawiał się, czy mógłby mu jakoś pomóc. Ale wątpił w to.

Między obu młodymi mężczyznami zapanowało milczenie. W ciągu ostatnich paru lat bardzo się do siebie zbliżyli. Mike był młodszy od Vincenta, ale miał większy dar analizowania ludzkich charakterów. Jeśli ktoś naprawdę rozumiał tak niezwykle złożony charakter, jaki miał Vincent Crowther, to był to Mike Lesley.

– W jaki sposób mam powiedzieć Audrze, że straciłem pracę? – spytał nagle Vincent.

– Powiesz jej w ten sam sposób, w jaki powiedziałeś mnie, bez owijania w bawełnę – odparł Mike.

– Najłagodniej mówiąc, ona będzie roztrzęsiona... nie mógłbym znieść tego, gdyby znowu wpadła w tę straszliwą depresję. Kiedy myślałem o wiosnie i o tym, jak ciężko chorowała po śmierci Alfiego, to ciarki mnie przechodzą, naprawdę, Mike. Audra była taka dziwna, traktowała mnie jak obcego człowieka.

– Tak, było z nią bardzo źle – potwierdził Mike – ale wiele kobiet reaguje w ten sposób na stratę dziecka, zwłaszcza gdy jest to pierwsze dziecko. Niektóre z nich na jakiś czas wprost tracą zmysły. Dla Audry strata ta była tym bardziej okrutnym ciosem, bo już przecież tyle w życiu utraciła.

– Tak, biedna Audra.

– Słuchaj, Vincencie. Ja jednak stawiam na twoją żonę. Ona ma więcej siły i charakteru w jednym palcu, niż my obaj razem wzięci. Jest z tych, co walczą; ma w sobie yorkshirski hart i determinację. Jestem przekonany, że twoja żona przyjmie tę nowinę spokojnie.

– Obyś miał rację, Mike. – Vincent podniósł się z ławki. – Cóż, nie ma sensu dłużej tego odkładać. Lepiej pójdę do domu i powiem jej o wszystkim.

– Myślę, że tak właśnie powinieneś zrobić. – Mike też wstał i poszli razem na przełaj przez boisko. – Czy dalej masz zamiar pójść w sobotę wieczorem do Varieties? – zapytał.

– Pewnie, że mam! – zawołał Vincent. – Nie widzę powodu, byśmy mieli zmieniać nasze plany. Przecież Audra i Laurette bardzo na to czekają. Nie chciałbym ich zawieść.

– Ani ja – potwierdził Mike.

Już w tej chwili, gdy wchodził do domu, Vincent wiedział, że wydarzyło się coś szczególnego.

Gramofon stojący w bawialni był nastawiony i dom napełniały dźwięki pieśni z *Mikado* Gilberta i Sullivana. Wazon z żółtymi i brązowymi jesiennymi chryzantemami stał pośrodku stołu, który był nakryty do kolacji koronkowym obrusem i zastawiony najlepszą porcelaną. Vincent zastanowił się, czy czasem nie będą mieli jakiegoś gościa, ale na stole stały tylko dwa nakrycia. Zauważył również, coraz bardziej zaintrygowany, że na kredensie stoi butelka czerwonego wina, i poczuł zapach. Ślinka mu pociekła, gdy rozpoznał aromat swego ulubionego dania – duszonego jagnięcia – dochodzący z uchylonych drzwiczek piecyka.

Teraz już ciekawość paliła go, wiedział bowiem, że oczekuje go jakaś niespodzianka.

Zdażył tylko zdjąć płaszcz i powiesić go do szafy, gdy drzwi od strony schodów otworzyły się i do kuchni weszła Audra. Miała na sobie ładną niebieską bluzkę i ciemną spódniczkę, a na jej twarzy jaśniał taki uśmiech, jakiego nie widział u niej od dawna.

– Ładnie wyglądasz, najmilsza – powiedział, przyglądając się jej z uznaniem, przymrużywszy zielone oczy z lekkim uśmiechem. Zatoczył ręką dokoła i zapytał: – A co świętujemy? Co to za gratka nam się trafiła?

– Właściwie to można mówić o dwóch... – nie dokończyła zdania i podbiegła, by go pocałować w policzek. Potem odsunęła się od niego, obdarzyła dziwnym uśmiechem i ująwszy za ramię, poprowadziła do kominka, po czym wzięła leżącą tam kopertę i pomachała mu nią przed oczami. – To pierwsza niespodzianka! List od firmy adwokackiej w Ripon, wiesz, od tej, która w czerwcu zawiadomiła mnie o śmierci ciotecznej babki Frances Raynolds oraz o tym, że w jej testamencie jest dla mnie jakiś zapis. Ty myślałeś, że to będzie kolejna sztuka srebra

albo dzbanek do herbaty, który podziwiałam, ale okazuje się, że żadna z tych rzeczy. Vincencie, to jest *pięćdziesiąt funtów*. Czy to nie piękny gest z jej strony?

– Tak kochanie, bardzo piękny – odparł z uśmiechem, myśląc, że ten skromny spadek nie mógł przyjść bardziej w porę.

Właśnie miał jej to powiedzieć, dodać, że właśnie stracił pracę, by mieć to już za sobą, gdy mu w tym przeszkodziła. Rzuciła mu się w ramiona i uścisnęła tak gwałtownie, że osłupiał. Ale oddał uścisk i spojrział w uniesioną do góry twarz.

Zobaczył, że się uśmiecha i że niebieskie oczy błyszczą bardziej niż zwykle. Jego żona cała promieniowała jakąś jasnością.

– Audro, co się dzieje? Wyglądasz jak kot, który zjadł kanarka. Jesteś tak samo dumna z siebie. Tak właśnie wyglądasz, dziewczyno!

– Tak, jestem dumna z siebie, Vincencie. Byłam u doktora Stalkleya dziś rano i on potwierdził moje spostrzeżenia. Jestem w drugim miesiącu ciąży; będziemy mieli dziecko, Vincencie... w maju!

Vincetowi zdawało się, że serce z radości wykonało w nim małe salto. Modlił się przecież o to, by znowu mogła zająć w ciążę. Drugie dziecko zapełniłoby tę straszną pustkę, jaką zostawiła po sobie śmierć Alfiego. Jego cierpienie i ból były równie silne jak jej. Do tej pory myślał o zmarłym synku z głębokim żalem.

Vincent przyciągnął ją do siebie, przycisnął jej głowę do swojej piersi i zaczął gładzić po lśniących włosach.

– Nie mogłaś mi powiedzieć nic lepszego, kochanie – rzekł wreszcie. – Od miesiący czekałem na tę nowinę, wierz mi. Nic dziwnego, że cię rozpiera duma... mnie też.

– Tak myślałam, Vincencie.

Jego odpowiedzią był mocniejszy uścisk. Postanowił też nie psuć tego wyjątkowego wieczoru swoją złą nowiną. O bankructwie Varleya powie jej jutro. Tak będzie lepiej.

Nieoczekiwanie i ku swemu zdziwieniu poczuł nagle przyptyw optymizmu i wiary, że znajdzie pracę. Dziecko, to był szczęśliwy omen.

Rozdział dwudziesty czwarty

– Audro, co za śliczna dziewczynka! – zawołała Gwen, pochylając promieniejącą radością twarz nad szpitalnym łóżkiem, na którym leżała Audra z nowo narodzonym dzieckiem w ramionach. – Jest po prostu doskonałością.

– Dziękuję ci, Gwen. Ja też tak myślę, ale jestem jej matką, więc to chyba naturalne. – Audra uśmiechnęła się do przyjaciółki, która nieoczekiwanie zjawiła się z wizytą w szpitalu St. Mary, a potem spojrzała na nocną szafkę. Leżał tam wspaniały, przyniesiony przez Gwen bukiet. – Dzięki za kwiaty, są prześliczne.

– Zawsze lubiłaś żółte róże, kochanie. A tu jest jeszcze to... – Gwen położyła na łóżku paczuszkę. – To dla... – przerwała, spojrzała na dziecko i roześmiała się. – Jeszcze mi nie powiedziałaś, jak ma na imię!

– O Boże, ależ jestem roztrzępana. Mamy zamiar nazwać ją Christina. Podoba ci się?

– Och, tak, to takie ładne imię – Gwen usadowiła się na stojącym przy łóżku krześle i pochylając się, dotknęła ręką prezentu. – Czy mam go otworzyć? – spytała.

– Zrób to, proszę – zaśmiała się Audra.

– Mam nadzieję, że ci się spodoba – powiedziała cicho Gwen, rozwiązując wstążkę i zdejmując wieczko eleganckiego pudełka. Wyjęła z niego sukieneczkę w różowo-łososiowym kolorze z haftem w ciemniejszym odcieniu na karczku i podniosła ją w górę, by Audra mogła zobaczyć. – To czysty jedwab i ręczny haft – wyjaśniła, patrząc na przyjaciółkę w oczekiwaniu na opinię.

– Ach, Gwen, to jest cudowne i ogromnie mi się podoba! Christina będzie w tym ślicznie wyglądać. Jesteś jednak strasznie *rozrzutna* –

Audra wyciągnęła rękę i uściśnięła dłoń Gwen, która się rozpromieniła.

Gwen pochyliwszy się do przodu uważnie przyjrzała się Audrze:

– Muszę powiedzieć, że wyglądasz dobrze. Na pewno lepiej niż po urodzeniu Alfiego... – głos jej zadrżał, gdy wymówiła to imię, i zamilkła, a na twarzy pojawił się cień smutku. – Przepraszam cię, nie chciałam...

– Nie bądź głuptasem, Gwenny. Nie możemy uniknąć tego, by od czasu do czasu nie wspomnieć o Alfim. To już mnie nie niepokoi, daję słowo – Audra uśmiechnęła się lekko. – Ja już przyszedłam do siebie po tym nieszczęściu: mój ból osłabł. Nie cierpię już tak jak dawniej. Ale nigdy nie zapomnę Alfiego i zawsze będę go kochać. Teraz jednak mam Christinę – zwróciła wzrok ku leżącemu w jej ramionach dziecku i uśmiechnęła się do niego, a potem spojrzała na Gwen. – Czuję się wspaniale. To był lekki poród, tak samo jak i ciąża. To dziwne, prawda, że tak źle się czułam przy Alfim, a zupełnie nic nie odczuwałam przy Christinie.

Gwen skinęła starannie ufryzowaną głową.

– Tak, to się często zdarza. – Spojrzała z roztargnieniem w okno i wyraz smutku pojawił się na jej twarzy. – Masz szczęście... ja tak bym chciała zająć w ciążę...

– Ależ na pewno zajdziesz, musisz tylko cierpliwie poczekać.

– *Czekać!* – Gwen roześmiała się cicho. – Mamy już tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku. Jestem mężatką dokładnie dwadzieścia pięć miesięcy. – Wzruszyła ramionami i dodała: – Ale Geoffrey mówi, że zbyt się niepokoję, że jestem za bardzo napięta i że muszę się rozluźnić wewnętrznie, aby mieć dziecko.

– Być może on ma rację. W końcu jest lekarzem. A jak on się miewa?

– Dziękuję, zupełnie dobrze. – Gwen zerwała się nagle. – Pielęgniarki na tym oddziale niedbale wykonują swoje obowiązki. Te różę całkiem zwiędną, nim któraś, z nich zdecyduje się przynieść wazon z

wodą. – Sięgnęła po bukiet i dorzuciła: – Wstawię je do wody, zaraz wrócę.

Audra podążyła za nią wzrokiem. Gwen bardzo się zmieniła przez te dwa lata. Stało się, jak przypuszczała. On ją zmienił... Zmienił jej sposób ubierania się, mówienia i poruszania, a może nawet zmienił jej sposób myślenia. Gwen zmieniła się nawet od ostatniego spotkania; dziś było w jej zachowaniu coś dziwnego, coś, czego Audra nie potrafiła określić. Ostatnimi czasy widywały się rzadko, choć zamążpójście nie zniszczyło ich przyjaźni. Dlatego też najmniejsze zmiany w Gwen Audra – doskonały obserwator – dostrzegała natychmiast. Tym razem chodziło o ubiór. Czy to był jej styl? – pomyślała. Czarna płócienna sukienka z żakiecikiem pozbawiona jakichkolwiek ozdób wydawała się wyjątkowo surowa i poważna. Czerń pozbawiała twarz Gwen życia. Nie, to na pewno nie był strój wybrany przez nią.

Zaintrygowana spojrzała na Gwen, która niosła wazon z kwiatami. Gdy się zbliżyła, nagle pojęła, co tak dziwnego było w przyjaciółce. *W jej oczach zgasł blask.*

Nie jest już z nim szczęśliwa – pomyślała Audra – jeśli w ogóle kiedyś była. To dlatego nie chce o nim mówić. Och, biedna Gwenny, tyle się po tym małżeństwie spodziewała, wyobrażała sobie takie wspiane życie z Geoffreyem. A teraz, idę o zakład, że przeżywa piekło.

– Dziękuję – szepnęła, gdy Gwen postawiła wazon na nocnej szafce. Znowu się jej przyjrzała spod rzęs. Tak, w niebieskich oczach czaił się smutek, a kąciki ust jakoś dziwnie opadły.

Gwen przerwała te rozmyślenia.

– Chcę, żebyś wiedziała, iż powiedziałam tej młodej pielęgniarcie parę ostrych słów.

– Wyobrażam sobie... widzisz, jak tylko wchodzisz na oddział, od razu masz ochotę wziąć wszystko w swoje ręce. Trudno jest się pozbyć starych nawyków, czyż nie tak?

– Tak, chyba tak – Gwen usiadła i ciągnęła dalej: – Kiedy już mowa o pielęgniarstwie, to czy wrócisz do pracy u tej kobiety z Towers, gdy wyjdiesz ze szpitala?

– Mówisz o pani Jarvis... tak, *obiecałam* jej i nie mogę zawieść. Ona jest naprawdę chora, a poza tym potrzebujemy tych pieniędzy.

Błysk współczucia przemknął po twarzy Gwen.

– To musi być okropne, kochanie, że Vincent jest ciągle bez pracy.

– Jemu jest z tym jeszcze gorzej, wierz mi – powiedziała miękko Audra, wpatrując się uważnie w Gwen, gdyż dosłyszała w jej głosie krytyczną nutę. – On strasznie przeżywa to bezrobocie. Wiesz dobrze, że Vincent nie jest leniem, ani obibokiem i...

– Ależ ja nie miałam niczego takiego na myśli! – zawołała Gwen lekko się rumieniąc.

Audra nie zwróciła na to uwagi i spokojnie ciągnęła dalej:

– Dziś po południu znowu wyszedł na obchód. Vincent ma wielkie poczucie odpowiedzialności i nie omija żadnej okazji w poszukiwaniu pracy.

– To go musi mocno dręczyć – szepnęła Gwen. – Mam na myśli to, że zawsze tak się sprzeciwiał, kiedy chciałaś pracować.

– Nie myśl, że zmienił zdanie, jednakże teraz musi być tak, jak jest.

– Wiem o tym, kochanie. Ostatnio widziałyśmy się w marcu. Wtedy powiedziałaś mi, że twój brat William zaproponował, żebyście oboje z Vincentem przyjechali do niego do Australii. Czy z tego nic nie wyszło?

– Nie, ja zresztą nie sądziłam, że się uda. Vincent mógł mówić o emigracji, ale nigdy by nie opuścił Anglii. Narzeka, oczywiście, na kryzys, na obecną sytuację i obrzuca rząd i polityków paskudnymi słowami, ale kocha ten kraj. Nie, on nie mógłby opuścić ojca, matki i reszty rodziny. Crowtherowie są sobie bardzo bliscy – dodała. – Jest i inny powód: ja sama nie mam chęci wyjechać. Pewnie, że pragnę zobaczyć znowu Williama i Fredericka, ale nie sądzę, żebym chciała zamieszkać w Australii na stałe. Teraz już nie. To tak daleko.

Gwen skrzywiła się.

– Tak, wiem, co masz na myśli. Australia wydaje się być na końcu świata. – Pomachała ręką przed sobą i wykrzyknęła: – Ależ tu się zrobiło gorąco! Jak na maj jest bardzo ciepło, prawda? – zdjęła żakiet i powiesiła go na oparciu krzesła. – Wspominałaś, że Frederick się zaręczył. Czy już są po ślubie?

Audra nic nie odpowiedziała.

Gwen spojrzała na nią z ciekawością.

– Co się stało? Dlaczego tak mi się przyglądasz?

– Co, u licha, zrobiłaś z tą ręką? – spytała Audra, nie mogąc odebrać oczu od Gwen, która miała na sobie sukienkę bez rękawów. Audra zobaczyła opuchnięte przedramię przyjaciółki, całe w brązowych siniakach.

Gwen odpowiedziała z zakłopotanym uśmiechem:

– Prawda, że strasznie wygląda? Spadłam przedwczoraj ze schodków do piwnicy. Geoffrey był wściekły, że jestem taką niezdara. Szliśmy akurat na dancing i nie mogłam włożyć nowej sukni z kloszowymi rękawami, a tyle za nią zapłaciłam w dziale modeli u Harte'a. Geoffrey mówił, że mogłam się zabić i złościł się, bo, nie wiadomo po co, kręciłam się koło wejścia do piwnicy. – Roześmiała się nerwowo.

– Wcale się nie dziwię, że był zły. Naprawdę mogłaś się zabić. Pamiętam, jakie strasne wydały mi się te schodki, gdy po raz pierwszy oglądałam wasz dom. Musisz być bardziej ostrożna – ostrzegła Audra.

– Tak, wiem o tym – Gwen wstała nagle i ze zniecierpliwieniem podeszła do okna. Po chwili jakby zeszywniała i odwróciła się do Audry: – Mike i Laurette idą tu z Vincentem. Lepiej już sobie pójść.

– Ale oni z przyjemnością spotkają się z tobą.

Gwen zaśmiała się jakoś niewyraźnie, a potem zauważyła:

– Mówiąc prawdę, nie chcę się spotkać z Mikem.

– Och, nie bądź głupia. Teraz, kiedy oboje nie jesteście już wolni, nie ma powodów, abyś się czuła zakłopotana.

– Wiem o tym, lecz to jest twoja rodzina i ja będę przeszkadzać. Poza tym naprawdę powinnam wrócić do Headingley. Muszę przygotować jeszcze różne rzeczy... Mamy dziś gości na kolacji, a moja pokojówka wymaga ciągłego nadzoru.

- Chciałabym, żebyś została.
- Gwen pokręciła przecząco głową i słabo się uśmiechnęła.
- Nie, muszę się zbierać. – Lekko dotknęła główki Christiny, pocałowała Audrę i powiedziała: – Bywaj, kochasiu.
- Wkrótce się znowu zobaczymy.
- Do widzenia, Gwenny – odparła Audra bardzo cicho, gdyż wiedziała, że dużo czasu upłynie, zanim ją ponownie zobaczy. – Dziękuję, że przyszedłeś mnie odwiedzić.
- Patrzyła, jak przyjaciółka spieszenie podąża korytarzem, i pomyślała: Och, miła moja, natkniesz się na Mike'a, akurat przy schodach wejściowych do szpitala.

- Jak się mają moje dziewczyny? – spytał Vincent, nachylając się, by pocałować Audrę i spojrzeć na córkę.
- Kwitnąco – odpowiedziała Audra z uśmiechem, rzucając mu szybkie spojrzenie. Z wyrazu twarzy domyśliła się, że nie znalazł żadnej pracy.
- Mama przysłała mały placek z owocami, spodziewa się, że będzie ci smakował – powiedziała Laurette i przywitała ją z wielką czułością.
- Na pewno jest pyszny, podziękuj jej ode mnie, Laurette.
- Vincent przysiadł na krawędzi łóżka i powiedział:
- Właśnie natknęliśmy się przy wejściu na Gwen, ale przemknęła obok nas, jakbyśmy byli zadżumieni.
- Śpieszyła się do domu – wyjaśniła mu Audra. – Wspominała coś o gościach na kolacji.
- Ja odniosłam wrażenie, że ona nie chciała rozmawiać z Mikem – odezwała się Laurette.
- Może masz i rację – rzekł Vincent. – Jestem przekonany, że było to uczucie odwzajemnione. No bo co on mógł powiedzieć do *niej!*
- A w ogóle to gdzie on jest? – zapytała Audra.
- Został, żeby obejrzeć pacjenta na innym oddziale, ale będzie tu za chwilę – oznajmiła Laurette, a potem zapytała: – Audro, czy mogę trochę potrzymać Christinę.
- Oczywiście, że możesz. Podejdź tu i weź ją.

Audra z przyjemnością zmieniała pozycję na łóżku i trochę się wyciągnęła. Przez kilka sekund wszyscy troje milczeli, a Audra obserwowała, jak Laurette kołysze dziecko i czule się do niego uśmiecha.

– Oboje z Vincentem zastanawialiśmy się, a właściwie mieliśmy nadzieję, że zechcesz być jej chrzestną matką, Laurette, Mike zaś chrzestnym ojcem – odezwała się nagle Audra.

– Och tak, bardzo bym chciała – zawołała Laurette podekscytowana. – Wiem, że i Mike ucieszy się z tego. – Zawahała się na sekundę i zapytała: – A kto będzie drugą chrzestną? Chyba Gwen, prawda?

– Nie, mam wrażenie, że to nie byłby dobry układ – odparła Audra patrząc na Vincenta. – A ty jak sądzisz?

– Ja też tak uważam i cieszę się, że zmieniłaś zdanie. – Uśmiechnął się, rozejrzał po sali i dodał: – A oto idzie Mike.

Mike skierował się wprost do Audry. Serdecznie ją ucałował i uściłkał.

– Nie ma potrzeby pytać, jak się czujesz – powiedział. – Jak na kobietę, która dwa dni temu urodziła dziecko, wyglądasz znakomicie... Przypuszczam, że wszystko jest w porządku? Nie było żadnych powikłań?

– Nie, żadnych.

Audra odwzajemniła uśmiech i pomyślała, że jest on najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała. Jego współczucie dla cierpiących ludzi odzwierciedlało się w łagodnych, jasnych oczach. Wiedziała też, że w przyszłości będzie dobrym i cenionym lekarzem. Sama jego obecność, głęboki, ciepły głos oraz troskliwość budziły zaufanie i były niezmiernie kojące.

Ta jego dobroć – pomyślała – to wspaniały dar. Nic dziwnego, że pacjenci przepadają za nim.

Audra uświadomiła sobie nagle, że Mike ciągle pochyla się nad nią, jakby czekając na jej dalsze słowa.

– Był tu wcześniej doktor Stalkley i powiedział, że za kilka dni będę mogła pójść do domu – poinformowała go.

– On, oczywiście, wie lepiej, ale nie śpiesz się zbyt – ostrzegł ją Mike, kierując się do żony. Położywszy rękę na ramieniu Laurette spojrział na dziecko i powiedział: – Będzie z niej śliczna dziewczyna.

– Mike, chcielibyśmy, żebyś był jej chrzestnym ojcem – powiedział Vincent. – Myślałem o naszej Olive, Audro. Czy ją akceptujesz?

– Doskonale... Tak, niech to zostanie tylko w rodzinie.

– Olive, tak jak oczywiście i my, bardzo poważnie będzie traktować swoje obowiązki matki chrzestnej – wtrąciła Laurette.

– Tak. Wiem – zgodził się Vincent – że wszyscy wywiążecie się doskonale ze swoich obowiązków. – Po czym podniósł się i podszedł do siostry wyciągając ramiona. – Czy mogę sobie pożyczyć na chwilę moją małą córeczkę, Laurette? Jeszcze jej dzisiaj nie trzymałem.

Laurette podała mu dziecko, a on stał i spoglądał na nie, układając je sobie wygodnie w zagłębieniu ramienia. Skóra maleństwa była gładka i czysta, a jej rysy wydały mu się ukształtowane zupełnie dobrze. Twarzyczka nie była ani czerwona, ani pomarszczona jak u Alfiego, gdy się urodził. Ogarnęło go uwielbienie i zachwyty, gdy tak przyglądał się małej Christinie, a serce przepełniła mu miłość.

– Od chwili kiedy dowiedziałem się, że Audra spodziewa się dziecka – odezwał się w końcu – poczułem, że jest ono dla nas szczęśliwym znakiem. I tak jest; moja córka wyrośnie na kogoś niezwyklego.

– Bardzo, bardzo niezwyklego – potwierdziła Audra – ja zaś ofiaruję jej gwiazdkę z nieba.

Wszyscy spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Zapadło pełne wyczekiwania milczenie; słowa Audry zdawały się wisieć w powietrzu.

Laurette uśmiechnęła się, a potem przygryzła wargę, nie mając pewności, czy właściwie zareagowała na to osobliwe oświadczenie.

Vincent z dzieckiem na ręku podszedł do okna i patrzył przez nie w milczeniu. Mike podążył za nim zaniepokojonym spojrzeniem.

Napięcie emanujące z postaci przyjaciela podpowiadało mu, że Vincen- ta rozgniewała wypowiedź Audry. Cóż, brzmiała ona co najmniej... zaborczo. Czy nie powinna powiedzieć: *my* ofiarujemy. Odchrząknąwszy lekko, Mike zdecydował przerwać kłopotliwą ciszę i zwrócił się do Audry:

- Wyraziłaś bardzo piękne pragnienie, moja droga – powiedział.
- Ależ ja traktuję to bardzo poważnie! – krzyknęła w odpowiedzi mocnym głosem.

Mike zawsze wiedział, że Audra posiada hart ducha i zdecydowanie, ale teraz dostrzegł w niej coś, czego przedtem nie zauważył. Zacięty wyraz twarzy odzwierciedlał jakiś zimny upór, a chabrowe oczy – wyraz nieprzejednania.

Mój Boże – pomyślał – ona rzeczywiście tak sądzi i uczyni to przedmiotem swojej krucjaty. Niech Bóg ma w swej opiece każdego, z Vincentem włącznie, kto jej się w tym sprzeciwi.

Rozdział dwudziesty piąty

I w ten sposób chęć podarowania Christinie gwiazdki z nieba stała się siłą napędową życia Audry Crowther.

Cel, o którym od tej chwili nieustannie myślała, do którego dążyła przez ponad dwadzieścia lat, skryształował się latem tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku.

Od razu po opuszczeniu szpitala Audra wróciła do pracy u pani Jarvis, którą rozpoczęła pielęgnować na cztery miesiące przed urodzeniem Christiny. Istotna była tu nie tylko obietnica powrotu, dana starszce, ale i pieniądze, których bardzo potrzebowała. Vincent bowiem otrzymywał tylko dwadzieścia pięć szylingów zasiłku, który teraz podwyższono o dwa szylingi tygodniowo. Utrzymać z tego trzy osoby było prawie niemożliwe.

Praca u pani Jarvis nie była ani ciężka, ani skomplikowana. Plusem było to, że chora mieszkała w Towers, a więc o kilka minut drogi od Pot Lane.

Audra jednak wolała pracę w szpitalu niż prywatne pielęgniarstwo. Po miesiącu zawiadomiła panią Jarvis, że będzie się starać o przyjęcie do szpitala St. Mary. Tak też zrobiła na początku lipca.

W listopadzie w szpitalu zwolniło się miejsce i Audra otrzymała pracę. Ku jej wielkiej radości przydzielono ją na salę dziecięcą.

Wiedziała, że otrzymała ten najbardziej ceniony przydział, dzięki staraniom przełożonej Lennox i wpływowi pani Bell, które podziały na zarządzającą szpitalem przełożoną Fox. Nie martwiło jej to jednak zupełnie. Najważniejsze było to, że otrzymała upragnioną posadę.

Wiosną tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku Audra już się zadomowiła w szpitalu i była zadowolona z pracy. Przełożona darczyła ją sympatią, a wśród lekarzy cieszyła się uznaniem. Wierzyła więc, że wkrótce będzie awansować. Awansu jednak nigdy nie traktowała w kategoriach prestiżu czy wywyższenia. Dla niej były to po prostu większe zarobki. Dlatego czekała nań i pragnęła go. Zaczył bowiem pieniądze dla Christiny... na jej ubranie, wykształcenie, przyszłość.

Chociaż obecnie nie miała możliwości odłożenia ani pensa, to zamierzała oszczędzać w najbliższych latach. Audra snuła dalekosiężne plany, gdyż wierzyła, że to pomaga w osiągnięciu sukcesu. Już w tej chwili miała pomysł na zarobienie dodatkowych pieniędzy. Postanowiła wcielić go w życie, gdy tylko dostatecznie umocni się jej pozycja w szpitalu. Zdecydowała, że zostanie krawcową i będzie szyć w czasie wolnym od pracy.

Pielęgnowanie chorych sprawiało jej wiele satysfakcji, oddawała się więc temu zajęciu z energią i entuzjazmem. Zjawiała się na sali zawsze uśmiechnięta i pełna życia.

Ale w domu sprawy nie układały się najlepiej. Między Audrą i Vincentem znowu zaczęły się nieporozumienia i to ich dziwne małżeństwo po raz drugi znalazło się na zakręcie.

Tym razem winę za to ponosiła przede wszystkim Audra. Cała jej uwaga skupiała się na Christinie, którą kochała z nienormalną wręcz gwałtownością, być może dlatego, że już przeżyła śmierć jednego dziecka.

Vincent również bardzo kochał małą, ale przeżywał swoje własne problemy, z którymi musiał się zmagać, a jako młody i pełen życia mężczyzna miał określone potrzeby i pragnienia. Chciał, aby jego stosunki z żoną były naturalne pod każdym względem. Niestety, Audra zajęła się wyłącznie Christiną i pracą; straciła przy tym wszelkie seksualne zainteresowanie Vincentem.

Kilka miesięcy wcześniej przestała z nim spać i to sprawiło mu przykrość. Przepęłniała go gorycz i frustracja z powodu swej pozycji bezrobotnego męża, zepchniętego do roli niańki. Fizyczna oziębłość Audry i odtrącenie go były początkiem narastania w nim totalnego rozgoryczenia.

Pewnej kwietniowej soboty, gdy Christina została ułożona do snu w pokoju na górze, zdecydował się porozmawiać z Audrą.

Odczekał, aż sprzątnęła ze stołu i umyła naczynia. Ale gdy tylko usiadła przy kominku, zabierając się do cerowania, wyłączył radio i usiadł naprzeciw niej.

– Chcę z tobą porozmawiać, Audro, i to bardzo poważnie – powiedział twardo, patrząc na nią przenikliwie.

– Och – krzyknęła, upuszczając cerowanie na kolana, nagle świadoma stanowczości jego tonu. Wyprostowała się i spojrzała na niego z uwagą.

– Mamy przed sobą bardzo poważne problemy, Audro. Nadszedł czas, aby otwarcie o tym pomówić – odezwał się Vincent. – Nie można dłużej udawać, że ich nie ma, tylko dlatego...

– Problemy? – wtrąciła, dziwnie mu się przyglądając. – Co przez to rozumiesz?

– No, moja droga, nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi. Nasz problem dotyczy łóżka, ot co. Ciągłe się ode mnie odwracasz. Czy przestałaś mnie kochać?

Jak zwykle, gdy mówił o seksie, na policzkach Audry pojawił się lekki rumieniec. Wykrzyknęła więc z jakimś oburzeniem:

– Ależ oczywiście, że cię kocham!
– Masz więc dziwny sposób okazywania mi tego. W porównaniu z tobą góra lodowa to wulkan.

– Och, Vincencie, jesteś niesprawiedliwy! Proszę cię, nie bądź taki. Zależy mi na tobie, kocham cię. Ale... widzisz... boję się znowu zająć w ciążę. Sam wiesz, tak zresztą jak i ja, że na drugie dziecko nie możemy sobie pozwolić. Już teraz pieniędzy ledwie starcza...

– To nie moja wina, że w tym cholernym kraju jest taki bałagan! – syknął przez zęby, przerywając i rzucając jej rozsierdzone spojrzenie. – Możesz obwiniać o to Ramseya Macdonalda i jego drański rząd! Ja nie jestem jedynym bezrobotnym. Jest nas już dwa miliony osiemset tysięcy. I nie tylko nie mamy pracy, jesteśmy także zdesperowani i poniżeni jako mężczyźni, gdyż musimy żyć z zasiłku...

– Źle mnie zrozumiałaś! Vincencie, ja przecież nie wskazywałam palcem, nigdy bym tego nie zrobiła. *Wiem*, że to nie twoja wina, wiem również, jak co dzień starasz się coś znaleźć. Jednakże gdybyśmy mieli drugie dziecko, to zaprzepaścimy szanse Christiny... nie sądzisz? Czy tego *nie widzisz*?

– O, tak, cholernie dobrze widzę to wszystko. Planujesz dla niej świetlaną przyszłość, a ona jeszcze nie ma roku. Czasem myśląc o tobie, Audro, zaczynam wątpić w twój rozsądek.

Zerwał się z krzesła, bo po prostu płonął z gniewu. Podszedł szybko do szafy, chwycił swoją marynarkę i zarzucił na siebie.

– Dokąd idziesz? – spytała zdumiona, że tak nieoczekiwanie przerwał tę ważną rozmowę, choć jednocześnie poczuła ulgę.

– Do matki.

– Oczywiście. Ona wyrazi ci współczucie, pokręci się koło ciebie i da ci trochę pieniędzy, jak zresztą zawsze, żebyś mógł pójść do pubu.

– Nie twój cholerny interes, co robi dla mnie moja matka – krzyknął rozżłoszczony. – Do tej pory nie prosiłem ciebie ani o jednego pensa i nigdy tego nie zrobię.

Audra nic nie odpowiedziała.

Wpadł szybko z domu, ale powstrzymał się od trzaśnięcia drzwiami. Nie chciał obudzić dziecka.

Kiedy dziesięć minut później Vincent szedł po Town Street, jego podniecenie zaczęło opadać. Mimo to nie usprawiedliwiał Audry ani nie mógł jej wybaczyć. Właściwie, to teraz miał do niej jeszcze większy żal niż poprzednio. Nie wiedział dokładnie dlaczego, ale dzisiaj jakoś szczególnie mocno zaszła mu za skórę.

Gdybym był bogaty i miał za żonę taką zimną i obojętną kobietę jak Audra – rozmyślał – to wziąłbym sobie kochankę: piękną, posłuszną i kochającą, a ja byłbym dla niej niezmiernie hojny. Na nieszczęście nie jestem bogaty, więc nie mogę sobie pozwolić na kochankę.

Nagle uderzyła go nowa myśl. *Mógł* sobie jednak pozwolić na Millicent Arnold, która nic nie będzie go kosztowała. Wystarczą dobre maniery, parę słodkich słówek i odrobina jego daru przekonywania. Millie nie była szczególnie piękna, ale miała miłą twarz i łagodny charakter. Najważniejsze jednak, że miała do niego słabość, i to od wielu lat.

Nie ma nic nad kobietę, która marzy o tobie od dawna – pomyślał. I nagle zmienił swoje plany.

Nie poszedł do matki ani też nie zatrzymał się w pubie Pod Białym Koniem, gdzie – jak wiedział – bracia, Jack i Bill, w oczekiwaniu na niego grali w strzałki.

Zamiast tego poszedł z wizytą do Millicent Arnold, młodej trzydziestoletniej i bezdzietnej wdowy, która – czego był zupełnie pewien – przyjmie go z otwartymi ramionami.

Poszedł spieszenie w górę Moorfield Road i niemal pędem przebiegł przez tereny sportowe, a później ścieżką prowadzącą do domu Millie. Teraz, gdy Ted nie żył od dwóch lat, mieszkała sama. Dom znajdował się na uboczu Armley i z tego Vincent był zadowolony. Jeśli mu się powiedzie i stanie się tu częstym gościem, to lepiej będzie, żeby go nikt nie widywał.

Po dłuższym pukaniu, na które nikt nie odpowiadał, odwrócił się wielce rozczarowany.

I wtedy drzwi otworzyły się szeroko, a na progu pojawiła się Millie, wołając:

– Ależ to Vincent! Co cię sprowadza w moje skromne progi w sobotni wieczór?

– Ach, nic takiego – odparł, patrząc z uśmiechem w jej ciepłe, aksamitne, brązowe oczy. – Akurat przechodziłem przez boisko, kiedy sobie przypomniałem, co mi powiedziałaś w zeszłym tygodniu, no, wiesz, kiedy wpadliśmy na siebie przy bibliotece. Powiedziałaś mi, że czujesz się coraz bardziej samotna i zniechęcona. I wiesz co, Millie? To samo jest ze mną...

– Vincencie, naprawdę?

Przytaknął i uśmiechnął się najbardziej czarująco, jak tylko potrafił, i oparł o klamkę, przyglądając się jej prowokująco. Nigdy dotąd nie zauważył, jaką seksowną ma figurę. Nagle zaczął się śmiać tak, jak nie śmiał się od lat, a jego zielone oczy błyszczały radością.

– Szedłem do pubu, żeby spotkać się z braćmi, kiedy pomyślałem o tobie, Millicent, o tym, jaka jesteś samotna i jaki samotny jestem ja. – Zamilkł na chwilę, a potem dodał: – Wpadło mi do głowy, że mogłoby ci się przydać trochę męskiego towarzystwa i że może byłabyś tak miła, by poczęstować spragnionego człowieka piwem.

Millicent z trudem przełknęła ślinę, nie wierząc takiemu uśmiechowi losu i temu, że naprawdę wstąpił ją odwiedzić. Od lat go pragnęła; tak dawno, jak sięgała pamięcią, nawet wtedy, kiedy żył Ted. Rozchyliła wilgotne usta, ale nic nie powiedziała. Po prostu wzięła go pod ramię i ostrożnie wprowadziła do środka.

– Może być kilka piw, jeśli zdołasz je wypić – odezwała się wreszcie, ocierając się o niego piersią i prowadząc przez hall. Nagle zatrzymała się, ścisnęła go za ramię i spojrzała w jego przystojną twarz zwróconą teraz ku niej. Powolny, leniwy uśmiech pojawił się na jej twarzy: – A może i jakaś kolacja, Vincencie? Chyba *zostaniesz* na kolacji, prawda?

– Pewnie – odparł wypinając dumnie pierś w poczuciu, że znowu jest mężczyzną.

Pewnym siebie gestem objął ramieniem jej szczupłą talię i poprowadził do bawialni. Kiedy przytuliła się do niego, wiedział, że o dzisiejszy wieczór nie musi się martwić.

Codzienne czynności Vincenta nie zmieniły się z powodu tego, że nawiązał romans z Millicent Arnold.

Był bardzo dyskretny.

Lubił Millie, z przyjemnością z nią przebywał, pławił się w jej uwielbieniu i z zadowoleniem przyjmował jej troskę o wszystkie swoje potrzeby. Oboje znajdowali wiele przyjemności i odprężenia, podczas długich godzin miłości w jej dużym i wygodnym łóżku.

Ale był to tylko fizyczny związek i nic więcej.

Oboje wiedzieli, że nie potrwa długo i po prostu zostawili sprawy ich własnemu biegowi. Zgodzili się też, że żadna ze stron nie będzie czynnie wyrzutów, gdy któreś z nich zdecyduje się ten romans skończyć.

Poza wszystkim Vincent był człowiekiem zbyt odpowiedzialnym, by zaniedbywać dziecko, które uwielbiał, lub też by zaprzestać poszukiwania pracy z powodu miłosnych igraszek. Bywał u Millie jedynie raz w tygodniu, był bowiem równie zdyscyplinowany, jak i ostrożny. Chodził tam więc tylko wieczorami.

Poza tym ciągnął swoje jarzmo tak jak dawniej. Przedpołudniami doglądał Christiny, około południa zawoził ją do swej matki, gdzie wraz z nią i Dannym jadł lunch. Zostawiał tam zwykle Christinę na resztę dnia i wracał po nią około czwartej.

Niemal każde popołudnie poświęcał na poszukiwanie pracy. Czasem trafiało mu się jakieś dorywcze zajęcie, ale nigdy na dłużej niż dzień lub dwa. Ciągłe nie mógł znaleźć stałego zajęcia.

I kiedy przeminęły wiosna i lato, a później jesień ustąpiła zimie, Vincent Crowther zaczął zdawać sobie sprawę, że nic stałego nie wpadnie mu w ręce. W kraju panował najgłębszy i najdłuższy kryzys, jaki dotąd znano. – Anglia znajdowała się na krawędzi katastrofy, podobnie zresztą jak cały świat, gdyż ten kryzys ekonomiczny miał charakter globalny. W głębi duszy Vincent wiedział, że muszą przygotować się na długi okres trudności i że wszędzie narasta wrzenie; zamieszki i marsze głodowe były na porządku dziennym.

Leeds, tak jak i inne ośrodki przemysłowe, przeżywało ciężkie dni. Armia Zbawienia zorganizowała kuchnie, gdzie bezpłatnie wydawano zupę, inne organizacje charytatywne rozdawały ubrania i obuwie dla potrzebujących dzieci, a także pomagały tym, którzy się zdecydowali wyjechać z terenów najsilniej dotkniętych kryzysem.

Vincent nigdy nie widział na ulicach tak wielu mężczyzn – stali zazwyczaj w kolejce przed biurem zatrudnienia, objali się przed biurami bukmacherów i przed pubami lub po prostu wystawali grupkami na ulicy, posępni i zdesperowani, wymieniając między sobą informacje i uwagi. Nad ludźmi i nad miastem wisało poczucie klęski. Kiedy tak rozglądał się dokoła, odpychał od siebie uczucie beznadziei, które często go w tym okresie nawiedzało, i szukał w sobie siły wewnętrznej. Wiedział, że musi trwać i nie załamywać się, bez względu na okoliczności.

Aczkolwiek Vincent nigdy nie chciał, by Audra pracowała, teraz dziękował Bogu za to, że miała posadę pielęgniarki. Był też głęboko wdzięczny, że inni członkowie klanu Crowtherów ciągle jeszcze pracowali. Pocięszała go myśl, że rodzice byli w lepszej sytuacji niż większość mieszkańców miasta.

Ojciec pracował w dziale transportu Towarzystwa Przemysłowego w Leeds; był tam zatrudniony od dawna, posada więc wydawała się pewna. Bill był bibliotekarzem w jednej z publicznych bibliotek, a Jack, który studiował wieczorami ogrodnictwo, pracował w Wydziale Zieleni Miejskiej i Parków. Nawet Maggie udało się znaleźć zajęcie w zakładzie krawieckim w Armley – obrzucała tam dziurki w męskich marynarkach.

Ta trójka oczywiście nie zarabiała tak dobrze jak ojciec, ale wspólnie zebrane zarobki stanowiły pokaźniejszą sumę niż te, którymi dysponowała większość ludzi. Dlatego też w domu było pod dostatkiem jedzenia i węgla w piwnicy. Vincent wiedział też, że niezależnie od tego co by się wydarzyło, Audra i Christina nie będą cierpiały głodu i zimna, czego w tych okropnych dniach doświadczało wielu jego rodaków.

W miarę zbliżania się świąt Bożego Narodzenia tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku, Vincent podwoił wysiłki, aby znaleźć jakieś zajęcie. Pragnął bowiem ze wszystkich sił zarobić cokolwiek, aby kupić jakiś, choćby najskromniejszy, prezent dla Audry, zabawkę dla Christiny i postawić na stół trochę przysmaków.

Na początku grudnia przyszły silne śnieżyce. Wiele dróg, ulic i podjazdów było zasypanych. Późnym popołudniem w piątek Vincentowi wreszcie dopisało szczęście: znalazł pracę przy odśnieżaniu ulicy przy jednym z dużych, pobliskich domów. Ponieważ już zaczęło się ściemniać, gospodyni powiedziała mu, żeby znowu przyszedł jutro o dziewiątej rano.

Sobotni ranek wstał jasny, ale bardzo zimny, ponieważ wiał lodowaty, północny wiatr. Vincent jednak nie zwracał na to uwagi. Był tak podniecony możliwością zarobienia pieniędzy, że nic nie mogłoby go powstrzymać od wyjścia. Audra, która miała wolny weekend, przykazała mu, żeby się ciepło ubrał. Sama owinęła mu szyję wełnianym szalikiem oraz podała ciepłe rękawiczki.

Pocałował ją w policzek i powiedział:

– Oczyszczenie podjazdu przy Fell House nie powinno mi zająć więcej niż trzy godziny, będę więc w domu na lunchu.

– Pewnie ugotuję duży garnek zupy; po takiej pracy na zimnie będziesz potrzebował czegoś pożywnego – zauważyła odprowadzając go do drzwi.

Gdy Vincent wychodził za próg, lodowaty powiew wiatru uderzył ją w twarz, aż zadrżała.

– Dziś nie wyjdę na spacer z Christiną, jest zbyt zimno – powiedziała.

– Masz rację, Audro. Bywaj, kochana, zobaczymy się później.

W świetnym nastroju szybko poszedł ścieżką do furtki.

Audra była tego ranka bardzo zajęta – pilnowanie dziecka, przygotowanie jedzenia, sprzątanie – więc czas upływał szybko. Nim się obejrzała, wybiła dwunasta. Nakryła stół do lunchu, włączyła radio, wzięła Christinę na ręce, żeby ją nakarmić.

Kiedy minęła pierwsza, a Vincent ciągle nie przychodził, zaczęła się niepokoić, o drugiej zaś była bardzo zdenerwowana. Mógł nie śpieszyć się, gdy szedł z braćmi, ale nie wtedy, gdy pracował. Po pracy zawsze wracał wprost do domu, by napić się herbaty, coś przegryźć i zmienić ubranie.

Audra położyła dziecko do łóżeczka i zrobiła sobie herbatę, nagle jednak poczuła, że nie ma na nią ochoty. Od czasu do czasu podchodziła do okna i wyglądała na ulicę, ale Vincenta ciągle nie było.

Dochodziła trzecia, kiedy usłyszała ostry, metaliczny stuk jego butów na ścieżce.

– Zaczęłam się poważnie martwić – powiedziała, gdy wszedł i zamknął za sobą drzwi. – Nie miałam pojęcia, co się mogło z tobą stać.

– Było bardzo dużo śniegu do odgarnięcia – odparł odwijając szalik i powoli ściągając rękawiczki stwardniałe od mokrego śniegu. – Więcej, niż myślałem... Frontowy podjazd, dwa długie tarasy, ścieżka między trawnikami i podwórko z tyłu domu.

– Taka powierzchnia do oczyszczenia! Musisz być kompletnie wyczerpany, Vincencie, jesteś siny z zimna. Chodź do ognia i ogrzej się.

– Oni mi nawet w południe nie zaproponowali herbaty...

– Mój Boże, co za ludzie! – Patrzyła nań przerażona, ale nic nie odpowiedział.

Gdy zbliżył się do kominka, Audra dostrzegła w jego twarzy coś, co ją zaniepokoiło.

– Vincencie – zaczęła i zawahała się. – Czy nic ci się nie stało? – spytała, przyglądając mu się bacznie.

Milczał, stojąc plecami do ognia. Po chwili wsunął rękę do kieszeni i coś z niej wyjął. Odwrócił zmarzniętą i zmęczoną twarz w jej stronę i otworzył drżącą dłoń.

– Oto, ile mi zapłacili za to wszystko – powiedział głosem przepełnionym goryczą, pokazując jej leżącą na dłoni monetę.

Przez moment Audra nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Sześć pensów! – Była wstrząśnięta. – Dali ci sześć pensów za sześć godzin pracy? Ależ to bezczelność!... Ci ludzie... – nie była w stanie mówić dalej, bo dławił ją gniew.

– Tak...

Audra wciągnęła powietrze w płuca, starając się uspokoić:

– Och, Vincencie, Vincencie, mój drogi... – zerwała się z krzesła i pośpieszyła do niego, a twarz jej wyrażała głęboką troskę. Ujęła go czule za ramię. – Nigdy więcej nie pozwolę, byś poszedł na taki zarobek. Nigdy.

Pokręcił głową i uciekł spojrzeniem. Po minucie czy dwóch odwrócił się do niej. Oczy miał bez wyrazu.

– Jakaś klątwa wisi nad tym krajem – powiedział.

Rozdział dwudziesty szósty

„Sto lat, sto lat niech żyje, żyje nam!” Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, mamusku kochana!

Jak tylko umilkła pieśń, Christina popędziła przez pokój, rzuciła się Audrze na szyję, niemal zbijając ją z nóg, i mocno uścisnęła. Potem podniosła wzrok i powiedziała:

– Mamusku, urządzamy dla ciebie urodzinowe przyjęcie.

Wszystko sami zaplanowaliśmy: tylko dla nas trojga. To niespodzianka.

Audra uśmiechnęła się do uniesionej w górę małej, pełnej przejęcia twarzyczki.

– Ależ to cudownie, kochanie – powiedziała, odgarniając pasmo włosów z czoła sześciolatniej córki, i pomyślała, jak bardzo dziś była podobna do Vincenta.

Chociaż Christina miała po niej barwę włosów i cerę, to odziedziczyła regularne rysy ojca i piękne szare oczy Laurette.

Na pewno bardziej przypomina Crowtherów niż Kentonów, w każdym razie wyglądem zewnętrznym – pomyślała znowu Audra.

Podobieństwo to zawsze było widoczne, ale ostatnio jeszcze bardziej rzucało się w oczy. Christina gwałtownie wystrzeliła w górę i zapowiadała się na wysoką dziewczynę, a to była kolejna cecha Crotherów.

– Wszystkiego najlepszego, kochana – powiedział Vincent, podchodząc do niej i całując w policzek.

Audra odezwała się ze słabym uśmiechem:

– A ja już myślałam, że zapomniłeś.

Vincent uśmiechnął się szelmowsko i wyciągnął papierosa.

– Jakżebym mógł? Czy nie robiłaś ostatnio wielu aluzji? – zażartował.

– *Mamusku, proszę... chodź, cho-o-dź! Tutaj!* – zawołała Christina chwytając ją za rękę i odciągając od wejściowych drzwi. – Musisz wejść tutaj, do bawialni... i ty też, tatusiu. Och, proszę, *chodźcie!*

Audra roześmiała się, położyła torebkę na stoliku przy drzwiach i pozwoliła swej zdumiewająco silnej i stanowczej córce wprowadzić się do drugiego pokoju.

– Tutaj – powiedziała Christina leciutko ją popychając – usiądź tutaj, mamusku, na kanapie, a ty, tatku... – spojrzała przez ramię na Vincenta i dodała: – możesz usiąść na tym krześle.

– Jak sobie życzysz. – I szepnął do Audry: – Myślę, że ta nasza córeczka ma w sobie zadatki na generała.

Audra przytaknęła rozbawiona. Usiadła na kanapie, wygładziła dół letniej sukienki i spojrzała wyczekująco na Vincenta.

Odpowiedział jej spojrzeniem, ale pokerowy wyraz jego twarzy nie wyjaśniał niczego.

Christina podbiegła do starej, stylowej komody w rogu pokoju i wróciła z garścią pełną kopert.

– Tu są pocztówki z życzeniami, mamusku. Listonosz przyniósł je rano, zaraz po tym, jak wyszłaś do szpitala. Będę ci je podawała po jednej. – I podała Audrze kopertę, a potem nachyliła się z lekka, starając się zobaczyć pocztówkę.

Nie mogąc dłużej powstrzymać ciekawości, zapytała: – Od kogo to?

– Od cioci Laurette i wujka Mike'a – Audra pokazała jej kartkę. – Spójrz, prawda, że ładna? Drozdy-śpiewaki siedzące na gałązce.

Christina przytaknęła.

– Jeśli mi ją dasz, to postawię ją na gzymsie kominka... Dziękuję, mamusku. – Podała drugą kopertę i powiedziała: – A teraz otwórz tę.

Audra dostrzegła australijski znaczek i rozpoznała pismo Williama.

– No, to chyba wszyscy wiemy, od kogo, czyż nie? – krzyknęła radośnie.

– Czy mogę zobaczyć? – Christina podeszła do Audry i jedną małą rączką oparła się o jej ramię, patrząc na kartkę. – Ta też jest bardzo ładna, mamusku, ale tu jest jeszcze dużo innych.

Koperty były podawane powoli, otwierane, zawartość wywoływała okrzyki zachwytu i wreszcie po kolei wędrowały na gzyms kominka. Była jeszcze jedna koperta z Sydney – od Fredericka i jego żony Marion, a także życzenia od członków klanu Crowtherów i od Gwen, która ciągle jeszcze pamiętała o jej urodzinach.

Ostatnią kartkę Christina podała szerokim gestem, starając się wszystkimi szczegółami podkreślić wyjątkowość tego dnia.

– To od nas – wyszeptwała, przysuwając się bliżej matki i z czułością dotykając jej policzka. – Właściwie to wybrał ją tatuś, ale zabrał mnie ze sobą do pomocy.

Audra rozerwała kopertę i wyciągnęła kartkę z życzeniami. Była na pewno najbardziej kosztowna ze wszystkich, wykonana ze lśniącego papieru, przełożona żółtą jedwabną wstążką. Na obrazku był wazon pełen żółtych róż, stojący na stoliku przy oknie. Nad bukietem unosił się czerwony motyl.

– Jest po prostu prześliczna – stwierdziła Audra, zanim zajrzała do środka i przeczytała wydrukowany tam krótki wierszyk. Pod nim zaś Vincent dopisał: *Życzymy ci wszystkiego najlepszego. Z miłością od kochającego męża i córki.* Pod tym podpisali się oboje z Christiną. – Dziękuję wam, to najpiękniejsza kartka urodzinowa, jaką kiedykolwiek w życiu dostałam – powiedziała, uśmiechając się do nich.

Oni też odpowiedzieli jej uśmiechem.

– Przyniosę ci teraz, mamusku, twój prezent – dodała Christina. Znowu podbiegła do komody, wyjęła z szuflady paczkę i przyniosła ją matce. – To od tatusia i ode mnie – powiedziała poważnie, z uśmiechem podając upominek.

Audra zsunęła wstążkę i papier, zastanawiając się, co też mogli jej kupić. Czowała przy tym, jak przepelniają szczęście, bo zadali sobie tyle trudu z jej powodu. Była ogromnie wzruszona i przez chwilę nawet nie mogła się odezwać.

Zobaczyła, że trzyma w ręku oprawioną akwarelę. Kiedy przyjrzała się jej dokładniej, otworzyła szerzej oczy; z radości zaparło jej dech w piersiach. Obrazek przedstawiał ogród w lecie o zachodzie słońca; cała scenka przepelniona była słonecznym blaskiem. Na kępcę liści lśniły krople deszczu, jak gdyby, zanim artysta wziął się do malowania, nad ogrodem przeszła ulewa.

Akwarela była malutka, ale urocza. Tego wrażenia nie psuło nawet to, że wyglądała na nie wykończoną i że widniało na niej kilka plamek. Mimo pewnej amatorszczyzny w akwaroli było coś szczególnego, coś, co przykuło jej uwagę.

Zdumiewające – pomyślała mrużąc oczy, aby lepiej zobaczyć detale. – To ogromnie przypomina prace mojego ojca.

Ale dobrze wiedziała, że Vincentowi nie udało się znaleźć wczesnej akwaroli Adriana Kentona.

W rogu obrazka odważnie i wyraźnie było wypisane imię Christiny. Jednak gdyby go nawet nie było, rozpoznałaby dzieło swojej córki. Na niezręcznym i dziecinnym pod pewnymi względami obrazku Christinie udało się jedno – utrwaliła na papierze światło. Wprawdzie już wcześniej demonstrowała tę umiejętność, ale ten obrazek dowodził, jak bardzo się ostatnio rozwinęła. Dziewczynka posiadała godne uwagi zdolności do rysunku i malowania; ujawniły się one, gdy miała cztery lata, ale ostatnia próba dowodziła, że to coś więcej niż zdolności – była wyjątkowo utalentowana. Nagle Audra poczuła dreszcz podniecenia –

przepęliło ją poczucie ogromnej dumy z córki.

Podniosła głowę i zobaczyła, że wpatruje się w nią para wielkich, pełnych niepokoju szarych oczu.

– Mamusku, czy ci się to nie podoba? – wargi dziecka drżały.

– Och, Christie, podoba mi się! Naprawdę mi się podoba! To jest po prostu piękne, kochanie. Bardzo ci dziękuję – Audra wzięła dziewczynkę w ramiona i przytuliła ją mocno do siebie. – Wybacz, że nie powiedziałam tego od razu, ale oniemiałam z podziwu.

Christina spojrzała matce w oczy z radością.

– Namalowałam to specjalnie na twoje urodziny, mamusku, a tatuś zaniósł do oprawienia do warsztatu pana Coxa. To dlatego jest od niego i ode mnie... bo tatuś zapłacił za ramkę.

Audra posłała mężowi promienny uśmiech i powiedziała:

– Dziękuję wam... to najlepszy prezent, jaki mogliście mi zrobić, zapewniam was. Będę go zawsze chronić i strzec. – Błękitne oczy spotkały się z zielonymi w pełnym zrozumieniu. – To było warte oprawienia, prawda, Vincencie?

– O, tak. Od razu, jak tylko Christina mi pokazała ten obrazek, dostrzegłem jego piękno. – Na twarzy Vincenta pojawił się wyraz dumy, gdy dodał: – Jesteś naprawdę zdolną dziewczynką, kochanie.

Christina była bardzo zadowolona. Odwróciła się do matki i spytała:

– Mamusiu, a gdzie go powiesimy?

– No cóż, pomyślimy... Ja wiem jedno, że musi to być honorowe miejsce – oświadczyła Audra. – A może na razie postawimy go na gzymsie kominka? – mówiąc to wstała i ustawiła obrazek między urodzinowymi pocztówkami. Odwracając się zapytała córkę: – A czyj to jest ogród? Gdzie to malowałaś?

– To Calpher House... poszłam tam i spytałam panią Bell, czy mogę... A ona powiedziała, że tak, że mogę namalować dla ciebie jej ogród. Więc wybrałam taki piękny zakątek obok rabatek z różami. Pani Bell przychodziła, żeby popatrzeć, jak mi idzie. Bardzo się tym

interesowała. To było w zeszłym tygodniu, mamusku, i jak zaczął padać deszcz, to zaprosiła mnie do domu i poczęstowała mlekiem i czekoladowymi paluszkami... Potem znowu poszłam do ogrodu i po deszczu nawet mi się jeszcze bardziej podobał... wszystko tak błyszczało...

– Rzeczywiście uchwyciłaś to doskonale, Christie – przytaknęła Audra. – To najlepsza rzecz, jaką dotychczas namalowałaś, rozwijasz się bardzo szybko.

Dziewczynka wprost promieniała z radości.

– Christie, kochanie, a co z urodzinowym przyjęciem? Czy nie pora zaczynać? – zwrócił się do niej Vincent.

– Och tak! Mamusku, chodź, i ty, tatku, także!

Rozdział dwudziesty siódmy

Było to wspaniałe przyjęcie urodzinowe.

Audrze nie pozwolono nic robić. Siedziała więc przy stole w kuchni i przypatrywała się, jak jej mąż i córka krzątają się i wszystko przygotowują. Już wcześniej zauważyła, że oboje na tę okazję starannie się ubrali, podkreślając tym samym szczególny charakter dnia. Czuła się więc szczęśliwa i mile zdziwiona. Żałowała, że sama miała na sobie codzienne ubranie i nie mogła przebrać się w coś lepszego, ale Christina na to nie pozwoliła.

Jakże przystojny jest Vincent – pomyślała patrząc, jak mąż uwija się po kuchni.

Miał na sobie olśniewająco białą koszulę, ciemnobordowy krawat i ciemnoszare spodnie. Najwidoczniej śpieszył się z pracy do domu, żeby się ogolić i przebrać przed urodzinową herbatką. Zauważyła, że był też świeżo ostrzyżony, a czarne włosy, starannie przygładzone, ciągle jeszcze lśniły wilgocią.

Christina wygląda wprost prześlicznie – pomyślała Audra. – Tak, dziś jest niezwykle urocza. Jej córeczka wystroiła się w swoją najlepszą,

wyjściową sukienkę z jasnoniebieskiego jedwabiu ozdobioną na staniku kokardkami z wąskiej, białej koronki. Do tego włożyła czyste, białe skarpetki i czarne, zapinane na paseczek, lakierki. We włosach miała jedwabną, niebieską kokardę, zawiązaną na czubku głowy. Audra uśmiechnęła się do siebie: Vincent bardzo się postarał, wiążąc tę kokardę.

Siedziała wygodnie na krześle i z zainteresowaniem spoglądała na stół. Był nakryty czystym „gościnnym” obrusem i zastawiony najlepszą porcelaną. Przy każdym nakryciu leżała złożona płócienna serwetka; pośrodku stołu stał bukietik żółtych róż z ich własnego ogródka. Znowu się uśmiechnęła. Dostrzegła w tym rękę córki.

Vincent podszedł do kuchni i wyłączył gaz pod czajnikiem. Przygotował herbatę w dużym srebrnym dzbanku z High Cleugh, a Christina wyniosła ze spiżarki talerze z kanapkami.

Swoim wysokim dziecięcym głosem wyjaśniła:

– Te kanapki są takie, jak ty lubisz, mamusku. Twoje ulubione... z pomidorem, z ogórkiem, z klopssem, a tatuś kupił pudełko łososia, więc zrobiliśmy z nim dużo kanapek.

– Wszystkie wyglądają bardzo apetycznie – powiedziała Audra. – Bardzo się napracowałeś, prawda?

– Tatuś mi pomagał – odpowiedziała Christina i jeszcze kilkakrotnie przynosiła ze spiżarni różne smakołyki: czekoladowe biszkopty, rogaliki z jagodami polewane lukrem, ciepłe drożdżowe bułeczki i dżem agrestowy. – Rogaliki i bułeczki upiekła babcia – wyjaśniła Audrze i raz jeszcze pobiegła do spiżarki. – Mamusku, truskawki! – zaanonsowała, stawiając przed matką talerz. – Och, jeszcze śmietanka! Zapomniałam o śmietance!

– Chodź już tu, kochanie, i usiądź przy stole – zawołał Vincent, rozlewając herbatę do filiżanek. – Nie wiem, jak tam moje dziewczyny, ale ja jestem głodny.

Przy podwieczorku Audra i Vincent prowadzili przyjazną rozmowę. Ona opowiadała, jak wypełniony był dzień w szpitalu, w którym obecnie sprawowała, jako starsza pielęgniarka pieczę nad dwiema dziecięcymi salami i salą poporodową.

On mówił o tymczasowej pracy – obaj z Fredem Varleyem budowali stajnie w majątku Pinfoldów w Old Farnley. Pracowali razem, gdyż Varley nie mógł ciągle stanąć na nogi po bankructwie i otworzyć firmy. Przyjmował zamówienia na małe prace budowlane. Zazwyczaj zatrudniał przy nich Vincenta.

– Ale wkrótce znowu otworzy przedsiębiorstwo i to na stałe – powiedział.

– Zrobi to, nie ma obaw – Audra przytaknęła i skrzyżowała pod stołem palce „na szczęście”, modląc się, by była to prawda.

Vincent kochał swoją pracę i odkąd miał zajęcie i zarabiał na swoje utrzymanie, stosunki między nimi wyraźnie się poprawiły. Ona sama, wprawdzie z opóźnieniem, lecz jednak pojęła, że brak pracy był główną przyczyną jego frustracji, ta zaś wywoływała między nimi konflikty.

Vincent zaczął opowiadać o swym bracie Franku, który służył w dziewiątym pułku kawalerii i stacjonował w Indiach. Wkrótce miał przyjechać na urlop, więc Vincent zdecydował, że cały klan Crowtherów powinien wydać z tej okazji przyjęcie.

Christina – jak zwykle wtedy, gdy była z rodzicami – uważnie się przysłuchiwała rozmowie, spoglądając to na matkę, to na ojca dużymi, szarymi oczyma, przed którymi nic nie mogło się ukryć.

Chłonęła każde ich słowo. Od czasu do czasu wtrącała jakąś swoją uwagę, ale przede wszystkim słuchała. Bardzo lubiła słuchać rozmów rodziców. Mamuśka miała taki śliczny głos – miękki i melodyjny.

Lubiła, gdy oboje zachowywali się wobec siebie przyjaźnie i gdy matka często się uśmiechała, bo wtedy jej oczy stawały się jeszcze bardziej niebieskie i błyszczące; nie lubiła zaś, gdy się sprzecali. Wtedy ojciec wychodził z domu, trzaskając drzwiami, i wracał, kiedy one już spały. Potem mama przez kilka dni złościła się na niego, patrząc tak jakoś dziwnie i zaciskając wargi.

Pewnego razu, w ubiegłym roku, kiedy nie była jeszcze tak duża jak teraz, mama czekała na powrót taty po kolejnej awanturze. Wykrzykiwali

oboje różne rzeczy, aż w końcu mama wrzasnęła: „Jeśli tak o tym myślisz, to idź do tej swojej kokoty”. Christina wszystko to słyszała, gdyż zdziwiona podniesionym głosem matki, wyszła ze swego pokoju i przechyliła się przez poręcz schodów.

Później przez dłuższy czas martwiła się, że tata odejdzie od nich i pójdzie mieszkać do tej jakiejś kokoty. Zastanawiała się też, dlaczego ona z mamą nie wydawały mu się dość ładne. Może gdyby się bardziej stroiły, toby z nimi został – pomyślała, ale nie była pewna, jak to można zmienić.

W końcu spytała babkę, co to znaczy „kokota”. Babka zszokowana wpatrywała się w nią w milczeniu przez chwilę i wreszcie spytała, gdzie słyszała to słowo. Christina powiedziała, że w szkole. Nie wiedziała dokładnie, dlaczego nie powiedziała babce prawdy, ale jakoś nie miała chęci mówić o tym, co się działo w domu. Mamusia nigdy tego nie robiła, gdy szła do babci. W ogóle niewiele się tam odzywała i wcale nie była podobna do *jej mamuski*.

Ale w końcu tata od nich nie odszedł. Krótco po tej strasznej awanturze oboje rozptywali się w uśmiechach, kochali się całując się co chwilę i ściskając. Z nimi zawsze tak było.

Śmiech ojca wyrwał nagle Christinę z tych rozmyślań. Spojrzała na niego z uwagą.

Na twarzy ojca widać było rozbawienie, a w zielonych oczach takie same błyski, jak w naszyjniku cioci Gwen, który miała na sobie, gdy były na herbacie w jej domu w Headingley. Tyle że już teraz tam nie chodziły. Mama też się śmiała. Nie dosłyszała, co ich tak rozbawiło, ale chcąc brać udział we wszystkim, co robią, roześmiała się również.

Vincent, ciągle jeszcze z rozbawieniem w głosie, powiedział:

– Och, dopóki pamiętam. Audro. Mike kupił bilety do teatru na sobotę. Na „Kawalkadę” Noëla Cowarda. Zaprosił nas, jest to więc jeszcze jeden urodzinowy prezent dla ciebie, kochanie.

– Jak to miło z jego strony.

– Jeśli wyjdziecie w sobotę wieczorem, to będzie mnie pilnować ciocia Maggie? – spytała Christina.

– Tak, kochanie.
– Wspaniale tatku. Zawsze tak dobrze się bawimy, a poza tym ona pozwala mi kłaść się później spać.

– Ładne rzeczy! – wykrzyknęła Audra.

– Pora na truskawki, mamusku. Ja będę nakładać – zawołała Christina, zsuwając się z krzesła. – Ty dostaniesz najwięcej, bo to twoje urodziny.

– Nie opowiadaj głupstw – sprzeciwiła się Audra. – Każdy dostanie taką samą porcję. W tej rodzinie panuje zasada, że wszyscy dzielą się wszystkim ze wszystkimi.

– Nie, ty musisz dostać więcej – nalegała Christina, ostrożnie nakładając owoce na małe szklane talerzyki.

Nie kupowali truskawek od dawna, bo były zbyt drogie. Teraz więc jedli je smakując powoli, ale oczy im błyszczały radością. Kiedy skończyli, orzekli zgodnie, że były to *najlepsze* truskawki, jakie kiedykolwiek jedli... słodkie i soczyste.

Jednak szczytowym momentem urodzinowego przyjęcia był tort. Christina i Vincent przez chwilę tajemniczo krzątali się w spiżarni, nim dziewczynka pojawiła się ostrożnie niosąc go przed sobą. Wtedy ojciec i córka zawołali razem: „Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin!”

Christina zatrzymała się przed matką.

– Przepraszam, że jest tylko jedna świeczka, ale jedynie ta została z moich urodzin.

– Nic nie szkodzi, Christie. Jedna świeczka jest lepsza niż żadna.

– Tak jej właśnie powiedziałem – zauważył Vincent, siadając naprzeciw Audry. – Powiedziałem też, że będziesz na pewno wolała jedną świeczkę od trzydziestu.

Audra rzuciła mu smutny uśmiech.

– Właściwie to nie mogę uwierzyć, że dziś kończę trzydzieści lat... Gdzie się podziały te wszystkie lata, Vincencie?

Vincent lekko pokręcił głową i słabo się uśmiechnął:

– Nie pytaj mnie o to, moja miła, nie mam pojęcia. Za dziewięć dni skończę trzydzieści cztery lata... chyba, że o tym zapomniawsz?

Zanim Audra zdołała odpowiedzieć, Christina wykrzyknęła:

– Tatusiu dla ciebie też zrobimy przyjęcie!

Dziewczynka uklęknęła do modlitwy.

Audra siedziała w fotelu na biegunach i przysłuchiwała się.

Kiedy już skończyła długą listę imion – wujów w Australii i wszystkich członków rodziny Crowtherów, dla których prosiła o błogosławieństwo, wskoczyła do łóżka i wsunęła się pod kołdrę.

Audra wstała, podeszła do niej, otuliła starannie i usiadła na brzegu łóżka. Położyła dłoń przy policzku córki i uśmiechnęła się do niej:

– To było piękne przyjęcie urodzinowe, Christie. Bardzo ci dziękuję.

Christina odpowiedziała uśmiechem, a potem spytała z niepokojem:

– Czy będziemy mogły zrobić przyjęcie dla tatusia?

– Oczywiście, że tak. To byłoby nieładnie, gdybyśmy nie zrobiły... Twoje urodziny były w zeszłym miesiącu, moje dzisiaj, a więc teraz kolej na tatę – Audra nachyliła się i pocałowała dziecko.

Pulchne ramionka wysunęły się spod kołdry i objęły ją za szyję. Christina przytuliła się do matki, z przyjemnością wciągając znajomy zapach chłodnej, świeżej skóry i kwiatu gardenii z rozartych za uszami perfum.

– Kocham cię, mamusku – szepnęła.

– Och, szczęście moje, ja też cię kocham. Bardzo. A teraz przytul się do poduszki i zaśnij. Jest już bardzo późno. Słodkich snów, skarbie.

Christina jednak od razu nie usnęła.

Leżała w łóżku i przez okno wpatrywała się w niebo. Dziś pozwoliło jej pójść spać później, więc na dworze było już całkiem ciemno.

Atramentowo-czarne niebo było usłane migocącymi gwiazdami i takie bardzo dalekie, a księżyc – okrągły – lśnił jak srebrna półkorońka. Tata powiedział, że to księżyc w pełni. Och, jak bardzo kochała

tatę... I mamę także. Najbardziej lubiła, gdy byli we troje... mama, tata i ona. Na urodzinową herbatkę tata zaprosił ciocię Laurette i wujka Mike'a. Była jednak bardzo rada, że nie mogli przyjść. Nie dlatego, że ich nie kochała. Kochała wszystkie swoje ciocie i wujków, i babcię. I dziadka. Zwłaszcza dziadka. Lubiła zapach jego pomady do włosów i lubiła zajadać się eukaliptusowymi cukierkami, które czasem dawał jej potajemnie; lubiła, kiedy brał ją na kolana i opowiadał rozmaite ciekawe i niezwykle historie. Nie przeszkadzało jej, że białe, duże, zakręcone wąsy dziadka łaskotały, gdy ją całował, ani to, że dymił fajką tak, że oczy zachodziły łzami.

Ale najbardziej kochała mamuszkę i tatę. Bardziej niż cały świat. Oni należeli do niej, a ona należała do nich. Za nic nie zamieniłaby ich na kogoś innego. Jej rodzice byli wyjątkowi. Po prostu wiedziała, że tacy byli.

Skuliła się w łóżku i zamknęła oczy, powoli zapadając w sen. Jeszcze słyszała dobiegający ze schodów szmer ich głosów... miękkich, ciepłych, kochających... Zawsze czuła się taka bezpieczna, gdy ich słyszała...

– Ona jest wyjątkowym dzieckiem, Vincencie – rzekła Audra siedząc na sofie w bawialni.

– Tak, jest bardzo bystra.

– To, czym los ją obdarzył, to więcej niż bystrość, może nawet więcej niż uzdolnienia... jest wyjątkowo utalentowana. – Audra zatrzymała wzrok na gzymsie kominka, gdzie między pocztówkami stała akwarela. – Przed podwieczorkiem powiedziałaś, że byłeś tak zaskoczony tym obrazkiem, iż zdecydowałeś się go oprawić.

– Tak, co do tego nie ma dwóch zdań: zrobił na mnie wrażenie – Vincent spojrział na obrazek przedstawiający Miejsce Pamięci, który przed laty namalowała Audra, a potem przesunął wzrok na ścianę, gdzie wisiał pejzaż Adriana Kentona. – Nasza Christina ma to po tobie i po twoim ojcu, Audro. Mam na myśli talent malarski.

– Tak, chyba tak. Ale ona, kiedy dorośnie, będzie lepszą artystką niż ja. I prawdopodobnie będzie nawet lepsza od mojego ojca. Wszystko już teraz na to wskazuje.

– A więc nie powinnaś już mieć żadnych wątpliwości co do tego, kto był twoim ojcem – powiedział i uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Och, nie mam. I szczerze mówiąc, to nigdy nie traktowałam uwag ciotki poważnie. Wiem, że moja matka nie zrobiłaby niczego, co mogłoby zranić ojca. W jej naturze nie leżało udawanie i oszukiwanie. Myślę teraz, że zawsze wiedziałam, iż związała się z wujem Peterem dopiero, kiedy owdowiała.

Vincent przytaknął i sięgnął po swoją szklankę z piwem. Był zadowolony, że ostatecznie pozbyli się i tego upiora.

Przez chwilę oboje pograżyli się w milczeniu, każde zajęte swoimi myślami.

Czerwcowy wieczór zrobił się chłodny, więc w czasie gdy Audra kładła Christine spać, Vincent rozpałił ogień na kominku. Teraz Audra siedziała wpatrzona w płomień, myśląc o śpiącej na górze córce, o tym bardzo uzdolnionym dziecku, o którym zawsze wiedziała, że będzie miało olśniewającą przyszłość.

Nagle szybko pochyliła się do przodu i wyrwała Vincenta z zadumy.

– Tak, musimy to zrobić! – krzyknęła.

– Co zrobić? – zapytał, patrząc na nią z zaciekawieniem.

Nie odpowiedziała wprost na pytanie, tylko rzekła:

– Pomagałam jej, jak umiałam najlepiej, i będę to robić dalej, ale jest tyle wiadomości, których nie mam, bo jestem samoukiem.

– Tak – potwierdził Vincent.

– Kiedy skończy szesnaście lat, pójdzie do szkoły sztuk pięknych. Wcześniej jej nie przyjmą do college'u w Leeds. Później będzie musiała pojechać do Londynu. Studiować w szkole Slade'a albo, jeszcze lepiej, w Królewskiej Akademii Sztuki.

– A skąd weźmiemy na to wszystko pieniądze? – zapytał ostrym głosem. – Nigdy nie będziemy mogli sobie pozwolić na takie

wykształcenie, nawet jeśli kryzys się zakończy i dostanę stałą pracę. To będzie kosztować *tysiące*.

– Tak, wiem o tym, ale zrobimy to – odparła bardzo stanowczo. – Musimy, Vincencie, musimy! – W jej głosie brzmiała żarliwość i podniecenie, jakiego nie słyszał od dawna. – Musimy stworzyć Christinie możliwość, dać jej szansę – ciągnęła dalej Audra. – Nie pozwolę pozabawić jej tego ze względu na pieniądze. Ona posiada dar... który musi się kształcić, rozwijać. Będzie znakomitą malarką, wielką artystką, Vincencie, wierz mi!

– Cóż – odpowiedział powoli, załamującym się głosem – nie wiem, po prostu nie wiem...

Audra wyprostowała się i rzuciła mu jedno ze swych przenikliwych spojrzeń.

– Z naszej strony nie może być żadnych wahań, Vincencie, żadnych. Musimy dążyć do tego celu bez względu na wszystko i dać jej tę szansę. Ja ze swej strony zrobię, co w mojej mocy, żeby jej się powiodło!

Rozdział dwudziesty ósmy

– Wiesz, Mike, zupełnie nie wiem, co dalej robić z Audrą, naprawdę nie wiem – powiedział Vincent z drżeniem w głosie.

Zerwał się z miejsca i podszedł szybko do okna. Spoglądał przed siebie mrużąc oczy przed ostrym blaskiem kwietniowego słońca.

– Tak, zdaję sobie sprawę, że jesteś ostatnio bardzo zaniepokojony – odparł Mike.

Młody lekarz był świadom trosk i rozterek przyjaciela z powodu braku pracy. W ostatnim czasie emocje Vincenta łatwo się uwidaczniały. Pochylone ramiona sygnalizowały, jak bardzo jest spięty i rozgoryczony tego ranka.

– W jaki sposób mogę ci pomóc... – zaczął Mike i przerwał, gdy otworzyły się drzwi do pokoju.

Weszła Laurette, niosąc tacę z kawą. Odwróciła się i podeszła do kominka.

– Przepraszam, że zajęło mi to tak dużo czasu – powiedziała – ale musiałam dopilnować niedzielnej pieczeni... – Przerwała w pół zdania, gdy nagle dostrzegła zatroskaną twarz Mike'a i napięcie Vincenta. – Ach – powiedziała szybko – czy przerwałam jakąś ważną rozmowę? Może wezmę swoją kawę i pójdę do kuchni, żebyście mieli spokój.

– Nie – rzekł Vincent, szybko się odwrócił i podszedł do kominka. – Nie mówimy tu nic, czego nie mogłabyś słyszeć – dorzucił siadając na krześle i wyciągając papierosa.

Laurette podała filiżanki z kawą, a potem usiadła, patrząc wyczekująco na Vincenta, który milczał z zaszępioną twarzą, wpatrzony w płomień.

W końcu, w nadziei że wyrwie go z zadumy, odezwała się:

– Dokąd to poszły dziś Audra i Christina?

– Do Fountains Abbey – odpowiedział nie podnosząc głowy. – Kolejna lekcja malarstwa na świeżym powietrzu, w plenerze, jak mówi Audra. – Wreszcie popatrzył na Laurette i dodał: – Wiesz przecież, że we wszystkie wolne od dyżurów niedziele zabiera Christie na malowanie z natury.

– Tak, wiem i uważam to za godne pochwały, że zapoznaje ją z dziełami sztuki w takich posiadłościach jak Temple Newsam i Harewood. Audra daje Christie dobre podstawy, Vincencie. To ją doskonale przygotowuje do szkoły sztuk pięknych.

Vincent przytaknął w milczeniu.

– Powiedziałeś, że nie wiesz już, co robić z Audrą – wtrącił Mike. – Pomówmy o tym... czasem pomaga, jak się wyrzuci z siebie, co leży na wątrobie. Przecież chyba właśnie w tym celu przyszedłeś tu dzisiaj, prawda?

– Tak, to prawda – Vincent odchrząknął. – Niepokoi mnie zdrowie Audry, Mike. W ostatnim czasie ona się strasznie przepracowuje. Wiecie oboje, jak wygląda jej rozkład zajęć... diabelnie ciężka praca w szpitalu i dodatkowe dyżury, gdy tylko trafia się okazja. Kiedy wraca, zajmuje się domem: gotuje, sprząta, pierze i prasuje. I do tego jeszcze

lekcje z Christiną. A kiedy już nie robi tego, to ślęczy przy tej cholernej maszynie do szycia, którą jej dała pani Bell, i przerabia ubrania dla różnych ludzi. Oprócz tego, że tak haruje, to jeszcze oszczędza, odmawia sobie wszystkiego, aby odłożyć każdego pensa na kształcenie Christiny. Oboje spoglądali na niego ze współczuciem i uwagą.

– Najbardziej trapi mnie ta nieustająca pogoń za pieniędzmi i to, że nie mogę jej powstrzymać – ciągnął dalej. – Jestem zupełnie bezradny – nieoczekiwanie głos Vincenta zadrżał. – Nie śmiem się wtrącać, nie śmiem powiedzieć słowa... Kiedy to próbowałem robić, wpadała w straszny gniew... Miałem nadzieję, że może ty, Mike, mógłbyś z nią porozmawiać, wiesz, jako lekarz. Ona ciebie posłucha.

– Wątpię w to, Vince – odparł Mike posępnym tonem. – Oczywiście, spróbuję, ale sądzę, że szkoda zachodu. To samo będzie z Laurette, mimo że są ze sobą tak blisko. Nikt i nic nie powstrzyma Audry. Ona widzi przed sobą tylko jeden cel i jest bardzo uparta.

– Czy ja tego nie wiem? – mruknął Vincent. – Wszystko zaczęło się dawno temu, kiedy urodziła się Christina. Powiedziałem wtedy Audrze, że kieruje nią jakaś straszna, wewnętrzna siła. I miałem rację. – Przesunął ręką po zmęczonej twarzy. – Wiem doskonale, że nie ma nic złego w tym, że ktoś jest ambitny, że chce dla swego dziecka wszystkiego, co najlepsze. Ale to, co robi Audra przez ostatnie parę lat... Cóż, jeśli chcecie wiedzieć, to mi się wydaje po prostu nienormalne.

– Nie jestem pewna, czy to właściwe słowo – wtrąciła Laurette. Zawahała się, szukając odpowiedniego wyrażenia dla przekazania myśli, która nagle przyszła jej do głowy, a potem dodała powoli i z rozważą: – To, co obserwujemy, jest aktem woli i to niezwykle altruistycznym, silnie umotywowanym... Cóż, wydaje mi się, że patrzeć na to należy z nabożną czcią.

– Chcesz powiedzieć, że jest to cholernie przerażające – powiedział chrapliwie Vincent. Głęboko zaczerpnął tchu, starając się złagodzić brzmienie głosu: – Słuchaj, Laurette, ja też chcę wszystkiego, co najlepsze dla naszej Christie, naprawdę chcę tego. Ale przecież jest

jakaś granica tego, co ludzie w naszej sytuacji mogą zrobić. Audra sięga za wysoko. Poza tym to nie jest w porządku wobec dziecka. Mała ma tak mało przyjaciół, rozrywek. Kocham Audrę... – przerwał na moment i odetchnął. – Nie chcę, żeby się załamala, rozchorowała. Staram się tylko ją osłonić, dbać o nią.

– Nie sądzę, żeby Audra zechciała słuchać naszych uwag, ale, jak już powiedziałem, porozmawiam z nią jutro, Vince – obiecał Mike. – Będę w szpitalu u swoich pacjentów i postaram się znaleźć okazję, żeby z nią pogadać. Będę nalegał na ogólne przebadanie Audry jako rutynowy obowiązek. Może to przynajmniej przyniesie ci jakąś ulgę.

– Och, na pewno, Mike. Bardzo ci dziękuję.

Laurette uśmiechnęła się do brata i pogłaskała go po ramieniu.

– Postaraj się rozluźnić, kochanie, wszystko będzie dobrze.

Vincent przytaknął, wziął papierosa i zapalił.

– Zostaniesz na niedzielnym lunchu? – spytała Laurette. – Jest pieczeń z jagnięcia, młode ziemniaki i świeża kapusta: wszystko, co lubisz.

– Nie, dziękuję bardzo. Powiedziałem, że spotkam się z Billem i Jackiem na drinku w Traveler's Rest przy Top-Hill. A potem pewnie pójde z nimi do mamy na lunch. – Vincent uważnie popatrzył na siostrę i powiedział, ostrożnie dobierając słowa: – Nie chciałbym, żebyś coś na ten temat mówiła mamie, ale Bill nosi się z myślą wstąpienia do marynarki handlowej.

Oczy Laurette rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Ona się na to nie zgodzi! – powiedziała. – Tym bardziej że Frank już służy w wojsku!

– Wiem, że nie. – Vincent zwrócił się do szwagra. – Będzie wojna, Mike. To wisi w powietrzu, od kiedy Hitler jest w marszu. Już zabrał część Czechosłowacji, a teraz wysuwa żądania wobec Polski...

– Czytałem o tym w „Sunday Express”, zanim przyszedłeś – przerwał Mike. – Ten facet robi się coraz bardziej chciwy. Wygląda na to, że zdecydowaliśmy się popierać Polskę w tym kryzysie, to samo robi Francja.

Spojrzeni na siebie zatroskani.

– Ten pokój jest kruchy, Mike, i to długo nie potrwa... Będziemy w stanie wojny z Niemcami jeszcze przed końcem tego roku, wspomnisz moje słowa.

– Nie mów tak! – zawołała Laurette, spoglądając to na brata, to na męża. – Czy... czy wy obaj będziecie musieli pójść na wojnę?...

– Tak – odparł Mike.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

– Co za piękny ranek – powiedziała Audra, podchodząc do otwartych drzwi domku przy Pot Lane i wyglądając na zewnątrz. Podniosła głowę i dodała: – Popatrz, Vincencie, niebo jest zupełnie bezchmurne.

– Tak, to niezwykle ładny dzień – zgodził się, wychodząc na róg domu. Podążył za jej spojrzeniem, które było skierowane ku małemu ogródkowi, gdzie siedziała Christina ze szkicownikiem, i uśmiechnął się z przyjemnością na widok dziecka. – Zbyt ładnie, żeby pozostawać w domu... Myślę, że chyba wyjdę z wami po południu... to jest, jeśli mnie ze sobą zabierzecie.

Audra spojrzała na niego w zdumieniu.

– Ależ ty zawsze w niedzielę chodzisz do pubu Pod Białym Koniem... – Przerwała i roześmiała się, a jej oczy roziskrzyły się szczęściem: – Będziemy bardzo zadowolone, jeśli pójdziesz z nami. Nie jedziemy daleko, tylko do Temple Newsam.

Chcę, żeby Christie dobrze zapoznała się z dziełami starych mistrzów.

Vincent objął ją ramieniem i uścisnął, patrząc w jej uniesioną ku górze twarz. Za radosnym wyrazem dostrzegł zmęczenie i serce mu się ścisnęło. Pomimo perswazji Mike'a ciągle wypruwała z siebie żyły i to go ogromnie niepokoiło. Nie chciała słuchać żadnych rad czy prośb, jego słowa zdawały się nie robić na niej wrażenia. Pod wpływem

chwili Vincent powiedział:

– Słuchaj, kochanie, mam pomysł, wspaniały pomysł. Zbierzmy się i jedźmy do Temple Newsam już teraz. No, powiedzmy nie już, ale za pół godziny. Zrobmy sobie wypad na cały dzień, Audro. Weźmiemy ze sobą jedzenie na piknik...

Nie będziesz więc musiała stać przy rozpalonym piecu i gotować lunchu. Co ty na to?

Audra skinęła twierdząco i uśmiechnęła się. Cieszyła się z tej propozycji ogromnie, bo nieczęsto Vincent wybierał się z nimi na te niedzielne, artystyczne wyprawy. Spojrzała przez ramię na stojący na kominiku zegar i powiedziała:

– Jest już po jedenastej... ale dlaczego nie?! – Odwróciła się w stronę ogrodu i zawołała: – Christie, Christie, chodź do domu. Tatuś jedzie z nami do Temple Newsam; urządzimy sobie piknik, musisz więc mi pomóc.

– Och! – krzyknęła Christina zrywając się z miejsca, podniecona nieoczekiwaną decyzją ojca.

– Zacznijmy od robienia kanapek – zaproponowała Audra, krzątając się w spiżarni.

– Czy mogę wam w czymś pomóc? – spytał Vincent.

– Raczej nie, ale włącz radio. Może znajdziesz jakąś muzykę.

– Robi się – odrzekł podchodząc do odbiornika i przekręcając gałkę. – A, rzeczywiście, jest muzyka... posłuchaj, to „Nad pięknym modrym Dunajem”. Audro, pamiętasz, tańczyliśmy to wtedy w domu parafialnym.

Odwróciwszy głowę, obdarzyła go najśłodszy z swych uśmiechów, a potem zmarszczyła brwi, gdy muzyka nagle umilkła.

– O, mój Boże, chyba ten odbiornik nie popsuł się znowu!

– *Przerywamy program, by nadać ważną wypowiedź premiera – rozległ się głos spikera.*

Vincent i Audra spojrzeli na siebie i zamarli w bezruchu, słuchając dobiegających z głośnika słów Chamberlaina, który mówił o napaści Hitlera na Polskę i o tym, że Anglia wypowiedziała wojnę Niemcom.

– *A teraz niech Bóg błogosławi was wszystkich i ma w swej opiece.*

Surowy i pełen powagi głos premiera ucichł i rozległ się hymn narodowy; znane dźwięki „Boże, chroń Króla” napęłniły kuchnię Crotherów.

– Dziś jest trzeci września – szepnął Vincent spoglądając na Audrę zatroskanym wzrokiem. – Spodziewałem się wojny, ale przyszła wcześniej, niż myślałem.

– Tak – odparła Audra, siadając na najbliższym krześle. Ugięły się pod nią kolana, gdy dotarł do niej sens słów premiera.

Christina wodziła zdumionym wzrokiem od jednego z rodziców do drugiego.

– Co to znaczy? Co się stanie, tatusiu?

– Będziemy walczyć z Niemcami, ale nie martw się, mała, wszystko skończy się dobrze.

– Co zrobimy z Temple Newsam? – spytała nagle Audra. – Może jednak lepiej dziś nigdzie nie jechać?

– Och, mamusku, nie mów tak! – zawołała Christina – nie wtedy, gdy tatuś wybiera się z nami!

Twarz dziewczynki była tak zasmucona, a w głosie brzmiał taki zawód, że Vincent nie mógł się powstrzymać, by nie zawołać:

– O, niech to diabli! Audro, jedźmy. To prawdopodobnie ostatnia okazja, żeby wybrać się gdzieś razem. Na następną będziemy chyba musieli długo czekać.

– Tak, to prawda – odparła Audra z wahaniem.

– A więc pojedziemy, mamusku? – spytała Christina z oczekiwaniami w głosie.

– Tak. Biegnij na górę i zmień sukienkę. Tatuś pomoże mi przygotować kanapki.

Gdy zostali sami, Vincent powiedział:

– Nie wiem, kiedy otworzą biura werbunkowe: jutro czy we wtorek. – Umilkł na chwilę. – Ale mam zamiar zgłosić się zaraz, jak tylko zaczną działać.

– Tak – powiedziała – wiedziałam, że tak zrobisz, kiedy rozpocznie się wojna.

– Pewnie, jak każdy inny szanujący się Anglik. Bóg mi świadkiem, że nie chcę tej wojny, bo to będzie piekło na ziemi, ale może teraz znowu stanę na nogi i będę mężczyzną.

Audra spojrzała nań zaskoczona.

– Dla mnie zawsze byłeś mężczyzną, Vincencie.

Vincent Crowther wstąpił do marynarki królewskiej we wtorek i już pod koniec tygodnia został wysłany do wielkich koszar w Harwich, aby rozpocząć przeszkolenie.

Bez niego dom przy Pot Lane wydawał się cichy i pusty. Była to ich pierwsza rozłąka i Audra szybko zdała sobie sprawę, jak bardzo jest jej go brak.

Ich małżeństwo pod pewnymi względami było trochę dziwne, to przyznawała bez wahania, ale pomimo kłótni i różnicy zdań kochali się. Mieli też tę wspaniałą nagrodę – córkę Christinę, która łączyła ich nierozzerwalnym węzłem.

Audra niezmiennie trwała myślami przy Vincencie – czy to w pracy, czy w domu. Martwiła się o niego i zastanawiała, jak sobie daje radę w wojsku.

Wkrótce zaczęły nadchodzić listy. Obie z Christiną czytały je wielokrotnie, rozmawiały o nich i nie mogły się doczekać pierwszego urlopu Vincenta.

Pod jego nieobecność, gdy Audra była w szpitalu, Christina musiała sama troszczyć się o siebie. Dziewczynka ciągle powtarzała, że doskonale daje sobie radę, i to była prawda. Christina, jak na ośmiolatkę, była wyjątkowo dojrzała. Zapewne dzięki wrodzonej inteligencji, umiejętnościom wykonywania prac domowych, o co zadbała matka, a także dzięki temu, że całe swoje życie spędziła wśród dorosłych.

Szczególnie bliska była jej ciocia Laurette. Kiedy więc Audra miała nocny dyżur, Christina spała w domu wujostwa. Mike Lesley zaciągnął się do Korpusu Medycznego i Laurette, teraz samotna, była zadowolona z towarzystwa bratanicy. Po wyjeździe Mike'a Laurette wróciła do pracy. Chcąc włączyć się do ogólnego wojennego wysiłku narodu,

przyjęła stanowisko sekretarki naczelnego dyrektora fabryki w Armley, gdzie obecnie produkowano bomby.

Codziennie, gdy matka była w pracy, Christina szła na lunch do babki, tak jak to robiła zawsze, odkąd sięgała pamięcią. Wesoła kuchnia Elizy z obfitością róż zawsze rozbrzmiewała śmiechem i żartami hałaśliwej, pełnej werwy rodziny. Teraz jednak panowała tu śmiertelna cisza.

Billy wstąpił do marynarki handlowej, Jack był w wojsku, a Maggie zapisała się do Pomocniczej Służby Terenowej. Najpierw pojechała na miesięczne szkolenie do Reading, a potem do wielkiego ośrodka w Shropshire, gdzie uczyła się obsługiwania dział przeciwlotniczych. Hał, mąż Olive, był w RAF-ie i tylko Alf i szesnastoletni Danny pozostali w domu.

Crowtherowie nagle stali się rodziną złożoną z kobiet, jeśli nie liczyć Alfa i najmłodszego syna, o którym było wiadomo, że pójdzie do wojska, gdy będzie starszy. Dlatego też w miarę jak Anglia angażowała się w wojnę, mocniej zwierali szeregi.

Balony zaporowe, reflektory, syreny alarmowe i sygnał „niebo czyste”, czarne zasłony w oknach, dowody tożsamości, schrony przeciwlotnicze i maski gazowe – wszystko to stało się codziennością. Tak samo jak racjonowanie żywności i benzyny, talony na ubranie, brak na rynku rozmaitych towarów i próbne alarmy lotnicze organizowane przez członków obrony cywilnej. Pan Trotter, odpowiedzialny za Pot Lane w czasie alarmów, stał się dla Audry i Christiny znaną i przyjazną postacią.

Jednakże, niezależnie od tego jak trudne i uciążliwe były te czasy, Audra zaakceptowała ustalony od lat tryb życia, będący już rutyną i nalegała, by Christina robiła to samo. Poza nauką w szkole dziewczynka studiowała więc sztukę i każdego dnia poświęcała się temu.

Oprócz tego miały jednak i swoje małe przyjemności, zwłaszcza zaś lubiły chodzić do kina, aby oglądać najnowsze filmy amerykańskie. Były też zagorzałymi wielbicielkami radia i słuchały wszystkiego – od wiadomości do słuchowisk i programów muzycznych. Zwyciężało

jednak zwykle kino – chodziły tam raz w tygodniu, czasem dwa, najczęściej w towarzystwie Laurette.

Pewnej soboty, w końcu października trzydziestego dziewiątego roku, Audra, Laurette i Christina przed pójściem na ostatni film Roberta Donata „Żegnaj, panie Chips” piły w kuchni herbatę.

Laurette, która była wielką kinomanką i sporo czytała na ten temat, opowiadała im o filmie, streszczając fabułę.

– Nie mów nic więcej – zawołała Audra – bo nam zepsujesz całą przyjemność.

– Och, przepraszam – usprawiedliwiła się Laurette i zmieniając temat oświadczyła. – Czego nie mogę się doczekać, to „Przeminęło z wiatrem”. Czytałam o tym w „Tygodniku Kinomana”. Zapowiada się znakomicie. Vivien Leigh wyglądała pięknie na zdjęciach, a Clark Gable jest po prostu rewelacyjny!

– Gdyby Mike to słyszał, byłby zazdrosny... – uśmiechnęła się Audra. Odwróciła się słysząc stukanie do drzwi.

– Ja otworzę – krzyknęła Christina, zsuwając się z krzesła. – Dobry wieczór, panie Trotter – powiedziała wpatrując się w gościa.

– Dobry wieczór, kochasiu. Czy mama jest w domu?

– Tak, proszę pana – Christina otworzyła drzwi szerzej. – Proszę, niech pan wejdzie.

Pan Trotter zdjął metalowy hełm i wszedł do kuchni.

– Dobry wieczór, pani Crowther – powiedział, uśmiechając się przyjaźnie do Audry. – Tak mi przykro, że sprawiam kłopot i to akurat, kiedy pije pani herbatę, ale wstąpiłem tu, żeby zamienić parę słów na temat pani Dobbs z narożnego domu.

– A co się stało pani Dobbs? – spytała Audra z zaciekawieniem.

– Rzecz w tym, pani Crowther, że ona nigdy nie przychodzi na próbne alarmy i nie mam pojęcia, co się z nią stanie, jeśli zdarzy się prawdziwy nalot.

– Dołączycy do nas w schronie na skraju ogrodu. Zbudował go mój teść dla mnie i Christiny, a ja postarałam się, żeby był względnie wygodny...

– Ale ona nie chce wejść do schronu... – przerwał Jim Trotter. – Właśnie rozmawiałem z panią Dobbs o tym i dostałem po głowie za moje starania.

– Och! – Audra nie mogła zdobyć się na nic więcej.

– Nie uwierzy pani, co mi powiedziała...

– Rzeczywiście nie mogę sobie wyobrazić, co mogła powiedzieć...

– Spojrzała na mnie, jakbym zjawił się z księżycą, i wrzasnęła: „Mam siedzieć w tej dziurze pod ziemią, *siedzieć* pod ziemią! Za nic w świecie, mój chłopcze. Pod ziemią będę leżeć wystarczająco długo, kiedy umrę, a dopóki żyję, będę siedzieć w domu. Jeśli bomba ma mnie trafić, to i tak trafi”. To są jej własne słowa, proszę pani.

Audra bardzo się starała, ale nie udało jej się powstrzymać od śmiechu. Christina i Laurette również się roześmiały. Jim Trotter spojrzał na nie z ukosa i zwrócił się do Audry:

– Tu nie ma się z czego śmiać, pani Crowther – rzekł z oburzeniem.

– Tak, wiem, że nie ma – wykrztusiła Audra – ale trochę podzielim jej niechęć do siedzenia w dziurze pod ziemią.

– Mam szczerą nadzieję, że nie będzie pani tego robić, pani Crowther. Bardzo bym się martwił, gdybym miał na swoim terenie jeszcze dwie *trudne* osoby.

Audra przytaknęła, przygryzając wargi. Nie mogła powiedzieć ani słowa, gdyż z trudem tłumiła śmiech.

– Co mam więc robić z panią Dobbs? Jestem przecież odpowiedzialny za wszystkie domy na Pot Lane! – ciągnął dalej pan Trotter.

Audra zrozumiała nagle, co go tu sprowadziło, i odpowiedziała tak poważnie, jak mogła.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby pani Dobbs w czasie alarmu zeszała do schronu, panie Trotter. Ale mogę tylko spróbować. Nie mogę nikogo do niczego zmuszać.

– Bardzo pani dziękuję, pani Crowther. Dobranoc – powiedziawszy to, szybko się oddalił.

Gdy tylko umilkły jego kroki, Audra opanowawszy się powiedziała:

– Biedny pan Trotter... zawsze mnie lubił, ale teraz już chyba tak nie będzie...

– Nie wygłupiaj się – odezwała się Laur ette. – Miałś rację, że tak powiedziałaś. W tych strasznych czasach musimy zachować poczucie humoru. Jeśli je stracimy, grozi nam szaleństwo.

Anglicy przeprowadzili mobilizację, lecz poza tym niewiele się w kraju działo. W istocie, w powietrzu i na lądzie panował taki spokój, że ten okres szybko uzyskał nazwę „wojny na niby”.

Wojna na morzu jednakże rozpoczęła się niemal zaraz we wrześniu; w październiku w Scapa Flow został storpedowany okręt wojenny „Royal Oak”, który stał tam zacumowany w niby bezpiecznej zatoce. Do połowy listopada niemieckie miny magnetyczne zatopiły statki o ogólnym tonażu sześćdziesięciu tysięcy ton.

Za każdym razem, gdy Audra brała do ręki gazetę lub słuchała radia, jej serce przepełniał strach. Wiadomości o wojnie na morzu były z reguły katastroficzne. Martwiła się więc o Vincenta, który służył na niszczycielu i był „gdzieś na morzu”.

Każdy kolejny list męża witała westchnieniem ulgi, podobnie jak jego matka.

Nie otrzymał wprawdzie urlopu na Boże Narodzenie, ale przyjechał w styczniu czterdziestego roku na siedemdziesięciogodzinną przepustkę w drodze z Hull, gdzie zacumował jego okręt po rundzie patrolowej na Morzu Północnym.

Audra zwolniła się ze szpitala, by być z nim przez cały ten czas. Oczekiwała go więc w domu w to zimne i siąpiące wilgocią czwartkowe popołudnie, ubrana w błękitną bluzkę, którą tak lubił, i w ciemnoszarą spódnicę.

Gdy tylko przestąpił próg domu, dostrzegła, jak był dumny ze służby w marynarce, z munduru. Trzymał się bardzo prosto i zdawał się być wyższy niż zwykle. Biła z niego jakaś pewność siebie, zielone oczy patrzyły z ufnością.

Audra rzuciła się w jego ramiona, on objął ją i mocno uściśnął, odsunął lekko od siebie, zajrzał głęboko w oczy i pocałował w usta długim, pełnym miłości pocałunkiem.

– Jak to dobrze być znowu w domu – powiedział, uwalniając ją z uścisku.

– Jak to dobrze mieć cię tutaj z powrotem! Tak mi ciebie brakowało, tak nam ciebie brakowało!

– Ja czułem to samo.

Kilka minut później, gdy siedzieli przy herbacie, Audra podzieliła się z nim nowinami o rodzinie Crowtherów. Potem ciepłym głosem powiedziała mu, jak martwiła się o niego przez te miesiące.

– Czytałam o wszystkich morskich wydarzeniach. Same klęski. Vincencie, czy nigdy nie odnieśliśmy zwycięstwa?

– Ależ raz zwyciężyliśmy, Audro, w grudniu! – wykrzyknął. – Chyba jeszcze nie zapomniałaś, że trzy brytyjskie krążowniki pokonały „Grafa Spee” w bitwie u ujścia La Platy?

– Nie, nie zapomniałam.

– „Graf Spee” umykał brytyjskiej flocie przez kilka miesięcy i zatopił sporo naszych okrętów... Nie myśl, że nie podziałało to na Szwabów demoralizująco – twarz Vincenta rozpromieniła się. – Winston był bardzo zadowolony, możesz być tego pewna!

Audra uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że jesteś na „ty” z pierwszym lordem admiralicji – podrażniła go. – A czy pan Churchill wie o tym?

– Wszyscy mówimy o nim Winston, oczywiście za jego plecami – roześmiał się Vincent. – To dlatego, że go kochamy. – Pochylił się ku niej i dodał: – Czy wiesz, w jaki sposób admiralicja podała we wrześniu wiadomość o jego powrocie? To znaczy, jak zawiadomiono o tym całą brytyjską flotę?

Audra zaprzeczyła głową.

Vincent mocno zaciągnął się papierosem i powiedział:

– Podali tylko te słowa: „Winston powrócił!” To diabelnie poważny komplement... radosne powitanie. Tak, Churchill to wielki człowiek, to on powinien być premierem. I chyba będzie, bo *wszyscy* mają dosyć Chamberlaina.

– Czy nie będzie wam przykro utracić *Winstona*, jako pierwszego lorda marynarki?

– Tak, ale ja wolałbym, żeby to on stał u steru państwa, a nie ktoś inny, cholernie bym tego chciał... – Vincent przerwał i odwrócił się na odgłos otwieranych drzwi.

– Tatuś! – Christina rzuciła tornister na podłogę i pofrunęła w szeroko otwarte ramiona.

Uściskali się mocno, a potem Vincent odsunął ją lekko od siebie i zapytał:

– Jak się miewa moja mała laleczka?

Christina utkwiała wzrok w znanej i kochanej twarzy i wybuchnęła płaczem.

– No, a co to się dzieje, kochanie? – spytał Vincent, ponownie ją objawszy i pieszczotliwie głaszcząc po włosach.

Ramionami dziewczynki wstrząsał płacz; z trudem łapiąc oddech, wykrztusiła:

– Myślałam, że już nigdy... cię... nie zobaczę. Tak się martwiłam, tatuśku. Myślałam, że zatopią twój okręt.

– Ależ z ciebie głuptasek, kaczuszek! – roześmiał się Vincent i pokłaskał ją pod brodą. – Nic takiego nie może mi się przydarzyć, mała panno Muffet. Chodź, zdejmiesz płaszczyk i usiądziesz do stołu. Mama zrobiła pyszną herbatę. Później pójdziemy do babci. – Nachylił się nad nią, oczy mu się rozjaśniły i szepnął: – A jutro zabieram ciebie i mamę do kina w Leeds. Masz na to ochotę?

Christina z radością w oczach skinęła głową. Audra przypatrywała się obojgu z miłością. Vincent zawsze był kochającym ojcem, co do tego nie miała wątpliwości.

Urlop Vincenta zbyt szybko dobiegł końca.

W niedzielę rano Audra wstała o piątej rano, by przygotować śniadanie, podczas gdy on golił się i ubierał.

Jajka były artykułem deficytowym, ale Audrze udało się zdobyć dwa. Jedno ugotowała poprzedniego dnia Christinie, a drugie smażyła teraz dla Vincenta wraz z pomidorem i kawałeczkiem boczką, który dostała od Elizy.

Kiedy Vincent zobaczył jajko na swoim talerzu, zmartwił się.

– Nie trzeba było – powiedział. – Należało je zostawić dla siebie. Zjedz przynajmniej połowę razem z grzanką.

– Dziękuję ci, ale nie jestem głodna – Audra odmówiła stanowczo. – Proszę, zjedz to, Vincencie. Będziesz bez jedzenia przez wiele godzin. Mówiłeś, że wojskowe pociągi jadą powoli i że nie wiesz, kiedy dojedziesz do Hull.

– To prawda – ale mimo to jadł jajko z ociąganiem i myślał, że lepiej byłoby, gdyby je zostawiła dla Christiny, jeśli już nie ma ochoty zjeść go sama.

Podczas śniadania żadne z nich nie mówiło zbyt dużo. Oboje zdawali sobie sprawę, że on wraca na wojnę i że nie wiadomo, kiedy znowu się zobaczą. Mogą upłynąć długie miesiące, a może nawet lata.

Gdy zegar wybił szóstą, Vincent wstał od stołu.

– Muszę się zbierać. Mój pociąg odjeżdża o siódmej.

– Tak.

Kiedy narzucił na siebie płaszcz, włożył czapkę i postawił plecak pod drzwiami, powiedział:

– Pocałowałem Christinę, zanim zszedłem na śniadanie... Nie chcę iść jeszcze raz na górę, bo mógłbym ją obudzić. Pożegnaj ją ode mnie.

Audra przytaknęła ze ściśniętym gardłem. Zbliżyła się do niego i wspięła na palce, by go pocałować. Oddał pocałunek i przez chwilę mocno tulił ją do siebie.

– Proszę cię, Vincencie, uważaj na siebie – zdołała powiedzieć zdławionym głosem.

– Obiecuję ci to, nie przejmuj się, kochana. Będę pisać...

W chwilę później już go nie było. Nagle została w kuchni sama. Podbiegła do okna, odsunęła firankę i patrzyła, jak spieszny krok idzie ścieżką, w słabym świetle styczniowego ranka.

Instynktownie przycisnęła rękę do serca, lękając się o jego bezpieczeństwo. – Wróć do mnie – szepnęła w ciszy pustego pokoju. Stała tak przez pewien czas, długo po tym, jak znikł jej z oczu, starając

pogodzić się z tym nieodwracalnym faktem. Jej miłość do Vincenta Crowthera nie zmniejszyła się, pomimo wszystkich konfliktów i problemów, jakie przeżyli w ciągu lat małżeństwa.

Rozdział trzydziesty

Przyszła wiosna, a wraz z nią koniec „wojny na niby”. Wieczorami Audra przesiadywała przy radiu, podczas gdy Christina odrabiała lekcje i rysowała lub malowała. Im więcej wiadomości wysłuchiwała Audra, tym większy stawał się jej niepokój o męża, resztę rodziny i przyjaciół, którzy walczyli z wrogiem.

Wydarzenia rozgrywały się z taką szybkością, że z trudem udawało się je śledzić. Dziewiątego kwietnia Hitler zaatakował Danię i Norwegię. Dania padła od razu, ale dzielni Norwegowie walczyli heroicznie. Zwrócili się o pomoc do Wielkiej Brytanii. Natychmiast zostały wysłane siły lądowe i morskie.

Przez następne trzy tygodnie Audra zachowywała się jak lunatycka, automatycznie wykonując wszystkie czynności. Z radia wiedziała, że niszczyciel Vincenta znajdował się wśród okrętów, które popłynęły na pomoc Norwegii. Była sparaliżowana strachem i po raz pierwszy w życiu opuścił ją wrodzony optymizm.

Wiadomości z frontu okazywały się z dnia na dzień coraz gorsze. Kiedy brała do ręki gazetę, serce podchodziło jej do gardła.

Luftwaffe dokonała spustoszeń pośród sił brytyjskich próbujących pomagać Norwegom i pod koniec miesiąca większość korpusu ekspedycyjnego została ewakuowana. Okręt Vincenta w końcu też dowiółk się na brytyjskie wody terytorialne – w cudowny sposób był bezpieczny. Straty w ludziach i sprzęcie były ogromne i wkrótce Audra, jak i reszta mieszkańców kraju, zrozumiała, że katastrofa ta jest wynikiem wcześniejszego ignorowania ostrzeżeń Winstona Churchilla.

– Bogu dzięki, że nareszcie mianowano go premierem – powiedziała Audra do Laurette, kiedy siedziały razem przy odbiorniku wieczorem trzynastego maja.

Tego wieczoru Churchill wygłosił w Izbie Gmin swoje pierwsze przemówienie jako premier.

– Vincent zawsze mówił, że Churchill jest jedynym człowiekiem, zdolnym wyprowadzić nas z tego bałaganu i wiem, że miał rację – oświadczyła Audra.

– Zgadzam się, ale i tak musimy uzbroić się w cierpliwość, bo to długo potrwa – przytaknęła Laurette.

– Niemniej jednak mamy teraz *prawdziwego* przywódcę... – Audra przerwała, dotknęła ramienia Christiny i, wskazując na radio, położyła palec na ustach.

Wszystkie trzy siedziały w skupieniu, starając się uchwycić każde słowo, zasluchane w niezwykle głośny i swoisty retorykę Winstona Churchilla, napełniającego swoich rodaków nadzieją, odwagą i ufnością.

Audra i Laurette tego wieczoru były pełne otuchy; w miarę wskazkę jak mijały dni i tygodnie, Audra rozumiała, że jej szwagierka miała rację. Wszyscy *musieli* uzbroić się w cierpliwość, oblężenie zapowiadało się na długie i ciężkie.

Najpierw było piekło Dunkierki.

Tysiące brytyjskich i alianckich żołnierzy zostało zepchniętych na plażę północnej Francji i okrutnie ściśniętych między morzem i zbliżającą się niemiecką armią. Anglia czekała powstrzymując oddech. Pułki zostały uratowane tylko dzięki aktowi desperackiej odwagi flotylli złożonej z rozmaitych statków: niszczycieli, kutrów, łodzi rybackich, jachtów, trawlerów, a nawet barek. Cywile odpowiedzieli na wezwanie Winstona Churchilla, by każdy, kto ma jakiś sprzęt pływający, pomógł marynarce wojennej zabierać żołnierzy z plaż. Dzięki tej pomocy ocalone zostało życie tysięcy ludzi, a sam wyczyn swą niezwykłością pobudził wyobraźnię całej Anglii i jej sojuszników.

Wielki epos Dunkierki stał się natchnieniem dla wszystkich i Audra podczas swoich dyżurów w szpitalu widziała, jak wzrosło morale ludzi.

Sama pokładała w Winstonie Churchillu niezwykłą nadzieję, choć on przecież zaledwie kilka tygodni temu powiedział narodowi: *Nie mam wam nic do zaoferowania oprócz krwi, trudu, łez i potu*. Doskonale rozumiała te słowa, jak i to, że Dunkierka była zaledwie początkiem... Czwartego czerwca Churchill ostrzegł swych rodaków, że straszliwa burza dopiero nadejdzie i będzie sprawdzianem dla wszystkich. Tak się też stało.

Padła Francja.

I Anglia nagle została osamotniona.

W sierpniu całą potęgę niemieckiej Luftwaffe rzucono na kraj, a bombardowania te miały ciągnąć się miesiącami.

Zaczęła się bitwa o Anglię.

Początkowo naloty koncentrowały się na Londynie i południowych hrabstwach, ale wkrótce ich zasięg się rozszerzył – wiele ośrodków przemysłowych i lotnisk w środkowej Anglii oraz na północy stało się również celem ataków.

Pewnego, sobotniego popołudnia Audra ścinała róże w ogródku, kiedy w ciszę upalnego dnia wdarło się buczenie samolotów i szkieletowe serie karabinów maszynowych.

Poderwała gwałtownie głowę do góry. Mrużąc oczy przed słońcem zobaczyła walkę powietrzną wprost nad swoim domem, nad swoim bezcennym, małym światem. To, że taka scena rozgrywa się nad Anglią w biały dzień, oszołomiło ją. Stała jak skamieniała, wpatrując się w błękitne niebo. Nagle jeden z samolotów eksplodował pękiem ognia i dymu i zaczął spadać na ziemię.

– Mamusiu, mamusiu – krzyknęła Christina, rzucając pędzel i paletę.

Głos dziewczynki zmobilizował Audrę do działania. Chwyciwszy córeczkę za rękę, pociągnęła ją za sobą w stronę schronu.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli zostaniemy tutaj przez chwilę, na wypadek gdyby spadły odłamki – powiedziała do córki i zmusiła się do uśmiechu.

– Było takie piękne popołudnie... Wszystko stało się tak nagle, prawda, mamusiu?

– Tak – Audra popatrzyła na ścianę schronu pokrytą falistą blachą i zamyśliła się. Potem szepnęła zasmuconym głosem: – *Spokojne serca pod angielskim niebem.*

– To z wiersza Ruperta Brooke'a, z tej książki, którą dostałaś od swojej matki dawno temu, prawda, mamusi?

– Tak – przytaknęła Audra. – Kiedy przed chwilą patrzyłam na nasze piękne, angielskie niebo i zobaczyłam te walczące ze sobą samoloty, to ten właśnie wers z wiersza przemknął mi przez myśl. Nie mogłam nie zadać sobie pytania: Kiedy wreszcie nasze serca zaznają znowu spokoju? – Łzy pojawiły się w oczach Audry, gdy dodała: – Z łatwością mógł to być Theo... jest taki młody, ma dopiero dziewiętnaście lat... Zresztą wszyscy chłopcy w RAF-ie są bardzo młodzi. Och, Christie, módl się, żeby Theo był bezpieczny. Ja modłę się za niego codziennie.

– Tak, mamusiu, ja też. Modłę się za tatusia, ciocię Maggie i wujka Mike'a, i moich wujów, i wszystkich, którzy za nas walczą.

Niemieckie naloty na Anglię nie ustawały i chociaż głównym ich celem był Londyn, to Leeds było jednym z tych północnych miast, które mocno ucierpiały w tym okresie.

Audra i Christina spędzały teraz w schronie prawie każdą noc. Przebywały w nim same. Audrze nie udało się przekonać pani Dobbs, by chroniła się razem z nimi.

Jeśli Laurette gościła u nich i rozpoczynał się alarm, to Audra nalegała, by szła z nimi na noc do schronu. Nie mogła pozwolić, aby szwagierka wędrowała podczas nalotu aż na Moorfield Road, nawet jeśli niebo było jasne od reflektorów. Poza tym obrona cywilna ostrzegała, żeby pozostawać w domu.

Schron był teraz wyposażony w łóżka polowe, koce i poduszki, świece, lampy parafinowe, naftowe, naftowy piecyk do ogrzewania wnętrza i apteczkę pierwszej pomocy. Audra umieściła tu także trochę jedzenia w puszkach oraz świeżą wodę w butelkach, którą codziennie zanosili tam obie z Christiną na wypadek niebezpieczeństwa.

Jednakże pomimo bombardowań, nieustającego strachu, troski o Vincenta, resztę rodziny i przyjaciół, mimo ogólnych trudności, życie toczyło się dalej.

Gazety przyniosły wiadomość o niemieckiej inwazji na Anglię pod koniec sierpnia, sami Anglicy jednak podchodzili do tego ze zwykłym sobie, niewzruszonym spokojem.

Postawa Audry zdawała się sumować powszechne odczucia, gdy pewnego dnia w końcu sierpnia powiedziała Christine:

– Inwazja czy nie inwazja, a ty we wrześniu zaczynasz naukę w prywatnej szkole dla dziewcząt panny Mellor. Musisz otrzymać wykształcenie bez względu na to, czy Niemcy wylądują, czy nie. Poza tym, jak to powiedział Winston Churchill, będziemy walczyć z nimi zza żywopłotów, jeśli będzie trzeba, i niszczyć ich co do jednego.

– A więc jednak pójdę do szkoły panny Mellor – wykrzyknęła podniecona Christina i twarz jej rozplynęła się w uśmiechu.

Siedziały obie w górnej części tramwaju jadącego do Leeds.

– Oczywiście, że pójdiesz. Dlaczego jesteś taka zdziwiona?

– No, bo nic o tym ostatnio nie wspominałaś, nawet gdy zdałam egzaminy wstępne. Myślałam więc, że zmieniłaś zdanie.

– A niby dlaczego miałabym zmieniać zdanie?

– Myślałam, mamusiu, że może babcia coś ci powiedziała.

– Babcia?

– Tak. Słyszałam, jak mówiła do dziadka, że nie powinnaś mnie posyłać do szkoły prywatnej, bo zupełnie mi wystarczy miejscowa szkoła. Powiedziała też, że masz wobec mnie wielkie plany i że z tego będą tylko kłopoty. Myślałam, że to samo powiedziała tobie i że jej posłuchałaś.

– To by dopiero było wydarzenie – odparła Audra z odrobiną złości. – No, a co odpowiedział na to dziadek? Jestem bardzo ciekawa.

– Powiedział, że mądrze robisz, sięgając wysoko i że on cię za to szanuje. A potem jeszcze mówił babci, że pewnego dnia będę wielką artystką.

– Dziadek ma rację, Christie – Audra uśmiechnęła się do siebie.

Christina przyjacielskim gestem wsunęła matce rękę pod ramię i powiedziała:

– To dlatego jedziemy do miasta? Kupić mi szkolny mundurk?
– Tak, dlatego. Jestem bardzo podekscytowana tym, że będziesz w szkole panny Mellor. Przedmioty artystyczne są tam na wysokim poziomie. Kilka razy rozmawiałam z nauczycielką rysunku. Ona zna wszystkie nasze plany i przygotowuje cię dobrze do studiów w college'u w Leeds.

– A później pójdę do Królewskiej Akademii Sztuki w Londynie, prawda, mam? – Christina w napięciu spoglądała na Audrę, a jej wielkie, szare oczy błyszczały w oczekiwaniu na odpowiedź.

Audra nie mogła się nie roześmiać.

– Oczywiście, przecież ci to obiecałam. Ale tam przyjmą cię dopiero, jak będziesz miała dwadzieścia lat. Przed tobą jeszcze długa droga.

Christina i Audra zawsze były sobie bliskie, ale jeszcze bardziej zbliżyły się w latach wojny. Bez Vincenta miały tylko siebie i chociaż często widywały się z Laurette, to większość czasu spędzały tylko we dwie.

Ta wspaniała przyszłość, którą Audra zaplanowała dla swego dziecka, zajmowała nieustannie jej myśli. Nie tylko pracowała i oszczędzała, by opłacić jej wykształcenie, ale również nieustannie starała się rozszerzyć myślowe i artystyczne horyzonty dziewczynki.

Choć wojna nie sprzyjała kulturze, to jednak, gdy w teatrze w Leeds wystawiano nową sztukę, Audra zawsze zdobywała bilety; kiedy tylko nadarzała się okazja, zabierała Christinę na koncerty muzyki klasycznej i przedstawienia operowe. Poza tym w kształtowaniu gustów dziewczynki wielką rolę odgrywała literatura: dzięki matce córka pokochała książki na całe życie.

W latach czterdziestych główną ich rozrywką pozostawało kino i obie czerpały wiele przyjemności z sobotnich wypraw do miejscowego kinoteatru. Zazwyczaj towarzyszyła im Laurette, gdyż między nią i Audrą nawiązała się wielka, prawdziwa przyjaźń.

W miarę upływu lat wojny urlopy z wojska były coraz rzadsze. I Vincent, i Mike do zimy czterdziestego drugiego roku byli w domu zaledwie raz.

Obie kobiety niepokoiły się o swych mężów i resztę rodziny Crowthertów, lecz jako osoby o silnych charakterach, nauczyły się żyć w oczekiwaniu na naloty, w schronach, przy racjonowaniu żywności, brakach podstawowych rzeczy, w trudnościach i przede wszystkim w nieustannym lęku, że mogą utracić swych najbliższych. Znosiły to bez słowa skargi czy narzekania, zawsze starając się myśleć o przyszłości, o dniu, w którym Wielka Brytania wygra wojnę i życie stanie się normalne.

W październiku czterdziestego czwartego roku Audrze dopisało szczęście. Margaret Lennox została mianowana przełożoną w miejskim szpitalu w Leeds. Niemal natychmiast zadzwoniła do Audry i zaproponowała jej stanowisko starszej siostry na oddziale chirurgicznym. Audra przyjęła tę posadę od razu, bez zastanawiania się. Pensja była wyższa od obecnej, a i sama praca interesująca. Poza tym zawsze pragnęła znowu pracować razem z Margaret Lennox.

Bardzo szybko przywykła do nowego miejsca, choć był to szpital duży i bardzo ruchliwy. Praca okazała się ciekawa i dawała jej zadowolenie, dlatego też rzuciła się w jej wir ze zwykłą swoją energią i skupieniem. Wiedziała, że to pomoże opanować ciągły lęk o bliskich.

Ku jej przeogromnej uldze początek czterdziestego piątego roku przyniósł dobre wieści z pól bitewnych w całej Europie. Teraz już nikt nie miał wątpliwości, kto ją wygra. Była to tylko kwestia czasu.

Wkrótce Audra zaczęła sięgać po gazety i włączać radio bardziej z ciekawością, niż z lękiem. Wiosną wraz z całym krajem żyła nadzieją i wreszcie siódmego maja Niemcy skapitulowały.

I nagle wojna w Europie dobiegła końca.

Audra i Christina z trudem mogły w to uwierzyć. Śmiały się, płakały i ścisnęły jedna drugą. Dwa dni wcześniej Christina obchodziła swoje cztertnaste urodziny.

– To mój najpiękniejszy prezent, mamusiu – powiedziała teraz Audrze. – Świadomość, że tatuś jest bezpieczny i że wszystko już poza nami.

– Masz rację, kochanie – odparła Audra i spojrzała na rząd fotografii stojących na niskim kredensie: Vincent, jej brat William, Mike, Theo Bell, Maggie i bracia Vincenta, Frank Jack, Bill i Danny, mąż Olive, Hall. Jak dumnie wyglądali w swych mundurach!

Odwróciła się do Christiny i powiedziała miękko:

– Dzięki Bogu, teraz już są wszyscy bezpieczni. Jakże szczęśliwi jesteśmy... Szczęśliwsi niż większość ludzi.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Przez kilka następnych lat Audra Crowther była tak zajęta pracą, że nie miała chwili wytchnienia, chyba żeby tylko spojrzeć na swą śliczną i utalentowaną córkę.

Pewnego dnia jednak stanęła przed lustrem i spróbowała się ocenić.

Był ciepły lipcowy dzień tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku. Po południu Christina miała otrzymać dyplom z wyróżnieniem w college'u w Leeds. Był to niezwykle ważny dzień tak w życiu córki, jak i jej własnym i Vincenta. Nic więc dziwnego, że chciała wyglądać jak mogła najlepiej.

Zbliżyła się bardziej do lustra i uważnie przyjrzała swej twarzy. Wokół oczu było kilka wymownych zmarszczek, a na skroniach kilka siwych włosów. Upór i zdecydowanie, tak charakterystyczne dla jej rysów, uwidoczniły się jeszcze bardziej. Lecz jak na swoje czterdzieści cztery lata nie wyglądała najgorzej – pomyślała.

Jasnobrązowe gęste i lśniące włosy, okalające twarz, były ładnie obcięte i ułożone. Brzoskwiniowa cera gładka jak zawsze, a i błękit oczu nie przygasł z latami.

Zachowałam też szczupłą figurę – dodała w myślach, sięgając po tubkę z kremem podkładowym. Zwykle, zanim wybiegała do pracy w szpitalu, miała czas tylko na przypudrowanie nosa i pomalowanie ust. Jednak dzisiaj postanowiła nie szczędzić czasu i zrobić porządny makijaż. Z tą też myślą pożyczyła od Christiny zestaw kosmetyków.

Po chwili z zadowoleniem oglądała w lustrze rezultat. Była zaskoczona własnym odbiciem. Makijaż podkreślił jej najlepsze rysy, dodał blasku oczom, ożywił cerę. Twarz nagle stała się świeża i żywa. Z przyjemnością wyszczotkowała włosy, starannie je ułożyła i wreszcie wtarła za uszami trochę swych ulubionych perfum o zapachu gardenii.

Potem wstała od toaletki, podeszła do szafy i wyjęła granatową jedwabną suknię, którą uszyła sobie w ubiegłym tygodniu. Była to znakomita kopia popołudniowej kreacji Diora, którą widziała w „Vogue”.

Położyła suknię na łóżku, wyjęła granatową torebkę, białe jedwabne rękawiczki, mały kapelusik z granatowej słomki ozdobionej białą różą i wreszcie granatowe czółenka, kupione wczoraj.

Kiedy już była ubrana, przypięła długie, owalne kolczyki – gwiazdkowy prezent od Vincenta, wsunęła na palec zaręczynowy pierścionek matki, a potem wyjęła z szuflady pudełko z perłami Laurette.

Podniosła wieczko i przyglądała im się z zachwytem. Był to sznur pereł doskonałej jakości. Mike kupił je dla Laurette u najlepszego jublera w Leeds niedługo przed końcem wojny.

Audra westchnęła i ogarnął ją smutek na myśl o drogiej jej sercu szwagierce, która zmarła przed trzema laty. Stało się to tak nagle, że dotąd nie mogła przywyknąć do tej myśli. Nikt zresztą nie mógł się z tym pogodzić. Wiosną czterdziestego ósmego Laurette wyglądała znakomicie, latem zachorowała, a w listopadzie odbył się pogrzeb. Zmarła na raka. Audra dziękowała Bogu, że trwało to tak krótko i że cierpienie nie przedłużyło się. Jednakże teraz bardzo brakowało jej Laurette.

Zostawiła po sobie wielką pustkę – dla całej rodziny.

Audra przypomniła sobie, że czas umyka, wyjęła perły z pudełka i włożyła je na szyję. Spojrzała w lustro, delikatnie dotknęła naszyjnika i pozwoliła oddalić się smutkowi i bolesnym wspomnieniom o zmarłej. Ostatnią rzeczą, której Laurette by pragnęła w dniu takim jak ten, byłby smutek. Zawsze była niezmiernie dumna z Christiny.

Audra wstała, podeszła do łóżka, wzięła leżące tam rękawiczki i torebkę, a potem zeszła na dół. Stała w hallu koło stolika z telefonem, zastanawiając się, gdzie się podziewa Vincent. Powiedział, że będzie w domu o wpół do drugiej, a teraz już była pierwsza czterdzieści pięć.

Jeśli nie liczyć szoku i bólu wywołanego śmiercią Laurette, to ostatnie lata były dobre dla Crowtherów. Nie mieszkali już w domku przy Pot Lane. W czterdziestym dziewiątym przeprowadzili się do znacznie większego w Upper Armely. Dom znajdował się w pobliżu Charlie Cake Park, miał trzy sypialnie, jadalnię, bawialnię i obszerny, obliczony na dużą rodzinę, kuchnię-salonik, gdzie, jak zawsze, koncentrowało się życie. Pokoje były obszerne i jasne – w całym domu było dużo przestrzeni i światła.

Audra szczególnie lubiła długi ogród na tyłach domu. Obsadziła go krzakami róż i obsiała ostróżkami, a także innymi kwiatami. Obok rozciągał się duży, zielony trawnik. Tak więc latem był tu prawdziwy raj. Audra doznawała wielkiej przyjemności przy pracy w ogrodzie i grządkach warzyw, które hodowała wzdłuż wysokiego ogrodzenia.

Vincentowi dobrze się wiodło. Po zakończeniu wojny, natychmiast po demobilizacji, wstąpił do spółki Freda Varleya i jego syna, Harry'ego. Wreszcie też, po wielu latach obietnic, zapisał się na wieczorowe kursy kreślarnstwa i architektury. Teraz już nie pracował bezpośrednio na budowach, ale prowadził z Fredem interesy, on też wykonywał większość planów, kreśleń i prac papierkowych. „Varley i Crowther” to było małe przedsiębiorstwo, miało jednak zawsze dużo zleceń i realizowało większość miejscowych zamówień. Vincent zarabiał więc

bardzo przyzwoicie i sam był w stanie utrzymać rodzinę. Pieniądze, które przynosiła Audra, odkładali w banku na wykształcenie Christiny i jej ubranie.

Wojna bardzo zmieniała Vincenta Crowthera.

Gwałtowność charakteru i niespokojne zachowanie uległy wyciszeniu przez zniszczenie i śmierć, których był świadkiem. Teraz też lubił wstąpić w czasie weekendu do pubu i dalej obstawiał konie, ale już nie pozwalał sobie na żadne romansowe „skoki w bok” z innymi kobietami.

Nie zmieniły się jednak jego stosunki z Audrą, chociaż po dwudziestu trzech latach małżeństwa przywykli do siebie. Było to małżeństwo, któremu udało się przetrwać, a poza tym łączyła ich silna więź: ogromna duma z córki, która okazała się rzeczywiście kimś wyjątkowym.

Audra rozmyślała o Christinie i ubraniach, które jeszcze miała jej uszyć, kiedy napełniała herbatą dzbanek i niosła do stołu. Do wyjazdu do Londynu pozostało tylko dziesięć dni. Cóż, chyba zdąży przez ten czas skroić i uszyć przynajmniej jedną sukienkę.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział Vincent, wchodząc pośpiesznie do kuchni tylnym wejściem. – Na drodze z Pudsey był taki korek... Myślałem już, że nie dojadę... – przerwał i spojrzął na nią zdziwiony. – Co ty ze sobą zrobiłaś, Audro?

– Nic nie zrobiłam! – wykrzyknęła sztywniejąc. W jego głosie dosłyszała nutę krytycyzmu.

Przechylił głowę na bok i przypatrywał jej się uważnie.

– To chyba ten kapelusz, a może nowa suknia...

– O mój Boże, to tylko makijaż – powiedziała cicho. – Nałożyłam na twarz trochę kremu podkładowego i różu.

– Podoba mi się to – powiedział z uśmiechem. – Ładnie wyglądasz. Bardzo ładnie, kochanie. Powinnaś mieć taki makijaż częściej.

Audra lekko się uśmiechnęła i szybko odwróciła wzrok. Nagle poczuła zakłopotanie, widząc, jak bacznie jej się przygląda. Vincent nie patrzył na nią w ten sposób od lat.

– Czy podać ci teraz filiżankę herbaty, czy może później, kiedy się przebierzesz? – powiedziała, by przerwać ciszę.

– Później. Wrócę za kilka minut.

Wyszedł pośpiesznie z kuchni. Audra pozostała przy stole, patrząc w ślad za nim i pomyślała, że doskonale wygląda.

W ciągu tych lat Vincent niewiele się zmienił i mało się postarzał. W ubiegłym miesiącu skończył czterdzieści osiem lat, lecz wyglądał dużo młodziej. Nie miał ani jednego siwego włosa, a twarz zachowała swój chłopięcy wyraz; gładkość policzków i czoła wraz ze świeżością cery tylko podkreślały jego młody wygląd.

Wysunęła krzesło i usiadła w oczekiwaniu na jego powrót. Myślała o nim i zastanawiała się, czy i teraz miewa jakieś romanse. Przed laty podejrzewała, że spotyka się z innymi kobietami, choć nigdy nie słyszała na ten temat żadnych plotek ani też nie miała żadnych dowodów. Lecz czasami stosunki między nimi były tak złe, że przypuszczała, iż mógł szukać pocieszenia w innych, bardziej chętnych niż jej własne ramionach.

Wydała głębokie westchnienie i pokręciła głową, lekko sobą poirytowana. Nachodziły ją dzisiaj takie dziwne myśli. Najpierw była bliska płaczu wspominając Laurette, a teraz roztrząsała różne dawne sprawy dotyczące Vincenta. Jakby to miało obecnie jakieś znaczenie.

– Wypijmy teraz herbatę, Audro – zawołał Vincent, wchodząc z powrotem do kuchni. – Mamy już niewiele czasu.

Usiadł naprzeciw niej i sięgnął po dzbanek.

– U Christie wszystko w porządku?

– Tak – odparła. – Wyszła w południe. Powiedziała, że ma parę rzeczy do sprawdzenia w galerii college'u. Zawsze się troszczy o dobre światło dla obrazów; wiesz, jaka to perfekcjonistka. Wszystko musi być u niej w idealnym porządku.

– Tak samo jak u matki – powiedział śmiejąc się. – No, a teraz, kochanie, pozbieraj swoje rzeczy i wychodzimy. Nie możemy się spóźnić na tę uroczystość. To jest coś, na co czekałaś przez dwadzieścia lat.

Audra uśmiechnęła się.

– To święta prawda. Czekaliśmy razem...

Później, gdy już jechali do miasta, Audra nagle położyła dłoń na kolanie Vincenta i ścisnęła je. Spojrzał na nią kątem oka.

– O co chodzi?

– Wiem, że któregoś dnia Christina będzie tak samo sławna, jak dwoje wielkich ludzi, byłych studentów Szkoły Sztuk Pięknych w Leeds, Barbara Hepworth i Henry Moore.

Vincent przytaknął. Czy miał prawo się z nią sprzeczać? Jak dotąd, gdy chodziło o ich córkę, zawsze miała rację.

Christina

1951 -1965

Rozdział trzydziesty drugi

Christina była zakochana w swoim małym, londyńskim mieszkanku. Mieściło się ono w wysokim, wąskim domu przy Chester Street, w pobliżu Belgrave Square. Dom należał do Ireny Bell i Christina wraz z matką kilkakrotnie zatrzymywały się tam w przeszłości, gdy przyjeżdżały do Londynu na swoje „wyprawy edukacyjne” – zwiedzanie galerii malarstwa i muzeów.

Irena Bell wynajęła im mieszkanie za cztery gwinee tygodniowo. Audra była pewna, że jest to uczciwa cena i tak było w istocie, jednak Christina wiedziała, że pani Bell wołałaby nie brać żadnego czynszu. Lecz, jak to wytłumaczyła jej na osobności, Audra by się na to nie zgodziła.

– Twój a matka jest zbyt bystra – powiedziała Irena Bell – i gdyby czynsz wydawał się jej za niski, zaczęłaby coś podejrzewać.

Christina zgodziła się z tym i wspólnie ustaliły rozsądną wysokość opłaty.

Mieszkanie, mieszczące się na ostatnim piętrze, było właściwie przerobione ze strychu. Składało się z sypialni, living-roomu, łazienki i kuchni. Miało osobne wejście i stanowiło samodzielną całość.

Początkowo Irena Bell przygotowała je dla swoich córek. Było to najpierw ich *pied-à-terre*, a potem przejął je Theo, kiedy studiował prawo w Cambridge i wpadał od czasu do czasu na weekendy do Londynu. Theo, teraz już trzydziestoletni, był adwokatem z własną kancelarią w Temple. Niedawno ożenił się i wraz ze swą żoną, Angelą,

zajmował ten właśnie dom. Niekiedy, ale raczej rzadko, przyjeżdżała do nich Irena Bell. Przekroczyła już siedemdziesiątkę i po śmierci męża niezbyt chętnie opuszczała dom. Lubiła przebywać w Calpher House i gościć u siebie dzieci oraz liczne wnuki.

Tego dnia, kiedy Christina i Audra przyjechały z Leeds, dom Bellów był pusty. Theo i Angela wyjechali na wakacje do Francji. Ale pani Bell dała Audrze zapasowe klucze i powiedziała, żeby się rozgościły i czuły jak u siebie. Co też i uczyniły, a teraz, pod koniec pierwszego tygodnia pobytu w Londynie, Christina już się nawet urządziła.

Ształugi, zapasowe płótna, farby i pędzle były na swoich miejscach, tak jak książki, ubrania i inne drobiazgi.

Ubrania zapełniły dużą wbudowaną szafę w sypialni; ilekroć Christina tam zaglądała, pozostawała pod wrażeniem tej kolekcji strojów, które uszyła dla niej matka.

Szycie, przymierzanie i prasowanie ciągnęło się przez osiem miesięcy, lecz dopiero wtedy, kiedy zobaczyła wszystko na wieszakach w szafie, zdała sobie sprawę, jakim wielkim wysiłkiem było dla matki stworzenie tej modnej garderoby.

– Będę najlepiej ubraną dziewczyną w Królewskiej Akademii Sztuki – powiedziała Christina do matki w piątek po południu, gdy wyjęła perłowoszarą, jedwabną suknię, przyłożyła do siebie i spojrzała w lustro.

– Mam nadzieję – odparła Audra z lekkim śmiechem. – Napracowałam się nad tym co niemiara.

– Och, mamusiu, rzeczywiście! Wiem, jak się trudziłaś. Dziękuję ci za wszystkie moje śliczne stroje, za czas i trud, jakie w nie włożyłaś i za pieniądze, które wydałaś. Mamo, ty jesteś prawdziwym cudem, naprawdę tak jest.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparła Audra, pośpiesznie przerywając podziękowania i komplementy. Mimo to wyglądała na zadowoloną, gdy weszła do sypialni i usiadła na jednym z łóżek.

Christina odwróciła się do niej, trzymając przy sobie suknię.

– Co myślisz o tym na dzisiejsze wyjście do teatru, mamusiu?

Audra skinieniem głowy wyraziła aprobatę. Christina rzuciła jej promienny uśmiech, powiesiła suknię na drzwiach szafy i powiedziała:

– Muszę poszukać odpowiednich butów i torebki... Myślę że najlepsze będą czarne lakierki. I może wezmę ten szary jedwabny szal od Diora, który babcia dała mi na urodziny. To na wypadek, gdyby się później ochłodziło.

– Nie sędzę, żeby tak się stało – powiedziała Audra – jest dziś strasznie gorąco. W ogóle to sędzę, że czeka nas w czasie weekendu fala upału.

– Mamo, nie mów tego! – Christina skrzywiła się śmiesznie. – Nie wtedy, gdy mamy w planie niedzielny wyjazd do zamku Windsor. Nie mam ochoty chodzić przez cały dzień w takim upale.

Audra uśmiechnęła się i oparła o poduszki, przypatrując się córce, która wybierała dodatki do sukni. Pomyślała przy tym, jak znakomicie wygląda.

Jasnobrązowe włosy Christiny-dziecka z biegiem lat przybrały głęboką rudawą barwę kasztanu, a latem zwykle pojawiały się w nich złociste pasma. Podobieństwo do ojca było wyraźne i choć nie była piękna w potocznym rozumieniu, to przecież miała interesującą twarz o regularnych rysach i delikatnej, podobnej do matczynej, cerze. Oczy – duże, szare, łagodne i jakby lekko zamglone – były oczami Laurette. Christina po Crowtherach odziedziczyła także i wzrost – miała bez obuwia pięć stóp i siedem cali. To sprawiało Audrze szczególną przyjemność; zawsze przecież tak nie lubiła swego niskiego wzrostu.

Poza interesującą powierzchownością i niewątpliwym talentem artystycznym Christina miała jeszcze i inne zalety. Wbrew przepowiedniom babci Elizy Crowther, że prywatna szkoła i wielkie plany Audry sprowadzą same kłopoty, rzeczywistość okazała się inna. Christina nie wyrosła na dziewczynę trudną, zbuntowaną czy na snobkę; nie odwróciła się też od rodziców, przedkładając nad nich przyjaciół z college'u. Wprost przeciwnie. Była kochającą córką, która uwielbiała Audrę i Vincenta tak samo, jak oni uwielbiali ją. Jak w dzieciństwie, tak

i teraz przepadała za ich towarzystwem i wierzyła w ich wyjątkowość.

Audra Crowther wywiązała się więc ze swego zadania bez zarzutu.

Oprócz tego, że wyposażyła Christinę we wszystko, co było w jej mocy, to przekazała jej też najlepszą część samej siebie. Pokazała córce właściwą skalę wartości, wpoila w nią poczucie honoru, obowiązku i potrzebę dążenia do celu. Opierając się na swoim własnym wychowaniu, Audra nauczyła córkę uwzględniania interesów otoczenia. Ale chyba najważniejsze ze wszystkiego było to, że dała Christinie coś bezcennego – poczucie własnej wartości. Dlatego też dziewczyna miała głęboko zakorzenione poczucie bezpieczeństwa.

Aczkolwiek często powściągliwa w okazywaniu uczuć i małomówna w kontakcie z Vincentem (co zresztą leżało u źródeł istniejących między nimi zadrażnień) Audra zdołała wyrazić swą miłość do dziecka słowami, a także demonstracją tego afektu. Obok tej oczywistej i nie skrywanej miłości, oboje rodzice wpajali córce dyscyplinę i wymagali jej na co dzień. Vincent był szczególnie surowy wobec Christiny w okresie jej dorastania, zwłaszcza jeśli chodziło o chłopców.

Rzeczywiście, Christina ma w sobie dużo gracji – pomyślała Audra, obserwując z uwagą córkę. – Ale nie jest doskonałością, bo kto w ogóle jest taki? Christie ma gwałtowny, popędliwy charakter Vincenta, jego kosztowne upodobania, jego miłość do strojów i innych dobrych rzeczy. Bywa też impulsywna. Jednakże, nawet z tym wszystkim, nie jest zepsuta i rozpieszczona. Audra uśmiechnęła się. Ileż to razy Eliza powtarzała: „Psujesz tę dziewczynę, Audro, i to samo robi Vincent. Oboje będziecie tego żałować... O, tak! Oszczędzaj bacika, zepsujesz chłopczyka!” Echo słów wypowiedianych przez teściową odbiło się w jej pamięci.

– Mamusiu, o czym tak rozmyślasz? Czy coś się stało?

Audra drgnęła.

– Nie – zaśmiała się z przymusem. – Mówiąc prawdę, to myślałam o twojej babce. Zawsze mówiła, że moje plany wobec ciebie są zbyt przesadne i za wysoko mierzą. „Takie widzimisień”. To było jej

ulubione określenie na wszystko, co miało coś wspólnego ze mną, gdy byłaś malutka.

– Czy ja tego nie wiem? Babcia jest staroświecka i, biedactwo, ograniczona klasowo. Ale ona chce jak najlepiej, mamusiu, i zawsze była dla mnie bardzo czuła. – Christina uśmiechnęła się ze zrozumieniem. – No, ale przecież jestem jedynym dzieckiem jej ukochanego Wojowniczego Petrela.

– Wojowniczego Petrela?

– Tak, ona tak nazwała tatusia, kiedy się urodził i gdy był małym chłopcem. Nigdy ci o tym nie mówiła?

– Nie. Twoja babka i ja nie byłyśmy ze sobą zbyt zżyte, nigdy się zbyt nie zgadzałyśmy, no i naturalnie, jej wyobrażenia o miejscu kobiety w życiu zawsze bardzo mnie drażniły.

– Co masz na myśli?

– Twoja babka była przekonana, że kobiety powinny... no, nazwijmy to, być posłuszne mężczyznom. Na długo przed twoim urodzeniem była przerażona, kiedy powiedziałam, że chcę dalej pracować zawodowo. Powiedziała mi wtedy, że moim obowiązkiem jest urządzić dom, mieć dzieci, dbać o nie i o męża.

– Rozumiem, mamó, dlaczego tak mówiła. Nie sądzę też, że pochwała mój wyjazd do Londynu i studia w Królewskiej Akademii Sztuki. Ona uważa to za stratę pieniędzy. Kiedy żegnałam się z nią i z dziadkiem, to powiedziała coś takiego: że zmarnują się te wszystkie wydatki na mnie, gdy spotkam jakiegoś odpowiedniego młodego mężczyznę i będę musiała przerwać studia, wyjść za mąż i mieć dzieci.

Audra uśmiechnęła się słabo.

– To w stylu Elizy... – przerwała w zamyśleniu i po chwili utkwiała w córce spojrzeniem swych bystrych, błękitnych oczu. – Wiesz, Christie – powiedziała – bardzo się cieszę, że jesteś ambitna, że chcesz zrobić karierę zawodową i wiele innych rzeczy w życiu. Wszystko to możesz mieć, wiesz o tym dobrze, naprawdę możesz. Właściwie, jeśli się człowiek stara, to może osiągnąć wszystko. Nigdy, ale to nigdy nie ograniczaj się.

– Tak jak mnie tego uczyłaś... – Christina przerwała jej z uśmiechem. – Pamiętam też dobrze, co powiedział dziadek wtedy we wrześniu, gdy szłam do szkoły panny Mellor, a babcia wygłaszała jak zwykle swoje przepowiednie. Powiedział, że masz słuszość *sięgając po gwiazdkę z nieba*. On cię, mamó, zawsze za to szanował i podziwiał.

Zadzwoił telefon, stojący na małym biurku, i Christina sięgnęła po słuchawkę.

– Halo, tatusiu. Jak się masz? – Słuchała przez chwilę uważnie, a potem spojrzała na Audrę, skinęła głową i uśmiechnęła się. – Tak, tatusiu, rozumiałam. Tak, byliśmy na lunchu u Fortnuma, a popołudnie spędziłyśmy w galerii Tate, oglądając obrazy Turnera. – Christina roześmiała się z jakiejś uwagi ojca i dodała: – Teraz daję ci mamę.

Audra wstała i wzięła słuchawkę z rąk córki.

– Halo, Vincencie. Czy wszystko w porządku? – zapytała i natychmiast zamilkła, słuchając potoku słów.

Christina wyslizgnęła się z pokoju z uśmiechem na twarzy. Przeszła mikroskopijny hall i weszła do kuchenki. Postawiła czajnik na gazie, a potem wyjęła z lodówki pomidory, sałatę i cykorię, i zaczęła je myć pod kranem.

W kilka minut później weszła Audra i zaproponowała, że jej pomoże.

– Nie ma tu wiele do roboty, naprawdę. – Christina spojrzała przez ramię i zauważyła: – Słowo daję, z taty robi się stary maruda. Nie mogę z nim porozmawiać, by nie zaczął mi mówić, że mam na siebie uważać. Ciągłe powtarza: „Pamiętaj o tym, kochanie”. Zupełnie nie rozumiem, co się z nim ostatnio stało.

– Cóż, dla niego jesteś *ciągle* jego malutką córeczką. Przypuszczam więc, że boi się o ciebie teraz, gdy jesteś tu sama.

– Mhmm – było jedyną odpowiedzią Christiny. Nagle zachichotała i powiedziała: – O rany! Ale będziesz miała rachunek telefoniczny, jak wrócisz do domu. Tatuś ciągle z nami rozmawiał przez ten tydzień. –

Zaczęła się śmiać i oczy zabłyśły jej filuternie. – Wygląda, jakby tato znowu się do ciebie zalecał.

– Nie bądź śmieszna! – krzyknęła Audra.

Tego wieczoru Christina zabierała Audrę na przedstawienie z jej ulubionymi aktorami – Vivien Leigh i Laurence'em Olivierem. Oboje występowali w spektaklach „Cezar i Kleopatra” Shawa i „Antoniusz i Kleopatra” Szekspira. Obie sztuki szły przez dwa kolejne wieczory. I to właśnie była niespodzianka, jaką matce zrobiła Christina.

Audra wiedziała, że wybierają się do teatru, ale nie miała pojęcia na co. Wpadła w zachwyt, gdy Christina wymieniła tytuły sztuk.

– Nie ma sensu oglądanie tylko jednej sztuki, dlatego kupiłam bilety na oba spektakle, tak więc jutro też idziemy do teatru.

– Och, kochanie, jaka ty jesteś rozrzutna, zupełnie jak twój ojciec – powiedziała Audra, jednak twarz jej promieniała radością. Z trudem powstrzymywała podniecenie, gdy zajmowały swoje miejsca na widowni, dlatego też wyciągnęła rękę, mocno uściśnęła dłoń córki i szepnęła: – Dziękuję ci, Christie, za to, że pomyślałaś o takiej uczcie duchowej dla mnie... Wiem, że tego przeżycia nigdy nie zapomnę.

Nim się obejrzały, drugi tydzień pobytu Audry w Londynie dobiegł końca. Był to dla matki i córki wspaniały okres. Oprócz tego, że Audra pomagała Christinie w urządzeniu się przed rozpoczęciem studiów, sporo czasu spędzały razem. Chodziły do teatru i do kina; zwiedzały muzea i galerie sztuki, ile się dało.

Vincent dał Audrze przed wyjazdem z Leeds trochę pieniędzy i powiedział, żeby wybrały się gdzieś na obiad na jego koszt. Tak też zrobiły, zamawiając stolik w małym bistro Chez Jacques. Część czasu spędzały zajęte urządzeniem mieszkania, na spacerach w Green Park, po Mail i na oglądaniu wystaw na Bond Street. Każda ze wspólnie spędzonych minut była dla obu kobiet niezmiernie cenna i Audra nigdy nie zapomniała tych dwóch tygodni z Christiną.

– Mój pobyt w Londynie, to było wyjątkowe przeżycie – powiedziała, gdy już siedziały w taksówce w drodze na dworzec King's Cross, w dzień jej odjazdu do domu.

– Dla mnie też, mamusiu – odpowiedziała Christina i natychmiast zamilkła. Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo będzie jej brakowało matki; pomyślała też z niechęcią, że od jutra będzie już zdana na własne siły.

Obu było trochę smutno, gdy szły po peronie do pociągu. Tuż przed wejściem Audry do wagonu, Christina mocno ją uściskała i powiedziała drżącym głosem:

– Nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć ani odplacić za wszystko, co dla mnie zrobiłaś, mamusiu. Jesteś najlepszą, najwspanialszą matką na świecie.

Audra spojrzała na córkę i wyraz zdziwienia przemknął jej po twarzy.

– Ależ ja tylko wypełniałam swój obowiązek! – zawołała.

Audra powiedziała Vincentowi, żeby nie wyjeżdżał po nią na dworzec i ze zwykłą sobie oszczędnością pojechała do Upper Armley tramwajem.

W chwili gdy weszła do domu, uświadomiła sobie panującą w nim ciszę, była nią wręcz ogłuszona. Gdy rozbierała się w hallu, poczuła, że łzy, które przez cały dzień powstrzymywała, teraz znalazły ujście. Całe słońce zniknęło z mego życia – pomyślała, sięgając do kieszeni po chusteczkę.

Vincent również odczuł nieobecność Christiny, gdy tego wieczoru wrócił do domu. Lecz, świadomy smutku żony, nic o tym nie powiedział Audrze. Zamiast tego skłonił ją pytaniami do opowiadania o podróży, przekonany, że w ten sposób przełamie nastrój przygnębienia. I rzeczywiście tak się stało.

Jednakże po kolacji, kiedy pili kawę siedząc przed kominkiem, Audra znowu zamknęła się w sobie. Podobnie uczynił Vincent i przez dłuższą chwilę oboje milczeli, pogrążeni we własnych myślach.

Nagle Vincent poczuł, że musi się z nią podzielić swymi refleksjami. Spojrzał więc w jej stronę i powiedział cicho:

– To takie dziwne wiedzieć, że w domu nie ma Christiny. Czy nie słyszysz tej ciszy, Audro?

– Tak.

– Cóż, moja miła, ona od nas odeszła – westchnął Vincent. – I nie przypuszczam, by znowu tu wróciła, by z nami zamieszkać.

– Ja tego od niej nie wymagam, Vincencie – Audra zmarszczyła brwi. – Gdyby tak się stało, to po co byłyby wszystkie te starania?

– O tak, to prawda. Kiedy była niemowlęciem, powiedziałaś, że dasz jej gwiazdkę z nieba. I zrobiłaś to, kochanie.

Vincent popijając kawę wyciągnął papierosy. Bawił się nimi przez chwilę, zanim położył paczkę na stole. Utkwił wzrok w Audrze i stwierdził:

– Oboje wiele przeżyliśmy, Audro.

– Tak, rzeczywiście. – Spotkała się z nim oczyma. Uderzyła ją dziwna myśl i nim się powstrzymała, powiedziała. – Myślę, że byliśmy poddani próbie.

– Spojrzał na nią uważnie.

– Ale przeszliśmy przez nią z powodzeniem. Czy nie mam racji, Vincencie?

– Skinął twierdząco.

– Pomyślałem sobie, że może chciałabyś pojechać ze mną gdzieś na następny weekend? – powiedział. – Teraz, kiedy jesteśmy sami, nic nie stoi na przeszkodzie, prawda?

Audra była zaskoczona.

– Dokąd? Dokąd byśmy pojechali?

– Może do Robin Hood's Bay?

– Dlaczego?

– Dlatego, że tam spędziliśmy nasz miodowy tydzień... – Vincent urwał i zaczerpnął tchu. – Przecież jeszcze nie jest dla nas za późno, Audro? Czy nie moglibyśmy zacząć od nowa?

– Może i nie jest – odpowiedziała.

Rozdział trzydziesty trzeci

Christina, choć bardzo odczuwała nieobecność rodziców i tęskniła za domem, wkrótce zupełnie przywykła do samodzielności.

Podniecała ją atmosfera Londynu i wszystkie te atrakcje, które miał do zaoferowania. Ponieważ jednak zdawała sobie sprawę, jakiego wysiłku wymagało od Audry doprowadzenie jej do tego punktu życia, była bardzo przykładną studentką.

Christina nie miała zamiaru wejść na złą drogę, zaniedbywać studiów i ryzykować, że rozczaruje matkę. Poza tym z natury była pracowita i ambitna.

Od samego początku wykłady w akademii w Kensington były dla niej wyzwaniem i podrywały do wysiłku. Rzuciła się więc w wir pracy z entuzjazmem i oddaniem.

W tym właśnie czasie – na początku lat pięćdziesiątych – Królewska Akademia Sztuki stała się swoistą artystyczną Mekką i miała na wszystkich wydziałach wielu utalentowanych ludzi – studentów i profesorów.

Od chwili gdy Christina złożyła podanie o przyjęcie do college'u, przysłała swe najlepsze prace, a potem, gdy przeprowadzono z nią rozmowę i przyjęto, nauczyciele w college'u rozpoznali jej niezwykle talent jako malarza pejzaży. Od dzieciństwa Christina zawsze widziała wszystko w kategoriach światła i jej obrazy zdawały się być nimi nasycone – czy było to złociste światło letniego słonecznego dnia, zimne ołowiane światło yorkshirskiego zimowego sztormu czy też lśniący, połyskliwy blask, który przenikał skaliste parowy wiosną. Dzięki tej specyfice jej prac oraz pracowitości, Christina w krótkim czasie stała się ulubienicą swych profesorów, wszyscy bowiem widzieli w niej ideał studentki.

Będąc otwartą, szczerą i przyjazną ludziom młodą dziewczyną, cieszyła się również popularnością wśród swoich rówieśników i w ciągu pierwszych kilku tygodni pobytu w akademii szybko zdobyła sobie

kilkoro przyjaciół obojga pći. Jednakże osobą, do której najbardziej ją ciągnęło, była dziewczyna w jej wieku nazwiskiem Jane Sedgewick.

Jane kipiała życiem, miała dobrotliwe usposobienie i była trochę zwariowana. Ładna, jasnowłosa o podobnych do bratków oczach, była jedną z najbardziej atrakcyjnych dziewcząt, jakie Christina kiedykolwiek spotkała.

Pewnego wrześniowego popołudnia malowały razem w dużej pracowni. To wtedy właśnie Jane ostatecznie podbiła serce Christiny.

Nieoczekiwanie rozpoczęła przedstawienie pełne przesadnych gestów. Przybrała tragiczną pozę i krzyknęła dramatycznym, pełnym udanej rozpaczki głosem: „Moje dzieło wygląda tak nędznie w porównaniu z twoim. Niestety, biada mi, nieszczęsnej!” Przerwała, przyłożyła zaciśnięte pięści do piersi i wzniosła oczy w górę. „Nie mam innego wyjścia jak śmierć. Lecz nim położę koniec temu słodkiemu, młodemu życiu... oddaj mi ostatnią przysługę”.

– Z chęcią. A cóż to za przysługa? – spytała Christina włączając się do zabawy i śmiejąc się z przedstawienia.

– Chodź ze mną po wykładach na kawę.

Christina ze śmiechem przyjęła zaproszenie. Nieco później szły spacerem wzdłuż Muzeum Alberta i Wiktorii, rozmawiając z wielkim ożywieniem. Żadna z nich nie wiedziała, że jest to początek niezwyklej przyjaźni, jednej z tych, które trwają całe życie.

Nad kilkoma filiżankami kawy z ekspresu poznały się bliżej. Najpierw Christina opowiedziała trochę o sobie, a potem przyszła kolej na Jane. Christinę zaskoczyło to, że Jane jest najstarszą córką Dulcie Manville i Ralpa Sedgewicka, aktorskiego małżeństwa równie sławnego jak Olivierowie. A po chwili pomyślała, że to wyjaśnia teatralne gesty Jane.

Państwo Sedgewick występowali w niezliczonych filmach produkowanych w latach czterdziestych przez wytwórnię Gainsborough Pictures. Christina, która wraz z matką widziała je chyba wszystkie w kinie w Armley, zwróciła się do Jane:

– O rany, moja mama będzie pod wielkim wrażeniem, gdy się dowie, że cię poznałam. Jest wielbicielką twoich rodziców, ja zresztą

również. Kiedy była tu w sierpniu, poszliśmy ich zobaczyć w „Kłótni kochanków”. Zaśmiewaliśmy się do łez. Film był po prostu znakomity, najlepsza komedia, jaką widziałam od wielu lat.

– A co byś powiedziała na spotkanie z moimi starszami? – zapytała Jane. – Przyjedź do nas na weekend. Będzie nam miło gościć cię w naszym domu.

Christina patrzyła na nią zdumiona.

– Ale czy to wypada? Tak w ostatniej chwili, bez uprzedzenia. Jutro już czwartek, Jane.

– Och, to żaden problem; nasz dom i tak jest trochę zwariowany. No, *powiedz*, że się zgadzasz. Będzie wesoło, mamy ładny ogród, więc, jeśli chcesz, możesz malować. Chociaż, ostrzegam, że jest pewien kłopot... – tu twarz Jane przybrała kwaśny wyraz. – Moje rodzeństwo, te małe potwory, jest zdecydowanie *okropne*, ale przypuszczam, że nie będziemy na to zwracać uwagi. A więc przyjedziesz?

– Oczywiście, że tak. Bardzo ci dziękuję za zaproszenie – powiedziała z uśmiechem Christina.

Następnego popołudnia pojechały obie do Kentu pomalowanym na jadowicie żółty kolor zniszczonym sportowym MG, należącym do Jane.

Sedgewickowie byli właścicielami starego, wiejskiego dworku, zwanego Hadley Court, położonego w uroczej wiosce Aldington. Wkrótce po przejechaniu przez wieś, Jane zwolniła i wskazała piękny pałac z epoki Tudorów, długi i niski, ledwie widoczny od strony drogi przez wielkie wrota z okutego żelaza.

– To jest Goldenhurst, dom wuja Noëla – wyjaśniła Jane. – To mój chrzestny; jest bardzo sympatyczny. W niedzielę rano pójdziemy do niego na drinka i lunch. Będzie to zwariowana impreza, bo jego gości są najbardziej skandalizujący i głośni ludzie. Przynajmniej pośmiejemy się trochę i unikniemy na jakiś czas obecności małych potworów.

– Co takiego straszego jest w twoich braciach i siostrach?

- To są małe bestie, zresztą wkrótce sama zobaczysz.
- A kiedy wrócą na wieś twoi rodzice?
- Po sobotnim wieczornym spektaklu. Wybiegają z teatru, nie zmywając charakteryzacji i pędzą tu na złamanie karku. Przyjeżdżają zwykle o północy. Wtedy właśnie spotkasz się z nimi – jeśli dotrwasz do tej godziny – żeby zjeść wspólną kanapkę i wypić kawę.

Jane skręciła w długą aleję, która wiła się aż do samego domu. Christina pokochała go, gdy tylko ujrzała. W pewnym stopniu jego architektura przypominała High Cleugh, dokąd, gdy była dzieckiem, matka często ją zabierała. Urządzały sobie wtedy piknik na zboczach, w pobliżu Miejsca Pamięci, a matka opowiadała jej o domu, w którym wyrosła.

Hadley Court był obszernym, starym domem z pokojami o dziwnych kształtach, z wielkimi kominkami, wysokimi oknami i z własną niepowtarzalną atmosferą. Otoczenie było sielankowe i romantyczne – wierzby płaczące, sadzawka z liliami wodnymi, niedbale posadzone kwiaty. Wszystko to tworzyło obraz Starego Świata. Później, kiedy Christina wędrowała po ogrodach, często miała ochotę wziąć pędzel i uwiecznić na płótnie ich zieloną i mglistą urodę w miękkim południowym blasku nad równiną Kentu.

Zgodnie z obietnicą Jane weekend rzeczywiście był bardzo wesoły.

Christinę jednak spotkało kilka niespodzianek, które przekonały ją, że przyjaciółka lubi przesadzać.

Odrażające, okropne rodzeństwo, jak je nazywała Jane, wcale nie było odrażające, nie były to też małe bestie. Hadley i Lyndon, jedenaścieletnie bliźniaki, płowowłosi chłopcy o piegowatych buziach cherubinków zachowywali się nienagannie. Jane twierdziła, że wyłącznie dlatego, iż nastraszyła ich okrutnie. Siostra, dziewięcioletnia Poppy Louisa, była malutką czarodziejką o wielkich oczach podobnych do oczu Jane i lśniących rudozłotych włosach. Natychmiast zawojowała Christinę swymi uśmiechami i zabawną dziecinną paplaniną.

Jeśli chodzi o Dulcie i Ralpa Sedgewicków, to byli dla niej uprzejmi i mili; starali się, aby czuła się wśród nich jak członek

rodziny. Wcale nie byli tacy, jak się spodziewała – wyniosli i z teatralnymi pozami. Oboje okazali się niezwykle kulturalni i dowcipni, w szczególności bardzo zabawny był Ralph. Christina zdecydowała, że Jane odziedziczyła całą rodzinną błyskotliwość.

Wuj Noël okazał się Noëlem Cowardem, a Christina zaniemówiła, gdy w niedzielę wszedłszy do salonu w Goldenhurst została przedstawiona Laurence'owi Olivierowi, w chwilę później zaś Vivien Leigh.

Kiedy wreszcie udało się jej odciągnąć Jane w ustronny kąt, wyszeptała:

– Coś ty opowiadała o skandalizujących gościach. Mogłaś mnie uprzedzić!

Jane zachichotała i przewróciła zabawnie oczyma.

– Gdybyś wiedziała, że będą tu Larry i Viv, to wszystko nie byłoby takie zabawne. – Po chwili spoważniała i ująwszy rękę Christiny, spojrzała jej z niepokojem w oczy. – Nie gniewasz się na mnie? Nie zniósłabym, gdyby tak było.

– Oczywiście, że nie, Jane – odparła Christina i mocno ją uściśnęła.

Od tego pierwszego weekendu Christina stała się częstym gościem w Hadley Court i w mieszkaniu Sedgewicków w Mayfair. Dulcie Manville Sedgewick bardzo ją polubiła. Uważała, że Christina będzie wywierać dobry wpływ na jej raczej roztrzepaną i lekkomyślną córkę.

Jedynaczka Christina z przyjemnością przebywała wśród kochającej się i dowcipnej rodziny Sedgewicków; lubiła spotykać różne znakomości, które bywały u nich na przyjęciach – ludzi z showbussinesu, pisarzy, dziennikarzy i polityków.

Jednakże ten podniecający i olśniewający świat, niezależnie od tego, jak był pociągający, nie oślepił Christiny nadmiernie. Stała twardo na ziemi, wierna swemu powołaniu – malarstwu.

Jak zawsze była też przywiązana do rodziców, zwłaszcza do matki. W ciągu następnych dziewięciu miesięcy Audra odwiedziła ją

dwukrotnie, zatrzymując się w mieszkanku przy Chester Street, Christina zaś często jeździła na weekendy i zawsze na święta do Yorkshire.

Wiedziała, że matka żyje oczekiwaniem na spotkanie z nią i że doznaje ogromnej przyjemności, słuchając opowieści o Sedgewickach i innych jej przyjaciółach, o eleganckich przyjęciach i kolacjach, na których bywała.

Audra była z córki bezgranicznie dumna. Wyniki w akademii miała znakomite; jej popularność i sukcesy towarzyskie wywoływały zadowolenie i były kolejnym powodem do radości. Audra wiedziała, że dotrzymała danej przed laty obietnicy: ofiarowała Christinie możliwość o wiele lepszego życia niż jej własne. Ze swego życia była zadowolona i wszystko to, co zrobiła dla córki, nabierało coraz większego sensu.

Pierwszy i drugi rok studiów były dla Christiny nie tylko pełne różnych nowych przeżyć i doświadczeń, lecz także bardzo owocne. Jedyna rzecz, która zakłócała jej szczęście, to świadomość, że matka ciągle pracuje.

Chociaż Vincent był współnikiem w firmie „Varley i Crowther” i zupełnie dobrze zarabiał, nie był jednak w stanie pokrywać wszystkich wydatków. Audra więc pracowała dalej w szpitalu miejskim głównie dlatego, by pokryć koszty pobytu Christiny w Londynie. To ona płaciła czesne i czynsz oraz dawała jej pieniądze na utrzymanie, a także kupowała ubranie. Christina doskonale wiedziała, że bez tych zobowiązań matka mogłaby przestać pracować i zacząć żyć przyjemniejszym życiem.

Tak więc pod koniec drugiego roku studiów ostrożnie zasugerowała chęć podjęcia jakiejś pracy, aby pomóc w wydatkach. Audra wpadła w złość i stanowczo odmówiła nawet rozmów na ten temat, przekonana, że praca Christiny będzie tylko przeszkodą w studiach. Nie wzięła jednak pod uwagę uporu i determinacji swej córki, która miała równie silną wolę jak ona sama, i była zdecydowana zatrzymać strumień pieniędzy płynący z Leeds do Londynu.

Wobec tak jednoznacznej postawy matki Christina nie śmiała podjąć żadnej pracy, ale zaczęła prowadzić oszczędniejszy tryb życia.

Zmniejszyła też wydatki, przenosząc się do Jane. Przyjaciółka od dawna prosiła ją, by zamieszkały razem w jej mieszkaniu przy Walton Street. Ponieważ było ono własnością ciotki Jane, która od zamążpójścia mieszkała na stałe w Monte Carlo, czynsz był symboliczny.

– Och, będziesz mi płacić funta tygodniowo – powiedziała Jane, kiedy Christina zapytała o swoją część opłaty.

Christina postanowiła również, że sama będzie szyć swoje stroje. Krok ten wprawdzie nie oszczędzał pieniędzy, ale zdejmował z ramion matki dodatkowe zajęcie. W tej decyzji podtrzymała ją Jane, która wiedziała, że Christina ma dryg do szycia. Rzeczywiście, odziedziczyła po Audrze tę umiejętność. Poza tym nie na próżno przez wiele lat przyglądała się, jak matka szyje ubrania dla rodziny i dla obcych. W krótkim czasie przerobiła kilka starych sukienek i uszyła parę nowych, z czego była ogromnie dumna.

Ale nie Audra. Jednakże w końcu i ona musiała przyznać, że szycie nie przeszkadza zajęciom córki w akademii. Zgodziła się, acz niechętnie, że ręcznie malowane suknie i żakiety oraz proste w kroju dopasowane kostiumiki charakteryzują się oryginalnością i elegancją.

Christina znalazła czas na zrobienie ręcznie malowanej bluzki dla matki jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku i zabrała ją ze sobą jadąc do Leeds na ferie zimowe.

Audra była zachwycona, gdy podczas świąt Bożego Narodzenia otworzyła pudełko z prezentem i zobaczyła piękną bluzkę z jasnoblękitnego jedwabiu we wzór w niebieskie ostróżki.

– Nie powinnaś zadawać sobie tyle trudu – zganiła łagodnie córkę. – Całe to szycie zabiera ci czas potrzebny na studia.

– Nie, nie zabiera – odparła Christina ściskając ją i śmiejąc się. – Chciałam, żebyś miała coś pięknego, coś, co sama uszyłam i namalowałam dla ciebie, mamusku.

Ten grudzień dla Crowtherów był wyjątkowo szczęśliwy. Spędzili razem przyjemne rodzinne Boże Narodzenie, a w styczniu Christina wróciła do Londynu kontynuować studia.

Zabrała się do pracy z entuzjazmem i tą samą sumiennością, którą odznaczała się i poprzednio, wiedziała bowiem, że w sierpniu ukończy akademię. Pragnęła uzyskać dobre wyniki kierując się nie tylko własną ambicją, ale i ze względu na matkę.

Rozdział trzydziesty czwarty

Vincent spostrzegł Christinę, nim ona zobaczyła jego.

Wyszła z londyńskiego pociągu przy końcu peronu. Widział, jak przepychała się przez tłum, śpiesząc do wyjścia.

Jakże młodo i ślicznie wyglądała w ściśniętym paskiem płaszczu z wielbłądziej wełny i czółenkach na wysokich obcasach! Szła szybko z ramionami odchyłonymi do tyłu, z wysoko uniesioną głową. Była w niej jakaś pewność siebie i to sprawiło mu przyjemność.

W przyszłym miesiącu Christie skończy dwadzieścia trzy lata. Wprost nie mógł w to uwierzyć. Zdawało się, że nie dalej jak wczoraj wioził ją w wózku na spacer. Wyrosła na dobrą córkę, na dziewczynę z głową. Ufał jej bezgranicznie. Kiedy wyjechała na studia do Londynu, bardzo się o nią martwił, niepokoił się o to, czy potrafi właściwie oceniać ludzi, zwłaszcza mężczyzn, i sytuacje. A potem pewnego dnia zapytał sam siebie, czym się właściwie martwi? Przecież wychowali ją jak należy; umiała odróżniać dobro od zła. I od tej chwili przestał się zadręczać. Tak, mogli się chlubić taką córką.

Nagle Christina zauważyła go, uniosła rękę i przyśpieszyła kroku, a twarz rozjaśnił radosny uśmiech.

Vincent wyszedł jej naprzeciw, również machając dłonią.

– Witaj, tatusiu! – zawołała Christina i postawiła na ziemi walizkę.
– Witaj, malutka – odpowiedział z szerokim uśmiechem i wyciągnął ramiona.

Objęli się z czułością, a potem odsunęli, przypatrując się sobie z uwagą. Był Wielki Piątek, a nie widzieli się od Bożego Narodzenia i, jak zwykle po długim rozstaniu, musieli się sobie dokładnie przyjrzeć.

Wydaje mi się, jakby był trochę zmęczony, starszy – pomyślała Christina ze zdziwieniem, ojciec bowiem nigdy nie wyglądał na swoje lata.

Jest jeszcze bardziej promienna niż zwykle – pomyślał Vincent i serce mu się ścisnęło. Wiedział, że będzie zmartwiona, gdy powie jej o matce i że ta emanująca z niej radość się ulotni. Zastanawiał się, kiedy to zrobić. Na pewno musi jej powiedzieć o tym przed powrotem do domu.

– Chodź, kochanie – odezwał się, podnosząc walizkę. Ujął ją pod ramię i pośpieszyli razem do wyjścia. – Mama czeka na ciebie i jak zawsze się niecierpliwi.

– Ja też nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę. Gdzie zaparkowałeś, tatusiu?

– Przed dworcem. Będziemy w domu w mgnieniu oka.

Podczas gdy Vincent jechał po Stanningley Road w kierunku Upper Armley, Christina opowiadała mu o swych planach na przerwę wielkoczną.

– Myślałam, żeby spędzić weekend w domu z tobą i mamą, a potem, jeśli się nie sprzeciwiacie, chciałabym wybrać się na kilka dni w plener i trochę pomalować.

– Doskonale. A dokąd masz zamiar pojechać?

– Początkowo myślałam o Okręgu Jezior, ale chciałabym namalować pejzaż morski i dlatego brałam pod uwagę wschodnie wybrzeże... Whitby, Scarborough, Flamborough Head, gdzieś w tych okolicach. Co o tym myślisz?

– Wszystkie miejsca znane z dzieciństwa, jak widzę? No, cóż, mogłaś wybrać coś gorszego. A czy nie myślałaś o okolicy Ravenscar? Są tam pełne dramatyzmu widoki nadmorskich skał, w pobliżu zaś jest przyzwoity hotel. Chcielibyśmy, żebyś na tych wyprawach w plener mieszkała wygodnie, wiesz o tym.

– Oboje mnie rozpuszczacie – powiedziała ze śmiechem. – Tak bym chciała, żeby mama wzięła w szpitalu parę wolnych dni i pojechała

ze mną. Dobrze by jej to zrobiło, czy nie uważasz, tatusiu?

Vincent milczał. Zjechał wozem na obrzeże drogi, zatrzymał się i zwrócił twarz w stronę córki.

– Muszę ci coś powiedzieć...

– Co się stało? – przerwała mu gwałtownie, gdyż ton jego głosu podpowiadał, że musiało się wydarzyć coś bardzo niedobrego. – Chodzi o mamę?

– Obawiam się, kochanie, że tak – przytaknął Vincent.

Chwyliła go mocno za ramię i patrzyła oczyma pełnymi niepokoju.

– Co się stało? – powtórzyła.

– Mama była chora, poważnie chora, Christie. Trzy tygodnie temu zapadła na wirusowe zapalenie płuc. Leżała w szpitalu przez dwa tygodnie... początkowo były komplikacje; lekarze obawiali się o jej płuca. Nie patrz z takim przerażeniem, kochanie, teraz jest już zdrowa. Przychodzi do siebie.

Christina była wstrząśnięta. Siedziała przez kilka sekund wpatrując się w ojca, a potem wykrzyknęła z pretensją w głosie:

– Dlaczego mnie nie zawiadomiłeś? To nie w porządku, tato, że pozostawiłeś mnie w nieświadomości. Powinnam być tutaj, przy niej, a już na pewno w tym tygodniu, kiedy wróciła do domu. Powinieneś mnie zawiadomić! – dodała z oburzeniem.

– Christie, kochanie, nie śmiałem tego zrobić wbrew życzeniu twojej matki – odparł spokojnie Vincent. – Nie chciałem jej denerwować, a tak by się stało, gdybym po ciebie posłał. Mama nie chciała cię martwić. Sama wiesz, jaka jest.

– Nie rozumiem cię, naprawdę nie rozumiem! – zawołała Christina z irytacją. – Nie pojmuję, czemu słuchałeś mamy. A poza tym wszystkim, kto się nią opiekował, kiedy wróciła ze szpitala?

– Ja – odrzekł Vincent i przekręcił kluczyk w stacyjce. – Wziąłem w pracy tydzień wolnego. W tej chwili nie jesteśmy zbyt zajęci, a oprócz tego należało mi się trochę urlopu.

– Mogłam przyjechać do domu już w ubiegłym tygodniu – rzuciła Christina ciągle zagniewana. – Siedziałam w Londynie beczynn timer. W college'u nie było specjalnie ważnych zajęć.

Vincent doszedł do wniosku, że najlepiej będzie zachować milczenie. Przy takim podobieństwie charakterów z łatwością mogli się pokłócić, a to była ostatnia rzecz, jakiej by dzisiaj pragnął. Wcisnął sprzęgło i skoncentrował się na jeździe.

W połowie Ridge Road spojrział na córkę szybko kątem oka i powiedział łagodnym, acz bardzo stanowczym głosem:

– Mam nadzieję, że się uspokoiłaś, Christie. Nie chciałbym, żebyś wpała do domu w takim wojowniczym nastroju i zdenerwowała matkę.

– O Boże, tato, chwilami jesteś nieznośny! Jak mogłeś nawet pomyśleć, że zrobiłabym coś takiego?

Oczy Audry wydawały się większe i bardziej niebieskie niż zwykle, twarz zaś była ściągnięta i kredowo biała. Odzwierciedlała dokładnie wszystkie cierpienia, jakich doznała w ostatnich tygodniach. Teraz rozjaśnił ją uśmiech, gdy zobaczyła stojącą na progu Christinę.

– Witaj, kochanie – powiedziała słabym głosem, z trudem unosząc się na łokciu, podczas gdy Christina podchodziła do łóżka.

– Mamusiu, kochana moja mamusiu – szepnęła Christina kłękając i czule obejmując Audrę ramionami. – Powinnaś zgodzić się, żeby tatuś mnie zawiadomił – wymamrotała we włosy matki – naprawdę powinnaś. – Wypuściła matkę z objęć i usiadła na łóżku, przyglądając się jej z wielką uwagą, chciała bowiem ocenić jej prawdziwy stan.

Audra podniosła rękę i dotknęła policzka córki.

– Ty masz swoje studia i one są ważniejsze niż wszystko inne.

Aczkolwiek Christina nie zgadzała się z tym, gdyż zdrowie matki uważała za najważniejsze, to jednak skinęła potakująco głową, wstała z łóżka, przysunęła sobie krzesło i ponownie usiadła obok Audry.

Wszedł Vincent, przystanął przy oparciu łóżka i zapytał:

– Jak się czujesz, kochanie? Wszystko w porządku? Wygodnie ci?

– Tak, dziękuję.

– Pójdę nastawić wodę na herbatę – powiedział.

Kiedy ojciec wyszedł z pokoju, Christina nachyliła się nad matką i powiedziała pogodnym głosem:

– No, teraz już tu jestem, mamusiu, i przez następny tydzień będę się tobą opiekować. Będę cię psuć i rozpieszczać tak, jak na to zasługujesz.

Audra zmarszczyła czoło.

– W czasie świąt mówiłaś, że masz zamiar wybrać się w plener do Okręgu Jezior. Mam nadzieję, że nie zmieniłaś planów z mego powodu.

– Nie, nie – odparła pośpiesznie Christina. – Mój opiekun nie uważa tego za konieczne. Już i tak mam sporo gotowych prac.

– Będzie miło mieć cię tutaj przez cały tydzień – szepnęła Audra, opierając się na poduszkach. Błada twarz zarumieniła się z zadowolenia. – Jak się miewa Jane?

– Jak zawsze doskonale, mamusiu; przesyła ci pozdrowienia.

– Cieszę się, że masz taką przyjaciółkę i że dobrze wam się razem mieszka. To mieszkanie przy Walton Street jest takie miłe i przytulne.

– Uśmiech znowu pojawił się na wychudzonej twarzy Audry. – Opowiedz mi o wszystkim, co robisz... Wiesz, jak lubię słuchać opowieści o twoim niezwykłym życiu w Londynie.

– Dobrze, ale najpierw zejdem na dół i pomogę tatusiowi. Czy chciałabyś coś zjeść?

– Nie, nie jestem głodna, kochanie, dziękuję ci.

Christina zbiegła na dół, chcąc zawiadomić ojca, że zmieniła plany, zanim powiedziałby o nich w obecności matki. Zastała go w kuchni.

– O, jesteś, kochanie – powiedział. – Kupiłem w cukierni trochę gorących bułeczek. Chciałem posmarować jedną masłem dla mamy.

– Mama powiedziała, że nie jest głodna.

– No, ale to zje na pewno – odparł z przekonaniem. – Pamiętasz chyba, że zawsze lubiła gorące, wielkanocne bułeczki. Jedzenie ich w Wielki Piątek to dla niej tradycja z lat dzieciństwa w High Cleugh – przekroił bułeczkę i posmarował masłem. – Mama na pewno wydaje ci się wycieńczona, ale teraz i tak wygląda dużo lepiej. Naprawdę, Christie, wyraźnie poprawia się z dnia na dzień.

– Słuchaj, tatusiu – powiedziała Christina – chciałam cię uprzedzić, żebyś nie wspominał nic o moich zamiarach wyjazdu w plener na wschodnie wybrzeże. Zostaję tutaj, żeby zająć się mamą przez cały przyszły tydzień.

– Och, ona się na to nie zgodzi. To ją zdenerwuje...

– Już jej o tym powiedziałam, tatusiu – stanowczo przerwała mu Christina. – A więc, *proszę* cię, nic nie mów. Wyjaśniłam mamie, że mój opiekun nie uważa tej wyprawy za konieczną.

– Cóż, zgoda – podniósł wzrok znad stołu i oczy przepełniła mu miłość do jedynaczki. – Jesteś dobrym dzieckiem, Christie. To, że zostaniesz w domu, będzie dla niej najlepszym lekarstwem.

Dla Christiny był to pracowity tydzień.

Wzięła w swoje ręce prowadzenie domu: sprzątała i robiła zakupy, gotowała i prasowała, a także z wielkim oddaniem opiekowała się matką.

Kiedy minęły święta wielkanocne, uparła się, żeby ojciec wrócił do pracy. Zrobił to, ale nie bez głośnych sprzeciwów i uwag o jej tyranii. Słyszała, jak mówił do Audry.

– Zawsze powiadałem, że jest w niej zadatek na generała i teraz wiem, że miałem rację. I powiem ci jeszcze coś: nie chciałbym u niej pracować.

Christina uśmiechnęła się i zajęła domowymi obowiązkami. Dobrze wiedziała, że tę skłonność do rządzenia wszystkimi odziedziczyła właśnie po ojcu.

Opiekowanie się matką, dogadzanie jej i dbanie o jej wygodę dawało Christinie wiele satysfakcji. W miarę jednak jak mijały dni, spostrzegła, że matka czyni ogromne wysiłki, by, ze względu na jej obecność,

być ożywioną i w dobrym nastroju. Stawało się też oczywiste, że wysiłek ten ogromnie ją wyczerpuje i to wzmogło niepokój Christiny.

W piątek, ostatniego dnia pobytu w domu, szczególnie się zmartwiła widząc, że matka ledwo tknęła śniadanie, które dla niej przygotowała.

– Mamusiu, jesz jak ptaszek! Rozchoruję się ze zmartwienia o ciebie, kiedy wyjadę.

– Nie opowiadaj głupstw, moje dziecko. Nie jestem w tej chwili głodna i to wszystko. Nie zapominaj również, że byłam poważnie chora. Apetyt mi się poprawi, kiedy odzyskam siły, kiedy wstanę i zacznę znowu zajmować się domem.

– Wydaje mi się, że powinnam zostać z wami jeszcze przez tydzień.

– Wykluczone, nie chcę nawet o tym słyszeć. Musisz myśleć o swych studiach, nie wolno ci ich zaniedbywać. To przecież twój ostatni semestr.

Christina westchnęła, podniosła tacę i postawiła ją na komodzie. Podeszła do łóżka, usiadła na brzegu i wzięła matkę za rękę.

– Czy możesz spróbować zjeść tę brzoskwinę, jeśli ci ją obiorę?

– Nie, ale dziękuję ci – Audra uścisnęła jej rękę. – Tak mi było miło mieć cię w domu, kochanie, lecz teraz musisz wrócić do swojego życia w Londynie, do college'u, do przyjaciół – powiedziała uśmiechając się do córki.

Christina odpowiedziała uśmiechem, który jednak szybko znikł. W jasnym świetle kwietniowego poranka twarz matki była wyraźnie widoczna. Po raz pierwszy od lat oceniła ją z niezwykłym obiektywizmem. Wpatrując się w blade, wymizerowane oblicze, tak jej bliskie i drogie, doznała wstrząsu.

Jakże ona się postarzała przez te trzy lata – pomyślała. – Nie ma jeszcze czterdziestu siedmiu lat, a dzisiaj wygląda jak staruszka.

Pełne poświęcenia i trudów życie matki przemknęło jej w pamięci z taką zapierającą dech w piersi wyrazistością, że nagle poczuła, jak

ogarnia ją bolesny smutek. Serce jej przepełniło się czułością i współczuciem dla tej małej, kruchej z wyglądu kobiety, która w jej oczach była bohaterką.

Christina poczuła, że coś ją dławi w gardle, pochyliła się i objęła matkę nie chcąc, aby zobaczyła te tak nagle ogarniające ją uczucia.

Gdy tuliła matkę w ramionach, pojęła z niezwykłą jasnością, że nie może pozwolić, aby dalej prowadziła taki tryb życia.

Nie mogę – powiedziała do siebie – po prostu nie mogę. Cała ta praca, poświęcenie się dla mnie i wysiłek, muszą się skończyć.

I to ja sama położę temu kres...

Rozdział trzydziesty piąty

Później, tego samego dnia, siedząc w pociągu jadącym do Londynu, Christina ciągle miała przed oczyma zmęczoną twarz matki. Była pewna, że widok ten będzie ją prześladować przez długi czas.

Kiedy tak siedziała, z przygnębieniem wpatrując się w migające za oknem widoki, zadała sobie pytanie, co z tym wszystkim powinna zrobić. Jedno było pewne: nie może pozwolić, by matka łożyła na jej utrzymanie, kiedy ukończy studia w akademii.

Ciężko westchnęła i oparła głowę o szybę. Na wyrobienie sobie nazwiska w świecie sztuki, na to, by mogła sprzedawać swe prace i zarabiać w ten sposób na życie, potrzebne będą lata. Zdawała sobie z tego doskonale sprawę, jak zresztą każdy młody artysta obecnej doby. Tak samo było z Audrą. Ile to razy w ostatnich paru latach powtarzała: „Nie martw się, Christie. Maluj swoje piękne obrazy, a mnie zostaw troskę o pieniądze i o to, skąd je brać”.

Wspomnienie tych słów przeszło ją zimnym dreszczem. W tym właśnie tkwił cały problem, w każdym razie główna jego część: determinacja matki, aby ją utrzymywać, dopóki nie zdobędzie sławy, a jej obrazy nie znajdą nabywców.

Christinę znowu przeniknął dreszcz; na ramionach poczuła gęsią skórkę. Czy matka ma pracować w szpitalu do późnej starości, żeby móc płacić jej czynsz, kupować jej ubranie, zapewnić jej pożywienie, płacić za wszystko, czego będzie potrzebowała w *swoim* życiu?

– *Nie* – stwierdziła półgłosem. – *Nie*. Nie pozwolę jej się dłużej zapracowywać, żeby zarabiać pieniądze *dla mnie*. Nie chcę tego. Skończę z tym, tak jak to sobie przyrzekłam dziś rano. Ale jak? I co będę robić? – Skuliła się w kącie siedzenia i zamknęła oczy. – Co mam robić? Jak mam rozwiązać ten dylemat? – zapytała samą siebie.

Koła wagonu toczyły się rytmicznie i cały czas wystukiwały w jej umyśle te same pytania. W chwili gdy pociąg wjechał na stację King's Cross, czuła okropny ból głowy i nieprzyjemną słabość. Zastanowiła się, czy czasem nie zachoruje na grypę.

I zaraz będzie padać – pomyślała ze smutkiem, gdy wyjrzała przez okno, zdejmując walizkę z półki, zanim pociąg zatrzymał się ostatecznie z ostrym szarpnięciem.

Kilka sekund później, idąc szybko po peronie, zdecydowała się pojechać do domu taksówką, nawet jeśli myśl o oszczędnym gospodarowaniu pieniędzmi tkwiła jej mocno w świadomości. Ponad wszystko pragnęła teraz znaleźć się szybko w swoim mieszkaniu. Czuła potrzebę zatopienia się w jego spokoju i samotności. Dziś wieczorem musi przemyśleć wiele ważnych spraw, musi podjąć niezwykle trudną decyzję.

W przeszłości, kiedy wracała z wakacji do Londynu i nie zastawała w mieszkaniu Jane, bywała tym rozczarowana. Teraz jednak była rada, że przyjaciółka wróci z Hadley Court dopiero w niedzielę wieczorem.

Christina musiała uporać się ze swymi kłopotami, znaleźć jakieś rozwiązanie. Zanim jednak się tym zajęła, zadzwoniła do ojca do Leeds powiedzieć mu, że dojechała bez przygód.

– Nie niepokój mamy – powiedziała po krótkiej rozmowie. – Tylko ją ode mnie mocno uściskaj. – Potem zajęła się rozpakowaniem rzeczy i napeściła wody do wanny.

Leżała w gorącej wodzie przez dobre piętnaście minut, odsuwając od siebie wszystkie myśli. Usiłowała rozluźnić się i kiedy tylko poczuła, że z bolących mięśni ustępuje napięcie, wyszła z wanny i wytarła się do sucha.

Później otulona w szlafrok, usiadła skulona na łóżku, popijając kawę z cukrem i mlekiem. Oczy powoli błędziły po pokoju. Na każdej ścianie wisiał jej obraz. W końcu zatrzymała wzrok na tym, który nazwała „Lilia w Hadley”. Był to obraz olejny, przedstawiający sadzawkę z wodnymi liliami w Hadley Court. Dominowały w nim liczne odcienie zieleni – ciemnawy, zielononiebieski kolor wody w sadzawce; jaśniejszy, łagodnie zielony mchu rosnącego na brzegu i gładka, lśniąca zieleń liści wodnych lili. Kontrastowała z nimi ostra, czysta biel lili, na której pięknie ukształtowanych płatkach błyszczały krople kryształowej rosy i barwa światła – wąskie pasmo jasności, przenikające przez gąszcz listowia w tle obrazu. To światło miało ślad żółci i zdawało się drzeć, gdy dotykało wody, a potem rozszerzało się promieniście i znikało w kwiecie lili.

Christina postawiła filiżankę na nocnym stoliku, położyła się na boku i wcisnęła twarz w poduszkę. Nie mogła znieść widoku tego obrazu ani zresztą żadnego innego. Cała radość, jaką dawała jej sztuka, została gwałtownie zdmuchnięta, zgaszona przez ogrom cierpienia.

Zapłaciła za nią zbyt wysoką cenę.

Lata ciężkiej pracy Audry... jej zdrowie... wszystkie te małe przyjemności, które mogła mieć dla siebie... od czasu do czasu wyjazd na wakacje... jakaś nowa sukienka...

Christina poczuła skurcz w gardle. Od jak dawna matka nosiła ten sam granatowy, obcisły, dwurzędowy płaszcz? Jedną zimę po drugiej, od lat. Łzy napłynęły jej do oczu i zaczęła płakać nad matką i wszystkimi tymi straconymi latami jej życia, kiedy to harowała jak niewolnik, żeby zapewnić dla *niej* przyszłość. Płakała tak długo, aż zabrakło jej łez i w końcu zasnęła.

Miała uczucie, że spada, spada w jakąś ciemną przestrzeń, a gdy otworzyła oczy, usiadła zaskoczona przebudzeniem. Zdezorientowana,

przez moment zastanawiała się, gdzie się znajduje i wreszcie zdała sobie sprawę, że leży na swoim łóżku w mieszkaniu przy Walton Street. Spojrzała na budzik. Dochodziła pierwsza w nocy. Wyczerpana, spała przez kilka godzin ciężkim snem.

Zapaliła światło, opadła ponownie na poduszki i przymknęła oczy. Jej umysł znowu zaprzętał dylemat nie do rozwiązania. Uznała, że podjęcie pracy zarobkowej i równoczesne malowanie nie było sprawą trudną. Jednak nie w tym tkwiło sedno sprawy. *Chodziło bowiem przede wszystkim o dług, który zaciągnęła u matki.*

To nieoczekiwane odkrycie było tak zaskakujące, że z wrażenia znowu usiadła na łóżku. Kiedy wpatrywała się w ciemność panującą w pokoju, zrozumiała wreszcie, co nękało ją tak bardzo od tylu godzin: *dług, który zaciągnęła u matki.* To było właśnie to. Teraz musi go spłacić.

Jeśli tego nie zrobię – pomyślała – legnie to ciężarem na mym sumieniu na całe życie. A tego nie zdołam udźwignąć.

Rozdział trzydziesty szósty

– Słuchaj, Christino Crowther, wiem, że od tygodni coś cię dręczy i dlatego dzisiaj musimy porozmawiać – oświadczyła Jane, wojowniczo rzucając się na Christinę, która weszła do mieszkania.

Christina spojrzała na nią, zamknęła drzwi, a potem pozwoliła wziąć się pod ramię i poprowadzić do bawialni.

Jane łagodnie popchnęła przyjaciółkę na sofę i usiadła na krześle naprzeciw niej.

– Mam rację, prawda, Christie? – nie ustępowała. – Zdarzyło się coś bardzo niedobrego, tak?

– Tak – potwierdziła Christina. – Zmagałam się i zmagam z pewnym problemem, a właściwie z kilkoma problemami naraz i chciałam z tobą porozmawiać, zwierzyć się ze swoich trosk, lecz... – Christina

zamilkła, powoli pokręciła głową i spoglądała w okno. Myślami była bardzo daleko.

Jane siedziała i czekała cierpliwie, przyglądając się jej uważnie. Rozumiała, że Christina postanowiła zwierzyć się ze swych kłopotów. Poczowała ogromną ulgę. Jej przyjaciółka bowiem przez ostatnie dwa miesiące, odkąd wróciła z Yorkshire po przerwie wielkanocnej, była zupełnie do siebie niepodobna. Stała się przygnębiona i roztargniona, łatwo wpadała w złość. Za każdym razem, gdy Jane usiłowała się czegoś dowiedzieć, słyszała, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Wreszcie Christina przerwała milczenie.

– Po pierwsze, chcę cię prosić o wybaczenie, Jane. Wiem, że nie było ci łatwo mieszkać ze mną i że byłam ostatnio nieprzyjemna. Przepraszam. Wybaczysz mi?

– Nie bądź głupia, tu nie ma nic do wybaczenia. Ale jeśli ci to sprawi ulgę, to tak, wybaczam ci.

Uśmiech przemknął po twarzy Christiny.

– Zmagałam się ze sobą, starając się podjąć pewne decyzje i nie chciałam z tobą rozmawiać, dopóki tego nie zrobię.

Jane podobnie jak jej przyjaciółka zamyśliła się przez chwilę, ale nic nie powiedziała.

– Zdecydowałam się zrezygnować z malowania – powiedziała miękko Christina.

– Nie mówisz tego poważnie! – krzyknęła Jane i wyprostowała się na krześle.

– Zupełnie poważnie.

– Ja ci na to nie pozwolę! – wrzasnęła Jane.

Christina gwałtownie pokręciła głową.

– Nie zdołasz mnie powstrzymać. A zresztą, kto to mówi? To ty powiedziałas mi pół roku temu, że zrezygnujesz z malowania, by zostać scenografem. Dokładnie pamiętam, jak mówiłaś, że nie masz zamiaru przymierać głodem na poddaszu w nadziei, że pewnego dnia ktoś kupi jeden z twoich obrazów. Co więcej, dodałaś, że miłośnicy sztuki, którzy mają pieniądze, kupują tylko artystów o wielkich nazwiskach, takich jak Renoir, van Gogh, Monet, Picasso i tak dalej, i tak dalej.

– Ale ty jesteś lepsza ode mnie!

Christina zignorowała tę uwagę. Powiedziała tylko:

– Kilkoro z naszego roku, Jamie Angers, Danielle Forbes i Patricia Smith, wybiera inne dziedziny sztuki: wzornictwo tkanin, dekoracje wnętrz, kostiumy, scenografię tak jak ty.

Jane powtórzyła znowu:

– Ale ty jesteś lepsza od nas – spojrzała ciemnofiołkowymi oczami dookoła pokoju i ręką wskazała na dwa obrazy Christiny, wiszące na ścianach. – Spójrz! Tylko spójrz! Jak możesz z tego zrezygnować?

– Z łatwością – odparła Christina niskim, ledwo słyszalnym głosem. – Jeśli ceną tego jest życie *mojej matki*.

Christina nie pozwoliła Jane na żadną odpowiedź. Zaczęła mówić powoli, starannie dobierając słowa. Opowiedziała o przeszłości Audry, o latach ciężkiej pracy i o poświęcaniu się dla niej. A gdy wreszcie skończyła, Jane miała w oczach łzy.

– Widzisz więc – rzekła Christina – nie wierzę, że uda mi się ją przekonać, iż powinna przestać pracować, nawet gdy latem uzyskam dyplom. Ona upiera się, żeby mnie utrzymywać, dopóki moje obrazy nie zaczną się sprzedawać. Mama jest uparta. Ja mogłabym znaleźć sobie pracę i zarabiać na życie, nie rezygnując przy tym z malowania. Pieniądze, które będzie mi przysyłać, zwracałabym rodzicom. Przypuszczam, że w końcu mogłabym ją przekonać, iż potrafię stanąć o własnych siłach i tym samym położyć kres jej harówce. Lecz żadne z tych rozwiązań mi nie wystarcza, Jane.

– Nie bardzo rozumiem, Christie, o co ci chodzi.

– Mnie po prostu nie wystarcza, że powiem jej : *Dziękuję ci, mamo, teraz już dam sobie radę sama*. – Christina pokręciła głową. – Nie. Istnieje we mnie ogromna potrzeba, a nawet przymus stworzenia jej wygodnego i lepszego życia. Chcę zapewnić jej taki komfort i dobrobyt, jakiego nigdy nie zaznała. A to jest kosztowne. Jako początkująca malarka będę musiała czekać długie lata na takie pieniądze. A ja nie mam czasu. Chcę, żeby ona miała to wszystko tak szybko, jak to jest możliwe; kiedy jest jeszcze dość młoda, aby się tym cieszyć.

– Ale w jaki sposób chcesz zarobić te worki pieniędzy? – zapytała Jane, przyglądając się jej w oszołomieniu.

– Biorę się do interesów; tam właśnie są pieniądze. Przy czym mam na myśli duże interesy. Mam zamiar zostać bogatą i sławną projektantką mody. I to bardzo, bardzo prędko.

– Jak chcesz się do tego zabrać?

– Właściwie to z twoją pomocą.

– *Z moją pomocą?*

– Ścisłej mówiąc, z pomocą twojej matki, jeśli zgodzisz się, żebym z nią o tym porozmawiała.

– Oczywiście, że możesz z nią pomówić. Lecz jak mama może ci pomóc?

Christina pochyliła się do przodu, nagły przypływ entuzjazmu rozjaśnił jej oczy; dawne troski gdzieś pierzchnęły.

– Ona ciągle prosi, żebym jej zrobiła jedną z tych moich ręcznie malowanych jedwabnych sukien. Kilka dni temu powiedziała, że mogłaby je sprzedawać swoim przyjaciółkom jak gorące bułeczki, gdybym tylko miała gdzieś schowany odpowiednio duży zapas. Mówiąc to śmiała się, jednak mogę się założyć, że niektóre panie na pewno by się tymi sukniami zainteresowały. Pamiętasz, na tym przyjęciu, które twoja mama wydała dla amerykańskiego agenta, Polly Lamb i lady Buckley zachwyciły się moim jedwabnym, ręcznie malowanym żakietem. Obie chciały wiedzieć, gdzie go kupiłam. Wiesz przecież, Janey, że stroje wieczorowe *wyłącznie* mego pomysłu są bardzo oryginalne i to one mogłyby stać się początkiem kolekcji. Później mogłabym projektować kostiumy, te, które wszystkim się bardzo podobają.

– Masz zupełną rację! – zawołała Jane. – *Musisz* pomówić z mamą, wziąć jej wymiary i zaprojektować dla niej suknię. Jestem pewna, że nie będzie miała nic przeciw temu, byś zwróciła się i do jej przyjaciółek, zwłaszcza do tych, które tak się interesowały twoim strojem wtedy na cocktail-party.

– Och, jak się cieszę, że się ze mną zgadzasz! Aczkolwiek jest jeszcze pewna trudność – Christina rzuciła Jane zaniepokojone spojrzenie. – Czy myślisz, że twoja matka mogłaby dać mi połowę

pieniędzy jako zaliczkę? Rozumiesz, połowę ceny sukni awansem. I powiedzieć swoim przyjaciółkom, które zamówią suknie, by zrobiły to samo? Gdyby tak się stało, byłoby to dla mnie ogromną pomocą. Miałabym pieniądze na kupno materiału i specjalnych farb.

– Mama na pewno da ci zaliczkę i powie o tym swym przyjaciółkom – Jane przybrała pewny siebie wyraz twarzy, ale za chwilę skrzywiła się w zamyśleniu. – Jednak to nie jest prawdziwe rozwiązanie, Christie. Jeśli masz wejść do świata mody i rozkręcić duży biznes, to musisz mieć kapitał zakładowy.

– Czy ja tego nie wiem? – Christina roześmiała się z goryczą. – Jednakże, co stwierdzam ze smutkiem, nie mam grosza przy duszy.

– Ale ja mam! – oznajmiła z triumfem Jane. – Mam pięć tysięcy funtów spadku po babci Manville, które leżą w Banku Lloyda i przynoszą marne procenty. Pożyczę ci te pięć tysięcy!

– Jane, to naprawdę wspaniałomyślny gest, ale nie mogłabym od ciebie pożyczyć pieniędzy – zaprotestowała Christina.

– Weźmiesz je, zmuszę cię do tego. Jeśli zbierasz jakiś niewielki kapitałik, interes będzie się rozwijał szybciej i sprawy potoczą się gładko. Będiesz mogła przyjąć szwaczkę, może nawet dwie, i znaleźć jakiś mały lokal.

– Tak, masz rację. Jeśli chodzi o ścisłość, tak to właśnie planowałam – zauważyła Christina wstając. Podeszła do kominka, przystanęła i przez chwilę się zastanawiała. – Właściwie to nie miałam zamiaru rozkręcać tego aż do przyszłego roku, kiedy zarobię trochę pieniędzy. – Zwróciła spokojne spojrzenie szarych oczu na Jane. – Jeśli mi pożyczysz pięć tysięcy funtów, będę mogła zacząć wcześniej, to prawda. Tak więc, dziękuję ci i przyjmuję propozycję. Jestem ci bardzo wdzięczna, Janey, kochanie – podeszła do Jane, nachyliła się i uściskała ją mocno.

Jane natychmiast zerwała się z krzesła i w odpowiedzi też uściskała Christinę, a twarz jej rozjaśniła się uśmiechem. Wyciągnęła rękę.

– Uściśnijmy sobie ręce, współpraco. Jutro wyjmę pieniądze z konta i, voilà, otwierasz swój interes!

Stały pośrodku pokoju, ściskając sobie dłonie i szeroko uśmiechając się jedna do drugiej.

– Pomogę ci jeszcze w inny sposób – powiedziała Jane i gwałtownie urwała, a na twarzy pojawił się wyraz z troskaniem.

– O co chodzi? – zapytała Christina.

– A jak, u licha, powiesz tę nowinę swojej matce? Będzie załamana, gdy się dowie, że rezygnujesz z malarstwa. O mój Boże, Christie, ona będzie zrozpaczona!

– Tak, wiem o tym – przytaknęła Christina posępnym głosem. – Czy myślisz, że nie dręczyłam się tą sprawą od tygodni? Doszłam do wniosku, że lepiej będzie, jeśli na razie nic jej nie powiem. Kiedy w sierpniu skończę studia, pozwolę jej wierzyć, że dalej maluję, a po czterech, pięciu miesiącach, powiedzmy przed Bożym Narodzeniem, powiem, że sprzedałam parę swoich prac i mogę utrzymywać się sama.

– Czy myślisz, że ona ci uwierzy? – spytała Jane.

– Mam nadzieję, Janey, mam nadzieję.

Rozdział trzydziesty siódmy

Talent artystyczny nie był jedyną rzeczą, którą Christina odziedziczyła po Audrze. Miała po niej także wytrwałość, upór i energię oraz determinację, by osiągać powodzenie w tym, co robi.

Wszystkie te cechy przejawiały się w pierwszych sześciu miesiącach samodzielnej pracy i stanowiły fundament jej niezwykłego sukcesu, który osiągnęła w stosunkowo krótkim czasie.

Christina odkryła też, że ma głowę do interesów i to również odegrało dużą rolę w jej drodze na szczyty świata *haute couture*.

Przy tym wszystkim jednak jej największym atutem była umiejętność przenoszenia prawdziwej sztuki do mody, poprzez wykwentne,

ręcznie malowane suknie, płaszcze i żakiety, które stały się trwałym znakiem firmowym Christiny. W ciągu całej jej zawodowej kariery cieszyły się ogromnym powodzeniem.

– Fortuny uzyskał rozgłos dzięki swoim jedwabnym plisowanym sukniom tunikom, Chanel dzięki kostiumikom, Dior za Nowy Wygląd, a Balenciaga za doskonałość kroju – stwierdziła Jane pewnego popołudnia. – Ty będziesz znana z przeniesienia sztuki do krawiectwa, ze swoich niezwykłych wzorów malowanych na jedwabiu. Te modele wkrótce staną się klasyką, tak jak wyszywane koralikami i cekinami suknie Poireta. Kobiety będą nosić twoje kreacje, Christie, latami.

Christina przyjęła komplement od przyjaciółki i współpracownicy, wiedząc, że jest on szczery i wprost z serca, a po chwili roześmiała się nagle i zawołała:

– Upamiętni mnie również zdolność do pracy po osiemnaście godzin na dobę przez siedem dni w tygodniu.

– Tak, to święta prawda – potwierdziła z uśmiechem Jane. – Przez te ostatnie kilka miesięcy pracowałam jak galernik, ale musisz przyznać, że to warte było wysiłku. – Kiedy powiedziałam mamie, że harujesz jak w kopalni węgla, to ona odparła, że raczej w kopalni złota! I posłuchaj, jeśli już mowa o napływie zamówień, to czy nie mogłybyśmy przyjąć jeszcze jednej szwaczki?

Christina skinęła twierdząco.

– Tak, właściwie już się za kimś rozglądam. Elise i Germaine rozpytują wśród swoich przyjaciółek Francuzek. Jestem pewna, że niebawem kogoś znajdą.

– Dobrze by było, w innym razie to *my* zasiądziemy przy maszynach, że nie wspomnę o ręcznym wykańczaniu. Tylko tego by nam było potrzeba, gdy jesteśmy tak bardzo zajęte przy malowaniu tych wszystkich kiecek!

– Słuchaj, moja droga, jestem ci ogromnie wdzięczna za pomoc przy malowaniu rękawów do szyfonowych sukien pani Bolton – z rozbawieniem spojrzała na przyjaciółkę. – Jesteś umazana różową farbą na nosie, jednak mimo to malujesz najpiękniejsze motyle w całym mieście.

Jane zachichotała i dotknęła swego nosa.

– Cieszę się, że mogę ci pomóc. Chciałabym robić coś więcej. Czuję się przez większość czasu trochę bezużyteczna.

– Nie mów głupstw, Jane! Jesteś dla mnie bezcenna. Prowadzisz rachunki, a właściwie to zajmujesz się wszystkim; bez ciebie tego zakładu w ogóle by nie było. Nie zapominaj o swoich pięciu tysiącach funtów.

– To dobra inwestycja, Christino Crowther. Czy nie jestem sprytna współpracując z tobą? – Jane szelmowsko zmrużyła oczy i poszła wynieść pusty dzbanek po kawie do malutkiej kuchenki, przylegającej do biura.

Christina wstała, przeciągnęła się i podeszła do okna. Stała tak chwilę patrząc na podwórze na tyłach „fabryki”, jak nazywała to pomieszczenie. Znalazła je w sierpniu, wkrótce po uzyskaniu dyplomu. Był to poprzednio sklep warzywny wraz z mieszkaniem. Dom znajdował się na końcu King's Road i, poza przystępnym czynszem, odpowiadał jej potrzebom jeszcze pod paroma względami.

Przez okna przedostawało się dużo naturalnego światła, co było niezbędne do malowania tkanin i szycia; powierzchnia było więcej niż dostatecznie dużo. Gdyby przyjąć więcej personelu, zakład można by powiększyć, wykorzystując część mieszkalną.

Część sklepową, gdzie do niedawna sprzedawano warzywa i owoce, została przekształcona w niewielkie pomieszczenie recepcyjne. Tu klientki oczekiwały na przymiarki. Christina i Jane wymalowały całe wnętrze na biało, a tylko poczekalnię na perłowoszaro. Na oknach od ulicy zawiesiły marszczone firanki z szarego cienkiego jedwabiu. To uniemożliwiało przechodniom zaglądnąć do wnętrza i dawało klientom poczucie prywatności. Dulcie podarowała im używany dywan, kilka krzeseł, stolik i lampę – wszystko ze strychów w Hadley Court. Wraz z kilkoma doniczkami roślin i ich własnymi rysunkami na ścianach stworzyło to bardzo przyjemny nastrój.

Pokój za sklepem zamieniły w biuro. Na górze zaś jedną sypialnię w szwalnię, drugą, mniejszą, w przy mierzalnię, trzecią – największą – w

pracownię malarską Christiny. Tutaj właśnie malowała tkaniny przeznaczone na suknie wieczorowe. Tutaj też Jane i inne koleżanki ze studiów od czasu do czasu pomagały jej malować rękawy. Ponieważ główne części strojów były podpisywane „Christina”, nie mogła pozwolić, by ktoś malował je za nią.

Teraz, kiedy tak stała przy oknie w szare, marcowe popołudnie pięćdziesiątego piątego roku, sprawa ręcznie malowanych tkanin zaprzętała jej uwagę bez reszty. Odwróciła głowę i powiedziała do Jane:

– Słuchaj, wiem, że dobrze zarabiamy na strojach wieczorowych, myślę jednak, że mogłybyśmy zacząć szyć i inne ubiory, a przez to rozszerzyć produkcję.

– Spodziewałam się, że kiedyś to powiesz. Malowanie tkanin jest bardzo czasochłonne, Christie. Sądzę, że powinnaś zawsze robić ręcznie malowane stroje, bo są przecież twoim znakiem firmowym, ale może warto ograniczyć ich liczbę.

– Tak. Zacznę też projektować proste, dopasowane kostiumy i suknie, które tak lubi twoja mama. Ona ma dobre rozeznanie w potrzebach i możliwościach sprzedaży.

– To prawda. Jeśli już mowa o mamie, to chyba cię opuszczę – powiedziała Jane, podnosząc się z krzesła. – Będzie zła, jeśli się spóźnię na spotkanie z nią i Gregorem Joynsonem. A jeszcze muszę się przebrać. A więc, Christino Crowther, życz mi szczęścia.

– Naturalnie, życzę ci powodzenia. Wiem, że na pewno spodobać mu się twoje próbne projekty kostiumów. Są wprost nie z tej ziemi!

Jane mrugnęła porozumiewawczo, wzięła do ręki torebkę i płaszcz.

– Dobrze urodzić się pod szczęśliwą gwiazdą, prawda? Dziękuję Bogu za moją matkę aktorkę, która popiera nepotyzm. – Zatrzymawszy się przy drzwiach, dodała: – A ty, Christie, nie siedź tu przez całą noc, zaczynasz wyglądać jak widmo.

– Nie, nie będę. Zobaczymy się później w domu.

Gdy Christina została sama, weszła na górę i zapaliła silne górne światła, które zainstalowano w studio, żeby mogła pracować wieczorami. Spojrzała na tkaninę, którą skończyła malować rano, i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Na czarnym szyfonie były namalowane białe lilie błotne. Materiał został pomalowany wcześniej, jeszcze zanim zaprojektowała model sukni. To zrobi jutro, wtedy też skroi suknię, której fason podkreśli motyw kwiatowy. Często posługiwała się tą metodą. Kiedy indziej kreowała styl sukni czy płaszcza, wybierała tkaninę, kroїła przód i tył i malowała wzór na już wyciętych fragmentach stroju. Nigdy się nie ograniczała do jakiegoś jednego sposobu pracy; zawsze pozostawiała otwarta na inspirację swą sztuką. W pewnej mierze pozwalała sztuce dyktować styl każdej z projektowanych sukien. Dlatego też żadne ze zrobionych przez nią modeli nie były podobne do siebie.

Christina sprawdziła kilka tkanin i wróciła do biura. Wyjęła blok listowy i zaczęła pisać list do rodziców. Zawsze pisała do nich raz w tygodniu i niezmiennie telefonowała w niedzielę wieczorem.

Westchnęła zapełniając stronicę kłamstwami: o obrazach, które sprzedaje, o swym życiu towarzyskim i o swoich zajęciach. Musiała wszystko wymyślać, gdyż nie miała w tej chwili żadnego życia osobistego, żadnego chłopaka. Była sama po przelotnym romansie z kolegą z roku, podobnie zresztą jak i innych w ciągu ostatnich lat.

Christina położyła łokcie na stole i oparła głowę na rękach, usiłując wymyśleć coś efektownego, by opowiedzieć to matce. Audra tak bardzo lubiła słuchać o jej rozległych kontaktach towarzyskich z Jane, z Sedge wiekami i innymi znanymi ludźmi, których u nich spotykała.

Odchyliła się do tyłu, odłożyła pióro i nagle zaczęła rozmyślać o Dulcie Manville. Jaką okazała się dobrą i życzliwą przyjaciółką i jaka miła była dla jej rodziców, kiedy przyjechali do Londynu na uroczystość rozdania dyplomów! Jane przeniosła się na ten czas do rodziców, żeby Audra i Vincent mogli zamieszkać przy Walton Street. Cieszyli

się z tej możliwości; cała ich podróż do Londynu okazała się niezmiernie udana. Sedge Wickowie wydali dla Jane przyjęcie z okazji ukończenia studiów. Dulcie była wyraźnie zaskoczona, gdy poznała Vincenta. Christina nawet teraz uśmiechnęła się do siebie, wspomniawszy jej reakcję. Wzięła ją na stronę i zauważyła:

– Mogłaś mnie uprzedzić, że twój ojciec wygląda jak Robert Taylor, Christie. Dobry Boże, gdyby był aktorem, ta twarz przyniosłaby mu fortunę.

Później, tego samego wieczoru, kiedy powtórzyła te słowa rodzicom, ojciec czuł się mile polectany w swojej próżności, ale matka wyglądała wręcz na poirytowaną. Wtedy też zrozumiała, że była strasznie zazdrosna o męża.

Och, ci dwoje – uśmiechnęła się do siebie Christina, sięgając ponownie po pióro. – Z nimi zawsze się czuję jak na huśtawce: albo skaczą sobie do oczu, albo wpadają w ramiona. Myślała o rodzicach w nagłym przypiływie ciepłego uczucia. Bardzo kochała ich oboje i zawsze starała się balansować pomiędzy nimi jak na linie, a przy tym nie opowiadać się po żadnej ze stron, żeby nikogo nie zranić. I chyba to mi się udało – pomyślała, próbując zakończyć list pełen nieprawdziwych wieści.

Wybiła dziewiąta, kiedy Christina wreszcie opuściła zakład i skierowała się King's Road w stronę Sloane Square. Myślami ciągle jeszcze tkwiła przy matce. Udało się jej przekonać Audrę, by już nie przysyłała pieniędzy. Twierdziła bowiem, że dobrze sprzedaje swoje prace. Ale martwiło ją to, że matka ciągle jeszcze pracuje w szpitalu.

– Ona nie chce mnie słuchać, dziecinko – powiedział ojciec, gdy wyrzucała mu to podczas zimowych ferii. – Twoja matka zawsze miała własne zdanie i byłbym ostatni, który zdołałby wpłynąć, żeby je zmieniła.

Audra nie usłuchała również prośb córki i w końcu sprawa upadła.

Cóż, mam przynajmniej satysfakcję wiedząc, że zatrzymuje te pieniądze dla siebie – pomyślała Christina wrzucając list do skrzynki przy poczcie na Sloane Square. – To wielka ulga wiedzieć, że mama nie pracuje na moje utrzymanie.

Od chwili gdy przestała malować pejzaże, Christina wiele już o tym nie myślała. Jeśli o nią chodziło, to podjęta decyzja była nieodwracalna. Nigdy jej też nie żałowała. Za wszelką cenę chciała liczyć się w świecie wielkiej mody i to stało się obecnie główną i silną motywacją jej działania. Wierzyła, że tylko zdobycie pieniędzy, dużych pieniędzy, pozwoli jej spłacić zaciągnięty u matki ogromny dług. Chciała matce zapewnić życie w luksusie. Miała nadzieję, że wkrótce już to będzie mogła zrobić.

Teraz, gdy śpieszyła po Sloane Square, zasłaniając się szalikiem przed marcowym wiatrem, rozmyślała o poważnym zamówieniu na ubrania, które otrzymała od aktorki Mirandy Fowler. Gwiazda za trzy miesiące wyjeżdżała do Nowego Jorku, gdzie miała występować w teatrze na Broadwayu, i poprosiła Christinę o uszycie tylu wieczorowych strojów, ile tylko się da.

Jakim cudem mam zrobić to wszystko na czas – zastanawiała się wchodząc do mieszkania. Przy kolacji zaczęła ze zwykłym sobie skupieniem robić notatki i szkice do nowej kolekcji.

Przez kilka następnych dni Christinie zdawało się, że nowe modele znajdują się na końcu ołówka.

Teczka była pełna wstępnych szkiców sukien dla Mirandy Fowler, a pomysły pojawiały się bez wysiłku – w wyobraźni widziała poszczególne stroje. Wzory, fasony, style, kolory, kształt kwiatów, tkaniny, hafty... wszystko to walczyło o miejsce dla siebie w jej głowie.

W ciągu dziesięciu dni uporządkowała szkice, wybrała najlepsze, skompletowała rysunki i zaczęła szukać materiałów.

Przez kilka następnych dni szyfony, jedwabie, satyny, brokaty, krepy i żorzęty kłębiły się wokół niej w oszałamiającej gamie barw. Powoli i one zostały posegregowane, aż wreszcie zdecydowała się przeznaczyć jedwab, szyfon i żorżetę na suknie wieczorowe, ciężką satynę na

wieczorowe spodniuchy i długi płaszcz, brokat na dwa żakiety, do noszenia w komplecie z jedwabnymi spodniami.

Kiedy aktorka przysłała do miary, była zachwycona rysunkami i tkaninami. Christina wyjaśniła jej, że jeśli ma przygotować cały zestaw wieczorowej garderoby, to nie wszystko może być ręcznie malowane. Nowa klientka wyraziła na to zgodę.

Christina pracowała niemal bez przerwy, podczas gdy dwie francuskie krawcowe szyły dzień i noc, aby na czas skończyć zamówienie znakomitej gwiazdy komediowej. W kilka tygodni po tym, jak rozpoczęła pracę nad tym zamówieniem, przyjęła do pracy kolejną Francuzkę, przyjaciółkę Germaine, imieniem Lucie James. Lucie miała doskonałe referencje i była nie tylko zręczną szwaczką, lecz również cieszyła się opinią dobrej krojczyni. Przed wojną pracowała w salonie Balenciagi, a w trzydziestym ósmym roku poślubiła Anglika. Christina szybko przekonała się, że Lucie stanowi doskonały nabytek; wiedziała też, że częściowo będzie mogła powierzyć jej krojenie. A to oznaczało więcej czasu na malowanie.

Przygotowanie zamówienia Mirandy Fowler wymagało od całego zespołu ogromnego wysiłku. Christinie udało się wykonać je z niewielkim wyprzedzeniem i pewnego wieczoru pod koniec maja zabrała Jane na górę, żeby pokazać stojący w studiu wieszak ze strojami aktorki.

Przekręciła kontakt – światło zalało wnętrze; ściągnęła z wieszaka pokrowiec.

– Następuje odświeżenie! – zawołała. – Lecz zanim pokażę ci te eleganckie i niepowtarzalne kreacje, pozwól mi coś powiedzieć. Otóż kiedy Miranda Fowler ureguluje rachunek, będę mogła zwrócić ci pożyczone pięć tysięcy funtów. Czy to nie cudowna wiadomość, Janey?

– Tak, ale po co ten pośpiech – odparła Jane, a potem zaczęła wyrażać zachwyt nad rzeczywiście zaskakującymi kreacjami.

Kiedy obie młode kobiety wróciły do biura, Christina powiedziała:

– Posłuchaj, zabieram dziś moje trzy urocze pracownice na kolację: specjalny poczęstunek za pracę, jaką wykonały. Czy nie zechciałaś być z nami, Jane? W końcu jesteś częścią rodziny!

– Och, to ogromnie miło z twojej strony, ale jestem dziś bardzo zajęta – odparła przyjaciółka. – Harowałam jak nie wiem kto nad tymi kostiumami, a w dodatku muszę jeszcze coś zrobić z tymi koszmarnymi kryzami. Nie są dość sztywne, mocno nakrochmalone zaś drapią aktorów po szyjach. Boże, dlaczego moja matka postanowiła grać Elżbietę Tudor?

Christina roześmiała się, widząc wyraz twarzy Jane.

– Tym bardziej dobrze by ci zrobiło pójście z nami na kolację – stwierdziła. – Przestałabyś myśleć o kryzach.

Jane odmownie pokręciła głową.

– Dzięki, ale nie. Trochę popracuję, zrobię sobie kanapkę z jajkiem i położę się wcześniej spać. – Spojrzała na Christinę z ukosa i skrzywiła usta. – Ale romantyczne życie prowadzimy ostatnio, prawda?

– Nadrobimy to wszystko, gdy będziemy bogate i sławne.

– No, to już na pewno! – odparła Jane, chytrze mrugnawszy okiem. – Posłuchaj, Christino Crowther. Nie wchodź dziś do mieszkania ze stukiem i hałasem; naprawdę mam zamiar położyć się wcześniej spać.

– Możesz jutro pospać dłużej, jest sobota.

– Akurat będę mogła! – Jane wzięła teczkę pod pachę. – Baw się dobrze, kochanie – powiedziała.

Było kilka minut po jedenastej, gdy Christina wracała z kolacji ze swymi pracownikami.

Nagle poczuła się straszliwie zmęczona.

Miała za sobą miesiące ciężkiej pracy, a tego wieczoru po raz pierwszy od bardzo długiego czasu nieco się zrelaksowała. Doskonała kolacja i czerwone wino zrobiły swoje. Nie mogła się doczekać, by położyć się do łóżka.

Pamiętając, że Jane mówiła o wczesnym pójściu spać, nie mogła teraz zrozumieć, co znaczą oświetlone okna w bawialni. Prawdopodobnie zapomniała zgasić światło – mruknęła do siebie, otwierając frontowe

drzwi i wchodząc po schodach na górę.

Christina szukała właściwego klucza, gdy nagle drzwi mieszkania otworzyły się szeroko.

Zaskoczona drgnęła i spojrzała na Jane.

– Ale mnie przestraszyłaś... – zaczęła i zamilkła, gdy przyjaciółka chwyciła ją za ramię cedząc przez zęby:

– Twoi rodzice są tutaj. Matka jest *wściekła*, nie spuszcza oczu z obrazów wiszących na ścianach.

– O mój Boże! – szepnęła pobladła Christina. – Ależ ja jestem głupia.

Rozdział trzydziesty ósmy

Chłód bijący z błękitnych oczu matki zmroził ją już na progu.

Zawahała się na sekundę w drzwiach. Wszystkie siły gdzieś z niej odpłynęły i ogarnęło ją straszliwe wewnętrzne drżenie.

Rodzice siedzieli obok siebie na kanapie. Oboje wyglądali jak wykuci z granitu.

Nikt się nie odzywał.

Gdzieś za nią, w mroku przedpokoju, stała Jane.

Nie mogła się ruszyć ani naprzód, ani w tył. Skamieniała tak samo jak rodzice.

W końcu odzyskała głos i rzekła:

– Dobry wieczór, mamo, tatusiu... to wielka niespodzianka.

– Na to wygląda – odparła Audra tonem tak samo lodowatym, jak jej spojrzenie.

Christina z trudem przełknęła ślinę.

Vincent wpatrywał się w nią uporczywie.

Nagle Audra wstała, czym zaskoczyła wszystkich, i zaczęła szybko chodzić po pokoju, zatrzymując się na chwilę przy każdym z obrazów Christiny. Zimnym, zaciętym głosem odczytywała po kolei ich tytuły:

– „Jodły w zimie”, „Niebo nad Gunnerside”, „Houghley Beck”, „Ostróżki Edith”... a przez otwarte drzwi twojej sypialni... – nagle urwała w środku zdania, odwróciła się do Christiny i, patrząc jej z uporem w twarz, dokończyła: – widzę „Lilię z Hadley”. Powiedziałaś mi, że sprzedawałaś wszystkie te obrazy. Kłamałaś, Christino. Dlaczego? Z czego się utrzymujesz? Czym płacisz rachunki? Coś jest tu bardzo mocno nie w porządku. Żądam wyjaśnienia, co się tu dzieje! *I to natychmiast, czy słyszysz, co mówię?!*

Christina zrobiła krok do przodu, poruszona gniewnymi słowami matki, wiedziała bowiem, że musi wyjaśnić tę sprawę raz na zawsze.

Podeszła do Audry jeszcze bliżej. Wciągnęła powietrze w płuca.

– Mamusiu, mam ci coś do powiedzenia, coś, co chciałam powiedzieć już bardzo dawno... – Spojrzała na matkę, taką kruchą, lecz nieoczekiwanie przestraszyła się emanującej z niej siły i zdecydowania, widocznych w jej twarzy. Nie mogła mówić dalej. Straciła śmiałość i odwagę.

Błękitne oczy Audry wpatrywały się w nią uporczywie.

– Christino, ja czekam.

Wyrzucając z siebie pośpiesznie słowa, Christina oświadczyła:

– Zrezygnowałam z malarstwa. Zostałam projektantką mody. Zdecydowałam, że nie warto być artystą beznadziejnie walczącym o byt. Ja chcę zarabiać pieniądze. Moje stroje są śliczne, wręcz piękne. Wiem, że ci się będą podobać...

– Zrezygnowałaś ze sztuki, żeby zostać *krawcową!* – wykrztusiła Audra, oszołomiona i zaskoczona. Wpatrywała się w córkę; cała krew odpłynęła jej z twarzy, a oczy wyrażały niedowierzanie. – Zrezygnowałaś ze sztuki! – powtórzyła. – Odrzuciłaś wielki dar, aby tworzyć piękno dla... *komercyjnych* celów. Nie mogę w to uwierzyć! Po prostu nie mogę w to uwierzyć! – Gwałtownie pokręciła głową, jakby chcąc zaprzeczyć tej strasznej wieści. Nagle krzyknęła: – I to po wszystkim tym, co dla ciebie zrobiłam! Po tym, co ja zrobiłam, ty rezygnujesz ze sztuki! O, mój Boże, kiedy myślę o latach wytężonej ciężkiej pracy, o poświęceniu, oszczędzaniu, o rezygnacji z tylu rzeczy bylebyś ty coś

miała. O tym, jak oddawałam ci siebie przez te lata, dopóki nic do dania już nie pozostało; zawsze ty na pierwszym miejscu, zawsze ty przed ojcem. Kiedy pomyślę, jak go zaniedbywałam...

Audra nie była w stanie mówić dalej. Odwróciła się do Vincenta. Wyraz udręki i bólu wraz z bezgranicznym smutkiem pojawił się na jej twarzy, a oczy, pociemniałe z rozpaczy, gwałtownie napełniły się łzami.

– Och, Vincencie! – krzyknęła i rzuciła się ku niemu na oślep, łzy bowiem płynęły jej strumieniem.

Wziął ją w ramiona i przytulił do siebie opiekuńczym gestem, jedną ręką gładząc pocieszająco jej plecy. Pochyliwszy się, popatrzył na nią z westchnieniem i podniósł głowę.

Spotkał się spojrzeniem z córką; wpatrywał się w nią tak uważnie, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu.

Christina skurczyła się pod tym surowym, zimnym, badawczym wzrokiem; zaczęły jej drżeć usta.

W spojrzeniu Vincenta widać było pogardę, a jego oczy stały się stalowo-zielone i nieprzejednane.

– W tej chwili zламаłaś serce twojej matki – powiedział, a głos mu drżał.

W milczeniu odwrócił się i wyprowadził płaczącą Audrę z pokoju.

Christina patrzyła na wychodzących rodziców w osłupieniu, a potem rzuciła się w ślad za nimi i dopędziła ich w hallu.

– Tatku, poczekaj! – zawołała, chwytając go za rękaw.

Odrzącił jej rękę szorstkim ruchem i spojrzał przez ramię.

– Nie mów mi „tatku” – rzucił. – Na dzisiaj mam cię dość. Nigdy nie myślałem, że dożyję chwili, kiedy tak okrutnie zranisz matkę.

Christina wzdrygnęła się na dźwięk tych słów i stanęła jak wryta na progu mieszkania, podczas gdy matka z ojcem schodzili po schodach.

Zza pleców usłyszała szept Jane:

– O, mój Boże, Christie, to jest po prostu straszne. Nic ci nie jest?

Nie słysząc żadnej odpowiedzi, Jane objęła przyjaciółkę ramieniem i wciągnęła do wnętrza. Zamknąwszy wolną ręką drzwi, przeprowadziła ją przez hall do bawialni i posadziła na kanapie.

Christina spojrzała bezradnie na Jane i zaczęła dygotać.

– Muszę ich dogonić – powiedziała i natychmiast wybuchła płaczem.

– Och, kochanie, przestań, przestań – szeptała Jane czułym głosem. Usiadła na sofie i ujęła jej ręce w swoje. – Nie możesz iść za nimi, nic dobrego by z tego nie wyszło. W każdym razie nie dzisiaj – uściśnęła ją mocno, wstała i szybko wyszła z pokoju. Wróciła w chwilę później z wielką chustką do nosa. – Masz, wytrzymaj sobie oczy – powiedziała, podając ją Christinie – a ja przygotuję drinka. Myślę, że koniak dobrze nam zrobi.

Christina wytarła oczy, wzięła od Jane kieliszek z koniakiem i upiła duży łyk.

– Może za jakiś czas do nich zadzwonię. Pewnie zatrzymali się w mieszkaniu w domu Theo; mają tam wolny wstęp o każdej porze...

– Nie, nie, zatrzymali się w hotelu – przerwała Jane z grymasem. – O rany, ale ze mnie idiotka! Powinnam przecież spytać twego ojca, w jakim hotelu mieszkają.

– Och, Jane... – Christina znowu opadła na oparcie kanapy. Ogarnęło ją uczucie rozpacz i bezsilności. – Myślałam, że, jak zawsze, będą w domu przy Chester Street, a teraz nie odnajdę ich w czasie tego weekendu!

– Może zadzwonią do ciebie jutro – powiedziała Jane i rozpogodziła się na tę myśl. – Tak, tak, jestem pewna, że tak zrobią.

– Bardzo w to wątpię. Mama jest zupełnie rozbita, a ojciec wściekły. – Christina przetarła ręką zmęczone oczy i powiedziała: – Opowiedz mi, co się dziś wydarzyło.

– Przyjechali wieczorem, gdzieś kwadrans po dziesiątej. Położyłam się wcześniej do łóżka, ale ciągle dzwonił telefon. Jakieś głupie rozmowy. Najpierw Gregory Joynson ze skargą, że jedna z sukien mamy „gryzie się” z jakąś poduszką na scenie; on jest taki stuknięty.

Potem dzwoniła mama zmartwiona tymi elżbietańskimi krzaczkami i wreszcie Harry Manderville zgłosił się z zaproszeniem na jakiś idiotyczny bal sztuki, który odbędzie się w przyszłym miesiącu. Byłam taka zła, że odłożyłam słuchawkę i szybko zasnąłam. Obudził mnie brzęczyk domofonu. To był twój ojciec. Powiedział, że są na dole. Oczywiście, poprosiłam ich na górę, no bo co miałam zrobić? Poza tym byłam zasnana i zupełnie nie pomyślałam o tych obrazach.

– Jane, ja ciebie o nic nie obwiniam! – krzyknęła Christina. – Pewnie, że musiałaś ich poprosić na górę. Ale czy oni mówili, dlaczego przyjechali do Londynu? Zazwyczaj nie przyjeżdżają bez powodu.

– Zdaje się, że twój ojciec wpadł na wspaniałą myśl, żeby przywieźć matkę na spotkanie z tobą. Miało to być dla niej coś w rodzaju prezentu. Chcieli ci zrobić niespodziankę i właśnie dlatego nie zawiadomili, że przyjeżdżają.

– Gdyby tylko to zrobili... Zdjęłybyśmy obrazy ze ścian, schowały w zakładzie i nigdy by się niczego nie dowiedzieli.

– Święta prawda – zgodziła się Jane i obrzuciła Christinę spojrzeniem pełnym zrozumienia. – Muszę przyznać, że czuję się trochę odpowiedzialna za to, co się stało. Gdybym nie odłożyła słuchawki, toby się do mnie dodzwonili. Próbowali wcześniej, ale było zajęte, więc poszli gdzieś na kolację i dzwoniли później. Wreszcie zaniepokoiłi się i zdecydowali przyjść tutaj. O, do diabła, gdybym z nimi porozmawiała i uspokoila, że wszystko jest w porządku, to przyszliby dopiero jutro. A już na pewno powinnam zdjąć obrazy.

– Jane, *bardzo cię proszę*, nie obarczaj siebie odpowiedzialnością. Gdybym ja nie zaprosiła dziewcząt na kolację, siedziałabym tu razem z tobą. Życie zawsze pełne jest tych *gdyby tylko* i *jeśliby*. Wiesz o tym tak samo dobrze jak i ja. – Christina ogarnęła wzrokiem bawialnię i zauważyła spokojnie: – Przypuszczam, że moja matka od razu zwróciła uwagę na obrazy.

– Jeszcze się pytasz? Oczywiście, że tak. Wiesz, jaka ona jest spozstrzegawcza, a zresztą, kto by ich nie zauważył. Są wspaniałe. Natychmiast

zdałam sobie sprawę z naszej głupoty i popędziłam do kuchni nastawić czajnik. Było mi słabo ze strachu i jedno, o czym mogłam myśleć, to poczęstowanie ich herbatą. Przeżyłam bardzo dramatyczną godzinę, czekając z nimi na twój powrót.

– Czy mama zadawała ci dużo pytań o to, czym się zajmuję?

– Żadnego, podobnie jak i twój ojciec.

Christina spojrzała na zegarek.

– Cały czas mówię sobie, że na pewno zadzwonią, ale to z mojej strony tylko pobożne życzenie. Wiem, że tego nie zrobią.

– Zadzwonią jutro, zobaczysz.

Przytaknęła, rozumiała bowiem, że Jane chciała ją uspokoić. Lecz wiedziała również, że przyjaciółka się myli.

Christina nie mogła zasnąć.

Zresztą nawet nie próbowała. Leżała w łóżku myśląc o matce i czekała na nadejście świtu.

O siódmej rano wyłączyła nocną lampkę, przysunęła do siebie swój notes i znalazła numer Mike'a Lesleya. O brzasku przyszło jej do głowy, że jeśli ktoś mógł wiedzieć, gdzie zatrzymali się jej rodzice, to na pewno wuj Mike. Wykreśliła numer w Leeds, uznając, że już można zatelefonować.

– Doktor Lesley przy aparacie – odpowiedział niezwłocznie. Zdawał się być zupełnie rozbudzony.

– Halo, wujku Mike. Tu Christie.

– Tak, wiem. Dzień dobry, moja droga.

– Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale myślałam, że może wiesz, w którym hotelu zatrzymali się rodzice. Trochę się posprzeczałyśmy wczoraj wieczorem i...

– Tak, twój ojciec opowiadał mi o tym przed chwilą.

– *Och.* Więc wiesz, gdzie się zatrzymali.

– Tak, są w hotelu Browna, ale twój ojciec, Christie, mówił przed półgodziną, że są spakowani i wracają do Yorkshire. Pewno już ich tam nie zastaniesz.

– O, Boże! – krzyknęła – a ja miałam nadzieję, że zobaczę ich dzisiaj i wszystko wytłumaczę... – Rozczarowanie ścisnęło jej gardło i nie dokończyła zdania.

– Może lepiej, że wyjechali – powiedział Mike. – Myślę, że rozsądniej będzie, jeśli porozmawiasz z matką trochę później. Za kilka tygodni, kiedy się nieco uspokoi.

– Och, nie, ja tak nie uważam, wujku. Muszę z nią pomówić dziś albo jutro. Wczoraj była tak zmartwiona i czuła się tak boleśnie zraniona. Czy tatuś mówił ci, co się wydarzyło?

– Tak, Christie.

– A więc wiesz, że zrezygnowałam z malarstwa i zajęłam się projektowaniem mody?

– Tak.

– I ty również tego nie aprobujesz?

– To twoje życie, Christino, i musisz je przeżyć tak, jak uważasz za właściwe. Jestem przekonany, że miałaś istotne powody, żeby tak postąpić.

– Och, wujaszku, właśnie dokładnie tak. Muszę coś zrobić, żeby mama je zrozumiała. Widzisz, nie mogłam zgodzić się na to, żeby ona dalej mnie utrzymywała, naprawdę nie mogłam. Postanowiłam zarabiać sama na siebie. To, że ona się ciągle zapracowuje, by wspierać mnie finansowo, było dla mnie nie do zniesienia. Sądzę, że naprawdę umiem projektować wzory i modele strojów. Dostrzegłam w tym swoją szansę na osiągnięcie sukcesu, na zarobienie pieniędzy. Nie tylko dla siebie, ale także dla mojej matki. Chcę spłacić ten dług, który u niej zaciągnęłam.

– Och, Christie... – po drugiej stronie przewodu zapanowała cisza. Wuj Mike ciężko westchnął, później zaś dodał łagodnie: – Twoja matka nie robiła tego z myślą o zwrocie czy nagrodzie, Christie. Nagrodą była jej duma z twych osiągnięć.

– To może wystarczyć mamie, ale nie wystarczy mnie. Ja chcę dać jej znacznie więcej, chcę dać jej wszystkie najlepsze rzeczy, jakie można kupić za pieniądze. I nie spocznę, póki tego nie zrobię!

– Przypuszczam, że tak właśnie postąpisz – odparł z narastającym

zrozumieniem. – Jest w tobie zbyt dużo z twojej matki. Zastanawiam się jednak, czy ona kiedykolwiek zrozumie, że idziesz jej śladem.

– Co masz na myśli? – zapytała Christina, ściskając mocniej słuchawkę. – Nie rozumiem cię, wujku.

Mike Lesley nie odpowiedział wprost. Zamiast tego odrzekł:

– Przed wieloma laty twój ojciec przyszedł do mnie, żeby porozmawiać o twojej matce. Był zaniepokojony stanem jej zdrowia, martwił się, że za dużo pracuje, że nadweręża siły. Było to wiosną trzydziestego dziewiątego roku. Pamiętam dobrze ten rok, bo we wrześniu wybuchła wojna. Tak więc ojciec mówił, że to, co robi twoja matka, żeby zapewnić tobie wspaniałą przyszłość, jest niezwykle. Laurette stwierdziła, że nie są to właściwe określenia. Powiedziała też twemu ojcu i mnie, że jesteśmy świadkami realizowania aktu woli. Właśnie aktu woli o tak silnej motywacji, tak altruistycznego, że aż budzi szacunek i podziw.

Łzy napłynęły Christinie do oczu, zamrugała powiekami i otarła je pośpiesznie.

– To właśnie tak było, prawda? – powiedziała.

– Tak, moja droga. A teraz znowu ty realizujesz swój własny akt woli i matka nie będzie w stanie cię powstrzymać, tak samo jak twój ojciec nigdy nie mógł powstrzymać jej.

– Ale dlaczego, wujku Mike, mówisz, że ona mnie nie zrozumie?

– Dlatego, że nigdy nie pogodzi się z faktem twojej rezygnacji bycia artystką tylko dlatego, by spłacić matce dług, który zaciągnęłaś. Uzna to za absolutnie niedorzeczne. A jeśli jeszcze dodasz, że z tego powodu wzięłaś się do interesów, jej odpowiedź będzie bardzo prosta. Będzie nalegała, byś wróciła do malowania obrazów, ponieważ ona nie chce innych luksusów, które kupuje się za pieniądze.

Christina milczała.

– Tak, możliwe, że masz rację – stwierdziła po krótkiej pauzie – lecz ja muszę robić to, co uważam za stosowne w danej sytuacji.

Teraz z kolei zamilkł Mike.

Christina usłyszała, jak ciężko westchnął po drugiej stronie słuchawki.

– Niech więc tak będzie – powiedział w końcu. – I niech Bóg ma cię w swej opiece, Christie.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

– Muszę z tego zrobić coś wielkiego, naprawdę wielkiego. I chcę to zacząć robić od zaraz. *Teraz!*

Zaskoczona Jane wbiła w nią wzrok, wyjęła z ust kilka szpilek i pomachała nimi przed Christina.

– Wolałabym, żebyś nie składała takich ważnych oświadczeń, gdy mam to w zębach. Niemal je połknęłam.

– O, przepraszam.

– W porządku. – Jane uśmiechnęła się łobuzersko. – A więc chcesz robić coś na dużą skalę, opowiadaj.

– Taki właśnie mam zamiar – odparła Christina podchodząc do Jane, która pracowała w studiu nad kostiumem dla Dulcie.

Było upalne, lipcowe popołudnie i Jane w walce z gorącem związała bluzkę pod biustem, odkrywając w ten sposób część brzucha, zamiast spódnicy włożyła parę białych bawełnianych szortów, zrzuciła buty i pończochy, a długie jasne włosy upięła w węzeł na czubku głowy.

Christina pomyślała, jak ładnie wygląda jej przyjaciółka, pomimo nieco nieporządnej fryzury i niezbyt starannego makijażu. Jej podziw i głęboka sympatia dla Jane Sedgewick nagle dały o sobie znać ze zdwojoną siłą. Jakież miała szczęście znajdując taką przyjaciółkę!

– Co myślisz o szklance lemoniady? – zapytała, stawiając trzymaną w rękach tacę na stole i zdejmując kapsel z butelki. – Chce ci się chyba bardzo pić, tutaj jest okropnie gorąco i duszno.

– Wiem, sędzę, że musimy zainstalować drugi wentylator. Dzięki, chętnie się trochę napiję – Jane odsunęła się od krawieckiego manekina,

obejrzała uważnie kostium teatralny z epoki Tudorów, nad którym właśnie pracowała, odwróciła się, usiadła na stołku i wzięła do ręki szklankę z lemoniadą. – No to opowiadaj o swoich planach. Znając cię, mogą się założyć, że już wszystko obmyśliłaś.

– Coś w tym rodzaju – potwierdziła Christina i przysiadła na stole. – Prowadzimy interes od dziesięciu miesięcy i idzie nam doskonale. Jednakże mogłybyśmy sprzedawać dwa razy tyle sukien, gdybyśmy były zdolne je wykonać. Myślę więc o rozszerzeniu przedsiębiorstwa, o produkcji na dużą skalę, jak to już powiedziałam.

– W jaki sposób?

– Zatrudnię więcej krojczyń i szwaczek, a także personel biurowy, wynajmę sklep na West Endzie.

– To będzie kosztowało. Nawet jeśli zatrzymasz te moje pięć tysięcy, to i tak będzie za mało, Christie.

– Wiem o tym. Potrzebuję około pięćdziesięciu tysięcy funtów.

– Aż tyle! – gwizdnęła Jane. – O rany! Ale chyba masz rację.

– Wiem o tym – potwierdziła Christina. – Obliczyłam już wszystko. Oprócz pensji pracowników, będziemy musiały kupić spore zapasy różnych materiałów, no i, oczywiście, opłacić czynsz. W ubiegłym tygodniu obejrzałam kilka pomieszczeń; wszystkie były bardzo drogie, zwłaszcza te w dzielnicy Mayfair, a tam właśnie, uważam, powinniśmy wynająć jakiś lokal.

– A więc naprawdę myślisz o wielkim przedsięwzięciu!

– Tak, zupełnie serio. A propos tych pięćdziesięciu tysięcy, Jane. Myślę, że powinniśmy je pożyczyć w banku, chociaż żadna z nas nie ma finansowego zabezpieczenia. Gdyby twoja matka mogła za nas poręczyć... Chodzi o zagwarantowanie pożyczki przez kogoś solidnego, z majątkiem.

Jane pokręciła głową z powątpiewaniem i mocno się zamyśliła zagryzając wargi.

– Nie, wydaje mi się, że pożyczka z banku to nie najlepszy pomysł. Ja bym raczej pożyczyła od mamy i myślę, że ona mogłaby dać nam

przynajmniej połowę sumy. Wiem też, że ciotka Elspeth dołoży resztę, bo kiedyś pytała mnie, czy nie potrzebujesz pieniędzy na rozwinięcie interesu. Poza tym ciotka jest wielką admiratorką twoich kreacji.

– Jane, gdyby one się zgodziły, to byłoby wspaniale... Naprawdę wierzysz w to, że zdecydują się postawić na mnie?

– Tak, jestem tego pewna. Zresztą finansowanie ciebie z trudem można określić jako hazard, wszyscy o tym wiemy.

– Wolałabym, żeby to była pożyczka, spłacana z procentem, oczywiście, jeśli by się na to zgodziły. Nie potrzeba nam wielu partnerów, prawda?

– Nie, tu masz słuszość. Chociaż ani mama, ani ciotka Elspeth nie wtrącałyby się do interesu. Mimo to zgadzam się z tobą. Lepiej, żeby nam po prostu pożyczyły te pieniądze – Jane z tymi słowami zeskoczyła ze stołka. – Chodźmy na dół do biura i zadzwońmy do mamy – zawołała pełna entuzjazmu dla pomysłu Christiny. – Wiem, że jest w domu i uczy się roli. Po rozmowie z nią zadzwonię do ciotki Elspeth do Monte Carlo. Och, jakie to ekscytujące, Christie. One natychmiast się zgodzą! Zobaczysz, w przyszłym tygodniu będziemy brały kurs na wielki wyczyn, tak jak tego chcesz. Przed nami wspaniałe czasy.

Jane podskakiwała i tańczyła, na progu nawet wykonała kilka kroków szkockiego tańca, po czym zbiegła po schodach podśpiewując.

Christina szła za nią spokojniejszym krokiem i śmiała się z entuzjazmu przyjaciółki. Przez cały czas trzymała zaciśnięte kciuki, modląc się, by Jane miała rację.

To była prawda.

Dulcie Manville i jej siostra, Elspeth D'Langer, wniosły dodatkowy kapitał, który był niezbędny do dalszego rozwoju przedsiębiorstwa Christiny Crowther i przeniesienia się ze sprzedażą na West End.

Elspeth przyleciała z Francji cztery dni po telefonie Jane. Obie z siostrą i dziewczętami odbyły kilka spotkań z adwokatami Dulcie. W

czasie tych spotkań właśnie Dulcie i Elspeth zdecydowały, że Christinie trzeba większego zabezpieczenia, na wypadek, gdyby pojawiły się jakieś nieprzewidziane kłopoty czy trudności. Stąd podwyższono kwotę pożyczki do stu tysięcy funtów.

Tę właśnie sumę Christina ostatecznie złożyła na rachunku bankowym swego przedsiębiorstwa jeszcze przed końcem lipca, gdy podpisane zostały wszystkie niezbędne dokumenty.

W pewnym sensie najtrudniejszy etap rozpoczął się po tym fakcie. Christina doszła do wniosku, że powinna się rozdziwić. W dzień była kobietą interesu. Dobierała sobie personel biurowy, spotykała się z krawcowymi, krojczyniami, szwaczkami, które wykonywały tylko szybie ręczne i hafty, i prasowaczkami. Przyjmowała zawsze najlepsze. Lucie James, którą awansowała na kierowniczkę pracowni, często jej w tym doradzała. Lucie miała wielu przyjaciół wśród Francuzów mieszkających w Londynie i to właśnie ona przedstawiła Christinie Giselle Roux, sugerując jednocześnie, by przyjąć ją na główną sprzedawczynię w nowo otwartym salonie.

Giselle, podobnie jak Lucie, wyszła za Anglika i mieszkała w Londynie od pięćdziesiątego drugiego roku. Elegancka i inteligentna kobieta po trzydziestce pracowała uprzednio jako sprzedawczyni w paryskim salonie Pierre'a Balmaina; była osobą doświadczoną i odpowiedzialną. Christina w jej ręce oddała sprawę przyjęcia reszty personelu, gdyż całkowicie polegała na opinii Giselle. Poza tymi zajęciami absorbowało ją poszukiwanie odpowiedniego pomieszczenia na salon z firmową konfekcją. Oglądała jeden za drugim budynki West Endu i coraz bardziej traciła wiarę w powodzenie.

Kiedy już właściwie nie miała nadziei, że znajdzie coś stosownego, natknęła się na mały, lecz elegancki dom przy Bruton Street w Mayfair.

Pośrednik w biurze wynajmu nieruchomości oprowadził ją po tym domu w mglisty, deszczowy sobotni ranek pod koniec sierpnia. Jednak pomimo fatalnej pogody Christina zdołała dostrzec, jak przestronne były pokoje, zwłaszcza te na piętrach.

Natychmiast wynajęła dom, wiedząc, że na jej potrzeby jest wprost idealny. Był też w dobrym stanie, wymagał zaledwie drobnego remontu.

Na czterech piętrach budynku znajdowało się wystarczająco dużo miejsca na biura, pracownie i studio dla niej samej. Oprócz tego na dole były dwa ogromne pokoje wychodzące na główny hall, które znakomicie nadawały się na pomieszczenia ekspozycyjne.

Spacerując po słonecznych parterowych pokojach, Christina wyobrażała sobie, jak ładnie i wytwornie będą wyglądać utrzymane wyłącznie w jej ulubionych odcieniach szarości i bieli, z grubymi dywanami i migocącymi tysiącem tęczyowych blasków kryształowymi żyrandolami.

W nocy z kolei zrzucała z siebie tę skórę i stawała się artystką, twórcą.

Jeszcze długo po tym, jak wszyscy opuszczali fabrykę przy King's Road, Christina pracowała nad rysunkami do pierwszej kolekcji z jej firmowym znakiem. Ta kolekcja letnia miała być zaprezentowana publiczności i prasie na początku pięćdziesiątego szóstego roku. Na stworzenie sześćdziesięciu pięciu kreacji, które pragnęła zademonstrować, pozostawało jej tylko pięć miesięcy. Wiedziała więc, że czeka ją wielki wysiłek. To miała być jej pierwsza prawdziwa kolekcja, gdyż przez minione dziesięć miesięcy po prostu pokazywała klientkom szkice i materiały, a potem wykonywała modele na miarę.

Stworzenie serii kreacji ze wspólnym oryginalnym i wyrazistym motywem było dla Christiny wielkim wyzwaniem. Jednocześnie jednak podniecenie i autentyczna radość z tak ogromnego wysiłku twórczego, podsycaly jej naturalną energię i pozwalały pracować w nadzwyczajnym tempie. Oprócz bowiem własnoręcznie zaprojektowanych kreacji, musiała jeszcze naszkicować lub wybrać odpowiednie dodatki. Jej zdaniem, każda suknia, kostium czy płaszcz nie były skończone, jeśli nie miały właściwie dobranych, najdrobniejszych nawet, dodatków.

Wtedy dopiero widziała je jako całość.

Aczkolwiek Christina była zadowolona z faktu, że zdobywa mocną pozycję wśród wielkich projektantów mody, to jednak było coś, co mąciło jej szczęście. Martwiło ją bowiem oziębienie stosunków z matką i ojcem.

Po tym strasznym wieczorze w maju często do nich dzwoniła, odwiedzała w Yorkshire i regularnie pisała listy. Ojciec trochę się udo-bruchał, ale matka ciągle pozostawała zimna i tak daleka, że Christina zdecydowała się posłuchać rady Mike'a Lesleya. W konsekwencji więc nie wyjaśniła dlaczego naprawdę, zrezygnowała z malarstwa. Nosiła w sobie przekonanie, że ona i matka pogodzą się pewnego dnia i że nastąpi to wkrótce. Wiedziała, że Audra zbyt ją kocha, by gniewać się długo. Miała też nadzieję, że ojciec już próbował matkę udo-bruchać.

Tymczasem zaś musiała zrobić absolutnie wszystko, żeby byli z niej dumni.

Rozdział czterdziesty

Christina stała w hallu, który łączył ze sobą oba pokoje recepcyjne, rozglądając się dokoła.

Jeden pokój był odbiciem drugiego: perłowszare ściany i utrzymane w tej samej tonacji wykładziny podłogowe, białe gzymsy komin-ków, francuskie kryształowe żyrandole i kinkiety oraz stare weneckie lustra.

Oba pokoje pięknie się wzajemnie dopełniały, tak, jak sobie to wy-myśliła. Skinęła z aprobatą, zadowolona z efektu chłodu i spokoju, jaki wywoływały barwy perłowszare i białe. Tej monochromatycznej to-nacji nie naruszał żaden inny kolor. Christina nie chciała, by cokolwiek odciągało uwagę od demonstrowanych tu strojów, by coś z nimi współ-zawodniczyło. Nawet nie było tu kwiatów; stały jedynie w hallu.

Odróciwszy się spojrzała na kwiatową kompozycję stojącą na konsoli w stylu Ludwika XVI. Składała się z samych białych kwiatów.

Christina znowu zauważyła, jak znakomicie harmonizuje ona z całością w tym właśnie miejscu. Spiesznie weszła do większego z pokoi i któryś już raz z rzędu tego styczniowego ranka rozejrzała się dokoła, sprawdzając każdy szczegół.

Pokój był przedzielony na połowę pomostem. Po obu stronach stały rzędy małych złożonych krzesel. Zobaczywszy to, poczuła dreszcz podniecenia. Za niecałą godzinę jej pierwsza kolekcja zostanie zaprezentowana publiczności. Głęboko zaczerpnęła tchu i mocno zacisnęła dłonie, gdyż nagła obawa zmąciła jej myśli o strojach, które zaprojektowała.

– *Mademoiselle.*

Odwróciła się i zobaczyła, że jej główna sprzedawczyni, stoi w drzwiach prowadzących do garderoby, w której modelki przygotowywały się do pokazu, rozpoczynającego się o trzeciej.

– Giselle!

– Przyszedłam życzyć pani *bonne chance, mademoiselle*, życzyć powodzenia – powiedziała Francuzka, uśmiechając się serdecznie.

– Dziękuję, Giselle – odparła Christina również z uśmiechem, a potem spojrzała jej prosto w oczy. – Kolekcja *jest* w porządku, prawda?

Główna sprzedawczyni podniosła palec do ust i cmoknęła głośno.

– Nie tylko w porządku, *mademoiselle*, jest super, po prostu *doskonała*. Gdy pracowałam w salonie Balmaina, zawsze mówiłam do *monsieur*, że gdy w pracowni panuje wielkie podniecenie, to na widowni będą grzmoty... – przerwała, wskazała ręką na rzędy krzesel i dodała z przekonaniem: – W pracowni Domu Mody „Christina” panuje gorączka, niech więc pani będzie pewna, że na widowni będzie ogromny entuzjazm.

Młoda asystentka wysunęła głowę zza drzwi na końcu pokoju.

– Przepraszam, że przerywam, panno Christino, ale pani Roux jest proszona.

– Przepraszam, *mademoiselle* – rzekła główna sprzedawczyni i pośpieszyła do wyjścia.

Christina podeszła do kominka i stanęła doń plecami. Obejrzała całe wnętrze, potem przeniosła spojrzenie na pomosty. Wyobraziła sobie spacerujące po nich modelki, ich obroty, pozy, podkreślanie ruchem poszczególnych elementów stroju. Kochała każdy z zaprojektowanych modeli i chciało jej się modlić, by pokochali je również oglądający. Pytała samą siebie, jak jej się to udało zrobić, jak zdołała wykończyć całą kolekcję w tak krótkim czasie, i nie potrafiła dać odpowiedzi. „Krew, trud, pot i łzy” – powiedziała do siebie, wspominając pamiętne słowa Winstona Churchilla z lat wojny, kiedy była jeszcze dzieckiem.

Odróciwszy się, spojrzała na siebie w weneckie lustro umieszczone nad kominkiem. Poprzednio uznała, że wygląda na zmęczoną i spiętą, nałożyła więc na policzki więcej różu niż zazwyczaj. Wyglądała jednak na to, że skóra go wchłonęła, bo znowu była blada. Może to czarna suknia, którą miała na sobie, tak pozbawiała ją rumieńca. Gdy ubierała się na czarno, zawsze musiała robić „cięższy” makijaż.

Christina zrobiła krok do tyłu i obejrzała z uwagą zwłaszcza suknię. Pięknie skrojona i dopasowana, była majstersztykiem. Jedyłą jej ozdobę stanowiła przypięta na ramieniu biała gardenia – wybrała ten kwiat dlatego, że miała stanowić specjalny, jej własny motyw przewodni i być jej znakiem firmowym.

Podniósłszy rękę poprawiła włosy.

I wtedy właśnie zobaczyła ich odbicie w lustrze – stali na progu, wyglądali niepewnie, jakby się wahali.

Przez ułamek sekundy myślała, że to wyobraźnia płata jej figła, lecz była to prawda. Odróciła się powoli, otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale nie starczyło słów. Stała jak wryta, milcząca.

Matka zrobiła kilka kroków naprzód i gwałtownie się zatrzymała.

– Przyjechaliśmy – powiedziała – bo nie mogliśmy pozostać z boku. Nie dzisiaj.

- Och, mamusi!
- Christie, kochanie moje.

Obie kobiety poruszyły się w tym samym momencie. Spotkały się na środku pokoju.

Audra spojrzała na Christinę i jej błękitne oczy napełniły się łzami.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam...

Christina pochyliła się w jej stronę, objęła matkę i przycisnęła do siebie tak mocno, jakby nigdy nie miała zamiaru wypuścić.

– Och, mamusku, ja też za tobą tęskniłam, nigdy się nie dowiesz jak bardzo.

Nagle przyłączył się do nich Vincent i objął je obie. Wszyscy troje uronili parę łez, a potem się roześmiali. W końcu Christina odsunęła się i spojrzała na rodziców. Szczęście biło jej z oczu, więc uśmiechała się radośnie.

– Tak się cieszę, że przyjechaliście, tak *bardzo, bardzo* się cieszę. To, że jesteście tutaj, tyle dla mnie znaczy. – Przerwała, spojrzała głęboko matce w oczy i zapytała, niemal szepcząc: – Wybaczyłaś mi, mamo?

– Tu nie ma nic do wybaczenia, Christie – odpowiedziała Audra ciepłym, łagodnym głosem. – Byłam na ciebie zła i zdenerwowana, i strasznie, ale to strasznie zraniona. Teraz jednak widzę, że źle zrobiłam, odsuwając cię od siebie w ten sposób. Jak powiedział niedawno do nas wuj Mike: ty musisz zrobić to, co musisz zrobić. – Piękny, dobrotliwy uśmiech wypłynął na twarz Audry. – Mogłam ci dać szansę lepszego życia, ale nie mogę go za ciebie przeżyć. Kiedy to zrozumiałam, wiedziałam, że powinnam się z tobą pogodzić, kochanie.

Christina nachyliła się i pocałowała matkę w policzek.

– Dzisiejszy dzień to najlepszy dzień mego życia, gdyż jesteście tu ze mną oboje.

Zwróciła się do Vincenta i uściśnęła go z uczuciem, a potem pocałowała w policzek.

– Dziękuję ci, że ją tu sprowadziłeś, tatusiu, i za to, że i sam tu jesteś. Bardzo was kocham.

Vincent objął Christinę ramieniem.

– My też cię kochamy, Christie – powiedział. – Kiedy razem z listem od ciebie przyszło zaproszenie, powiedziałem mamie, że nie możemy nie być tu obecni w tak ważnej dla ciebie chwili twego życia.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Christina Crowther z dnia na dzień stała się supergwiazdą na międzynarodowym firmamencie mody.

Jej sukces był tak natychmiastowy, liczba zamówień tak wielka, że w ciągu doby zorientowała się, iż musi znaleźć dodatkowe pomieszczenie, wynająć dodatkowych pracowników, zamówić więcej materiałów, i wszystko to od zaraz. Nie było czasu do stracenia.

Elise, Germaine i Lucie zajęły się tymi wszystkimi kwestiami szybko i energicznie, podczas gdy Giselle Roux i jej niewielki personel w salonie obsługiwał klientów, którzy płynęli falą do domu przy Bruton Street.

Stała klientela Christiny robiła duże zakupy kreacji demonstrowanych na pokazie, podobnie zresztą jak liczni nowi klienci. Oprócz tego jednak były tak olbrzymie zamówienia ze sklepów, że wprawiły w oszołomienie nie tylko Christinę, lecz i bardziej doświadczoną Giselle.

Przedstawicielka Bergdorfa Goodmana z Nowego Jorku była tak zachwycona, że zamówiła prawie całą kolekcję, podobnie postąpiła agentka z salonu Haute Couture z domu towarowego w Knightsbridge. To ona właśnie ogłosiła, że Christina i jej kreacje, są największym wydarzeniem w modzie tej dekady. Podkreśliła też, że podobnego sukcesu nie odniósł nikt od czterdziestego siódmego roku, gdy Christian Dior stworzył swój salon, prezentując tak teraz sławny Nowy Styl.

Te zamówienia oznaczały setki tysięcy funtów. Christina jednym skokiem znalazła się w wielkim świecie mody, przeszła od skromnego

sklepu przy King's Road do eleganckiego domu w May fair. Był to zaiste gigantyczny skok.

Główną przyczyną owych emocji i furory była kolekcja, którą nazwała Linią Kwiatu, bowiem motyw kwiatowy znalazł się we wszystkich modelach.

Na sukniach wieczorowych, wytwornych i niezwykłych, namalowane były najróżniejsze kwiaty – od egzotycznych orchidei do zwykłych kwiatów polnych. Już wtedy, kiedy przed wieloma miesiącami rodził się pomysł jej pierwszej wielkiej kolekcji, Christina uświadomiła sobie, że nie zdoła osobiście wymalować wzoru na każdej sztuce odzieży. Było to zbyt pracochłonne.

Dlatego też zatrudniła kilku zdolnych artystów, by kopiowali jej rysunki – wymagała przy tym perfekcyjności naśladownictwa.

Przedstawiła również sporo swoich własnych obrazów kwiatów, ręcznie przeniesionych na tkaniny. I te właśnie wzory na romantycznych, powiewnych szyfonach i żorzetach wywołały taką samą sensację, jak i ręcznie malowane gotowe stroje. Suknie wieczorowe i cocktailowe wykonane z tych materiałów staną się równie atrakcyjnym, chodliwym towarem, a także pozostaną modne długo, zarabiając dla niej w przyszłości miliony funtów i miliony dolarów.

Motywy niektórych strojów wieczorowych uszytych z grubszych jedwabi był tylko jeden kwiat. Mógł on być umieszczony z przodu lub z tyłu spódnicy, na staniku, na ramieniu; czasem powtarzał się na staniku i spódnicy. W ten pojedynczy kwiat był wkomponowany jakiś ornament wyszyty kolorowymi koralikami i sztucznymi kamieniami. Te stroje również natychmiast znalazły nabywców, którzy nie pytali o cenę.

Wszystkie suknie wieczorowe z Linii Kwiatów były bardzo kobiece, wdzięczne i wywoływały okrzyki zachwytu, gdy się pojawiały. Gama kolorów rozciągała się od bieli i delikatnych pastelów do głębokiej czerwi, żółci, szafiru i czerni, którą Christina szczególnie lansowała.

Motyw kwiatowy był zachowany wszędzie i pojawiał się również w strojach dziennych, tym razem jednak tylko lekko zaznaczony w kroju odzieży.

Kostiumy, płaszcze i suknie miały wąskie doły, ale od talii w górę rozszerzały się, zwłaszcza w ramionach, które były miękko zaokrąglone. Kształty wszystkich strojów przypominały więc główki kwiatów na delikatnej smukłej łodyżce.

Strojeienne cechowała surowość, nienaganny krój i dopasowanie. Sprawiały wrażenie formy architektonicznej, co było niewątpliwie szalenie szykowne i awangardowe.

Przeważały materiały lekkie: jedwab, bawełna, batyst i cienkie wełniane krepy. Dominowały kolory jasne, często ostre, w wielu odcieniach różu, fioleto i błękitu oraz zieleni w szerokiej gamie: od jaskrawoszmaragdowej do delikatnej zielono-cytrynowej. Do każdej kreacji, zarówno wieczorowej, jak i dziennej, dobrane były odpowiednie dodatki, Christina bowiem chciała osiągnąć, jak mówiła, „pełnię wyglądu”.

Christina stała się również ulubienicą prasy. Redaktorki z magazynów mody z „Vogue”, „Harper's Bazaar” i „Queen” –, były kobietami światowymi, które już wszystko widziały. Żadnej z nich nie można było łatwo oszukać i każda była w stanie tak samo dostrzec fałszerstwo, jak i rozpoznać prawdziwy talent i przyklasnąć mu. Od razu więc zauważyły, że Christina nie jest tylko przypadkowym błyskiem, lecz że zajdzie daleko, czerpiąc natchnienie ze swego talentu.

Podobnie było z popularnymi pismami i dziennikami, które otoczyły ją prawdziwą adoracją. Stanowiła dla nich cudowny temat. Była odkryciem, miała mnóstwo zalet: młoda, ogromnie utalentowana, przystojna, pochodziła ze zwyczajnej rodziny, była dziewczyną z prowincji. To zaś prasę szczególnie pociągało, gdyż czytelnicy mogli się z nią identyfikować, jak również z Audrą i Vincentem, którzy na otwarciu styczniowej kolekcji zostali dokładnie obfotografowani.

Christina cieszyła się swoim sukcesem, wręcz się w nim pławiała. Jednakże ciągle stała mocno na ziemi i w głębi serca czuła, że największą radość sprawia jej to, iż rodzice są z niej dumni. Nigdy nie zapomni wyrazu ich twarzy, gdy patrzyli na świetne modelki demonstrujące na

pomoście jej suknie, gdy słuchali ogłuszających oklasków, które towarzyszyły pokazowi.

Było dokładnie tak, jak określiła to Jane, gdy troje Crowtherów jadło kolację z trojgiem Sedgewicków.

– Nie posiadali się ze szczęścia i dumy, Christie. Wydawało mi się, że duma wprost ich rozpiesza. Jestem też pewna, że w oczach twego ojca w pewnej chwili widziałam łzy.

Christina uśmiechnęła się, skinęła twierdząco i powtórzyła Jane piękne słowa swej matki.

Słowa te brzmiały echem w jej uszach przez długie tygodnie. Audra podeszła do niej po pokazie, w czasie przyjęcia z szampanem, i uśmiechając się przepaszająco powiedziała: „To jest coś znacznie więcej niż krawiectwo, Christie. *To jest sztuka*”.

Chociaż Christina obiecała Jane pojechać z nią we francuskie Alpy na zimowy urlop w lutym, w końcu udało się jej tylko wygospodarować długi weekend. W salonie panował taki ruch, że nie mogła na dłużej oderwać się od interesów.

Jednak nawet te cztery dni spędzone z Jane w Alpach d'Huez były odpoczynkiem. Obie bawiły się doskonale. Miały dokoła siebie wielu przystojnych wielbicieli, którzy z radością zabierali je na cocktaile, kolacje, a później i na dancingi.

Christina nie jeździła na nartach i nawet nie miała zamiaru próbować, ale lubiła przyglądać się sportowym wyczynom Jane na ośnieżonych zboczach. Jej przyjaciółka była doskonałą narciarką i doświadczoną łyżwiarką. W niedzielne popołudnie Christina siedziała na ławce przy lodowisku z oczami wlepionymi w wirującą na lodzie Jane.

I wtedy właśnie przyszła jej do głowy myśl, że kobiety potrzebują luźnych i wygodnych strojów, które umożliwią im swobodę ruchów. Od tej chwili w jej wyobraźni zaczęły kiełkować pomysły do kolekcji zimowej. Ta zdolność przewidywania i umiejętność dostrzegania nowych trendów stały się jednym z sekretów jej sukcesów. Właśnie owo specyficzne wizjonerstwo wyniosło Christinę Crowther z szeregów

zdolnych projektantów na orbitę, gdzie jest miejsce tylko dla prawdziwie utalentowanych.

Pomysły, które narodziły się na lodowisku w Alpach, znalazły się natychmiast na rysownicach w jej studiu, gdy tylko wróciła do Londynu. Christina zdawała sobie sprawę, że kolekcja zimowa musi się znaleźć w produkcji w maju, jeśli ma być gotowa na pokaz we wrześniu. Tak więc siedziała bez końca nad rysunkami przez resztę lutego i cały marzec. Podobnie było z Jane.

Kariera Jane jako projektantki kostiumów teatralnych kwitła.

Stroje, które zaprojektowała dla matki i reszty aktorów biorących udział w sztuce „Elizabeth Regina”, zostały przyjęte z uznaniem. Zaraz też zabrała się za kostiumy do spektaklu na West Endzie. Wiosną pięćdziesiątego szóstego była zajęta pracą nad kostiumami do filmu, który powstawał w Elstree Studio, a po zakończeniu tego zamówienia planowała wyjazd do Nowego Jorku i pobyt tam przez kilka miesięcy. Podpisała niedawno kontrakt na zaprojektowanie kostiumów do musicalowego przedstawienia na Broadwayu. Nie bez podstaw uważała to za wielkie wyzwanie dla siebie i nie mogła się doczekać wyjazdu za Atlantyk.

Jednakże, pomimo tylu zajęć, przyjaciółki prowadziły również aktywne życie towarzyskie, stąd też pod wieloma względami była to najbardziej gorączkowa wiosna w ich życiu.

Na początku maja Ralph Sedgewick zaprosił je na południe Francji do willi, którą tam wynajęli z żoną na cały czerwiec.

– Jedźmy – powiedziała Jane. – Obu nam potrzebny jest wypoczynek, specjalnie jednak tobie. Beaulieu-sur-Mer jest prześlicznym miejscem. I posłuchaj, Christie Crowther, jak tylko trochę odpoczniemy, to możemy wziąć samochód i skoczyć do Grasse. Tam będziesz mogła zorientować się w możliwości zrealizowania tego pomysłu z perfumami.

– Doskonale! – zawołała Christina. – Świetnie to wymyśliłaś, Jane. Przyjadę z radością. Zadzwoń jutro do twego ojca, podziękuję i powiem, że przyjmuję zaproszenie.

Następnych kilka tygodni Christina poświęciła sprawie perfum, które chciała wypuścić na rynek ze swoim znakiem firmowym. Jej nazwisko miało już odpowiednią renomę po obu stronach Atlantyku. Wiedziała też, że pomysł z perfumami był bardzo obiecujący.

Właściwie to podsunęła go Giselle Roux natychmiast po sukcesie pierwszego pokazu.

– Musi pani mieć perfumy, *mademoiselle* – powiedziała. – Tej tradycji przestrzegają wszyscy wielcy krawcy: Dior, Chanel, Balmain, Balenciaga, Givenchy. Tak, tak, musi to pani zrobić, to szalenie ważne, *mademoiselle*.

– Ale jak mam się do tego zabrać? – spytała Christina.

Chwyliła pomysł w lot i zobaczyła jego ogromne możliwości.

– Najpierw musi pani zastanowić się nad zapachami, zwrócić uwagę na te, które sprawiają pani przyjemność, na specjalne zapachy pani ulubionych kwiatów. Może róża, konwalie... jaśmin. A później należy pojechać do Grasse, *mademoiselle*. To ośrodek francuskiego przemysłu perfumeryjnego i tam stworzą dla pani specjalne perfumy.

Christina podziękowała obiecując, że się zastanowi. Była zbyt zajęta robieniem szkiców do zimowej kolekcji, aby od razu przystąpić do załatwiania tej sprawy. Wspomniała o tym Jane mimochodem. Perfumy znalazły się na początku listy spraw do załatwienia w najbliższej przyszłości.

Teraz, przy okazji wizyty na południu Francji, poprosiła Giselle o zaaranżowanie dla niej spotkania z kimś z przemysłu perfumeryjnego w Grasse. Giselle natychmiast napisała do znajomego do Paryża.

– *Gardenia!* – powiedziała Christina do Jane, kiedy jechały wynajętym samochodem do Grasse. – To musi być gardenia. To jest jedyny zapach, jaki zawsze do mnie powraca i przywołuje wspomnienia. Może dlatego, że kiedy byłam dzieckiem, moja matka używała perfum o tym zapachu. Nazywało się to „Esencja Kwiatu Gardenii” i pani Bell

zawsze jej to kupowała u Harrodsa na prezent.

– Ja też lubię zapach gardenii – rzekła Jane. – Musisz jednak wymyślić lepszą nazwę, a nie po prostu *gardenia*. To zbyt przyziemne. Powinniśmy znaleźć coś bardziej efektownego.

– „Niebieska Gardenia?” – podpowiedziała Christina.

– Nie, był film z Alanem Laddem pod tytułem...

– To była „Niebieska Dalia” – przerwała z uśmiechem Christina. – Słuchaj, Janey, podoba mi się „Niebieska Gardenia”. Przyjemnie brzmi i moja mama ma takie niebieskie oczy...

Jane uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– A więc będzie „Niebieska Gardenia”. Właściwie to mi się podoba, zwłaszcza dlatego, że nazywasz je tak na cześć swojej uroczej mamy. – Jane nagle zaczęła wahać powietrze przedostające się przez otwarte okna samochodu. – O rany, już czuję zapach kwiatów. Musimy być chyba na miejscu – powiedziała zwalniając.

– Tak, dojeżdżamy – zawołała Christina. – Spójrz, widać już Grasse w oddali. Musimy teraz znaleźć hotel Le Regent, który poleciła nam Giselle.

Spędziły trzy dni w przeuroczym małym miasteczku Grasse, które znajduje się w Alpach wysoko nad Cannes. Jest to czarujące miejsce, bardzo stare, otoczone polami wspaniałych kwiatów i niezwyklejmi różanymi ogrodami. Fragonard, wielki malarz francuski, pochodził właśnie stąd – w miasteczku znajduje się jego muzeum. Obie dziewczyny zawędrowały tam przy pierwszej sposobności. Spędziły również sporo czasu na zwiedzaniu wspaniałej gotyckiej katedry i licznych sławnych ogrodów.

Najwięcej jednak czasu poświęciły różnym wytwórniom perfum – wahały próbki i rozmawiały z chemikami. W końcu Christina wybrała dwa zapachy, które miały być wykonane specjalnie dla niej. Chciała je wprowadzić na rynek w przyszłym roku. Podstawą jednego miał być zapach gardenii, a drugiego – róża. Ustalono także ich nazwy: „Niebieska Gardenia” i „Christina”.

Rozdział czterdziesty drugi

– Chyba nigdy Hadley Court nie wydawało mi się tak piękne jak dzisiaj – oświadczyła Christina, zwracając się z uśmiechem do ojca Jane. – Kwiaty i światło dają nieprawdopodobne efekty, no i te ogrody... w tym padającym z domu świetle wyglądają jak z bajki.

Znakomity aktor, wysoki i szczupły, o prezencji raczej profesora, podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

– Tak, ogrody tutaj mają w sobie coś szczególnego, zwłaszcza gdy patrzy się na nie z tarasu. Dzisiaj przypominają dekorację w teatrze; są niemal zbyt doskonałe, by mogły być prawdziwe. Nie sądzę też, by istniało coś piękniejszego niż angielski letni wieczór, po dniu naprawdę wspaniałej pogody – powiedział Ralph swym miłym głosem, który odbił się echem w ciepłym powietrzu.

Był to jeden z najbardziej znanych i uwielbianych głosów angielskiej sceny i Christina zawsze słuchała go z przyjemnością.

– Powiedziałaś *jak z bajki*, Christie – ciągnął dalej Ralph. – Wydaje mi się, że cały ten wieczór miał w sobie coś magicznego, wszystko poszło jak z płatka. Tak, mieliśmy szczęście, to był idealny lipcowy wieczór na pożegnalne przyjęcie dla Janey. – Odwróciwszy się do Christiny, Ralph Sedgewick zapytał ojcowskim tonem: – A jak ty, moja droga, się bawiłaś?

– Och, doskonale, Ralphie, bardzo dziękuję. To był cudowny wieczór, tyle że jest mi trochę smutno z powodu wyjazdu Jane do Nowego Jorku na cztery lub pięć miesięcy. Będzie mi jej bardzo brakowało. O, przepraszam, to brzmi tak egoistycznie! Wiem, że oboje z Dulcie będziecie odczuwali to samo.

– Na pewno – potwierdził – ale mam nadzieję, że dopisze nam szczęście i zagramy na Broadwayu w czasie, gdy ona tam będzie. David Merrick chce nas zaangażować do nowej komedii, w każdym razie tak mówi nasz amerykański agent. A ty, Christie, czy nie planujesz wyjazdu do Stanów w październiku? Dulcie chyba coś mi wspominała na ten temat? – Ostatnie zdanie wypowiedział ze znakiem

zapytania: – A może się mylę?

Christina ukryła rozbawienie. Roztargnienie Ralpa było przedmiotem nieustannych żartów w rodzinie Sedgewicków i Jane twierdziła, że jedyną rzeczą, którą ojciec mógł zapamiętać, był tekst roli.

– Nie, nie mylisz się. Mam nadzieję, że pojedę do Ameryki – odpowiedziała. – Moje modele spodobały się w Nowym Jorku i Bergdorf Goodman zaprosił mnie z pokazem zimowej kolekcji. Oczywiście, najpierw pokaz w Londynie.

– Gratulacje, Christie, to znakomicie – uściśnął jej ramię z uśmiechem w ciepłych orzechowych oczach. – Muszę stwierdzić, że jestem niezwykle dumny z ciebie i mojej małej Janey... Tyle osiągnęłyście po ukończeniu college'u i...

– Ach, tu jesteście! – głośno zawołała Jane.

Ralph i Christina odwrócili się w jej stronę.

Wysunęła się przez wysokie drzwi na taras tak gładko, jakby ledwo dotykała ziemi. Dzisiejszego wieczoru była niewymownie szczęśliwa i wyglądała zachwycająco. Suknia z kolekcji Christiny zrobiona była z tiulu i koronki; szeroki bufiasty dół zdobiły podwójne kokardki w kształcie serc wyszyte srebrnymi i perłowymi cekinami. Suknia unosiła się wokół niej i płynęła jak miękka, delikatna, różowa chmurka poprzetykana błyskami światła.

– Szukałam was wszędzie. Patrzcie, co za para kumpli! Stoicie tu z drinkami i nie wątpię, że *plotkujecie* – stwierdziła Jane. – Czy coś mnie ominęło? Nie, nic mi nie mówcie. Powinniście być w środku, wirując po parkiecie. – Uśmiechnęła się do nich porozumiewawczo, ujęła ojca pod ramię i dodała: – Muszę powiedzieć, tatusiu, że udało ci się znaleźć naprawdę świetną orkiestrę. Mają bajeczną perkusję, co zachęca wszystkich do tańca. No, chodźmy do domu i poruszajmy nogami – zakończyła wesoło, głosem pełnym zaraźliwego, dziecięcego śmiechu.

Ralph spojrzął na córkę pobłaźliwie.

– Obawiam się, że jestem trochę za stary na takie wyczyny – oświadczył. – W środku było bardzo gorąco, dlatego oboje z Christiną

wyszliśmy tutaj. Chcieliśmy zaczerpnąć świeżego powietrza.

Odwrócił się na powrót w stronę ogrodu, postawił kieliszek na kamiennej balustradzie tarasu, sięgnął do wewnętrznej kieszeni smokinga i wyciągnął papierośnicę. Zapalając papierosa zapytał:

– A gdzie jest mama? Nie powiesz chyba, że i ona podskakuje jak na sznurku; nie w tym upale, mam nadzieję, i nie w jej wieku.

– Słowo daję, mój ojciec, robisz z mamy staruszkę – zachichotała Jane. – A ona ma tylko pięćdziesiąt jeden lat! Lecz nie, mama nie tańczy jiva; rozmawia z Milesem, który pojawił się przed chwilą. I ciągle sam... – Jane zrobiła dramatyczną pauzę, przewróciła wymownie oczy i wykrzywiła twarz.

– Miles jest tutaj! – Ralph wydawał się wyjątkowo zadowolony.

– We własnej osobie – dobiegł od strony tarasowych drzwi miły rozbawiony męski głos.

– Miles, chłopie! Jak to wspaniale, że udało ci się przyjechać! – Ralph pośpieszył naprzód, wyciągając na powitanie rękę.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie uśmiechając się. Zupełnie niedawno zostali przyjaciółmi, lecz polubili się od pierwszego spotkania.

– Przepraszam, Ralphie, że nie przyszedłem na kolację – powiedział Miles – ale zatrzymano mnie w mieście i nic na to nie mogłem poradzić. Ty wiesz, jak to bywa... na moim stanowisku... – zawiesił trochę głós jakby sugerując, że zatrzymały go ważne sprawy państwowe, o których nie należy mówić. Coś typu „ściśle tajne”. Miles wiedział, że nie musi wyjaśniać swej opieszałości. Politykom zwykle wybaczano ten towarzyski grzech.

– Jesteś pewien, że nie chcesz czegoś zjeść? – spytał Ralph. – Wiem, że bufet jeszcze działa. W każdym razie muszę przynieść ci drinka. Na co masz ochotę? – Ralph przerwał, gdy zdał sobie sprawę, że uwaga Milesa koncentruje się na czymś za jego plecami. Odwrócił się i usprawiedliwił: – Ależ ze mnie gbur. Christie, moja droga, nie

chowaj się tam. Podejdz i poznaj Milesa.

– Tak, koniecznie musi pani poznać Milesa – powiedział Miles wychodząc na środek tarasu.

– Wybaczcie, ale pójdę wziąć sobie kieliszek kochanych, starych bąbelków – powiedziała Jane.

Christina powoli zrobiła krok do przodu, świadoma niebieskiego lśnienia utkwionych w niej oczu. Coś nagle zaparło jej dech w piersiach.

Patrząc, jak się zbliża, Miles Sutherland pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział tak uroczej kobiety. Kasztanowe włosy, zebrane na czubku głowy, tworzyły koronę z loków. Był to dziwny styl, przypominający lata czterdzieste, a jednak pasował do jej twarzy. Miała na sobie bardzo prostą suknię – jasnoszary szyfon, uszyty na wzór greckiego chitonu, z jednym ramieniem obnażonym. Na szyi nosiła obrózkę z koralików, a w uszach podobne kolczyki. Szare paciorki przypominały jej wielkie lśniące oczy, które zdawały się zajmować pół twarzy. Co to było? Opale? Kamienie księżycowe? Nie był pewien.

Uśmiechnął się, wyczuwając jej zakłopotanie. Chciał by się pozbyła skrępowania.

Ralph chrząknął.

– Christino, czy mogę ci przedstawić Milesa Sutherlanda, jednego z naszych najbłyszczących polityków, o czym, przypuszczam, wiesz sama. Milesie, to jest Christina Crowther, najlepsza przyjaciółka Jane i jej współlokatorka, którą właściwie traktujemy jak członka rodziny.

– Jak się pan miewa? – powiedziała Christina.

Miles ujął chłodną, smukłą dłoń w swoją i mocno uściśnął. Powoli zwiększał uścisk palców, nie chcąc wypuścić jej dłoni. Od razu zrozumiał, że jej pragnie. Postawił sobie za cel zdobyć ją.

– Miło mi poznać panią – powiedział wreszcie, z ociąganiem uwalniając jej rękę i dodał: – Dużo o pani słyszałem od mojej siostry. Ubiera się u pani.

– Pańskiej siostry – powtórzyła, czując się jak tępak, gdyż nie wiedziała, kim była jego siostra.

– Tak, Susan Radley – wyjaśnił.

- Lady Radley? – znowu spytała i poczuła się jeszcze gorzej.
Uśmiechnął się, jakby go to bawiło.
- Tak – powtórzył. Spojrzał na Ralpa i dodał: – Nie miałbym nic przeciwko obiecywanemu drinkowi, staruszkowi. Jeśli mi wskażesz, gdzie jest bar, to...
- Ależ nie, Milesie, zostań tutaj – upierał się Ralph. – Na co masz ochotę?
- Chyba na szkocką z odrobiną wody. Dzięki, Ralphie.
- Ty nie tknęłaś swego koniaku, moja droga – Ralph Sedgewick spojrzął na Christinę. – Może wolałabyś coś innego?
- Proszę... chętnie wypiłabym kieliszek szampana.
- Nagle zapragnęła, żeby Ralph sobie poszedł i pozostawił ją z tym mężczyzną, który nie przestawał jej się przyglądać tym swoim hipnotycznym wzrokiem.
- Pozostali na tarasie sami.
- Miles uśmiechnął się, spojrzął na nią wyczekująco, jakby odpowiadając sobie na jakieś pytanie i wreszcie wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Poczęstował ją w milczeniu. Pokręciła przecząco głową.
- Zaciągnąwszy się papierosem, odezwał się tym swoim tonem, jakby lekko rozbawionym i pełnym wyższości.
- Fotografie pani, zamieszczane w gazetach, kłamią, czy wie pani o tym? Wygląda pani na nich starzej... Proszę mi powiedzieć, jak daje pani sobie radę z naszą prasą? Ja sam twierdzę, że czasami jest bardzo dokuczliwa.
- Christina zignorowała ukryty komplement i odparła ostrożnie:
- *Ja* ze swej strony uważam, że prasa jest wspaniała. Dziennikarze zachowują się wobec mnie bardzo przyzwoicie, no, ale ja nie jestem błyskotliwym politykiem, który zawsze jest przedmiotem ogólnego zainteresowania.
- *Touché* – roześmiał się, przysunął bliżej w jej stronę i, opierając się o kamienną balustradę, przyjął jeszcze bardziej nonszalancką pozę.
- Ta opaska na pani szyi – spytał – jest wysadzana kamieniami księżycowymi?

– Nie, to po prostu paciorki z szarego szkła, ale podoba mi się ich mleczny odcień. Dlatego ją właśnie kupiłam.

– Czy nosiła kiedyś pani opale?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

Wpatrywał się w nią uporczywie dociekliwym, oceniającym, śmiałym spojrzeniem.

Odpowiedziała na nie nie mrugnawszy okiem. W końcu odezwał się cicho i pośpiesznie:

– A powinna pani. Opale wyglądałyby pięknie przy tak delikatnej karnacji... przy tych niezwykłych oczach...

Christina była zaskoczona. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nogi się pod nią ugięły, tak że musiała usiąść na balustradzie.

Miles Sutherland nie mógł od niej oderwać oczu. Zrobiła na nim takie wrażenie, jakiego nie doznał od wielu lat i czuł w swym sercu jakieś dziwne drżenie. Pragnienie posiadania jej było gorące i gwałtowne.

Ku niezmiernej uldze Christiny wrócił Ralph, niosąc dla nich drinki.

Siedziała powoli popijając szampana i słuchała szmeru ich głosów, gdy rozmawiali o brytyjskiej polityce. Lecz tak naprawdę to nie słyszała niczego. Obserwowała z uwagą Milesa Sutherlanda i zastanawiała się, co w nim jest takiego, co na nią tak silnie podziałało. Czy doskonała prezencja? Czy siła osobowości? Charyzma? Nie umiała sobie odpowiedzieć. Nie był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego spotkała, lecz miał ogromnie pociągającą twarz – szczupłą, inteligentną, ukształtowaną z nierównych płaszczyzn i załamania. W ciemnoblonde włosach na skroniach pobłyskiwały srebrne nitki. Szczupłej budowy, był niewiele wyższy od niej, zaledwie cal czy coś koło tego.

To jego oczy. Oczywiście, to one wprawiły ją w to odrętwienie. Były bardzo piękne – ciemnoniebieskie. Przypominały Christinie angielskie niebo w pogodny letni dzień.

Obaj mężczyźni rozmawiali jeszcze przez chwilę, ona zaś się przysłuchiwała, pozwalając, by jego głos osnuwał ją jak pajęczyna, a ona chłonęła go, starała się zapamiętać. Wyobraziła sobie Milesa przemawiającego w Izbie Gmin.

I nagle Miles stanął przed nią żegnając się.

– Miło mi było poznać panią – powiedział obojętnym tonem. Christina zsunęła się z balustrady i podała mu rękę.

– Mnie również – powiedziała z wymuszoną pogodą. Później, kiedy już leżała w łóżku, zastanawiała się, dlaczego czuje się taka rozczarowana i zawiedziona.

Rozdział czterdziesty trzeci

– Co za tupet, tak tu się wepchnąć bez proszenia i uwodzić cię! – wykrzyknęła Jane.

– On się nie wpychał – poprawiła ją Christina. – Zadzwoił do mnie na Bruton Street. I nie stara się mnie uwieść.

– Właśnie, że tak.

– Nie bądź głuptasem, Janey... przy lunchu? – Christina zaczęła się śmiać.

– *Po lunchu!* – zawołała Jane gwałtownie. – Francuzi nazywają to *a matinée*.

– Tu jest Londyn, nie Paryż, pamiętaj o tym.

Jane nerwowo przygryzła wargę.

– Mój Boże, mama wpadnie w szal, będzie wściekła, gdy się o tym dowie. W końcu spotkałaś go u nas, w Hadley.

– Masz zamiar jej o tym powiedzieć? – w głosie Christiny brzmiał przestрах.

– Oczywiście, że nie – Jane spojrzała na nią z ukosa. – Boże, ale ty czasami bywasz głupia, Christie Crowther... i będziesz jeszcze głupsza, jeśli gdzieś pójdziesz z Milesem Sutherlandem.

– *Dlaczego?*

– Dlatego, że on jest niebezpieczny. Uczuciowo niebezpieczny. Czuję to.

– Teraz ty jesteś głupia. Martwisz się na zapas. Jak on może być niebezpieczny dla mnie? – spytała Christina.

– Choćby dlatego, że jest żonaty.

– Nie żyje z żoną, są w separacji. Wszyscy o tym wiedzą. Już dawno pisały o tym wszystkie gazety.

– Ale on nie jest rozwiedziony, Christie.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego zachowujesz się w taki sposób, Jane. Naprawdę nie rozumiem. Miles wydaje mi się być miłym mężczyzną, jestem też przekonana, że jest uczciwy i honorowy.

Jane wydała cichy okrzyk:

A ja się założę, że jest draniem!

– Nie wiem, co się dziś z tobą dzieje, wypowiadasz takie nieoczekiwane opinie – Christina patrzyła na nią w osłupieniu.

Jane uważnie wpatrywała się w ukochaną przyjaciółkę.

– Okay, a więc sprowadźmy rzecz do faktów. Miles Sutherland jest przystojny, czarujący. To także wielki podrywacz, o tym mogę cię zapewnić. Ale nie zapominaj, że jest on również ostry w Izbie Gmin i że jest błyskotliwym i ambitnym politykiem.

– Nie bardzo rozumiem do czego zmierzasz, Janey.

– Och, na miłość boską, Christino, nie bądź tak cholernie tępa! Chodzi o to, że w jego życiu jest już jedna kobieta, Candida Sutherland, która jest jego żoną i matką jego trojga dzieciaków. Która też w dodatku jest córką, a ściślej mówiąc, jedynym dzieckiem, jednego z najbardziej wpływowych brytyjskich przemysłowców. Ona siedzi na *workach* pieniędzy i jeżeli...

– Ja to wszystko *wiem*.

– A więc powinnaś też wiedzieć moja miła, że Miles Sutherland dobrze wie, kto mu smaruje chleb masłem. Tak, tak. Kiedy człowiek jest członkiem parlamentu i jedną z gwiazd Partii Pracy oraz ma przed sobą wielką karierę, to pieniądze żony są bardzo użyteczne. Czy sądzisz, że on zaryzykuje utratę czegoś takiego...

– Jane przestań! – wyrzuciła z siebie Christina. – Po prostu bredzisz – roześmiała się cicho i z zaciekawieniem popatrzyła na przyjaciółkę. – Słuchając tego, jak i co mówisz, ktoś mógłby pomyśleć, że przeżywamy szalony *romans*, podczas gdy...

– Założę się, że on by tego chciał. Miles Sutherland wygląda mi na mężczyznę z temperamentem.

– ...ledwie znam tego człowieka. Poza tym on zaprosił mnie tylko na lunch.

Jane spojrzała na nią zwięzonymi oczyma.

– Kiedy mężczyzna taki jak Miles Sutherland zaprasza kobietę taką jak ty na lunch, to ma w głowie *tylko jedno*. I to wcale nie jest dobre jedzenie.

– Pójdę z nim na lunch, Jane, bez względu na to, jakie jest twoje zdanie – oświadczyła Christina twardo.

– Wolałabym, żebyś nie szła... po prostu dlatego, że sobie z tym nie poradzisz.

– Nie poradzę sobie z czym?

– Z tym jego cholernym fatalnym wdziękiem, gładkim obejściem, gadaniem i całym tym kramem. Nie zapominaj, że to polityk, a oni wszyscy mają obrotne języki, jak to mówi mama.

– Potrafię zatroszczyć się o siebie, Jane.

– Nie, nie potrafisz.

Christina powiedziała powoli, niemal w zamyśleniu:

– Moja matka miała kiedyś przyjaciółkę Gwen. Nazywałam ją ciocią Gwen, kiedy byłam mała. Bardzo się przyjaźniły, gdy jako młode dziewczyny były pielęgniarkami w szpitalu w Ripon. Gwen nigdy nie przepadała za moim ojcem, co oczywiście złościło mamę; później Gwen wyszła za typka nazwiskiem Geoffrey Freemantle. Geoffrey też stanął między nimi, coś tak jak i mój tata. – Christina przerwała i głęboko odetchnęła. – Ja jednak nie chcę, żeby coś takiego przydarzyło się nam, Jane, naprawdę nie chcę. Dlatego zawrzyjmy teraz od razu umowę. Umówmy się, że mężczyźni nigdy nie staną między nami. Spróbujmy być ponad to. Co o tym myślisz?

– Och, Christie, kochana, oczywiście, że się zgadzam! Nie możemy dopuścić, żeby mężczyźni, z którymi nas coś łączy, spowodowali między nami choćby najmniejsze nieporozumienia.

Wieczorem tego samego dnia Christina i Jane poszły na kolację do Le Matelot w dzielnicy Belgravia. Obie lubiły to małe bistro udekorowane

nautycznymi akcesoriami. Przypominało im pobyt na południu Francji w ubiegłym miesiącu. Kiedy w oczekiwaniu na pierwsze danie popijały białe wino, Jane zapytała:

– A co się z nią stało?

– Z kim? – Christina nie zrozumiała, o co chodzi.

– Z przyjaciółką twojej matki, z Gwen.

– Och, Janey, to prawdziwie smutna historia. Jej życie z tym Geoffreyem wcale nie było szczęśliwe. Okazało się, że on ją bije.

– Mój Boże, to okropne! – krzyknęła Jane przerażona.

– Tak, tak było naprawdę. – Christina oparła łokcie na stole i powiedziała: – Kiedy byłam mała, mama zaczęła podejrzewać, że dzieje się coś niedobrego, w każdym razie tak mi mówiła. Widzisz, ciocia Gwen ciągle miała jakieś wypadki... a to spadła ze schodów do piwnicy, a to wydarzyło się nagle coś innego. W końcu mamę to bardzo zaniepokoiło. Początkowo myślała, że Gwen jest chora, że ma jakiś guz na mózgu, ale wreszcie domyśliła się prawdy. Zapytała Gwen wprost, ale ona wszystkiemu zaprzeczyła i od tego czasu przestaliśmy ją widywać.

– I co się w końcu z nią stało? – dopytywała się Jane.

– Przyszła nas odwiedzić w czasie wojny. Zupełnie nieoczekiwanie. Pamiętam to dobrze, bo przyniosła mi ładne szklane koraliki. Miałam wtedy chyba jedenaście lat. A więc przyszła w porze podwieczorku i została na cały wieczór, a gdy poszłam spać, opowiedziała o wszystkim mamie. Przypuszczam, że była już u kresu wytrzymałości. Ostatecznie mama przekonała ją, że powinna powrócić do domu rodziców, choć, wydaje mi się, wymagało to wielu wysiłków – Christina upiła łyk wina z kieliszka.

– Mów dalej – poprosiła Jane. – Zabiję cię, jeśli nie dokończysz tej historii.

– Moja mama rozmawiała z bratem Gwen, Charliem – ciągnęła dalej Christina – i on powiedział temu mężulkowi, żeby nie zbliżał się do Gwen. Tak też się stało.

– I rozwiodła się z nim?

– Nie, ale Geoffrey zginął w czasie wojny. Nie był na froncie, lecz tu, przyjechał do Londynu w jakiejś sprawie. To było chyba w czterdziestym

czwartym roku. Zginął w czasie bombardowania.

– A gdzie jest Gwen teraz? Co się z nią w końcu stało?

– Jej historia ma szczęśliwe zakończenie, Janey – Christina uśmiechnęła się. – W pięćdziesiątym drugim roku wyszła za mego wuja Mike'a. Był już wtedy wdowcem i czuł się bardzo samotny. Moja matka namówiła go, żeby przyszedł do nas na kolację, na którą również zaprosiła Gwen. Wiesz, przed laty oni chodzili ze sobą. Przypuszczam więc, że zaczęli od tego miejsca, w którym się kiedyś rozstali.

– Trudno by było – wtrąciła Jane ze śmiechem. – Ale jestem zadowolona, że jej życie w końcu się odmieniło. Biedna kobieta. – Po krótkiej pauzie dodała, pochylając się nad stołem: – Christie, jeśli chodzi o Milesa...

– Co znowu takiego?

– Kiedy idziesz z nim na ten lunch?

– W piątek, pojutrze – odparła Christina.

Jane wyprostowała się i skrzywiła usta, przyglądając się przyjaciółce z uwagą.

– To akurat wtedy, gdy ja odlatuję do Nowego Jorku. Ponieważ już mam rezerwację na lot o dziesiątej rano, musisz do mnie zadzwonić wieczorem i opowiedzieć, co się wydarzyło. Będę umierać z ciekawości!

– Och, Jane, jesteś niemożliwa – wybuchnęła śmiechem Christina. – Nic się nie wydarzy, ale tak czy inaczej zadzwonię do ciebie, żeby się upewnić, czy z tobą wszystko w porządku i czy szczęśliwie dotarłaś na stary mały Manhattan.

– Christie, czy uważasz, że Miles jest bardzo atrakcyjny? To znaczy, czy bardzo cię pociąga? – spróbowała raz jeszcze Jane.

– Jest bardzo atrakcyjny – szepnęła Christina pragnąc, żeby zabrzmiało to możliwie obojętnie i obiektywnie, nie śmiała bowiem zwieryć się Jane ze swych prawdziwych uczuć.

Odwołał zaproszenie na lunch w ostatniej chwili.

– Jest mi niezmiernie przykro – powiedział przeproszającym tonem, gdy zadzwonił w piątek rano – lecz nie mogę spotkać się z panią,

tak jak się umówiliśmy. Coś mi nieoczekiwanie wypadło... jest to dość skomplikowane do wyjaśnienia. Wybacz mi, Christino. Może innym razem?

– Och – powiedziała Christina, kurczowo zaciskając palce na słuchawce.

– Mam lepszy pomysł! – wykrzyknął Miles, jak gdyby ołśniła go jakaś nowa myśl. – Dlaczego nie moglibyśmy się umówić na przyszły tydzień na kolację. Widzę w swoim kalendarzu, że przedpołudnia mam zajęte spotkaniami przy lunchach... A więc co myślisz o kolacji ze mną we wtorek wieczorem?

– Z przyjemnością Milesie, ale nie mogę – odparła Christina ze szczerym żalem. – W poniedziałek lecę do Paryża.

– Paryż w lipcu? – w jego śmiechu zabrzmiało niedowierzanie. – Zobaczysz, że wszyscy paryżanie uciekli z miasta. Nie będzie nikogo poza amerykańskimi turystami.

– Jadę w interesach – wyjaśniła spokojnie. Rozczarowanie z powodu odwołanego spotkania było tak wielkie, że czuła, jak coś ją ścisną w gardle.

– Interesy czy przyjemności, to i tak jest moje ulubione miasto. Kiedy masz zamiar wrócić?

– Za jakieś dziesięć dni.

– A więc zadzwonię do ciebie... no, powiedzmy za dwa tygodnie. Zgoda, Christino?

– Tak, będzie mi bardzo miło, Milesie.

Kiedy już odłożyła słuchawkę, patrzyła długo na aparat. Martwiła się, że Miles zdołał rozbudzić w niej aż tak silne uczucia.

Rozdział czterdziesty czwarty

Christina, chociaż nie malowała już pejzaży, to ciągle patrzyła na wszystko w kategoriach światła i cienia.

W pierwszym tygodniu pobytu w Paryżu zdawało się jej, że każdy dzień jest przepełniony niezwykłym światłem. Kiedy wychodziła z

hotelu Ritz, gdzie się zatrzymała, i udawała się na rozmaite spotkania, zawsze spoglądała w górę, zachwycając się widokiem rozświetlonego, wysokiego nieba, które przypominało baldachim z niebieskiego jedwabiu, umieszczony nad tym najpiękniejszym z miast.

Pogoda była wspaniała – łagodna, słoneczna, bez tej dusznej parności, która czyniła Londyn trudnym do zniesienia tuż przed jej wyjazdem. Jednakże mimo tego zachwytu promienistym niebem, światłem słonecznym drżącym na wodzie Sekwany i przedzierającym się przez gęste listowie drzew, by rzucić miękki złocisty blask na szerokie bulwary i stare budynki, Christina nie odczuwała pragnienia przeniesienia tego wszystkiego na płótno.

Tego dnia, gdy zrezygnowała z malarstwa, dała sobie słowo, że nie będzie ani za tym tęsknić, ani tego żałować. Tak też było.

W jakimś sensie odczuwała nawet ulgę, że już nie musi dążyć do zajęcia miejsca na szczytach wśród znakomitych malarzy, czego w głębi duszy oczekiwała od niej matka. Było chyba niemożliwe być lepszym od J. M. Turnera, największego angielskiego pejzażysty dziewiętnastego wieku, który utrwał światło na płótnie w sposób tak doskonały, od van Gogha, Renoira czy Moneta, którzy dokonywali tego samego we Francji.

Poza tym Christina naprawdę lubiła pracę projektantki mody. Była ona dla niej nieustającym wyzwaniem. Zasmakowała również w handlowej stronie przedsięwzięcia i w wysiłku, jakiego to wymagało.

Nic też dziwnego, że rozgłos i uznanie, jakie stały się udziałem Christiny, dawały jej ogromną przyjemność, a pieniądze, które zarabiała, były więcej niż zadowalające – były fantastyczne! Wiedziała już, że pod koniec roku spłaci pożyczkę zaciągniętą u Dulcie i Elspeth. Najważniejsze jednak było to, że matka nareszcie zwolniła się z pracy i zgodziła się co miesiąc przyjmować od niej czek. Był to rezultat autentycznej bitwy, którą wygrała, nie bez wydatnej pomocy ojca. On rozumiał, jak wiele to dla niej znaczy.

W tym tygodniu, wśród spotkań z wytwórcami perfum, z dyrektorami fabryk tekstylnych i ogólnych spraw związanych z przedsiębiorstwem, znalazła jednak czas na kupno prezentów dla rodziców. Dla matki nabyła mięciutkie jasnozłote rękawiczki z koźlęcej skórki, jedwabny szalik i kilka bluzek; dla ojca – jedwabne krawaty i koszule z batystu oraz elegancką zapalniczkę. Nie zapomniała również o Jane. Dla niej kupiła u Hermesa wspaniałe wieczorowy szal w bladych odcieniach różu, które Jane bardzo lubiła.

Teraz, gdy w piątek po południu szła powoli przez plac Vendôme w stronę hotelu, myślała o Jane. To niemożliwe, by odleciała do Nowego Jorku dopiero tydzień temu. Zdawało się jej, że rozstanie trwa znacznie dłużej. Bardzo za nią tęskniła, bo przecież przez ostatnie pięć lat były nierozłączne. Jane była jej najlepszą, jedyną naprawdę bliską przyjaciółką. Kiedy dorastała, matka dbała, by Christina zajmowała się wyłącznie malowaniem, tak że nie miała czasu na koleżanki. Zawsze na pierwszym planie były lekcje rysunku, wyprawy w plener, muzea i galerie, i nieustanne zajmowanie się sztuką, sztuką i tylko sztuką. Teraz, gdy patrzyła wstecz, dostrzegła, że większość swego życia spędziła z matką, aż do chwili, gdy wyjechała na studia do Londynu.

Christina uśmiechnęła się do siebie wchodząc do hotelowego foyer; przypomniała sobie ze wzruszeniem mały Hotel des Deux Continents, gdzie zatrzymywały się z Jane podczas kilku wyjazdów do Paryża w czasach studenckich. Bardzo różnił się od tego wytwornego budynku, w którym kiedyś zamieszkiwał Hemingway i zatrzymywali się książęta i gwiazdy filmowe. Bardzo pragnęła, by w czasie tego wyjazdu Jane była razem z nią, by obie mieszkały w hotelu Ritz. Ile by z tego miały radości...

Jej apartament znajdował się od strony rue Cambon i aby tam dojść, musiała przejść przez długą galerię sklepów, aż do wejścia do mniejszego hallu. Dziś nie zatrzymywała się, by rzucić okiem na wystawy, jak to miała w zwyczaju. Bardzo chciała znaleźć się w swoim pokoju, by zdjąć buty i zamówić herbatę. Miała za sobą męczący dzień: dużo

chodziła, gdyż wszystkie spotkania odbywały się w tej samej okolicy.

Portier uśmiechnął się, grzecznie podając jej klucz i poinformował, że nie było żadnych listów ani telefonów. Podziękowała mu, odwróciła się i skierowała do windy.

I właśnie wtedy go zobaczyła. Stanęła jak wryta.

Wpatrywał się w nią bezustannie. Wreszcie wstał z fotela i podszedł szybkim, sprężystym krokiem.

Oślepił ją blask bijący z jego niebieskich oczu.

Kiedy stanął przed nią, powiedział:

– Hallo!

– Miles... – po krótkiej pauzie, gdy odzyskała głos, udało się jej dodać: – Co *ty* tutaj robisz?

Na jego ustach pojawił się lekki rozbawiony uśmieszek, który tak dobrze pamiętała.

– Mieszkam tutaj – powiedział. – Zawsze, kiedy jestem w Paryżu, zatrzymuję się u Ritza.

– Och!

Zdecydowanym gestem ujął ją za łokieć i poprowadził do windy. Nie rozmawiali w czasie jazdy; wyszedł za nią na jej piętrze. Kiedy doszli do drzwi apartamentu, nie mogła włożyć klucza do dziurki, aż go wreszcie upuściła na podłogę.

Podniósł klucz i włożył do zamka, przekreślił i otworzył przed nią drzwi, a potem wszedł za nią do pokoju. Oparł się o futrynę i patrzył, jak idzie przed nim, wysmukła i gibka. Miała fantastyczne nogi. Dlaczego nie zauważył tego wcześniej? Lecz jak by to miał zrobić? Przecież wtedy w Hadley miała na sobie długą suknię. Jednego był pewien. Płomień rozgorzał w nim znowu, tak jak tamtego wieczoru, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. To przecież dlatego był tu teraz.

Minąwszy przedpokój, Miles podążył do saloniku, ciągle się przyglądając Christinie, coraz bardziej nią zafascynowany. Nie mógł się doczekać, by wziąć ją w ramiona, kochać się z nią. Chciał zrobić to w tej chwili, zaraz, tutaj, natychmiast. Jednocześnie wiedział, że nigdy by tak nie mógł postąpić. Był dżentelmenem, nie chciał też jej przestraszyć jakimś zachłannym, drapieżnym gestem. Zauważył, że jest naiwna i

niedoświadczona, przynajmniej jeśli chodzi o stosunki z mężczyznami. Poza tym pragnął poznać ją lepiej, cieszyć się nią i oczekiwaniem na ostateczne spełnienie.

Christina położyła torebkę i aktówkę z dokumentami na fotelu i odwróciła się tak nagle, że go tym zaskoczyła.

– To nie jest przypadek, prawda? – powiedziała.

– Oczywiście, że nie, Christino.

Wszedł dalej do pokoju, zatrzymał się przy niej i ujął jej dłoń w swoją, mocno uściśnął, wręcz miażdżąc. Spojrzał na nią uważnie zbliżając swoją twarz do jej twarzy, tak że oczy obojga znalazły się na tej samej wysokości. Po chwili odezwał się:

– Zdecydowałem, że nie chcę czekać dwa tygodnie, by zabrać cię na kolację. Właśnie dlatego jestem tutaj... aby zjeść z tobą kolację. Mam nadzieję, że dzisiaj. Jesteś wolna?

– Tak – przyjrzała się jego twarzy, mocno ściągnąwszy brwi. – Nie przyjechałeś tu w interesach? Bo chyba nie przyleciałeś z Londynu do Paryża po prostu po to, żeby zjeść ze mną kolację?... To niemożliwe.

– Właśnie dlatego tu jestem.

– Och!

Poczuła nagły przyptyw gorąca i ten znany jej już ucisk w piersiach. Pragnęła odwrócić wzrok, ale zrozumiała, że nie może tego zrobić. Jego spojrzenie hipnotyzowało ją jak wtedy, w Hadley Court.

Miles uśmiechnął się słabym, dziwnym uśmiechem i puścił jej dłoń. Podeszedł do okna, odsunął firankę i spojrzał na leżące w dole ogrody. Szybko odwróciwszy się znowu do niej, powiedział lekkim tonem:

– Gdyby to nie był lipiec i pełnia sezonu turystycznego, to zabrałbym cię dziś wieczorem do Maxime'a. Ale ponieważ jest, jak jest, i nie wzięłam ze sobą smokinga, który jest obowiązkowym strojem męskim w piątce, to pozwolisz, że zjemy kolację tu, w hotelowym ogrodzie?

– Gdziekolwiek sobie zyczysz.

– A więc na dole w barze o... – przerwał i odsunąwszy mankiet spojrzał na zegarek. – O ósmej. Odpowiada ci? Będziesz miała czas na przebranie się?

– Starczy mi czasu aż nadto, dziękuję ci.

Przeszedł przez pokój, zatrzymał się obok niej i znowu spojrzał jej uważnie w twarz. Ujął jej dłoń, pocałował czubki palców i powiedział:

– Rzeczywiście przyjechałem do Paryża z twojego powodu. Uwierz mi, bo to prawda. Widzisz, od tego spotkania w Hadley Court nie mogłem przestać myśleć o tobie.

Wyszedł, zanim zdołała coś odpowiedzieć i nawet się nie odwrócił, choć tego oczekiwała. Drzwi zamknęły się za nim cicho, ona zaś została pośrodku pokoju sama.

Zamrugła powiekami, przez chwilę niezdolna ogarnąć tego, co się wydarzyło w przeciągu ilu?... Najwyżej piętnastu minut. Przyjechał w ślad za nią do Paryża, jak tylko pozwoliły mu na to obowiązki... Siedział w hallu czekając na jej powrót... i oczywiście miał na myśli coś więcej niż tylko zaproszenie jej na kolację, jak to słusznie zauważyła Jane. Ale i ona również „to” miała na myśli.

Nie przestawała myśleć o Milesie Sutherlandzie przez ostatnie dwa tygodnie i rozczarowanie, jakie przeżyła, gdy odwołał lunch, było tak głębokie, że trwało przez kilka dni. Przechodząc do sypialni i rozpinając sukienkę, Christina cały czas tkwiła myślami przy Milesie.

Nie był podobny do żadnego ze znanych jej mężczyzn. I był mężczyzną w całym tego słowa znaczeniu. Nie takim jak studenci lub młodzi ludzie, z którymi chodziła na randki w ostatnich latach.

Miles Sutherland był przede wszystkim człowiekiem światowym. Zadrzała lekko, przypominając sobie, jak uparcie i namiętnie jej się przypatrywał, jak trzymał jej dłoń i całował palce. Myślała wtedy przez chwilę, że weźmie ją w ramiona. Na samą myśl o tym ogarnęło ją pożądanie. Teraz podniecenie wywołane oczekiwaniem na wspólny wieczór wzmagało się z każdą chwilą. Nawet, gdy wybierała suknię, nie opuszczała jej myśl, jaki okaże się ten ich wspólny wieczór.

Zdecydowała się na szyfonową kreację w niewyraźne fioletowe i jasnonila prążki, które zlewały się ze sobą i rozpyływały w miękki fiolet. Suknia była bez rękawów, z marszczonym stanikiem i głęboko

wyciętym dekoltem w kształcie litery V z przodu i z tyłu, z suto rozkłoszowaną spódnicą.

Wiedziała, że wygląda w niej bardzo pociągająco. Chciała być taka dla Milesa Sutherlanda, gdyż on pociągał ją również.

W kilka minut później, gdy upinała włosy, spojrzała na swoje odbicie w łazienkowym lustrze. Oczywiście wyobraźni zobaczyła jego twarz obok swojej tak wyraźnie, jakby stał obok niej i patrzył wraz z nią.

– Och, Milesie – powiedziała głośno. – Ja również nie byłam w stanie przestać o tobie myśleć.

Rozdział czterdziesty piąty

Serce zabiło mu szybciej na jej widok.

Stała wyprostowana w wejściu do baru, ubrana w suknię koloru wiosennych bżów, z opaską na szyi z młeczno połyskujących korali-ków, z włosami upiętymi na czubku głowy tak jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy tego wieczoru w Kent.

Natychmiast wstał i przeszedł pół drogi, nim go zobaczyła. Uśmiechnęła się i ruszyła szybkim krokiem. Kiedy stanęli na wprost siebie, owionął go zapach jej perfum – czegoś lekkiego i świeżego, pachnącego zielenią, co przywoływało wspomnienie łąki w promieniach letniego słońca.

Żadne z nich nie odzywało się. Tylko ich oczy przyłgnęły do siebie na kilka sekund.

A potem wziął ją pod rękę i poprowadził do stolika znajdującego się w ustronnym kąciku baru. Stała tu w wiaderku z lodem butelka Dom Perignon. Na brzegu popielniczki tlił się jego papieros. Obok stała szklanka z whisky, którą dodawał sobie śmiałości przed jej przybyciem.

Usiedli naprzeciw siebie. Miles zgasił papierosa i podniósłszy głowę uśmiechnął się do niej bardzo kusząco, a ona odpowiedziała w ten sam sposób.

W pewnej mierze cieszył się, że rozdziela ich stolik. Była to bariera konieczna, gdyż uniemożliwiała mu zrobienie czegoś gwałtownego. Na przykład nie pozwoliła wziąć jej w ramiona i pocałować. W ten sposób łatwo mógł się wystawić na pośmiewisko w miejscu publicznym. Zresztą, chciał na nią patrzeć, obserwować jej twarz, uzupełnić ten obraz, który tkwił w jego pamięci od kilku tygodni.

– Piłś w Hadley szampana, zamówiłem więc i teraz butelkę – powiedział. Gdy to mówił, słyszał napięcie brzmiące w swoim głosie i był tym zdumiony. Napięcie narastało w nim od chwili, kiedy zdecydował się pojechać do Paryża, a ostatnia godzina oczekiwania na nią była wprost nie do zniesienia. – Czy to ci odpowiada? – spytał, starając się rozluźnić. Przywołał ruchem ręki kelnera, by otworzył butelkę.

– Tak, dziękuję, Milesie – odparła. – Ja zawsze piję tylko białe wino albo szampana, nigdy nic mocniejszego. Zresztą szampan jest taki uroczysty, a to *jest* przecież specjalna okazja.

– *Jest?* – spojrzał na nią z uwagą.

– *Zdecydowanie.*

– Dlaczego? – zapytał, chcąc ją wy badać, i lekko pochylił się nad stołem.

– Dlatego że nieczęsto znany angielski polityk zabiera mnie na kolację, a jeszcze do tego specjalnie w tym celu przylatuje do Paryża.

Dostrzegł radość w jej oczach, śmiech, którym lada moment mogła wybuchnąć, i nieoczekiwanie sam poczuł chęć do śmiechu, gdyż zrozumiał, że się z nim drażni. Pomyślał wtedy: Dzięki Bogu, że ma poczucie humoru.

– Warto było odbyć ten lot – powiedział głośno i spojrzał na nią z uznaniem – choćby dla tego widoku, który mam przed sobą: jest prześliczny.

– Dziękuję ci.

Kelner nalał szampana. Miles spróbował i skinął przyzwalająco, wtedy kelner napełnił wysmukłe kieliszki. Miles podniósł swój, stuknął nim o kieliszek Christiny i powiedział:

– Za nasz pierwszy wspólny wieczór.

– Tak. I za naszą kolację. Jest chyba najdroższa, jaką kiedykolwiek zjadłeś, jeśli dodać cenę biletu lotniczego i rachunek za hotel. Chyba że robisz takie rzeczy często, wtedy uznam, że to nic wyjątkowego.

Przyglądał się jej przenikliwie, zastanawiając się, czy chce go w ten sposób zapytać o inne kobiety. Zobaczył jednak, że nie było w tym żadnej aluzji: wyraz twarzy miała zupełnie niewinny.

Nagle roześmiała się wesoło.

Miles ogarnął wzrokiem rozbawioną twarz Christiny i sam też wybuchnął śmiechem. To pomogło rozładować istniejące między nimi napięcie. Pragnął jej. Od dwóch tygodni fantazjował tyle razy o tym, jak będą się kochać, że doprowadził się do okropnego stanu. Teraz więc, gdy miał ją wyłącznie dla siebie, całe jego ciało pałało pragnieniem posiadania jej. Wiedział, że chyba eksploduje, jeśli jeszcze tej nocy jej nie posiadzie.

Christina piła powoli szampana i przyglądała mu się z zainteresowaniem

– Milesie, a co by było, gdybym już na ten wieczór była z kimś umówiona? – spytała po chwili.

Odchylił się do tyłu, wziął papierosa i zapalił zapałkę. Błyszczące niebieskie oczy jeszcze się śmiały.

– Muszę przyznać, że pomyślałem o takiej możliwości. – Znowu pochylił się nad stołem intymnym gestem i wyjaśnił: – Zaprosiłbym cię na kolację jutro lub w niedzielę, a gdybyś miała i te wieczory zajęte, zaprosiłbym cię na lunch lub choćby na drinka. W końcu zgodziłbym się nawet na filiżankę herbaty, śniadanie, spacer do Lasku czy gdziekolwiek indziej. Widzisz, Christino, chciałem poznać cię bliżej i potrafię być bardzo, ale to bardzo wytrwały.

– Tak, wiem o tym.

– Wiesz? – uniósł brew do góry. – Skąd?

– Z tego, co czytałam o tobie w gazetach przez ostatnie kilka lat. Masz opinię uparciucha i człowieka zdeterminowanego... Ciągłe depcesz po odciskach torysów i napadasz na nich w Izbie Gmin.

– To należy do obowiązków członków gabinetu cieni: trzymanie opozycji w napięciu, wiesz przecież o tym – uśmiechnął się, zaciągawszy się jednocześnie papierosem. Znowu oparł się o krzesło i w zamyśleniu obserwował jej twarz. – Podtrzymuję to, co powiedziałem w Hadley. – Twoje prasowe fotografie robią ci krzywdę. Zbyt ziarniste, zwłaszcza te w gazetach, dlatego cię postarzają. – Przerwał i po chwili spytał: – Ile masz lat, Christino?

– W maju skończyłam dwadzieścia pięć.

Zdziwił się. Myślał, że ma dwadzieścia siedem lub nawet dwadzieścia osiem. Nie żeby na tyle wyglądała, ale odniosła przecież wielki sukces jako projektantka, co wymagało czasu. Brał również pod uwagę jej rezerwę w zachowaniu, ostrożność i rozwagę. Wszystkie te cechy sugerowały dojrzałość. *Dwadzieścia pięć lat*. Była bardzo młodą dziewczyną.

– Jestem dużo starszy od ciebie. Mam trzydzieści osiem lat – powiedział.

– Czterdzieści.

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Christina przyglądała mu się z ciekawością; w oczach jej widać było rozbawienie.

– Proszę, proszę, cóż to za cios w małą demonstrację męskiej próżności. A skąd wiesz, ile naprawdę mam lat? Nie wydaje mi się, by pisano o tym w gazetach, w każdym razie ostatnimi czasy.

Poszła do biblioteki i przeczytała o nim w jednym z informatorów zawierających dane o politykach, ale nie miała zamiaru do tego się przyznawać.

– Chyba Jane mi o tym powiedziała – skłamała.

– O, tak, moja siostra przyjaźni się z Dulcie, ale o tym przecież wiesz, skoro to Dulcie poznała Susan z tobą. Z tobą i twymi wspaniałymi kreacjami. – Dołał szampana do kieliszków. – Doskonale dajesz sobie radę jako projektantka mody. W bardzo krótkim czasie stałaś się znakomitością. Podziwiam kobiety zdolne i z głową... Chciałbym wiedzieć o tobie wszystko. Jak ci się to udało zrobić? Opowiesz mi o tym Christino?

- Tak, jeżeli naprawdę chcesz tego wysłuchać.
- Oczywiście, że chcę.

Swoją opowieść ograniczyła do faktów; opowiedziała o dorastaniu w Yorkshire, o spotkaniu z Jane w Królewskiej Akademii Sztuki i o swej decyzji zostania projektantką mody, *couturière*. Nie odkryła jednak prawdziwej przyczyny rezygnacji z malarstwa. Pozwoliła mu myśleć, że właśnie projektowanie ubrań było jej pierwszą miłością.

– To już wszystko – rzekła piętnaście minut później, sięgnęła po swój kieliszek i upiła duży łyk szampana.

– To był wzlot wprost meteoryczny, gratuluję ci – odparł, obrzucając ją spojrzeniem pełnym szczerego podziwu.

Słuchanie, jak opowiada o sobie, sprawiło mu przyjemność. Miała miły, łagodnie brzmiący tembr głosu. Jego dźwięk podziałał na Milesę kojąco. Może dlatego, że wiedział, iż Christina jest jego branką na najbliższe kilka godzin i że w tym czasie wiele może się wydarzyć.

– No, a teraz twoja kolej opowiedzieć mi o sobie, Milesie – uśmiechnęła się Christina. To, co wyczytała w informatorze, było skąpe, a chciała wiedzieć jak najwięcej.

– Nie mam właściwie wiele do opowiadania – stwierdził ze słabym uśmiechem, wzruszając ramionami. – Urodziłem się w Londynie. Rosłem tam i w Suffolk. Uczyłem się w Eton i Oxfordzie; studiowałem prawo. Przez krótki czas praktykowałem jako adwokat. Ale ponad to przedłożyłem politykę. Wygrałem pierwsze wybory, gdy miałem dwadzieścia siedem lat. Zostałem posłem do parlamentu. Udało mi się utrzymać mandat i wyborców w Manchesterze przez wszystkie te lata. To bardzo lojalni wyborcy, na szczęście. Moi rodzice jeszcze żyją, dzięki Bogu, i mam tylko jedną siostrę. Żadnych hobby, a naprawdę to żadnych zainteresowań poza polityką. Tę kocham, to właściwie całe moje życie. – Zgasił papierosa i uniósł kieliszek. – Oto i moja biografia w formacie kieszonkowym. Raczej nudny facet, nie sądzisz?

– Wprost przeciwnie – zaprzeczyła i pomyślała: Nie wspomniał nic o żonie.

Jakby czytając w jej myślach, Miles zbliżył swą głowę do Christiny, wpił się w nią wzrokiem i niskim, zdławionym głosem dodał:

– Och, jeszcze jedno, żyję z żoną w separacji.

– Wiem o tym.

– Jane ci powiedziała?

– Nie, przeczytałam o tym w rubryce Williama Hickneya w „Daily Express”, kiedy się rozstaliście.

– Ale to było dwa lata temu – rzucił jej zdziwione spojrzenie i dodał: – Czy to nie dziwne, tyle o sobie czytaliśmy i zapamiętaliśmy... – przerwał nagle rozbawiony. – Nie sądzisz, że to coś znaczy? – zapytał żartobliwie.

– To znaczy, że oboje mamy doskonałą pamięć do głupstw, które wyczytujemy w rubryce „Plotki”.

Miles znowu się uśmiechnął, bo podobała mu się coraz bardziej. Wyciągnął ręce i ujął jej dłoń w swoje.

– Och, ja myślę, że to coś więcej – stwierdził.

– Co masz na myśli?

– Powiem ci później. – Skinął na kelnera i sięgnął po portfel. – Myślę, że powinniśmy już przenieść się z kolacją na taras. Nie chciałbym stracić stolika.

Rozdział czterdziesty szósty

Napięcie, które opuściło go w barze, ogarnęło go znowu podczas kolacji.

Stało się to tak nagle, że poczuł się zaskoczony; ku swemu zdumieniu pomyślał, że pewnie zadrży mu ręka. Odłożył więc widelec, oparł się o krzesło i spojrzał na nią.

Na stole stała świeca w szklanym kloszu i jej drżące światło nadało twarzy Christiny tajemniczy wyraz, gdy zaś się lekko poruszyła, usta zniknęły w mroku. Pragnął całować te usta, zgnieść je własnymi, pragnął przygarnąć ją do siebie i kochać ze wszystkich sił. Zastanawiał

się, dlaczego właściwie marnują czas w tej restauracji.

Christina sięgnęła po swój kieliszek monracheta i spoglądając na Milesa upiła łyk. Jego obecność działała na nią teraz jeszcze silniej niż poprzednio. Obserwowała go ukradkiem, myśląc, jak dobrze się prezentuje w szarym garniturze w jasne prążki i niebieskiej koszuli, która podkreślała kolor jego oczu.

Nagle zauważyła, że te magnetyczne oczy zmieniają się, ciemnieją, jakby ze zmartwienia, a jakiś cień rozdrażnienia przemknął po inteligentnej twarzy, usta zaś wyraźnie się ściągnęły.

Co się stało? Czyżby żałował swego postępuku? Czy żałował, że w ogóle przyleciał do Paryża? Rozpacz ścisnęła jej serce. A co będzie, jeśli pod koniec wieczoru powie jej uprzejme „dobranoc” i na tym się wszystko skończy? Czyżby tylko wyobraziła sobie ten błysk w jego oczach wtedy w Hadley i dzisiaj w barze? Może z jej strony były to jedynie pobożne życzenia? Nie chciała, żeby zostawił ją samą, gdy zjedzą kolację. Pragnęła być z nim. Pragnęła go.

Zanim zdołała się powstrzymać, nachyliła się w jego stronę i spytała.

– Czy coś się stało, Milesie?

– Nie, oczywiście, że nie – zawołał, odsuwając od siebie erotyczne myśli. Podniósł kieliszek, napił się, a potem spytał: – Dlaczego myślałaś, że coś się stało?

– Wyglądałeś na zmartwionego – wyrzuciła z siebie i zamilkła, wpatrując się w niego. Zauważyła na jego twarzy rozbawienie.

– Tak wyglądałem? – odsunął od siebie kieliszek i wyjął z kieszeni paczkę papierosów. – Czy pozwolisz, że zapalę? – spojrzał na nią pytająco, ale odmownie pokręciła głową. – Obawiam się, że nie jestem bardzo głodny – dodał po chwili.

– Ja też nie.

– Zauważyłem – rzekł półgłosem, patrząc na jej talerz. Przesuwała po nim widelcem medalion cielęcy. Tak samo jak i on zjadła zaledwie kilka kęsów.

Miles uniósł głowę i spojrzął jej w oczy. Zobaczył w nich coś takiego, co go zaskoczyło. Była w nich jakaś zmysłowość, której wcześniej nie zauważył. Od początku wiedział, że jest nim zainteresowana. W Hadley Court dostrzegł na jej twarzy ciekawość. Ale czy ona *czuta* dokładnie to samo, co *czul on*? Czy to możliwe, że pragnęła go tak samo mocno, jak on jej pragnął?

Miles pochylił się ku niej i niezwykle spokojnym głosem powiedział bez wstępów:

– Kiedy poznasz mnie lepiej, dowiesz się, że potrafię być brutalnie szczery, ale też zawsze będziesz wiedziała, na czym stoisz. Chcę być szczery i teraz, kiedy mówię ci: nie bądźmy dziecinni w ocenie dzisiejszego wieczoru. Jesteśmy oboje dorośli i wiesz równie dobrze jak ja, dlaczego przyjechałem do Paryża. – Wyciągnął rękę nad stołem i mocno ścisnął jej ramię. – Chcę być tu z tobą, Christie, trzymać cię w ramionach, kochać cię, kochać się z tobą. Czy pragniesz mnie w ten sam sposób?

– Tak, Milesie, pragnę – odparła szeptem.

– A więc nie ma powodu, byśmy się tak dłużej torturowali. Pozwól, że ureguluję rachunek.

Wziął ją w ramiona w tej samej chwili, gdy weszli do jej apartamentu i gdy zatrzasnął drzwi.

Przyciągnął ją do siebie, całując ją namiętnie. Rozwarł jej wargi, wcisnął język w usta i zaczął smakować. Wzmocnił uścisk, tak że przylgnęła doń cała. Poczwała przez ubranie, jak bardzo jest podniecony. Przesuwał dłońmi po jej ramionach, plecach, aż zatrzymał się na krągłości pośladków.

Ramiona Christiny oplotły mu szyję; odwzajemniała pocałunki z żarliwością jeszcze gwałtowniejszą niż jego własna. Czwała, jak przenika go silne drżenie.

Miała wrażenie, że cała rozpływa się w Milesie, staje się jego częścią. Przytuliła się do niego mocno, bojąc się, że nogi odmówią jej posłuszeństwa. A wtedy on nieoczekiwanie odsunął się, wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Łóżko było duże, pościel lśniła bielą w promieniu światła wpadającego z bawialni. Położył ją, zdjął marynarkę i cisnął na krzesło, pośpiesznie zrzucił buty.

Gdy zrobił krok w kierunku łóżka, otwarła do niego ramiona. Na jej twarzy dojrzał pożądanie. Serce mu drgnęło w oczekiwaniu. Zdjął jej z nóg pantofle, rzucił na podłogę i położył się na łóżku obok niej. Znowu rozchyliła ku niemu ramiona, a on wtulił się w nią, obejmując ją i mocno przyciskając do piersi.

– Christie, och, Christie – wyszeptał z wargami na jej szyi. – Pragnę cię tak bardzo, myślałem o tym od chwili, gdy zobaczyłem cię z Ralphem na tarasie.

– Och, Milesie, wiem. Chcę *ciebie*. Tak za tobą, tęskniłam...

Unióś się na łokciu, spojrzął z góry na jej twarz, delikatnie dotknął policzka i wyszeptał:

– Kochanie, gdybyś wiedziała, jak bardzo wspomnienie o tobie prześladowało mnie.

Pocałował ją znowu. Był to długi, tkliwy pocałunek. Poddała się jego pieczytom bez oporu. Wessał jej język do swoich ust i przeżywał ekstazę tego przedłużającego się zespolenia, które obudziło wszystkie jego zmysły. Posiadanie jej, pełne i ostateczne, było jeszcze jedną rzeczą, która w tej chwili miała dla niego jakieś znaczenie.

Jedną ręką pieścił jej twarz i szyję, a potem wsunął palce w wycięcie sukni i dotknął piersi. Doznał cudownie podniecającego uczucia, kiedy stwierdził, że Christina nie ma na sobie biustonosza.

Pochylił nad nią głowę, rozchylił dekolt, wsunął rękę pod pierś, wyjął ją i wziął w usta stwardniały sutek.

Przesuwając czubki palców wzdłuż jej nogi podnosił do góry szyfon spódnicy. Dotyk jedwabiu pończochy był niezwykle podniecający i gdy ręka zatrzymała się na obnażonej skórze uda, uniósł z lekka głowę, głęboko westchnął i delikatnie dotknął wargami jej ust. Palce jego dłoni zatrzymały się wreszcie między jej udami, a kiedy wsunęły się pod jedwab majtek, poczuł na nich wilgoć. Wtedy już wiedział, że istotnie go pragnie – tak samo namiętnie i tak samo niecierpliwie jak i on.

– Zdejmij suknię, kochanie – szepnął jej do ucha. Sam natychmiast wstał i zaczął się rozbierać.

Christina uczyniła to samo, nie czując zupełnie zakłopotania jego obecnością. Rozebrała się pierwsza; powoli położyła się z powrotem na łóżku i utkwiała w nim wzrok. Ciało Milesa było szczupłe, jędrne, bez grama tłuszczu. Wyczuła tę wysportowaną twardość i siłę, gdy objął ją mocno ramionami i oplótł wokół niej swe długie mocne nogi.

Wsunął dłonie w jej włosy i wyciągnął spinki. A kiedy luźną falą rozsypały się wokół twarzy, znowu wsunął w nie dłonie i ujął mocno jej głowę, a potem zaczął całować twarz, szyję i usta.

Nagle przerwał i powiedział ochryplym, nabrzmiąłym pożądaniem głosem:

– Muszę cię mieć teraz, nic na to nie mogę poradzić. Wybacz mi. Muszę być w tobie, Christie.

– Tak, tak, wiem.

Uniósł się nad nią na rękach, spojrział jej w twarz i przepęłniła go wielka tklivość. Natychmiast też zobaczył, jak radość rozjaśniła jej twarz; w oczach dostrzegł pożądanie. I w tej chwili już wiedział wszystko.

Christina podniosła rękę i dotknęła jego włosów, potem przesunęła dłonią po policzku i spojrzała mu w oczy przenikliwie.

– Milesie – westchnęła – ach, Milesie.

Położył się na niej, wsuwając dłonie pod pośladki i przyciągnął bliżej do siebie. Gdy zanurzył się w niej, poczuł jak fala niezwykłego gorąca oblewa mu całe ciało, dopływając do serca i mózgu. Wsunął się w nią głębiej – szybko, zręcznie, a ona poruszyła się pod nim. Splecione ze sobą ciała unosiły się i opadały w zgodnym rytmie, który znaleźli bez trudu. Pomyślał wtedy z triumfem: *Wiedziałem. Wiedziałem, że tak będzie. Byliśmy sobie przeznaczeni, tworzymy razem jedność.*

A Christina wtulona w niego myślała: *Nigdy nie przypuszczałam, że to będzie właśnie tak. Chcę go mieć całego, każdą jego cząstkę. Chcę być przy nim zawsze, być zawsze w jego ramionach. Teraz należę do niego. To stało się dziś i jestem jego – całkowicie i nieodwracalnie.*

Nagle Miles poczuł wzbierającą w nim potężną falę namiętności. Nie mógł już się dłużej powstrzymać, więc zawołał z ustami wtulonymi w jej potargane włosy:

- Kochanie moje, kochanie, wybacz mi, ale nie mogę dłużej czekać. To już, to już...
- Milesie, tak, tak, Milesie!...
- Christie, *teraz*. O, moja Christie! O mój Boże!

Zapałka rozbłysła w półmroku pokoju, gdy zapalił papierosa. Głęboko się zaciągnął, a później odwrócił się do niej i rzekł miękko:

- Przepraszam, że trwało to krótko. Będzie lepiej następnym razem.
- Nie opowiadaj głupstw, Milesie... było cudownie. Ty jesteś cudowny.

- To dlatego, że nie jesteś bezstronna, kochanie.
- Chyba tak, chyba nie jestem, lecz pomimo tego, wszystko, co powiedziałam, *jest* prawdą – i uśmiechnęła się do niego.

Miles odpowiedział czułym uśmiechem. Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie, tak że jej głowa spoczęła na jego piersi.

- Milesie, czy mogę ci zadać pytanie?
- Naturalnie.
- Co miałeś na myśli mówiąc, że czytaliśmy o sobie i zapamiętywaliśmy różne rzeczy i że to miało specjalne znaczenie?
- Jeszcze w barze przyszło mi na myśl, że podświadomie dążyliśmy ku sobie, zanim spotkaliśmy się na przyjęciu u Sedgewicków.

Uśmiechnęła się z głową na jego piersi.

- Myślę, że tak było ze mną.
- Ze mną też, jestem pewien – potwierdził.
- Kiedy zobaczyłam, jak wchodzisz na taras w Hadley, to poczułam w piersiach jakiś okropny ucisk. Nagle zrobiło mi się słabo – wyznała Christina.

Miles znowu się uśmiechnął. Była taka otwarta i szczerą. Niewiele kobiet powiedziałoby mu coś takiego na tym etapie znajomości. Lecz był zadowolony, że to zrobiła. Potwierdzało to jego opinię, że jest prostacka i niewinna, pomimo że obracała się w kręgach bardzo

wyrafinowanych ludzi. Cieszyło go też, że nie miała innych mężczyzn.

– Jeśli chcesz wiedzieć, Christie, to i moja reakcja na twój widok była niezwykle silna. Od razu wiedziałem, że muszę cię znowu zobaczyć. – Zaciągnął się papierosem. – I naprawdę byłem strasznie zmarwny, gdy w ostatniej chwili musiałem odwołać ten lunch.

– Ja również... byłam bardzo rozczarowana. Milesie... kiedy zdecydowałaś się przyjechać do Paryża?

– W połowie tygodnia. Piątki w Izbie Gmin są zwykle spokojne, stąd wiedziałem, że będę wolny wcześniej, więc zamówiłem bilet...

– I pewnie zadzwoniłaś na Bruton Street, żeby spytać, gdzie się zatrzymałam.

– Właśnie tak.

– Dziwię się, że moja sekretarka mnie nie uprzedziła.

– Powiedziałem, że dzwonię w imieniu Susan Radley – roześmiał się Miles – i że ona chciałaby ci posłać kwiaty, więc prosi o nazwę twego hotelu w Paryżu. Wyjaśniłem też, że nie powinnaś o tym nic wiedzieć, bo kwiaty mają być niespodzianką. Myślałem nawet, żeby powiedzieć, że jestem właścicielem kwaciarni.

Christina wybuchnęła śmiechem.

– Jacy to jesteśmy sprytni! – zakpiła. – A dlaczego nie chciałaś, żebym wiedziała o twoim przyjeździe do Paryża? Z tego, co mówiłaś, wynika, że *nie* chciałaś.

– Chciałem ci zrobić niespodziankę.

– A skąd wiedziałaś, że się tu z kimś nie spotkam? Z jakimś mężczyzną, z kochankiem?

– Miałem nadzieję i modliłem się, żeby tak nie było. – Miles zgasił papierosa i pochylił się nad nią, pocałował jej czoło i szepnął: – Cieszysz się, że zdecydowałem się przylecieć?

– Tak, Milesie, bardzo się cieszę – opłótła go ramionami i całowali się długo. Potem położyła dłonie na jego piersi i delikatnie go odechnęła. – Czy zostaniesz tu jeszcze jutro? – spytała?

– Oczywiście, że tak. Jeśli chodzi o ścisłość, to zostaję na cały weekend. Nie ruszę się stąd aż do poniedziałku rano, moja słodka. – Leniwy uśmiech wypłynął mu na usta, gdy dotknął jej ramion i wcisnął ją w poduszki. Ukłękawszy nad nią, zaczął głaskać jej piersi, a potem brzuch, mówiąc przy tym półgłosem: – Leż teraz spokojnie, nic nie mów, bo chcę cię kochać w bardzo szczególny sposób...

O północy wstali i wyszli z hotelu.

Miles uwielbiał jazz, więc zabrał ją do jednego ze swych starych ulubionych miejsc – do Club Mars, znajdującego się zaraz obok Champs-Elysees. Panował tam półmrok, nastrój był bardzo intymny, a powietrze aż niebieskie od dymu. Siedzieli przytuleni do siebie na obitej czerwonym pluszem ławeczce, trzymając się za ręce. On pił ciepłą whisky, ona zaś lodowate białe wino. W przerwach koncertu opowiadał jej o jazzie – o Beiderbecke'u i Charliem Parkerze, o Fatsie Wallerze, Django Reinhardzie i Louisie Armstrongu. Od czasu do czasu całował ją zniecacka w policzek lub ścisnął kolano i z uśmiechem zaglądał jej w oczy. W miarę tego, jak płynął czas, Christina była coraz bardziej zakochana w Milesie Sutherlandzie.

Później poszli do hał, aby zjeść słynną zupę cebulową w jednym z małych barów. Nad talerzem Miles opowiadał jej o swoim dzieciństwie, o tym, jak dorastał w Suffolk w obszernym, starym wiejskim domu, który należał do jego rodziny od stuleci. Ona zaś słuchała z uwagą, chłonąc z radością każde słowo o jego młodości, o ojcu i matce. Była prawie szósta rano, gdy trzymając się za ręce wrócili do Ritza, ożywieni i podnieceni wzajemnym poznawaniem siebie.

Miles otworzył drzwi jej apartamentu i wszedł za nią do środka.

– Chyba mnie nie wyrzucisz? – spytał, zdejmując marynarkę, rozwiązując krawat i zrzucając buty. – Mogę tu spać z tobą, prawda? Błagam nie wypędzaj mnie...

Jej odpowiedzią był uśmiech, długi i leniwy uśmiech. Podała mu rękę, a on ujął ją w swoją i razem weszli do sypialni.

Miles zamknął drzwi na klucz i wziął ją w ramiona, powtarzając raz po raz szeptem jej imię, gdy niósł ją do łóżka. A później znowu kochali się raz jeszcze, spali i kochali się od nowa. I tak minęła im reszta weekendu.

Rozdział czterdziesty siódmy

– Nie ma co do tego dwóch zdań – powiedział Miles do Christiny w niedzielę wieczorem – mam przed sobą piekielnie pracowity tydzień.

Jedli kolację w La Coupole na Lewym Brzegu. Christina spojrzała na niego i położyła widelec na talerzu. Przez cały weekend wydawał się rozluźniony, a teraz nagle spowaźniał.

– Co masz na myśli? – zapytała sięgając po kieliszek z winem.

Miles przysunął się bliżej.

– Hugh Gaitskel ma zamiar twardo zaatakować Anthony'ego Edena z powodu kłopotów z Naserem i Kanałem Sueskim. Ja muszę dać mu wsparcie, zwłaszcza że jestem jednym z protegowanych Hugh'a. Zresztą przypuszczam, że cały gabinet cieni ruszy do ataku. Wszystko jest w stanie takiego zamętu!

– Nie myślisz chyba, że naprawdę rozpocznie się wojna na Bliskim Wschodzie?

Miles skinął głową i twarz mu natychmiast spowaźniała.

– Obawiam się, że tak, ale nie mówmy o tym dzisiaj. Kiedy wracasz do Londynu, Christie?

– Nie przed sobotą. Mój adwokat, pan Bitoun, wymaga, żebym była obecna przy finalizowaniu spraw z wytwórcą perfum.

Miles ujął Christinę za rękę i rzucił jej filuterne spojrzenie.

– Czy mam przyjechać tu na następny weekend?...

– Och, Milesie, a mógłbyś? – oczy jej rozblęskły i zarumieniła się.

– To byłoby wspaniale, prawda?

– Ja też tak myślę – odparł z uśmiechem.

Po kolacji poszli na krótki spacer, a potem jakąś rozklekotaną tak-sówką, jedyną, jaką udało im się znaleźć, wrócili do hotelu.

Miles tej nocy w łóżku, gdy trzymał ją w ramionach, powiedział tym swoim niskim, schrypniętym głosem:

– Boję się, że zaczynam się zbyt do ciebie przywiązywać, Christie.

– Ja także, Milesie.

– Wiem, że nie powinniśmy tak czuć, że ja nie powinienem, lecz po prostu nie mogę powstrzymać ani siebie, ani chyba również i ciebie.

– A dlaczego nie mielibyśmy się związać? – spytała Christina, przysuwając się bliżej, kładąc nogę na jego nogi i mocno obejmując go ramionami.

Westchnął głęboko i przez chwilę nie odpowiadał, a potem odezwał się bardzo cicho:

– Ja nie mam nic do zaofiarowania... Ona się nigdy ze mną nie rozwiedzie...

– Nie zależy mi na tym.

– Ale którego dnia to się może zmienić, Christino.

– Dlaczego ona nie chce rozwieść się z tobą?

– Właściwie nie potrafię tego ani zrozumieć, ani wyjaśnić. Wiesz, ona nie chce mnie, ale również nie chce, żeby miał mnie ktoś inny.

– A ja, czy ja mam ciebie? Czy mam choć najmniejszą cząstkę ciebie?

Uśmiechnął się. Teraz on usłyszał od niej komplement. Sam mówił jej prawie przez cały weekend i czasami czuł się tak niezręcznie jak zakochany uczeń.

– Tak masz malutką cząstkę mnie, jak to powiedziałaś – nachylił się nad nią i pocałował jej włosy. – Jednakże zbyt mi na tobie zależy, by grać nieczysto, kochanie. Chcę byśmy byli razem, chcę ciebie. Tak, cholernie chcę, by to, co stało się tu w Paryżu, trwało dalej. Może to egoizm, lecz chcę tego. Jeśli jednak zdecydujemy się związać ze sobą, to musi to pozostać tajemnicą. A to nie jest wobec ciebie w porządku. Gdyby Candida się dowiedziała, wybuchłby straszliwy skandal. Ja zaś

na coś takiego nie mogę sobie pozwolić... Chodzi przecież o moją polityczną karierę. Chyba mnie rozumiesz?

– Rozumiem. Ja też chcę byśmy byli razem, Milesie. *Chcę* ciebie. Posłuchaj, możemy przecież być ostrożni. Nie musimy nigdzie bywać, pokazywać się w miejscach publicznych. Nie przeszkadza mi, że nasz związek okryty będzie tajemnicą.

– Któregoś dnia nie wytrzymasz, Christie.

– Nie, nie, Milesie.

Nic na to nie odpowiedział. Objął ją mocniej i w końcu oboje zapadli w głęboki sen.

Miles wyjechał do Londynu w poniedziałek rano.

W ciągu następnego tygodnia dużo rozmyślał o ich ostatniej rozmowie. I wtedy, gdy szedł ze swego mieszkania przy Knightsbridge do Izby Gmin i gdy załatwiał różne inne sprawy. Raz za razem pytał sam siebie, czy nie powinien wziąć sprawy w swoje ręce i po prostu zakończyć tę znajomość. Miles Sutherland był bowiem człowiekiem bardzo odpowiedzialnym i w niczym nie przypominał tego drania, którego wyczarowała Jane Sedgewick siłą swej bujnej wyobraźni. Ściśle mówiąc, stanowił jego całkowite przeciwieństwo. Był człowiekiem honoru, człowiekiem dotrzymującym swych zobowiązań. Pragnął uwolnić się od swej neurotycznej żony; nie zależało mu wcale na jej i jej ojca pieniądzech, ponieważ posiadał własny majątek.

– Skończ z tym, zanim wszystko wymknie ci się z rąk – powtarzał sam sobie, ale zaraz po tym telefonował wieczorem do Christiny, jak to obiecał, a dźwięk jej głosu odpędzał z głowy wszelkie myśli o rozsądnym postępowaniu. Pragnął tej kobiety w sposób, w jaki nie pragnął żadnej innej. Był już bezpowrotnie z nią związany, czy chciał tego czy nie. *Nie mógł przecież zmienić swoich uczuć.*

Tak więc w piątek po południu znowu poleciał do Paryża. W chwili gdy wszedł do pokoju Christiny i zobaczył ją, poczuł, że serce w nim

podskoczyło z radości, że nastrój mu się poprawił. Pojął również, że nie on będzie tym, kto położy kres ich romansowi. Była jego powietrzem, światłem i słońcem.

Christina przewidziała jego życzenia i zamiary. Zanim miał okazję powiedzieć, że nie ma ochoty iść na kolację do restauracji, oznajmiła, że już zamówiła wędzonego łososia, ser Brie, bułki i świeże owoce i że urządzają sobie piknik.

– W łóżku – wyjaśniła wesoło, gdy przyniosła mu szklaneczkę szkockiej z lodem i odrobiną wody, taką właśnie, jak lubił.

– Gdy popijali drinki, Miles włożył rękę do kieszeni i wyjął mały, czerwony, skórzany futerałik.

– To dla ciebie, Christie. Opale. Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że powinnaś zawsze nosić opale?

– Milesie, jakie one piękne! – wykrzyknęła. – Nadzwyczajne. – Spojrzała nań promiennymi oczyma. – Nigdy nie widziałam czegoś z takim ogniem, takim blaskiem...

– Tak będą wspaniale wyglądać na tobie. Chodź, zobaczymy.

Poprowadził ją do lustra, ona zaś przypięła kolczyki, przyglądając się im z zachwytem. Miles podziwiał Christie. Później śmiali się i dobrze im było ze sobą. Po chwili Christina pobiegła do sypialni i wróciła z paczuszką w ręku.

– A to dla ciebie – oznajmiła.

Uśmiechał się z radością, gdy odwijał papier.

– O mój Boże, naprawdę nie powinnaś! – Pokręcił z podziwem głową, patrząc na złotą papierośnicę od Cartiera. – Nie, moja miła...

Uciszyła go pocałunkiem.

Dużo, dużo później, kiedy się kochali, Milesowi zdawało się, że nigdy jej jeszcze nie dotykał. Każda część, każdy fragment jej ciała wydawał mu się nowy, świeży i jeszcze piękniejszy niż poprzednio. W pewnym momencie, gdy napiętność osiągnęła apogeum i przeżywał ekstazę, krzyknął głośno:

– Kocham cię, Christie! Zakochałem się w tobie!

– I ja cię kocham, Milesie. O, kochany mój, tak bardzo cię kocham!

Nie widzieli za sobą świata. Nie było mowy, że jedno kocha mocniej niż drugie. Wariowali za sobą. Czuli się związani ze sobą silnie i głęboko. Dla niej była to pierwsza prawdziwa miłość. Miles zaś, choć był człowiekiem światowym i miał rozmaite romanse, uświadomił sobie, że po raz pierwszy jest naprawdę zakochany.

W pewnej chwili podczas tego weekendu wpadł na pomysł, by przyjeżdżać do Paryża w każdy piątek. Tu czuł się wolny od wścibskich spojrzeń. Dlatego też przez cały sierpień bywali tu regularnie.

– Musimy jednak zacząć zatrzymywać się w innym hotelu – stwierdziła Christina pod koniec miesiąca. – Nie możemy dłużej przyjeżdżać do Ritza: zaczynamy zwracać na siebie uwagę.

Tak więc zatrzymywali się w hotelach: George V, Lancaster, Raphael i Księżę Gallów. Doskonale się tym bawili, aż wreszcie Miles zdecydował, że i podróże do Paryża muszą się skończyć, bo i one zaczęły zwracać uwagę.

– Musimy sobie znaleźć jakąś kryjówkę w Anglii – powiedział do Christiny w czasie ostatniej podróży do Paryża. – Czy nie mogłabyś się tym zająć w przyszłym tygodniu, moja miła?

Rozdział czterdziesty ósmy

Padał ulewny deszcz.

Silny wiatr zacinął w szyby tak mocno, że przypominało to uderzenia gwoździami o szkło.

W ten chłodny listopadowy dzień bawialnią w małym wiejskim domu w Cotswolds promieniała ciepłem, światłem i ciszą.

Christina leżała wyciągnięta na kanapie i przysłuchiwała się szumowi deszczu. Był to dziwnie kojący odgłos i stanowił dobre tło dla jej leniwie płynących myśli.

Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Milesa i znowu pomyślała, że kocha go tak bardzo. Nigdy nie sądziła, że jest to możliwe. Kariera zawodowa miała dla niej oczywiście duże znaczenie, lecz teraz sensem jej istnienia był on.

Żyła od weekendu do weekendu. To były najlepsze dni, ponieważ wtedy mogła przebywać w uroczym, odosobnionym domu na obrzeżu Cirencester, który znalazła zupełnie przypadkowo na początku października. Był do wynajęcia na pół roku razem z umeblowaniem. Dzięki temu wystarczyło tylko zrobić zapasy żywności i mogli zamieszkać w nim od razu.

Ich romans rozwijał się w wielkiej tajemnicy, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Nie martwiło to jednak Christiny. Nikt oprócz Milesa nie był jej teraz potrzebny. Przebywali razem, ilekroć tylko mieli czas w ciągu tygodnia. Ponieważ nie mogli się pokazywać publicznie, pozostawali zwykle w mieszkaniu przy Walton Street. Weekendy były dla obojga porą odpoczynku. Czytali, rozmawiali o różnych sprawach, chodzili na długie spacerunki. Christina bardzo też lubiła dla niego gotować, dbać o jego wygody, dzielić z nim myśli, uczucia i niezwykle silną namiętność. A także jego czułość.

Teraz siedział w fotelu naprzeciw niej pogrążony w lekturze „Observera”. Reszta niedzielnych gazet leżała w nieładzie na podłodze, porzucona po tym, jak je przejrzał, mruczając półgłosem, klnąc, czasem głośno się śmiejąc lub wykrzykując „Niech to szlag!” Następnie wyjaśniał jej z uśmiechem, o co chodzi i dzielił się swoimi opiniami. Zawsze dzielił się wszystkim.

W tej chwili na jego twarzy malowało się napięcie. Wiedziała, że niepokoi go sytuacja na Bliskim Wschodzie, gdyż prezydent Naser dokonał nacjonalizacji Kanału Sueskiego. Anglia, Francja i Izrael bombardowały Kair, a Miles bardzo to wszystko przeżywał i zadawał kłopotliwe pytania w Izbie Gmin.

Spojrzał na Christinę znad gazety, jak gdyby nagle poczuł na sobie jej wzrok, i spytał:

- O co chodzi, Christie?
- O nic, kochanie – odparła siadając i spuszczaając nogi na podłogę.
- Po prostu przyglądam ci się i podziwiam.

– Aha! – wykrzyknął i oczy zabłyśły mu szelmowsko. – W takim razie, jeśli tak bardzo mnie podziwiasz, wejdźmy na górę i zabawmy się trochę. Czy jest coś lepszego nad kochanie się w deszczowe popołudnie?

– Milesie, robisz się niemożliwy.

– Ostatniej nocy mówiłaś coś zupełnie innego... Byłaś bardzo zadowolona i dawałaś mi to do zrozumienia...

W odpowiedzi podeszła do niego, wyjęła mu z rąk gazetę i usiadła na kolanach. Przytuliła się i pocałowała go w policzek.

– No, cóż, ostatniej nocy byłeś pierwsza klasa.

Uśmiechnął się lekko, zdjął okulary i przetarł palcami oczy.

– Myślę, że wystarczy już czytania... Nie miałbym nic przeciwko świeżemu powietrzu. Może pójdziemy na spacer? Jesteś jedyną osobą, jaką znam, poza mną samym i, zdaje się, poza naszą królową, która lubi chodzić na spacer w deszczu.

– Dobrze, Milesie, wyjdźmy – Christina zesła z jego kolan, podała mu rękę i pociągnęła za sobą.

Miles trzymał ją w ramionach, przyglądając się jej twarzy i widocznej na niej grze światła. Czasem myślał, że kocha ją zbyt mocno, za bardzo.

Christina otworzyła oczy i spojrzała na niego, a potem się uśmiechnęła.

– Psujesz mnie, Milesie; zawsze to *ty* kochasz *mnie*... – przesunęła palcami po jego policzku.

– Mhmm, to święta prawda – odparł i podsunął ją nieco wyżej, oplatając ją swoimi nogami. – Wyraźnie staję się szalenie altruistycznym facetem, nieprawda? Ale zawsze możemy to naprawić czy raczej ty możesz to zrobić. Jestem do twojej dyspozycji.

Przycisnął swoje usta do jej ust, całując powoli, czule, aż do momentu, gdy fala gorąca zaczęła ogarniać jego ciało, gdy serce zaczęło mu łomotać w piersiach, a namiętność wybuchła jak pożar. Czuł jej ręce w swoich włosach, na plecach, czuł jak głaszcze mu ramiona.

Pragnął jej. Zdawało się, że z każdym dniem pragnie jej bardziej. Nigdy nie miał jej dość, nie mógł się nią nasycić. Głosem ochrypłym z emocji powiedział:

– Całuj mnie, Christie, proszę cię, kochana moja, całuj mnie.

Podniosła się i uklękła nad nim, wpatrując się z napięciem w jego twarz. Nauczyła się kochać tę twarz ponad miarę. Przesłaniała jej wszystko, wypełniała wyobraźnię i myśli.

Przesunęła dłońmi po jego piersi w dół, aż do płaskiego twardego brzucha. Skórę miał suchą i gładką jak polerowany marmur. Poruszyła się, by uklęknąć między jego nogami i poczuła, jak mimowolny dreszcz przeniknął jego ciało, gdy położyła mu dłonie na udach.

Christina patrzyła na Milesa i dostrzegła, że wpatruje się w nią w skupieniu; w jego oczach odbijały się jej oczy pełne pożądania i miłości. Coś ścisnęło ją w gardle i serce zabiło mocniej, gdy pochyliła się nad nim, szukając ustami źródła jego namiętności, tak jak jego usta nie tak dawno szukały go w niej.

Jęknął, kiedy poczuł jej usta na swym ciele.

– O, Boże, Christie, co ty ze mną robisz?!

Miłośnie dotykała go wargami.

Teraz. Miles należał do niej całkowicie – nieruchomy, z zapartym tchem, dający siebie jak dar, jak dar miłości. A ona była w posiadaniu tego, co w nim najważniejsze, esencji jego życia, a także jego duszy – w tej chwili należał do niej i tylko do niej.

Wsunął palce w jej gęste splecione włosy, pieścił jej ramiona, a po chwili lekko ścisnął spoczywające na jego brzuchu dłonie. Owinął swoje palce wokół jej palców, a z gardła wydobył mu się cichy, przeciągły jęk.

Podniosła wzrok i zobaczyła, jak pełne napięcia oczekiwanie przesłonił błękit jego oczu, aż stały się ciemne i płonące.

Nagle Miles poruszył się, ujął jej twarz w dłonie i uniósł do góry. Podniósł się nieco, pocałował ją delikatnie, a potem ostrożnie pociągnął ku sobie.

– Pragnę cię, Christie – powiedział – chcę być w tobie. Niech mnie ogarnie to cudowne twoje ciepło, najdroższa moja.

Błyskawicznie zmienił pozycję i ułożył ją pod sobą, a ona zatoneła spojrzeniem w jego roznamiętnionym wzroku. Wszedł w nią niemal brutalnie, ona zaś zaczęła drżeć, gdy poczuła twarde pchnięcia w swym wnętrzu. Poruszając się zgodnym rytmem, który z każdą chwilą stawał się bardziej intensywny, rozplamiali się nawzajem. Jego namiętność unosiła się jak spirala – w górę, w górę, a ona spotykała go na każdym zakręcie, wznosząc się wraz z nim wyżej i wyżej. Byli jednością i już nie było miejsca na rozdzielenie, na rozłąkę.

Miles otworzył oczy, spojrzał na nią i ochryplym głosem zawołał:

– O Boże, o ty... ja... – zmiążdżył jej usta swoimi, gryząc jej wargi, język.

– Chcę cię całej – wyszeptał, wtulając głowę w zagłębienie jej szyi. – Całej twojej istoty, twego oddechu, ciebie całej!

Christina poczuła się tak, jakby wyciągniętą dłonią dotknął wprost jej serca. A wtedy jak z oddali usłyszała dźwięk jego imienia. To właśnie ona wołała:

– Milesie! Milesie! Kocham cię!

Przywarli do siebie w jakiejś desperacji, w niewysłowionej potrzebie bliskości, wręcz pierwotnej w swej sile. Znowu złączyli usta w głębokim pocałunku i wtedy on silnym ruchem pospieszył wprost ku szczęściu.

Usłyszała jego krzyk:

– Christie! Christie! Kocham cię! Kocham! Nie mogę żyć bez ciebie, nie opuszczaj mnie! Och, bądź tu wraz ze mną, najdroższa!

Leżał bez ruchu z głową na jej ramieniu.

Christina czuła oszołomienie. Spojrzała z boku na jego bladą twarz i zebrało się jej na płacz. Co takiego było w tej twarzy? Twarzy, która tak ją rozczulała, poruszała takie struny w jej duszy, że czasem czuła wzbierające łzy.

Miles otworzył oczy.

– Co się z nami dzieje, gdy jesteśmy razem?

– Nie wiem. Myślę, że unosimy się dokądś. Nie zauważyłeś tego, Milesie?

– Nie, ale przecież ja zawsze jestem tam, gdzie i ty, Christie.

– Czy zdarzało ci się to kiedyś przedtem? Z kimś innym?

– Nie. – Odchrząknął i dodał łagodnie: – Chyba wiem, co się z nami dzieje, kochanie. Kiedy akt miłosny jest tak doskonały jak nasz, gdy niezwykle silna przyjemność fizyczna łączy się z pełnym zjednoczeniem umysłowym i emocjonalnym, to doświadczenie owo nabiera cech transcendentalnych. Przenosimy się na wyższy poziom świadomości.

– Tak, chyba tak właśnie się dzieje.

Dotykał jej włosów, odwrócił ku sobie jej twarz i powiedział półgłosem:

– „Połóż mnie jak pieczęć na sercu twoim, jak pieczęć na twoim ramieniu, bo jak śmierć potężna jest miłość...” – Przerwał i zmarszczył brwi. – Zniszczyłem cały efekt, bo nie pamiętam dalszego ciągu.

– „...a zazdrość jej nieprzejednana jak Szeol, żar jej to żar ognia” – uzupełniła Christina.

– Tak, właśnie tak. A co dalej?

– Ja również nie pamiętam, ale znam fragment następnego wersu: „Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości, nie zatopią jej rzeki”. Wiesz, jak też znam Biblię.

– Tak... – Miles zawahał się, a potem powiedział: – Christie, jest coś, o czym ci dotychczas nie powiedziałem... Zrobiłem coś, gdy byłaś kilka tygodni temu w Nowym Jorku na pokazie swojej kolekcji...

Ponieważ nie dokończył zdania i wyglądał bardzo poważnie, usiadła pośpiesznie i zajrzała mu w oczy.

– Co zrobiłeś?

Miles również usiadł, sięgnął po leżące na nocnym stoliku papierosy i zapalił jednego. Zaciągnął się głęboko, spojrział na nią i powiedział powoli, starannie oddzielając słowa:

– Zrobiłem coś, czego przysięgałem nigdy więcej nie robić. Pojechałem do Candidy prosić ją o zgodę na rozwód.

– I?

– Odpowiedź brzmi *nie*. Wiele takich „nie” rzucono mi w twarz wraz z groźbami o skandalu, który wywoła, jeśli jeszcze raz podejmę tę kwestię. – Wypuścił dym i zaczerpnął oddechu. – Pojechałem do niej, gdyż chcę się z tobą ożenić, Christie. Nie chcę cię dłużej chować po kątach. Chcę móc pokazywać się z tobą. Chcę mieć cię przy sobie jako żonę. – Smutnie pokręcił głową. – Ale wydaje się, że nic z tego nie będzie.

– Nie zależy mi na tym – zawołała, przytulając się do niego. – To nie ma znaczenia. Nic nie ma znaczenia, Milesie, dopóki możemy być razem.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

– O co chodzi, kochanie? – spytał Miles, zbliżając się do niej. – Nie podoba ci się ten naszyjnik?

Przyjrzał się jej uważniej mrużąc oczy i starając się zrozumieć, dlaczego jest taka nieswoja.

Christina dotknęła dłonią cienkiej pajęczyny złotych łańcuszków wysadzanych opalami i brylancikami i opuściła wzrok, by na nie popatrzyć.

– Milesie – powiedziała – to najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam. Kocham go.

– A więc skąd taka smutna twarz, Christie? – Usiadł na sofie obok niej i ujął smukłą dłoń w swoją. – Czy dlatego nie mogę spędzić z tobą Bożego Narodzenia? Jeśli tak, to postaram się jakoś skrócić świąteczny wypoczynek. Słuchaj, mam pomysł: spędzę z tobą całą Wigilię – powiedział, pośpiesznie improwizując. – A później wieczorem pojedę do Suffolk, żeby zjeść kolację z chłopcami i rodzicami. Spędzę z nimi pierwszy dzień świąt, a w drugi przyjadę do ciebie i...

– Milesie, nie, nie pozwolę ci tak się miotać lub też zmieniać planów w ostatniej chwili. Poza tym ja nie mogłabym zmienić swoich. Moi rodzice byliby niepokieszeni, gdybym nie przyjechała do Yorkshire.

Wyczekują na mnie od dawna, bo widzujemy się ostatnio bardzo rzadko, wiesz o tym.

– Candidy tam nie będzie, jeśli to cię niepokoi. Zabiera Monikę i jedzie do Szkocji. Będzie spędzać święta w domku myśliwskim swego ojca – Miles ze zdziwieniem pokiwał głową. – Nie mam pojęcia, dlaczego tak nieoczekiwanie zgodziła się zostawić mi chłopców na święta.

Christina siedziała w milczeniu, wpatrując się w ogień na kominku. Miles podniósł dłoń i odwrócił jej twarz w swoją stronę.

– To święta prawda, kochanie. Candidy nie będzie w Broxley Hall. – Gdy nie przerwała milczenia, wykrzyknął: – Przecież wierzysz mi, Christino?!

Słyszała niepokój brzmiący w jego głosie i widziała napięcie na twarzy. Uścisnęła mu rękę i powiedziała:

– Milesie, dobrze wiem, że nigdy mnie nie okłamujesz, to nie leży w twojej naturze.

Zajrzał jej głęboko w oczy. Uczucia odbijały się w nich jak w lustrze. Jej spojrzenie zawsze umiało mu coś powiedzieć. Widział teraz, że coś Christinę trapi, ale postanowił nie męczyć jej dłużej. Nie będą się widzieć przez cały tydzień, będzie to najdłuższa rozłąka od sześciu miesięcy. Dlatego też chciał, aby dzisiejszy wieczór był szczególnie miły i nie miał zamiaru zepsuć go czymkolwiek.

Jakby odczytując jego myśli, Christina uśmiechnęła się i wstała szybko z kanapy.

– Kochanie, dorzuc do kominka i otwórz szampana. Rozpocznijmy wreszcie ten nasz piękny, uroczysty wieczór. Ja idę po prezent dla ciebie... W końcu dziś jest *nasze* Boże Narodzenie.

– To prawda – odparł z uśmiechem. Przyciągnął ją do siebie i pocałował w szyję. – Kocham cię tak bardzo – szepnął.

Delikatnie wysunęła się z jego ramion i pobiegła do sypialni, odwracając się w progu. Stał i uważnie jej się przyglądał. Przesłała mu dłonią pocałunek.

Kiedy wróciła do bawialni z paczkami, Miles jeszcze mocował się z korkiem od szampana.

– To chyba nie dla mnie wszystkie te paczki? – spytał.
Roześmiała się i położyła pakunki na podłodze przy kominku.

– Jeszcze jedna kolejka i to będzie wszystko.

Pokiwał głową rozbawiony, z sercem przepelnionym miłością. W całym świecie nie było kobiety takiej jak Christie.

– Zawsze tego pragnąłeś – powiedziała, podając mu dużą paczkę zawiniętą w brązowy papier. – Ja bardzo chcę, byś to miał. Z całą moją miłością dla ciebie, kochany.

Wziął paczkę, wiedząc, że jest to jeden z jej obrazów. Ponieważ podziwiał wszystkie, nie wiedział, który mu podarowała. Uśmiechnął się i rzekł:

– Dziękuję ci, Christie. Z kształtu domyślałem się, że to jeden z twych obrazów... ale który?

– Rozwiń i zobacz.

Stanęła tyłem do paleniska, przypatrując się, jak niesie paczkę na kanapę i rozdziera papier. Kiedy ujął obraz w obie ręce i podniósł do góry, wykrzyknął:

– Och, Christie! „Lilia z Hadley”... Christie, co za wspaniałomyślny gest dać mi ten właśnie obraz! Wiem, że to twoja ulubiona praca. Dziękuję ci!

Położył obraz na kanapie, podszedł do niej i mocno ją uściskał. Christina widziała jego radość i to sprawiło jej przyjemność.

– Moim ulubionym stał się *po tym*, jak spotkaliśmy się w Hadley Court... – powiedziała – i dlatego właśnie chcę, żeby należał do ciebie, żeby ci zawsze mnie przypominał.

Uśmiech znikł z jego twarzy, gdy zapytał:

– Czy gdzieś wyjeżdżasz?

– Nie, głuptasie. Dlaczego o to pytasz?

– Bo tak dziwnie powiedziałaś: *żeby ci mnie przypominał*... Przecież zawsze będziesz ze mną.

– Oczywiście, że będę, Milesie. Ale co powiesz na kieliszek szampana, nim otworzysz resztę swoich prezentów?

Zabrał się do napełniania kieliszków.

– Dostałem kartkę świąteczną i króciutki list od Ralpha i Dulcie – rzekł. – Wynika z niego, że mają zamiar na jakiś czas pozostać w

Nowym Jorku: mają propozycję zagrania w sztuce na Broadwayu, a w Hollywood odbędzie się premiera ich nowego filmu. Czy miałaś ostatnio wiadomości od Jane?

– Skarżyła się na pobyt małych potworów w Nowym Jorku w czasie świąt, kiedy wczoraj zadzwoniła do biura. Ale poza tym nic specjalnego. Będzie robić kostiumy do nowej sztuki Hala Prince'a na Broadwayu, pozostanie więc tam na następne pół roku.

– To znakomicie! Jane jest utalentowaną scenografką. – Miles podał jej szampana i stuknęli się kieliszkami. – Wesołych świąt, najmilsza!

– Wesołych świąt, Milesie!

Siedzieli przed kominkiem, sącząc powoli butelkę Dom Perignona, podczas gdy Miles odpakowywał jeden po drugim prezenty, dziękując i wydając okrzyki radości na widok książek, płyt z nagraniami jazzu, krawatów i jedwabnego szlafroka. Szczególnie zachwyciły go spinki do koszuli z szafirami.

– Są nadzwyczajne! – krzyknął, przyglądając się im z po dziwem. – Jesteś zbyt rozrzutna.

– Proszę, proszę i kto to mówi – powiedziała i uklękła przy jego fotelu, wpatrując się weń z uwielbieniem. – Naprawdę ci się podobają?

– Wiesz, że tak.

– Mnie też. Pasują do twoich oczu.

Uśmiechnął się, włożył rękę do kieszeni i wyjął małe pudełeczko.

– A to jest jeszcze jeden gwiazdkowy upominek dla ciebie.

Był to pierścionek z dużym opalem otoczonym brylancikami. Uzupełniał naszyjnik, który dał jej wcześniej. Obie sztuki biżuterii były równie piękne i wykwintne.

– Milesie, bardzo ci dziękuję. Jest taki śliczny – wsunęła pierścionek na palec prawej ręki i uniosła dłoń, by mu się przyjrzeć.

– Niewłaściwa ręka, kochanie. – Zdjął pierścionek i przełożył go na lewą rękę. – Powiedzmy, że wolę by był tutaj... – przerwał wpatrując się w nią zaskoczony. Z pięknych szarych oczu płynęły łzy, a wargi jej drżały. – Christie, co się stało?

Pokręciła głową, otarła oczy wierzchem dłoni, przełknęła ślinę i zaczęła:

– Milesie...

– Tak, kochanie, o co chodzi? Czy stało się coś złego?

Christina przyglądała mu się z uwagą.

– Jestem w ciąży – oznajmiła.

Zobaczyła w jego oczach błysk szczęścia i dumy, nagły rozradowany uśmiech, którego nie mógł powstrzymać, a który mówił tak wiele. A potem jego twarz stała się nagle bez wyrazu, jak wytarta czysta tablica.

– Och, Christie – powiedział i pokiwał głową. – Och, Christie...

Nie mogła nie dosłyszeć w jego głosie przygnębienia, nie dostrzec rozpaczony w oczach i ogarniającego go niepokoju. Zbyt dobrze знаła Milesa.

– Ale przecież przed chwilą cieszyłeś się! – zawołała, biorąc go za rękę. – Wiem, że tak było!

– Oczywiście, że tak, lecz... – nie był w stanie mówić dalej. Przełknął z trudem ślinę i pojął, że nigdy nie kochał jej tak bardzo jak w tej chwili.

– Nie miałam zamiaru mówić o tym dzisiaj – powiedziała Christina. – Gdybyś nie zdjął mi pierścionka z prawej ręki i nie przełożył na lewą, nie powiedziałabym.

– Cieszę się, że to zrobiłaś... To przecież dotyczy nas obojga. Nie możesz dźwigać takiego ciężaru sama, Christie.

– Nie chciałam cię niepokoić, i to jeszcze przed świętami, nie chciałam ci psuć wszystkiego, przecież tak rzadko masz okazję widywania się z chłopcami.

Dotknął palcami jej policzka.

– Zawsze jesteś taka troskliwa, kochana moja Christie. – Usiadł z powrotem na krześle i dodał: – Cóż, to stawia nas przed poważnym problemem, prawda, kochanie?

Przytaknęła milcząco.

– Milesie – odezwała się po chwili – ja nie chcę robić skrobanki, po prostu nie chcę. Zdaję sobie sprawę z tego, że dla ciebie dziecko będzie kolejną komplikacją, myślałam jednak...

– Christie, dziecko nie będzie komplikacją, to jest po prostu *nie-możliwe*. I ja nie chcę, byś przerwała ciążę. – Zmarszczył brwi. – Chodzi o to, że ja w tej chwili nie widzę żadnego rozwiązania.

– Dlaczego nie mogłabym mieć dziecka, Milesie? Kto by wiedział, że jest ono twoje? Tylko ty i ja... Finansowo jestem zabezpieczona, poradzę sobie...

– Nie jestem pewien, czy wszystko się dobrze ułoży – przerwał jej pośpiesznie. – A co będzie, jeśli ktoś się dowie... Moja kariera polityczna...

– Tak, wiem, że jest wiele rzeczy, które należy wziąć pod uwagę...

– Kiedy się o tym upewniłaś?

– Przed czterema dniami.

– Powinnaś powiedzieć mi wcześniej. Nie mogę znieść myśli o tym, jak się męczyłaś. Źle zrobiłaś, nie zwierając mi się, Christie.

– Wcześniej nie chciałam cię niepokoić.

– Jak długo trwa ciąża?

– Sześć tygodni.

Chwycił ją w ramiona i mocno przycisnął do siebie.

– Wymyślimy jakieś właściwe rozwiązanie – szepnął. – Staraj się nie zamartwiać, kochanie. Załatwimy wszystko po świętach.

Rozdział pięćdziesiąty

Wprawdzie Miles zalecał jej spokój, lecz Christiną była bardzo zmartwiona, gdy przygotowywała się do wyjazdu do Yorkshire, by spędzić Boże Narodzenie z rodzicami.

Martwiła się o Milesa. Martwiła się o siebie. Martwiła się o dziecko, czyli dokładniej mówiąc o to, co ma w tej sytuacji zrobić.

Wiedziała, że Miles Sutherland kocha ją całym sercem i że nie będzie chciał, by usunęła ciążę. W głębi duszy była przekonana, że chciał

tego dziecka, chciał *ich* dziecka. Jednakże była zbyt pragmatyczna, by nie rozumieć, że należy brać pod uwagę również jego karierę polityczną.

Pewnego razu powiedział jej – nie pod wpływem namiętności, lecz w czasie jednego z długich spacerów po wiejskiej okolicy: „Jesteś moim życiem, Christie”. Nie było to jednak ścisłe. Jego życiem była kariera polityczna. I ona nigdy nie poprosi Milesa, by dla niej z tego zrezygnował. By móc żyć z nią otwarcie, by mieć dziecko.

Gdyby go o to poprosiła, zastanawiałby się długo, a może nawet i zgodził. Lecz pewnego dnia zaczęły tego żałować, a ona żałowała by jeszcze bardziej. Żądać od ukochanego mężczyzny, by poświęcił swoją karierę, znaczyłoby, że jej uczucie nie jest prawdziwą miłością.

Polityka i Miles Sutherland byli ze sobą zbyt ściśle powiązani, by się kiedykolwiek rozłączyć. Miles bez swych wyborców, bez kolegów polityków, bez Izby Gmin i całego tego życia, które było areną nieustającej walki, skończyłby się szybko. Winston Churchill powiedział kiedyś o sobie, że jest dzieckiem Izby Gmin. To samo dotyczyło Milesa Sutherlanda.

A ja stoję teraz przed dylematem – myślała Christina, gdy następnego wieczoru wracała o ósmej z pracowni przy Bruton Street. Miles wyjechał do Broxley Hall w Suffolk, dziś rano równie czuły i zatroskany, jak i wtedy, gdy podzieliła się z nim tą nowiną. Skończyła gwiazdkowe zakupy i udała się do biura, żeby podpisać czeki, dać pracownikom świąteczne prezenty i wziąć udział w tradycyjnym przyjęciu, które Giselle urządzała dla personelu.

A teraz już była wolna aż do rana. Jutro wsiądzie do pociągu jadącego do Leeds. W tej chwili mogła się tylko martwić.

Zdjęła płaszcz i rozpałała drewno na kominku, które przygotowała pani Green, jej sprzątaczką, a potem pośpieszyła do kuchni. Nie była zbyt głodna, ale wiedziała, że musi coś zjeść. Dlatego też otworzyła puszkę zupy pomidorowej. W oczekiwaniu, aż się zagrzeje na kuchence gazowej, przygotowała sobie kanapkę z łososiem, który został z wczorajszej kolacji.

Dziesięć minut później Christina wzięła tacę zjedzeniem do bawialni i usiadła przed płonącym na kominku ogniem. W myślach rozważała rozmaite możliwości. Może urodzić dziecko, lecz być może straci Milesa. Może zrobić skrobankę. Może zniknąć, wyjechać za granicę, urodzić tam dziecko i mieszkać poza krajem przez resztę życia. Miles mógłby ją odwiedzać od czasu do czasu.

Podniosła się gwałtownie i zaczęła chodzić miarowym krokiem po pokoju.

Jaka ja jestem głupia – pomyślała. – Żadna z tych możliwości nie ma szans powodzenia. Jest tylko jedno jedyne rozwiązanie: Miles musi nakłonić Candide do rozwodu, abyśmy mogli się pobrać. Naturalnie, tylko to! Dlaczego też ani ja, ani Miles nie pomyśleliśmy o tym wczoraj wieczorem? Dlatego iż sami pogodziliśmy się z myślą, że rozwód jest niemożliwy. Ale przecież może uda się coś załatwić.

Christina wróciła na fotel przy kominku i po raz pierwszy od kilku dni poczuła, że opuszcza ją napięcie.

Położywszy ręce na brzuchu, myślała o dziecku. *Ich* dziecko. *Jego* dziecko. Podniecała ją myśl, że cząstka Milesa żyje i rośnie w jej wnętrzu. Urodzi to dziecko. Wyjdzie za Milesa. To musi się udać.

Drgnęła zdziwiona, słysząc dzwonek telefonu. Wstała, by go odebrać.

– Halo, kochana moja, jak się czujesz? – odezwał się Miles.

– Miles! Czuję się doskonale. Właśnie wpadłam na znakomity pomysł.

Roześmiał się i powiedział:

– Ja też, ale opowiedz mi najpierw o swoim.

– Musisz pojechać znowu do *wiesz, kogo mam na myśli* i zmusić ją, żeby ci zwróciła wolność.

– Zawsze wiedziałem, że Kocham cię z jakiegoś powodu i tym powodem jest twoja głowa! I to w dodatku mądra głowa! Pomyślałem o tym samym dziś wieczorem i nie mogłem się doczekać, by skończyła się kolacja i żebym mógł do ciebie zadzwonić. Zobaczę się znowu z Candidą, Christie. Jak tylko ona powróci ze Szkocji. Zobaczą, uprządkujemy wszystko!

– Nagle poczułam się znacznie lepiej. Święta nie będą takie trudne, jak przypuszczałam.

– Na pewno nie. W przyszłym tygodniu będziemy już razem. Posłuchaj, kochanie, czy jesteś pewna, że nie chcesz, bym zadzwonił do ciebie do Leeds?

– Chyba nie. Nie chcę się tłumaczyć, kim jesteś. Wiesz, jacy potrafią być rodzice.

– Wiem, najmilsza. Kocham cię, Christie.

– I ja cię kocham, Milesie.

– Dokąd, panienko? – spytał taksówkarz, kiedy wstawił jej walizkę do bagażnika.

– Na King's Cross, proszę.

– Już jedziemy, panienko.

Christina usiadła z tyłu, wygładziła dół płaszcza i wyjrzała przez okno. Zaczynał padać śnieg. Małutkie płatki słały się gęsto i szybko bieliliły ziemię. Zastanawiała się, czy Boże Narodzenie będzie białe i czy w Yorkshire też pada śnieg.

Spojrzała na zegarek. Miała dość czasu do pociągu odjeżdżającego o dziesiątej trzydzięci do Doncaster, Leeds i Harrogate. Był to najlepszy ranny pociąg w kierunku północnym i jechał aż do Edynburga. Szkocja – pomyślała i to przypomniało jej Candide. Miles odzyska wolność. Pobiorą się. Będzie mogła urodzić ich dziecko. Mimo woli położyła rękę na brzuchu. Był zupełnie płaski; jeszcze nic nie było znać, lecz za kilka miesięcy ciąża stanie się widoczna. Będzie trzeba zaprojektować suknie na ten okres...

Ani taksówkarz, ani Christina nie zauważyli wielkiej ciężarówki wpadającej w poślizg na mokrej jezdni. Ciężarówka uderzyła w tylne drzwi taksówki i wepchnęła ją gwałtownie na latarnię.

Christinę wyrzuciło z siedzenia. Uderzyła głową o szklaną przegrodę, oddzielającą siedzenie pasażera od kierowcy, i upadła na podłogę bez przytomności. Była też nieprzytomna, gdy wyciągnięto ją z rozbitego samochodu i wieziono karetką pogotowia do szpitala w Middlesex.

Cudownym zbiegiem okoliczności obrażenia nie były poważne – lekka kontuzja i potłuczenia. Jednak w godzinę po przybyciu do szpitala straciła dziecko.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Przez długie trzy tygodnie po stracie dziecka Christina czuła się opuszczona i nieszczęśliwa. Miles także był zrozpaczony. Był dla niej dobry i czuły, ale rana zablizniała się powoli.

Stopniowo jednak zaczęła wracać do normalnego życia i smutek z powodu poronienia był mniejszy. Jej praca wymagała wielkiego poświęcenia i to pomagało żyć

Lecz nie strata nie narodzonego dziecka była powodem troski Christiny na początku roku pięćdziesiątego siódmego. Ostatecznie przekonała się, że ona i Miles zawsze będą potykać się o przeszkodę, jaką stanowi jego żona, która nadal odmawiała rozwodu. W normalnych warunkach mogliby jawnie żyć ze sobą, ale pozycja polityka na to nie pozwalała. Zwłaszcza pozycja człowieka takiego jak Miles. Dlatego też nigdy nie będą w stanie uczynić tego kroku.

Miles pojechał do Candidy w lutym i ponownie prosił ją o rozwód. Raz jeszcze spotkał się ze stanowczą odmową. Wrócił wtedy do mieszkania przy Walton Street pokonany i upokorzony. Tego wieczoru serce Christiny łkało na jego widok.

Popijając powoli szkocką z wodą sodową, którą mu podała, zwierzał się:

– Klęczałem dosłownie przed nią na kolanach i błagałem. Ta kobieta jest z kamienia.

Pod koniec miesiąca bomba pękła. Siostra powiedziała Milesowi, że widziano ich razem w Cotswolds. Domek weekendowy, zawsze taki bezpieczny i dodający otuchy obojgu, nagle również stał się więzieniem. Musieli kryć się przed ludźmi jeszcze bardziej i ograniczać swobodę ruchów.

Po raz pierwszy od chwili, gdy wyznali sobie miłość, zaczęli się kłócić. Prawda, były to małe, niewiele znaczące sprzeczki, ale pomimo to harmonia, spokój, którymi się cieszyli przebywając razem, wyraźnie się skończyły.

W kwietniu Christina ostatecznie uzyskała pewność w trzech kwestiach: Miles nigdy nie uwolni się od Candidy, chyba że tylko przez jej śmierć; jego kariera polityczna jest ważniejsza niż wszystko inne; ona sama zaś dłużej nie może znosić takiego trybu życia.

Jej życie koncentrowało się teraz wokół niego, jego potrzeb, specyfiki jego zajęć i przyzwyczajzeń, jakie miał, nim się spotkali. Nie mogła już ciągnąć tego dłużej.

W lipcu zaś stało się dla niej jasne, że w tej sytuacji istnieje tylko jedno rozwiązanie. Musi opuścić Anglię i wyjechać na dłuższy pobyt do Stanów Zjednoczonych. Jedyne bowiem dzieląca ich odległość dawała nadzieję na całkowite zerwanie istniejących między nimi więzi. Kochała go tak bardzo, iż była przekonana, że jeśli pozostanie w Londynie, to nigdy nie znajdzie w sobie ani siły, ani woli, by z niego zrezygnować. Ból, jaki teraz odczuwała, był jednak zbyt wysoką ceną za ukradkowe spotkania. Poza tym chciała tego, co Miles przewidział dawno: normalnego życia, męża, dzieci... i godności. Nie mogła dłużej znosić ukrywania się, sekretów i lęku przed zdemaskowaniem ich związku.

Nie radziła się Milesa w sprawie swoich planów ani mu się z nich zwierzała. Wiedziała, że nigdy nie pozwoli jej odejść. Uznała, że musi go postawić przed faktem dokonanym. Pierwszym krokiem w tym kierunku było mianowanie Giselle Roux kierowniczką zakładu na okres najbliższego roku. Klucze od mieszkania przy Walton Street dała rodzicom z prośbą, by korzystali z niego raz w miesiącu. Jej sekretarka, Liza, otrzymała drugi komplet kluczy, by odbierać pocztę i załatwiać wszystkie inne sprawy, gdyż ani Christina, ani Jane nie miały zamiaru całkowicie z tego mieszkania zrezygnować. Równocześnie też podjęła kroki w celu otwarcia oddziału Domu Mody „Christina” w Nowym Jorku. Miała dostatecznie dużo pieniędzy, by sfinansować to przedsięwzięcie, jak również sporo wiernych sobie amerykańskich klientek.

I wreszcie w Stanach przebywała jej ukochana przyjaciółka Jane, która od dawna namawiała ją do przyjazdu. Christina zwierzyła się Jane ze wszystkiego i kiedy zdecydowała się na zerwanie z Milesem, również powiadomiła o tym przyjaciółkę.

Ostatnią osobą, której o tym wszystkim powiedziała, był on sam.

– Wyglądałaś dziś bardzo pięknie, Christie – oznajmił Miles, biorąc z jej rąk kieliszek wina i siadając na kanapie w bawialni mieszkania przy Walton Street. – Spokojna i chłodna jak przysłowiowy sopel lodu – dodał rzucając jej spojrzenie pełne uczucia.

Pod pretekstem przyniesienia lodu pośpieszyła do kuchni, bo nagle ogarnęła ją niezmiernie silna fala miłości do niego. Dobrze dziś wyglądał i doskonale się prezentował w jasnobłękitnym letnim garniturze. Jasne, blade kolory szczególnie doń pasowały. Napełniając wiaderko lodem zrozumiała, że nie może spędzić z nim tego wieczoru, tak jak to zaplanowała. Musi powiedzieć mu wszystko zaraz. Natychmiast. Przebywanie z nim, nieświadomym podjętej przez nią decyzji, działało jej na nerwy.

– Zawsze cię lubiłem w jasnozielonym kolorze, Christie – zauważył Miles, kiedy wróciła do bawialni. – Powinnaś nosić do tej sukni moje opale. – Zmarszczył brwi. – Już dawno ich u ciebie nie widziałem. Czy przestały ci się podobać?

– Nie, Milesie. Lubię je jak zawsze. Są jednak tak cenne, że trzymam je w sejfie. – Zakasłała lekko, usiadła na brzegu krzesła naprzeciw niego. Odezwała się stanowczym głosem, na który z trudem się zdobyła. – Milesie, jest coś, o czym ci muszę powiedzieć.

Natychmiast zdał sobie sprawę z powagi jej tonu i domyślił się, że stało się coś strasznego.

– Wyjeżdżam za granicę. Nie mogę już dłużej pozostawać w Anglii – powiedziała Christina. Chciał jej przerwać, ale powstrzymała go gestem dłoni. – Nie, Milesie. Musisz pozwolić mi skończyć, koniecznie.

Ty nie możesz wyjechać, ty jesteś posłem do parlamentu, ale ja mogę. Wyjeżdżam do Nowego Jorku. Jutro. Co najmniej na rok.

– Ale, kochanie, dlaczego? Na miłość boską, dlaczego? – zapytał zszokowany, z twarzą pobladłą, z oczyma pociemniałymi gniewem.

– Dlatego, że nasze wspólne życie jest nie do zniesienia. Kocham cię, kocham cię bardzo, ale dalej tego ciągnąć nie mogę. Muszę od ciebie odejść, bym mogła zacząć życie od nowa, czy tego nie rozumiesz?

– Jeszcze raz pojadę prosić Candide o rozwód!

– Nic z tego nie wyjdzie, Milesie. Wiesz o tym tak samo dobrze jak i ja. Ona się nigdy z tobą nie rozwiedzie. A ja muszę ocalić własne życie.

Stał przed nią, podniósł ją z krzesła i wziął w ramiona.

– Kocham cię, Christie, jesteś moim życiem. Na miłość boską, proszę cię, nie opuszczaj mnie.

– Ja nie jestem *całym* twoim życiem, Milesie, tylko jego częścią. Masz jeszcze swą karierę. Wiem, że nie będzie ci lekko, ale wszystko się jakoś ułoży... – nie była w stanie mówić więcej.

Wysunęła się z jego ramion i podeszła do kominka. Patrzył na nią, stojąc bez ruchu. Zdawało mu się, że cały świat się zawalił. W każdym razie *jego* świat.

– Milesie, jeśli mnie kochasz – odezwała się Christina znowu – pozwolisz mi odejść, dasz mi wolność... – łzy popłynęły jej z oczu. Już nie mogła ich powstrzymać. – Jeśli kochasz mnie tak bardzo, jak mówisz, to dasz mi tę szansę i nigdy nie będziesz się ze mną starał skontaktować, nigdy mnie nie będziesz próbował zobaczyć. Pozwolisz mi żyć w spokoju.

– Christie – krzyknął w desperacji – kochana moja, proszę cię, znajdziemy jakieś rozwiązanie, znajdziemy wyjście!

Pokręciła przecząco głową.

– Mamy tylko jedno wyjście, Milesie. *Musisz pozwolić mi odejść.*

Mnóstwo myśli przemknęło mu przez głowę. Tyle rzeczy, o których jej nie powiedział, którymi się nie podzielił; tyle czułych słów, których

nigdy nie wyszeptał; tyle jeszcze miał jej do zaofiarowania. Kochał ją całym sercem, całą duszą. I właśnie dlatego powinien dać jej tę szansę, o którą teraz prosiła. Jest zbyt późno, by zacząć wszystko od nowa. Inaczej. Zbyt późno, by zacząć to z Christiną jeszcze raz.

Miles zrobił jeden niepewny krok i zatrzymał się. Nie mógł podejść do niej i pocałować. Nie śmiał tego uczynić.

– Do widzenia, ukochana moja – powiedział i potykając się wyszedł z pokoju. Gdy zbiegał po schodach, nie mógł opanować potoku łez. Wiedział, że nigdy nie zazna miłości takiej jak ta.

Płakała przez cały czas lotu nad Atlantykiem.

Jane czekała na przyjaciółkę na lotnisku. Rzuciła tylko na nią jedno spojrzenie i poprowadziła do oczekującego samochodu.

– Dzięki Bogu, że wymyślono ciemne okulary – powiedziała Christina, starając się nadać głosowi beztrioskie brzmienie, a potem znowu wybuchnęła płaczem.

Jane objęła ją, pogłaskała po głowie i kazała się dobrze wypłakać. Tak więc Christina szlochała przez całą drogę na Manhattan, a Jane pocieszała ją półgłosem.

Łzom nie było końca. Jednak jakoś udało się Christinie zająć interesami i zatracić w pracy. Ponieważ była to praca, którą kochała, łatwiej było zapanować nad rozpaczą. Ale przecież rozpaczła po Milesie! Czuła też w sercu, że rozpacz zostanie w niej na zawsze. Był jej pierwszą prawdziwą miłością. Kochali się tak bardzo, że trudno to było wyrazić słowami.

Jednakże w miarę jak tygodnie zmieniały się w miesiące, coraz bardziej odzyskiwała panowanie nad sobą, a pewnej nocy zasnęła nie urońszy ani jednej łzy.

– Zdaje się, że przychodzę do siebie – zwierzyła się Jane przy śniadaniu. – Wczoraj wieczorem już nie płakałam przed zaśnięciem.

– Cieszę się, Christie – odparła cicho Jane. Od samego początku zdawała sobie sprawę, że Christina cierpi naprawdę, że ma złamane

serce. Dlatego też, jak umiała, podtrzymywała ją na duchu, była wyrozumiała i pełna dobroci. Nigdy również nie powiedziała jednego złego słowa pod adresem Milesa. Teraz też tylko rzuciła półgłosem: – Ale to *długo* trwało, wiesz o tym.

– Co masz na myśli? – spytała Christina i spojrzała na Jane pytająco.

– Jest już początek grudnia, a ty przyjechałaś tu w lipcu. Sześć miesięcy we łzach! Dobry Boże, to chyba jakiś rekord!

Christina roześmiała się. Jane roześmiała się również.

– Wiesz, chyba rzeczywiście wychodzisz z tego dołka, Christino Crowther – powiedziała za chwilę. – Wobec tego może pomożesz mi przygotować świąteczne przyjęcie... nasze świąteczne przyjęcie.

– A wydajemy jakieś?

– Tak... Chcę, żebyś poznała tego aktora, Simona. Liczę, że wydasz o nim dobrą opinię, bo ja myślę o wyjściu za niego za mąż.

– Jak długo to trwa?! – zawołała Christina. – Czy nie zwróciłam na niego uwagi wcześniej? Czy tu nie bywał?

– Nie, nie, to zupełnie nowa znajomość. Jest uroczy.

– Aktorzy są zwykle marnymi mężami, Janey.

– Rzucasz oszczerstwa na mojego ojca? – obruszyła się Jane. – Mamie by się to nie podobało.

– Ralph jest inny – odparła Christina.

– Podobnie jak Alex Newman.

– Zdawało mi się, że on ma na imię Simon.

– Tak jest, Christie. Alex Newman jest dla ciebie.

Christina uniosła w górę dłonie w obronnym geście.

– O, nie... Jeszcze nie jestem gotowa do zawierania nowych znajomości!

Nie była przygotowana na kogoś takiego jak Alex Newman.

Że *jest* inny, zdała sobie sprawę od pierwszej chwili ich poznania. Był osobowością, która natychmiast wyróżnia się z otoczenia, nie

mówiąc już, że był przy tym bardzo przystojny i pełen charmu.

Jane podeszła z nim do Christiny, aby go przedstawić.

Kiedy podali sobie ręce, Christina nie miała pojęcia, że postanowił się z nią ożenić już wtedy, gdy przyglądał się jej z drugiego końca pokoju.

Przez cały wieczór był dla niej bardzo miły i troszczył się o nią. Christinę bawiło jego cierpkie poczucie humoru. Czuła, że może go polubić. Jednak gdy poprosił ją o spotkanie jutro wieczorem, pokręciła przecząco głową.

– Dziękuję bardzo, ale nie.

– Czy jeszcze nie czujesz się gotowa – rzekł spokojnie.

Trochę ją to zaskoczyło.

– Co przez to rozumiesz? – spytała. Była ciekawa, czy Jane coś mu wspomniała o jej problemach, ojej nieszczęściu, ale natychmiast zrelektowała się. Przyjaciółka nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

– Nie patrz z takim oburzeniem – powiedział Alex uśmiechając się. – Instynktownie wyczułem, że niedawno zostałeś zraniona. Przez mężczyznę. Myślałem, że to jest powodem twojej powściągliwości i odmowy pójścia ze mną na kolację. – Uśmiechnął się znowu i dodał: – Najwidoczniej przyczyna tkwi we mnie: nie lubisz mnie.

– Ależ, Aleksie, lubię cię, nawet bardzo! – odpowiedziała bez wahan. – Dobrze, spotkam się z tobą jutro wieczorem.

Skinął głową i poszedł przynieść im coś do picia. Później siedzieli dłuży czas przed kominkiem, rozmawiając o niezliczonych sprawach. Okazało się, że mają wiele wspólnych zainteresowań.

– Z tego, co mówiła Jane – powiedział w pewnej chwili Alex – zrozumiałem, że Dom Mody „Christina” jest gotów do otwarcia w przyszłym roku. Domyślam się więc, że zamieszkasz tutaj na stałe?

– Och, nie, nie przypuszczam – odparła pośpiesznie. – Londyński oddział potrzebuje mnie również. Myślę więc, że będę regularnie latać nad Atlantykiem w tę i z powrotem. Daję sobie rok na właściwe ustalenie wszystkich spraw tu, w Stanach.

– Rozumiem. Ale amerykański oddział przedsiębiorstwa będzie większy niż angielski. Wydaje mi się, że sprzedasz tu dwa razy więcej niż w Londynie.

Christina patrzyła na niego z zainteresowaniem, wiedząc, że jest bankierem. Stąd też przez resztę wieczoru z ożywieniem rozmawiali o interesach. Później, gdy goście już wyszli, a ona pomagała Jane sprzątać szklanki i talerze, złapała się na tym, że myśli o Aleksie Newmanie i jego zadziwiających pomysłach handlowych.

Przy myciu kieliszków Christina nagle zwróciła się do Jane:

– Polubiłam Alexa. Miałaś rację, to uroczy człowiek i bardzo nie-
zwyczajny.

– A także bogaty – dodała Jane, uśmiechając się filuternie. – Choć to nie ma dla ciebie szczególnego znaczenia.

– Nie, rzeczywiście nie ma. Poza tym, Janey Sedgewick, nie nabijaj sobie głowy jakimiś romansowymi planami. Alex interesuje mnie wyłącznie jako przyjaciel. Ma ciekawe koncepcje marketingu. Powiedział, że będzie zadowolony, jeśli zdoła być mi w czymś pomocny.

– No, mogę się założyć, że będzie – zawołała Jane przewracając wymownie oczami. – Oprócz tego, że jest czarujący, przystojny, bogaty i inteligentny, jest także wolny.

– Brzmi to jak Mężczyzna Doskonały – zauważyła Christina. – A więc dlaczego się nie ożenił?

– Zdaje mi się, że jest rozwiedziony.

Christina pokiwała znacząco głową, odwróciła się i poszła z powrotem do bawialni. Jane natychmiast pobiegnęła za nią.

– Christie, kochana, wybacz mi. Nie chciałam ci zrobić przykrości.

– Nic się nie stało, Janey, słowo. Po prostu myślę, że nie jestem jeszcze gotowa do spotkań z innymi mężczyznami.

– Ale jutro pójdziesz na to spotkanie z Alexem? On jest taki miły. Wiem, że mu się spodobałaś. Proszę, zrób to dla mnie.

Tak więc nazajutrz Christiną spotkała się z Alexem Newmanem na kolacji w La Pavillon. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że to on właśnie będzie człowiekiem, który pomoże jej zaleczyć rany i znowu stać się sobą.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

– Mamusiu, dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, co kupiłyśmy babci na urodziny? Jestem bardzo ciekawa.

Christina spojrzała na swoją sześćioletnią córkę i powiedziała:

– Ci-i-cho, Kyle, nie krzycz tak na ulicy.

– Ale dlaczego nie chcesz mi powiedzieć? – jęczała Kyle.

– Dlatego, że nie potrafisz utrzymać tego w sekrecie. Tatuś i ja nie możemy ci się zwierzyć, ponieważ to jest szczególny prezent. Obawiamy się, że zaraz wszystko wygadasz i wtedy babcia nie będzie miała pięknej niespodzianki.

– Och, mamusiu, ja nie powiem – zaprotestowała oburzona Kyle. – Przecież nie jestem takim maluchem jak Clarissa cioci Janey.

Ujawszy córkę mocno za rękę, Christina przeprowadziła ją przez Grosvenor Square w kierunku South Audley Street. Był słoneczny czerwcowy dzień tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku i w tym tygodniu przypadały pięćdziesiąte ósme urodziny Audry. Christina i Alex wydawali dziś dla niej małe przyjęcie w swoim mieszkaniu przy Eaton Square. Kyle zaś od kilku dni zadręczała rodziców sprawą prezentu.

– Mamusiu, proszę cię, powiedz mi!

– Kyle, zawrzemy umowę – powiedziała półgłosem Christina, powstrzymując zniecierpliwienie. – Jeśli już więcej nie wspomnisz o tym na ulicy, to powiem ci, gdy przyjdziemy do domu, zgadzasz się?

– Och, tak, oczywiście!

Dalej szły już w milczeniu ku wielkiej uldze Christiny, która była zaafierowana sprawami przedsiębiorstwa i zastanawiała się, czy ma wstąpić na chwilę do zakładu przy Bruton Street, aby porozmawiać z Alexem i Giselle o przygotowaniach do pokazu nowej zimowej kolekcji. Ostatecznie jednak zdecydowała, że tego nie robi. Jej rodzice, Janey z mężem Simonem i Sedge wieko wie mieli przyjść około wpół do siódmej, a teraz już była czwarta. Lepiej więc będzie wrócić na Eaton Square.

Zastanawiała się, jaką suknię powinna założyć na dzisiejszy wieczór, gdy zobaczyła go przed sobą wysiadającego z limuzyny.

Na sekundę zwolniła kroku, ale znowu ruszyła naprzód nie śpiesząc się.

Odwrócił się, uniósł głowę i spojrzał w jej kierunku. Zauważył ją natychmiast. Zatrzymał się na środku chodnika i stał jakby porażony. Ona zaś zrozumiała, że czeka na nią.

A potem zaczął iść bardzo powoli w jej kierunku, wlepiwszy w nią oczy.

Jakie to niezwykle, ale przez te osiem lat wcale się nie zmienił – pomyślała Christina. – Trochę więcej siwizny na skroniach, lecz poza tym wygląda jak zawsze. Teraz był znakomitością. Partia Pracy wygrała wybory powszechne w sześćdziesiątym czwartym roku, a on został bardzo ważnym ministrem w brytyjskim rządzie. Mówiło się, że nawet może zostać premierem. Candida rozwiodła się z nim przed sześciu laty, aby wyjść za zubożałego, ale utytułowanego Francuza – hrabiego czy księcia. Nazwisko Milesa od czasu do czasu łączono w prasie z różnymi kobietami, ale nie ożenił się powtórnie.

Kiedy zbliżyli się do siebie, serce Christiny zaczęło bić mocno. Z wrażenia zaschło jej w ustach.

– Dzień dobry, Christino – powiedział miękko, gdy wreszcie stanęli naprzeciw siebie.

– Milesie... – przez chwilę nie mogła powiedzieć niczego więcej. Oślepił ją blask jego błękitnych oczu i ogłuszył łomot rozlegający się w jej piersi. W końcu wykrztusiła: – Jak to miło zobaczyć cię po tylu latach.

– To osiem lat, Christie, bardzo długi czas...
– Tak. Gratuluję ci, Milesie... wszystkich twoich wspaniałych sukcesów, stanowiska ministra.

– A ja tobie również, Christino. Gdzie nie spojrzę, napotykam na twoje imię: suknie, perfumy, bielizna, kapelusze... – Miles powstrzymał się z trudem. Bał się, że chwyci ją za rękę i pociągnie za sobą w jakieś miejsce, gdzie będą sami, gdzie będzie mógł wziąć ją w ramiona i powiedzieć, jak bardzo ją nadal kocha.

Żadne z nich nie mogło się poruszyć ani oderwać od siebie wzroku. Czas się dla nich zatrzymał.

Tyle wspomnień przemknęło w jej pamięci i gdy patrzyła na niego, wiedziała, że on także przypomina sobie wszystko.

– Mamusiu!

Dziecięcy głosik przerwał ich milczenie.

– Jestem Miles, a tobie jak na imię? – odchrząknąwszy, odezwał się dźwięcznym głosem i podał jej rękę.

Ujęła dłoń, uśmiechnęła się do niego, unosząc twarzą do góry.

– Ja jestem Kyle.

– Ile lat masz, Kyle?

– Sześć.

– Och, Christie... – wyszeptał tylko.

Zobaczyła w jego oczach przymglonych łzami ból. Na szczupłej, inteligentnej twarzy malowało się takie pragnienie, taka tęsknota, iż zrozumiała, że nigdy nie przestał jej kochać i że teraz myślał o ich dziecku, które wtedy straciła. Stało się też dla niej jasne, że nie ożenił się po wtórnie właśnie z jej powodu.

Oczy Christiny zaszkliły się łzami.

– Milesie, och Milesie – odezwała się drżącym głosem.

– Nie trzeba – powiedział z takim samym drżeniem i dotknął jej ramienia. – Proszę cię, moja droga, nie płacz. I tak jest mi bardzo ciężko. Dbaj o siebie, Christie... Do widzenia, Kyle.

Odwróciwszy się poszedł z powrotem w stronę domu, przed którym stał jego samochód, i szybko wszedł po schodach. Ona zaś czekała, aż zamkną się za nim drzwi i dopiero wtedy ruszyła dalej.

– Mamusiu, dlaczego płaczesz?
– Nie płaczę.
– Ależ płaczesz!
– To od wiatru.
– Nie ma wiatru, mamusiu.
– Ja jestem wyższa od ciebie i tu wyżej wieje.
– Och!
– Chodź, znajdziemy taksówkę – zawołała Christina, ocierając dyskretnie mokre policzki. Pociągnęła córkę pośpiesznie za sobą.

– Obiecałaś mi powiedzieć o prezencie dla babci, jak przyjdziemy do domu – odezwała się Kyle natychmiast, gdy weszły do mieszkania przy Eaton Square.

Christina spojrzała na nią i przytaknęła:

– Tak, Kyle, to prawda, że obiecałam. Jednakże nie powiedziałam, *kiedy* to zrobię. Dowiesz się, gdy babcia będzie już wiedziała: później, dziś wieczorem.

– To nieuczciwe!

W tej właśnie chwili panna Fraser, uroczą Szkotkę, która opiekowała się Kyle, pojawiła się w hallu i zabrała ze sobą dziewczynkę do pokoju dzieciennego.

Christina przeszła przez hall do sypialni, rzuciła torebkę na łóżko i weszła do przylegającej łazienki. Zamknęła za sobą drzwi, odkręciła krany nad urny walką, znalazła ręcznik i ukryła w nim twarz. A potem oparła głowę o ścianę i szlochała tak długo, aż już więcej nie mogła. Opłakiwała swoje utracone dziecko, swą utraconą miłość. Opłakiwała również Milesa, jego tragiczną samotność, niefortunne okoliczności jego życia i wszystko to, czego z nią nie przeżył.

Kiedy się wreszcie uspokoiła i obmyła twarz, weszła do sypialni, by się przebrać i nałożyć makijaż. Wcześniej już wybrała szaro-fioletową, jedwabną suknię, takie same pantofle i opale, które podarował jej Miles. Doskonale pasowały do koloru sukni. Teraz, gdy trzymała je w rękach, pomyślała o dziwnym zbiegu okoliczności: właśnie dziś

postanowiła je założyć i tego ranka wyjęła z sejfów. Przez wszystkie minione lata, gdy podróżowała między Londynem i Nowym Jorkiem, nigdy nie natknęła się na Milesa.

Ubrana już, Christina wyszła z sypialni i pośpiesznie udała się do living-roomu, by przed przybyciem gości rzucić raz jeszcze na wszystko okiem. W hallu usłyszała wysoki głos Kyle dochodzący z gabinetu Alexa. Podeszła do drzwi i stanęła na progu.

– A kiedy się z nami pożegnał, mamusia zaczęła płakać – opowiadała Kyle.

Alex podniósł głowę i uśmiechnął się. Gdy podchodził do niej, przez moment w jego oczach dostrzegła niepokój.

– Jak się masz, moja Chris-Chris? – powiedział. – Pięknie dziś wyglądasz, naprawdę pięknie.

Spotkała go w pół drogi, wyciągnęła doń ręce i spojrzała mu w twarz, wyrażając miłość oczami. Była rada, że poślubiła tego mężczyznę.

Pocałował ją w policzek i zwrócił się do dziecka:

– A ty, skarbie, nie powinnaś pobiec przebrać się? Babcia i dziadek będą tu lada chwila.

Gdy zostali sami, Alex wziął ją w objęcia i mocno przytulił. Powiedział z ustami zanurzonymi w jej wspaniałych włosach:

– A więc w końcu spotkałeś po tylu latach Milesa Sutherlanda?

– Tak – zapadła krótka cisza. Po chwili wyjaśniła: – Tak bardzo zrobiło mi się go żal, Aleksie. To dlatego płakałam, gdy się rozstaliśmy, tylko z tego powodu.

– Rozumiem cię, Christie. Podejrzewam, że jest bardzo samotny, pomimo całej tej potęgi i sławy.

– Tak – stwierdziła krótko. Za moment zaś dodała półgłosem. – To była jedna jedyna przyczyna, wiesz o tym.

Alex odsunął ją lekko od siebie, uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Czy myślisz, że po siedmiu latach małżeństwa nie wiem, jak się z nami sprawy mają?

– To był Miles? – zapytała Jane, przyglądając się jej bacznie. – Ten mężczyzna, którego spotkałaś dziś po południu?

Christina przytaknęła i zacisnęła wargi.

– A więc i tobie także powiedziała o tym ta mała gaduła... Myślę, że i twoim rodzicom również.

– Nie gniewaj się na nią, Christie – Jane ścisnęła uspokajająco jej ramię. – Wiesz, jakie są dzieci, a poza tym nikt na to nie zwrócił uwagi.

Christina roześmiała się głucho.

– Chcesz się założyć? – Pociągnęła za sobą Jane i wyszły na taras. – Przed chwilą podeszła do mnie moja matka i zapytała, kim był ten mężczyzna, którego spotkałam dziś po południu. A potem miała śmiałość zapytać mnie, czy jestem z Alekssem szczęśliwa.

– Ale jesteś, prawda? – Jane zaniepokoiła się nagle. – Nie wzdychasz ciągle jeszcze do Milesa?

– O, Boże! Janey, jak możesz zadawać mi takie pytanie? Wiesz przecież, jak uwielbiam swego męża. Moje małżeństwo jest naprawdę udane. – Christina upiła łyk szampana, popatrzyła uważnie na Jane i dodała: – Teraz moja kolej zadać pytanie, takie, które mam na końcu języka od wielu lat. Co miałaś przeciwko Milesowi? Zawsze na niego gadałaś.

– Myślę, że byłam nim zainteresowana i wściekła, że nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi – Jane uśmiechnęła się zawstydzona. – A kiedy zaczął się uganiać za tobą, zaniepokoiłam się. Christie, ja myślałam, że on cię skrzywdzi, naprawdę. – Jane zniżyła głos: – I tak się stało.

– Ale na szczęście wyszłam z tego.

– Dzięki Bogu. – Jane podeszła na brzeg tarasu, spojrzała w dół na zieleń pośrodku Eaton Square i odwróciła się. – Ze mną i Simonem wszystko jest znowu w porządku, Christie. W zeszłym tygodniu to była taka burza w szklance wody... No, cóż, zawsze mnie przestrzegałaś przed poślubieniem aktora.

Christina uśmiechnęła się i ujęła przyjaciółkę pod ramię, prowadząc ją do drzwi tarasowych.

– Wiedziałam, że wszystko się ułoży. A teraz lepiej wróćmy do środka. Wiem, że Alex chce, bym wygłosiła toast i byśmy mogli dać

mamie nasz prezent. Wtedy będę mogła wyprawić moją pannę gadułkę do łóżka.

Alex odchrząknął i zwrócił się do zebranych:

– Czy mógłbym prosić o chwilę ciszy? Christie chce coś powiedzieć.

Rozmowy umilkły. Christina wyszła na środek pokoju, prowadząc ze sobą Kyle. Dziewczynka włożyła dzisiaj najlepszą sukienkę, przeznaczoną tylko na uroczystości, a w rękę trzymała pięknie opakowane pudełko.

Christina uśmiechnęła się do gości, a potem utkwiała spojrzenie w Audrze.

– Mamo – powiedziała – w ubiegłym roku przyszedł mi do głowy pewien pomysł, z którego zwierzyłam się Alexowi. Jemu spodobał się również... To właśnie był pomysł prezentu na twoje tegoroczne urodziny od nas trojga. Dajemy ci go z naszą wielką miłością i nadzieją, że ucieszysz się nim tak bardzo, jak sądziliśmy, gdy kupowaliśmy go kilka miesięcy temu.

Kyle podniosła wzrok ku matce. Christina skinęła głową:

– Tak, Kyle, podejdź i daj babci nasz prezent.

– To jest tutaj, babciu – powiedziała dziewczynka, podając pudełko. Potem objęła Audrę za szyję i pocałowała ją w policzek mówiąc: – Babciu, proszę cię, pośpiesz się z otwieraniem, bo oni mi nie chcieli powiedzieć, co to jest... Mamusia mówi, że nie umiem dotrzymywać tajemnicy.

Wszyscy się roześmieli.

Audra, zaróżowiona ze szczęścia, rozwiązała niebieską wstążkę, zdjęła srebrny papier i podniosła wieczko. Zajrzała do środka, a potem zmarszczyła brwi.

– Co to jest? – spytała, rzucając zdziwione spojrzenie w stronę córki i Alexa. Z pudełka wyjęła stary żelazny klucz.

Spojrzała na siedzącego obok Vincenta. – Wiesz, do czego jest ten klucz? – zwróciła się doń z pytaniem.

Vincent zaprzeczył ruchem głowy, choć dobrze wiedział do czego. Został dopuszczony do tajemnicy od samego początku.

– To klucz od twego nowego domu, mamó – powiedziała Christina. – Twojego i tatusia. Oboje z Alexem kupiliśmy dla ciebie High Cleugh. To twój prezent urodzinowy... dom twego dzieciństwa.

Audra otworzyła usta, ale nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku. Spojrzała na klucz, potem na Vincenta i wreszcie niepewnie podniosła się z kanapy. Pobladła na twarzy, a jej oczy wydawały się niezwykle błyszczące, gdy podchodziła do córki i zięcia. Pokręciła głową z niedowierzaniem i znowu popatrzyła na klucz.

– Nigdy nie przypuszczałam, że znowu będę trzymać ten klucz w swoich rękach... Dziękuję ci, Christie, dziękuję ci, Aleksie. Bardzo wam dziękuję za oddanie mi tego domu... – Wyciągnęła rękę i chwyciła Christinę za ramię w obawie, że nogi odmówią jej posłuszeństwa. Łzy ścisnęły jej gardło, nachyliła się więc ku córce i wyszeptwała: – Kochanie, dziękuję ci, dziękuję z całego serca.

Christina ułożyła głowę na nagiej piersi Alexa i przysłuchując się jego lekkiemu oddechowi, wodziła dłonią po ramieniu męża.

– Jak myślisz, czy mama była zadowolona z urodzinowej kolacji i czy cieszy się z posiadania High Cleugh?

– Na pewno – uśmiechnął się Alex. – Uważam, że „cieszy się” to zbyt łagodne określenie... Jest po prostu szczęśliwa.

Christina ze śmiechem oplotła nogami jego ciało.

– Och, Aleksie, to był piękny wieczór. Dziękuję, że mi tak bardzo pomogłeś.

Nic nie odpowiedział. Delikatnie głaskał jej włosy i czule przytulił ją do siebie. Bardzo kochał swoją żonę. Była to miłość od pierwszego wejrzenia, gdy zobaczył ją na przyjęciu u Jane. Nagle zapragnął, by córeczka nie rozpowiadała o dzisiejszym popołudniowym zdarzeniu. Wolałby nie wiedzieć, że Christina spotkała Milesa Sutherlanda. Wszystko to wprawdzie było dawno temu, ale nie mógł znieść myśli, że znowu go zobaczyła. Miles był przyczyną takiego jej cierpienia... Natychmiast zgañił się za egoizm. Lepiej, że się dowiedział, na wypadek

gdyby Christie chciała mu się zwierzyć. Nigdy nie opowiadała mu zbyt wiele o Milesie, lecz w Paryżu, podczas podróży poślubnej, zrozumiał, że ten mężczyzna miał na nią wielki wpływ i że go bardzo kochała. Ale przecież i on sam, zanim poznał Christinę, kochał inną kobietę. Każdy ma swoją historię i swoją przeszłość. Nie oczekiwał, by Christina opowiedziała mu o tym brytyjskim polityku. W tej sprawie była bardzo skryta, choć dzieliła się z nim swoimi myślami i spostrzeżeniami. Dzielili się wszystkim – to było jedną z przyczyn, że ich małżeństwo było takie udane. Z tego samego powodu tak im się dobrze razem pracowało. Byli znakomitą parą, zespołem. On wziął w swoje ręce Dom Mody „Christina” i przekształcił go w międzynarodowe przedsiębiorstwo warte miliardy. Ona miała talent artystyczny, on zaś był znakomity w interesach.

- Czy jesteś ze mną szczęśliwy – spytała nieoczekiwanie.
- Wiesz przecież, że jestem, moja Chris-Chris.
- Czy żałujesz, że nie mogę mieć więcej dzieci?
- Nie, Kyle zupełnie mi wystarcza – odparł i jęknął z udanym przerażeniem: – Wyobraź sobie takich dwoje!
- Bądź poważny.
- Jestem... jest dobrze, tak jak jest, kochanie. Jeśli tylko ty jesteś szczęśliwa, Christie. A jesteś?
- Tak, jestem. Czy nie żałujesz jednak, że nie masz syna... spadkobiercy?
- Nie, a poza tym mamy córkę, spadkobierczynię. Mnie to zupełnie wystarcza.

Wyczuł, że się uśmiechnęła, więc pochylił się, lekko przekręcił jej głowę i zbliżył do niej swą twarz. Odnalazł jej usta i pocałował ją łagodnie, przesuwając językiem po wargach. Powoli i ostrożnie zaczął ją pieścić, dotykając jej piersi i przesuwając dłonią po całym ciele. Dawał odczuć Christinie, jak bardzo ją kocha i wyrażał to na tysiąc rozmaitych sposobów. Przyrzekał też, że *on* nigdy jej nie zrani.

Z delikatnością i zręcznością doprowadził ją do ekstazy, a gdy wyprężyła się z rozkoszy, przysunął ją do siebie, zanurzył się w niej miłotnie i posiadał ją do końca. I nie tylko na tę noc, na zawsze.

Epilog

Kyle, Audra i Christina

1978

– Nie chcę malować sukien, tak jak ona to robi, ja chcę malować obrazy – powiedziała Kyle do babki.

Audra drgnęła na dźwięk tych słów. Nie ma to, jak wyrażać się wprost, ale jakże brutalna jest młodość...

– Wiem, że chcesz malować – odpowiedziała wnuczce – że chcesz być artystką, wiem to od paru lat, moja droga Kyle, lecz nie jestem pewna, czy wybrałaś właściwą drogę. Myślę o sposobie załatwienia tego z rodzicami.

– Tu nie chodzi o tatusia, jemu nie zależy, czy zajmę się tym głupim interesem, czy nie. Tu chodzi o nią!

– Posłuchaj, Kyle, nie pozwalam ci mówić o matce takim tonem. Jesteś niesprawiedliwa i dobrze o tym wiesz.

Kyle rzuciła Audrze przepaszające spojrzenie, ale nadąsane usta pozostały zaciśnięte.

– Zresztą nie mam pojęcia, dlaczego bronię taty, on przecież zawsze staje po jej stronie. Jak daleko sięgam pamięcią, tych dwoje zawsze było przeciwko mnie... nawet kiedy byłam mała. Oni się we dwoje dobrali, stworzyli taki „zespół”. Tak o sobie zawsze mówili, babciu. Mnie się nigdy do tego nie włączało.

Audra przyglądała się Kyle ze zdumieniem, a potem ciężko westchnęła. Miała szczerą chęć porządnie potrząsnąć wnuczką i gdyby nie znajdowały się w restauracji w hotelu Carlyle, chyba by to zrobiła.

– Mylisz się, Kyle, i to bardzo. Dobrze pamiętam, że kiedy przyjechałaś do Anglii w sześćdziesiątym piątym roku, to chodziłaś podśpiewując: „Jesteśmy najlepszym zespołem, mamusia, tatuś i ja”. Pamiętam to tak dokładnie dlatego, że w tym właśnie roku twoi rodzice kupili mi High Cleugh. Miałaś wtedy sześć lat. Rodzice nigdy się od ciebie nie odgradzali. Nigdy. Zawsze włączali cię we wszystko. Są wspaniałymi rodzicami i niezmiernie cię kochają.

– Kochają siebie bardziej niż mnie.

– Nie bądź śmieszna! – przerwała ostro Audra nie ukrywając gniewu. – Oczywiście, że się kochają. Jeśli chodzi o ścisłość, zawsze byli w sobie zakochani. I powinnaś być wdzięczna losowi, że tak jest. A czego byś chciała? Być dzieckiem z rozbitego małżeństwa?

– Ja nie to miałam na myśli – szybko odpowiedziała Kyle i na jej twarzy pojawił się wyraz smutku. – Po prostu jestem taka rozstrojona, babciu. Nienawidzę tego całego świata mody. Nie chcę projektować ubiorów i siedzieć przy rysownicy, mieć do czynienia z głupawymi modelkami, które głodzą się prawie na śmierć i nakładają góry kosmetyków na swoje twarze. Chcę malować to, co mam przed oczami.

Młodziutka twarz Kyle nagle utraciła ten kapryśny wyraz i stała się niezmiernie ożywiona; cała jej buntowniczość, zdało się, opadła jak maska. Usiadła prosto, a ciemne oczy rozjaśniły się na moment.

– Chcę malować pejzaże, tak jak robiłam to ostatniego lata, kiedy byłam w Yorkshire, u ciebie, babciu. Jak cudownie było wtedy w High Cleugh: wyprawy do Robin Hood's Bay i na wzgórze; mogłam siedzieć przy sztalugach, ile chciałam, i mogłam przenosić na płótno całe to otaczające mnie piękno, tak jak je widziałam, na swój sposób, z mojego punktu widzenia. Taka byłam szczęśliwa tego lata dzięki tobie, babciu. Szczęśliwsza niż kiedykolwiek dotąd. A później wróciłam do Nowego Jorku i zaczęło się. Idiotyczne pokazy mody! Pogardzam tym! Pogardzam też Instytutem Mody.

Audra wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Kyle.

– Wiem, moja droga, że ostatnio sprawy nie układały się łatwo.

– To tak mi działa na nerwy, że przestaję normalnie funkcjonować, jestem przy tym sfrustrowana i nieszczęśliwa. – Kyle zaczerpnęła

tchu. – Jedno, co by mnie uszczęśliwiło, to pozwolenie na wyjazd na kilka lat do Londynu, do Królewskiej Akademii Sztuki. Żebym mogła zostać malarzem pejzażystą. Ale ona tego nigdy nie zrozumie. Jedyne, co ją interesuje, to robienie pieniędzy. Oczy Audry napętniły się łzami.

– Och, Kyle, to nieprawda – powiedziała i urwała. Wzięła leżącą obok torebkę i wyjęła z niej chusteczkę.

Kyle była również zrozpaczona i przytuliła się do ramienia babki.

– Tak mi przykro, babciu, nie chciałam być złośliwa. Żałuję bardzo, jeśli zraniłam twoje uczucia, w końcu to twoja córka.

– A także twoja matka, Kyle. Najlepsza matka na świecie! – zawołała Audra. – Możesz mi wierzyć. Chce dla ciebie jak najlepiej. Byłaby nawet gotowa oddać za ciebie życie. Zawsze stałam po twojej stronie, ale to się chyba skończy, jeśli będziesz grać rolę rozkapryszonyj panny i wyrażać się o matce w pozbawiony życzliwości i szacunku sposób. – Audra utkwiała swe przenikliwe, niebieskie oczy w Kyle i spytała stanowczym, pełnym nagany głosem: – Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

– Tak, babciu – odparła posłusznie Kyle. Zawsze trochę bała się babki.

– A więc dobrze. Teraz zaś posłuchaj mnie i to uważnie. Może, gdy skończę, lepiej zrozumiesz motywy postępowania swojej matki. Zrozumiesz, dlaczego tak bardzo kocha swoje przedsiębiorstwo. Zgoda?

Kyle skinęła twierdząco.

– Twoja matka była malarką pejzażystką i poświęciła swą sztukę dla interesów. Miała niegdyś w zasięgu ręki to wszystko, czego ty teraz tak bardzo pragniesz. Była też bardzo utalentowana, Kyle. Ale poświęciła to wszystko dla mnie... aby zapewnić mi wygody, które uznała, że mi się należą – Audra chwyciła rękę Kyle i mocno ją ścisnęła. – Opowiem ci o tym. Christie powinna ci to sama powiedzieć, ale ponieważ tego nie zrobiła, więc ja ci o tym opowiem.

Kyle patrzyła uważnie na babkę, która ciągnęła dalej swą opowieść. Gniew na matkę i irytacja, narastające w niej od dłuższego czasu, minęły nagle. Kiedy zaś Audra skończyła, oczy Kyle były wilgotne od łez.

– Co za niezwykłą rzecz zrobiła mama dla ciebie, babciu. Żałuję, że mi tego sama nie powiedziała. – Kyle przygryzła wargę. – Jak myślisz, czy tęskni teraz za malowaniem? Sądziś, że to dlatego nie trzymam swoich prac w naszym nowojorskim mieszkaniu i w domu w Connecticut? Chodzi mi o to, że większość z nich wisi w High Cleugh. Ciocia Janey także ma kilka obrazów. Może nie chce, żeby przypominały jej to, z czego zrezygnowała.

Audra drgnęła boleśnie. Naiwna uczciwość Kyle była czasami denervująca.

– Może jej tego brak, nie wiem. Jakoś o tym nie mówimy. Właściwie nigdy tego nie robiliśmy, nawet na samym początku. I to jest mój błąd, bo powinniśmy były porozmawiać ze sobą. – Audra oparła się plecami o siedzenie i zamyśliła się. Zawsze bałam się powiedzieć coś niewłaściwego, bałam się zrobić jej przykrość – pomyślała. – Tak, to był błąd, który miał swoje konsekwencje.

– Babciu, zupełnie nie wiem, co mam robić – wyszeptła Kyle. – Czuję się okropnie. Byłam niedobra dla mamy od miesiący. Musiałam ją straszliwie zranić.

– Nie będziesz miała żadnych problemów z matką – Audra poklepała ją po ręce. – Znam dobrze swoją córkę. Bardzo cię kocha, przyjmie więc twoje przeprosiny i od razu ci przebaczy.

– Myślisz, babciu, że tak się rzeczywiście stanie?

– Jestem tego pewna – Audra nachyliła się ku niej i po raz pierwszy od kilku dni uśmiechnęła się. – Zdaje mi się, że obu wam podsunę projekt kompromisu. Cały tydzień usiłowałam coś wymyślić i sądę, że znalazłam rozwiązanie.

– O mój Boże, niechby tak było, babciu. A co to jest?

– Kiedy wrócimy do domu, porozmawiamy znowu z twoją matką. Jeśli ciągle będzie nalegała, byś przejęła jej interesy, to poproszę, żeby ci dała urlop. Ale, Kyle, ty ze swej strony masz obiecać, że później

przepracujesz trzy lata w przedsiębiorstwie, jeśli pozwoli pojechać ci ze mną do Londynu. Złożysz podanie do akademii, a tymczasem, dopóki cię nie przyjmą, możesz mieszkać ze mną w High Cleugh i malować, ile dusza zapragnie. A więc, co o tym myślisz?

– Babciu, to fantastyczne, znakomite!

– Zgadzasz się dotrzymać swojej umowy?

– Pewnie! Zgadzam się, zgadzam! – odparła Kyle z rozpromienioną twarzą.

Po opuszczeniu hotelu Carlyle wracały po Madison Avenue.

Było piękne sobotnie popołudnie w końcu maja i wspaniała pogoda skusiła wielu ludzi do spacerów, do przyglądania się wystawom eleganckich butików i zwiedzania galerii sztuki.

– Myślę, że podejźmy do Park Avenue i tam wsiądziemy w taksówkę – powiedziała Audra, ujmując Kyle pod ramię. – Zrobiło się bardzo tłoczno.

– Czy dobrze się czujesz? – Kyle spojrzała na babkę zaniepokojona.

– Nagle poczułam się trochę zmęczona.

Kyle zatrzymała taksówkę na Park Avenue i pomogła Audrze wsiąść. Po dziesięciu minutach były już przed domem na Sutton Place, w którym mieszkali Newmanowie.

– Pozostaw całą sprawę mnie – oświadczyła stanowczo Audra, gdy weszły do windy. – Choć raz trzymaj ten swój obrotny języczek za zębami. A kiedy ja wypowiem swój tekst, masz przeprosić matkę za swoje zachowanie w ostatnich dniach. Musisz to zrobić, Kyle, bez względu na to, co się wydarzy. Rozumiesz?

– Tak.

Audra doznała rozczarowania, gdy weszły do hallu. Olbrzymie mieszkanie było pogrążone w grobowej ciszy i wydawało się zupełnie puste. Wiedziała, że Alex ma jakieś spotkanie przy lunchu, ale spodziewała się zastać w domu córkę. Po chwili usłyszała kroki w przylegającej do głównego hallu wyłożonej marmurową posadzką galerii.

Nagle stanęła przed nimi Christina, uśmiechnięta i zaskakująco młoda w niebieskich dżinsach, białej jedwabnej koszuli z mnóstwem

ciężkiej złotej biżuterii. Cała promieniała radością. Troska, kłopoty i gniew, które gościły na jej twarzy przez ostatni tydzień, zniknęły bez śladu. Wyglądała jak nowo narodzona czy może raczej tak jak dawniej.

– Witajcie obie – powiedziała głośno i zbliżyła się pośpiesznie z uśmiechem na ustach. – Jak się udał lunch? Spacer był przyjemny?

– Tak, dziękuję. Wszystko w porządku, Christie.

Audra przyglądała się córce uważnie, starając się dociec, co spowodowało w niej taką nieoczekiwaną zmianę.

– Cieszę się, mamusiu – odpowiedziała Christina.

– Chciałabym z tobą pomówić – oznajmiła nagle Audra.

– Chodźmy więc do mego gabinetu – Christina odwróciła się i poszła przodem wzdłuż galerii.

Kyle spojrzała na babkę pytająco. Audra wzruszyła ramionami w odpowiedzi na oczywiste, choć nie zadane pytanie. Obie były zdziwione tą odmianą nastroju Christiny i podążyły za nią pośpiesznie wiedzione ciekawością.

Stała pośrodku pokoju czekając na nie.

– O czym chcesz ze mną mówić, mamó? – spytała.

Kyle przycupnęła na oparciu kanapy, a Audra usiadła na krześle.

– Christie – powiedziała – mam wrażenie, że udało mi się znaleźć rozwiązanie problemów Kyle...

– Jedną chwilę – krzyknęła Christina, unosząc dłoń do góry. – Zanim zajmujemy się tą kwestią, chciałabym ci mamusiu powiedzieć, jakie plany poczyniłam w związku z twoimi urodzinami. Twoimi siedemdziesiątymi pierwszymi urodzinami...

– Ależ, Christie – przerwała z irytacją Audra. – Nic mnie nie obchodzą moje urodziny. Mam teraz co innego na głowie. Kyle jest znacznie ważniejsza niż...

– Ale ja nalegam, byśmy o tym, mamó, pomówiły w pierwszej kolejności – wtrąciła Christina stanowczym głosem. – Chcę również dzisiaj wręczyć ci prezenty.

Audra była wściekła i mocno zacisnęła usta. Wiedziała jednak, że lepiej będzie córce nie przerywać.

Kyle była również poirytowana, ale trzymała na wodzy swój wybuchowy temperament. Cokolwiek by babka mówiła na ten temat, matka jednak *była* niemożliwa.

Christina podeszła do kominka i stanęła obok niego, opierając się jedną ręką o gzyms. Zaczęła mówić wolno, starannie dobierając słowa:

– Mój pierwszy upominek dla ciebie, mamusiu, to rzecz, o której wiem, że pragniesz jej z głębi serca: to wnuczka mieszkająca w Anglii i studiująca w Akademii Królewskiej.

Audra i Kyle spojrzały na Christinę, a potem na siebie z niedowierzaniem. Były oszołomione.

– Przez ostatnie kilka dni wiele rozmyślałam i doszłam do wniosku, że nie mam racji w sprawie Kyle – Christina rzuciła okiem na córkę i uśmiechnęła się ciepło. – Kyle musi iść za swym powołaniem. Powinna mieć tę szansę. Tak jak to powiedziałas przed laty i przypomniałas niedawno: dziecko jest nam tylko pożyczone. Dlatego też chcę, żeby zrobiła ze swym życiem to, co chce zrobić: ono przecież należy do niej.

Audra w osłupieniu wpatrywała się w córkę.

– Mamusiu, mamusiu! Ty naprawdę chcesz tak postąpić?! – krzyknęła Kyle, zeskakując z kanapy i rzucając się do Christiny.

– Tak, kochanie, chcę tak zrobić. Nie powinnam zmuszać cię do zajęcia się moim przedsięwzięciem wbrew twojej woli.

– Och, mamusiu, ja też ostatnio byłam nieznośna i impertynencka. Bardzo tego żałuję, *bardzo*. Czy możesz mi to wybaczyć, mamo?

– Nie ma tu nic do wybaczenia, Kyle. Po prostu chcę, byśmy były przyjaciółkami tak jak dawniej i chcę byś miała to, co da ci szczęście.

– Mamusku! – Kyle rzuciła się matce na szyję i ucałowała ją, a potem obie zaczęły się śmiać i ścisnąć.

Audra przypatrywała się temu i myślała: Dzięki Bogu, dzięki Bogu. A więc jednak wszystko jakoś się ułożyło...

– Jeśli chodzi o twój drugi prezent urodzinowy, mamo – ciągnęła dalej Christina – to muszę ci go przyprowadzić. – Po czym pośpiesznie wyszła z pokoju.

– Babciu, jak myślisz, dlaczego ona zmieniła zdanie? – zapytała Kyle, gdy tylko zostały same. Była zarumieniona i podniecona i z trudem hamowała emocje.

– Nie mam pojęcia. Ale twoja matka zawsze twardo stała na ziemi i miała dużo zdrowego rozsądku, więc może w końcu zdała sobie sprawę, że nie możesz żyć jej życiem...

– Jak się masz, Audro, kochanie?

Audra gwałtownie odwróciła głowę na dźwięk znajomego głosu i otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Wstała i podeszła doń mówiąc:

– Vincencie, wielkie nieba! Jak ty się tu znalazłeś?

– Za pomocą samolotu Concorde – odparł, zwracając swą piękną, srebrną głowę w stronę Alexa, który, rozpromieniony, stał tuż za nim. – To nasz zięć wszystko załatwił. Przyjechał rano po mnie na lotnisko i przemycił ukradkiem do domu, a później, kiedy wyszłaś z Kyle, zabrał ze sobą na lunch. – Vincent uśmiechnął się do niej szeroko. – Alex i Christie chcieli ci zrobić niespodziankę. Przyjechałem na twoje urodziny, kochanie.

– I to *jest* prawdziwa niespodzianka! – zawołała Audra wspinając się na palce i całując go w policzek.

Uśmiechnął się do niej, objął ramieniem i przyciągnął do siebie. Audra odezwała się półgłosem:

– Och, jak to dobrze znowu cię zobaczyć. Bardzo mi ciebie brakowało przez ten ostatni tydzień, naprawdę.

– I ja tęskniłem za tobą, Audro. – Vincent spojrzał na Kyle. – No, kochanie, a jak będzie z całusem dla dziadka?

Rzuciła się ku niemu i uściskali Się na środku pokoju, a potem wzięwszy się za ręce, podeszli do kanapy i usiedli. Zawsze byli ze sobą w ogromnej przyjaźni i gdy Kyle przyjeżdżała do Anglii jeszcze jako dziecko, wiele czasu spędzali razem.

– Dziękuję ci za sprowadzenie tutaj Vincenta, Aleksie – powiedziała Audra. – To był bardzo ładny gest. Teraz zdałam sobie sprawę, że bez niego moje urodziny nie byłyby tym, czym być powinny... Zawsze spędzaliśmy ten dzień razem, dokładnie od pięćdziesięciu lat.

Alex objął teściową jednym ramieniem, a drugim otoczył żonę.

– To był pomysł Christie – powiedział.

– Nie, pomysł był twój – sprzeciwiła się Christina, uśmiechając się do niego, a jej promienne szare oczy rozbłyły miłością.

Alex nachylił się, pocałował Christinę w czoło i powiedział:

– Nie ma znaczenia, kto pierwszy na to wpadł, ważne jest to, że wszyscy są szczęśliwi.

– Tak, to prawda – potwierdziła Audra.

Spojrzała na Vincenta i Kyle siedzących na kanapie i dłużej zatrzymała wzrok na wnuczce. Potem zwróciła się do Christiny mówiąc:

– Kyle jest spełnieniem celu życia: mojego i twojego. Ona zbiera plon tego, co my poświęciłyśmy jedna dla drugiej. To wcale nie jest takie złe, nie sądzisz?!

Christina odwzajemniła spojrzenie i odpowiedziała:

– Nie, mam, nie jest. Przeciwnie, uważam, że to jest wprost wspaniałe!

Audra wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Christiny w swoją, a jej niezwykle, błękitne oczy rozjaśniły się szczęściem, kiedy dodała:

– Tym, że pozwalasz jej teraz odejść, zatrzymasz ją przy sobie na zawsze.